

ARCHIWUM REWOLUCJI

ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

ARCHIWUM REWOLUCJI

ALEXANDER WEISSBERG-CYBULSKI

BIBLIOTEKA * KULTURY *

WIELKA CZYSTKA

PRZEŁOZYŁ Z NIEMIECKIEGO ADAM CIOLKOSZ

WSTĘP GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

IMPRIMERIE EN FRANCE

INSTITUT LITÉRACKI

PARYZ

1967

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 151

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ARCHIWUM REWOLUCJI

ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

PRZEŁOŻYŁ Z NIEMIECKIEGO ADAM CIÓŁKOSZ



WSTĘP GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

INSTYTUT



LITERACKI

PARYŻ

1967

ARCHIWUM RĘKOPISÓW

ALEXANDER WEISSBERG-CYBUZKI

BIBLIOTEKA KULTURY

WIELKA CYFRA

PRZEŁOŻYŁ I WYDAŁ ADAM CIOKOSZ

WSTĘP GUSTAWA HEHLINGA RUDZIŃSKIEGO

BIBLIOTEKA
BN
RODOZEMNA

I 1.985.358

A

chr.

INSTITUT LITTÉRAIRE

INSTITUT LITTÉRAIRE

NIEPOSKROMIONY UMYSŁ

Despotyzm runie.

Wolność w Kraju Sowieków zmartwychwstanie.

Wygnańcy powrócą z obozów podbiegunowych.

*Mych towarzyszy — ludzi Wielkiej Czystki —
nie będzie między nimi.*

Ich pamięci tę książkę poświęcam.

ALEKSANDER WEISSBERG

Urodził się 8 października 1897 r. w Krakowie, jako syn zamożnego kupca Samuela Weissberga i Marii Blankenheim. Gdy był pięcioletnim dzieckiem, jego rodzice przenieśli się do Wiednia. W Wiedniu skończył szkołę powszechną i gimnazjum, a w r. 1920 wstąpił na Uniwersytet i do Wyższej Szkoły Technicznej, gdzie studiował matematykę, fizykę, elektrotechnikę i fizykę techniczną. W roku 1929 otrzymał dyplom inżyniera w dziedzinie fizyki technicznej. W ówczesnej Austrii była to specjalizacja bez większych widoków na przyszłość, postanowił więc wyjechać do Berlina. Przez rok był asystentem profesora Westphala w berlińskiej Instytucji Fizyki przy Wyższej Szkole Technicznej.

Miał już wtedy za sobą dość bogate doświadczenia polityczne. Wstąpił do młodzieżowego ruchu socjalistycznego w wieloletnim „Spółdzielcu”. Niebawem przeszedł do szereżów austriackiej partii socjalno-demokratycznej. W roku 1927 wyłączył w partii komunistycznej. Zasiadł szybko jako niezadowolony technokratyzm marksmu „Podczas naszego pierwszego spotkania — opowiada Kłostner — zrobił ze mnie dialektyczną szelkankę”. Z ust samego Alexa dowiedziałem, że w okresie komunistycznego „Sturm und Drang” zwabił do siebie i co najmniej zbliżył do partii wielu sławnych polskich towarzyszy, między innymi Buzyna.

NIEPOSKROMIONY UMYSŁ

Alex Weissberg zmarł w Paryżu 4 kwietnia 1964 r. W jego papierach znaleziono krótką notatkę autobiograficzną *Mein Lebenslauf*. Posłużę się nią tutaj, uzupełniając ją gdzie trzeba informacjami które wolał z tych czy innych względów pominąć, a które znaleźć można w przedmowie Koestlera do oryginału niemieckiego (*Hexensabbat*) i przekładu angielskiego (*Conspiracy of Silence*) jego wielkiej książki.

Urodził się 8 października 1901 r. w Krakowie, jako syn zamożnego kupca Samuela Weissberga i Marii Blankstein. Gdy był pięcioletnim dzieckiem, jego rodzice przenieśli się do Wiednia. W Wiedniu skończył szkołę powszechną i gimnazjum, a w r. 1920 zapisał się na Uniwersytet i do Wyższej Szkoły Technicznej, gdzie studiował matematykę, fizykę, elektrotechnikę i fizykę techniczną. W roku 1929 otrzymał dyplom inżyniera w dziale fizyki technicznej. W ówczesnej Austrii była to specjalizacja bez większych widoków na przyszłość, postanowił więc wyjechać do Berlina. Przez rok był asystentem profesora Westphala w berlińskim Instytucie Fizyki przy Wyższej Szkole Technicznej.

Miał już wtedy za sobą dość bogate doświadczenia polityczne. Wstąpił do młodzieżowego ruchu socjalistycznego w wieku lat siedemnastu. Niebawem znalazł się w szeregach austriackiej partii socjal-demokratycznej. W roku 1927 wylądował w partii komunistycznej. Zaszłył szybko jako niezrównany fechtmistrz marksizmu. „Podczas naszego pierwszego spotkania — opowiada Koestler — zrobił ze mnie dialektyczną siekankę”. Z ust samego Alexa słyszałem, że w okresie komunistycznego *Sturm und Drang* zwerbował lub co najmniej zbliżył do partii wielu sławnych później towarzyszy, między innymi Brechta.

Nie było zatem potrzeby zbyt długo się zastanawiać, kiedy charkowski U.F.T.I. (*Ukrainskij Fiziczesko-Techniczeskij Institut*) zaofiarował mu odpowiedzialne stanowisko w jednym ze swoich laboratoriów. Tam, w ojczyźnie rewolucji, w kraju budującym socjalizm, było jego miejsce komunisty, inżyniera i naukowca. W marcu 1931 r. wyjechał do ZSSR. Popłynęły lata gorączkowej, pełnej entuzjazmu pracy. Założywszy *Przegląd Fizyczny Związku Sowieckiego*, centralny organ fizyki sowieckiej wydawany w języku niemieckim i angielskim, został jego pierwszym redaktorem. Z ramienia Instytutu jeździł często na pertraktacje z komisarzem ciężkiego przemysłu Ordżonikidze, miał stały kontakt z Bucharinem i Piatakowem. Tymczasem, po zabójstwie Kirowa w r. 1934, zaczęła wzbierać stopniowo fala Wielkiej Czystki i Terroru. Z początku omijała charkowskie sanktuarium mózgow, w którym prócz wybitnych przybyszów z Zachodu pracowały takie wschodzące gwiazdy nauki sowieckiej jak Lew Landau i Aleksander Leipunskij. Aż w końcu uderzyła i w te mury. Weissberga aresztowano 1 marca 1937 r.

Tu startuje opowieść zawarta w książce. I poprzez więzienia w Charkowie, w Kijowie i w Moskwie dobiega do mety 5 stycznia 1940 r. na moście w Brześciu nad Bugiem, gdy oficerowie N.K.W.D. przekazują swoim kolegom z Gestapo kilkudziesięciu komunistów i socjalistów niemieckich i austriackich, w tej liczbie jej autora.

Całą grupę Niemcy osadzili najpierw w więzieniu w Białej Podlaskiej, po czym przerwali do Warszawy. W Warszawie nastąpiła selekcja „rasowa”: pięciu Żydów skierowano do Lublina, „aryjską” resztę wysłano gdzie indziej. Po dwumiesięcznym pobycie w więzieniu lubelskim Weissbergowi wręczono białoniebieską opaskę z gwiazdą Dawida. W przymusowym nakazie osiedlenia widniał Kraków, przypuszczalnie jako miejsce urodzenia.

W Krakowie odnalazł krewnych i schronił się u nich. Za pośrednictwem przyjaciół w Ameryce udało mu się nawiązać kontakt z Einsteinem. (W roku 1938 Einstein interweniował w jego sprawie listem do Stalina; podobny list, zaadresowany do Wyszynskiego, podpisali Jean Perrin, Frederic Joliot-Curie i Irene Juliot-Curie; oba pozostały bez odpowiedzi). Twórca teorii względności zaproponował mu katedrę uniwersytecką w Manili, obiecując że stamtąd sprowadzi go do Stanów. Władze niemieckie odmówiły zgody na wyjazd. „To — czytamy w notatce autobiograficznej — przypieczętowało mój los jako fizyka. Po latach nie mogłem już wrócić do mojego dawnego powołania”.

W kilka miesięcy później Niemcy założyli w Krakowie getto.

Przeniósł się tam i zamieszkał na Józefińskiej, w bliskim sąsiedztwie przewodniczącego *Judenratu*. Jego nazwisko figurowało na pierwszej liście pięćdziesięciu przeznaczonych do Oświęcimia „starszych” żydowskich, ale cudem zdołał uniknąć aresztowania. Uciekł z Krakowa, przez pewien czas przebywał półlegalnie (wciąż jeszcze z opaską na ramieniu) w gettach w Bochni i w Tarnowie. We wrześniu 1942 r. wybrał całkowitą nielegalność i zjawił się w Warszawie.

Niemcy ścigali go listami gończymi, wyznaczyli cenę na jego głowę, puścili na jego trop całą stórę agentów. Ukryła go najpierw Zofia Cybulska, późniejsza żona, w swoim mieszkaniu na Czackiego. Spędził pół roku odcięty od świata, w zmienianych wciąż kryjówkach, tylko po zmroku ośmielając się na krótko wychodzić na ulice miasta. 4 marca 1943 roku aresztowano go mimo to, wraz z dwoma jeszcze Żydami, w mieszkaniu Zofii Cybulskiej. W samochodzie Gestapo zabrakło miejsca dla pani domu, kazano jej więc zgłosić się nazajutrz na Szucha. Opuściła natychmiast mieszkanie i ukryła się sama.

Weissberga osadzono na Pawiaku. Wywinął się dwukrotnie śmierci, wreszcie w grupie osiemdziesięciu więźniów odstawiono go do obozu pracy w Kawęczynie. Zbiegł stamtąd dzięki pomocy niemieckiego kierownika robót. W Warszawie zaopiekowała się nim znowu Zofia Cybulska, wykorzystując swoje związki z A.K. Dotrwał tak do Powstania Warszawskiego, brał w nim udział w szeregach walczących. Po klęsce ocalał go przed obozem w Pruszkowie podoficer niemiecki. Jeszcze cztery miesiące ukrywania się we Włochach, do wkroczenia Rosjan. Zmienił nazwisko na Cybulski, żeby wobec nowych władców zatrzeć ślady swej przeszłości sowieckiej. W połowie roku 1946 wyostał się z Polski do Szwecji, tam też połączyła się z nim żona. Poznałem ich oboje w Londynie pod koniec następnego roku, byłem częstym gościem w ich domu, należałem do pierwszych czytelników (a raczej słuchaczy) pierwszych rozdziałów *Hexensabbat*. Po moim wyjeździe z Anglii widywaliśmy się rzadziej. Alex był jednym z najmądrzejszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Koestler kończy swoją przedmowę z maja 1951 r. słowami: „Budzą we mnie jedynie sprzeciw teoretyczne konkluzje z ostatniego rozdziału książki, w którym główne przyczyny Terroru potraktowane są w sposób dość jednostronny”. Zanim będzie mowa o owych „teoretycznych konkluzjach” Weissberga, rzecz

wymaga ustawienia we właściwej — i bardziej już dziś przejrzystej — perspektywie.

W czerwcu 1956 roku, wkrótce po ogłoszeniu tajnego raportu Chruszczowa, pisałem na łamach miesięcznika włoskiego *Tempo Presente*: „Upadał mit. Koestler narzucił swym *Darkness at Noon* przekonanie, że prawdziwa i najgłębsza przyczyna samooskarżeń w procesach moskiewskich tkwiła w nieodpartej logice i dialektyce Gletkina, który doprowadza do absolutnej nicości staroświeckie i moralistyczne rozumowanie Rubaszowa. Ilekroć zdarzało mi się rozmawiać na ten temat z przyjacielem i dawnym partyjnym towarzyszem broni Koestlera, Alexem Weissbergiem, wzruszał on ramionami i powtarzał: „Nonsens. Zmuszano ich do samooskarżeń nie dialektyką, lecz torturami i głodem”. Alexander Werth opisał niedawno w prasie francuskiej swoje spotkania z nielicznymi oskarżonymi, którzy przeżyli procesy moskiewskie: potwierdzili oni w pełni zdrowy rozsądek Weissberga. London, którego zrehabilitowano po rewizji procesu Slanskiego, zrobił to samo w Pradze w pogawędce z dziennikarzami zagranicznymi. Gdyby nie okrutny i nieludzki aspekt sprawy, można by się przynajmniej pocieszyć myślą że świat toczy się dalej według swych odwiecznych praw”.

Rozrachunek z „mitem Rubaszowa” zachowuje wciąż aktualność. Przed dwoma laty ukazał się w Londynie bardzo zajmujący sympozjon *Talking to Eastern Europe*, w którym Konstanty Jeleński zauważa między innymi: „Wiemy dziś że podkreślając jeden z najciekawszych, i zarazem najtrudniejszych do zrozumienia dla umysłu niekomunistycznego, fenomenów w samooskarżeniach moskiewskich — wyrzeczenie się życia jako ostatnia przysługa oddana partii — Koestler nadał tym samooskarżeniom złowrogą godność której nigdy nie posiadały. Wiemy od Chruszczowa że metody Stalina były tu, podobnie zresztą jak w innych wypadkach, całkowicie staroświeckie. Tortury i obietnice — oto co przywodziło jego ofiary do obciążania samych siebie”. Jeleński przytacza też następującą wypowiedź Edgara Morin: „Dla wielu stalinistów i progresistów raport Chruszczowa był lekcją, gdyż potwierdzał fakty tym więcej nieprawdopodobne że dotąd nie tyle nawet je ignorowano, co odrzucano z oburzeniem jako podłe oszczerstwa antysowieckie. Jeśli o mnie idzie, znałem większość z tych faktów. Nie wszystkie. Nie mogłem być podejrzewać ludobójstwa mniejszości narodowych, zniszczenia inteligencji *jidysz*. Nie mogłem być podejrzewać, że tortura stała się systematyczną praktyką, zadekretowaną przez Stalina okólnikiem z roku 1938. Wszystkie nasze dramaty wewnętrzne, wszystkie nasze medytacje nad *Darkness at Noon* Koestlera i nad *Humanisme et Terreur*

Merleau-Ponty, nabrały cech dziecinnej igraszki. Szukaliśmy wyrafinowanych interpretacji psychologicznych, a prosta prawda polegała na tym że ludzie torturowano fizycznie”.

Koestler, w tymże sympozjonie, nie daje jednak za wygraną. Podkreśla że byłoby niesprawiedliwością uważać bolszewików ze starej gwardii — rewolucjonistów typu Bucharina, Zinowiewa czy Piatakowa — za ludzi działających z tak elementarnych pobudek: „umarli oni jako ofiary umysłu ludzkiego tkniętego obłędem, lecz w granicach logiki ich własnej wiary”. Przypomina „mycie mózgu”, praktykowane z powodzeniem przez Chińczyków w Korei na żołnierzach amerykańskich. Powołuje się na głośną książkę generała Krywickiego *Byłem agentem Stalina*, w której autentyczny epizod podobny do pojedynku Gletkin-Rubaszow został opowiedziany przed pojawieniem się *Darkness at Noon* na półkach księgarskich. I konkluduje: „Komuniści stosują mieszankę — odwołują się do słabości ciała i do najszlachetniejszych rzeczy jakie posiada człowiek, do jego poczucia obowiązku i samopoświęcenia”.

Zaden z tych argumentów nie wytrzymuje próby krytyki. To prawda że rewolucjoniści rosyjscy ze starej gwardii nie bali się ani więzienia, ani zesłania, ani nawet szubienicy, ale technika policyjna caratu nie spychała ich nigdy poniżej granicy gdzie tak zwane „pobudki elementarne” dochodzą do głosu niemal automatycznie, na gruzach rozbitej i podeptanej osobowości; czego nie chciała lub nie umiała dokonać technika policyjna caratu, dokonała technika tortur i głodu wypracowana przez stalinizm. To prawda że „mycie mózgu” dało pewne rezultaty, ale po pierwsze nie opierało się ono z pewnością na samej tylko metodzie perswazji, a po drugie jego obiektem byli na ogół ludzie intelektualnie prymitywni i bezbronni. To prawda że epizod z książki Krywickiego jest uderzająco podobny do historii Rubaszowa, ale nie wiemy czy długoletni agent Stalina nie opowiedział go właśnie po to by „wyrafinowaną interpretacją psychologiczną” pokryć nieznośną dla siebie (bo zbyt „prostą”) rzeczywistość. I tu dotykamy istoty zagadnienia. Teoria „ostatniej przysługi oddanej partii” powstała nie tyle może nawet w wyobraźni Koestlera, co w podświadomości wielu komunistów i ex-komunistów, którzy w obliczu terroru stalinowskiego nie czuli się na siłach zrezygnować otwarcie i odważnie z mizernych resztek swej „dumy ideologicznej”. Waliło się ich własne dzieło: mogli pozostać przy nim na przekór oczywistości albo wyrzucić go się pokonani przez oczywistość, trudniej im jednak było przekreślić doszczętnie wszystko co oddali mu ongiś w dobrej wierze. Mówiąc: „wyłącznie tortury i głód”, mówiliby się *implicite*: „naga przemoc

nowego absolutyzmu". Mówiąc: „aberracja dialektyki”, mówiło się *implicite*: „rozpędzona rewolucja wyskoczyła z szyn”. Działający tu mechanizm psychologiczny jest dość łatwy do zrozumienia, co nie znaczy że równie łatwy do przyjęcia. Nie istnieje taka rzecz jak „umysł ludzki tknięty obłędem w granicach logiki własnej wiary”. A „poczucie obowiązku i samopoświęcenia” denobilituje się natychmiast, jeśli wspierają je kłamstwo i samopodlenie. Lepiej więc odwoływać się tylko do słabości ciała, która ostatecznie nie hańbi człowieka wystawionego na próbę w okolicznościach nieludzkich. Miał rację Fra Diego La Matina, „heretyk” z zakonu augustianów, opisany w książeczce Sciascia *Morte dell'Inquisitore*. Gdy go 17 marca 1658 roku prowadzono w Palermo na stos i wzywano jeszcze po drodze by oddał „ostatnią przysługę” Kościołowi, odpowiedział: „Zmienię zdanie i podporządkuję się Kościołowi Katolickiemu, jeśli mi życie cielesne подарujecie”. Kiedy mu powiedziano że to niemożliwe, odparł: „A zatem Bóg jest niesprawiedliwy”. Teologia nie miała podczas Inkwizycji Sycylijskiej nic do roboty, jak nie miała nic do roboty dialektyka podczas Inkwizycji Stalinowskiej.

Mit Rubaszowa, pogrzebany definitywnie w raporcie Chruszczowa, wyrządził wiele szkód w latach swego prosperowania. Trzymali go się kurczowo rozczarowani lecz „wyrafinowani” komuniści i progresiści, utrudniając zajrzenie „prostej prawdzie” w oczy, zagłuszając (jako wulgarny) okrzyk z bajki andersenowskiej „Król jest nagi!”, odwlekając chwilę wyłożenia kart na stół i podsumowania gry. Co do Chruszczowa, to może on sobie dziś śmiało pogratulować swego raportu: zawdzięcza mu stosunkowo spokojne przejście na emeryturę, bez procesu i samooskarżeń, bez „ideologicznego” sabatu czarownic i „dialektycznej” egzekucji w lochach Łubianki.

Pozostaje jedna sprawa. Nicola Chiaromonte, komentując moją notę w tym samym numerze *Tempo Presente* z czerwca 1956 r., zwrócił słusznie uwagę że pociecha zawarta w myśli iż „świat toczy się dalej według swych odwiecznych praw” może niestety także dostarczyć wody na młyn filistrom, ludziom których Bernanos nazywał *les petits mufles réalistes*, przeciwnikom wszelkich idei i wszelkich ideologii. Trzeba im na to odpowiedzieć że idee i ideologie nie znaczą istotnie nic, degenerują się nieuchronnie, ilekroć przywłaszcza je sobie Państwo jako swój wyłączny monopol i fundament Władzy. Znaczą natomiast (choć też nie za dużo), gdy poddawane są ustawicznej krytyce i rewizji przez umysły nieposkromione, odporne zawsze i wszędzie na naciski bądź pokusy zniewolenia.

W takiej oto perspektywie należy dziś oglądać książkę Weissberga. Ukazała się *przed* śmiercią Stalina. Cóż z tego, że — jak wynika z listu znalezionej w papierach Alexa — Churchill był jej admiratorem? Na mniej lub więcej niezależnej lewicy sprawy przedstawiały się inaczej. Z jednej strony — teoria „ostatniej przysługi oddanej partii i rewolucji”. A z drugiej? W *Humanisme et Terreur* Maurice Merleau-Ponty zaserwował wątpięcym z nie-doścignioną kartezjańską jasnością francuską wywód, który warto przypomnieć. Uznał w nim procesy moskiewskie za *obiektywnie* uzasadnione, choć subiektywnie oskarżeni mogli być niewinni. Dowcip polegał na tym że skoro linia polityczna Bucharina okazała się błędna, stawiało się tylko kropki nad *i* wskazując w nim prokuratorskim palcem mordercę i podpalacza, gdyż „działalność polityka określa nie to co sam robi, lecz to na jakich siłach się opiera”, w tym wypadku na wewnętrznych i zewnętrznych wrogach ustroju. Stąd krok do charyzmatycznego Wodza, wyposażonego w dogmat własnej nieomyślności. I został on z analogiczną jasnością postawiony, w imię niespornej przesłanki że podstawą marksizmu jest „teoria proletariatu” jako klasy uniwersalnej, nosiciela wszelkich wartości ludzkich, co zatem stanowi prawdę dla proletariatu, stanowi prawdę dla wszystkich. „Nie jest przypadkiem, ani jak sądzę romantycznym przeżytkiem, że naczelny organ ZSSR nosi nazwę *Prawda*”. W bliskim sąsiedztwie Jean-Paul Sartre maszerował rezolutnie takąż kartezjańską drogą, która doprowadziła go w końcu do skodyfikowania uniwersalnej prawdy proletariatu na kartach *Critique de la raison dialectique* w cudownie klarownej formułce na użytek mniej pojętnych mieszkańców Moskwy, Warszawy, Budapesztu i Pragi: „Doświadczenie historyczne krajów, w których komuniści zdobyli władzę, wykazało niezbicie że pierwsza faza budowy społeczeństwa socjalistycznego nie może być niczym innym jak tylko nierozzerwalnym agregatem biurokracji, terroru i kultu jednostki”. Zgoda, były to zniewolone umysły, i to bez żadnej istotnej potrzeby poza perwersyjną tęsknotą sporego odłamu intelektualistów do świszczącego nad uchem bata, byle chodziło o bat „ideologiczny”. Ale nawet demaskator *Zniewolonego umysłu*, uchodząc przed nadto już dokuczliwymi rygorami „dialektycznego rozumu”, pobrzękiwał jeszcze dość długo i dumnie w walizce pigułkami Murti-Binga i eliksirem Nowej Wiary.

W podobnej atmosferze książka Weissberga nie mogła nie być „szokująca”. Zjawiał się naraz „prostak”, biegły co prawda w marksistowskim piśmie i „piekielnie” inteligentny, ale gardzący

otwarcie „refinacjami” intelektualnymi kapłańskiej kasty wtajemniczonych (choćby zawiedzionych). Spędził w Rosji sześć lat na wolności i trzy w więzieniu, poznał system od zewnątrz i od podszewki, był w miękkim dyrektorskim fotelu komunistą przyzymkającym oko na „nieprawości przejściowe” i na twardym *konweyerskim* stołku śledczym komunistą otwierającym szeroko oczy na „nieprawości organiczne”, niczego *ex post* nie zniekształcał i niczego się przed sobą nie zapierał, stoczył wspaniały i w rezultacie zwycięski pojedynek ze swymi inkwizytorami wydzierając jednemu z nich mimowolny okrzyk: „Przeście mnie tortuować, oskarżony!”, dniami i nocami układał niezmordowanie z błahych na pozór płytek mozaiki jako tako czytelny desę przewodni Wielkiego Obrazu, wysilał do ostateczności mózg by dokładnie zrozumieć i po stokroć sprawdzić, i co z tego wszystkiego wyniósł? Nową subtelną i błyskotliwą teorię? Zdumiewająco przenikliwą interpretację, która daleko w tyle pozostawiała dotychczasowe dociekania pionierów „humanizmu i terroru” i „krytyki dialektycznego rozumu”? Nie — banał, liberalny banał w stylu *La storia come storia della liberta* Crocego. „Wielka Czystka skierowana była przeciw nielicznym prawdziwym przyjaciółom wolności i przeciwko wielu innym, którzy — jak się tego obawiał Stalin i jego sztab G.P.U. — mogliby się stać przyjaciółmi wolności”.

Nie przeczę, w ostatecznych konkluzjach książki Weissberga było i jest nadal sporo punktów do dyskusji. Wolno, na przykład, wątpić czy podsądni w procesach moskiewskich zasługiwali na miano „przyjaciół wolności” w większym stopniu niż ich Najwyższy Sędzia. Sceptycznie nastroja przywiązywanie nadmiernej wagi do osoby despoty, tak podobne do oficjalnej postalinowskiej doktryny „kultu jednostki”. Nie da się jednak zaprzeczyć że ogółem biorąc liberalny „banał” Weissberga został w roku 1956, i w następnych latach, zweryfikowany w całej rozciągłości: opisywane i analizowane przez niego wypadki stanowiły istotnie rozdział „historii jako historii wolności”; a raczej — żeby być ścisłym — historii wolności duszonej, deptanej, topionej we krwi, lecz mimo to zdolnej do ustawicznej regeneracji. „Stalin doprowadził Wielką Czystkę do gorzkiego końca. Nie ma dziś nikogo, kto by się odważył zakłócić jego spokój. Dzieje naszej planety nie znają przykładu równie totalnej władzy. A przecież nie udało mu się wyrwać z korzeniami pamięci narodu rosyjskiego. Głęboko pod ziemią tli się wciąż iskra wolności”. Czytelnicy stenogramu z procesu Siniawskiego i Daniela przytakną bez wahania tym słowom Weissberga. Pamięć narodu rosyjskiego

przetrwiała w jego synach, którzy w okresie Wielkiej Czystki byli dziesięcioletnimi chłopcami.

Trzeba, czytając książkę Weissberga, mieć stale na uwadze jedno. Nie bił się on podczas śledztwa tylko o siebie, o swoje życie i dobre imię. Bił się także, a może nawet przede wszystkim, o zachowanie wiary w godność rozumu ludzkiego. Bił się przeciw wściekłym kontorsjom i „amokom” ideologii spuszczonej z łańcucha, przeciw zastąpieniu rzeczywistości absurdem i abstrakcją a polityki transami mistycznymi i metafizycznymi. Za kratami charkowskiej *Chołodnoj Gory*, wspominając szczęśliwą wiedeńską młodość, zadawał sobie pytanie: „Cóż, na miłość boską, sprawiło że opętało nas pragnienie by zmienić świat?”. Nie żałował tego pragnienia, w *inny* sposób pozostał mu wierny do śmierci, ale wtedy w Charkowie, przebiegłszy w myślach swoje doświadczenia sowieckie, do pierwszego pytania dorzucał drugie: „Człowiek potrzebuje chyba wolności i poczucia bezpieczeństwa, by być szczęśliwym?”. Nie inaczej (choć grubo wcześniej) rozmyślał Jurij Żiwago, wpatrzony w małym miasteczku na Uralu w teksty odezwy i dekretów zwycięskiego rządu rewolucyjnego: „Niegdyś urzekła go neodpartość tego języka i wyrazistość zarysu tej myśli. Czyż możliwe, by za swój nieostrożny entuzjazm miał teraz płacić słuchaniem przez całe życie wyłącznie tych obłądnych krzyków i uroszczeń, które nie zmieniały się z biegiem lat ani na pół słowa, przeciwnie — stawały się z upływem czasu coraz mniej żywotne, coraz bardziej niezrozumiałe i abstrakcyjne? Czyż możliwe, by w owej chwili namiętnego porywu stał się niewolnikiem na zawsze?”. W różnych epokach, w różnych pokoleniach i w różnych modulacjach słyszymy ten sam głos: od Pasternaka, poprzez Weissberga do młodzieży, którą z braku lepszego określenia nazwano „rewizjonistyczną”. I jakkolwiek jest to w pewnej mierze głos pożegnania z pasternakowską „chorobą wieku, gorączką rewolucyjną”, nie jest to z pewnością głos rezygnacji i poddania się „żelaznym prawom i nieodwracalnym wyrokom Historii”.

Rozstawszy się z komunizmem a bodaj i z lwią częścią marksizmu (po latach wspominał z melancholijnym uśmiechem swoje dawne fechtunki dialektyczne), Alex nie przestał być socjalistą. Odcisnęła na nim piętno formacja, którą tak opisuje Bertrand Russell w *New Hopes for a Changing World*: „Kiedy byłem młodym człowiekiem, znałem Bebla i starszego od niego Liebknechta, którzy byli przywódcami partii marksistowskiej w Niem-

czech. Obaj byli łagodnymi humanitarystami, psychologicznie bardzo podobnymi do innych radykałów owych czasów. Nie odczuwali nienawiści do swoich przeciwników politycznych; mówili o cesarzu z dobrodusznym kpiarstwem. Byli przekonani że przyszłość należy do nich, ale w to samo wierzyli inni reformatorzy: wegetarianie, abstynenci, pacyfiści, Ormianie, patrioci macedońscy i cała reszta. Ta wiara była na owe czasy częścią składową dziewiętnastowiecznego optymizmu i nie miała charakteru rozpaczliwej, mściwej fantazji. Ówcześni marksiści niemieccy — a znałem ich wielu — byli na ogół bardzo przyjemni jako ludzie; nie czuło się w nich tej żyłki okrucieństwa, która stała się dziś tak charakterystyczna dla komunistów”. Alex odbiegał teraz w jednym tylko od macierzystego wzoru: odczuwał często nienawiść do swoich *obecnych* przeciwników politycznych, a o Stalinie nie mówił nigdy z dobrodusznym kpiarstwem. Ale w sposób zdumiewający, jeśli zważyć jego przeżycia, ocalił w sobie ogromny ładunek optymizmu, prawie rewolucyjnego rozpędu politycznego, wojowniczości (dla niektórych wręcz agresywności) polemicznej. Każdy znak że „coś się tam rusza” podrywał go na nogi, zapalał w jego oczach błysk nasłuchiwanie i oczekiwania, odciągał jego niespożytą energię od spychanych szybko w kąt spraw codziennych. Zmieniał się wówczas jak za dotknięciem prądu, stawał się znowu młody. Nie tracąc swojej przyrodzonej życzliwości i jowialności, był jednak nieubłagany dla „opieszających w myśleniu” i „skorumpowanych przez system”. I nie licząc się z żadnymi względami, mówił co myślał.

Wiosną 1953 roku spędziliśmy razem dwa tygodnie w Jugosławii. Zaproszono go tam z okazji wydania serbsko-chorwackiego przekładu jego książki (na ten przekład, jak również — nieco ostrożniej — na przedmowę Russella do mojego *Innego Świata*, miał się później powołać przed sądem Mihajlo Mihajlov w swoim ostatnim słowie). Słuchając jak dyskutował w redakcji *Borby* z jej „trustem mózgow”, przypomniałem sobie żartobliwe powiedzenie Koestlera o „siekanie dialektycznej”: była to bojaźliwa szkółka niedzielna, strofowana przez ojcowskiego lecz wymagającego nauczyciela. W kilka dni potem odbyła się kolacja w klubie wyższych funkcjonariuszy partyjnych. Wchodziło się do tego typowego „miejsca za firaneczkami” od podwórza, wszystkie okna w brzydkim salonie ze złoceniami zasłonięte były storami. Czekaliśmy na ucztę prawdziwie lukullusowa. Alex wybąkał parę zdawkowych uprzejmości, zasiadł do stołu, podziobał coś widelcem na talerzu, pokręcił się niecierpliwie na krześle i wreszcie zapytał spokojnie czy robotnicy też się tak w Jugosławii odżywiają. Uznano to za nietakt, zwarzyły się na chwilę humory. Mimo to,

pod koniec pobytu w Belgradzie, zaproponowano mu stanowisko doradcy rządu jugosłowiańskiego. Odmówił, uważając rzecz za grubo przedwczesną. I była przedwczesna, o czym miał się niebawem przekonać na własnej skórze autor *Nowej klasy wyzyskiwaczy*.

Wczesną jesienią 1956 roku przyjechał w moje strony do Włoch. Na miesiąc przed polskim Październikiem naszkicował mi dokładnie jego plan, z wyznaczeniem ról wszystkim głównym bohaterom dramatu. Kiedy słuchałem z niedowierzaniem, a nawet z pewną irytacją „realisty” wciągane go siłą na grunt „nierealnych pomysłów”, powtarzał cierpliwie: „Dlaczego? Przecież to takie proste!”. Był jeszcze w moich stronach, gdy wybuchła Rewolucja Węgierska. Tym razem odgłosy strzałów przerwały dyskusję. Popędził do Wiednia, a stamtąd do Budapesztu. Nie zdążył na czas. Zdążył jedynie wywieźć do Wiednia kilku powstańców węgierskich.

Po raz ostatni widziałem go w Paryżu, na krótko przed śmiercią. Nie był to już dawny Alex. Wszedł do pokoju ociężałym krokiem, osunął się bezwładnie na fotel, miał twarz zmęczoną i poszarzałą, a w oczach wyraz jakby niepokoju i nieobecności. Zamykał je co chwila, zdając się opanowywać w milczeniu jakiś nieznośny ból. Mówił niewiele, słuchał nieuważnie, całym zachowaniem dawał do zrozumienia że brak mu sił. Dopiero przy pożegnaniu ożywił się trochę. Nachylił się do mnie i niemal na ucho wyszeptał mi swoją ulubioną formułkę, słowa którymi Lenin określił niegdyś sytuację rewolucyjną: „Rządzący zdają sobie sprawę że nie mogą dalej rządzić starymi metodami, rządzeni nie chcą już dopuścić by rządzono nimi dalej starymi metodami”. Ironia historii i sens życia Alexa polegały na tym, że była to teraz pętla ukręcona na spadkobierców Lenina.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Maj 1966

WIELKA CZYSTKA

I

Zamierzam przedstawić w tej książce przebieg procesu, nie mającego chyba równego sobie w historii nowoczesnej. W okresie od połowy 1936 do końca 1938 roku totalne państwo Związku Sowieckiego otrzymało swój kształt ostateczny. W latach tych organy tajnej policji państwowej zaarrestowały w miastach i wsiach Związku Sowieckiego około 8 milionów ludzi. Byli oni oskarżeni o zdradę główną, szpiegostwo, sabotaż, przygotowywanie zbrojnego powstania przeciw władzy sowieckiej, przygotowywanie zamachów terrorystycznych na czołowe osobistości rządu i panującej w kraju partii. Wszyscy oni, ze znikomymi wyjątkami, po kilkumiesięcznym śledztwie zadeklarowali się jako winni zarzucanych im przestępstw. Jeśli byli postawieni przed sądem, potwierdzali tam swe zeznania. Byli skazywani na długoletnie pozbawienie wolności w obozach koncentracyjnych na dalekiej północy lub w pustynnych okolicach środkowo-azjatyckich Związku Sowieckiego.

Wszyscy oni byli niewinni!

Podtrzymując tak apodyktycznie całkowitą niewinność wszystkich tych ludzi, winienem — chcąc się obronić przed zbyt pedantyczną krytyką — uczynić dwa zastrzeżenia. Jedno dotyczy zamachu, którego ofiarą padł członek Biura Politycznego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, Sergiej Michajłowicz Kirow. Młody student, Leonid Wasilewicz Nikołajew — sam, członek partii — zastrzelił Kirowa po posiedzeniu leningradzkiego komitetu rejonowego partii w dniu 1 grudnia 1934 roku. Kulisy tego morderstwa do dnia dzisiejszego nie zostały całkowicie ujawnione. Wielu mówi o zamachu z zazdrości, w każdym bądź

razie o akcie prywatnej zemsty. Inni znowu — należy do nich także L. D. Trockij — o prowokacji GPU. Nie tu miejsce, by rozstrzygnąć to zagadnienie. W każdym razie Kirow zginął niemal na dwa lata przed rozpoczęciem się owej wielkiej czystki, w następstwie której blisko 8 milionów ludzi powędrowało do więzień GPU. W trakcie tej czystki miliony ludzi znalazły się pod oskarżeniem o zorganizowanie zamachów terrorystycznych — i przyznały się do nich. W tym jednak wypadku zginął tylko jeden człowiek i to o dwa lata wcześniej. Więźniowie wielkiej czystki lat 1937 i 1938, pomimo przyznawania się do winy, nie brali w tym udziału.

Drugie zastrzeżenie, które muszę uczynić, dotyczy aparatu szpiegowskiego obcych państw. Z całą pewnością, mocarstwa tego świata uprawiały w owych latach szpiegostwo także w Związku Sowieckim, chociaż działalność agentów zagranicznych w tym kraju napotykała na nieporównanie większe trudności, niż w innych częściach świata. Kraj był całkowicie odcięty. Obywatel sowiecki, wstępujący na służbę nieprzyjacielskiej centrali szpiegowskiej, nie mógł liczyć na to, że kiedykolwiek ocali swą głowę opuszczając kraj. Pieniądze nie mogły go zbyt nęcić. Pieniądzy nieznanego pochodzenia, zwłaszcza zaś pieniędzy z zagranicy, nie mógłby wydawać nie ściągając na siebie podejrzeń. Ludzi, wstępujących w służbę obcego państwa z pobudek ideologicznych, można było znaleźć tylko wśród członków dawnych klas, obalonych przez rewolucję. Klasy te były jednakże w owym czasie już zatamowane, w stanie rozkładu, straciły wiarę w zwycięstwo swej sprawy. Na ogół nikt nie nadstawia głowy za sprawę, którą uważa za straconą.

Toteż centralom zagranicznym nie łatwo było werbować agentów wśród obywateli sowieckich. Wciąż jednak mogli pozostawać jeszcze w kraju ludzie, którzy za czasów dawniejszych, kiedy to zwycięstwo władzy sowieckiej nie wydawało się jeszcze tak pewne, wstąpili w służbę państw obcych i nie mogli się już z niej wycofać. Ten aparat nieprzyjaciela nie mógł być wielki, tym niemniej musiał jednak istnieć. Wśród wielkiej liczby aresztowanych na chybił trafił mogli się więc przypadkowo znaleźć także prawdziwi szpiegi. Mówiąc jaskrawo, jeśli aresztowało się bez wyboru wszystkich mieszkańców w pewnej dzielnicy miasta, to musiał między nimi znaleźć się także szpieg, mający tam swą siedzibę. Wprawdzie GPU nie aresztowała samowolnie wszystkich mieszkańców jakiejś dzielnicy miasta, jednakże zasada doboru, która była myślą przewodnią masowych aresztowań lat 1936, 1937 i 1938, dawała ten sam wynik: ofiarą padali ludzie przypadkowi. Działalność GPU w owym czasie nie da-

wała żadnej gwarancji, że ugodzi raczej w rzeczywistych wrogów władzy sowieckiej, niż w niewinnych obywateli. Co więcej, powszechna psychoza, wywołana stalinowskim hasłem czujności, dopatrywanie się wszędzie szpiegów, przymus bezpodstawnych denuncjacji, paraliżowały działalność organów władzy państwowej, mających za zadanie obronę przed rzeczywistymi wrogami.

Co więcej: przy ówczesnych metodach aresztowań i śledztwa organy NKWD nie miały żadnej szansy odróżnienia przypadkiem współaresztowanego rzeczywistego szpiega od innych szpiegów fikcyjnych, przyznających się do swej zmyślonej winy pod naciskiem przesłuchań. Jeśli już prawdziwy szpieg wpadł w tę sieć, to mógł się ukryć w szarej masie zaaresztowanych milionów. Prawdopodobnie, jak wszyscy inni, przyznawał się do zmyślonej winy, wymieniał jako współników niewinnych ludzi i oślaniał tym swą rzeczywistą działalność i swych prawdziwych kamratów.

W nielicznych wypadkach agenci zagraniczni wpadali przy przekraczaniu granicy w ręce agentów kontrwywiadu wojskowego. W celach więziennych niewidzialna ściana oddzielała takich ludzi od pozostałych więźniów. Skoro już raz zostali zdekonspirowani i ujawnili swe prawdziwe oblicze przed sędzią śledczym, nie zaprzeczali także i w celi swej przynależności do zagranicznego aparatu, z ramienia którego przekroczyli granicę. Inni, fikcyjni szpiegdy, dywersanci, terroryści, podpisywali w gabinetach sędziów śledczych protokoły, w których przyznawali się do najbrudniejszych zbrodni przeciwko władzy sowieckiej. Lecz z chwilą powrotu do celi uważali za oczywiste, że żaden z ich towarzyszy nie bierze tych zeznań na serio, tak samo jak za wykluczone uważali, by ktokolwiek z sowieckich ludzi, dzielących z nimi cele, w najmniejszej nawet mierze konspirował przeciw władzy sowieckiej.

Uczyniwszy wyjątek dla nielicznych agentów z zagranicy i abstrahując od czynu Nikołajewa, który podówczas już nie żył, mogą tedy z czystym sumieniem twierdzić, że wszyscy więźniowie, którzy w owych latach — mniej więcej od połowy 1936 do 1 grudnia 1938 roku — dostali się do więzień NKWD, byli pod względem prawnym, politycznym i moralnym niewinni, bez względu na to, czy się przyznali czy nie przyznali do winy.

Byli oni niewinni w podwójnym sensie. Żaden z nich nie uprawiał szpiegostwa, żaden nie sprzedawał kraju Niemcom czy Japończykom, żaden nie planował i nie dokonywał jakichkolwiek aktów sabotażu. Można by jednak przyjąć, że panująca wówczas w Związku Sowieckim racja stanu nakazywała ich prześladować nawet jeśli nie popełnili żadnej ze zbrodni, które im zarzucał akt oskarżenia. Można by przyjąć, że aresztowani knuli spiski, jeśli nie przeciw władzy sowieckiej, to jednak przeciwko panującemu

podówczas w partii reżymowi. Można by przyjąć, że usiłowali oni drogą zorganizowanej działalności podziemnej stworzyć przesłanki dla obalenia tyranii stalinowskiej w partii. Można by przyjąć, że aparat dyktatora wykrył spisek we właściwym czasie i chciał uwięzionych spiskowców napiętnować w oczach mas ludowych jako kontrrewolucjonistów, jako sabotażystów, jako agentów obcego państwa, aby ich pozbawić powszechnej sympatii, na którą bojownicy przeciwko tyranii mogą liczyć we wszystkich krajach i we wszystkich czasach. Nic podobnego. Ludzie ci nie byli wrogami socjalistycznej rewolucji, byli natomiast jej najbardziej zdecydowanymi zwolennikami. W swej ogromnej większości nie byli oni również opozycyjnymi przeciwnikami dyktatora. Tylko bardzo mała część pochodziła z szeregów dawnej opozycji. Także i ci od dawna już skapitulowali i zrezygnowali z wszelkiej działalności podziemnej. Wielka masa aresztowanych nigdy nie należała do żadnej opozycji w partii, ani z nią nie sympatyzowała. Mniejszość spośród nich składała się nawet ze świadomych stalinowców, którzy swego czasu z pełną energią prowadzili walkę przeciwko opozycjom partyjnym różnej maści. Aresztowani byli poza tym ludźmi, nie różniącymi się swą postawą polityczną od milionów, pozostających poza więzieniami. Byli to ludzie p r z y p a d k o w i. W głębi swej duszy byli oni na pewno nastawieni przeciwko dyktatorowi. To jednak najgłębiej ukryte nastawienie dzielili z ogromną większością narodu. Nie pozwalali temu nastawieniu się ujawniać, gdyż znali niebezpieczeństwo, jakie dla osobistej wolności ich samych i ich rodzin kryło w sobie każde nierozważne słowo. Jeśli to starannie ukryte nastawienie stanowić miało kryterium aresztowań, w takim razie GPU zaaresztowało albo o 8 milionów ludzi za dużo, albo o 152 miliony za mało. Po wydarzeniach lat 1932 i 1933 nastawienie mas ludowych zwróciło się przeciw dyktatorowi. Chłopi nie wybaczyli mu głodu owych lat, który zmiotł miliony ich braci; proletariusze i intelektualisci w miastach nie wybaczyli mu zdławienia wolności. Wypierali jednak te przeżycia ze swej świadomości. Głód przeminął, gospodarka poprawiała się, ludzie rosyjscy spodziewali się, że razem z poprawą gospodarczą powróci także i wolność. Zaczęto powoli zapominać ciężkie lata i cieszą się z postępów kraju. Ten proces gospodarczego i duchowego ozdrowienia przerwało jak piorun z jasnego nieba opublikowanie w sierpniu 1936 roku oskarżenia przeciw Zinowiewowi, Kamieniewowi i innym. Zaczęła się nowa epoka w rozwoju Związku Sowieckiego — epoka wielkiej czystki.

Opinia publiczna Zachodu do dzisiejszego dnia nie pojęła jeszcze w pełni, o co podówczas chodziło. Prasa europejska i ame-

rykańska śledziły wielkie procesy z napiętą uwagą. Ludzie, którzy dawali wiarę oskarżeniu i zeznaniom oskarżonych, stawiali sobie pytanie: „jak się to stało możliwe, że cała stara gwardia rewolucji, bohaterowie wielkiego października, wszyscy niemal bez wyjątku, przeszli na stronę nieprzyjaciela? Że, wedle ich własnych zeznań, gotowi byli w imię odbudowy kapitalizmu, który sami obalili, popełniać najpodlejsze zbrodnie przeciw swemu krajowi, przeciw swym towarzyszom pracy, przeciw ideom, które stanowiły treść całego ich świadomego życia”. Inni, którzy nie dawali wiary ani jednemu słowu oskarżenia, stali przed zagadką: „Dlaczego oskarżeni przyznają się do niepopelnionych zbrodni”. Wszyscy jednak ograniczali swe zainteresowanie do wielkich procesów pokazowych, do przewodu przeciwko przywódcom byłej opozycji partyjnej. Tak prasa burżuazyjna jak i opinia publiczna partii robotniczych ograniczały się do rozpatrywania problemów kryminologicznych. Nikt nie zaglądał poza fasadę wielkich procesów. Nikt nie pojmował, co się rozgrywało w głębinach społeczeństwa rosyjskiego.

Po procesie przeciw Zinowiewowi i Kamieniewowi przyszedł w styczniu 1937 roku proces przeciw Piatakowowi i Radkowi, a w rok później proces przeciw Bucharinowi.

Każdy z tych wielkich procesów poprzedzała fala masowych aresztowań, w ślad za każdym z nich rozlewała się prawdziwa powódź aresztowań. Aresztowani należeli do wszystkich sfer politycznych społeczeństwa sowieckiego. Zaczęło się od aresztowania dawnych opozycjonistów. Pierwsi stracili wolność trockiści, zinowiewowcy i bucharinowcy. Za nimi poszli wszyscy byli zwolennicy przedrewolucyjnych partii lewicowych. Więzienia wypełnili mieniszewicy i socjalrewolucjoniści, dasznacy armeńscy i nacjonalisci gruzińscy, trudowicy i anarchiści, ukraińscy borbiści i żydowscy bundowcy. Ludzie ci w chwili aresztowania nie należeli do żadnych podziemnych kółek tych partii, ani też nie szerzyli w owym czasie poglądów tych grup. Nie, byli to ludzie, którzy kiedyś, może lata całe przed rewolucją październikową, byli zwolennikami tych partii. Znaczna większość brała udział w rewolucji po stronie bolszewików, biła się w wojnie domowej po stronie czerwonych, wstąpiła do partii komunistycznej i zasłużyła się bardzo w dziele socjalistycznego budownictwa. Teraz niszczone ich za grzechy młodości, za to, że przed rewolucją prowadzili walkę przeciw caratowi pod sztandarami socjalrewolucjonistów a nie bolszewików, albo za to, że jako młodzi robotnicy lub gimnazjaliści podczas rewolucji 1905 roku rozdawali w fabrykach i koszarach ulotki, podpisane przez anarchistów czy mieniszewików. Wybór grupy rewolucyjnej był przy tym w owych

latach walki przeciw caratowi sprawą czystego przypadku. Jeden zdecydował się na mienszewików, gdyż jego uniwersytecki kolega był mienszewikiem. Inny wybrał socjalrewolucjonistów, gdyż w jego gminie wiejskiej nie było żadnej innej partii rewolucyjnej. Trzeci został bolszewikiem, gdyż strajk w jego fabryce prowadził bolszewicki komitet. Wszystkich jednoczyła nienawiść do samoderżawia. Wszyscy walczyli wspólnie o wolność ludu i o sprawiedliwszy ustrój społeczny. Młodzi robotnicy i studenci owych czasów nielegalnej walki byli „rewolucjonistami” w ogólnym znaczeniu tego słowa i nie akcentowali zbyt teoretycznych różnic w koncepcjach politycznych. Razem ze swymi bolszewickimi towarzyszami prowadzili walkę, razem szli do więzień caratu, razem na syberyjskie zesłanie. Później, za czasów wielkiej rewolucji, przeważnie wyrzekli się swych dawniejszych zapatrywań i stanęli pod przewodem bolszewików — partii, która najbardziej zdecydowanie biła się o zwycięstwo rewolucyjnego socjalizmu. Potem walczyli na wszystkich frontach wojny domowej, głodowali w latach wielkiej nędzy, budowali i pracowali w okresie pięciolatek. A teraz, po trzech dekadach — postarzelni w służbie rewolucji — musieli iść znowu do więzień, do więzień bolszewików, swych dawnych towarzyszy walki.

Siedzieli w celach i rozmyślali. Wspominali swych towarzyszy, którzy już w pierwszych latach po roku 1917 poszli do więzienia. Byli to ci nieliczni między nimi, którzy nie chcieli iść drogą dyktatury. Byli to jednak ludzie, którzy z własnej woli wzięli na siebie ciężar więziennej doli. Drzwi do ich cel stały przez cały rok otworem. Mogli się zaprzecć sami siebie — i otwierała się przed nimi nie tylko wolność, ale i droga do najwyższych godności państwowych. Rezygnowali z tego, nie chcieli bowiem pokrywać swym nazwiskiem linii rządzącej partii. Walczyli o wolność całego ludu, więc gdy nadeszła rewolucja nie zamierzali rezygnować nawet z ułamka tej wolności tylko po to, by zabezpieczyć drogę rosyjskiej klasy robotniczej do władzy i tym samym socjalistyczne przeobrażenie społeczeństwa. Siedzieli w więzieniach rewolucji, jak przedtem siedzieli w więzieniach caratu. Najwyższym sędzią ich postępowania nie była historia świata, która zawsze przyznaje słuszność panującym, lecz ich własne sumienie, które zabraniało im wszelkiego kompromisu. Tacy byli więźniowie z roku 1917. Więźniowie z roku 1937 nie mieli z nimi nic wspólnego. Dziesięciokrotnie kapitulowali przed panującą grupą w partii, brali udział we wszystkich zwrotach linii politycznej, przysięgali na wierność wodzowi, jeśli nawet w głębi serca potępiali jego politykę, pluli na kolegów, popadłych w niełaskę, jeśli tego od nich żądała partia — i wszystko to nic nie

miało im pomóc? Zostali teraz pozbawieni wolności, albowiem przed 30-tu laty nie należeli do małej grupy bolszewików, lecz do innych partii rewolucyjnych?

Myśli powyższe dręczyły ich mózgi tylko przez kilka tygodni. Potem w ślad za nimi przyszedli do więzień ich dawni bolszewicy przyjaciele. Z wiosną 1937 roku, uchwałą Komitetu Centralnego partii, rozwiązany został klub starych bolszewików i to był sygnał do masowych aresztów starych partyjników. Kto był w partii od dawna, musiał kiedyś powiedzieć jakieś nierozważne słowo, które — swego czasu zupełnie niewinne — teraz stawało się w najwyższym stopniu ryzykowne. Tajne akta GPU miały dobrą pamięć. Jeśli im coś uszło, tysiące denuncjantów dbały teraz o to, by nic nie zostało zapomniane. Dawne wypowiedzi heretyckiej natury były jednak tylko pozorem, rzeczywiste przyczyny aresztowań leżały głębiej. Starzy rewolucjoniści, czy to mienszewicy, socjalrewolucjoniści, czy też prawdziwi bolszewicy, walczyli przeciw caratowi o wolność. Dawniej kochali wolność i być może wciąż jeszcze zachowali w swych sercach tę miłość, a przynajmniej lękał się tego dyktator. Bojownicy wolności nie byli potrzebni despotycznemu reżymowi. Należało ich usunąć — i zostali usunięci.

Lecz ta likwidacja świadomych politycznie warstw narodów Związku Sowieckiego była tylko przygrywką do procesu, który wydaje się tak bezprzykładnie nonsensowny, że ciężko jest go opisać i jeszcze ciężiej znaleźć dla niego wiarę na Zachodzie, mimo jak najstaranniejszego odtworzenia faktów. Aresztowania starych rewolucjonistów i co starszych partyjników objęły już setki tysięcy. Wstrząsnęły one fundamentami życia sowieckiego do głębi. Ale masy ludowe wciąż jeszcze sądziły, że wszystko to dotyczy panujących, jest konfliktem w łonie panującej partii. Jednakże w drugiej połowie 1937 roku aresztowania zmieniły swój charakter. Objęły one teraz także i bezpartyjnych, liczba ich rosła ponad wszelką miarę. Dniem i nocą pędziły samochody GPU ulicami miast rosyjskich i wrywały niezliczone ofiary z mieszkań, fabryk, uniwersytetów, laboratoriów, warsztatów kolejowych, oddziałów wojskowych i urzędów. Aresztowani należeli do wszystkich warstw zawodowych kraju. W celach spotykali się ze sobą robotnicy i chłopci, urzędnicy i członkowie wolnych zawodów, oficerowie i artyści. Aresztowani rekrutowali się ze wszystkich gałęzi gospodarki rosyjskiej. Aparat Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego reprezentowany był na równi z aparatem administracyjnym rolnictwa, armii lub oświaty. Kraj dzielił się na pięćdziesiąt republik i obszarów autonomicznych. Na ich czele stały miejscowe rządy, które razem liczyły około 500 członków.

Z huraganu wyszło z życiem zaledwie kilkudziesięciu. Ani jedna wielka fabryka Związku Sowieckiego nie zachowała swego dyrektora czy czołowych inżynierów. Stanowiska aresztowanych obejmowali ludzie nowi, po to tylko, aby po kilku tygodniach przekazać je innym, podczas gdy oni sami zajmowali miejsca w celach więziennych.

Proces przeciw marszałkowi Tuchaczewskiemu i ośmiu czołowym generałom kraju otworzył wrota do więzień oficerom Armii Czerwonej. Wchodzili przez nie tysiącami. Dowódcy wszystkich okręgów wojennych — wielkich jednostek strategicznych armii rosyjskiej — zamienili swe posterunki dowódcze na cele więzienne, ich następcy przyszli w kilka tygodni później, zanim jeszcze zdążyli objąć nowe dowództwo. Niejeden okręg wojskowy zmienił komendanta w ciągu kilku miesięcy pięć lub sześć razy. Wreszcie nie było już dość generałów, by obsadzić wszystkie wakanse. Miejsce ich zajmowali pułkownicy, by z kolei ustąpić je majorom. W końcu wielu pułkami dowodzili porucznicy.

Spustoszenie w kierowniczych organach partii i związków zawodowych było zupełne. Na czele Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego stoi Komitet Centralny, który w owym czasie liczył 71 członków i 61 kandydatów. Ludzie ci przeszli przez ogniowe próby. Wybrano ich spośród setek tysięcy. Każdy dzień ich życia poddała partia i NKWD starannemu sprawdzeniu. A jednak z górą trzy czwarte tych ludzi zostało aresztowanych i skazanych za szpiegostwo. Biuro Polityczne partii składało się tylko z dziesięciu członków i pięciu kandydatów. Jest to najściślejszy sztab dyktatora — właściwy rząd kraju. Jednakże również w tej świętej centrali władzy sowieckiej pięciu ludzi padło ofiarą GPU. Aparat Międzynarodówki Komunistycznej był formalnie eksterytorialny w rozumieniu partyjnym. Egzekutywa Kominternu, wedle statutu, stała ponad wszystkimi organami partyjnymi Związku Sowieckiego. Każdy komunista w Rosji i w krajach kapitalistycznych miał być podporządkowany jej rozkazom — także i urzędnicy GPU, złożonego niemal wyłącznie z komunistów. W rzeczywistości GPU dbało o uprawnienia Kominternu tyle co o zeszłoroczny śnieg. Poddało ono aparat Egzekutywy bezlitosnej czystce. Starzy rewolucjoniści, znani komunistycznemu ruchowi robotniczemu całego świata, jak na przykład przywódca rewolucji węgierskiej Bela Kun, zostali również aresztowani jako kontrrewolucjoniści i zlikwidowani jako szpiegdy.

Życie kulturalne kraju przejściowo zamarło całkowicie i nawet później nie podniosło się już nigdy spod ciosów GPU. Partia tropiła ślady „trockistowskiej kontrabandy” w każdej nowej publikacji literackiej lub naukowej. Jakieś nieszczęśliwe sformuło-

wanie przesądzało los autora. Część najbardziej utalentowanych pisarzy kraju powędrowała do obozów koncentracyjnych. Inna część, w obawie podzielenia ich losu, po prostu zaniechała dalszej twórczości. Jeszcze inni w swym wyborze tematów uciekali do prehistorii kraju i unikali wszystkiego, co mogło mieć związek z aktualnymi problemami teraźniejszości. Inni, pozbawieni całkowicie charakteru, pisali dalej i wypełniali swe „zamówienie społeczne”, to znaczy każdorazowy obstalunek panującej grupy. Godzinami badali, skąd wiatr wieje, zdradzali dzisiaj, co jeszcze wczoraj było dla nich święte, by potępić jutro swe dzisiejsze wyznanie wiary. Pisanie pod dyktando obniżało wartość literacką ich utworów. Pojawiające się książki nie były już produktem wyobraźni artystycznej, lecz tylko powieściowymi komentarzami do uchwał ostatniego zjazdu partyjnego. Naród przestał czytać te książki.

Nawet nauki przyrodnicze kraju ucierpiały ciężko od wybryków NKWD. Terror paraliżował wszelki wysiłek twórczy. W czasie pierwszej pięcioletki rząd sowiecki nie szczędził ani pieniędzy ani trudu, by stworzyć potężną sieć naukowych instytucji badawczych. Badacz naukowy był rozpieszczonym beniaminkiem społeczeństwa sowieckiego. No cóż, czystka nie zatrzymała się również i przed nim. Część najbardziej utalentowanych naukowców została aresztowana, resztę zastraszone do tego stopnia, że zaniechała pracy nad czołowymi zagadnieniami badań naukowych i uprawiała już tylko czynności nakazane rutyną.

Aresztowanie Piatakowa i jego przyjaciół stało się sygnałem do zdziśiatkowania technicznego i administracyjnego aparatu w przemyśle ciężkim. Aresztowanie zastępcy ludowego komisarza kolei żelaznych, Lipszyca, zapoczątkowało to samo zjawisko w dziedzinie transportu. Specjalny oddział GPU wziął pod swą opiekę robotników komunikacyjnych i w ten sposób kompletnie zdeorganizował przeprowadzoną z olbrzymim trudem przez L. M. Kaganowicza odbudowę kolei. Ludowy komisarz Kaganowicz nie znalazł w sobie odwagi, by osłonić swych robotników i urzędników przed obcęgami GPU, podobnie jak jego kolega w komisariacie wojny, Woroszyłow, nie potrafił ocalić swych oficerów.

Przygotowywanie procesu przeciw Bucharinowi i opozycji prawicowej oddało w łapy GPU chłopów. Teraz już miliony wypełniły więzienia. Przychodzili, przy pierwszym przesłuchaniu podpisywali wszystko, czego żądał sędzia śledczy i wędrowali potem w przepelnionych pociągach do obozów koncentracyjnych na północy. Nie prawowali się z losem. Nie pytali nawet, czemu się to dzieje, tak dalece byli bowiem przyzwyczajeni, że ktoś inny

o nich decyduje. Niewielu tylko oburzało się. Byli to chłopci nowego typu, nosiciele przeobrażenia społecznego na wsi, kołchozowi aktywiści. Inni przyjmowali wszystko jako katastrofę naturalną albo jako zrządzenie boskie, nie pytając o jego sens.

Aresztowani należeli do wszystkich narodowości kraju, lecz mniejszości narodowe były szczególnie uprzywilejowane. We wszystkich większych miastach Związku żyły odpryski narodów, mających swe siedziby w innych stronach państwa albo też poza jego granicami. Niemcy mieli samodzielną republikę nad Wołgą, Armeńcy na południowym Kaukazie, Uzbegy w Azji centralnej. Ojczyzny Łotyszów, Litwinów, Finów, Greków, Bułgarów, Polaków, Persów i Chińczyków leżały poza granicami państwa. Lecz odpryski tych narodów żyły od setek lat we wszystkich częściach wielkiego kraju, nie ulegając całkowitej asymilacji. Jeśli — jak na przykład Niemcy w południowej Ukrainie — żyli w koloniach chłopskich, strzegli zawzięcie swych właściwości narodowych. Leninowska polityka narodowościowa nie tylko przyniosła uciskanym narodom dawnej Rosji samodzielną państwową na terenach ich osiedlenia, lecz także zapewniła autonomię kulturalną odpryskom narodowym, żyjącym w rozproszeniu na terenach osiedlenia wielkich narodów. Dała im szkoły, kluby, teatry we własnym ich języku. Dbała o ich równouprawnienie wobec władz i sądów. Sam Stalin urzeczywistnił tę ideę Lenina w pierwszych latach rewolucji jako ludowy komisarz dla spraw narodowościowych. Owa słuszna polityka położyła kres wieczystej waśni narodów w dawnej Rosji i zjednała dla rewolucji narody uciśnione. Teraz, z mocy rozkazu tegoż Stalina, zostały te mniejszości w miastach Rosji i Ukrainy wytępione. Wszyscy bez wyjątku mężczyźni zostali aresztowani, kobiety przeważnie zesłane z ośrodków europejskich do Rosji azjatyckiej, dzieci — jeśli było trzeba — oddane do schronisk GPU. W takim mieście prowincjonalnym jak Charków żyło około 600 Armeńczyków; pewnego jesienego dnia 1937 roku aresztowano ponad 300, w około 4 tygodnie później — resztę. Byli to w ogromnej większości pólanalfabeci — czyściciele butów, szewcy i pokątni handlarze. Przez długi czas nie mogli oni zrozumieć, do czego są w więzieniach politycznych NKWD potrzebni. Poprzedzili ich Łotysze i Niemcy, po nich poszli Grecy i Bułgarzy, zamieszkujący Ukrainę południową i Krym — najlepsi ogrodnicy kraju. Potem przyszli Polacy i Litwini, Finowie i Estończycy, Azerbejdżanie i Persowie, Uzbegy i Chińczycy oraz wiele grup narodowościowych, które Europejczyk zna tylko ze słyszenia. Wyglądało niemal na to, że GPU w swych posunięciach stawia sobie za cel czystość rasową miast rosyjskich.

Wszyscy ci ludzie musieli być szpiegami, tak chciało GPU. Zmieniali się tylko mocodawcy. Niemcy, Polacy i Łotysze musieli szpiegować dla Hitlera. Chińczycy, Koreańczycy i Mongołowie przekazywali wiadomości wywiadowi japońskiemu, podczas gdy Armeńczycy, Azerbejdżanie i Persowie woleli pracować dla Intelligence Service. GPU pilnowało ściśle porządku. Moi chińscy współtowarzysze celi — biedni pracze — gorzko uskarżali się na wyrządzoną im krzywdę narodową, jaką była decyzja NKWD, w myśl której mieli uprawiać szpiegostwo na rzecz Japonii, odwiecznego wroga ich ojczyzny. Armeńczycy natomiast w gabinetach sędziów śledczych wstępowali bez silniejszego protestu na służbę brytyjską.

Do więzień napływały miliony prostych ludzi z miast i wsi. Ludzie, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z polityką, ludzie, gotowi popierać każdy rząd, byle ich zanadto nie uciskał, ludzie, którzy tylko rzadko, na zakrętach historii świata, gotowi byli dać się porwać jakiejś wielkiej idei, brać udział w jakimś wielkim ruchu. W spokojnych czasach pracowali, wychowywali dzieci, uprawiali swe ogródki. Głodowali, gdy kraj głodował, cieszyli się, gdy krajowi lepiej się powodziło. Teraz stracili wszelką orientację. Nie wiedzieli, skąd nadciągnął huragan, który ich porwał, nie wiedzieli, dokąd ich niesie. W celach więziennych zwracali wzrok do innych, do przedstawicieli inteligencji sowieckiej, do komunistów, jak gdyby chcieli zapytać: Dokąd nas doprowadziliście? Co uczyniliście z krajem?

Ci inni nie umieli dać odpowiedzi. Rozmyślali i dyskutowali. Jaki jest w tym wszystkim sens polityczny? Dlaczego dyktator arestuje własnych ludzi? Nie tylko półśrodkowców, służących mu wargami, nie tylko słabych, wечно czekających na złagodzenie kursu, ale swych najlepszych ludzi. Nie, także i silnych, bezwzględnych, swych najbardziej zdecydowanych, fanatycznych zwolenników. Dlaczego gepiści zmuszają nas do przyznawania się do zbrodni, w które sami nie wierzą? Dokąd zmierza to szaleństwo?

Ostatnim aparatem, poddanym czystce, był aparat GPU. Sędziowie śledczy przyszli teraz jako więźniowie do tych samych cel, w których siedziały ich ofiary. Więźniowie często spotykali się ze swymi własnymi sędziami śledczymi. Wszystkie zapytania stawiano teraz na nowo. Czekiści sami nie wiedzieli, co uczynili i dlaczego to uczynili. Tak samo jak inni, od początku nie pojmowali sensu wydarzeń. Dopiero po latach, po dobiegnięciu całego tego procesu do końca, najwnikliwsi wśród więźniów sporządzali sobie ogólny obraz tego co się stało i usiłowali w drodze analizy niezliczonych wydarzeń, z których każde z osobna pozba-

wione było znaczenia — odtworzyć cel, jaki stał przed oczyma dyktatora, gdy rozpoczął wielką czystkę.

II

Zyłem z tymi ludźmi przez trzy lata. Przez trzy lata siedziałem z nimi w więzieniach GPU w Charkowie, Kijowie i Moskwie. Ponad dziesięć razy zmieniałem celę. Przed oczyma moimi przeciągały pokolenia więźniów. Przychodzili i odchodzili. Ja — pozostawałem. Czujnymi oczyma śledziłem bezprzykładny proces, rozgrywający się naokoło. Rejestrowałem fakty, żywiąc już wtedy zamiar, by je kiedyś światu opowiedzieć. Rozmawiałem z setkami więźniów, poznawałem ich dzieje, szeregowałem je w ogólnym obrazie wydarzeń i szukałem wytłumaczenia. Nigdy nie traciłem nadziei, że doczekam się dnia oswobodzenia. W spokojnej pewności, że dzień ten kiedyś nadejdzie, czekałem na przełom.

Wszyscy czekaliśmy na przełom. Wiedzieliśmy, że dłużej tak być nie może. Ten niszczycielski proces musi kiedyś ulec zahamowaniu, o ile cały kraj nie ma zginąć. Ktoś musi się dobrać do rozpiętanego aparatu. Kiedyś dyktator musi zorientować się w rozmiarach zniszczenia, spowodowanego nakazaną przez niego czystką. Przez dwa ciężkie i długie lata czekaliśmy w więzieniach i obozach, czekał z nami cały nieszczęsny kraj. I wtedy przyszedł przełom.

W dniu 8 grudnia 1938 roku usunięty został z urzędu najwyższy wykonawca czystki, komisarz ludowy spraw wewnętrznych ZSSR, naczelnik GPU, Mikołaj Iwanowicz Jeżow. W kilka miesięcy później znikł on z Komitetu Centralnego i został aresztowany. Nie można się było nigdy dowiedzieć, czy go potem rozstrzelano czy nie. Mniej więcej w tym samym czasie w południowo-zachodnim zakątku Związku Sowieckiego, w Republice Mołdawskiej odbywał się osobliwy proces. Naczelnik GPU małej tej republiki i czterej sędziowie śledczy stanęli przed trybunałem wojskowym pod oskarżeniem, że aresztowali niewinnych ludzi i zmuszali ich torturami do fałszywych zeznań. Oskarżeni przyznali się do winy, nie powoływali się w swej obronie na rozkazy z góry, oświadczyli, że działali z ramienia kontrrewolucyjnej organizacji, zostali skazani i rozstrzelani. Robili tylko to samo, co przez dwa lata czynił bezkarnie każdy czekiści od Archangielska do Odessy i od Władywostoku aż do polskiej granicy. Oskarżeniem i rozstrzelaniem mołdawskich gepistów dał jednak Stalin sygnał przełomu. Wielka czystka dobiegła końca.

Mnie samego przywieziono 20 lutego 1939 roku do Kijowa,

a z początkiem września do Moskwy. Liczyłem się już teraz z bezpośrednim uwolnieniem. Obawiałem się jednak, że nie wypuszczą mnie z kraju. Zbyt wiele niesamowitych rzeczy widziałem w ciągu tych trzech lat.

Z pomocą przyszła mi nieprawdopodobna i jednorazowa konstelacja dziejowa. Stalin, w nadziei, że zwróci agresję faszystów niemieckiego przeciwko mocarstwom zachodnim i że tym odciążą Związek Sowiecki, zawarł w dniu 23 sierpnia 1939 roku znany pakt z Ribbentropem. Otworzył on okres wzmożonej przyjaźni pomiędzy Niemcami faszystowskimi a Związkiem Sowieckim. Rosjanie w upominku przekazali władzom niemieckim wszystkich niemieckich obywateli, trzymanych w więzieniach, między nimi także komunistów i Żydów. W wielkim więzieniu moskiewskim, na Butyrkach, zgromadzono Niemców. Przybyli oni z daleka: z obozów za kołem podbiegunowym, z kraju Jakutów, znad Amuru, z pustyni Karagandy. Na Butyrkach odkarmiano ich przez kilka tygodni, a następnie w transportach po pięćdziesięciu opuścili oni Moskwę. W Brześciu Litewskim, na moście na Bugu oficerowie GPU przekazali ich oficerom Gestapo.

W dniu 5 stycznia 1940 roku przekroczyłem Bug. Przez trzy miesiące trzymali mnie gestapowcy w swych więzieniach w Białej Podlaskiej, w Warszawie i Lublinie. Potem zwolnili mnie do krakowskiego getta. Gdy wiosną 1942 roku rozpoczęła się likwidacja Żydów, uciekłem na polską stronę jako nielegalny. W marcu 1943 roku wpadłem znowu w łapy Gestapo. Dostałem się do obozu koncentracyjnego w Kawęczynie. Przy pomocy przyjaciół z polskiego ruchu oporu udało mi się uciec. Przebywałem w Warszawie w najgłębszym ukryciu. Przeżyłem tam dwa powstania przeciw Niemcom. Niemal wszyscy moi przyjaciele, mój ojciec, moi obaj bracia, żona, którą kochałem, padli ofiarą SS. Mnie samego w dniu 17 stycznia 1945 roku oswobodziły na przedmieściu Warszawy wkraczające oddziały rosyjskiej Armii Czerwonej. W 18 miesięcy później opuściłem Polskę i w szwedzkim mieście portowym Malmö wstąpiłem po raz pierwszy po dziesięciu latach na ziemię wolnego kraju.

III

Odkąd znalazłem się poza obrębem żelaznej-kurtyny, stawiano mi wielorakie zapytania. Moi przyjaciele anglosascy są skromni. Empirycy z natury i wykształcenia, zadowolają się stwierdzeniem faktów. Spotykani przeze mnie socjaliści z Europy środkowej mają

większe wymagania. Domagają się teorii społecznej zjawisk. Zapytują:

„Czy rozwój wydarzeń w Rosji był nieunikniony, czy każda rewolucja socjalistyczna, posługująca się dyktaturą, musi tak kończyć? Czy każda dyktatura klasy robotniczej musi wyrodzić się w despotyzm jednostki albo w panowanie niewielkiej oligarchii, uciskającej masy ludowe?”

Obie grupy stawiają te same pytania w odniesieniu do procesów moskiewskich i wielkiej czystki.

„Dlaczego na litość boską oskarżeni w wielkich procesach przyznawali się do nigdy nie popełnionych zbrodni?”

„Dlaczego nie wyzyskali jawnej rozprawy sądowej do rozzerwania przed zagranicznymi dyplomatami i korespondentami sieci kłamstw?”

„Dlaczego Stalin aresztował swych własnych zwolenników?”

Nie potrafię całkowicie zaspokoić uzasadnionych wymagań moich przyjaciół. Analizując niezliczone koleje losu poszczególnych ludzi, odtwarzając niezliczone wydarzenia, które przygotowały w życiu kraju wypadki lat 1937 do 1939, stworzyłem sobie teorię tych osobliwych zjść. Nie mogę jednak rościć sobie pretensji do *wyłącznieści* mej interpretacji.

Fakty są po temu zbyt skomplikowane. Wiele spośród tych wydarzeń było wielostronnie zdeterminowanych, co gmatwa obraz. Wiele z nich jest kompletnie bez sensu, są to wybryki rozpętanego aparatu, urągające wszelkiej racjonalnej interpretacji.

Mogę i pragnę jedynie odtworzyć fakty, tak starannie i tak dokładnie, jak na to pozwala ma pamięć. Tak sumiennie, jak na to sprawa zasługuje. Poczucie doznanej krzywdy nie będzie kierowało mym piórem. Późniejszy rozwój wydarzeń nie będzie rzutował na moje opowiadanie. Bieżące tendencje teraźniejszości nie będą mąciły mego wzroku. Będę pisał o tym, co *było*.

Zdaję sobie sprawę z tego, że książkę moją zaatakują zawodowi obrońcy systemu totalitarnego kłamstwa. Wiem, że tak samo jak wszyscy inni do tej pory, którzy powstałi i zabrali przeciw nim głos — będę przedmiotem ich kalumnii. Nie mogę się przeciw temu bronić. Nie mam też żadnych środków prawnych, by dowieść prawdy moich zeznań. Reżym GPU zwalnia swe ofiary bez dokumentów i bez zapisków. Istnieje jednak broń, którą historia daje prawdzie do ręki a odmawia jej kłamstwu. Istnieją niezliczone postaci kłamstwa i istnieje tylko *jedna* prawda. Razem ze mną opuściło kraj dyktatury kilkuset ludzi. Być może, wielu z nich poległo lub dostało się do niewoli. Kilku musiało przeżyć. Nie wiem, w jakim zakątku Europy znajdują

się obecnie. Nadejdzie jednak czas, gdy powstaną i zaświadczą. Zgodność naszych zeznań potwierdzi prawdę mej książki*.

Kilka słów dla oceny przytaczanych przeze mnie faktów. Ewidencja spraw, które sam przeżyłem, zależna jest tylko od mej umiejętności zachowywania ich w pamięci. Ludzie, którzy mieli ze mną do czynienia przed moim uwięzieniem, na ogół chwalili mą niezwykłą pamięć. W więzieniu, po ciężkim załamaniu nerwowym w czerwcu 1937 roku, uległa ona osłabieniu, z którego nigdy nie podniosła się całkowicie. To nie wszystko. Wydarzenia, które w tej książce opisuję, miały miejsce przed 10-15 laty. Przytoczyły je później przeżycia wojny i walki podziemnej, które postawiły mej elastyczności i odporności najcięższe wymagania. Niejedno wydarzenie z tego powodu wyblakło, zerwał się niejeden związek przyczynowy. Nieraz we wspomnieniach moich wyłania się jakaś postać, o której już nie potrafię powiedzieć, skąd przybyła i kiedy po raz pierwszy weszła w me życie. Wiele nazwisk zapomniałem, wiele dat. Jednakże to, co było w zjawiskach typowe, pozostało w mej pamięci jasno i wyraźnie, a to dlatego, że powtarzało się niezliczoną ilość razy z małymi tylko odchyleniami.

Czasem jestem zmuszony zmieniać nie tylko nazwiska, ale i pewne okoliczności, aby utrudnić GPU zdekspirowanie ludzi, którzy żyją jeszcze w jego zasięgu i których życia i wolności nie chcę narażać. Wiem, jak problematyczne są me wysiłki pod tym względem. Ramiona aparatu są bardzo długie. Opinia publiczna świata jest jednym z czułych punktów reżymu. W tych sprawach aparat nie szczędzi trudów i kosztów. Muszę przeto niejedno całkowicie przemilczeć. Tam jednak, gdzie mówię i z ostrożności tylko zmieniam nazwiska, daty i miejscowości, pozostawiam nietkniętą istotę wydarzeń, to o co chodzi. Dla obserwatora zachodniego jest ostatecznie bez znaczenia, czy ktoś nazywał się Lebediew czy też Libiedinski, czy pochodził ze Stalingradu czy też ze Swierdłowska, czy liczył lat 35 czy też 40.

Rozmowy z sędziami śledczymi i z towarzyszami celi zajmują w mej książce bardzo dużo miejsca. Odtwarzając je, posługuję się najczęściej formą bezpośredniej rozmowy. Wyłania się zarzut, że jest niepodobieństwem odtworzyć rozmowę dosłownie po upływie dziesięciu lat. Zarzut jest uzasadniony, dotyczy on jednak zarówno rozmów, które miały miejsce przed 10-ciu dniami jak i przed 10-ciu laty. Forma bezpośrednia nie rości sobie pretensji do oddania rozmowy dosłownie. Jest ona tylko pewną formą

* Pisałem tę przedmowę w roku 1949. Od tego czasu moje nadzieje urzeczywistniły się.

przedstawienia rzeczy i to najwzięźlejszą, jaką mogłem rozporządzać.

Nie mogę żądać od czytelników, by tak samo jak moim własnym przeżyciom dawali z góry wiarę przeżyciom moich towarzyszy celi, które to tu to tam odtwarzam. Nie miałem możliwości sprawdzenia ich w każdym wypadku we wszystkich szczegółach. Lecz atmosfera celi więziennej pozwala bardzo szybko rozpoznać charakter i wiarygodność kolegów. Ich przeżycia były przeważnie typowe, a wielka liczba tych, którzy mieli podobne przeżycia, potwierdzała je automatycznie.

Jestem jednak przekonany, że — uwzględnivszy nawet wszystkie te ograniczenia, moją niekompletną pamięć, konspiracyjny wzgląd na mych przyjaciół po tamtej stronie żelaznej kurtyny, niemożliwość zbadania każdej wypowiedzi moich towarzyszy celi — dalszy rozwój wydarzeń udowodni obiektywizm mego sprawozdania i słuszność mej interpretacji.

W każdym bądź razie będę się starał opisywać sprawy, zgodnie z ich przebiegiem, bez przesady i bez pomniejszania.

W MATNI

Część pierwsza

STRAŻ NAD MYŚLAMI

Reża, 14 sierpnia, 24 sierpnia 1937 roku. Cieszyłem się na
wielki wspaniały, a przede wszystkim bardzo zastrzyżony te-
lefon, który obcy głos: NIE POWTARZAJCIE ANI JEDNEGO
SŁOWA, MOWI NKWD PRZYJDZIE DO NAS
O JEDENASTO, O POKOJ 222.
PRZEPUSTKA BĘDZIE PRZYGOTOWANA.

Reża mi drżała, gdy oddziałem słuchawki. Od czasu czasu
w Instytucji, a zwłaszcza od czasu przesłuchania mej żony emiera.
Byłoby wokół mnie się zaciąka i że GPU ino się zapuroje.
Najle jednak nie zetknąć się z jego ludźmi bezpośrednio, w
kuchni razie nie wo własnej sprawie. Teraz będę musiał prze-
łamać niewidzialną granicę. Jeśli nie ze sobą zaciąka rumowcy.
Wraz nie będą mogli się wycofać. Naprawdę ostatnich miesięcy
było trudne do wytrzymania. Teraz musiał się wszystkim rozstrzy-
gnąć z bardzo stalennymi uczuciami, lecz rozlepekajony do głębi,
ostrożnie w drogę.

Głuch charłackiego zarządcy obwodowego NKWD był od-
legły o około 3 minuty. Wielki, solidnie wykonany budynek
z balkonem wychodzący na trzy ulice. Wnętrze jak na standardy
rosyjskie bardzo eleganckie. We wszystkich miastach Związku
Radzieckiego Ludowy Komitet Spraw Wewnętrznych miał naj-
lepsze smaki. Na to nie starczyło pieniędzy, podczas gdy naj-
wspanialsze centralne instytucje administracji gospodarczej lub kul-
turnej miały niedobre pomieszczenia. Wzrokiem do przedziału,
posterunek skierował mnie do biura ogłoszeń. Wymieniliśmy tam
swoje nazwiska — przepustka letnia gotowa. Z powrotem do pos-
tamentu. Posterunek obdał posterunkiem przepustkę i przepuścił
całe Pokój 222 był na drugim piętrze. Zapukałem „Wejść!”

W MATNI

Była to niedziela, 24 stycznia 1937 roku. Cieszyłem się na myśl o wypoczynku po nużącej podróży. Nagle zadzwieczał telefon. Jakiś obcy głos: **NIE POWTARZAJCIE ANI JEDNEGO MEGO SŁOWA! MÓWI NKWD. PRZYJDŹCIE DO NAS O JEDENASTEJ! ZAPYTAJCIE NA DOLE O POKÓJ 222. PRZEPUSTKA BĘDZIE PRZYGOTOWANA.**

Ręka mi drżała, gdy odkładałem słuchawkę. Od czasu zatargu w Instytucie, a zwłaszcza od czasu aresztowania mej żony czułem, że obręcz wokół mnie się zaciska i że GPU mną się zajmuje. Nigdy jednak nie zetknąłem się z jego ludźmi bezpośrednio, w każdym razie nie we własnej sprawie. Teraz będę musiał przekroczyć niewidzialną granicę. Jeśli raz ze mną zaczną rozmowy, to już nie będą mogli się wycofać. Napięcie ostatnich miesięcy było trudne do wytrzymania. Teraz musi się wszystko rozstrzygnąć. Z bardzo zmiennymi uczuciami, lecz zaniepokojony do głębi, ruszyłem w drogę.

Gmach charkowskiego zarządu obwodowego NKWD był odległy o niecałe 5 minut. Wielki, solidnie wykonany budynek z frontem wychodzącym na trzy ulice. Wnętrze jak na stosunki rosyjskie bardzo eleganckie. We wszystkich miastach Związku Sowieckiego Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych miał najlepsze gmachy. Na to nie szczędzono pieniędzy, podczas gdy najważniejsze centralne instytucje administracji gospodarczej lub kulturalnej miały nędzne pomieszczenia. Wszedłem do przedsionka, posterunek skierował mnie do biura zgłoszeń. Wymieniłem tam swe nazwisko — przepustka leżała gotowa. Z powrotem do posterunku. Posterunek zbadał podejrzliwie przepustkę i przepuścił mnie. Pokój 222 był na drugim piętrze. Zapukałem. „Wejść!”

Otworzyłem drzwi. Podłużny pokój. Pod oknem biurko i kilka krzesel. Szafa na akta. To było całe urządzenie. Za biurkiem, plecami do okna siedział mężczyzna w cywilnym ubraniu. Zwięźle i niezbyt grzecznie poprosił mnie o zajęcie miejsca. Przyjrzałem się swemu rozmówcy. Wstał i z pobliskiej szafy wyjął teczkę z aktami. Średniego wzrostu, brunet, wywierał w rozmowie wrażenie subalterna, który trzyma swe rzeczy w skrupulatnym porządku. Człowiek ten — pomyślałem sobie — na pewno nie jest sadystą, ale na pewno nie jest też bojownikiem, który wstąpił w szeregi Czeki w czasie wojny domowej, by tępić wrogów rewolucji. Spotykałem często w sowieckich fabrykach na czołowych stanowiskach ludzi, którzy wyszli z GPU. Poznawało się ich przeszłość przeważnie po sposobie bycia. Czuli się wszędzie bardziej uprawnieni od innych partyjników. Byli panami kraju i dawali to mniej lub więcej wyraźnie do poznania. Znałem dobrze ten typ ludzki. Ludzie, których można było rozpoznać już po chodzie i wyglądzie. Ludzie o brutalnych twarzach i ciężkich pięściach. Ludzie, których władza państwowa posyłała wszędzie tam, gdzie trzeba było coś przeforsować. Nie oszczędzali siebie, a już najmniej innych. Byli przeważnie pochodzenia proletariackiego lub chłopskiego, wydawali jednak swym byłym kolegom-robotnikom rozkazy takim tonem, na jaki nigdy nie pozwoliby sobie burżuazyjny dyrektor fabryki. Korzystali z mnóstwa przywilejów i żyli w warunkach, pozostających w jaskrawym przeciwieństwie do nędzy prostych robotników. Byli jednak mocno przeświadczeni, że im się to należy i nie widzieli w tym żadnego wyczysku cudzej pracy.

Człowiek, siedzący przede mną, nie należał do nich. Był to biuralista, pisarczyk; wyraz „subaltern” znamionował wszystkie jego ruchy. Pełnił swój obowiązek i słuchał przełożonych, nie przejawiając żadnych namietności. Później, po zaaresztowaniu, był przez dwa miesiące mym sędzią śledczym. Nazywał się Polewecki. Patrząc teraz wstecz, muszę przyznać, że należał do najprzystojniejszych ludzi w swym zawodzie. Lecz wtedy, w pierwszych z nim rozmowach, gdy jeszcze byłem na wolności, wydawało mi się, że patrzę w otchłań piekła.

Rozpoczęła się rozmowa:

- Już z powrotem z podróży?
- Przedwczoraj.
- Co robiliście w Moskwie?
- Spełniałem zlecenia mego Instytutu w Narkomtiażpromie (Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego).
- A w Leningradzie?
- Zamawiałem motory elektryczne i kabel na moją budowę.

— Czy to wszystko, co tam robiliście?

— Nie, miałem też prywatne sprawy.

— Mówicie — jak na nasze warunki — zbyt ogólnikowo. Będziecie musieli się przyzwyczaić do dawania nam dokładniejszych wyjaśnień. Co robiliście w Moskwie i Leningradzie?

— Interweniowałem w prokuraturze wojskowej i w organach NKWD w sprawie mej byłej żony.

— Wasza żona została aresztowana jako wróg ludu, pod zarzutem zdrady głównej. A wy interweniujecie w jej sprawie. Popieracie zatem wrogów ludu.

— Jestem przekonany, że ona jest niewinna.

— Twierdzicie więc, że zamykamy niewinnych.

— Tego nie twierdzę, wiem jednak, że w tym szczególnym wypadku zachodzi pomyłka i chcę dopomóc organom NKWD w dojściu do prawdy.

— Niepotrzebna nam wasza pomoc. Nasze śledztwo i bez tego dojdzie do prawdy. Ale dzisiaj nie zamierzamy zajmować się waszą żoną, lecz wami. Złóżcie nam swój życiorys.

Składałem swój życiorys odnośnym władzom niezliczone razy. Przy wstąpieniu do Instytutu, przy przyjęciu do związku zawodowego, przy wniosku o przeniesienie do partii rosyjskiej i przy wielu innych okazjach. Moje *curriculum vitae* leżało w teczkach tajnych sektorów* tych organizacji i oczywiście każdej chwili stało do dyspozycji organów NKWD. Dawno już temu go zażądały, leżało prawdopodobnie w teczce, do której Polewecki tu i ówdzie zaglądał. Wstrzymałem się od wszelkich uwag na ten temat. Nie było wskazane, abym jako cudzoziemiec ujawniał, jak dalece jestem zorientowany w sprawach tajnego aparatu. Posłusznie podyktowałem Poleweckiemu krótką historię mego życia politycznego i zawodowego. Czyżby chcieli ją porównać z odpisami życiorysu, które otrzymali od specsektorów innych organizacji i wykryć sprzeczności? Było to nieprawdopodobne. Sowieccy ludzie mają na ogół bardzo wysokie mniemanie o wszechwładzy i wszechwiedzy tajnej policji. Toteż nie składają fałszywych życiorysów i nie przemilczają nawet najdrobniejszych szczegółów w dziejach swego życia. Jeśli jednak raz już to uczynili, wykluczone jest, by w późniejszych życiorysach, choćby nawet i w innych miastach, pisali inaczej. Agenci GPU w Instytucie niewątpliwie opisali dokładnie mój charakter. Znali mnie chyba na tyle, aby wykluczyć możliwość złożenia przeze mnie rozbieżnych życio-

* W każdej instytucji sowieckiej istniał tajny oddział, którego kierownik podlegał GPU. Miał on teczki wszystkich zatrudnionych, przechowywał tajną korespondencję i rozkazy mobilizacyjne.

rysów, gdybym nawet miał coś do ukrycia. Trudno mi było zrozumieć cel żądania Poleweckiego. Wówczas jednak w ogóle nie rozumiałem jeszcze, po co wezwało mnie GPU. Dopiero po trzech latach zdałem sobie sprawę z techniki aparatu, związanej z przygotowaniem aresztowania. Dopiero teraz, gdy patrzę wstecz, rozumiem, w jakim celu wezwało mnie wówczas GPU i jaki sens miały osobliwe przesłuchania, dokonywane *przed* moim aresztowaniem.

Polewecki pisał mniej więcej przez pół godziny. Potem postawił kilka nieistotnych pytań, dotyczących mego życia za granicą. I wreszcie doszedł do zapytania, które — jak to dopiero po wielu latach jasno zrozumiałem — było jedynym powodem wezwania mnie; dopiero odpowiedź na to pytanie miała umożliwić organom NKWD zebranie, a raczej skonstruowanie materiału, który by uzasadnił moje aresztowanie.

— Czy macie przyjaciół lub znajomych, którzy byli poddani represjom ze strony władzy sowieckiej?

— Powiedziałem wam już, że moja była żona jest aresztowana.

— A poza tym?

— Nie wiem, kogo nazywacie przyjaciółmi.

— Ludzi, których dobrze znacie, z którymi utrzymujecie stosunki.

— Znam w Związku Sowieckim bardzo wielu ludzi. Z racji mej pracy zawodowej znam wielu czołowych ludzi w aparacie sowieckim. Wiecie, że ostatnimi czasy wielu z nich aresztowano jako wrogów ludu.

— Wymieńcie tych, których znacie.

— Piatakow, Bucharin, Ratajczak, Puszkin, Norkin i jeszcze inni. Nie mogę przecież wymieniać wszystkich, u których kiedykolwiek bywałem w biurach, by otrzymać jakieś polecenie lub złożyć jakieś sprawozdanie! O ich działalności kontrewolucyjnej nie miałem wówczas żadnego pojęcia! Byli oni dla mnie moimi przełożonymi.

— Wymieńcie tych, z którymi utrzymywaliście stosunki prywatne.

— Ani jeden z mych bliższych przyjaciół nie został aresztowany!

— Zupełnie wykluczone! Musicie podać przynajmniej kilka nazwisk! Wiemy, że utrzymywaliście prywatne stosunki z wrogami ludu! Wymieńcie ich!

— Znałem — zresztą tylko przelotnie — kilku cudzoziemców i byłych cudzoziemców, którzy zostali aresztowani.

— Wymieńcie nazwiska.

— Hans Strahler, Carola Neher, Lucy Gehman, Erwin Anders. Tego ostatniego znałem zresztą bliżej.

Wymieniłem tym samym nazwisko człowieka, który miał się stać dla mnie niebezpieczny i którego w konsekwencji GPU zmusiło wszystkimi środkami, jakimi rozporządza nie podlegająca kontroli i nie pozwalająca się kontrolować tajna policja, by złożył zeznania, określające mnie jako kontrrewolucjonistę i stanowiące pozór dla mego aresztowania.

Polewecki zapisał sobie nazwisko i zapytał o czas, miejsce i bliższe okoliczności aresztowania tych ludzi. Co wiedziałem o aresztowanych, przez kogo ich poznałem i tak dalej. Odpowiedź moją zapisał z wielką starannością i wręczył mi protokół do podpisu. Potem wstał. — „Chodźcie za mną”.

Wyszliśmy z pokoju. Zamknął go na klucz. — „Czekajcie na korytarzu aż powrócę. Idę do naczelnika”.

Czekałem w pobliżu schodów. Korytarzami przechodzili z pośpiechem enkawudyści w dobrze skrojonych mundurach, młode stenotypistki, ludzie w cywilnych ubraniach — być może tajni agenci, urzędnicy lub przedstawiciele organizacji sowieckich. Tu i ówdzie żołnierz prowadził aresztowanego na przesłuchanie. Twarze aresztowanych były blade i wychudłe, ich ubrania w żałobnym stanie. Po ich znużonym chodzie można było rozpoznać, że byli zaszczuci i wyczerpani; ich zagasłe oczy wskazywały, że nie żywili już żadnej nadziei. Byłem jednak zbyt niespokojny, by oddawać się długim rozważaniom na temat cudzych losów. Myślałem o swym własnym losie. Czy rozstrzyga się on teraz na konferencji pomiędzy Poleweckim i jego naczelnikiem? Czy pozwolą mi jeszcze wrócić do domu, czy też podpiszą teraz i pošlą do prokuratora nakaz aresztowania? Konferencja trwa długo. Być może, formalności wymagają wiele czasu. Bez zgody prokuratora nikt nie mógł być aresztowany. Należało przestrzegać zewnętrznej formy praworządności. Czy przygotowują teraz wszystko, by przedłożyć mi wystawiony przez NKWD i zatwierdzony przez prokuratora nakaz aresztowania? Zawołają potem żołnierzy, każą zabrać mi krawat, szelki, scyzoryk i sznurowadła i odprowadzić mnie. Za kilka tygodni będę wyglądał tak samo jak ci nieszczęśliwcy, których teraz obok mnie prowadzono. Właśnie jeden taki, prowadzony przez żołnierza, skręcił za róg korytarza i skierował się ku schodom. Żołnierz zatrzymał się na chwilę przed schodami, zaklaskał i nadśluchiwał. Już kilka razy obserwowałem tę procedurę, tym razem jednak rozległo się z dołu w odpowiedzi takie samo klaśnięcie. W tej samej chwili żołnierz

wydał swemu więźniowi rozkaz „DO ŚCIANY”. Więzień odwrócił się twarzą do ściany. Obaj czekali. Po kilku chwilach nadszedł z dołu orszak, idący w drugą stronę. Inny żołnierz przeszedł szybko razem ze swym więźniem, herkulesowej budowy oficerem Armii Czerwonej. Więźniowi zerwano dystynkcje wojskowe, lecz krok miał miarowy, twarz jeszcze opaloną, głowę jeszcze nieogoloną. Widocznie był dopiero co aresztowany. Pomyślałem sobie, „czy i on po kilku tygodniach będzie się włókł złamany jak i inni?” Gdy obaj przeszli, pierwszy żołnierz ze swym więźniem ruszył na nowo w drogę na dół. Pomyślałem sobie, że najwidoczniej nie wolno się im wzajemnie widzieć. Chińczycy powiedzieliby, że stracili twarz. Ten nieznaczný szczegół wstrząsnął mną. Myślałem znowu o sobie. Czy puszcza mnie do domu, czy też przyniesie on nakaz aresztowania? Jeszcze miałem czas, jeszcze byłem wolny, mogłem zejść po schodach i opuścić gmach. Czy miałem to zrobić? Ale i to było niewykonalne. Posterunek na dole nie przepuściłby mnie bez okazania przepustki podpisanej przez Poleweckiego. Trzymałem w ręku przepustkę i przyglądałem jej się uważnie. Ostatecznie mógłbym sam podpisać Poleweckiego. Setki ludzi przechodziły przez bramę. Żołnierz na dole był chłopem, który nie mógł przecież pamiętać podpisów wszystkich urzędników, uprawnionych do podpisywania przepustek. Musiało być takich ponad stu w całym gmachu. Mój osąd opierałem na znajomości organizacji innych instytucji sowieckich. Posterunek nie zauważyłby fałszerstwa i przepuściłby mnie, jak wszystkich innych przechodniów. Być może, oprócz podpisu potrzebna była także i pieczętka? Tego nie wiedziałem. W każdym razie można było próbować. Może się uda.

Ale co potem? Wracać do domu? Po godzinie przyjdą znowu i zabiorą mnie. Pojechać do Moskwy i ukryć się? Kto mi da schronienie? Moi bliscy przyjaciele byli znani GPU, będą mnie u nich szukać. Nie mogłem ich narażać. Do nikogo innego nie mogłem się zwrócić, każdy wydałby mnie natychmiast, nawet i tacy, co by ze mną współczuli. Wielki strach rzucał swój cień także i na serca najodważniejszych. Każdy, do kogo zwróciłbym się z taką propozycją, obawiałby się, że mogę być prowokatorem GPU. Ucieczka w kraju była wykluczona. Pozostawała możliwość ucieczki za granicę. Udawało się to jednemu na miliony. W moim wypadku już pojawienie się w strefie granicznej z całą pewnością doprowadziłoby do aresztowania. Przez chwilę myślałem o tym, by uciec do Moskwy i oddać się pod opiekę mego ambasadora. Natychmiast porzuciłem tę myśl i zawstydziłem się. Sowieccy ludzie, partyjni komuniści raczej giną, niżby mieli zawdzięczać swe ocalenie interwencji ambasady kraju kapitalistycznego.

Lecz czyż nie jest to ostatecznie czyste szaleństwo? Dlaczego mieliby mnie aresztować? Za to, że w głębi duszy nienawidziłem tyranii Stalina nad partią, całkowitej likwidacji wolności także w obrębie klasy panującej kraju, ba, w obrębie partii panującej? Tego przecież nie mogli wiedzieć. Nigdy o tym otwarcie z nikim nie mówiłem, nawet z zaufanymi przyjaciółmi. Dlaczego mieliby mnie aresztować? Czyż jednak nie został aresztowany Strahler, który z pewnością nie był gorszym ode mnie sowieckim człowiekiem? Czy nie przyznał się po kilku miesiącach więzienia do tego, że jest agentem Gestapo? W każdym bądź razie przedstawiciel NKWD zakomunikował o tym na ogólnym zebraniu Instytutu Chemii Węgla, a to czynią czekać tylko wtedy, gdy już mają w ręku podpisane przyznanie się oskarżonego. Na litość boską, jak się to wszystko działo? Wszakże Strahler z całą pewnością nie był agentem Gestapo, za to mogłem ręczyć głową. Czemu podpisuje takie zeznanie? Czy go do tego zmuszają? Ale dlaczego? Strahler był wiernym sowieckim człowiekiem i dobrym inżynierem. Takich ludzi kraj przecież potrzebuje. Nawet w głębi swego serca nie był nastawiony opozycyjnie przeciw wodzowi partii. Był raczej obcy polityce, kochał swą pracę i dbał tylko o nią. Ludzie tacy są we wszystkich krajach podporami panującego systemu państwowego. Dlaczego go aresztowali? Dlaczego go zmuszają do podpisania, że jest szpiegiem? Zapewne czołowych oskarżonych w wielkich procesach także do tego zmusili, nieznanymi mi środkami. Ale to był porachunek pomiędzy wielkimi. Chodziło tam o zabezpieczenie dyktatora przed ewentualnie możliwym, aczkolwiek bardzo nieprawdopodobnym zamachem stanu. Ale Strahler i wielu innych moich znajomych, których aresztowano — i ja sam, byliśmy przecież małymi ludźmi. Ja byłem jeszcze przy tym człowiekiem politycznym. Ceniłem sobie wolność i zastanawiałem się, jak do tego doszło, że rewolucja zniszczyła wolność rewolucjonistów tak samo jak wolność dawnych klas. Ale Strahler i inni, ci prawdopodobnie nie sięgali myślami tak daleko. Robili swą robotę i troszczyli się o swe rodziny. Dlaczego ich aresztowali? Czy i mnie zaaresztują? Czy i mnie zmuszą do składania fałszywych zeznań? Czy i ja załamie się po kilku tygodniach i podpiszę wszystko, czego będą chcieli?

Ale może to wszystko jest złym snem; badają tylko ludzi i po wykazaniu się ich niewinności wypuszczają. Nie będą przecież na tyle szaleni, by niszczyć swych własnych ludzi.

Te i podobne rozważania chodziły mi po głowie w ciągu dwóch godzin czekania na Poleweckiego. Nareszcie ujrzałem go, idącego ku mnie szybkim krokiem. Trzymał w ręku teczkę i szereg luźnych kartek. Idąc, trzymał głowę nieco naprzód pochylo-

na. Wydawało mi się, że twarz jego była o odcień ciemniejsza. Zdjęła mnie trwoga, lecz zważyłem w sobie to uczucie i wyprzeżyłem się wewnątrz.

— Chodźcie ze mną. — Otworzył mi drzwi.

Weszliśmy. Usiadł, po czym zwrócił się do mnie.

— Siadajcie.

Posłuchałem. Zaczął podniesionym głosem:

— Wzywamy was do złożenia wyczerpującego zeznania o robocie dywersyjnej, którą uprawialiście na terenie Związku Sowieckiego.

Zanim jeszcze zakończył zdanie, zastanowiłem się, co mam uczynić? Zerwać się z miejsca i zrobić skandal, czy też odpowiadać spokojnie? Czy — jeśli zareaguję spokojnie na takie oskarżenie, niesłychane w stosunku do sowieckiego człowieka — nie uzna on tego za moje przyznanie się do winy? Postanowiłem wybrać drogę pośrednią.

— Nie wiem, o czym mówicie. Co macie na myśli?

— Przybyliście do naszego kraju z zadaniem zorganizowania wywrotowego spisku. Obserwujemy waszą brudną robotę od wielu lat. Dajemy wam teraz ostatnią sposobność. Ujawnijcie wszystko, wydajcie swych agentów i przejdźcie na naszą stronę.

— Nie macie prawa mówić do mnie takim tonem.

— Sami decydujemy o tym, jak mamy z wami mówić i jak z wami postępować. Podajcie informacje o waszej kontrrewolucyjnej robocie antysowieckiej.

— Nie jestem kontrrewolucjonistą, jestem natomiast człowiekiem, pracującym z całym oddaniem dla budownictwa socjalistycznego.

— Waszej pracy zawodowej także jeszcze przyjrzymy się z bliska. Wyzyskujecie swoje sukcesy na tym froncie dla maskowania waszych brudnych knozań przeciw państwu sowieckiemu.

— Towarzyszu Polewecki...

— Nie jestem dla was towarzyszem.

— Jak więc mam do was mówić?

— Dla was jestem obywatelem sędzią śledczym.

— Czy jestem tu pod śledztwem? Czy jestem aresztowany?

— Jeszcze nie. Zależy to od wyniku naszej rozmowy. Ofiarujemy wam ostatnią sposobność. Proponujemy wam: przejdźcie na naszą stronę. Pracujcie razem z nami. Nie wyjdziecie na tym źle.

— Oświadczam wam, że nie mam nic ale to nic do czynienia z tym wszystkim, o czym mówicie. Po prostu nie wiem, o czym mówicie. Jestem niemieckim komunistą i przybyłem do tego kraju, by wziąć udział w budowaniu socjalizmu.

— Kierujecie od wielu lat tajną, podziemną robotą aby podkopać fundamenty naszego budownictwa.

— Od wielu lat pracuję z największą energią i oddaniem, do jakich jestem zdolny, nad wykonaniem zadań, postawionych mi przez partię i rząd.

— To nas nie interesuje. Badamy obecnie waszą robotę kontrrewolucyjną. Wymieńcie swych mocodawców. Kto was do nas posłał? Z kim współpracujecie?

— Obywatelu sędzio śledczy, oświadczam raz jeszcze, że nie macie prawa tak do mnie mówić. Możecie mnie aresztować, ale dopóki jestem wolny, nie pozwolę nikomu tak do mnie mówić.

Zerwał się i krzyczał gwałtownie:

— W naszych piwnicach pogadamy jeszcze z wami całkiem inaczej. Nie zdajecie sobie sprawy ze swej sytuacji. Nie mam najmniejszej ochoty prowadzić z wami dyskusji. Odpowiedzcie konkretnie na moje pytania. Kto was tu przysłał?

— Najwyższa Rada Gospodarcza zaprosiła mnie jako fizyka do Instytutu w Charkowie.

— Idźcie do diabła razem z waszą Najwyższą Radą Gospodarczą. Nie mówimy tu o waszej pracy zawodowej, lecz o waszej działalności kontrrewolucyjnej. Wzywam was po raz ostatni do zeznania prawdy.

— Nie mam nic do wyznania.

— Nie bądźcie lekkomyślni. W grę wchodzi wasze życie.

— Obywatelu sędzio śledczy. Nie rozumiem, co się tu dzieje. Albo mylicie się po prostu co do nazwisk, albo też jestem ofiarą świadomie fałszywej denuncjacji. Powiedzcie, co macie przeciwko mnie.

— Już wam to powiedziałem. Stoicie na czele antypaństwowej grupy. Ujawnijcie wszystkie nici spisku.

— Obywatelu sędzio śledczy. Jestem gotów dać wam jednoznaczny i szczegółowy raport z każdego dnia mego życia. Mam dobrą pamięć i nie mam przed wami niczego do ukrycia. Nie jestem wrogiem tego kraju, jestem patriotą Związku Sowieckiego.

— Jesteście wrogiem i zmusimy was do mówienia.

— Powiedzcie, co mi zarzucacie.

— Już wam to powiedziałem.

— Wysłnęliście ogólnikowe, niczym nieuzasadnione oskarżenie. Powiedzcie, jakim prawem podejrzewacie mnie o kontrrewolucję. Jeśli podacie mi konkretne fakty, potrafię odeprzeć fałszywe denuncjacje i otworzyć wam oczy.

— Idźcie do diabła! Nie potrzebujemy waszej pomocy. Znamy każdy dzień waszego życia, prawie że lepiej niż wy sami. Żądamy od was, abyście się rozbroili, abyście zaniechali walki

przeciwko władzy sowieckiej, abyście zlikwidowali waszą zbrodniczą działalność i podali nam wszystkie dane potrzebne do zagarnięcia całej siatki waszej organizacji. Wzywam was do przyznania się.

— Nie mam do czego się przyznać, nie zrobiłem nic złego.

— Nie igrzajcie z ogniem. Mamy sposoby, by was zmusić.

— Obywatelu sędzio śledczy. Powiedzcie mi konkretnie, co waszym zdaniem uczyniłem, pokażcie mi materiał, który przeciwko mnie macie.

— Dopóki nie jesteście aresztowani, nie damy wam naszego materiału. Wiecie sami, co zamierzaliście i co zrobiliście przeciw naszemu państwu. To *wy* musicie *nam* wszystko powiedzieć, a nie my wam. Kiedy z zeznania waszego okaże się, że rozbroiliście się, że rzeczywiście uczciwie żałujecie i przechodzicie na naszą stronę, damy wam wszelką szansę.

— Obywatelu sędzio śledczy. Podkreślam raz jeszcze, że nie mam z tym wszystkim nic do czynienia. Pracuję dla kraju, a nie przeciw niemu. Jeśli wskażecie mi podstawy waszego podejrzenia, jestem gotów powiedzieć wszystko, co wam może pomóc do wyjaśnienia sprawy. Nie potrafię jednak bronić się przed oskarżeniami, których treści nie znam.

— Chcecie więc nadal prowadzić walkę z nami?

— Nigdy jej nie prowadziłem.

— Nie chcecie się przyznać?

— Nie mam się do czego przyznać.

— Odmawiacie organom NKWD pomocy w ich walce przeciw wrogom ludu i państwa?

— Nie wiem, jak wam mogę dopomóc.

— Podajcie nam siatkę agentów, których uplasowaliście na terytorium Związku Sowieckiego.

— Nie plasowałem żadnych agentów i nie rozumiem co was uprawnia do mówienia takich rzeczy.

Nagle zmienił ton.

— Aleksandrze Siemionowiczu. Może nie znacie charakteru naszej organizacji. Nie jesteśmy prokuraturą państwa. Nawet jeśli dowiemy się o czymś przestępstwie, nie ścigamy go, jeśli widzimy rzetelną skruchę.

— Nie mogę nic więcej uczynić, jak tylko stale wam powtarzać: nie jestem tym za kogo mnie uważacie.

— Spójrzcie, Aleksandrze Siemionowiczu. Przecież i w życiu prywatnym zdarza się, że ktoś chwilowo popełnia zły uczynek wobec swego bliskiego przyjaciela. Z wielorakich przyczyn. Może nie jesteście w zasadzie wrogiem Związku Sowieckiego, jednakże z nieznanых nam przyczyn zadawaliście się z naszymi wro-

gami i sędzicie, że nie możecie się wycofać. Chcemy wam pomóc znaleźć drogę powrotną.

— Nie rozumiem ani słowa z tego o czym mówicie. Nie odnosi się to do mnie.

— Aleksandrze Siemionowiczu. Jeśli uczyniło się coś złego przeciw swemu przyjacielowi, to najlepiej jest pójść do niego i powiedzieć mu prawdę, po czym między przyjaciółmi powracają najlepsze stosunki. Przesłanką po temu jest jednak uczciwe przyznanie się. Postępowaliście źle w stosunku do naszego kraju. Jesteśmy gotowi wam to darować, lecz musicie złożyć broń i wtedy pomożemy wam wrócić na słuszną drogę. Możecie jeszcze odegrać bardzo wielką rolę w naszym systemie.

— Powiedziałbym wam chętnie wszystko, gdybym miał coś do powiedzenia.

— Ujawnijcie waszą organizację.

— Nie mam nic do ujawniania. Nigdy tu nie należałem do żadnej nielegalnej organizacji.

— Zatem kontynuujecie walkę?

— Już powiedziałem wam, że jej nigdy nie zaczynałem.

Od tej chwili poczynając, powtarzał nieustannie to samo zdanie. Ja dawałem tę samą odpowiedź. Później dowiedziałem się, że monotonia ta była istotną częścią składową ich techniki śledczej. Po upływie dwóch godzin miał dość.

— No więc, jak chcecie. Daliśmy wam szansę. Nie chcecie z niej skorzystać. Chodźcie ze mną.

Wstał i skierował się ku drzwiom. Ja za nim. Szliśmy długim korytarzem do gabinetu naczelnika. W przedpokoju musieliśmy przez jakiś czas czekać. Ktoś był u kapitana. Odwiedzającym był wyższy oficer w nieznanym mi mundurze. Gdy opuścił pokój naczelnika, sekretarka wpuściła nas. Weszliśmy do wielkiego, jasnego pokoju o trzech oknach. Na ścianie naprzeciw drzwi wejściowych wisiał portret Dzierżyńskiego wielkości naturalnej, przed nim stół w kształcie litery T. Przy stole siedział kapitan.

Polewecki wskazał na mnie:

— Towarzyszu kapitanie. Oto oskarżony Weissberg.

Kapitan zwrócił się do mnie i uśmiechnął się przyjaźnie. Był to mały szczupły mężczyzna o eleganckich sprężystych ruchach, żywych mądrych oczach i inteligentnej twarzy, z ustami zszpeczonymi dwoma złotymi zębami. Sądząc z wyglądu, był Żydem. Nazwiska jego zapomniałem, sądząc jednak że posługiwał się pseudonimem, brzmiącym mniej więcej jak Asak. Nazywajmy go tak dla uproszczenia.

— Cieszę się, że was widzę, towarzyszu Weissberg. Jesteście naszym dawnym znajomym.

— Nic o tym nie wiem, towarzyszu kapitanie. — Zauważyłem, że nie protestował przeciwko nazywaniu go towarzyszem.

— Tak jest, wy mnie nie znacie Aleksandrze Siemionowiczu. Ale ja was znam bardzo dobrze. Zajmowałem się wami od dawna, zanim zostałem zmuszony, by zaprosić was do siebie.

— Nie wiem, czym zasłużyłem na to zainteresowanie.

Uśmiechnął się znowu, tym razem trochę sarkastycznie.

— No więc, towarzyszu Weissberg. Jesteście utalentowanym człowiekiem i możecie nam oddać wielkie usługi.

— Nie wiem, o czym mówicie.

— To przecież bardzo proste. Zdecydujecie się robić dla nas to, co dotychczas robiliście dla innych.

— Towarzyszu kapitanie. Przez trzy godziny dowodziłem sędziemu śledczemu, że nie mam nic ale to nic wspólnego z tym, o co mnie podejrzewa. Proszę was, powiedzcie, co macie przeciwko mnie, abym mógł rozproszyć podejrzenia.

— My nie *podejrzewamy* was o nic. My *znamy* waszą robotę dywersyjną w całej rozciągłości. Nie mamy najmniejszej wątpliwości.

— W takim razie pokażcie mi dowody mej winy.

— Zobaczycie je *po* waszym aresztowaniu. To, co teraz czynimy, dzieje się w waszym interesie. Chcemy wam oszczędzić aresztowania. Wstąpcie na naszą służbę. Wasze przestępstwa pójdą w niepamięć. Co więcej, otworzycie sobie drogę do wielkiej kariery. Także pod względem materialnym wasza pozycja się podniesie.

— Nie pragnę żadnej poprawy materialnej. Jestem najzupełniej zadowolony ze swych warunków pracy. Kocham swą pracę i nigdy bym nie chciał jej porzucić. Natomiast do rozpacz doprowadza mnie fakt, że w ostatnim roku byłem stale przedmiotem podstępnych ataków, niewątpliwie wychodzących bezpośrednio od waszych ludzi.

— Nie zamierzamy teraz mówić o waszej pracy, pytamy was krótko i węzłowato: Czy chcecie się przyznać?

— Nie mam do czego się przyznać.

— Jesteście wrogiem ludu, kraju, rządu. Prowadzicie podziemną robotę z ramienia wrogiego obcego mocarstwa.

Straciłem panowanie nad sobą i zerwałem się z miejsca.

— Nie wolno wam tak do mnie mówić, obywatelu kapitanie. Możecie mnie aresztować, ale dopóki jestem wolnym człowiekiem nie pozwolę nikomu tak do mnie mówić.

Teraz on krzyczał głośno.

— Stulcie pysk! Jeśli wolno tu komu głos podnosić, to mnie. Zapominacie, gdzie jesteście.

Usiadł, wziął kawałek papieru i zapytał:

— Z kim z aparatu N pozostawaliście w kontakcie?

Nie wiedziałem, co to jest ten aparat N. Nie wiem tego do dzisiaj. Przypuszczam, że miał on oznaczać centralę szpiegostwa niemieckiego. Odpowiedziałem:

— Nie wiem, co macie na myśli. Nie wiem, co to takiego.

Spojrzał pytająco na Poleweckiego i odpowiedział gestem, którego nie zapomnę do końca życia. Rozłożył ręce i patrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, jak gdybym stracił rozum. Gdybym na zapytanie o moje nazwisko odpowiedział, że go nie znam — nie mógłby na mnie patrzeć z większym zdumieniem. Teraz, w dwanaście lat później, gdy już przeżyłem wszystkie zakręty wielkiej czystki i gdy już poznałem gruntownie mechanizm śledztw GPU, ta mała scena w gabinecie kapitana Asaka jest dla mnie wciąż jeszcze niezrozumiała. Proszę sobie wyobrazić, że obaj ci oficerowie w głębi swoich serc przekonani byli, że nie mam nic wspólnego z tym wszystkim, co mi zarzucają, że jestem uczciwym człowiekiem sowieckim a nie żadnym agentem zagranicznym. Lecz każdy z nich poczuwał się wobec drugiego do obowiązku takiego zachowywania się, jak gdyby brał oskarżenie na serio. Odgrywali nawzajem wobec siebie komedię i myśleli, że to na mnie zrobi wrażenie i skłoni mnie do wyznania fikcyjnej winy. Nie udało im się to później, mimo uruchomienia wszystkich środków nacisku trzechletniego śledztwa. Jakże mogli sobie wyobrażać, że będąc wolnym człowiekiem ustąpię na skutek zwykłej namowy?*

* Ten rozdział mej książki był już złożony, gdy natknąłem się na nieoczekiwane wytłumaczenie owej sceny. W swym przyczynku do książki „The God That Failed” Artur Koestler wspomina człowieka nazwiskiem Edgar, który skontaktował go z aparatem N. Ja sam wiedziałem od dawna, że GPU, Komintern i IV Oddział Armii Czerwonej mają za granicą swe tajne aparaty. Nigdy jednak nie doszło do mej wiadomości, by jedna z tych służb nosiła nazwę aparatu N.

„Edgara” znałem jeszcze z Berlina. Wedle metryki urodzenia nazywał się Franz Burde i był rewolucyjnym działaczem z Hamburga. Był to dobry kolega i przyzwoity człowiek. Jesienią 1936 roku spotkałem się z nim w Moskwie. Zajmował wtedy wysokie stanowisko w wywiadzie Armii Czerwonej. Prosiłem go o pomoc dla mej aresztowanej żony. Zatelefonował do Krylenki, ówczesnego ludowego komisarza sprawiedliwości, ten zaś interweniował w GPU. Moskiewskie GPU — jak się to okazało z późniejszego śledztwa — powiadomiło o tym Charków i to mogło spowodować moje pierwsze przesłuchanie.

GPU i komisariat wojny walczyły już od dawna między sobą o położenie ręki na wywiadzie wojskowym. W owych miesiącach GPU zwyciężyło, zadenuncjowawszy u Stalina aparat wojskowy jako zarażony trockizmem. Po aresztowaniu Tuchaczewskiego otrzymało ono wolną rękę. Odwołało niemal

— Aleksandrze Siemionowiczu. Nic z tego. Będziecie musieli mówić.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Nie jesteście jeszcze zdecydowani, co mamy z wami zrobić. Widzicie, nie aresztowaliśmy was do tej pory. Gdybyśmy mieli najmniejszą wątpliwość co do waszej winy, nie wezwalibyśmy was tutaj. Wolelibyśmy nadal was obserwować.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Albo przejdziecie na naszą stronę, albo będziecie karmili białe niedźwiedzie.

Nie bardzo rozumiałem, co miał na myśli. Sądziłem, że to aluzja do więzienia GPU na wyspach Sołowieckich na Oceanie Lodowatym Północnym, gdzie jest dużo niedźwiedzi.

— Chcę wam dać jeszcze jedną szansę. Przemyślcie sobie sprawę i przyjdźcie znowu pojutrze. Nie wątpię, że wam te dwa dni namysłu zrobią dobrze. Zgodzicie się na nasze żądania i będziecie z nami współpracowali. Do widzenia.

A zwracając się do Poleweckiego: — Załatwcie z obywatelem Weissbergiem potrzebne formalności.

Opuściliśmy pokój i przeszliśmy znowu długim ciemnym korytarzem do gabinetu Poleweckiego. Usiadł i próbował jeszcze mówić coś do mnie, jednak bez nadziei, że mnie przekona. Powiedział:

— Przemyślcie sobie sprawę dokładnie. Przyjmijcie propozycję kapitana. On wam dobrze życzy. Nigdy nie uzyskacie lepszych warunków. Waszym uporem pogarszacie tylko swą sytuację. Zastanówcie się nad tym.

Wręczył mi potem wypisany na maszynie formularz. Przeczytałem:

„Wiem, że mam zachować milczenie o wszystkim, czego się dowiedziałem przy dzisiejszym przesłuchaniu i że naruszenie obowiązku milczenia równa się zdradzie tajemnic państwowych, co wedle prawa grozi karą pięciu lat więzienia”.

wszystkich agentów wojskowych zza granicy i aresztowało ich. Los ten spotkał także Edgara. Stał on na czele wywiadu Armii Czerwonej w Skandynawii, gdy otrzymał rozkaz powrotu. Przed swym odjazdem powiedział do przyjaciół: „Idę teraz na śmierć, ale nie mam wyboru”.

Pewnego razu, w maju 1937 roku, mój sędzia śledczy zgoła obcesowo zażądał ode mnie, bym obciążył Edgara, aczkolwiek do tej pory nie odgrywał on żadnej roli w moim śledztwie.

Gdy to wszystko razem zestawiam, dochodzę do następującego wniosku: w roku 1937 po moim powrocie z Moskwy, gdzie spotkałem się z Edgarem, wezwano mnie między innymi w tym celu, by zbadać me stosunki z Edgarem i ewentualnie uzyskać materiał obciążający przeciw ludziom aparatu N. Zrozumiałe więc było zdziwienie, gdy oświadczyłem, że nie wiem co to jest aparat N.

Podpisałem. W głębi duszy dziwiłem się, że mnie, jako cudzoziemcowi, kazano coś takiego podpisać.

— Przyjdźcie pojutrze o pierwszej w nocy. Dajcie przepustkę. Podpisał i podniósł się.

— Możecie teraz iść.

Nie liczyłem na to, że gmach ten opuszczę. Ciężar spadł mi z serca. Nieznośne napięcie ostatnich godzin ustąpiło. Zbiegłem ze schodów, oddałem przepustkę posterunkowi i pośpieszyłem na ulicę. Zwolniłem tempo dopiero, gdy znalazłem się już na ulicy Puszkina. Byłem do głębi wstrząśnięty, lecz w owej chwili czułem tylko zwierzęcą radość oddychania świeżym powietrzem. Z pewną trwogą myślałem o wezwaniu na drugą noc. Lecz teraz miałem 48 godzin czasu, by działać i zastanowić się.

Była już niemal czwarta, gdy przybyłem do domu. Otworzył mi drzwi mój przyjaciel Marcel, który mieszkał u mnie wraz z żoną.

— Co się z tobą dzieje, Alex? Jak ty wyglądasz?

— Coś się stało. Nie mogę ci opowiedzieć. Mam nadzieję, że skończy się dobrze.

— Powiedz jednak co się stało. Gdzie byłeś?

— Nie mogę o tym mówić. Daj mi coś do zjedzenia.

Wszedłem do jadalni. Lena zerwała się i podbiegła do mnie. Instynktem odgadła, gdzie byłem. Zarzuciła mi ramiona na szyję:

— Co oni z tobą zrobili?

— Lenoczka, nie mogę mówić, nie wolno mi mówić. Nie pytaj mnie. Wszystko będzie dobrze, a teraz daj mi coś zjeść.

Podczas jedzenia zastanawiałem się, co mógłbym uczynić. Jasne było, że po tej rozmowie z gepistami nie mogę pozostać dłużej w kraju. Nie wiedziałem, czy mnie wypuszczą. Bez pozwolenia Kominternu nie mogłem opuścić kraju, nie narażając się na zarzut ciężkiego naruszenia dyscypliny partyjnej. Gdybym jednak nawet otrzymał pozwolenie, do wyjazdu niezbędna była wiza z oddziału zagranicznego policji. Policja podlegała bezpośrednio GPU. W moim wypadku nie udzieliłaby wizen bez zapytania zarządu obwodowego NKWD. Akta musiałyby bezwarunkowo dojść do rąk tych samych ludzi, którzy dzisiaj rozmawiali ze mną przez cztery godziny.

Ale dlaczego właściwie ze mną rozmawiali? Co ich do tego skłoniło? Jakież sens miało wezwać mnie i tym samym mnie ostrzec, jeśli rzeczywiście uważali mnie za nieprzyjacielskiego agenta? Agent mógłby przecież zawsze w jakiś sposób uciec.

Ludzie tego rodzaju mają prawdopodobnie nielegalne kontakty, prowadzące do samej granicy.

Może podejrzewają tylko, że jestem kontrrewolucjonistą i chcą się o tym przekonać drogą osobistego kontaktu. Chcą zobaczyć, jak reaguję na te zarzuty, czy czynię cokolwiek, by przygotować swą ucieczkę. W ciągu najbliższych dni będą mnie niewątpliwie stale obserwowali. Gdy z mej postawy nabiorą przekonania, że mam czyste sumienie, może przestaną mnie prześladować.

Te same myśli bez przerwy kotłowały się w mym mózgu. Nie mogłem jeść spokojnie. Wstałem, przeszedłem do gabinetu, rzuciłem się na sofę i próbowałem czytać. Początkowo wzięłem się do gazety, lecz oprócz listów kolchoźników, sławiących Stalina, zawierały one tylko artykuły, w których bez przerwy była mowa o wrogach ludu i o tym, że ich trzeba zniszczyć. Z obrzydzeniem odłożyłem gazetę. Wzięłem do ręki tom Tołstoja „Wojna i pokój”. Lena właśnie czytała tę książkę. Strona, na której otworzyłem książkę, zawierała scenę w domu Rostowych, między Natalią Rostową a jej kuzynką Sonią. Mimo wstrząsu nerwowego, którego doznałem, zacząłem czytać. Lektura uspokoiła mnie trochę. Pomyślałem sobie, jak to inaczej było dawniej. Czy piękniej? W każdym razie panowały pomiędzy ludźmi ludzkie, otwarte stosunki i nie musieli obawiać się ukrytego wroga w każdym sąsiedzie. Nie zmuszano ich do węszenia wszędzie agentów i do denuncjowania swych przyjaciół. Ale może i to nieprawda. Może ten idylliczny nastrój, odtworzony przez wielkiego pisarza, panował tylko w nielicznej warstwie. Tylko w środowisku arystokratycznym, z którego Tołstoj sam pochodził. Prawdopodobnie tylko znikoma część ówczesnego społeczeństwa zażywała tej względnej wolności i to tylko dzięki wyzyskowi i uciskowi poddanych chłopów. Ale bądź co bądź przynajmniej klasa panująca była wolna. Jak jest teraz? Czy robotnicy i inteligencja pracująca naszego kraju nie stanowią klasy panującej? I czy można powiedzieć, że oni są wolni? Czyż nie muszą się lękać każdej anonimowej denuncjacji? I co gorsze, czy sami nie są zmuszani do denuncjowania?

Czytałem dalej i powoli zapominałem o mym zmartwieniu. Niepokój znikał, nie myślałem już o przeżyciach dzisiejszego popołudnia i szukałem schronienia wśród postaci wielkiej powieści. Potem zasnąłem.

Był już wieczór, gdy się obudziłem. Natychmiast przypomniałem sobie sceny z przedpołudnia i poczułem ucisk w sercu. Opanowałem trwogę i zmusiłem się, w miarę możliwości — do spokojnego rozmyślenia. Trudno było coś zdecydować, a zwłaszcza

trudno było samemu decydować, nikogo nie mogąc zapytać o radę, z nikim nie mogąc sprawy przedyskutować.

Należało przede wszystkim zawiadomić mego szwagra i moją teściową w Moskwie. Jechać nie mogłem. Zrozumiano by to jako ucieczkę i prawdopodobnie natychmiast zostałbym aresztowany. Telefon był na pewno podsłuchiwany. Tak samo kontrolowane były moje listy. Nie mogłem też nikomu powierzyć listu; mógłby wpaść w obce ręce, a ja zostałbym aresztowany za zdradę tajemnic państwowych. Jakże to trudno samemu dźwigać taki ciężar.

Opuściłem mieszkanie i przeszedłem przez park do granicy terytorium Instytutu. Noc była zimna, wywieżdżona, głęboki śnieg skrzypiał pod podeszwami. Przeszedłem obok instalacji wysokiego napięcia i usiadłem na ławce, z której rozciągał się daleki widok. W odległości 15 kilometrów mogłem jeszcze rozpoznać światła fabryki traktorów. Rozmyślałem.

Naraz przyszła mi pewna myśl do głowy. Pojadę jako ochotnik do Hiszpanii. Komintern werbuje teraz ludzi. Zgłosiło się wielu członków naszego Schutzbundu. Gdy zgłoszę się do rewolucyjnych batalionów w hiszpańskiej wojnie domowej, GPU nie będzie mogło tego uważać za ucieczkę. Nie mam wprawdzie przeszkolenia wojskowego. Jestem jednak zdrowy, jestem inżynierem i nauczyłem się szybko obchodzić się z bronią techniczną. Teraz właśnie jest pora. Wielkie mocarstwa postanowiły w Londynie zamknąć od pewnego momentu dopływ broni i ochotników do Hiszpanii. Toteż Kominternowi śpieszno jest przerzucić ostatnie rezerwy do Hiszpanii. Proszę mą załatwić szybko. Oto droga wyjścia.

Wstałem i poszedłem do naszego klubu. Spotkałem tam kolegów, nie potrafiłem jednak kontynuować rozpoczętej rozmowy. Słuchałem dyskusji, ale myślami byłem przy scenach z dzisiejszego przedpołudnia. Poszedłem wkrótce do domu, wziąłem mocny środek nasenny i położyłem się do łóżka.

Rankiem pojechałem na plac budowy i wziąłem się intensywnie do pracy. Liczyłem się z tym, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, będę mógł za miesiąc opuścić kraj. Chciałem mą pracę administracyjną przekazać w całkowitym porządku memu następcy. Badałem projekty, ustalałem terminy końca robót budowlanych i montażowych, dyskutowałem z księgowym zapotrzebowanie na kredyty na pierwszy kwartał, prosiłem go, by mi jak najszybciej dał prowizoryczny bilans. Potem dokonałem przeglądu placu budowy. Raz jeszcze spojrzałem za rzekę na koksownię, cieszyłem się widokiem naszych domów mieszkalnych, których budowa dobiegała końca i skierowałem się ku stacji chłodzenia do niskich temperatur, której główna hala była już oszklona. Wyglądała

bardzo pięknie i nowocześnie. Pierwszy projekt był ohydny. Nie zaakceptowałem go i mimo powszechnego oporu poprosiłem młodego architekta, by go zmienił po mej myśli. Teraz był dobry. Pierwszy wariant z mnóstwem małych okienek wyglądał jak fabryka włókiennicza z pierwszej połowy XIX stulecia. Teraz, jak to wszyscy przyznawali, stacja stała się jedną z najpiękniejszych budowli przemysłowych w obwodzie charkowskim. Patrząc na nią cieszyłem się nieustannie.

Przeszedłem przez halę i zatrzymałem się przy wielkim skruberze. Był od dołu otwarty, wewnątrz ktoś manipulował lampą. Na moje wezwanie wyczołgał się ze środka. Byłem zdumiony. Przedemną stała Anna Nikołajewna Siergiejewa, zakurzona i ubrudzona, w skórzanym kaftanie i skórzanych spodniach. Wygląd jej zasmarowanej twarzy kontrastował nieco z jej bardzo wypięlgnowanymi blond włosami i pięknymi rękami.

— Co tu robicie, Anno Nikołajewno?

— Nie mogłam w pełni zrozumieć aparatury do chłodzenia niskich temperatur na podstawie rysunków i chciałam się temu wszystkiemu przyjrzeć przy montażu. Ja tu często przychodzę.

Anna Nikołajewna Siergiejewa była studentką, która zgłosiła się do nas przed pół rokiem. Podobał mi się jej spokojny, inteligentny i wykwinny sposób mówienia i wstawiłem się, by została przyjęta. W kilka miesięcy później ukończyła Instytut Technologiczny. Młodzi inżynierowie byli zobowiązani po ukończeniu studiów odbywać praktykę w wielkich fabrykach i dopiero po kilku latach — jeśli woleli pracę badawczą — mogli przechodzić do instytutów naukowych. Nasza stacja doświadczalna była czymś pośrednim między instytutem naukowym a fabryką. Anna Nikołajewna była predestynowana do pracy naukowej. Po ukończeniu studiów otrzymała jednak, jak wszyscy inni studenci w jej grupie, polecenie ludowego komisariatu wyjazdu na dwa lata do fabryki związków azotowych Gorłowka w Zagłębiu Donieckim. Przyszła do mnie, by się pożegnać. Przykro mi było utracić jej współpracę. Powiedziałem:

— Zaczekajcie, Anno Nikołajewna. Będę jeszcze próbował. Być może nie będziesz musiała wyjechać.

Napisałem do ludowego komisariatu i przedstawiłem ten wypadek jako szczególny. Po trzech tygodniach nadeszło polecenie z Moskwy, że ma odbywać swą praktykę u nas. Wręczyłem jej dokument, nie powiedziała słowa, ale z uścisku ręki, którym mi podziękowała, czułem, że była bardzo szczęśliwa. Dla młodego inżyniera o ambicjach naukowych praca u nas zapowiadała się bardzo owocnie.

Anna Nikołajewna wysunęła się na czoło naszych młodych

aspirantek. Nie lękała się żadnej pracy. Chociaż nie należała ani do partii ani do Komsomołu, spełniała z przykładną sumiennością nie tylko swe obowiązki techniczne ale także i społeczne. Kiedyś, celem dokształcenia technicznego najlepszych robotników, trzeba było znaleźć inżyniera do wygłoszenia dla nich wykładów. Anna Nikołajewna objęła to zadanie i świetnie je wykonała. Towarzy-sze robotnicy byli bardzo zobowiązani swej młodej i inteligentnej nauczycielce. Pewnego dnia przyszła do mnie i powiedziała:

— Aleksandrze Siemionowiczu, płacą mi za pracę na kursie dokształcającym dwa ruble za godzinę. Zdaje mi się, że to za mało.

Było to rzeczywiście haniebne wynagrodzenie. Nie wiedziałem o tym do tej pory. Nie była to praca określona normami i do chwili obecnej nie wiem, kto właściwie ustalił tę niską stawkę. Zapytałem:

— Jak wam się zdaje, ile by się należało?

— Zdaje mi się, że powinnam zarabiać pięć rubli za godzinę.

— Zgadzam się. Przekażcie tę decyzję głównemu księgowemu. Ureguluje on sprawę — i to z mocą wsteczną.

Podobał mi się spokojny i stanowczy ton, którym prosiła o podwyżkę płacy. Wiedziała, co było jej obowiązkiem i wiedziała, co jej przysługiwało. Bardzo często brała na siebie prace bez żadnego wynagrodzenia. Nie chciała korzystać z żadnych przywilejów materialnych bez odpowiedniej rzeczywistej pracy. Lecz z drugiej strony za dobrze wykonaną pracę domagała się odpowiedniego wynagrodzenia — bez ceregieli i bez fałszywego wstydu.

Myślałem o tym wszystkim, gdy patrzyłem teraz jak wypełza-ła z wnętrza skrubera. Ci młodzi ludzie są najlepszym okazem społeczeństwa sowieckiego. Bardzo rzadko biorą udział w dysku-sjach politycznych, lecz są całkowicie oddani sprawie budownic-twa socjalistycznego. Oddają swą inteligencję i swój trud na służbę wielkiej postępowej idei i są przy tym szczęśliwi, aczko-łkolwiek żyją biedniej, odcięci od różnych zdobyczy cywili-zacji, z jakich korzysta młodzież na Zachodzie. Czy nie będzie mi bardzo brak ludzi tego rodzaju, jeśli teraz opuszczę kraj na zawsze? Czy ich jeszcze kiedyś zobaczę? Czy jeszcze kiedyś powrócę?

Zacząłem na nowo obchodzić instalacje. Towarzyszyła mi Anna Nikołajewna.

— Aleksandrze Siemionowiczu, jak myślicie, kiedy będziemy gotowi?

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to myślę, że za dwa do trzech miesięcy.

— Czy cieszą się bardzo na chwilę rozruchu, Aleksandrze Siemionowiczu?

— A wy, Anno Nikołajewna?

— Przyznaję chętnie, że cieszę się bardzo, chociaż mało się do tego przyczyniłam. Ale radość mnie ogarnia na myśl o nowej pracy, która się wtedy zacznie.

— Czy sądzicie, że praca u nas będzie piękniejsza niż gdzie indziej?

— Nigdzie nie mogę jej sobie wyobrazić piękniejszej niż tutaj. Moi przyjaciele przyjeżdżają czasami z Zagłębia Donieckiego do Charkowa i opowiadają. Nie są niezadowoleni z pracy. Ale w rok po rozruchu nowego kombinatu, gdy już wszystko idzie jak w zegarku, robota staje się monotonna. Wciąż robić te same analizy i tylko czuwać nad procesem produkcji, to nie dla mnie. Tutaj są perspektywy, że się człowiek wciąż czegoś nowego będzie dowiadywał i że sam będzie eksperymentował. Także współpraca jest u nas bardziej harmonijna, niż gdzie indziej. Mniej intryg.

— Tak sądzicie, Anno Nikołajewna?

— Sami przecież wiecie, Aleksandrze Siemionowiczu. W napięciu czekam, czy instalacja będzie funkcjonowała. Przede wszystkim cieszę się tym, że gdy już będzie gotowa, przychodzić będą do nas najlepsi ludzie. Czy będziemy zapraszali także uczonych zagranicznych, Aleksandrze Siemionowiczu?

— Nie sądzę, by którykolwiek cudzoziemcy jeszcze do nas przyjeżdżali. Nie pora na to.

— Ależ dlaczego? Mają oni przecież o wiele więcej doświadczenia niż my. A jeśli są tacy, którzy uczciwie chcą z nami pracować?

— Nie będzie się już zapraszało żadnych uczonych z zagranicy do Związku Sowieckiego. W każdym bądź razie ja osobiście nie będę już mógł inicjować takich zaproszeń.

— A czemuż to nie, Aleksandrze Siemionowiczu? Mówicie dziś tak dziwnie.

— Anno Nikołajewna, powiem wam coś, jeśli mi przyrzekniecie, że zachowacie to dla siebie. Nie będzie już mnie przy wykończeniu i rozruchu stacji.

— A to czemu? Czy chcecie nas opuścić?

— Niezupełnie, Anno Nikołajewna. Odkomenderowują mnie. Do innej pracy.

— Ależ to nie do pomyślenia, Aleksandrze Siemionowiczu, abyście opuścili przed ukończeniem budowę, którą w ciągu trzech lat przeprowadziliście przez największe trudności.

— Nie mam wyboru.

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie wiem co wami powoduje

i z jakich przyczyn kierownictwo was odwołuje. Uważam jednak, że wasze odejście teraz byłoby nienaturalne. Nasi ludzie dlatego przywiązują tyle nadziei do stacji, że ufają waszej energii. Znam tu robotników równie dobrze jak techników i inżynierów. Wszyscy jesteśmy tego samego zdania.

— Ładnie, że mi to mówicie, Anno Nikołajewna. Ale na moją decyzję wpłynąć to nie może. Ani też na decyzję moich przełożonych. Mam nadzieję, że jeszcze tu kiedyś powrócę i zobaczę wtedy, co w tym czasie stworzyliście.

Przystąpiła do mnie i podała mi rękę.

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie wiem, co powoduje waszą decyzję, czuję jednak, że coś nie jest w porządku, jeśli musicie od nas odejść. Jesteśmy tu zbyt mali, by móc mieć wpływ na te rzeczy. Dziękuję wam za to, żeście mi swego czasu pomogli.

— Bądźcie zdrowa, Anno Nikołajewna.

Najwidoczniej zdawała sobie sprawę, jak się rzeczy ze mną mają i szukała ostrożnego sposobu okazania mi swego współczucia.

Opuściłem stację i przeszedłem do budynku administracyjnego. Po drodze spotkałem Komarowa, który mnie zawiadomił, że dziś po pracy odbędzie się posiedzenie członków związku zawodowego. Odmówiłem przyjścia. W biurze moim czekał ogrodnik. Przyniósł ze sobą plany zieleńców na całym obszarze budowy. Dla zaopatrzenia obszaru zakładów pracy i osiedla mieszkaniowego w cieniste drogi, miało się przeflancować z pobliskiego lasu trzy- lub czteroletnie drzewka. Jako ogrodzenie całego terenu przewidziałem zamiast obowiązujących obrzydliwych murów ceglanych — zielone żywopłoty, wysokości człowieka, kryjące drut kolczasty. Ogrodnik zwrócił mi uwagę, że trudno będzie uzyskać zezwolenie na takie ogrodzenie dla terenu, na którym wykonywane będą także prace związane z obroną kraju. Ogrodzenie takie było jednak bezpieczniejsze od muru, który łatwo jest przeskoczyć. Przeglądałem plany ogrodów i myślałem w głębi duszy: Nigdy już nie będę mógł zobaczyć, czy decyzje moje były trafne; czy będzie tu pięknie; czy ludzie żyjący i pracujący tutaj będą się czuli dobrze; czy wyniki prac badawczych zwrócą krajowi wysokie koszty inwestycji.

Była już czwarta rano. Zatelefonowałem do garażu i zażądałem wozu. Grisza miał dzisiaj znowu swój szalony dzień i jechał jak opętany. Tym razem nie powstrzymałem go, tempo działało mi dobrze na nerwy. Po piętnastu minutach byliśmy w domu.

Otworzyłem drzwi do mieszkania i natychmiast opadła mnie wczorajsza beznadziejność. Widziałem, że Marcel i Lena tylko z trudem opanowują swój niepokój, aby mnie oszczędzić. Pomyślałem o jutrzejszej nocy i na samą myśl skurczyło mi się serce.

Czego oni chcą ode mnie? Co im zrobiłem? Dlaczego nie pozwalają nam wszystkim żyć spokojnie i pracować? Cały ciężar dawnych lat przecież już przeminął. Nie ma już głodu, nie ma już walki w partii, nie ma już problemów linii politycznej. Należy teraz cieszyć się życiem, pracować i być przez to pożytecznym krajowi. Dlaczego nie dają nam spokoju? Komu to wszystko jest potrzebne? Ta czujność, gdy nie ma niczego do strzeżenia, te denuncjacje, gdy nie ma nic do denuncjowania. Drobnie intrygi, którymi ludzie nawzajem utrudniają sobie życie, istnieć będą zawsze, w każdym systemie rządzenia, w każdym ustroju społecznym. Jeśli jednak nie podsycaliby ich i nie podniecał z góry tajny aparat, uchylający się spod wszelkiej kontroli, to nie potrafiłyby zniszczyć fundamentów współżycia ludzkiego do takiego stopnia, jak się to obecnie u nas dzieje. Dobrze świadczy o odwadze Anny Nikołajewny, że okazała mi dziś swą sympatię. Na pewno już słyszała, że jestem zlikwidowany. Ale ilu postąpiłoby tak jak ona?

Lena przyniosła posiłek, usiedliśmy do stołu. Nikt nie wyrzekł słowa. Oboje patrzyli na mnie. Nie mogłem wytrzymać nastroju przygnębienia i podjąłem rozmowę na obojętny temat. Zaraz po jedzeniu wycofałem się do mego gabinetu i ponownie schroniłem się przed swymi myślami w lekturze powieści Tołstoja.

Wieczorem wstałem, poszedłem do biblioteki Instytutu i próbowałem czytać czasopisma. Po chwili zrezygnowałem. Nie byłem w stanie się skupić.

Wyszedłem z Instytutu i skierowałem się do klubu. Odbywało się małe przedstawienie i nasi komsomolcy śpiewali pieśni z czasów wojny domowej. Przypadli mi do serca i nieco mnie uspokoiłi. Gdy opuszczałem klub, spotkałem na schodach Piatigorskiego, rozmawiającego z kilkoma aspirantami. Mówili o hiszpańskiej wojnie domowej. Naraz postanowiłem ujawnić swój zamiar. Piatigorski niezwłocznie zamelduje o nim do GPU. Tego byłem pewny i to mi właśnie odpowiadało. Chciałem wiedzieć, jak Polewecki na to zareaguje. Wmieszałem się do rozmowy:

— Myślę, że ja sam pojedę do Hiszpanii.

Moja uwaga wywołała wśród młodych ludzi powszechne zainteresowanie.

— Jak to chcecie zrobić, Aleksandrze Siemionowiczu — zapytał Piatigorski.

— Wielu zagranicznych towarzyszy wyjeżdża teraz do Hiszpanii. Myślę, że mógłbym tam być pożyteczniejszy niż tutaj.

— No tak, ale jak chcecie się tam dostać?

— Odpowiednie organizacje formują transporty. Zgłoszę się. Reszta nie należy do mnie.

Teraz już nikt nie stawiał pytań. Młodzi ludzie byli u nas wdrożeni do politycznej dyscypliny. Jeśli padło słowo „odpowiednie organizacje”, to zazwyczaj dyskusja się kończyła. Wobec „odpowiednich organizacji” obowiązywało ślepe posłuszeństwo. Prawdopodobnie dziwili się w głębi duszy, że w ogóle o tym mówiłem. Miałem jednak określony cel w tej niedyskrecji.

Poszedłem do domu. Rozmowa, w której ujawniłem swoje zamierzenia na przyszłość, oddziaływała na mnie. Poczuję się pewniej. Puszczą mnie, pomyślałem sobie. Wszystko to jest tylko ich głupim eksperymentem dla poddania mnie próbie.

Położyłem się do łóżka i myślałem o Hiszpanii. Jakże to będzie pięknie oddychać znowu powietrzem wolności, być wolnym od nieznośnego ucisku, który od dwóch lat ciążył nad nami i coraz bardziej wzrastał. Zaczął się od zamordowania Kirowa w dniu 1 grudnia 1934 roku. Przez przypadek w tym samym dniu kierownictwo Instytutu objął nowy dyrektor Dawidowicz, otwierając w Instytucie nową erę. Instytut został zgłajchszaltowany. Każde słowo Dawidowicza tchnęło tłumioną nieufnością. Nie tylko ja, cudzoziemiec, ale i wszyscy ludzie, wykazujący charakter i nie chcący wyrzec się swobody i niezależności myślenia, byli prześladowani. Czuło się, że ten człowiek i jego agenci nieustannie informują GPU, informują fałszywie i szczują przeciwko nam. Po jego upadku sądziłem, że w Instytucie będzie znowu znośnie. Było to złudzenie. Nie ja i moi przyjaciele reprezentowaliśmy rzeczywiste intencje kierownictwa partii i rządu, lecz Dawidowicz i gepiści, którzy wczoraj ze mną rozmawiali. Po tej rozmowie nie było już odwrotu. Muszę odejść, o ile mi jeszcze w ogóle pozwolą odejść. Muszę odejść, jeśli nawet nie łatwo mi jest wszystko porzucić.

W Hiszpanii winno być dobrze. Przecież to wielka rzecz, stać w otwartej walce przeciwko wrogowi, którego się rzetelnie nienawidzi i za każdym ciosem odczuwać, że się go zadaje temu większemu wrogowi, w Berlinie. Nie będzie tam intryg, nie będzie powszechnej nieufności. Każdy będzie mógł wykazać w walce swą wartość.

Czy mnie wypuszczą? Chyba tak.

Uspokojony zasnąłem.

Obudziła mnie Lena. Kierowca już czeka. Pochłonałem śniadanie i pośpieszyłem do wozu. Starłem się nie myśleć o tym, co mnie czeka dziś w nocy. Po przybyciu na plac budowy rzuciłem się w wir pracy. Przejrzałem ostatnie preliminarze, które miały iść do Moskwy do zatwierdzenia przez władze. O ósmej przyszedł księgowy. Wezwałem go do siebie i przez dwie godziny debatowałem z nim bardzo intensywnie. Wbrew memu ocze-

kiwaniu, mogłem się skupić. Uwagi mej nie uchodził żaden szczegół. Obliczaliśmy, czy damy sobie rady z ośmiu i pół milionami rubli, które nam przyznał rząd na wydatki. Rozpatrywaliśmy dotychczasowe wydatki na każdy obiekt, zestawialiśmy oszczędności i przekroczenia budżetowe i sporządzaliśmy kosztorys robót końcowych. W rezultacie okazało się, że wzrost wydatków na robotach budowlanych pokryjemy całkowicie oszczędnościami na montażu i urządzeniu. Sekretarka zgłosiła delegację robotników, mających swe domki na obszarze budowy. Byliśmy zmuszeni przenieść te domki na inne miejsce i prowadziliśmy z robotnikami rokowania o odszkodowanie. Rokowania te po długich walkach dobiegły końca ku obopólnemu zadowoleniu. Teraz przyszli do mnie w jakiejś drobnej sprawie.

— Towarzysze, idźcie do Komarowa, on jest teraz kierownikiem. Nie mogę się już zajmować waszymi sprawami.

Jedna z kobiet odpowiedziała:

— Aleksandrze Siemionowiczu, wy zaczęliście sprawę, wy musicie ją doprowadzić do końca. Z nikim innym nie chcemy mówić.

— Komarow jest bardzo rozumny i chętnie wam pomoże. Ja już nie mam prawa decydować w tej sprawie.

Niezbyt chętnie odeszli. Pośpieszyłem na plac. Szybko dokonałem inspekcji wszystkich obiektów. Mówiłem z brygadierami, pytałem magazyniera, jakich mu brak materiałów i czego najwięcej ubywa. Zanotowałem na kartce materiały deficytowe i dałem ją kierownikowi oddziału zaopatrzenia. Potem poszedłem do domów mieszkalnych. Pierwszy blok był niemal gotowy. Mieszkania były przesłiczne i wykonane bardzo starannie. Wyszedłem na balkon jednego z mieszkań. Był słoneczny dzień zimowy. Przede mną aleja wielkich starych drzew o gałęziach pokrytych śniegiem. Dalej — mały park leśny, który do tej pory uchronił się od uprzemysławiania okolic Charkowa. Latem będzie tu wspaniale. Rzeczywiście, był to najpiękniejszy zakątek, jaki mogliśmy wyszukać. Czuję się szczęśliwy na myśl, jak wyglądać będzie za rok. To, że sam go już nie będę oglądał, nie sprawiało mi przykrości. I tak wszyscy będą wiedzieli, że to dzieło moich rąk, mojej wielkiej namiętności. Kiedyś, kiedyś — może po dziesiętkach lat — powrócę, by go raz jeszcze zobaczyć.

Było już południe. W kuchni zakładowej spotkałem Komarowa. Cieszyłem się zawsze na jego widok. Dzisiaj widok jego napawał mnie zaufaniem do przyszłości. Położył mi poważnie i przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Witaj, Alex. Czy to prawda, co opowiadają w Instytucie? Naprawdę chcesz odejść?

— Wiesz już od roku, że nie mogę pozostać. Teraz nadszedł czas.

— Miałem w ostatnich miesiącach nadzieję, że się jeszcze zastanowisz. Gdy uczynisz rozstrzygający krok i przyjmiesz obywatelstwo sowieckie, nikt nie będzie ci tu przeszkadzał w pracy. Jestem o tym mocno przekonany.

— Ale Pietia, cóż by się wtedy zmieniło? Nie ufają nam i nie będą nam nigdy ufali. Albowiem żyliśmy przez dwadzieścia pięć lat za granicą. Tego nie da się przekreślić zmianą paszportu.

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie rozumiesz o co chodzi. Nie mogą tolerować na kierowniczych stanowiskach w sowieckim aparacie gospodarczym ludzi, którzy nie odpowiadają swą głową. Jeśli ktoś z nas w pracy popełni błąd lub nawet przekroczenie, to można go zaaresztować i pociągnąć do odpowiedzialności. Ciebie jako cudzoziemca nie można aresztować. Jest to jedyna przyczyna, dla której jesteś na tym stanowisku niechętnie widziany.

— Mylisz się Pietia. W Moskwie i Leningradzie, a także w Charkowie aresztowano w ostatnich miesiącach setki cudzoziemców.

— Udowodniono im szpiegostwo.

— Nie jestem tego tak pewny. Moja żona na pewno nie jest szpiegiem. A jednak siedzi już od dziewięciu miesięcy.

— To była pomyłka. Sam przecież mówisz, że ją wkrótce wypuszczą.

— Pietia, nie ma sensu więcej o tej sprawie mówić. Serce mi pęka na myśl, że muszę stąd wyjechać. Ale tak być musi, moja decyzja zapadła. Być może, że już w ciągu najbliższych dni będę musiał zdać pracę. Chciałbym więc dziś po południu omówić z tobą wszystko.

— Aleksandrze Siemionowiczu, wiesz, jak ciężko mi będzie bez ciebie. Nie wiem wcale, czy potrafię.

— Tak być musi, Pietia.

— W takim razie przyjdź do mnie o drugiej.

Po południu zamknęliśmy się z Komarowem w jego gabinecie. Poleciał sekretarce nikogo nie wpuszczać i nikogo nie zgłaszać. Przewertowaliśmy wszystkie plany i naszkicowaliśmy program generalny wykończenia budowy i rozruchu stacji. Komarow notował sobie wszystkie ważne punkty, podkreślił wąskie gardła programu i całość podyktował później sekretarce. Konferencja trwała trzy godziny i absorbowwała całą naszą uwagę. Dobrze mi to zrobiło; zapomniałem całkowicie o tym, co mnie czeka dziś w nocy. Jednakże gdy o piątej po południu wyczerpany podniosłem się z krzesła, lęk chwycił mnie znowu za gardło. Pojechałem

razem z Komarowem do domu. Nie mogłem mówić, myślałem wciąż tylko o jednym i tym samym. Przy pożegnaniu Komarow ścisnął mi rękę mocniej niż zazwyczaj. Musiał wyczuć, co się we mnie działo.

Gdy przekraczałem próg domu, przestałem panować nad sobą. Opuściła mnie rozwaga, biegałem z jednego kąta w drugi, szukałem dokumentów, to znowu z tego rezygnowałem. Zjadłem pośpiesznie posiłek, próbowałem czytać znowu Tolstoja. Nie rozumiałem ani jednego zdania. Potem wyszedłem z domu, poszedłem ulicą Czajkowskiego obok cmentarza niemieckiego. Było tam przestronnie, myślałem, że mnie to uspokoi. Wszedłem potem na drogę do Biełgorodu i w szybkim tempie zrobiłem trzy kilometry aż do kolonii bezprizornych imienia Maksyma Gorkiego, a potem z powrotem do Instytutu. Ale przez cały ten czas nie opuszczała mnie myśl o dzisiejszej nocy. Co ze mną zrobią? Czy będą mnie torturowali? Czy mnie zatrzymają?

Powróciłem do Instytutu. Na schodach spotkałem Gorskiego. Zadał mi jakieś zapytanie, — odpowiedziałem bezmyślnie. Najwidocznie zauważył moje podniecenie i dał mi spokój. Poszedłem do domu i rzuciłem się na sofę. O śnie nie było mowy. Chciałem uporządkować swe finanse i pozostawić Marcelowi prawo rozporządzania moimi pieniędzmi. Nie potrafiłem jednak zrobić niczego w tym celu. Strach zakradł się do mego serca i nie wypuszczał mnie ze swych kleszczy. Żadnej myśli nie mogłem doprowadzić do końca, żadnej decyzji podjąć, żadnego działania rozsądnie wykonać. Biegałem po mieszkaniu, nieustannie szukałem zarzuconych papierów, rozkazu ludowego komisarza z roku 1933 z pochwałą mej pracy. Każdego pisma z wyrazami uznania, jakie otrzymałem kiedykolwiek od władz przełożonych. Może ich to ułagodzi, że dobrze pracowałem. Lena i Marcel zauważyli mój gorączkowy niepokój. Usuwali mi się z drogi i nie odzywali się do mnie słowem. Potem jednak Lena nie wytrzymała. Przyszła, zarzuciła mi ręce na szyję i powiedziała:

— Lubię cię bardzo, Aleksandrze Siemionowiczu, co się stanie z nami wszystkimi?

Ucałowałem ją.

— Nie wiem, Lenoczka. Jestem u kresu sił.

Wybuchła płaczem.

Około północy odzyskałem zimną krew. Zmusiłem się do zdławienia strachu. Niech przyjdzie co chce, muszę wytrzymać. Nie mam wyboru.

Polewecki odłożył papierosa w chwili, gdy wchodziłem. Był w dobrym humorze.

— Witajcie, Aleksandrze Siemionowiczu.
— Witajcie, obywatelu sędzio śledczy.
— Siadajcie, Aleksandrze Siemionowiczu. Mam nadzieję, że namyśliliście się.

— Nie mam się nad czym namyślać.
— Nie wiem, jak to mam rozumieć?
— Po prostu nie mam nic nowego do powiedzenia.
— Aleksandrze Siemionowiczu, myślę, że nie rozumiecie sytuacji. Uważacie nas za swych wrogów, a tymczasem my wam chcemy dopomóc. Zebraliśmy dostatecznie dużo dowodów, żeby móc was zaaresztować jednakowoż nie zrobiliśmy tego. Nie sądzimy, byście byli zaprzysięgłym wrogiem władzy sowieckiej. Jesteście człowiekiem sprowadzonym na manowce, któremu chcemy pomóc wydostać się na prostą drogę. Od was zależy decyzja, czy chcecie zawrócić.

— Obywatelu Polewecki, od pierwszej chwili nie rozumiałem nic z tego co mówiliście do mnie i nadal nie rozumiem. Po prostu nie wiem czego ode mnie chcecie. Jeśli sądzicie, że macie przeciwko mnie jakikolwiek materiał, powiedzcie mi o co chodzi, postawcie mi pytania, zażądajcie konkretnych wyjaśnień co do wszystkiego, co jest dla was w moim życiu niejasne. Odpowiem z największą szczerością i mam nadzieję, że to rozproszy wszystkie wasze zastrzeżenia w stosunku do mnie, albowiem nigdy nie zajmowałem wobec władzy sowieckiej stanowiska wrogiemu.

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy rzeczywiście wierzycie, że ktoś by mi pozwolił mówić do was, szanowanego obywatela, inżyniera, pracownika naukowego, tak jak mówiłem do was przedwczoraj, gdybym nie miał tu w mych aktach bezwzględnych dowodów, nieodpartych dowodów waszej winy?

— No tak, ale w takim razie powiedzcie o co chodzi! Co mi zarzucacie?

— Pozostawaliście w kontakcie z wrogami naszego kraju, naszej partii i naszego rządu. Odbieraliście od nich polecenia i wykonywaliście je. Werbowaliście innych do tej roboty dywersyjnej.

— Są to twierdzenia zupełnie ogólnikowe. Powiedzcie mi konkretnie, co uczyniłem i pokażcie mi wasze rzekome dowody.

— Dopóki pozostajecie na wolnej stopie, dokumenty dowodzące waszej winy są tajemnicą śledztwa. Po naszym aresztowaniu zobaczycie cały materiał. Spodziewam się jednak, że wkrótce sami wszystko zeznacie, aby uniknąć aresztowania.

— Obywatelu Polewecki. Twierdzę może po raz dziesiąty, że jestem całkowicie niewinny. Wy jesteście innego zdania. Dajcie mi możliwość udowodnienia wam mej niewinności! Jeśli jednak zaślaniacie się tajemnicą śledztwa, nie możemy ruszyć z

miejsca. Nie mogę się przecież bronić przed zarzutami, których treści nie znam.

— Aleksandrze Siemionowiczu, chcę wam zrobić propozycję. Idźcie teraz do domu i wróćcie znowu pojutrze. Wyzyskajcie te dwa dni na rozpatrzenie całego waszego życia. Przyjdźcie potem i powiedzcie mi, kiedy po raz pierwszy nawiązaliście kontakt z wrogiem i co was nakłoniło do przejścia na jego stronę. Gdy zobaczymy, że uczciwym zeznaniem wykazujecie pragnienie, by znowu być sowieckim człowiekiem, wtedy utorujemy wam dalszą do tego drogę. A teraz idźcie.

Zadzwoił, podpisał przepustkę i zanim jeszcze wszedł żołnierz, powiedział:

— Aleksandrze Siemionowiczu, to wasza ostatnia szansa. Jeśli jej nie wyzyskacie, zniszczycie sami siebie. Wtedy nie zostanie nam w walce z wami nic prócz siły.

Nie odpowiedziałem. Opuściłem gmach i zanurzyłem się w widną noc zimową. Byłem szczęśliwy z odzyskanej wolności. Jeszcze raz zwłoka. Nie myślałem o tym, co będzie za dwa dni. Dwa dni wydawały mi się nieskończonością. Pogałem do domu i myślałem z upodobaniem o mym pięknym pokoju, o mych książkach, o Marcelu i Lenie.

Oboje jeszcze nie spali. Marcel uściśnął mnie. Cieszył się, że tak szybko wróciłem i uważał to za dobry znak.

— No więc, Alex, jak sprawy stoją?

— Sądzę, że nieźle. Mam pojutrze przyjść znowu, ale spodziewam się, że wszystko skończy się dobrze.

Lena przyniosła herbatę. Uspokoilem się całkowicie. Napięcie ostatnich dwóch dni ustąpiło. Pogawędziłem z nimi jeszcze trochę i poszedłem potem spać.

Dzień następny przeszedł na załatwianiu najpilniejszych spraw. Nie miałem czasu, aby myśleć o swych rozmowach z GPU. Dopiero wieczorem przyszły mi na myśl ostatnie słowa Poleweckiego: „Rozpatrzcie całe wasze życie”. Co mógł mieć na myśli? Przede wszystkim, czy uważa mnie rzeczywiście za wroga państwa, szpiega obcego mocarstwa, szkodnika, za kogoś w tym rodzaju? Czy też w oczach jego „kontrewolucjonista” jest czymś innym niż w moich? Przed kilku laty zapytał mnie kiedyś Komarow: Co to jest trockizm? Odpowiedziałem w prostocie ducha: „ultralewackie odchylenie”. Na to Komarow: „Trockizm jest przednią strażą międzynarodowej kontrewolucji”. Zamilkłem wtedy, gdyż wiedziałem, że wszelka dalsza dyskusja mogłaby stać się niebezpieczna. Nigdy nie zgadzałem się z polityką Trockiego, ale nazywanie twórcy Armii Czerwonej kontrewolucjonistą było przecież stawianiem sprawy do góry nogami. Może Polewecki

w swych oskarżeniach wychodzi z podobnych definicji? Jeśli Trocki jest kontrrewolucjonistą, to ja mogę być wrogiem państwa. Jeśli mówi, że jestem wrogiem władzy sowieckiej, to być może ma na myśli, że moje poglądy co do osoby Stalina odbiegają od poglądów oficjalnych, wyrażanych w prasie. I rzeczywiście miałem takie heretyckie poglądy. Czyż mogło być inaczej, jeśli widziało się wszystko, co się tu działo i jeszcze nie zapomniało się myśleć samodzielnie? Jakże dwuznaczne były ostatnie słowa Poleweckiego: „Powiedzcie mi, kiedy po raz pierwszy nawiązaliście kontakt z wrogiem”. Jeśli mieści mu się w głowie wyobrażenie, że ludzie samodzielnie myślący to wrogowie państwa, tedy będzie chciał wiedzieć, kto mnie popchnął w tym kierunku. Oczywiście nie potrafi on sobie wyobrazić, by mógł tak sam ze siebie myśleć ktoś, kto nie jest przekupiony i nie jest ogłupiony. Prawdopodobnie sądzi, że ktoś mnie zwerbował. Może jednak się myłę? Może jednak rzeczywiście uważa mnie za obcego szpiega? Co też mogło naprowadzić GPU na ten pomysł? Co jest w moim życiu niejasne? Nie znam w ogóle ludzi, którzy by pozostawali choćby nawet w najdalszych stosunkach z oficjalnymi Niemcami. Co prawda jeździłem często za granicę, ale ludzie, z którymi się tam spotykałem, byli dawnymi przyjaciółmi mej młodości. Komuniści lub socjaldemokraci. Czasem bezpartyjni fachowcy. Nie było między nimi ani jednego faszysty i chyba ani jednego burzujka. Co to być może?

Przebiegałem myślą całe swe życie. Nie myślałem więcej o przenośnym znaczeniu wyrazu „wróg państwa”. Nie mogłem uwierzyć, by mogli prześladować cudzoziemca tylko dlatego, że nie we wszystkim zgadza się z oficjalną doktryną. Przebywali przecież w kraju specjaliści zagraniczni, będący jawnymi faszystami, których nigdy nie molestowano. Kupowano ich wiedzę techniczną i rezygnowano z rozprawiania się z ich poglądami politycznymi.

Nie mogłem już sobie dać rady. Moich myśli o Stalinie nie mogli znać, nie mogli się o nich dowiedzieć. W ostatnim półroczu, nawet w najściślejszym gronie, nie rozmawialiśmy już swobodnie, przedtem zaś — także tylko bardzo ostrożnie. W rozmowach z obcymi nigdy nie wypowiadałem poglądów politycznych, odbiegających od linii oficjalnej, zaś moi bliscy przyjaciele cudzoziemscy zasługiwali na zaufanie. Do naszego grona nie przedostał się żaden agent GPU. Nie, to być nie mogło. Musieli na serio wierzyć, że jestem zagranicznym agentem. Ale jeśli w to wierzyli, dlaczego mnie nie aresztowali? Dlaczego dają mi możliwość ucieczki lub powiadomienia mych kamratów? Co się tu właściwie dzieje? Jak to wszystko ze sobą pogodzić?

Zacząłem rozmyślać nad swoim życiem. Przebiegałem myślą wydarzenia ostatniego dziesięciolecia. Defilowali przede mną ludzie, z którymi miałem łączność osobistą i ludzie, z którymi korespondowałem. Nie znalazłem niczego, co mogłoby wywołać nawet najmniejsze podejrzenie.

Późną nocą poszedłem do biblioteki. Sala była pusta. Przekreśliłem kontakt elektryczny, przejrzałem ostatnie czasopisma. Potem usiadłem i wziąłem do ręki książkę o technice niskich temperatur. Nagle coś mi się przypomniało i wprawiło w najwyższy niepokój. Było to w roku 1933. Niemcy wybudowali dla nas w Gorłowce instalację do rozkładania gazów koksowniczych chłodzeniem do niskich temperatur. Kosztowała wiele zagranicznej waluty. Mieliśmy wybudować dziesięć do dwunastu takich aparatów, każdą z nich o znacznie większej mocy od tej w Gorłowce, ale nasi inżynierowie nie mieli pojęcia o zasadach obliczania i projektowania. Ludowy komisariat polecił skopiować aparaturę niemiecką. Technicy niemieccy montowali za dnia; w nocy — rosyjscy inżynierowie i robotnicy demontowali dopiero co ustawioną aparaturę i odrysowywali każdy szczegół. Wynikiem było mnóstwo rysunków roboczych. Ludowy komisariat polecił naszemu Instytutowi dokonanie w laboratorium pomiarów stałych fizycznych gazów i ich mieszanin oraz wynalezienie metody obliczania instalacji rozdzielających. To ostatnie zadanie przypadło mnie samemu. Miałem otrzymać rysunki robocze z Gorłówki, były one jednak uznane za tajne. Musiałem je zapotrzebować w truście azotowym przez tajny sektor naszego Instytutu. Doręczono mi je wreszcie za podpisaniem rewersu, że ich nikomu nie pokażę i że w całej tej sprawie zachowam milczenie. Przy studiowaniu rysunków wiele pozostało dla mnie niejasne. Latem 1933 zamierzałem pojechać na urlop do Wiednia i Pragi i tam poprosić zaprzyjaźnionych inżynierów, pracujących w Towarzystwie Lindego w Monachium, o wyjaśnienia. Za granicą kwestie te nie były otoczone zasłoną tajemnicy państwowej, a koledzy w dyskusjach naukowo-technicznych wypowiadali się całkiem otwarcie. Mogłem się tedy dowiedzieć niejednego, co mogłoby mi później dopomóc w pracy.

W lipcu 1933 wyjechałem na dwa miesiące za granicę. Do tej pory przepracowałem zaledwie trzecią część rysunków. Postanowiłem zabrać je z sobą i pracować dalej nad nimi w czasie wakacji. Mając je przy sobie, będę mógł jaśniej stawiać pytania zaprzyjaźnionym naukowcom. Ale zabranie ze sobą rysunków nie było takie proste. Złożyłem w ludowym komisariacie w Moskwie wniosek o pozwolenie. Mój wniosek musiał iść do GPU. Leipunski był właśnie w Moskwie. Chciał załatwić sprawę. Ale

za żadną cenę nie chciano dać mi rysunków do rąk własnych. Będą mi doręczone w Wiedniu, w poselstwie.

Otrzymałem rysunki z sześciotygodniowym opóźnieniem. Nie było już teraz mowy o ich przestudiowaniu, a co dopiero o przedyskutowaniu odnośnych problemów z zagranicznymi inżynierami. Zabrałem rysunki z powrotem do Charkowa. A teraz, gdy sobie to wszystko przypomniałem, zdjęła mnie zgroza. Komu je oddałem? Tajnemu sektorowi? Nie, to byłbym zapamiętał. Było to zawsze połączone ze skomplikowaną procedurą. Otrzymałbym potwierdzenie odbioru. Może dałem je Jurze Riabininowi, który również pracował nad tymi problemami? I miał prawo je widzieć. To było najprawdopodobniejsze. Ale nie mogę sobie tego przypomnieć. Czy na litość boską nie zapomniałem ich za granicą? W mieszkaniu mych rodziców w Wiedniu? Jeśli tak było, niech się Bóg zmiłuje nade mną. Jeśli tak było, tajny sektor powiadomił GPU, że przywłaszczyłem sobie tajne dokumenty i od tego czasu obserwowali mnie jako szpiega. Muszę jutro zapytać Riabinina, czy je posiada. Ależ na litość boską, wszystko to jest szaleństwem. Rysunki nie są tajemnicą państwową, aparaty są niemieckie i Towarzystwo Lindego ma o wiele dokładniejsze rysunki swych własnych aparatów u siebie w biurze konstrukcyjnym. Co tu jest właściwie do ukrywania? Być może fakt, że Związek Sowiecki odrysował aparaty, aby je skopiować. Może to stanowić naruszenie praw patentowych lub umowy z Towarzystwem Lindego. Aby to jednak udowodnić i dać Niemcom w tej sprawie materiał, wystarczyłoby — gdybym był rzeczywiście zdrajcą — sfotografować tylko rysunki, a oryginał zwrócić tajnemu sektorowi. Jeśli zostawiłem rysunki we Wiedniu, uczyniłem to tylko dlatego, że przy mim znanym roztargnieniu po prostu o nich zapomniałem w zamęcie odjazdu. Ale czy GPU przyjmie tak niewinne wyjaśnienie? Czy mam w tę sprawę wtajemniczyć Poleweckiego? Może oni nic o tym nie wiedzą, a jeśli im powiem, jeszcze bardziej pograżę się w ich oczach.

Opuściłem Instytut podenerwowany. W domu wszyscy już spali. Rzuciłem się na łóżko i nie mogłem zasnąć. Myślałem kolejno o wszystkich epizodach moich spotkań z GPU. O mej pierwszej podróży do Leningradu do prof. Joffego, a potem o osobliwej historii z Gustawem Wegererem i produkcją sztucznych diamentów. Ale wszystko to razem wzięte nie mogło rzucić na mnie najmniejszego fałszywego podejrzenia. Sprawa rysunków — jeśli je rzeczywiście pozostawiłem za granicą — była bardzo zła.

Nazajutrz rano poszedłem do laboratorium, by zobaczyć się z Jurą Riabininem. Nie było go. Usiadłem w bibliotece i w roztargnieniu czytałem ostatnie gazety. Czy rzeczywiście mam mówić

z Riabininem? Słusznie czy niesłusznie, czułem się ostatnimi dniami do tego stopnia obserwowany, że byłem przekonany, iż każda moja rozmowa dojdzie do GPU. Riabinin nie należał do ludzi, do których miałem zaufanie. W konflikcie w łonie Instytutu odegrał bardzo wrogą rolę opowiadając się po stronie Dawidowicza i wcale nie byłem pewny, czy nie jest stałym informatorem GPU. Jeśli GPU nie ma pojęcia o całej tej historii, to moja rozmowa z Riabininem naprowadzi je na ślad. Raczej nie będę nic mówił.

O 11-ej miałem być znowu u Poleweckiego. Czas włókł się bez końca. Mój niepokój wzrastał. Wpadłem na chwilę do laboratorium Leipunskiego. Leipunski sam rzadko pracował za dnia. Absorbowały go zbyt zajęcia dyrektora Instytutu. W laboratorium był Houtermans i dokonywał pomiarów na ruchomej taśmie, by wykorzystać radon, który mu raz na tydzień przysyłano z Leningradu, przed rozpadem. Licznik, mierzący promienie kosmiczne, tykał nierównomiernie. Rzecz dziwna, uspokoiło to trochę moje nerwy. Houtermans opowiedział mi przeróżne nowinki z dziedziny czołowych zagadnień fizyki. Rozmowę prowadził zawsze w taki sposób jak gdyby odkrywanie praw przyrody było jakąś igraszką. Miało się zawsze wrażenie, że fizycy całego świata tworzą małą rodzinę gawędziarzy, którzy dla swej przyjemności zajmują się zagadkami świata. Nigdy w rozmowie z Houtermansem nie pojawiał się najmniejszy nawet patos i tylko by wyśmiał myśl, że ta praca służy postępowi ludzkości. Na kilka minut przed jedenastą opuściłem laboratorium i ruszyłem w drogę do GPU. Przyszedłem za wcześnie.

— Siadajcie tutaj, Aleksandrze Siemionowiczu i piszcie. Mam nadzieję, że dziś skończymy.

— Nie mam nic do pisania, obywatelu sędzio śledczy.

— Piszcie swe zeznanie. Pora, abyście zmądrzeli.

— Nie mam nic do zeznania, obywatelu sędzio śledczy.

— Piszcie, kto was zwerbował.

— Nikt mnie nie zwerbował, obywatelu sędzio śledczy.

— Czy straciliście rozum? Czy rzeczywiście myślicie, że dacie nam rady?

— Obywatelu sędzio śledczy, nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

— Przybyliście do naszego kraju z polecenia obcego mocarstwa. Spiskowaliście tutaj przeciw naszemu rządowi i stworzyliście siatkę wrogich agentów. Prawdopodobnie sądziliście, że

was nie wykryjemy. My jednakże obserwowaliśmy was od dnia waszego pierwszego przekroczenia naszych granic. Wykryliśmy cały zasięg waszej roboty dywersyjnej i teraz mamy dość. Żądamy, abyście skapitulowali przed władzą sowiecką, abyście wydali siatkę waszych agentów, abyście wreszcie zerwali z wrogiem. Żądamy waszego bezwarunkowego poddania się.

— Wszystko co mówicie jest absurdem. Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

— Kto was zwerbował?

— Nikt.

— Kto was zwerbował?

— Nikt.

— **KTO WAS ZWERBOWAŁ** — krzyczał głośno.

Milczałem.

— W naszej piwnicy nauczycie się mówić. Jeszcze nie było takiego, żeby się nie załamał. Po ośmiu dniach będziecie łagodni, jak małe dziecko. Gwarantuję to wam.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Macie wydać organizację.

— Jaką organizację?

— Kontrewolucyjną organizację sabotażową, którą z obcego polecenia stworzyliście na terytorium Związku Sowieckiego.

— Nie stworzyłem żadnej organizacji.

— Kto was zwerbował?

— Nikt.

— Kogo zwerbowaliście?

— Nikogo.

— Mamy sposoby, by wam język rozwiązać. Będziecie mówili, ale wtedy będzie za późno.

— Nie mam nic do powiedzenia. Żaden sposób na świecie nie może mnie zmusić do zmyślania rzeczy, których nigdy nie było.

— Nie żądamy od was żadnych zmyśleń, żądamy prawdy. W czyjej służbie przeszliście granicę?

— Przybyłem tutaj w służbie rządu sowieckiego, budownictwa socjalistycznego.

— Nie posługujcie się wielkimi słowami, za to opowiedzcie nam wszystko o kontrewolucyjnej organizacji, którą stworzyliście na naszym terenie.

— Nie mam nic do opowiadania.

— Wydajcie waszych agentów.

— Nie mam żadnych agentów.

— Jesteście brudnym agentem w służbie zagranicznej centrali.

Milczałem.

— Kto was zwerbował?

— Nikt.

— Kogo zwerbowaliście?

— Nikogo.

— Kości wam połamiemy, ale będziecie mówili.

Unosił się z coraz większą gwałtownością. Sam byłem tak przygnębiony i bezradny, że początkowo nie miałem sił, by go obserwować. Później zauważyłem, że kurczowo zmuszał się do krzyku. Polewecki nie był Kubą-rozpruwaczem, któremu sprawia przyjemność zgwałcenie bezbronnej ofiary. Zrozumiałem, że sytuacje tego rodzaju były mu równie nieprzyjemne jak samej ofierze, ale nie dawał po sobie tego poznać i wykonywał otrzymane zlecenia. Przesłuchanie trwało, z krótkimi przerwami, osiem godzin. Nie zaszło nic nowego. On stawiał wciąż te same pytania. Ja powtarzałem wciąż te same odpowiedzi. Nie zadawałem sobie już trudu, by go przekonywać; byłoby to też bezcelowe, gdyż nie stawiał mi żadnych konkretnych zarzutów. O siódmej wieczorem, gdy byłem już bliski wyczerpania, wyszedł ze mną z gabinetu i kazał mi czekać. Byłem przekonany, że teraz odprowadzą mnie do celi. Stało się jednak inaczej. Po chwili — trwało to tylko kilka minut — powrócił i zawiadomił mnie:

— Obywatelu oskarżony, naczelnik nie zgodził się na wasze natychmiastowe aresztowanie. Chce wam jeszcze pozostawić 48 godzin do namysłu. Zawiadomcie nas w sobotę o swej decyzji.

Zawołał żołnierza, podpisał moją przepustkę.

— I jedno jeszcze. Wybijcie sobie z głowy tę sprawę z Hiszpanią. Zaaresztujemy was przy pierwszej próbie zgłoszenia się do Hiszpanii. Jesteśmy odpowiedzialni także za front i nie dopuścimy na front żadnych dywersantów.

Opuściłem gmach GPU w panice. Odzyskana wolność tym razem nie przyniosła mi ulgi. Uważałem się za straconego. Po dzisiejszym przesłuchaniu musiałem przyjąć, że mnie rzeczywiście uważają za nieprzyjacielskiego szpiega i mają zamiar użyć wszystkich rozporządzalnych środków nacisku fizycznego, by wymusić me przyznanie się do rzekomych zbrodni. Czy będę na tyle silny, aby móc stawić opór? Nie była to już kwestia siły woli, lecz kwestia mięśni i nerwów. Codziennie aresztowano setki ludzi, nikt z nich nie wracał. Bardzo szybko o wielu dochodziły słuchy, że ze skrucną przyznali się do winy. Nie wierzyłem, by byli zakonspirowanymi wrogami kraju. Znałem wielu spośród nich i wiedziałem, że całą duszą służyli krajowi. A jednak znikali w piwnicach GPU i nie wracali. Dlaczego moje losy miałyby potoczyć się inaczej? Cóż mogę uczynić, by fatum odwrócić?

Marcel zmartwił się na mój widok:

— Na litość boską, Alex, jesteś blady jak śmierć. Gdzie byłeś tak długo?

Rzuciłem się na sofę. Lena przyniosła mi szklanę wody. Marcel usiadł przy mnie.

— Alex, powiedz wszystko.

— Nie mogę.

— To ci dobrze zrobi. Co dwie głowy, to nie jedna.

— Nie wolno mi mówić, Marcel. Musiałem podpisać zobowiązanie. Wszelka rozmowa na ten temat jest zdradą tajemnic państwowych i podlega karze pięciu lat więzienia.

— Uspokój się, Alex. Jeszcze wszystko będzie dobrze. Przecież niczego złego nie zrobiłeś.

— Ale ty także niczego złego nie zrobiłeś, Marcel, a przecież zwolniono cię nagle z pracy. Do tej pory nie wiesz, dlaczego.

Marcel został przed kilku miesiącami zwolniony bezterminowo z Instytutu Chemii Węgla. Jeszcze przed kilku tygodniami na publicznym zebraniu wszystkich członków Instytutu został wyróżniony jako najdzielniejszy i najpilniejszy pracownik Instytutu. Był na swym oddziale pierwszym stachanowcem. Był nieodzownie potrzebny. Był świetnym chemikiem. A przecież dyrektor zwolnił go bez wypowiedzenia i bez podania jakiegokolwiek powodu. Przy rozstaniu Marcel zrozumiał że człowiek ten działał pod naciskiem. Najwidoczniej było mu ciężko rozstać się z swym najdzielniejszym współpracownikiem. Marcel szukał potem pracy w innych instytutach. Wszędzie, gdzie zapukał, spotykał się początkowo z entuzjazmem. Niełatwo było bowiem wtedy znaleźć niezatrudnionych fachowców jego klasy. Lecz po dwóch, trzech dniach oświadczano mu z reguły, że niestety nie ma żadnego wolnego miejsca. Tajny sektor posyłał jego papiery i jego prośbę o przyjęcie do GPU do zatwierdzenia i otrzymywał najwidoczniej decyzję odmowną. Nikt nigdy jednak nie zdradził mu przyczyny tego bojkotu. O przyczynie dowiedzieliśmy się znacznie później. Oszkalował Marcela kolega z Instytutu, tak samo cudzoziemiec, zresztą nicpoń. Podczas procesu przeciw Kamieniewowi i Zinowiewowi miał zauważyć rzekomo, że przecież jest niezrozumiałe, jak trockiści, a więc byli marksiści, mogli wejść na drogę terroru indywidualnego. Marcel nigdy nie powiedział czegoś podobnego. W ogóle polityką bieżącą interesował się mało, aczkolwiek całym sercem oddany był socjalistycznemu budownictwu. Był to mruk, nie bez pewnego zgryźliwego humoru. Nieraz w najcięższych godzinach śmieliśmy się do rozpuku z jego mimochodem rzucanych uwag. Wykluczone było zupełnie, by przy swym temperamencie prowadził z obcymi ludźmi

rozmowy polityczne. Lecz rozkolportowanie owej rzekomej wypowiedzi wystarczyło, by go na całe miesiące pozbawić pracy, a później aresztować. Po moim aresztowaniu okazało się, że zarzut przeciwko niemu polegał na pomyłce. Nie on, lecz ja miałem wypowiedzieć inkryminowane słowa.

Po kilku miesiącach całkowitej bezczynności znalazł nareszcie w moim Instytucie pracę doraźną, nie został jednak wzięty na etat. Wypadek taki nie wymagał obowiązkowego wyjednania zgody GPU i tym sposobem Marcel mógł pozostawać w pracy na pół tolerowany, dopóki jakiś gorliwy denuncjant nie zwróci uwagi GPU. Praca ta nie leżała w zakresie jego specjalności, poświęcał się jej jednak z tym samym zaciętym oddaniem jak pracy poprzedniej. Studiował co wieczora mnóstwo książek i czasopism fachowych i nie pozwalał sobie ani na godzinę wypoczynku. W każdym rozsądnym państwie ludzie jak Marcel byłiby najbardziej respektowanymi podporami społeczeństwa. Był ofiarny, wierny i skromny. Z największą sumiennością wypełniał każde otrzymane polecenie. W wolnych godzinach przygotowywał do studiów uniwersyteckich Lenę, która dopiero przed kilku laty opuściła wieś i którą poślubił, bo tak wspaniale umiała się śmiać. Marcel był synem bogatego przemysłowca. Wobec materialnych możliwości ojca, cały świat stał przed nim otworem. Ale bogactwo świata burżuazyjnego nigdy go nie nęciło. Chociaż nie był komunistą, przybył do tego kraju, gdyż wierzył, że powstanie tu społeczeństwo sprawiedliwe. Pomimo prześladowań odrzucał myśl o wyjeździe. Nie widział co się gotuje, albo też nie chciał widzieć. Wierzył oficjalnym tezom prasy. Uważał za samo przez się zrozumiałe, że mu nie ufano, był przecież cudzoziemcem. Kraj był okrażony przez kapitalistycznych wrogów, stał przed wojną, jasne więc było, że musi się strzec. Przed dwoma miesiącami oddał swój paszport i poprosił rząd o przyznanie mu obywatelstwa sowieckiego. Teraz czekał na zgodę, w mocnym przeświadczeniu że krokiem tym zyskuje w społeczeństwie sowieckim całkowite równouprawnienie. Nie chciałem go wyprowadzać z błędu. Przyjąłem jego krok z bardzo mieszanymi uczuciami, ale jako komunistę nie mogłem mu odradzać. Wiedziałem, że rezygnując z obcego paszportu, wyrzeka się ostatniej obrony i że władza sowiecka za tę demonstrację lojalności nigdy mu nie podziękuje. W ostatnich latach doszło do tego, że wszystko, co wyglądało na szlachetność, bezinteresowność i ofiarność, budziło tylko najgorsze podejrzenia. Rozumiano i uważano za rozsądne i dobre, jeśli jakiś cudzoziemiec pracuje w Związku Sowieckim jako specjalista za wysokim wynagrodzeniem w walucie zagranicznej. Im gwałtowniej wyklócał się o wysokość poborów albo

o rozmiar przydzielonego mu mieszkania, tym bardziej był w oczach GPU godny zaufania. Natomiast utalentowany inżynier, który zrezygnował z wszystkich tych przywilejów, budził po-
dejrze.

A teraz Marcel siedział przede mną i martwił się. Usiłował mnie pocieszać.

— Posłuchaj, Alex, wkrótce nastąpi przełom. Przecież nie może tak być wiecznie. Ty także powinieneś starać się o obywatelstwo sowieckie. Wtedy ustanie cała nieufność.

— Ależ Marcelu, iluż aresztuje się codziennie obywatele sowieckich! Za każdym razem, gdy przyjeżdżam do ludowego komisariatu w Moskwie, uderza mnie, ilu ludzi brakuje. W ostatnich trzech miesiącach znikła czwarta część całego aparatu.

— Jeśli są niewinni, powrócą. Są przecież potrzebni.

— Bardzo późno stwierdza się, że ktoś jest potrzebny. Na razie praca idzie siłą bezwładu. Może nieco gorzej, ale idzie. W naukowych instytucjach dopiero po latach można zauważyć, że idzie gorzej.

Rozmawialiśmy jeszcze długo, ale myślami byłem daleko. Myślałem wciąż tylko o jednym: Co robić? Jakim sposobem mogę wymknąć się jeszcze z zaciskającej się wokół mnie sieci? Czy też mam pozostać bezczynny i z otwartymi oczyma iść na zatrąbę? Jeszcze jestem wolny. Mogę apelować do partii, do wyższych instancji w Moskwie. Jestem przecież niewinny. Gdy charkowskie GPU zauważy, że inni troszczą się o mnie, może będzie ostrożniejsze. W roku 1935, gdy Dawidowicz objął rządy w Instytucie i zadenuncjował mnie jako przywódcę grupy antysowieckiej, byłem także w ciężkiej sytuacji. Walczyliśmy wtedy i zwyciężyliśmy. Pojechałem do Komitetu Centralnego w Moskwie. Dawidowicza usunięto, odwołano z Anglii Leipunskiego i zamianowano dyrektorem Instytutu. Ale teraz sytuacja była inna. Teraz — nieufność pod mianem „czujności rewolucyjnej” była zadekretowana z góry, teraz — wielkie procesy wyrwały codziennie tysiące ludzi do więzień. Nie miałem złudzeń. Piatakow, Murałow, Bucharin, Kamieniew, Zinowiew nie byli obcymi agentami, a przecież ich zniszczono. Dlaczegoż by mnie miał spotkać inny los?

Tej nocy nie mogłem spać. Zastanawiałem się, co robić. Jedna droga stała zawsze przede mną otworem, lecz nie chciałem na nią wejść. Nie wchodziła dla mnie w ogóle w rachubę. Chociaż byłem do głębi rozczarowany przebiegiem rewolucji i od dawna straciłem już moją młodzieńczą wiarę w partię, to jednak nie

widziałem możliwości oddania się pod opiekę mego poselstwa. Byłoby to dla mnie moralnym samobójstwem. Samą myśl o tym odpędzałem, gdy się chwilami pojawiała. Mógłbym jednak pojechać do Moskwy i pomówić o całej sprawie z przyjacielem z Komisji Kontroli Partyjnej. Był to człowiek sprawiedliwy i bardzo wpływowy. Wprawdzie podpisałem zobowiązanie, ale Komisja Kontroli Partyjnej jest najwyższym organem partyjnym w całym kraju, jej można wszystko powiedzieć. Któż poza tym mógłby mi jeszcze dopomóc? Być może należałoby zapytać o radę Leipunskiego? Przestraszy się, ale pomoże.

Nad ranem powziąłem decyzję. Pomówię z Saszą Leipunskim. Trzeba naruszyć tajemnicę, nawet gdyby to miało pociągnąć ciężkie dla mnie następstwa. Nie czułem się zobowiązany do utrzymania tajemnicy z powodu wymuszonego na mnie papierka. Może się zdarzyć, że ujawnienie sprawy, choćby nawet w bardzo ograniczonych ramach, wyjdzie mi na dobre.

Leipunski pracował rano w Instytucie. Zatelefonowałem na plac budowy, że dzisiaj nie przyjdę. W przerwie południowej odwiedziłem dyrektora w jego mieszkaniu prywatnym.

Było mi trochę źlej na sercu, gdy się z nim spotkałem. Aleksander Iljicz Leipunski był jednym z tych rzadkich ludzi, których się z miejsca lubi. Promieniował z niego szczególny urok, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Liczył wówczas 33 lata. Średniego wzrostu, szatyn, o jasnych oczach i otwartym przyjaznym obliczu, ujmował bardzo już swym zewnętrznym wyglądem. Był mocno zbudowany, wyczuwało się jego półproletariacką przeszłość. Wśród młodych naukowców Związku Sowieckiego był Leipunski jednym z najbardziej utalentowanych. Stał na granicy dwóch pokoleń. Przodujący fizycy kraju wszyscy pochodzili jeszcze z dawnej, carskiej inteligencji. Przeszli oni uczciwie na stronę Sowietów i pracowali na ogół z wielką ofiarnością nad postawionymi im przez rząd zadaniami. Partia nie zaliczała ich jednak do „swoich ludzi”. Partia postanowiła stworzyć inteligencję proletariacką i jej powierzyć kierownictwo kulturalnego i naukowego życia kraju. Co roku do instytutów naukowych wysyłano aspirantów, pochodzących z klasy robotników przemysłowych. Kończyli oni fakultety robotnicze, później uniwersytety i stali teraz przed zadaniem przyswojenia sobie rynsztunku naukowców. Nie można twierdzić, że zawsze wybierano do tego zadania najbardziej utalentowanych. Partia była zdania, że przy masowym wysyłaniu młodych proletariuszy na uniwersytety i do instytutów naukowych, z biegiem czasu rozwiną się też prawdziwe talenty. Ale do tej pory nie starczyło na to czasu. Nie było jeszcze żadnych fizyków proletariackich większego formatu, którzy by mogli nawet

w najmniejszym stopniu sprostać dawnym, burżuazyjnym naukowcom. Leipunski stał na granicy pomiędzy obu grupami. Pochodził już z młodego pokolenia, które przeszło przez szkoły w okresie sowieckim, lecz był fizykiem wielkiego formatu, o horyzoncie intelektualnym tak rozległym, jakiego nowa młodzież sowiecka nie znała. Także pod względem klasowym pochodził z warstwy pośredniej. Ojciec jego był rzemieślnikiem, zatrudnionym przy budowie dróg. Sam Leipunski spędził trzy lata jako młody robotnik w prowincjonalnej fabryce, przygotowywał się jednocześnie do studiów, należał do Komsomołu i do partii, potem zaś wstąpił do leningradzkiego Instytutu Fizyki, stojącego pod kierownictwem profesora Joffego. W roku 1929 rząd ukraiński postanowił zbudować Instytut Fizyki w Charkowie. Fizyków sprowadzono z Leningradu, starej stolicy nauki rosyjskiej. Dyrektorem mianowano uczonego z dawnej szkoły, Iwana Wasiljewicza Obreimowa. Młody komunista Leipunski miał mu pomagać jako czerwony dyrektor. I tak kierownictwo Instytutu przeszło niepostrzeżenie w ręce Leipunskiego. Miał wtedy 26 lat, lecz wszyscy chylili się przed jego powagą. Załatwiał sprawy administracyjne swobodnie, niemal z uśmiechem na ustach. Decentralizował, ile tylko mógł. Ufał ludziom i przez to podnosił w nich wiarę w samych siebie oraz ich wydajność. Nie było w nim nic z biurokraty. W owym początkowym okresie Instytutu cały aparat administracyjny składał się z kilku tylko urzędników, którzy odbierali polecenia od czołowych naukowców Instytutu, nie troszcząc się o hierarchię.

Leipunski prowadził życie wzorowo skromne. W roku 1931 pojechałem z nim do ludowego komisariatu w Moskwie, celem uzyskania zezwolenia na założenie czasopisma poświęconego problemom fizyki. Byłem wtedy w Związku Sowieckim dopiero od kilku tygodni, ale rozumieliśmy się dobrze. Pobory komunistów były wówczas ograniczone do wysokości tak zwanego maksimum partyjnego. Komunista nie miał prawa zarabiać więcej niż 250 rubli miesięcznie. Było to bardzo mało, a ceny były już wtedy bardzo wysokie. Przed odjazdem zauważyłem, że buty Leipunskiego świeciły wielkimi dziurami. Powiedziałem mu: „Aleksandrze Iljiczu, nie możecie przecież tak jechać do Moskwy, do ludowego komisarza. Ostatecznie, jesteście dyrektorem”. Odpowiedział: „Nie mam innych. A buty są teraz bardzo drogie. Jednakże jeszcze mi służą. U nas latem nigdy deszcz nie pada”.

Leipunski także i duchowo stał na pograniczu dwóch generacji. Był równie daleki wyrafinowanemu intelektualizmowi dawnej szkoły, jak i prymitywizmowi nowej inteligencji sowieckiej. Był człowiekiem milczącym, ale o tak intensywnej żywotności

wewnętrznej, że czuło się zawsze, iż wchłania każde wypowiedziane słowo i wtóruje mu swymi myślami. Chociaż w rozmowie rzucił tylko co pewien czas krótką uwagę, to jednak rozmówca, który właściwie niemal wyłącznie sam głos zabierał, miał wrażenie, że wychodzi z ożywionej dyskusji.

Wymieniliśmy serdecznie pozdrowienia.

— O co chodzi, Alex? Czy coś jest nie w porządku?

— Chyba tak. Zupełnie nie w porządku. Aparat jest przekonany, że jestem obcym agentem.

— Na litość boską, skąd wam to na myśl przychodzi?

— Aleksandrze Iljczu, muszę wam coś opowiedzieć, o czym właściwie powinienem milczeć. Ale jestem bezradny. Może wy potraficie mi pomóc. W niedzielę zostałem zawiadany do GPU. Żądzano najpierw mego życiorysu, potem oświadczone mi, że jestem obcym agentem, uprawiającym w tym kraju robotę dywersyjną. Od tego czasu byłem u nich trzy razy. Żądają ode mnie przyznania się do winy. Grożą mi aresztowaniem, ale nie mówią, jakie mają przeciwko mnie konkretne zarzuty. Musiałem podpisać, że będę o tym wszystkim milczał. Nie mogłem jednak wytrzymać i dlatego mówię z wami.

Opowiedziałem mu bardzo dokładnie wszystkie szczegóły przesłuchań. Przysłuchiwał się z powagą i troską. Potem powiedział:

— To niedobrze, niedobrze. Że ci ludzie mówili już z wami bezpośrednio. Niedobrze.

— Co mam teraz zrobić, Aleksandrze Iljczu? Nie mogę udowodnić swej niewinności, bo nie mówią, na czym polega moja wina. Na mojej przeszłości nie ma ani jednej ciemnej plamy. Przecież ci ludzie wiedzą podobno wszystko. Jakże więc mogą sądzić, że stałem się wrogiem kraju? Ktoś, kto w głębi serca jest wrogiem, nie pracowałby z takim oddaniem. Ten kraj dał mi wszystko. Młody inżynier w kapitalistycznym kraju nie uzyskałby tak szybko takiego stanowiska, jak moje tutaj. Dlaczego miałbym stać się wrogiem?

Aleksander Iljcz milczał. Miał nieregularne rysy twarzy. Lewa brew była wyżej niż prawa, a gdy się zamyślał, uderzało to jeszcze bardziej. Patrzył w ziemię i czuło się, że szuka wyjścia.

— Aleksandrze Iljczu, gdybyście wiedzieli, jak oni do mnie mówili i co to są za ludzie. Sądziłem, że w tym aparacie zasiadają najlepsi rewolucyoniści, a zastałem najczystsą inkwizycję. Mówiłem do ściany. Nie chcieli słuchać tego co mówiłem. Nie wierzyli mi i nigdy mi nie uwierzą. To jest ich zawód: nikomu nie wierzyć. Nie miałem wrażenia, że jestem między towarzyszami. Było to najczarniejsze średniowiecze.

Ciężkie napięcie ostatnich dni rozładowywało się, nabiegły mi łzy do oczu. Patrzyłem na Saszę Leipunskiego, młodszego ode mnie o kilka lat, jak gdyby moje ocalenie mogło przyjść jedynie od niego.

W tym momencie zapukano i wszedł Pantelejew, kasjer Instytutu. Przyniósł dyrektorowi kilka dokumentów do podpisania. Na mnie patrzył trochę ze zdziwieniem. Najwidoczniej zauważył stan mego podniecenia.

Leipunski podpisał. Pantelejew wyszedł. Sasza rozmyślał jeszcze przez kilka chwil, a potem zwrócił się do mnie.

— Alex, dlaczego opowiedzieliście mi to wszystko? Jak mogę wam pomóc?

— Nie wiem, Sasza, ale sam nie mogłem już tego dłużej wytrzymać. Teraz jest mi lżej na sercu.

— Ale ja muszę o tym zameldować.

— Musicie, naprawdę? Przecież nikt nigdy nie dowie się, że rozmawialiśmy z sobą.

— Pantelejew widział was u mnie i zauważył wasze zdenerwowanie.

— Pantelejew na pewno nie jest informatorem. Jest człowiekiem bardzo przyzwoitym i zbyt prostym, by wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski.

Sasza uśmiechnął się z lekka.

— Jesteście, Alex, wciąż jeszcze naiwni, pomimo wszystkich waszych doświadczeń. Ale nie mówmy o tym. Co chcecie, abym dla was uczynił?

— Nie wiem, co moglibyście zrobić.

— Powiedzcie mi, Alex, czego chcecie. Jakie są wasze plany? Czy chcecie u nas jeszcze pozostać?

— Nie sądzę, by to było dłużej możliwe. Po wszystkim, co się stało, nie będę mógł tutaj spokojnie pracować. Chciałbym wyjechać, ale nie chcę uciekać. Chcę wymeldować się w partii oraz w Kominternie i udać się za granicę. Ale to wszystko nie wchodzi w rachubę. Prawdopodobnie jutro mnie zaaresztują.

— Alex, muszę o tej sprawie zameldować.

Przestraszyłem się i zastanawiałem się trochę. Przez chwilę milczeliśmy obaj, a potem powiedziałem:

— Aleksandrze Iljiczu, zróbcie to, ale dopiero jutro. Dzisiaj napiszę list do GPU i zawiadomię, że po prostu nie mogłem wytrzymać i opowiedziałem wam wszystko. Sądzę, że tak będzie lepiej.

— Tak jest, tak będzie może i lepiej.

Wstał i podszedł do okna. Przez chwilę milczeliśmy obaj. Potem odwrócił się i powiedział:

— Postaram się zrobić coś w waszej sprawie. Będę mówił z Maso. To dobry człowiek i rozumny.

Maso był naczelnikiem GPU na obwód charkowski. W owym czasie, kiedy to kierownictwo aparatu państwowego coraz bardziej przechodziło z rąk partii i sowietów w ręce GPU, był to zarazem najpotężniejszy człowiek w mieście i obwodzie charkowskim. Moi sędziowie śledczy byli jego podwładnymi i drżeli przed nim. On jeden mógł powziąć decyzję w mojej sprawie. Leipunski był człowiekiem partyjnego komitetu miejskiego i dyrektorem jednego z najważniejszych instytutów w kraju. Był członkiem Ukraińskiej Akademii Nauk i jako jeden z niewielu uczonych, należących do partii, był bardzo poważany. Do tego dochodził jego czar osobisty, który mu zjednywał wszystkie serca. Zaczynałem znowu mieć nadzieję.

— Kiedy chcecie mówić z Maso?

— Nie wiem, kiedy mnie przyjmie. Zgłoszę się jeszcze dzisiaj. Lecz Alex, nie będę wam mógł powtórzyć jego słów.

— Jeśli mnie jednak jutro zaaresztują?

Sasza podszedł do mnie i położył rękę na moim ramieniu.

— Alex to będzie niełatwe, ale będziecie musieli wtedy wykazać w więzieniu, że jesteście prawdziwym komunistą. Czasem trzeba zdać egzamin w obliczu nieprzyjaciela, a czasem w obliczu własnej władzy państwowej.

— Czy nie będę za słaby? Nie jest to kwestia winy lub niewinności, jest to kwestia konstytucji fizycznej.

— Mam nadzieję, Alex, że będziecie mieli dość siły.

Podał mi rękę. Spojrzałem na niego i odczułem potrzebę uściskania go. Poprzestałem jednak na uściśnięciu jego dłoni i wyszedłem.

Rozmowa z Saszą dodała mi odwagi. Napisałem list do Poleweckiego, zatelefonowałem po wóz i pojechałem na plac budowy. Panowało tu wielkie podniecenie. Komisja Ludowego Komisarjatu Przemysłu Ciężkiego miała jutro przybyć z Moskwy i zbadać wyniki naszej dotychczasowej pracy. Chociaż oddałem kierownictwo Komarowowi, byłem jednak w gruncie rzeczy odpowiedzialny za projekty, budowę i montaż. Gdy oświadczyłem Komarowowi, że jutro nie będę mógł przyjść, wpadł w rozpacz. Po chwili namysłu zdecydowałem się zatelefonować do Poleweckiego i prosić go o odroczenie następnego przesłuchania. Poprosiłem Komarowa o opuszczenie pokoju. Popatrzył na mnie zdziwiony, zauważył już jednak, że coś ze mną jest nie w porządku i jako doświadczony sowiecki człowiek dorobił sobie do tego swój komentarz. Wyszedł bez słowa.

Uzyskałem natychmiast połączenie z Poleweckim.

— Towarzyszu Polewecki, jutro przybywa rządowa komisja, by skontrolować budowę stacji doświadczalnej. Moja nieobecność zwróciłaby bardzo uwagę. Czy mogę przyjść do was później?

— Zaczekajcie chwilę przy aparacie. Muszę zobaczyć, kiedy będę miał dla was czas... Po chwili: — Przyjdźcie w poniedziałek o 10-ej rano.

— Przyjdę. Zrozumcie, że trudno byłoby mi być nieobecnym.

— Ależ oczywiście, jasne jest, że praca posuwa się naprzód. Ważne jest także, by nikt nie dowiedział się o naszych rozmowach.

Odetchnąłem. Do poniedziałku! Trzy wolne dni! Także ton Poleweckiego był tak rzeczowy, niemal przyjazny. Uznał nawet moją pracę i jej konieczność. Trochę tylko mnie zaniepokoiło jego żądanie zachowania tajemnicy — po rozmowie, którą miałem z Saszą. Zamieniłem jeszcze kilka słów z Komarowem i pojechałem do domu. Lena była szczęśliwa, widząc mnie w lepszym nastroju. Prysło nieznośne napięcie ostatnich dni. Nabrałem otuchy i mogłem znowu postępować rozsądnie. Marcel przyszedł do domu. Siedliśmy do obiadu.

— Co słyhać, Alex? Wszystko znów w porządku? Ależ z ciebie nastrojowiec. Mówże nareszcie!

— Nabrałem znowu otuchy. Dziś wieczorem opowiem ci wszystko. Musisz jednak milczeć.

To zastrzeżenie, jeśli chodzi o Marcela, było właściwie zbyt cenne. Nie znałem człowieka bardziej niż on dyskretnego.

Położyłem się i wziąłem książkę do ręki. Udało mi się doskonale zapomnieć o całej sprawie. Zasnąłem. Pod wieczór zbudziłem się i pomyślałem natychmiast o rozmowie z Saszą. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo wiązałem całą swą nadzieję z jego interwencją u Maso. Być może Maso przyjmie go nawet jutro i mój sędzia śledczy otrzyma już w poniedziałek inne instrukcje.

Poszedłem do Houtermansa. Zastałem tam Martina Ruhemanna. Słuchali radia. Śledziłem w ostatnim tygodniu gazety tylko pobieżnie. Zaczął się długo oczekiwany proces przeciw Piatakowowi, Radkowi, Murałowowi i towarzyszom. Nie byłem w stanie czytać sprawozdań. Wywoływało to we mnie fizyczną odrazę. Nie chciałem teraz narażać swoich nerwów na żadną zbyt cenną szarpaninę. Lecz radio zmusiło mnie do słuchania.

Słuchaliśmy, jak oskarżeni przyznają się i patrzyliśmy na siebie. Nie ośmielaliśmy się już spraw tych dyskutować. Jeszcze przed rokiem omawiałem wszystko z Martinem Ruhemannem i Fritzem Houtermansem swobodnie. Teraz czasy te były defi-

nitywnie za nami. Terror rzucał swój cień na wszystkie serca. Rozmowy przyjaciół uległy skrępowaniu. Każdy czuł, że ten drugi myśli tak samo jak on i że tak samo nie ośmiela się powiedzieć tego głośno. Sam nie wierzyłem ani jednemu słowu z tego, co podawała prasa i radio. Jeszcze podczas procesu Zinowiewa, Kamieniewa i towarzyszy wahałem się. Zarzucano im organizowanie zamachów na Stalina i innych przywódców partii. Zarzut ten nie był pozbawiony pewnej wewnętrznej logiki. Stalin zniszczył ostatnie resztki demokracji w partii i w państwie. Na wsi uprawiał politykę, którą miliony chłopów w latach wielkiego głodu 1932 i 1933 przypłaciły życiem. Poddał partię i kraj nieokiełzanemu terrorowi tajnej policji. Narzucił całemu narodowi bizantyjski kult wodza, nieznośny dla każdego przyzwoitego człowieka. Cóż tedy dziwnego, gdyby utworzyły się grupy, zamierzające przez likwidację dyktatora złamać panowanie tyranii nad partią i państwem. Nie byłem przekonany, że rzeczywiście grupa Kamieniewa, Zinowiewa i towarzyszy miałyby odwagę wejść na tę drogę. Raczej bardzo w to wątpiłem, gdyż postawa tych ludzi w ostatnich latach i ich stałe kapitulacje przed Stalinem nie sprawiały wrażenia, że są oni niezłomnymi bojownikami. Mimo to, oskarżenie, które im rzucał w twarz Wyszynski, nie zawierało niczego niepojętego. Można się było dziwić, że za cel swego pierwszego zamachu nie wybrali głowy partii, samego dyktatora, lecz drugorzędną postać, sekretarza obwodu leningradzkiego, Sergieja Michajłowicza Kirowa. Sprzątnięcie Kirowa nie mogło zachwiać reżymem. Na odwrót, zmuszało ono aparat do najostrejszych represji przeciw terrorystom. Do represji, które musiały sparaliżować dalszą walkę tej grupy. Dlaczego ludzie ci, jeśli faktycznie chcieli usunąć Stalina, zaczęli od Kirowa? Co więcej, Kirow został zamordowany w dniu 1 grudnia 1934 roku. Grupa Kamieniewa i Zinowiewa stanęła dopiero w dwa lata później przed sądem pod oskarżeniem, że bezpośrednio zorganizowała ten mord. Przedtem jednak za zorganizowanie tej samej zbrodni różne inne grupy zostały skazane na śmierć. I tak z początkiem 1935 roku 117-tu białogwardzistów zostało rozstrzelanych za zamordowanie Kirowa. Wszystko to było podejrzanе. Ja jednak wciąż się wahałem. Przyznanie się oskarżonych można było jeszcze wówczas przyjąć do wiadomości bez wątpliwości. Mniej zrozumiałe było, że nie uczynili niczego, by wyjaśnić prawdziwe motywy swej akcji — ostatecznie byli to przecież rewolucjoniści, którzy walczyli jeszcze przeciw carowi. Niepojęte było tedy, że nie użyli procesu jako trybuny dla zmanifestowania wobec partii i wobec klasy robotniczej całego świata celu swej walki. Oni zaś tańczyli tak, jak im prokurator zagrał. Przyznawali się do swych

zbrodni, wyznawali skrucę i sami siebie zohydzali, zamiast nawiązać masy do walki o oswobodzenie spod nieznośnego despotyzmu jednostki. Wszystko to było podejrzane, ale wciąż jeszcze nie byłem pewny. Dopiero to, co nastąpiło potem, otworzyło mi oczy. Zaaresztowanie całej niemal bez wyjątku starej gwardii rewolucji i likwidacja wszystkich starych współbojowników Lenina nie pozostawiała już żadnej wątpliwości, o co i o kogo tu chodzi. Następne procesy rozwarły otchłania. W Kemerowie zeznali oskarżeni, że Piatakow, zastępca ludowego komisarza przemysłu ciężkiego, rzeczywisty organizator uprzemysłowienia kraju, nakłonił ich do zaniedbania urządzeń wentylacyjnych w kopalni w Kemerowie po to, by robotnicy się podusili i by tym sposobem posiadać nienawiść do rządu. Znałem Piatakowa. Pośrednio był on moim przełożonym. Po załamaniu się w roku 1927 dawnej opozycji, w której brał udział, wszedł Piatakow w skład Najwyższej Rady Gospodarczej i został zastępcą Ordżonikidzego. Człowiek ogromnej siły woli i szerokich horyzontów, organizował w ciągu niemal dziesięciu lat pracy bez wytchnienia uprzemysłowienie kraju. Nie było fabryki, której by nie znał. Każdy motor i każdy transformator przydzielany był z jego rozkazu. Byłem często zdania, że ta supercentralizacja hamuje produkcję, ale jeśli ktokolwiek był zdolny do kierowania takim olbrzymim aparatem, to właśnie Jurij Leonidowicz Piatakow. Rzucił się w wir pracy jak opętany. Można go było znaleźć jeszcze o trzeciej w nocy w jego gabinecie w ludowym komisariacie. Kreślił plany rozwoju przemysłu, dysponował środkami na inwestycje kapitałowe, studiował nowe metody techniczne gospodarki amerykańskiej i niemieckiej, zamawiał najnowocześniejsze maszyny z zagranicy i kontrolował wykonanie planów produkcyjnych. Czuło się, że ten człowiek o olbrzymiej energii całkowicie zatracą się w swej pracy i że twórcze zadowolenie z jej rozwoju wynagradza mu odsunięcie od działalności politycznej, co było następstwem jego należenia do opozycji. Sam ludowy komisarz Grigorij Konstantynowicz Ordżonikidze zajmował się ludźmi zatrudnionymi w przemyśle, Piatakow zajmował się rzeczami. Ordżonikidzego kochano w ludowym komisariacie, był dla wszystkich dobrym chociaż surowym ojcem. Często przeklinał razem z inżynierami, dyrektorami a także robotnikami, ale czuło się, że pod szorstkim tonem ukrywa się gorące serce. Piatakowa obawiano się, jednak go szanowano. Był on mózgiem tej olbrzymiej organizacji i temu właśnie człowiekowi zarzucał proces w Kemerowie, że nasyłał ludzi do małej kopalni w środkowej Syberii, by niszczyli wentylację i tym samym truli robotników. Czy Wyszynski doprawdy sądził, że jakkolwiek rozsądny człowiek brał coś takiego na serio? Czy udu-

szenie kilku robotników na dalekiej Syberii było środkiem walki, mającym obalić rząd ogromnego kraju? Czy można było człowiekowi na miarę Piatakowa przypisywać taką głupotę, nawet gdyby spiskował przeciw władzy sowieckiej? Piatakowa aresztowano w sierpniu 1936 roku. W ludowym komisariacie tłumaczono jego nieobecność urlopem, podróżą na Ural, ale prawda wyszła na jaw. Intryganci podnieśli głowy. Każdy chciał teraz przypiąć łatkę potężnemu człowiekowi, którego do tej pory się bano. Pamiętam konferencję pracowników naukowych u Ordżonikidze. Dyrektor pewnego instytutu naukowego, który widocznie już się dowiedział, że los Piatakowa jest przypieczętowany, zaatakował go bez litości. Wówczas podniósł się z miejsca stary Ordżonikidze i przerwał mówcy gwałtownymi słowami: „Łatwo jest rozprawiać się z kimś, kto jest nieobecny i nie może się bronić. Zaczekajcie, aż Jurij Leonidowicz powróci”.

W owym czasie Piatakow prawdopodobnie podpisał już w więzieniu GPU protokoły, w których przyznawał się do najstraszliwszych zbrodni przeciw krajowi, a mimo to Ordżonikidze brał go jeszcze w obronę. Ale na to mógł sobie pozwolić tylko stary Ordżonikidze, przyjaciel Stalina z jego rodzinnej Gruzji, jedyny człowiek w całym kraju, który rozmawiał ze Stalinem swobodnie i bez obawy. W kilka miesięcy później, wkrótce po procesie Piatakowa, zmarł on na atak serca. Zmarł w samą porę dla dyktatora, mówiono bowiem, że nie zamierzał przyglądać się bezczynnie, jak GPU szaleje. Niepodobieństwem też było zgotować mu los Kamieniewa, Zinowiewa, Radka i Piatakowa. Ordżonikidze zawsze należał do frakcji rządzącej, nigdy do opozycji. I był zbyt ważny. Później rozeszła się wiadomość, że nie zmarł śmiercią naturalną, lecz w atmosferze Związku Sowieckiego z roku 1937 sprawdzenie takich pogłosek nie było możliwe. Ordżonikidze był faktycznie chory na serce i jest możliwe, że emocje ostatnich miesięcy przyspieszyły zgon.

Wszystko to przewalało mi się w głowie, gdy teraz w mieszkaniu Houtermansa słuchałem radia. Wyszynski wygłaszał końcowe przymówienie. Murałow przyznał się między innymi, że za pośrednictwem Szestowa zwerbował na Syberii awanturnika nazwiskiem Arnold celem zamordowania Mołotowa. Ów Arnold zatrudniony był jako szofer i planował, że w pewnym niebezpiecznym miejscu skieruje samochód Mołotowa w przepaść. Jak wynikało z jego życiorysu, Arnold był kryminalistą. Chciał jednak razem z Mołotowem runąć w przepaść, byle by sprawa opozycji zwyciężyła. Pomyślałem sobie, że Wyszynski powinien się zdecydować, co zamierza zrobić z tego Arnolda: zbrodniarza czy bohaterą. I to wszystko miał uczynić z polecenia Murałowa. Prze-

cież Murałow mógł bez żadnej trudności odwiedzić Mołotowa w jego biurze w Moskwie i tam go zastrzelić. Nie byłoby to też ryzykowniejsze, niż złożenie swego bezpieczeństwa w ręce jakiegoś kryminalisty. Przywódca tego rzekomego spisku, Piatakow, bardzo często spotykał się służbowo z samym Stalinem. Przepisy bezpieczeństwa na Kremlu nie były wówczas jeszcze tak surowe i Piatakow nosił przy sobie rewolwer zupełnie legalnie. Gdyby zatem spiskowcy byli zdecydowani usunąć dyktatora z drogi, mieliby pewniejsze i mniej ryzykowne okazje dokonania zamachu, niż zwerbowanie gdzieś daleko na Syberii szofera, który miał czekać na wizytę Mołotowa, aby wraz z premierem runąć w przepaść.

— Głowa mnie boli, czy można wyłączyć radio? — zapytałem gospodarza. Wszyscy byli tego samego zdania. Sądzę, że powiedziałem to, co inni mieli na myśli.

— U spiskowców tych rzuca się w oczy nie tylko ich nikczemność, ale i głupota. Od historii z tym Arnoldem po prostu stają włosy na głowie — oświadczył Fritz Houtermans. Także Ruhemann wmieszał się do rozmowy. Nasze rozmowy były jednak powściągliwe. Wszyscy mówili tak, jak gdyby całkowicie wierzyli oskarżeniu. Marginesowo zwracali tylko uwagę na bezsens zamierzenia spiskowców. Brzmiało to jednak tak, jak gdyby chcieli stwierdzić, że Piatakow, Murałow i Radek byli nie tylko łajdakami, ale i durniami. Subtelne ucho mogło atoli rozpoznać, że posługiwaliśmy się umownymi słowami. Terror tajnej policji narzucał nam w ostatnich latach w coraz to większej mierze ten sposób mówienia. Obawiano się wszędzie szpicli GPU. Obawiano się jednak także swych własnych słów w rozmowach z przyjaciółmi. Przerażała sama myśl o tym, że można odbiec zbyt daleko od oficjalnej linii. Pogłębiała się coraz bardziej sprzeczność pomiędzy opinią publiczną, zapędzoną do podświadomości społecznej, a rzeczywistością. W prasie, w szkole, w radiu, w filmie, na zebraniach partyjnych i zakładowych panowała dyktatura kłamstwa. Panowała ona także i dawniej, przed okresem wielkich procesów, ale dawniej nie wymagano nigdy od ludzi, by wierzyli w tak nieprawdopodobne, fantastyczne legendy. Rozpiętość pomiędzy tym, w co można było wierzyć, a tym, w co musiano wierzyć przybierała coraz nieprawdopodobniejsze rozmiary. Ten rozdźwięk, spowodowany terrorem tajnej policji, zatruwał stosunki pomiędzy ludźmi. Przyjaciele stawali się denuncjantami z obawy, że sami będą zadenuncjowani. Nie wierzyło się już bratu, nie mówiło się już szczerze z własną żoną. Sytuacja małej grupy cudzoziemców w UFTI przedstawiała się pod tym względem odrobinę lepiej niż sytuacja przeciętnego sowieckiego czło-

wieka. GPU nie miało żadnych informatorów między nami. GPU usiłowało zmusić nasze służące, by umożliwiły kopiowanie listów i dokumentów. Nie byliśmy jednak kontrewolucjonistami i dlatego nie mieliśmy u siebie w domu żadnych przestępczych dokumentów. Służące nie były obecne przy naszych rozmowach. Poza tym nie rozmawialiśmy pomiędzy sobą po rosyjsku, a służące nie rozumiały żadnego obcego języka. Moglibyśmy przeto wyrażać nasze prawdziwe zdanie bez obawy, że będziemy zdradzeni, lecz literalnie baliśmy się własnych słów. Każda wypowiedź w tym okresie musiała określać stanowisko polityczne, nie dające się pogodzić z panującą linią partii i dyktatora. Przebywanie w kraju ze świadomością, że się jest poza nawiasem legalizmu, było nie do zniesienia dla ludzi, którzy nie byli spiskowcami lecz naukowcami. Z drugiej strony było także trudne do zniesienia, że człowiek musiał słuchać i patrzeć na to wszystko i nigdy nie mógł puścić pary z ust, nawet do przyjaciela. Sytuacja ta narzuciła nam mowę tajemną. Ale i to na dalszą metę nie stanowiło wyjścia. GPU rozszyfrowywało naszą mowę, odczytywało jej sens prawdziwy, który denuncjowało jako wywrotowy.

Gepistom nie trudno było rozpoznać nasze myśli, gdyż potajemnie myśleli tak samo jak my wszyscy.

Rozmawialiśmy jeszcze długo, lecz atmosfera była przygnębiająca. Próbowałem podnieść innych na duchu.

— Dobrze, że już jest po tym procesie. Może ta fala dobiegła kresu i będzie można znowu swobodniej oddychać.

— Nie wygląda na to, Alex — powiedziała Barbara Ruhemann.

Było już późno. Pożegnałem się.

W ciągu dwóch dni, dzielących mnie od następnego przesłuchania, nerwy moje odpoczęły. Usiłowałem o niczym nie myśleć i całkowicie wyprząc. W sobotę odwiedzili nas rosyjscy i cudzoziemscy przyjaciele. Wieczorem poszedłem do teatru. W niedzielę odbyliśmy krótką wycieczkę samochodem, a potem bawiłem się z małym dzieckiem Leny. Miało ono niespełna trzy miesiące, nazywało się po mnie Alex. Lena nie wytrzymała płaczu dziecka, brała je wtedy zawsze na ręce i kołysała. Obawiałem się, że przywyknie ono do tej matczynej reakcji i że nieustannym płaczem domagać się będzie kołysania w jej ramionach. Nie dało się jednak osiągnąć, by Lena spokojnie pozwoliła mu krzyczeć. Zabrałem wreszcie dziecko do mego pokoju, pozamykałem drzwi i ułożyłem małego na sofie. Krzyczał jeszcze przez minutę, potem uspokoił się i uśmiechał się z zadowoleniem. Po kwadransie

weszałem Lenę, by na własne oczy przekonała się, że stał się cud. Chociaż już od dawna nie była wiejską dziewczyną i w najbliższym czasie miała pójść na uniwersytet, wciąż jednak przypisywała nam cudzoziemcom tajemne moce i twierdziła, że zaczarowałem chłopca. Rozmawiałem z dwumiesięcznym dzieckiem zawsze bardzo poważnie i utrzymywałem, że jest ono bardzo mądre i rozumie po niemiecku. Lena śmiała się wtedy tak serdecznie i żarliwie, że żartowałem z nią i z dzieckiem przez dziesięć minut, byle tylko prowokować ten śmiech.

W niedzielę wieczorem odbywała się w klubie mała akademii. Nasi komsomołcy śpiewali pieśni ludowe i rewolucyjne. Niedawno odgrzebana pieśń z wojny domowej („Kochowka, Kochowka...”) wywarła na mnie wrażenie tekstem i melodią. Przeżywałem osobliwe rozdwojenie. Wciąż oddziaływał na mnie nimb wielkiej rewolucji. Wciąż jeszcze wierzyłem w wielki cel ruchu. Wciąż jeszcze byłem przekonany, że nie ma innej drogi do socjalistycznego przeobrażenia świata, jak rewolucyjna dyktatura proletariatu. Lecz oddzielałem to wszystko od ówczesnych wydarzeń w kraju. Sądziłem, że despotyzm stalinowski jest przemijającym epizodem, wysypką, chorobą organizmu społecznego, która wkrótce ustąpi. Rzeczą istotną była baza ekonomiczna, własność państwowa sił produkcyjnych. Ziemia, fabryki, kopalnie, banki i koleje żelazne nie należały już w tym kraju do prywatnych kapitalistów. To był fakt podstawowy. Cała nadbudowa społeczeństwa będzie musiała bezwarunkowo dostosować się do tej bazy ekonomicznej. Gdy już nowa gospodarka socjalistyczna będzie prawidłowo funkcjonowała, gdy masy ludowe będą miały wszystko, czego im trzeba, gdy zaspokoją nie tylko najskromniejsze potrzeby, ale nadto uzyskają pełny i nieumniejszony udział we wszystkich dobrach doczesnych, wtedy powróci wolność w naszym kraju. Ucisk straci sens, nie będzie już żadnego pozoru dla dalszego istnienia tajnej policji i dla terroryzowania całego narodu. Trzeba tylko czekać i nie tracić odwagi. Byłem dobrej myśli i z tym uczuciem powróciłem do domu.

Następnego ranka stałem znowu przed sędzią śledczym.

Przepustka tym razem nie czekała na mnie. Zatelefonowałem do Poleweckiego. Kazał mnie wpuścić. Przyjął mnie z twarzą czerwoną ze złości:

— Co wam strzeliło do głowy! Chcecie igrać z ogniem?! Kto wam pozwolił zawiadomić Leipunskiego?! Zdaje się, że nie wiecie, z kim macie do czynienia?

— Obywatelu sędzio śledczy, wiem, że źle postąpiłem, ale

po prostu nie mogłem sobie dać rady. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać.

— Będziecie musieli wytrzymać jeszcze dużo więcej! Wydaje się wam, że możecie płatać nam figle! Nie takich jak wy rzuciliśmy na kolana. Tak jest, tak jest, na kolana!! Na kolana przed władzą sowiecką.

Milczałem. Klął jeszcze jakiś czas. Potem usiadł i zaczął trochę spokojniej:

— Nie mam już dla was czasu, oskarżony Weissberg. Wzywam was, abyście się zdecydowali. Jesteście zdecydowani skapitulować czy nie?

— Nie rozumiem znaczenia tego zapytania.

— Czy zdecydowaliście się zaniechać dalszej walki przeciw władzy sowieckiej?

— Nigdy nie prowadziłem żadnej walki przeciw władzy sowieckiej.

— Czy jesteście gotowi przyznać się do swych zbrodni, przerwać działalność konspiracyjną i wydać swych współników?

— Obywatelu sędzio śledczy, powtarzam, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

— Czy wydacie organizację, kontrrewolucyjną organizację, którą utworzyliście na naszym terytorium!

— Obywatelu sędzio śledczy, nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Czy to wasze ostatnie słowo?!

— Ostatnie.

— W takim razie chodźcie.

Wstał i przepuścił mnie przed sobą. Byłem przekonany, że odprowadzi mnie teraz do aresztu. Ale stało się znowu inaczej. Szliśmy znanymi mi już korytarzami aż do gabinetu naczelnika oddziału. Kapitan Asak przyjął nas z ponurą twarzą. Zwrócił się do Poleweckiego.

— No cóż, co się dzieje obywatelu poruczniku? Czy oskarżony przyznał się?

— Nie, wzbrania się złożyć jakiegokolwiek zeznania.

Kapitan zwrócił się do mnie, spojrzał mi przenikliwie w oczy i powiedział cedząc słowa:

— Aleksandrze Siemionowiczu, czyście oszaleli? Chcecie walczyć z *nami*? Kim wy w ogóle jesteście?!

— Obywatelu kapitanie, nie mam zamiaru walczyć z jakimkolwiek organem władzy sowieckiej. Ale nie mogę składać zeznań sprzecznych z prawdą.

— Rzecz jasna! Nie żądamy od was żadnych zmyśleń, a tylko czysteprawdy, ale i całejprawdy.

— Obywatelu kapitanie, nie ma w moim życiu niczego, co stanowiłoby bodaj cień zbrodni przeciw władzy sowieckiej.

— Czy sądzicie, że wzywalibyśmy was tutaj, gdybyśmy nie byli przekonani o czymś wręcz przeciwnym?

— W takim razie padliście ofiarą pomyłki lub mistyfikacji. Pozwólcie mi zobaczyć wasz materiał, a uda mi się bardzo szybko go obalić.

— Nie będziecie nam dyktowali metod śledczych. Tutaj — wskazał na dwie grube teki, leżące na biurku — zebrana jest góra materiału przeciwko wam. Poczynając od dnia waszego przybycia do Związku Sowieckiego. Obserwowaliśmy was nieustannie tutaj i w czasie waszych podróży zagranicznych. Zdekonspirowaliśmy wszystkie wasze kontakty, a teraz zamierzamy z wami skończyć.

Miałem ochotę mu odpowiedzieć: „Jeśli i tak wszystko wiecie, to czego chcecie ode mnie? W takim razie aresztujcie mnie i na podstawie waszego materiału oddajcie mnie pod sąd”. Jednak milczałem.

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy rzeczywiście sądzicie, że obrabaliście właściwą taktykę? Czy sądzicie, że możecie jeszcze uratować waszą organizację? Sprawy zaszły już za daleko. Mamy was wszystkich w garści. Nie chodzi już teraz o ocalenie waszych ludzi, chodzi o waszą własną głowę. Dajemy wam szansę jej zachowania. Skorzystajcie z niej.

— Obywatelu sędzio śledczy, mogę znów tylko powtórzyć. Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

Kapitan wstał i zwrócił się do Poleweckiego:

— Zostawcie nas samych, poruczniku.

Polewecki wyszedł. Asak usiadł, oparł głowę na ręce i mówił niemal przyjacielskim tonem:

— Aleksandrze Siemionowiczu, czytaliście w gazetach sprawozdania z procesu Piatakowa, Radka, Murałowa i towarzyszy?

— Częściowo czytałem, częściowo słyszałem przez radio.

— Czy znacie życiorysy tych ludzi? Czy wiecie co to byli za ludzie?

— Znam tylko życie tych, którzy swego czasu odgrywali jakąś wielką rolę w ruchu rewolucyjnym.

— Czy nie zwróciło waszej uwagi, że wszyscy oskarżeni skapitulowali i przyznali się przed sędziami do swych zbrodni?

Milczałem.

— Aleksandrze Siemionowiczu, byli między nimi ludzie, którym nie można było odmówić wielkiej fizycznej i psychicznej siły oporu. Ale i oni załamali się. Weźcie na przykład Murałowa.

Przez osiem miesięcy aresztu śledczego stawiał opór, przez osiem miesięcy odmawiał wszelkich zeznań; potem się załamał.

Milczałem.

— Czy sądzicie, że będziecie silniejsi od Murałowa? Czy znacie życie człowieka?

Patrzyłem przed siebie. Przypomniałem sobie książkę Trockiego „Moje życie” i opisany przez niego epizod z życia Murałowa z roku 1906:

Od tego czasu datuje się moja nierozzerwalna tak w wojnie jak i w polityce przyjaźń z Murałowem. O tym człowieku muszę tu powiedzieć przynajmniej kilka słów. Murałow jest starym bolszewikiem, który bił się w rewolucji 1905 roku w Moskwie. W Serpuchowie pod Moskwą w roku 1906 wpadł Murałow w wir pogromu, urządzonego przez Czarną Sotnię i jak zwykle dokonywanego pod ochroną policji. Murałow jest wspaniałym olbrzymem, którego nieustraszonej odwadze dorównuje szlachetna dobroć. Wraz z kilku innymi lewicowcami znalazł się w gmachu zarządu ziemstwa otoczony pierścieniem nieprzyjaciół. Murałow wyszedł z budynku z rewolwerem w ręku i szedł miarowym krokiem w stronę tłumu. Tłum się cofnął. Jednakże jakaś agresywna grupa Czarnej Sotni odcięła mu drogę. „Rozejść się!” rozkazał olbrzym, podniósłszy rewolwer do góry. Skoczyli ku niemu. Zabił jednego na miejscu, drugiego zranił. Tłum odstąpił. Nie przyspieszając kroku, Murałow jak łamacz lodów przeciął tłum i poszedł pieszo w kierunku Moskwy. Jego proces trwał ponad dwa lata i mimo szalejącej reakcji zakończył się wyrokiem uniewinniającym.

Myslałem o tym epizodzie, gdy ponad głową Asaka wpatrywałem się w ścianę, na której wisiał portret Dzierżyńskiego. Usłyszałem znowu głos kapitana.

— Aleksandrze Siemionowiczu, Murałow był niegdyś rewolucjonistą, jednym z najodważniejszych, jakich mieliśmy. Przez całe swe życie był żołnierzem. Czy sądzicie, że będziecie silniejsi od niego?

Zwróciłem się do Asaka:

— Obywatelu kapitanie, powiedzcie mi, jak to jest możliwe, że były rewolucjonista rzuca się w tę otchłań, że podnosi rękę przeciw swemu własnemu krajowi, przeciw rewolucji, przeciw klasie robotniczej, przeciw socjalizmowi?

— Aleksandrze Siemionowiczu, rewolucja zużywa ludzi, tak jak ostry kwas wypala wszelkie próchno. Najmniejszy zatarg z partią, każde odchylenie prowadzi niechybnie do zbrodni.

W szparę pomiędzy partią a człowiekiem, odchylającym się od naszej linii generalnej, wciska się ciemna robota wroga klasowego. Można być tylko całkowicie z nami, albo jest się naszym wrogiem. Byli trockiści już o tym wiedzą.

— Obywatelu kapitanie, może macie rację. Nawet sędzę, że macie rację. Ale osobiście nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego, wewnątrz granic Związku Sowieckiego zajmowałem się polityką tylko o tyle, że czytałem gazety. Byłem całkowicie pogrążony w mej pracy technicznej i administracyjnej.

— To właśnie nieprawda, obywatelu oskarżony. Wasza praca zawodowa maskowała tylko wasze kontrrewolucyjne zbrodnie. Jesteście podstępny i tym bardziej niebezpiecznym wrogiem.

— Nie mam na to nic do powiedzenia.

— Zmusimy was do mówienia. Mamy w naszym arsenale sposoby, które zmuszają najsilniejszych. Jeśli nam się udało zde-maskować i rzucić na kolana ludzi takich jak Piatakow, Murałow i Radek, to czy sądzicie, że wy, Aleksander Siemionowicz Weissberg, oprzecie się nam?

— Ludzie ci spiskowali przeciwko władzy sowieckiej, a ja nie. Na tym polega cała różnica.

— Widzę, że jesteście zatwardziałym wrogiem. Sądzicie, że będziemy rozmawiać z wami tylko po przyjacielsku. Ale to się wkrótce zmieni i wtedy będzie płacz i zgrzytanie zębów; będziecie skomleć o łaskę, ale wtedy będzie za późno. Raz jeszcze, Aleksandrze Siemionowiczu, to moje ostatnie do was słowo: Chcecie przejść na naszą stronę czy nie?

— Obywatelu kapitanie, powiedziałem wszystko, co wam mogłem powiedzieć. Nie jestem winny zbrodni, o które mnie podejrzewacie i nie potrafię złożyć organom władzy sowieckiej innych zeznań, jak tylko odpowiadające czystej prawdzie...

— Dosyć! Nie mam z wami więcej o czym mówić!

Zadzwoił, wszedł Polewecki.

— Towarzyszu Polewecki, koniec rozmów z tym człowiekiem. Poczuj naszą pięść.

A potem, pod mym adresem:

— Postanowimy później, co z wami zrobić, czy was aresztować od razu czy też nie. W każdym razie na ziemi sowieckiej nie ma dla was już miejsca. Albo będziecie karmić białe niedźwiedzie albo..., ale o tym wszystkim dowiecie się we właściwym czasie. Zaś do Poleweckiego: — Wyprowadźcie tego człowieka!

Poszedłem za Poleweckim. W milczeniu podpisał w swym gabinecie przepustkę i zadzwonił po żołnierza. Nie padło ani jedno słowo więcej. Nie zareagował też na moje pożegnanie.

Żołnierz sprowadził mnie tym razem na dół i okazał warcie podpisaną przepustkę. Warta tymczasem otrzymała rozkaz odesłania mnie z powrotem do Poleweckiego. Serce we mnie zamarło. Już mnie stąd nie wypuszczą. Szedłem za żołnierzem na półprzytomny. Polewecki położył przede mną arkusz papieru do podpisania. Okazało się, że było to zobowiązanie tej samej treści jak to, które podpisałem za pierwszym razem: Przyrzekam milczeć, o ile nie chcę narazić się na najwyższe kary za naruszenie tajemnicy.

— Strzeżcie się raz jeszcze złamać prawo. Za drugim razem nie przejdzie to wam bezkarnie, Aleksandrze Siemionowiczu.

— Sprowadzić tego człowieka na dół — zwrócił się do żołnierza.

Na dole przepuściła mnie warta.

Przyszedłem w sam raz na obiad. Nie czekając na zapytanie, powiedziałem Marcelowi:

— Nie wiem, co będzie, jak rozstrzygną moją sprawę. Nie kazali mi już przychodzić ponownie i nie sądzę też, by mnie w ciągu najbliższych dni wzywali. Moja decyzja zapadła. Opuszczam kraj, jeśli pozwolą mi wyjechać.

— Czy to na serio, Alex? — powiedział Marcel smutno.
— Czyż tak być musi?

— Tak być musi i nie mógłbym sobie życzyć niczego lepszego. Byłoby też dobrze, gdybyś i ty, Marcel, ze mną wyjechał.

— Alex, wiesz przecież, że to wszystko nie ma sensu. Mam tutaj żonę i dziecko i kocham mą pracę. Nigdy stąd nie wyjadę.

— Żonę i dziecko możesz zabrać ze sobą.

— Lena nigdy nie dostanie paszportu za granicę. Popatrz, jak Szura już długo na to czeka. — Szura była rosyjską towarzyszką życia mego przyjaciela Adi Taussiga, austriackiego inżyniera, który powrócił do swego kraju i chciał, by żona przyjechała do niego.

— Szura jest komsomołką — odparłem. — Odmawia przyjęcia paszportu austriackiego. Nie chce zrezygnować z obywatelstwa sowieckiego. Jako Austriaczka otrzymałaby paszport za granicę w ciągu kilku dni i musiałaby w tydzień później opuścić kraj.

— Ale ty przecież nie wierzysz, że Lena kiedykolwiek zrezygnowałaby z obywatelstwa sowieckiego. Nawet gdybym się zdecydował opuścić kraj! Nie mogłaby przecież wówczas nigdy powrócić do Związku Sowieckiego!

Milczałem. Myślałem, jak wierni są ci ludzie swemu krajowi i sprawie tego kraju. I jak źle im za to odpłacają. Lena jako żona Marcela i obywatelka austriacka miałaby wszelkie możliwości wyjechania do jego rodziców za granicę. Była wiejską dziewczyną z ukraińskiej wsi. Znała zagranicę tylko z filmów. Znała ponadto piękne suknie i obuwie, noszone przez przyjeżdżające do nas cudzoziemki. Zagranica wydawała się jej poniekąd krajem z baśni. Z drugiej strony wiedziała: to wróg. Wychowana w oczywistym dla młodego człowieka sowieckiego nastawieniu, odrzuciłaby zawsze z pogardą myśl o zrezygnowaniu z praw obywatelskich swego kraju dla prowadzenia w Anglii lub w Ameryce wygodniejszego życia. Wydawałoby się jej to zdradą. Oboje żyli w nędzy. Szczególnie w ciągu ostatnich miesięcy, gdy przyszło na świat dziecko, a Marcel stracił stałą pracę. Lecz dla Leny, dopóki Marcel był z nią razem i mógł ją przygotowywać do uniwersytetu robotniczego, były to szczyty życia. Mieszkali w trójkę w jednym pokoju. W Wiedniu miał Marcel do dyspozycji obszerną willę. On sam był człowiekiem bez pretensji, a Lena uważała ich pokój za najpiękniejsze mieszkanie, jakie można było sobie wymarzyć. Byłaby w pełni szczęśliwa i zadowolona, gdyby nie nadeszły wszystkie emocje ostatnich lat. Walka w Instytucie, aresztowanie mej żony, zwolnienie Marcela z pracy, a teraz moja sprawa. Jej ojciec umarł w roku 1921 w czasie wielkiego głodu. Jednego brata utraciła w latach głodu po kolektywizacji, a teraz obawiała się znowu nowej fali niepokoju, podejrzliwości i niebezpieczeństwa. Państwo — czyli to co na wsi nazywano władzą — było zawsze dla chłopów elementem wrogim, który to tu to tam porywał swe ofiary i któremu trzeba było płacić haracz. Wieś, to co innego. Kochali ją i nie chcieliby nigdy z nią się rozstać. Coś z tego chłopskiego nastawienia pozostało w Lenie nawet i teraz, gdy już od lat obracała się wśród nas, cudzoziemców, czytała książki, zaczynała się uczyć podstaw teorii marksizmu i po trochu przeczuwała, w jakim celu to wszystko robimy.

Po obiedzie poszedłem do Instytutu, by rozmówić się z dyrektorem. Zastałem Leipunskiego w jego biurze.

— Aleksandrze Iljiczu, zdecydowałem się skończyć mą pracę w Instytucie. Chcę się pożegnać z końcem lutego.

— Czy potraficie w przeciągu miesiąca wszystko tak dalece uporządkować, by Komarow mógł rzecz kontynuować bez uszczerbku dla pracy?

— Zrobię wszystko, co trzeba. Miesiąc, to dużo czasu. Jeśli będziemy codziennie wspólnie wszystkie sprawy załatwiali, to Komarow automatycznie przyswoi sobie kierownictwo aparatu. Postaram się zaopatrzyć budowę i montaż we wszystkie materia-

ły, maszyny i instrumenty tak, by doprowadzenie pracy do końca nie sprawiało trudności.

— Szkoda, Alex, że nie przeżyjecie już tutaj rozruchu. Wiem, jak wam wszystko zapadło w serce. Każdy tu wie, że jest to wasze dzieło.

— Sasza, nie mam wyboru.

— Rozumiem, Alex, co wami powoduje. Przykro mi, że do tego doszło. Przynieście mi waszą prośbę o zwolnienie. Wydam potrzebne zarządzenia.

Podniósł się i podał mi rękę. Chciałem go jeszcze zapytać, czy już mówił z Maso, ale powstrzymałem się. Musiał przecież wiedzieć, jak bardzo jestem niespokojny i jak bardzo czekam na jakąś wskazówkę; jeśli milczał, to widocznie miał ku temu powody. Nie zapytał mnie także, jak wypadło moje ostatnie przesłuchanie.

— Bądźcie zdrowi, Sasza!

Wyszedłem.

W ciągu następnych tygodni przygotowywałem wszystko do podróży. Nie wiedziałem, czy mnie wypuszczą i chciałem ochłonać, zanim zgłoszę się w tej sprawie do GPU. Nie mogłem opuścić kraju bez zezwolenia tych samych ludzi, którzy przez tydzień trzymali mnie pod najdzikszymi oskarżeniami. Cudzoziemiec, który chce wyjechać z Sowietów za granicę, musi pójść do oddziału administracyjnego obwodowego komitetu wykonawczego (*Obłispolkomu*) i złożyć swój paszport. Paszport idzie potem do GPU. Cudzoziemiec musi podać stację graniczną, przez którą chce wyjechać oraz przewidywany termin podróży. Ponadto musi doręczyć dwie fotografie. Jedną przesyłają do stacji granicznej. Naczelnik GPU na punkcie granicznym otrzymuje wtedy od charkowskiego GPU zawiadomienie, że obywatel cudzoziemski Aleksander Siemionowicz Weissberg przekroczy punkt graniczny w okresie pomiędzy 1 a 10 marca. Należy go przepuścić. Przekraczałem granicę Sowietów wielokrotnie w obu kierunkach. Za każdym razem witali mnie gepiści w Szepietówce jak starego znajomego. Byli z góry powiadomieni o mym wyjeździe i mieli w swej kancelarii moją fotografię i mój podpis. Procedura ta uniemożliwiała obywatelowi sowieckiemu opuszczenie kraju z paszportem ukradzionym, pożyczonym lub sfalszowanym. Potajemne opuszczenie kraju, jeśli chodzi o jego granice europejskie, było również trudne. Strefa szerokości 60 km. wzdłuż całej granicy była jak najsurowiej strzeżona. Pobyt w niej był możliwy

tylko za specjalnym pozwoleniem GPU. Nie można było zatem dostać się w pobliże granicy bez ściągnięcia na siebie podejrzeń.

Przez pewien czas zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej przenieść się na tydzień, dwa tygodnie do Moskwy i tam prosić o wizę wyjazdową. Potem tę myśl porzuciłem. GPU obserwuje mnie dokładnie i natychmiast powiadomi instancje moskiewskie o moim przeniesieniu się, nie mówiąc już o tym, że GPU moskiewskie nie udzieli mi wizy wyjazdowej bez uprzedniego zapytania w Charkowie. Nie mogłem zatem wymigać się od zgody charkowskiego GPU na mój wyjazd, a więc od zgody towarzyszy Asaka i Poleweckiego. Uznałem jednak, że będzie lepiej trochę odczekać. Nastrój w kraju teraz, po zakończeniu procesu Piatakowa i towarzyszy, był nad wyraz napięty. Nieufność do wszystkich cudzoziemców wzrosła do najwyższego stopnia.

Musiałem liczyć się także z inną ewentualnością: że mnie jednak, pomimo interwencji Leipunskiego u Maso, zaaresztują. Chciałem i na ten wypadek poczynić wszelkie przygotowania. Po aresztowaniu mej żony, jej matka i ja uczyniliśmy wszystko, by jej dopomóc. Interweniowaliśmy w prokuraturii wojskowej w Leningradzie i u generalnego prokuratora państwa w Moskwie. Początkowo sprawa wyglądała całkowicie beznadziejnie, ale powoli znaleźliśmy drogę do referenta, zajmującego się jej sprawą. Zebrałiśmy od czołowych towarzyszy partii rosyjskiej zaświadczenia, stwierdzające lojalność mej żony i jej oddanie dla władzy sowieckiej. Wielu członków Akademii Nauk wstawiło się za nią. Wszystko to doprowadziło do tego, że prokurator odstąpił od głównych punktów oskarżenia. Moja teściowa знаła drogę do tych ludzi. Dla przeciętnego obywatela sowieckiego, a jeszcze bardziej dla cudzoziemca, droga ta była całkowicie zamknięta. Po prostu nie wiedział on, do kogo winien się zwrócić z prośbą lub zażaleniem. Chciałem, by moja teściowa i mój szwagier, inżynier pracujący w Moskwie, w wypadku mego aresztowania zmobilizowali wszystkich moich wpływowych przyjaciół. Zależało mi na tym, by już teraz powiadomić moich krewnych w Moskwie o sprawie, lecz nie wiedziałem jak to uczynić. Napisanie listu byłoby przedsięwzięciem nad wyraz niebezpiecznym. Nie mogłem również telefonować. Pojechać na dzień do Moskwy — na to nie chciałem się teraz odważyć. GPU być może zrozumiałoby to jako ucieczkę i rozesłałoby listy gończe. Nie chciałem prowokować. Ostatecznie postanowiłem wysłać przyjaciela, ale jeszcze nie wiedziałem, kogo.

Marcelowi opowiedziałem wszystko. Słuchał w milczeniu i poszedł potem do pracy smutny i katroskany. Wysłanie Marcela do Moskwy nie wchodziło w rachubę. Nie mógł przerwać swej

pracy, a ponadto był całkowicie niezdolny do jakichkolwiek akcji dyplomatycznych.

W kilka dni później zdecydowałem się. Martin Ruhemann dostał właśnie wtedy komandirówkę do Moskwy w sprawie służbowej. Był to właściwy człowiek w mej sprawie. Był dyskretny i bardzo mi oddany. Ponadto był obywatelem angielskim, co go w znacznie większym stopniu chroniło przed ingerencją GPU. Byłem zdecydowany pomówić otwarcie z Ruhemannem i jego żoną.

Martina Ruhemanna poznałem latem 1931 roku w Monachium. Ówczesny dyrektor Instytutu, Iwan Wasilewicz Obreimow, powierzył mi nawiązanie kontaktu pomiędzy Ukraińskim Instytutem Fizyki UFTI a przemysłem krajowym. W owym czasie rzuciła partia hasło „Twarzą do produkcji!” Dla instytutów badawczych znaczyło to uczynić wszystko, by dać techniczną pomoc w uprzemysłowieniu kraju. Ze struktury naszego Instytutu wynikało, że nie parął się on zagadnieniami techniki, lecz czołowymi zagadnieniami teoretycznymi fizyki współczesnej. Jego czołowi naukowcy mało zajmowali się techniką. Ja natomiast byłem człowiekiem politycznym. Porywał mnie rozmach industrializacji i byłem bardzo szczęśliwy, że mi przydzielono pole pracy, na którym mogłem wykazać swe zdolności organizacyjne. W naszym Instytucie istniało wielkie laboratorium niskich temperatur. Głównym terenem zastosowania techniki niskich temperatur w przemyśle chemicznym było oddzielanie przy ich pomocy gazów. Chodziło teraz o ustalenie podstaw naukowo-technicznych dla wielkich zakładów azotowych, przewidzianych w planie pięcioletnim. Z ramienia różnych trustów przemysłowych, nasze laboratorium wzięło na siebie przeprowadzenie pomiarów stałych fizycznych gazów i ich mieszanin; jednakże grono naszych współpracowników było dla rozwiązania tego zadania zbyt szczupłe. W Związku Sowieckim brakowało wykwalifikowanych fizyków i techników z tej dziedziny. Postanowiono posłużyć się specjalistami z zagranicy. Miałem wyszukać ludzi za granicą. Zaprzyjaźnieni fizycy w Berlinie zwrócili mą uwagę na Ruhemanna. W sierpniu 1931 roku byłem w Wiedniu i stamtąd zatelefonowałem do Martina Ruhemanna, mieszkającego w Stuttgarcie. Umówiliśmy spotkanie w Monachium. Przyjechał z żoną. Spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Nawet nie średniego wzrostu, raczej smukły, o miękkich ruchach, wywierał korzystne wrażenie. Anglik z urodzenia, przejawiał w swych manierach całą przyjemną swobodę, którą obyczajowość tego kraju przekazuje swoim dzieciom. Trzymał się w rezerwie, był uprzejmy, pomocny wobec kolegów, a trudne sytuacje traktował najczęściej

z uśmiechem na ustach. Byłem od pierwszej chwili przekonany, że mu się u nas będzie podobało i że wżyje się w atmosferę budownictwa socjalistycznego.

Martin Ruhemann liczył 16 lat, gdy wraz z rodzicami przeniósł się do Niemiec. Rodzina po przesiedleniu się przyjęła obywatelstwo niemieckie. Po dojściu Hitlera do władzy Martin postanowił jednak wrócić do obywatelstwa angielskiego. Byliśmy wtedy właśnie w Moskwie, gdy powiadomił mnie o swej decyzji. Wątpiłem trochę w powodzenie jego starań. On jednak uśmiechnął się i powiedział, że u Anglików nie jest to takie skomplikowane. W dwa dni później przyszedł do mnie do hotelu i pokazał mi dwa świeżo wystawione paszporty angielskie dla siebie i żony. Zapytałem go:

— Martin, jak pan to zrobił??

— Alex, było to całkiem proste! Byłem u konsula generalnego, opowiedziałem mu moją historię, powiedziałem, że obecny system rządu w Niemczech nie podoba mi się i że chętnie byłbym znowu Anglikiem. Konsul dał mi dwa arkusze do wypełnienia i prosił mnie, bym następnego dnia przyniósł dwie fotografie. Wczoraj wręczyłem mu fotografie, a dziś rano otrzymałem gotowe paszporty. Sam się trochę dziwiłem tej jego błogiej ufności i zapytałem konsula:

— Właściwie dlaczego pan wierzy w to, co panu opowiedziałem?

Odpowiedział:

— Mam dowód. Pan mówi po angielsku jak nasi *public school boys*. A to potrafi tylko ten, kto wyrósł w naszym kraju!

Żona jego była Prusaczką. Barbara Ruhemann ulepiona była z gliny, z której robi się fanatyków. Była gwałtowna w reakcjach, a opinie i decyzje pobierała na podstawie jakiejś wewnętrznej ewidencji, bez konfrontowania ich z doświadczeniem. Była człowiekiem odważnym i gotowym do zaryzykowania wszystkiego dla sprawy, którą uważała za słuszną, nie potrafiła jednak ocenić obiektywnie, czy coś jest słuszne czy błędne. W walce z Dawidowiczem, podczas konfliktu w Instytucie, szła za mną na przebój, ale była mocno przekonana, że my właśnie jesteśmy prawdziwymi stalinowcami, natomiast Dawidowicz i jego zwolennicy ucieleśniają ciemne moce aparatu, zniekształcające dobrą wolę wodza. Nie mogłem jej wytłumaczyć, że aparat ów jest świadomym narzędziem dyktatora, że Dawidowicz, glajchsztaltując nasz Instytut i likwidując ostatnie resztki duchowej wolności i niezależności, wykonuje tylko linię polityczną, która już zwyciężyła w całym kraju. Dawidowicz urzeczywistniał idee dyktatora, my — pracownicy naukowcy — broniliśmy się instynktownie przed

nimi. Barbara Ruhemann widziała to jednak w innym świetle. Przypominała mi popa Gajdara, który w styczniu 1905 roku poprowadził demonstrujących robotników i studentów petersburskich przed pałac Zimowy do cara, w nadziei, że car wysłucha błagań ludu i usunie gnębiących go złych ministrów i gubernatorów. Owej krwawej niedzieli, gwardia carska przyjęła masy ludowe kroczące pod przewodem Gajdara salwami karabinowymi i kilkuset zabitych pozostało na bruku przed pałacem Zimowym.

Od chwili, kiedy przeszła na stronę sowietów, Barbara z młodzieńczą żarliwością wierzyła w Stalina. Nie było moją rzeczą wybijać jej to z głowy. Była przekonana, że winę za całe zło w kraju (a jej zdaniem było bardzo wiele zła) ponosi tylko aparat. Nigdy nie mogłem w pełni pojąć, co rozumiała przez „aparat” i jak mogło jej się w głowie pomieścić, że w systemie tak scentralizowanym, jak system Związku Sowieckiego, aparat mógłby prowadzić politykę niezależną od dyktatora i sprzeczną z jego wolą.

Zdecydowałem się pomówić otwarcie z Martinem Ruhemannem i jego żoną. Potrzebna mi była ich pomoc na obie ewentualności: — w walce o mój wyjazd i w walce o odzyskanie wolności po możliwym aresztowaniu. Martin, jako obywatel angielski, miał znacznie więcej swobody poruszania się niż my wszyscy. Jego pozycja w Instytucie była bardzo mocna, miał być głównym naukowcem w nowo wykończonej stacji doświadczalnej dla chłodzenia do niskich temperatur (OSGO). Owa stacja doświadczalna była całym kombinatem naukowo-technicznym z zakładami eksperymentalnymi, laboratoriami i pracowniami. Połączenie fabryki produkcyjnej z instytutem badawczym. Całość przekraczała znacznie swymi rozmiarami jakikolwiek inny instytut naukowy w kraju. Ludowy Komisariat Przemysłu Ciężkiego obiecywał sobie po nowym zakładzie potężną pomoc dla rozwoju przemysłu azotowego i innych gałęzi przemysłu chemicznego. Bez Martina Ruhemanna nie można by w nowej stacji doświadczalnej rozpocząć w ogóle pracy naukowej. Jeśli ktoś mógł mi dopomóc, to tylko Martin. Był moim przyjacielem. Gdy go poznałem, był angielskim liberałem. Pod moim wpływem stał się socjalistą. W roku 1932 przybył do Związku Sowieckiego. Zaczynał się najgorszy rok w historii rosyjskiej od czasu zakończenia wojny domowej. Początkowo Martin i Barbara chcieli opuścić kraj na stałe. Widzieli tylko głód, chaos i nędzę. Nie dotrzymano danych im przyrzeczeń i nie spełniono ich życzeń zarówno prywatnych jak i zawodowych. Nie ze złej woli, lecz aparat Instytutu nie miał po temu możliwości materialnych. Zwłaszcza Barbara, która wówczas spodziewała się dziecka, reagowała ostro. Jako Prusacz-

ka bardzo źle znosiła słowiański bałagan. Gdy ją prosiłem, by była względniejsza, kłóciła się ze mną: „Rozumiem, że ludzie nie mają tego, o co ich prosimy, ale w takim razie po co przyrzekają. Powinni umieć powiedzieć 'nie'. Jeśli jednak raz powiedzą 'tak', powinni dotrzymać”. Sytuacja w kraju pogarszała się coraz bardziej, wiosną 1933 roku głód osiągnął swój punkt szczytowy. W roku 1932 stosunki pomiędzy Instytutem a Ruhemanni wielokrotnie przechodziły kryzys. Staralem się zawsze łagodzić zatargi i zachować Martina Ruhemanna dla tego kraju. Ceniłem jego pracowitość. Zabiegałem o nich i usiłowałem wyjaśnić im obojgu historyczny sens wielkiej walki, której byli świadkami. I wreszcie udało mi się. Oboje całym sercem przyłączyli się do idei budownictwa socjalistycznego.

Byłoby przesadą twierdzić, że tylko mój wpływ ideologiczny popchnął ich na te tory. Martina Ruhemanna po prostu porwał patos wielkiej budowy. Był to człowiek, pochodzący z bardzo uporządkowanego domu rodzicielskiego. Wszystko w jego życiu było odmierzone. Szlak, którym miał iść, był dokładnie wytyczony z góry. Gdy go poznałem, był asystentem w Instytucie Fizyki w Stuttgarcie. Z biegiem czasu zostałby docentem, a później — być może — jak jego ojciec, profesorem. Napisałby szereg mierzonych prac badawczych. Jego praca dawałaby mu mniejsze czy większe zadowolenie, reszta jego uwagi należałaby do rodziny. Martin był skromny. Nigdy nie żądał od życia zbyt wiele dla siebie. Nie zaznał nigdy niepokoju rewolucjonisty. Nad przemianami społecznymi niewiele się zastanawiał.

W Związku Sowieckim porwał go prąd nowego, szerszego życia i niósł go z sobą. Po raz pierwszy czuł, że praca jego nie ma wartości odosobnionej, lecz że może służyć przeobrażeniu życia tego kraju. Jego horyzont poszerzał się. Zrozumiał, że wszyscy tutaj jesteśmy budowniczymi nowego świata i że od powodzenia naszej pracy zależy historia naszego stulecia. Tego przeżycia Martin Ruhemann nigdy nie zapomniał. Gdy już raz zaszedł tak daleko, nie do pomyslenia był dla niego powrót do drobnomieszczańskiej zacisznej atmosfery jego pierwszej młodości. Odtąd uczestnictwo w wielkim, przeobrażającym świat ruchu stało się sensem jego życia.

Martin Ruhemann przeżył w Związku Sowieckim okres lat 1932 do 1938. Były to lata krytycznego zakrętu. Gdy przyjechał, krajem wstrząsała gorączka kolektywizacji i wielkiego głodu. Gdy odjeżdżał, kryzys w rolnictwie był przewyciężony; ale kraj ogarnęła znacznie niebezpieczniejsza choroba — wielka czystka. W ciągu tych sześciu lat miał Ruhemann sposobność poznania wszystkich aspektów życia sowieckiego. Z jednej strony, ofiar-

ność młodzieży sowieckiej, entuzjazm dla budownictwa, pełne wyrzeczeń oddanie się wielkiej idei; z drugiej strony, głód, nędza, ucisk, niesprawiedliwość i panowanie kłamstwa. Gdy odjeżdżał, zło tryumfowało. Idee równości i braterstwa straciły swą siłę. Pasożytnicza warstwa aparatczyków gnębiła prostych ludzi i wyzyskiwała ich pracę. Bezwstydnym kult wodza zmuszał wszystkich do bizantyjskich hymnów na cześć dyktatora. Wszystko to jednak nie zachwiało wiary Martina w ostateczne zwycięstwo idei wielkiej rewolucji rosyjskiej.

Był bardzo powściągliwy, ale bardzo odważny. Gdy GPU po moim aresztowaniu zarządziło tak zwaną prorobotkę mej sprawy na ogólnym zebraniu członków Instytutu, zdarzyło się coś w dziejach Instytutu niezwykłego. Przedstawiciel NKWD zakomunikował, że Aleksandrowi Siemionowiczowi Weissbergowi udowodniono, iż organizował zamachy terrorystyczne na życie przywódców sowieckich, uprawiał sabotaż kontrrewolucyjny i pracował dla zagranicznych central szpiegowskich. Potem, zgodnie z rytuałem sowieckim, wstawali kolejno wszyscy przodujący członkowie partii i związków zawodowych, wszyscy moi dawniejsi koledzy pracy i wyklinali tajnego wroga ludu, który był ich towarzyszem. Nikt nie odważył się poddać w wątpliwość komunikatu przedstawiciela NKWD; byłaby to kontrrewolucja *ex definitione*. W głębi serc byli wszyscy naturalnie przekonani, że jestem przyzwyczajonym, oddanym towarzyszem; nikt jednak nie miał odwagi powiedzieć tego i tylko bardzo niewielu znalazło w sobie odwagę, by po prostu milczeć. Kolej przyszła na Martina Ruhemanna. Wstał i powiedział:

— Nie mogę uwierzyć, że Weissberg był kontrrewolucjonistą. Znacnie mnie wszyscy i macie do mnie zaufanie. Byłem obcy sprawie władzy sowieckiej, gdy tu przyjechałem; jeśli ktoś mnie zdobył dla budownictwa socjalistycznego, to właśnie Weissberg. Niestrudzenie wyjaśniał mi sens wszystkiego, co się dzieje w tym kraju. Dlaczego kontrrewolucjonista miałby to czynić? Nie na kontrrewolucję stawiał, lecz na socjalizm.

To oświadczenie było czymś niesłychanym. GPU pienieło się. Zauważyłem echo tego w czasie mych przesłuchań. Sędzia śledczy powiedział mi:

— Z ładnymi ludźmi obcuje. On myśli, że może sobie na to pozwolić, bo ma angielski paszport! Anglików też już aresztowaliśmy. Niech no on nie będzie taki pewny!!

Po ukończeniu zebrania, przodujący towarzysze komórki partyjnej rzucili się na biednego Martina i zaczęli go obrabiać. Trwało to dwa dni. Wreszcie ustąpił trochę i ogłosił w gazecie ściennej niemrawe oświadczenie, w którym poddał swe wystą-

pienie na zebraniu niejkiej samokrytyce. Bez tego oświadczenia nie mógłby po prostu kontynuować pracy w Instytucie.

NKWD nie zapomniało mu jednak tej sprawy. W ciągu następnego roku wymusili — jak się dowiedziałem później — na różnych więźniach zeznania przeciw Martinowi Ruhemannowi. Rzekomo był agentem Intelligence Service albo Gestapo, był sabotażystą i tak dalej. Wszystkie te zeznania spoczywają w teczkach charkowskiego GPU.

Mimo to nie odważyli się go zaaresztować ani wydalić; dali jednak dyrektorowi Instytutu polecenie, by po upływie terminu nie odnawiał kontraktu i w ten sposób zmusił Ruhemanna do opuszczenia kraju. Wiosną 1938 roku Ruhemann powrócił do Anglii.

Wszystko to nie przeszkodziło mu jednak pozostać wiernym sprawie Związku Sowieckiego i — jak sądził (i wciąż jeszcze sądzi) — sprawie rewolucyjnego socjalizmu. W Anglii wstąpił do partii komunistycznej. W jedenaście lat po tych wydarzeniach — miałem za sobą więzienie rosyjskie i sześć lat okupacji niemieckiej w Polsce — przyjechałem do Anglii i cieszyłem się na myśl ponownego spotkania z Martinem Ruhemannem. Do mojej celi więziennej w Charkowie przeciekały wciąż wiadomości — przynosili je nowi więźniowie — jak wiernie i odważnie dochował mi Martin wiary. W Londynie spotkałem się z Arturem Koestlerem. Gdy mu zakomunikowałem mój zamiar, wpadł we wściekłość.

— Co, chce pan zobaczyć się z Martinem Ruhemannem? Czy pan oszalał?! To przecież zaprzysięgły stalinowiec.

— To niemożliwe.

— No to panu coś powiem. Nie mając przez dwa lata wiadomości o panu, postanowiliśmy — ja i kilku pańskich przyjaciół — coś dla pana zrobić. Albert Einstein napisał w pańskiej sprawie list do Stalina. To samo uczynili Perrin, Curie-Joliot, Polanyi i inni. Chcieliśmy podpisu Martina Ruhemanna, gdyż był on świadkiem wydarzeń roku 1937. Przyszedłem do Ruhemannów i prosiłem ich oboje o poparcie. Zauważyłem natychmiast, jak rysy twarzy Barbary stwardniały i zaostrzyły się. Odpowiedziała: „Nie zrobimy tego. Alex był kontrrewolucjonistą”. Złapałem się za głowę i powiedziałem: „Barbaro, nie wiem, co Pani przez to rozumie, ale czy Pani sądzi, że uczciwie jest pozwolić Alexowi zgnieć w więzieniu GPU i nie podjąć próby przyjęcia mu z pomocą?” Odpowiedziała: „Nie chcemy mieć z tą sprawą nic wspólnego!” Zwróciłem się do Martina: „Martinie, czy to także pańskie zdanie?” Odpowiedział niezbyt pewnie: „No tak, Arturze, nie sformułowałbym tego tak ostro jak to uczyniła Barbara, ale sądzę że w meritum sprawy nic się nie da zrobić”. Taka była postawa Martina. Może pan sobie wyobrazić, jak na to zareagowałem. Zerwałem się, zakląłem i zatrzęsłem drzwiami za sobą. Od tego czasu nie widzieliśmy się i mam nadzieję, że i w przyszłości będzie mi to zaoszczędzone.

Opowiadanie Koestlera sprawiło mi przykrość, nie dałem się jednak odwieść od zamiaru osobistego spotkania się z Martinem. Myślałem, że Barbara przytłacza go swą gwałtownością, gdyż Martin Ruhemann był człowiekiem miękkim i niebojowym. Postanowiłem odwiedzić Martina bez zapowiedzi. Pewnego wieczora, w lutym 1948 roku, zapukałem do drzwi jego domu.

Pracował jako fizyk w wielkiej rafinerii naftowej w Manchesterze i mieszkał w małym osiedlu w pobliżu miasta. Jakaś pani otworzyła mi drzwi, ale to nie była Barbara. Zapytałam o Martina Ruhemanna. Odpowiedziała po angielsku: „Mój mąż jest w domu”. Martin wyszedł i wpatrywał się we mnie jak w upiora.

— Alex — Alex — to pan?!

— Martin, to ja, powiedziałem z radością. — Czy zmieniłem się tak bardzo?

— Bynajmniej. Wygląda pan tak, jak gdybyśmy rozstali się wczoraj.

Przeprowadził mnie przez pokój, w którym leżało małe dziecko, do swego gabinetu. Usiedliśmy i nawiązaliśmy rozmowę. Zanim jeszcze przystąpiłem do opowiadania swych dziejów, przerwał mi zapytaniem, które mnie oszołomiło:

— Alex, niech mi pan powie otwarcie, czy pan miał stosunek miłosny z Barbarą?

— Martin, skąd panu to przyszło do głowy? Barbara była dobrą przyjaciółką, to wszystko.

— Jeśli to jest prawda, Alex, a ja nie wątpię, że to jest prawdą — po cóż miałby pan teraz, po dwunastu latach, kiedy już ożeniłem się z inną kobietą, ukrywać przede mną prawdę — w takim razie cała sprawa jest bardzo osobliwa, niemal nie do wytłumaczenia.

— O co właściwie chodzi?

— Czy pamięta pan noc, kiedy to został pan aresztowany, że tak powiem w moim mieszkaniu? Barbara dostała wtedy spazmów i przez całe tygodnie nie mogła wrócić do siebie. Spazmy powtarzały się nieustannie. Wreszcie przezwyciężyła ten stan. W końcu uspokoiła się, lecz przez długi czas była bardzo milcząca. Pewnego dnia, gdy przyszła do domu, zauważyłem, że coś się w niej zmieniło. Nie mówiła jednak. W tydzień później oświadczyła mi: „Teraz zrozumiałam, że Alex przecież był kontrrewolucjonistą...”

Słowa Martina obudziły we mnie na wpół zapomniane wspomnienia. Przypomniałem sobie rozmowę z sędzią śledczym, w kilka miesięcy po moim aresztowaniu. Przytoczył zeznanie Barbary Ruhemann, które ewentualnie mogłoby być użyte przeciwko mnie i powiedział:

— Opowiedziała mi to Barbara Ruhemann bez żadnego nacisku. Nasza rozmowa nie odbywała się w moim gabinecie. Spacerowaliśmy razem po parku Instytutu i rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Jeśli ona tam w ten sposób o was mówiła, musi to być prawda.

Przy najlepszej woli nie mogłem sobie przypomnieć, co Barbara rzekomo o mnie powiedziała; ale w świetle słów Martina, uświadomiłem sobie mechanizm, który doprowadził do późniejszej postawy Barbary. Barbara pochodziła z Prus Wschodnich, jej słabą stroną był pewien mistyczny respekt dla władzy. Wiele Niemek tego typu padło ofiarą demagogii Hitlera. Możliwe, że GPU w kilka miesięcy po moim aresztowaniu podjęło próbę nawiązania z nią kontaktu. Być może, że jej pokazali sfałszowane dowody mej winy. Myśl o tym, że ja, którego życie tak wyraźnie rozgrywało się przed jej oczyma, byłem potajemnym kontrrewolucjonistą, przygotowującym w najgłębszej konspiracji zamachy na życie wodza, mogła odpowiadać mistycznym skłonnościom tej kobiety.

— Martin, kiedy rozwiódł się pan z Barbarą?

— Przed kilku laty. Byłoby dla nas obojga lepiej, gdybyśmy się rozstali wcześniej.

— Co Barbara teraz robi?

— Pracuje w TASSie.

— W TASSie. No tak. Prawidłowo.

TASS, to sowiecka agencja informacyjna. Było wykluczone, by ktoś, kto

tam wylądował, nie był bezwzględnie posłuszny rozkazom sowieckiego aparatu.

Opowiedziałem Martinowi swe dzieje. Był wstrząśnięty, ale nie łatwo było mu wyciągnąć z tego polityczne konsekwencje. Wahał się.

— Alex, czy pamięta pan swe słowa tego wieczoru, gdy żegnał się pan ze mną, a gepiści czekali na pana na dole? Powiem panu. Zwrócił się pan do mnie i powiedział: „Martin, mimo wszystko niech pan nigdy w życiu nie zapomina, że ten kraj jest ojczyzną wyzwolonych robotników i chłopów”.

— Martin, nie wiem, czy byłem wtedy zupełnie uczciwy, gdy to mówiłem. I nie wiem, czy już wtedy zdawałem sobie jasno i wyraźnie sprawę z tego, co się stało z rewolucją. Ale od tego czasu minęło jedenaście lat, lat wielkich wstrząsów, lat, w których ze strasznego kłamstwa spadła maska. Jeśli pan jeszcze teraz walczy pod dawnym sztandarem, to walczy pan o ucisk ludu, a nie o jego wyzwolenie. Czy pan wierzy, że oskarżeni w wielkich procesach, że stara gwardia rewolucji była bandą szpiegów i sabotażystów?

— Właściwie wierzyłem w to — powiedział powoli. — Była to wielka walka, rozdzierająca kraj. Jeśli się chciało zwyciężyć, to trzeba było być bez litości.

— Martin, ci ludzie byli tak samo niewinni, jak pan i ja. Jeśli pan nie wierzy, że byłem szpiegiem niemieckim, to nie powinien pan wierzyć, że szpiegami byli Piatakow, Murałow i Bucharin.

— Alex, to wszystko jest tak trudne. Co mam robić? Nie mogę przecież uwierzyć, że całe moje świadome życie polityczne, że ruch, do którego pan mnie wprowadził, że to wszystko było pomyłką. Na świecie są teraz tylko dwie partie, Związek Sowiecki i Amerykanie. Czy mam przejść na stronę amerykańskich imperialistów?

Próbowałem wyjaśnić mu rzeczywistą sytuację. Na próżno. Zainwestował zbyt wiele kapitału psychicznego w ruch komunistyczny, by móc się go teraz wyrzec. Rozstaliśmy się smutni.

Poświęciłem temu epizodowi więcej miejsca, niż może na to zasługuje. Zależało mi jednak, by naszkicować obraz człowieka, o którego uczciwości i politycznej rzetelności jestem przekonany, a który mimo to służy ponurej sprawie — w przekonaniu, że walczy o postęp ludzkości. Wśród Anglików, którzy jeszcze teraz sympatyzują ze sprawą komunizmu, jest wielu jemu podobnych. Lecz powróćmy do roku 1937.

Postanowiłem wtajemniczyć w całą sprawę jedynie ludzi najniezbędniejszych. Nie miałem żadnych skrupułów moralnych z powodu złamania zobowiązania, podpisanego w GPU. Papier ten podpisałem przecież tylko pod naciskiem. Obawiałem się jednak niedyskrecji, które mogłyby przedwcześnie zmusić GPU do działania, gdyby nawet me aresztowanie nie było jeszcze zadecydowane. Ograniczyłem zatem grono wtajemniczonych do Leipunskiego, Marcela i Martina. Ponadto chciałem zawiadomić mego szwagra w Moskwie, aby po moim ewentualnym aresztowaniu mógł interweniować.

Martin przyjął sprawę spokojnie, prawie jak gdyby przecz-

wał, że coś takiego nadchodzi. Barbara była wstrząśnięta. Od tej chwili nie odstępowała mnie. Odwiedzała mnie często, jeździła ze mną na plac budowy i korzystała z każdej sposobności, by manifestować swą solidarność. Była mocno przekonana, że chodzi o osobistą intrygę Dawidowicza lub jednego z jego popleczników, którzy mi nie zapomnieli mojej postawy w czasie konfliktu w Instytucie i teraz zasypywali GPU fałszywymi donosami na mnie. Radziła mi pozostać i walczyć. Przypominała mi wszystkie trudności, które w zdecydowanej walce w roku 1935 przezwyciężyliśmy. Zaklinała, bym nie tracił odwagi i nie rzucał na łaskę losu mego dzieła, stacji doświadczalnej. — Ze smutkiem wykonałem ręką ruch odmowy.

— Barbaro, nie chodzi o żadną intrygę osobistą. Chodzi o system. Ludzie, tacy jak ja, nie są tu już więcej potrzebni.

— Ależ Alex, jak pan może mówić coś takiego? Nawet myśleć pan tak nie powinien. Czy nie wstydzi się pan składać broni dlatego, że kilku bandytów oszkalowało pana w GPU!

— Nie sądzę, Barbaro, by chodziło o przypadkowe oszczerstwa. Kryje się za tym coś więcej. To tylko fragment owej fali niepokoju i podejrzliwości, przetaczającej się po całym kraju. Sam nie rozumiem politycznego sensu tego zjawiska. Miałem nadzieję, że po ciężkich latach, teraz, gdy gospodarka znowu się podnosi, wszystko się uspokoi i że nic więcej nie będzie zakłócało spokojnej pracy. Myliłem się. Dniem i nocą rozmyślałem, dlaczego stało się inaczej i czy tak być musiało. Nie znajduję wyjaśnienia. Jedno wiem jednak, że wezwania do GPU, które otrzymuję, nie są wynikiem jakiegoś głupiego oszczerstwa. Przyjmuję to wszystko jako ostrzeżenie. Nie da się już walczyć. Trzeba odejść.

— Alex, niech się pan jeszcze nie decyduje. Niech pan odczeka. My tu wszyscy jesteśmy po pana stronie i NKWD o tym wie. W pracy jest pan konieczny, to ludzie też wiedzą, a gdy już OSGO będzie uruchomione, czeka nas tu wielka robota. Nie ma nikogo, kto by mógł tę robotę poprowadzić tak dobrze jak pan.

Siedzieliśmy obok siebie w samochodzie i jechaliśmy na plac budowy. Barbara ujęła mą rękę i trzymała ją długo w swej dłoni. Nie byłem przyzwyczajony do takich odruchów uczucia z jej strony. Była to kobieta bardzo powściągliwa. Jej wierność dobrze na mnie podziałała. Zacząłem rozmowę na obojętny temat.

Przyjechaliśmy na miejsce. Była niedziela, na placu budowy ani żywego ducha, z wyjątkiem kilku dozorców. W zimowym słońcu wielka hala maszyn połyskiwała taflami szkła. Brodziliśmy po śniegu w kierunku budujących się domów mieszkalnych: Większa część mieszkań dla pracowników naukowych była już gotowa.

W ostatnim tygodniu polakierowano drzwi i okna. Skontrolowałem robotę. Jak na stosunki sowieckie, była wyjątkowo dobra. Weszliśmy do jednego z mieszkań i stanęliśmy na balkonie. W odległości 50 metrów przed nami rozciągała się aleja potężnych, starych drzew. Za nią mały lasek. Okolica Charkowa była słabo zalesiona. W ciągu ostatnich 200 lat wyrąbano wszystko. Park leśny tu, w Nowobawarii, był oazą. Cieszyłem się myślą, że robotnicy i inżynierowie OSGO znajdą tu ochłodę w gorące dni letnie. Dwa bloki obejmowały mieszkania starannie zaplanowane, składające się każde z 3 lub 4 pokoi, łazienki i kuchni. Przeznaczone były dla pracowników naukowych i dla inżynierów na odpowiedzialnych stanowiskach. Jeden blok obejmował mieszkania dwupokojowe, a także jednopokojowe z łazienką i niszą kuchenną. Wreszcie oddzielny dom z pokojami kawalerskimi i kilku łazienkami. Trzy wielkie mieszkania przeznaczone były dla dyrektora stacji, dla kierownika naukowego i dla głównego inżyniera. Osobny budynek z pomieszczeniami dla klubu i stowarzyszeń oraz blok obejmujący restaurację, pralnię, zakład fryzjerski, sklepy i tak dalej, uzupełniały urządzenia mieszkaniowe. Ulica oddzielała teren zakładu od bloków mieszkalnych otoczonych wielkimi połaciami zieleni i parkiem z kortami tenisowymi, boiskiem piłki nożnej i wielką pływalnią.

Z tą pływalnią rzecz się miała następująco. Stacja miała bardzo wielkie zużycie wody. Woda była potrzebna do chłodzenia kompresorów, a także do uwalniania gazów od dwutlenku węgla. Otrzymywaliśmy wodę przy pomocy studni artezyjskiej i stacji pomp. Wydajność studni nie wystarczała jednakże do pokrycia całego zapotrzebowania. Woda, zużyta w płaszczach chłodzących kompresorów i w skruberach do absorpcji kwasu węglowego, musiała być stale regenerowana. Postanowiłem więc skierować oba nurty wodne w wielki otwarty basen, w którym woda byłaby chłodzona i traciła kwas węglowy. Przeniósłem ten basen do dzielnicy mieszkaniowej i dałem mu wyposażenie i rozmiary wielkiej pływalni. Ludowy komisariat nigdy nie przyznałby nam środków na zbudowanie pływalni, w ten jednak sposób mogliśmy ją zbudować bez dodatkowych kosztów, a ponadto z tą korzyścią, że będziemy mieli ciepłą wodę, zawierającą kwas węglowy, tak że prawdopodobnie kąpiele będą możliwe nawet w grudniu.

Obok basenu znajdowała się stacja pomp. Wpadałem w złość za każdym razem, kiedy patrzyłem na jej fasadę. Wybudowano ją, gdy byłem na urlopie latem 1935 roku. Obiekt był bardzo mały, więc nie czekano aż obejrzę plany i teraz oto stał jakiś twór, w stylu na pół secesyjnym, o fasadzie kłócącej się z technicznym celem budynku.

Opuściliśmy dzielnicę mieszkaniową, przeszliśmy na drugą stronę ulicy i weszliśmy do wielkiego gmachu Instytutu. Tu wszystko wypadło dobrze. Wszystko było rozplanowane na większą skalę i bardziej celowo, niż w dawnym Instytucie. Dzięki rozumnemu rozłożeniu poszczególnych sektorów udało się architektowi wprowadzić do każdego pomieszczenia maksimum światła dziennego. Połączenie laboratoriów z warsztatami i sektorem administracyjnym było możliwie jak najkrótsze i tak rozplanowane, by unikać zbytecznych wędrówek po korytarzach. Weszliśmy do biblioteki na drugim piętrze. Była prześliczna. Każdy czytelnik, zza swego stołu, mógł przez wielkie okna naróżników oglądać rozległy krajobraz, rzekę, koksownię i zacierające się w dali miasto. Barbara wysunęła kilka propozycji, dotyczących urządzenia pomieszczeń. Przypomniałem jej: — Zwraca się pani pod fałszywym adresem. Nie mam tu nic więcej do decydowania i nic więcej do organizowania. Musi pani pomówić o tym z Komarowem.

— Mam nadzieję, że będzie inaczej — powiedziała stanowczym głosem.

Zatrzymaliśmy się jeszcze przez kilka minut w hali, by zbadać stan montażu. Potem poszliśmy długim korytarzem, łączącym halę maszyn z Instytutem, z powrotem do gmachu Instytutu i opuściliśmy go przez główny portal. Na tarasie przed wejściem pozostałem nieco w tyle i obejrzałem się. Barbara zeszła już po stopniach. Z mego miejsca mogłem objąć wzrokiem cały teren i stwierdziłem z zadowoleniem, że niewiele już brakuje do ukończenia. Wyobrażałem sobie, jaki to będzie piękny dzień, w którym przekażemy rządowi gotowy kombinat. Potem pomyślałem, że nie doczekam się tego dnia i po raz pierwszy ogarnęło mnie pragnienie, by pozostać. Pomimo wszystkich trudności, znalazłem tu drugą ojczyznę. Nie wiedziałem dokładnie, co mnie pociąga w tym kraju. Czy może swoista natura ludu rosyjskiego, nieco odmiennego, bardziej interesującego, bardziej pociągającego i żywszego niż ludzie, z którymi razem żyłem i pracowałem na przykład w Niemczech. Czy też rewolucja, socjalizm, wielka budowa, albo też wielka twórcza praca, którą tu znalazłem i której wszędzie indziej by mi odmówiono jako cudzoziemcowi. Obejrzałem się raz jeszcze, gdy podeszła do mnie Barbara. Jak się zdaje, zauważyła, co się we mnie dzieje. Wzięła mnie za rękę i powiedziała:

— Alex, musimy z panem często tu przychodzić, może wtedy zmieni pan swą decyzję. Bez pana będzie tu o wiele gorzej niż z panem, a przecież doprowadzenie budowy do końca jeszcze nie jest nawet połową pracy.

— Nie sędzę, by się coś dało zmienić.

Pojechaliśmy do domu.

W owym tygodniu zrezygnowałem z mego biura w kierownictwie budowy i przenieśliśmy biurko do gabinetu Komarowa. Od tej chwili przeglądaliśmy wspólnie każde pismo i pobieraliśmy wspólnie każdą decyzję. Przekazanie pracy było dla mnie sprawą prostą, albowiem niedawno, z końcem roku, ustalone zostały wszystkie plany na rok następny. Projekty wstępne robót końcowych były gotowe i zatwierdzone, niemal wszystkie potrzebne materiały były już zamówione i otrzymaliśmy już większą część przydziałów pieniędzy, materiałów i maszyn. W tym roku wszystko było łatwiejsze niż w poprzednim. Piatakow miał twardą rękę. Obchodził się oszczędnie ze środkami państwowymi. Nasza stacja była często upośledzona. Dawne „dziecko od machochy” było teraz szcudrzej brane pod uwagę, właśnie dlatego, że „sabotażysta” Piatakow uprzednio hamował jego rozwój.

Mój następca, Komarow, nie protestował więcej przeciw mojej dymisji. Wiedział, że już nie ma innego wyjścia i — aby mi ułatwić rozstanie — zdwoił w stosunku do mnie delikatność w obejściu. Komarow był górnikiem w Zagłębiu Donieckim, później uczęszczał na uniwersytet robotniczy, wstąpił do partii i został aspirantem w UFTI. Do pracy naukowo-technicznej nie miał zbyt wielu uzdolnień. W pracy partyjnej był na właściwym miejscu. Miał miły i sympatyczny sposób obchodzenia się z ludźmi. Wyglądał jak młody student a nie jak biurokratyczny dyrektor. Robotnicy i technicy na budowie mieli do niego zaufanie. Był tylko trochę za miękki jak na nasze twarde czasy. Po moim aresztowaniu znalazł się pod morderczym naciskiem GPU. Został zmuszony do złożenia zeznań przeciwko mnie i do odtworzenia naszych rozmów w zniekształconej formie. Podczas konfrontacji z nim widziałem, że sam sobie kopie grób. Skoro uprzednio przemilczał to wszystko, co zeznał potem o mnie do protokołu, musiał być uznany za wroga partii. W czasie konfrontacji byłem skrępowany i nie mogłem zrobić nic, by go ratować. W kilka miesięcy później aresztowano i jego.

Wielokrotnie w tym czasie usiłowałem dostać się do Leipunskiego. Był zawsze zajęty. Chciałem się od niego dowiedzieć, co postanowił Maso. Miałem jednak uczucie, że Leipunski mnie unika. Wreszcie zdecydowałem się zapytać go wprost. Spotkałem się z nim w jego laboratorium.

— Aleksandrze Iljiczu, chciałbym z wami pomówić, ale nie tutaj.

— Przyjdźcie do mnie za pół godziny do pokoju dyrektora. Zostałem tam Szubnikowa.

— Zaczekajcie chwilę, Alex, zaraz będziemy gotowi.

Gdy Szubnikow wyszedł, usiadłem przy biurku naprzeciw Leipunskiego.

— Aleksandrze Iljiczu, mam wrażenie, że w ostatnich czasach unikacie ze mną kontaktu. Mogę to zrozumieć, ale są rzeczy które muszę z wami omówić.

— Ależ Alex, co za głupstwa mówicie! Gdybym nawet chciał, nie mógłbym z wami zerwać. Zbyt długo z wami współpracowałem, o tym wie każdy. Wasza sprawa stała się moją sprawą. Musiałbym wam pomagać, nawet gdybym tego nie chciał. Ale ja zresztą chcę. I sądzę, że jest rzeczą słuszną, by wam dopomóc.

— Przyrzekliście mi, że pomówicie z Maso. Od tego czasu upłynęły już prawie dwa tygodnie. Czy mówiliście z nim?

— Tak jest, ale chwilowo nic wam o tym nie wolno powiedzieć. Sądzę, że za dzień, dwa, będę mógł z wami pomówić. Proszę, przynieście mi wasze podanie o zwolnienie. Do 15-ego muszę ogłosić waszą dymisję.

Następnego ranka przyniosłem mu swe podanie. Przeczytał je i powiedział mi potem:

— Alex, jest w zwyczaju, by człowiekowi, który tyle dokonał co wy, wyrazić w zarządzeniu o dymisji podziękowanie Instytutu. Ze względu na to co się stało, w waszym wypadku będzie mi trudno uczynić to oficjalnie. Nie chciałbym jednak sprawiać wam przykrości — i dlatego zapytuję: czy potrzebne wam jest podziękowanie Instytutu?

Miałem zamiar od razu z tego zrezygnować, aby mu ułatwić sytuację. Potem zastanowiłem się i poprosiłem o czas do namysłu. Chciałem omówić sprawę z Marcelem i z Ruhemannem.

Powrócił po południu.

— Aleksandrze Iljiczu, jeśli nie sprawi wam to bardzo wielkich trudności, prosiłbym was o pochlebny ocenę. Zależy mi na tym.

Leipunski zwrócił się do mnie:

— Na co wam to, Alex, potrzebne? — zapytał w zamyśleniu.

— Słuchajcie, Aleksandrze Iljiczu, opuszczam Związek Socjaldemokratyczny, ale nie opuszczam ruchu rewolucyjnego. Pomimo wszystkiego, co mnie tu spotkało, chcę za granicą znowu wstąpić do partii. Będzie mi ciężko żyć poza szeregami rewolucyjnego ruchu robotniczego. Siedem lat spędzonych tutaj oznacza przerwę w mojej służbie partyjnej. Pismo Instytutu, dające pozytywne świa-

dectwo mej działalności w Związku Sowieckim, dopomoże, by mi partia przydzieliła znowu właściwy posterunek. I tak jest mi dość ciężko. Wyjazd ze Związku Sowieckiego, bez formalnego odwołania przez partię i Komintern, wygląda diabło podobnie do ucieczki. A przecież to nie jest ucieczka, Aleksandrze Iljiczu?

— Macie słuszność, Alex. Muszę to wziąć na siebie. Byłoby niesłuszne odmawiać wam tego do czego macie pełne prawo. Zobaczę, co się da zrobić.

Wziął moje podanie o dymisję. Rozstaliśmy się.

W dniu 15 lutego przysłał mi Leipunski pismo o przyjęciu dymisji. Składało się ono z dwóch części. Pierwsza część była bardzo lakoniczna i zawierała tylko stwierdzenie, że dyrektor Instytutu przyjął moją prośbę o dymisję i zwalnia mnie z dniem 1 marca ze wszystkich mych obowiązków. W drugiej części dokumentu Leipunski bardzo gorąco wyliczał wszystkie moje zasługi dla Instytutu i dla pracy w przemyśle. Dokument kończył się słowami: „Wyrażam wam podziękowanie w imieniu własnym i w imieniu Instytutu”.

Moi przyjaciele byli oszołomieni sformułowaniem tego dokumentu. Ja sam nigdy nie posądzałbym Leipunskiego o tyle odwagi. Był przecież poinformowany o każdym szczególe mojej groźnej sytuacji. Leipunski był jednak nie tylko przyzwoity, ale i mądry. Pismo nie zostało ogłoszone w Instytucie. Dokument pozostał w kancelarii dyrektora. Otrzymałem uwierzytelniony odpis. Buchalteria, która na podstawie rozkazu o dymisji miała się ze mną rozliczyć, otrzymała kopię, zawierającą tylko pierwszą część dokumentu. I tak miałem to, co mi było potrzebne dla Kominternu i dla partii austriackiej, a Leipunski nie musiał wywoływać sensacji ogłoszeniem zarządzenia, które byłoby po prostu wyzwaniem rzuconym GPU.

W dniu 17 lutego 1937 roku zmarł nagle Ordżonikidze. Był to cios dla wszystkich. Miało się uczucie utraty orędownika ludu u tyрана. W Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego niewielu było takich, którzy nie kochali ludowego komisarza Ordżonikidze. Większość nazywała go zdrobniale „Sergo” — tak jak go nazywano jeszcze w latach podziemnej walki na Kaukazie. Ceniono jego energię, kochano go za uczciwość i za dobroć. Czuło się, że dopóki Sergo siedzi w Politbiurze i kieruje ciężkim przemysłem, nie może być z nami całkiem źle. Będzie umiał nas osłonić. Tak wypadło, że w czasie uroczystości żałobnej ku czci Ordżonikidze, 18 lutego, siedziałem obok Leipunskiego. Rozmawialiśmy półgłosem:

- Ale czy ci ludzie wzywali was od tego czasu?
- Nie.
- Sądzę, że rzecz jest skończona. Będziecie mogli wyjechać.
- Co wam powiedział Maso?
- Powiedział, że to drobnostka. Nie ma powodu do niepokoju. Będziecie mogli wyjechać.
- Czy to zupełnie jasne? Czy jesteście oficjalnie upoważnieni do przekazania mi tego jako decyzji aparatu?
- Alex, pytacie trochę za wiele. Taka rzecz nigdy nie jest zupełnie jasna. Ale sądzą, że to drobnostka.
- Śpiewano marsz żałobny: „Ze legliście w boju, niech będzie wam cześć...”
- Przerwaliśmy rozmowę i podnieśliśmy się z miejsc.

Krótką rozmową z Leipunskim dodała mi otuchy. Wiedziałem, jaki był ostrożny. Jeśli uważał sprawę za bagatelną, najwidoczniej Maso dał mu zapewnienie, że będzie załatwiona pomyślnie. Zużyłem pozostające mi trzy tygodnie (chciałem wyjechać 6 marca) na przygotowania do podróży. Uporządkowałem swoje sprawy finansowe i rozliczyłem się z Instytutem. Należało mi się jeszcze 4.000 rubli tytułem urlopów, premii i poborów. Miałem ponadto pieniądze w kasie oszczędności, ponadto pożyczki, które subskrybowałem i które w razie wyjazdu można było zrealizować. Co prawda, skutkiem istniejących przepisów dewizowych, nie wolno mi było wywieźć tych pieniędzy za granicę; byłyby tam bez wartości. Postanowiłem upoważnić Marcela i Martina Ruhemanna do rozporządzania nimi. Trochę pieniędzy w walucie zagranicznej miałem na swym koncie w charkowskim Banku Państwowym. Większa część z tego należała do Martina. Chciałem przed wyjazdem rozdzielić konto i oddać mu jego część.

Martin powrócił z Moskwy i przywiózł od mego szwagra niezbyt pocieszające wiadomości. Moja żona wciąż jeszcze nie odzyskała wolności i nie można było przewidzieć kiedy ją GPU wypuści. Po interwencji naszych przyjaciół prokuratura generalna odstąpiła od wszystkich punktów oskarżenia — o szpiegostwo, sabotaż i dywersję. Ale GPU nie chciało przyznać, że aresztowało niewinnego człowieka. Podniosło tedy nowe oskarżenie: o agitację antysowiecką, § 58, punkt 10. Wedle praktyki GPU można było takie oskarżenie wysunąć przeciw każdemu obywatelowi sowieckiemu bez wyjątku. Nie było nikogo, kto by tu czy tam nie napsioczył na wysokie ceny artykułów żywnościowych, albo na złe połączenia komunikacyjne i nędzne mieszkania. To jednak był już stan faktyczny: agitacja przeciw władzy sowieckiej. Było

dla mnie jasne, że wszystko to kryło odwrót leningradzkiego GPU, obawiałem się jednak, że zwłoka mogłaby doprowadzić do komplikacji dla mej żony, gdyż tymczasem Leningrad dowiedziałby się o mej sprawie w Charkowie. Jak mi szwagier kazał powiedzieć przez Martina, był on zdecydowany opuścić kraj natychmiast po zwolnieniu siostry, którą bałwochwalczo kochał. Atmosfera w Moskwie była coraz bardziej nie do zniesienia. Co dnia znikało kilku ludzi, z którymi się razem pracowało. Postronni nie mogli pojąć mechaniki aresztowań. Ale powoli rozeszło się, że jeden aresztowany w ciągu krótkiego czasu pociąga za sobą wielu swych przyjaciół. Nie wiadano, jak się to dzieje. Aresztowani nie różnili się niczym od wszystkich innych obywateli sowieckich, lecz prości ludzie czuli instynktownie, że w tym okresie w ogóle niebezpiecznie jest mieć przyjaciół. Jeden z nich może zostać aresztowany i potem jest się samemu w tarapatkach. Ludzie w Moskwie wyciągnęli stąd konsekwencję, przecinając wszelkie osobiste kontakty, nie wdając się w żadne rozmowy, nie odpowiadając na żadne pytania, ograniczając się do pracy i najbliższej rodziny. Ale i to pomagało tylko przejściowo.

Prosiłem Martina, by otworzył sobie konto w Banku Państwowym, abym mu mógł przekazać jego pieniądze. Odmówił zdecydowanie.

— Alex, pan będzie za granicą bardziej potrzebował pieniędzy niż ja tutaj. Przecież ja ich tutaj nie potrzebuję.

— To prawda, Martin, ale to zbyt wielka suma, bym ją mógł po prostu od pana przyjąć.

— Jedzie pan teraz za granicę, a tam zaszły bardzo istotne zmiany. Niemcy są dla pana zamknięte, Francja i Anglia zalane są emigrantami politycznymi z krajów faszystów. Nie łatwo będzie panu znaleźć stanowisko. Niech pan weźmie pieniądze. Może pan z nich żyć przez rok. Gdy pan znowu wypłynie, odda mi je pan. A pan na pewno wypłynie, tego jestem pewien.

— Dziękuję. Ładnie to z pańskiej strony, że chce mi pan pomóc, ale sądzę, że dam sobie bez tego radę.

Wież o mym bliskim wyjeździe rozeszła się po Instytucie. Musiałem składać i odbierać mnóstwo wizyt pożegnalnych. Tylko bliskim mi ludziom dawałem do zrozumienia, że nie wyjeżdżam dobrowolnie. Fritz Lange był jedyny, który chciał mnie nakłonić do pozostania. „Rozumiem, Alex, że nie chce pan pozostać w Charkowie i że prawdopodobnie nie może pan tu dłużej zostać. Może by pan jednak pojechał na Daleki Wschód. Ludzi takich jak pan potrzebują na Syberii jak chleba powszedniego. Będą tam

cenili pańską inicjatywę i będzie pan tam bezpieczny od wszelkiego prześladowania”.

Podśmiewałem się z jego naiwności. Ależ on ma pojęcie o wartości aparatu, pomyślałem sobie.

Teraz, gdy piszę te słowa, muszę przyznać, że Lange miał słuszość. Bardzo wielu ludziom udało się uchronić przed prześladowaniem i aresztowaniem przez proste przesiedlenie się na Daleki Wschód albo w okolice podbiegunowe. Były po temu dwie przyczyny: z jednej strony kraj potrzebował wykwalifikowanych sił roboczych na dalekich kresach, unikanych z powodu strasznego klimatu. Istniała zatem skłonność do większego liberalizmu na tych terenach; ludzi, którzy tam przybyli nawet dobrowolnie, traktowano raczej jako zesłańców, których już nie należy więcej prześladować. Z drugiej strony, każdy obwód w Związku Sowieckim miał swą własną organizację NKWD. Kierownictwu charkowskiego NKWD zależało, aby we własnym obwodzie wykryć i aresztować możliwie jak najwięcej wrogów ludu. Nie miało jednak interesu w tym, by zaopatrywać kierownictwo — powiedzmy — nowosybirskiego GPU we wrogów ludu, celem aresztowania. Aresztowania w Nowosybirsku szły bowiem na konto tamtejszego kierownictwa, podpadały pod tamtejszą statystykę i pomagały do wypełnienia tamtejszego planu aresztowań. Jeśli człowiek zagrożony aresztowaniem zmieniał miejsce zamieszkania, ale przenościł się tylko na odległość jednego dnia podróży, wówczas charkowskie GPU mogło go ściągnąć z powrotem. Zwłaszcza, jeśli wykazało, że należał do grupy, przeciwko której całe śledztwo toczyło się w Charkowie. Jeśli jednak był to odosobniony „wróg ludu” i udawał się na Daleki Wschód, to ściągnięcie go było zbyt kosztowne. W takich wypadkach charkowskie GPU rezygnowało w ogóle z aresztowania. Nie chciało pracować dla innych.

Powiązania te stały mi się jasne dopiero później. Ludność rosyjska czuła je instynktownie; nie potrafię jednak zrozumieć, jak Fritz Lange doszedł do swej trafnej rady.

Fritz Lange przebywał w Związku Sowieckim dopiero od półtora roku. Był Niemcem i ucieleśniał najlepsze cechy tego narodu. Był wielkim inżynierem. Jako jeden z pierwszych zajmował się budową instalacji wysokiego napięcia, służących do rozbicia atomu. Wspinał się razem z przyjacielem na Mont Blanc, aby tam schwytać piorun za pomocą latawca i odprowadzić go do rurki doświadczalnej. Spodziewał się, że w ten sposób będzie mógł wykorzystać dla rozszczepienia jądra napięcie powyżej stu milionów wolt, nieosiągalne przy pomocy instalacji na ziemi. Później pracował w Berlinie, w laboratoriach AEG, budował prąd-

nice bardzo wysokiego napięcia i rozwijał coraz to nowe urządzenia dla badania energii atomowej. Miał wiele pomysłów i górował nad naszymi fizykami doświadczalnymi tym, że był wielkim technikiem i umiał zaprzęgać maszyny w służbę swych pomysłów. Wróg Hitlera, opuścił Niemcy po objęciu przez niego władzy. Po krótkim pobycie w Anglii, przeniósł się do Związku Sowieckiego. Fritz Houtermanns i Leipunski byli wówczas w Anglii i pozyskali go. Dla Związku Sowieckiego stanowił cenną pomoc. Był nie tylko lojalny, ale odnosił się bardzo życzliwie do budowy socjalizmu. Rząd krajowy nie szczędził środków, by ułatwić mu pracę. Akademia Nauk wzięła go pod swą szczególną opiekę.

Lubiłem Langego i bardzo często rozmawiałem z nim o zagadnieniach technicznych i gospodarczych. Orientowałem go w sprawach gospodarki krajowej i linii generalnej budownictwa gospodarczego. Lange jasno wyrażał swe myśli, jednakże umiał też słuchać uważnie tego, co mówią inni. Unikałem zawsze wciągania go w walkę, która wybuchła w Instytucie w okresie Dawidowicza. Nie mówiłem z nim nigdy o wyrządzonej mi krzywdzie. Poinformowali go inni, a on bez wahania stanął po mej stronie.

Gdy zakomunikowałem mu, że decyzja moja pozostaje niezmienna i że 6 marca opuszczę Związek Sowiecki, zapytał mnie, czy mógłby mi dopomóc.

— Nie wiem jak — brzmiała moja odpowiedź.

— Alex, co zamierza pan robić za granicą? Dokąd chce się pan udać?

— Jadę stąd do Sztokholmu i stamtąd nawiążę łączność z moimi dawnymi przyjaciółmi w Anglii i w Ameryce.

— Czy ma pan pieniądze?

— Niezbyt wiele, ale jakoś to będzie.

— Mogę panu pożyczyć, mam patenty w General Electric w Nowym Jorku. Wpływającymi co roku należnościami za licencje zarządza tam mój przyjaciel. Dam panu list do niego i poproszę go, by wypłacił panu każdą sumę, jakiej pan zażąda.

— Bardzo to ładnie z pańskiej strony, Lange, że mi pan chce dopomóc. Chętnie wezmę list i przyrzekam panu, że uczynię z niego użytek tylko w wypadku najskrajniejszej potrzeby.

— Niech mi pan raczej przyrzeknie, że uczyni pan z niego natychmiastowy użytek, gdy będzie pan potrzebował pieniędzy. Mnie ich tu nie trzeba. Poprosiłem o obywatelstwo sowieckie i nigdy już tego kraju nie opuszczę. Nie widzę lepszego użytku z moich pieniędzy za granicą, jak pomagać przyjaciołom.

— Lange, dziękuję panu.

Wieczorem przyszedł raz jeszcze, przyniósł mi list do swego przyjaciela w USA i czek na Landmandsbanken w Kopenhadze.

— Mam kilkaset koron w Danii. Niech je pan przyjmie na pierwsze chwile.

Przyjąłem czek.

Z zagranicy przybył do Moskwy Wiktor Weisskopf. Niels Bohr prosił go oraz fizyka Georga Platscheka, by mu przysłali informacje o sytuacji nauki w Związku Sowieckim. Czy możliwe byłoby urządzić w Związku Sowieckim większą ilość wybitnych fizyków niemieckich, których zwycięstwo faszyzmu zmusiło do emigracji. Spotkałem się z Weisskopffem i Platschekiem w Moskwie. Weisskopf przybył teraz na kilka dni do mnie w odwiedziny. Przy pożegnaniu prosiłem go, by pewnej mej przyjaciółce w Sztokholmie zaniósł kilka kwiatów i powiedział, że przyjadę 7 marca. Mój nastrój w owych dniach poprawił się. Spakowałem rzeczy, książki, porozdzielałem między przyjaciół wszystko co zbędne. Dyspozycję mieszkaniem i meblami zostawiłem Marcelowi. Czułem już niedaleką atmosferę zagranicy i cieszyłem się na myśl o ideologicznej swobodzie i nieskrępowaniu w krajach demokracji skandynawskiej. Snułem plany na przyszłość. W ostatnich dniach stycznia nie chodziłem już na plac budowy. Komarow i inżynier naczelny Zickermann przejęli całą pracę. Nie chciałem więcej stacji oglądać. Byłem zdecydowany w dniu 2 marca poprosić o wizę wyjazdową i podać dzień 6 marca jako termin podróży, aby sprowokować rozstrzygnięcie w krótkim terminie. Właściwie nie wątpiłem już, że mi pozwolą jechać. Uważałem się już za człowieka obcego na terenie Instytutu, a koledzy rosyjscy postępowali tak samo.

Wieczorem 1 marca byłem u Martina Ruhemanna i gawędziłem z nim i z jego żoną. Barbara powiedziała:

— Alex, czy pan wróci, gdy się tu wszystko u nas uspokoi?

— Nie wiem, Barbaro. Nie będę już wtedy potrzebny.

Mówiliśmy dużo o rozruchu stacji i o programie pracy naukowo-badawczej, którą OSGO ma wykonać. Martin uskarżał się, że wśród narybku Instytutu jest rzeczywiście mało utalentowanych ludzi. Tylko wielu średniaków.

— Cudzoziemców już nam nie wolno przyjmować z przyczyn politycznych, a z naszymi ludźmi nie dajemy sobie rady. Można z nimi uprawiać tylko pracę szablonową. Zasadniczych zagadnień nigdy nie rozwiążą. Do nowych odkryć są za słabi.

— Martinie, gdy stacja się rozwine, przybędzie do nas wielu młodych inżynierów z całego kraju. Warunki robocze i mieszkaniowe są u nas lepsze niż gdziekolwiek indziej. Dla młodego ambitnego inżyniera praca będzie też miała większe perspektywy.

— Długo potrwa, zanim do tego dojdziemy.

Mówiliśmy jeszcze wiele o sytuacji politycznej w świecie i o walce w Hiszpanii, unikaliśmy jednak tematów rosyjskich.

Była już dziesiąta, gdy Martin zwrócił się do mnie:

— Alex, gdyby jednak, wbrew oczekiwaniu, został pan aresztowany, co mam wtedy uczynić dla pana? Zawsze chciał pan dać mi dyrektywy na ten wypadek, ale do tej pory pan tego nie uczynił.

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę — wtrąciła Barbara.

— Nie sądzę, by mnie teraz jeszcze zaaresztowano — powiedziałem, cedząc słowa. — Minęło już zbyt wiele czasu. Teraz już pozwolą mi wyjechać.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Martin podjął słuchawkę.

— Alex, do pana.

— Do mnie?

Zdziwiłem się, że ktoś mnie o tej porze szuka u Martina. Wziąłem słuchawkę do ręki.

— *K wam przysli po dielam!* — usłyszałem obcy głos.

— Przyszli do was w jakiejś sprawie. Przyjdźcie do domu.

Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do obojga:

— Jednakże przyszli po mnie. GPU czeka w moim mieszkaniu. Bądźcie zdrowi!

Mieszkanie Martina znajdowało się w sąsiedniej klatce schodowej tego samego bloku. Schodząc po schodach, myślałem przez chwilę o ucieczce. Zamiast skierować się na prawo, w kierunku do mego mieszkania, mogłem pójść w lewo i opuścić terytorium Instytutu. Stamtąd na dworzec kolejowy i najbliższym pociągiem pospiesznym do Moskwy. Gdybym jednak w ciągu kilku minut nie przyszedł do domu, gapiści zaalarmowaliby natychmiast swój posterunek na stacji kolejowej. Tego mogłem się ustrzec. Mogłem w ten czy inny sposób dotrzeć do stacji następnej i tam, zamiast na stacji głównej w Charkowie, wsiąść do pociągu. Cały ten tok myśli przeszedł mi przez głowę błyskawicznie. Odrzuciłem go równie szybko jak przyszedł.

Marcel otworzył mi drzwi. Błady z przerażenia, wyjąkał tylko jedno słowo: „NKWD!” Spoza niego wynurzył się w na pół ciemnym przedpokoju człowiek w mundurze. Odsunął Marcela na bok i poprosił mnie do środka.

— Aleksander Siemionowicz Weissberg?

— Tak jest.

— Urodzony 8 października 1901 roku.

— Zgadza się.

— Mamy nakaz przeprowadzenia w waszym mieszkaniu rewizji.

— Czy mogę zobaczyć nakaz?

— Proszę.

Pokazał mi papier. Przeczytałem: „NAKAZ REWIZJI DOMOWEJ I...”, tu zakrył palcem dalszy tekst. Nie wiedziałem, czy przyszli tylko by zrewidować me mieszkanie, czy też by mnie aresztować. Tymczasem jego towarzysz, oficer tego samego stopnia, wyszedł z sąsiedniego pokoju. Zapytał mnie:

— Ile wy tu zajmujecie pokoi?

— W tym pokoju mieszkam ja, w drugim Marcel B. z rodziną, trzeci służy nam wspólnie za jadalnię.

Zwrócił się do Marcela:

— Czy chcecie służyć za świadka?

Marcel potwierdził.

Przeszukali starannie mój pokój oraz pokój wspólny, przeglądali wszystkie rękopisy, ponumerowali wszystkie listy i kazali mi je podpisać. Było ponad 250 rękopisów. Zapytałem, dlaczego mam je podpisać.

— Abyście później nie mogli twierdzić, że podsunęliśmy wam jakiś sfałszowany list.

Rewizja domowa trwała ponad dwie godziny. Przyszła Lena z zapytaniem, czy chciałbym coś zjeść. Porucznik Dreszer — zdaje mi się, że tak nazywał się ten, który przeprowadzał rewizję — pozwolił mi usiąść przy stole i zjeść kolację. Ze zdenerwowania nie mogłem przełknąć kęsa i wkrótce wstałem. Po zrewidowaniu obu pokoi, porucznik zwrócił się w bardzo uprzejmym tonie do Marcela.

— Towarzyszu B., czy pozwolicie zrewidować także i wasz pokój? Nie mamy po temu formalnego polecenia, ale ponieważ mieszkanie wasze tak ściśle łączy się z mieszkaniem Weissberga, uważamy to za potrzebne.

Marcel skinieniem dał znak zgody. Przez cały ten czas gnębiło mnie pytanie: Czy mnie zaaresztują, czy też chcą tylko zrewidować mieszkanie? Wciąż jeszcze nie chciałem wierzyć w aresztowanie. Moje zdenerwowanie rosło. Opuściłem pokój Marcela i przeszedłem do sąsiedniego pokoju, w którym był drugi oficer.

— Aleksandrze Siemionowiczu, musicie tu pozostać — zawołał za mną porucznik Dreszer. — Nie mam prawa przeprowadzać rewizji w waszej nieobecności.

— Obywatelu poruczniku — zapytałem — czy nakaz, który pokazaliście, został zatwierdzony przez prokuratora?

— Oczywiście, nigdy nie postępujemy wbrew prawu.

— Czy mogę zobaczyć zatwierdzenie?

— Proszę!

Okazał mi raz jeszcze ten sam dokument, zakrywając ponownie to samo miejsce palcem. Rzeczywiście, nakaz był przyjęty do wiadomości i zatwierdzony przez prokuratora charkowskiego okręgu wojskowego.

Mniej więcej o wpół do drugiej w nocy gepiści skończyli swą pracę. Spakowali wszystkie dokumenty, mój paszport, niektóre książki i rękopisy, gazety zagraniczne itp., spisali z tego długi protokół i poprosili mnie o podpisanie. Wzięli czek Fritza Langego, otrzymany przeze mnie przed kilku dniami. Zwróciłem im uwagę, że czek nie jest moją własnością i prosiłem ich, by go nie zabierali. „Towarzysz Lange otrzyma go jutro lub pojutrze z powrotem”, brzmiała odpowiedź.

Przejrzelili wszystkie fotografie i zabrali zdjęcie, na którym moja żona znajdowała się obok komisarza wojny Woroszyłowa. Zorganizowała ona wystawę porcelany w Moskwie — i Woroszyłow zwiedzając wystawę dał się chętnie sfotografować z piękną kobietą.

Marcel musiał podpisać protokół jako świadek. Potem gepiści wstali i poprosili mnie o spakowanie mych rzeczy. Lena zwróciła się do nich trochę zuchwale:

— Dokądże go zabieracie?

— Ależ Leno, czy nie rozumiesz o co chodzi?

Zarzuciła mi ręce na szyję i zaczęła płakać bez opanowania. Usiłowałem ją uspokoić, to samo czynili gepiści. Zapytała porucznika:

— Jak długo on będzie u was?

— Może wróci już jutro rano, może dopiero za miesiąc, za dwa. Musimy wszystko starannie zbadać. Ale nikomu krzywdy nie wyrządzamy.

Poprosiłem Lenę o pomoc przy pakowaniu. Wziąłem bardzo wiele bielizny, ciepłe skarpety, buty podbite futrem, kupione u Baty w czasie mego ostatniego pobytu w Pradze i wywołujące swym zamkiem błyskawicznym powszechną sensację w Rosji. Poprosiłem też Lenę o kołdrę i poduszkę. Na koniec wziąłem jeszcze ciepły wełniany pled, który mi niedawno Platschek przywiózł z Kopenhagi. Porucznik Dreszer wmieszał się do przygotowań:

— Ależ obywatelu Weissberg, to wszystko jest zupełnie zbędne. Otrzymacie u nas wszystko. Będziecie pod troskliwą opieką. A gdyby wam czegoś zabrakło, na wasze życzenie Lena będzie mogła wam to przynieść później.

— Czy Lena mogłaby później także zabrać coś, gdyby się okazało zbędne?

— I to wolno.

— To już raczej zabiorę za dużo niż za mało.

Nie wiem, jaki to instynkt samozachowawczy skłonił mnie do takiego postępowania. Ale nie sądzę, bym przetrzymał trzy ciężkie lata bez mych ciepłych rzeczy. W obozach pomarło wielu więźniów tylko dlatego, że byli aresztowani w letniej odzieży i nie mogli uchronić się przed zimnem. To, co otrzymywali w obozie od kierownictwa, było zupełnie niewystarczające.

Byłem gotów i pożegnałem się z Marcelem i Leną. „Marcel, ja wrócę. Niewinni ludzie nie siedzą w Związku Sowieckim w więzieniach”.

Słowa te przeznaczone były bardziej dla gepistów niż dla mych przyjaciół. Nie czyniłem już sobie żadnych złudzeń.

Lena chciała, bym pożegnał się z małym Alexem. Nazwała dziecko mym imieniem. Chciała je przynieść, ale ja wolałem podejść do kołyski. Gepista towarzyszył mi taktownie. Dziecko spało. Zazdrościłem mu trochę. Gdy dorośnie, nie będzie już tego wszystkiego. Nie będzie walki, nie będzie podejrzliwości, nie będzie tajnej policji, nie będzie więzień. Objąłem Lenę raz jeszcze i podałem Marcelowi rękę. Potem wyszedłem, mając jednego gepistę przed sobą, drugiego za sobą.

Otoczyła nas rześka noc. W tej samej chwili nadszedł Latiszew z Instytutu. Najwidoczniej długo pracował. Wytrzeszczył na nas oczy, śmiertelnie przerażony. Pomyślałem sobie, że Instytut jeszcze tej nocy dowie się o mym aresztowaniu: będzie głośna sensacja. Szliśmy przez park Instytutu i przez bramę wyjściową, wychodzącą na ulicę Jumowską. Na rogu ulicy Puszkina wsiedliśmy do tramwaju. Pomyślałem sobie, że nie zdobyli się nawet na samochód. Co prawda, było całkiem blisko. Jechaliśmy tylko do najbliższego przystanku.

Tym razem nie potrzebowałem przepustki, by wejść do gmachu GPU. Zaprowadzono mnie najpierw do kancelarii, musiałem oddać rzeczy i pieniądze, podpisać kwestionariusz itp. Zabrano mi wszystkie twarde przedmioty, jak wieczne pióro, szczyrzyk, zegarek itd., również szelki i wszystko, co mogłoby służyć do popełnienia samobójstwa. Pomyślałem: jak oni troszczą się o moje życie! Otrzymałem dwa pokwitowania, jedno na oddaną sumę pieniężną, drugie na kufer, który poszedł do magazynu. Chciałem wziąć z sobą koc i drobiazgi. Komendant więzienia powiedział mi: — Pojutrze będziecie mogli wziąć z kufra, co tylko zechcecie mieć w celi. Dzisiaj musi wszystko pozostać tutaj.

Komendant potwierdził gepistom odbiór więźnia. Odeszli. Przejął mnie żołnierz i zaprowadził dwa piętra w górę. Na górze korytarzowy otworzył drzwi do celi. Wszedłem. Zamknął drzwi

za mną. Wielkie, słabo oświetlone pomieszczenie z dwoma oknami. W prawym rogu łóżko polowe i szafka. To było całe urządzenie. Podłoga była wyfroterowana, podłoga i ściany uderzająco czyste. Byłem sam. Dziwiłem się, że mnie jednemu oddają do dyspozycji tak wielkie pomieszczenie — 30 do 35 metrów kwadratowych. Usiadłem na łóżku i zacząłem rozmyślać. Napięcie powoli ustępowało, snułem plany na przyszłość. Nareszcie poznam przyczynę aresztowania, nareszcie będę mógł przerwać pajęczynę kłamstw i intryg. Nareszcie będę miał okazję, by organom władzy państwowej otworzyć oczy na moją osobę i na mój prawdziwy sposób myślenia. Powoli myśli mi się gubiły. Siedziałem tak może pół godziny, gdy otworzyła się obita blachą drewniana kłapa w drzwiach i ukazała się głowa strażnika. Skinął na mnie. Zapytałem:

— Czego chcecie ode mnie?

— Pst! Tu wolno wam mówić tylko szeptem! — powiedział bardzo cicho. Kładźcie się spać. W nocy musicie spać. O szóstej musicie wstać, a już jest trzecia!

Rozebrałem się i położyłem.

WIĘZIENIE WEWNĘTRZNE CHARKOWSKIEGO NKWD

Było jeszcze ciemno, gdy obudził mnie dźwięk dzwonka. Nie mogłem stwierdzić, która godzina. Zapukałem do drzwi, przyszedł strażnik, ale odmówił wszelkiej odpowiedzi. Położyłem się znowu. Po kilku minutach otworzyła się kłapa i strażnik dał mi znać, bym wstawał i ubierał się. Po mniej więcej pół godzinie, kłapa otworzyła się na nowo i ktoś inny wręczył mi ćwiartkę chleba. Później dowiedziałem się, że było to dokładnie 500 gramów. Po chwili otrzymałem kubek herbaty i kawałek cukru. Herbata była właściwie tylko gotowaną wodą, zabarwioną na brązowo jakimś wywarem roślinnym. Wypiłem ją chciwie, gdyż dawno już nie miałem w ustach nic gorącego. W kilka minut później otworzyły się drzwi i strażnik poprowadził mnie w stronę ustępu. Znalazłem się w długim korytarzu. Po obu stronach drzwi do cel. Na obu końcach korytarza klozet i klatka schodowa. Jak się później okazało, jedna klatka schodowa wychodziła na podwórze, gdzie odbywały się spacerki, druga prowadziła do biurowego skrzydła gmachu, w którym odbywały się przesłuchania. Prowadziła ona zatem na piętra, które poznałem podczas dawniejszych odwiedzin u Poleweckiego i Asaka. Strażnik zamknął za mną drzwi od klozetu. Miałem kilka minut czasu na umycie się i załatwienie potrzeb naturalnych. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem wyprowadzano więźniów. Ponadto znajdowało się w celi wiadro, zwane przez więźniów „paraszą”, którego można było używać w każdej chwili. Nigdy tego nie czyniłem. Dopóki siedziałem w pojedynce, pukałem na strażnika, by mnie wypuścił. Przeważnie zgadzał się.

Powróciwszy z ustępu, przyjrzałem się mej celi dokładniej. Było już jasno. Piękny dzień zimowy. Jak już opowiedziałem,

pokój był duży, czysty i wyłożony parkietem. Oba okna były zakratowane i wychodziły na północ, jak to mogłem stwierdzić po cieniu. Za oknami wielkie podwórze koszarowe, obramowane z lewej i prawej strony głównymi skrzydłami gmachu NKWD; naprzeciwko, w odległości niemal 150 metrów, granicę stanowiła ściana betonowa, od góry zabezpieczona drutem kolczastym. W odległości niemal 100 metrów od ściany naszego budynku — posterunek, zmieniany co dwie godziny. Mogła być dziesiąta rano. Usiadłem na łóżku i czekałem na wezwanie do sędziego śledczego. Czekałem z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony zależało mi na jak najszybszej decyzji. Chciałem nareszcie wiedzieć, o co mnie podejrzewają i co mi zarzucają. Z drugiej strony bałem się tej decyzji. Prehistoria mego aresztowania i aresztowanie niezliczonych moich dobrych znajomych, którzy nigdy nie odzyskali wolności i którzy byli z pewnością tak samo jak ja niewinni, przyczyniały się do mego niepokoju.

Czekałem przez kilka godzin na próżno. Koło południa otworzyła się kłapa. Sądziłem już, że to po mnie przychodzą, ale to był tylko strażnik, który przyniósł mi metalową miseczkę i łyżkę. Później przyszedł obiad. Pełna miska kapuśniaku. Nie można było wyśledzić w nim ani tłuszczu ani mięsa, ale wcale nie byłem głodny. Nerwowe podniecenie odbierało mi wszelki apetyt.

Po jedzeniu usiadłem znowu na łóżku i czekałem. A potem przyszła wielka samotność.

Doświadczyłem później, w okresie mojego uwięzienia, wielu cierpień fizycznych aż do tortury włącznie. Przyszły czasy, w których musiałem dzielić z 29 towarzyszami celę o ośmiu metrach kwadratowych. Nie było dość miejsca, by się wszyscy mogli jednocześnie położyć. Za dnia mogliśmy tylko stać koło siebie, a w nocy spać tylko na zmianę. Temperatura w celi rosła do tego stopnia, że najtwardsza margaryna topniała na framudze okiennej. Nie oddawaliśmy już w ogóle moczu, bo nam wszystka woda parowała przez skórę. Podłoga celi pokryta była cieczą na pół centymetra. Był to pot, spływający z naszych nagich ciał. A przecież nawet ten stan wydawał mi się na dalszą metę znośniejszy, niż całkowita izolacja, w której znajdowałem się na początku mego uwięzienia.

Strażnikowi nie wolno było zamienić ze mną ani jednego słowa. Książek nie było, nie było też gazet. Nie miałem ołówka i nie miałem kawałka papieru. Raz w ciągu dnia specjalny strażnik prowadził mnie na spacer po małym podwórzu. Chociaż nikt nie było w pobliżu i chociaż żadne okna nie wychodziły na podwórze, strażnik odmawiał naruszenia regulaminu i nie odpowiadał na moje pytania. Moje przesłuchania zaczęły się dopiero

w 15 dni po moim aresztowaniu. Tych pierwszych 15 dni wydało mi się wiecznością.

Izolacja w więzieniu rosyjskim osiąga stopień na ogół nie do pojęcia dla ludzi, którzy jej sami nie przeżyli. W administracji istniał specjalny oddział, zajmujący się tą kwestią i stale zaostrażający odnośny regulamin. Izolacja miała cel dwójaki: odciąć więźnia od świata zewnętrznego i od więźniów z innych cel. We wszystkich wielkich miastach Związku Sowieckiego istniało „więzienie wewnętrzne” w centralnym gmachu NKWD w śródmieściu, oraz więzienie masowe na krańcu miasta. W „więzieniach wewnętrznych” siedziało tylko kilkuset ludzi, których ściśle odosobnienie podczas śledztwa było dla NKWD szczególnie ważne. W więzieniach masowych reżym był łżejszy. Jesienią 1937 roku, gdy rozpoczęły się masowe aresztowania, napływ więźniów zburzył wiele przepisów. Więzienia przeznaczone dla 800 ludzi, mieściły 12.000. Więźniowie zmieniali się tam nieustannie. W okresie tym, a więc od sierpnia 1937 roku do końca roku 1938, izolacja w więzieniach masowych osłabła. Nowoaresztowani przynosili nowinki polityczne, przynosili wiadomości od przyjaciół i krewnych. Później, w roku 1939, mury izolacji podniosły się znowu wysoko. W „więzieniach wewnętrznych” system totalnego odosobnienia nie zelżał nawet w dniach największego napływu.

Aby dać pojęcie o tym, z jakim mistrzostwem gepiści przeprowadzali tu izolację więźniów od świata zewnętrznego, wybiegam myślą trochę napród. Druga wojna światowa wybuchła 1 września 1939 roku. W dniu tym siedziałem w więzieniu wewnętrznym NKWD w Kijowie z sześciu towarzyszami w jednej celi. Autentyczna wiadomość o wybuchu wojny dotarła do mnie dopiero w Moskwie na Butyrkach z końcem października 1939, a więc niemal w dwa miesiące później. Jednakże więźniowie są jasnowidzami. Okno naszej celi w Kijowie zamknięte było żelaznym koszem. Światło dzienne ledwie się sączyło przez szparę na górnej krawędzi kosza. Dniem i nocą świeciła się w celi elektryczna żarówka. Lecz szmery docierały do naszych uszu. Dźwięk był jedynym zwiastunem świata zewnętrznego. W pierwszych dniach września miałem uczucie, że coś niezwykłego dzieje się na wolności. Nie umiałem tego dokładnie określić i zacząłem pilnie nadśłuchiwać. Potem powiedziałem: „Dzieci, wojna!” Moi towarzysze nie zareagowali. Następnego dnia była „wypiska”. Więźniowie, mający pieniądze na swym koncie, mogli raz na miesiąc zamawiać w sklepie więziennym (w „ławoczce”) artykuły żywnościowe i tytoń do wysokości 50 rubli. Tym razem brakowało cukru i mydła. Powtórzyłem: „Towarzysze, myślę że jest wojna”. Następnego dnia, po obudzeniu, po raz trzeci postawiłem tezę: „Towarzysze, wybuchła wojna”. Moja uporczywość oburzyła innych. Siedzący obok mnie, generał Bogucki, jednoręki bohater wojny domowej i przywódca powstania w Kijowie, zwrócił się do mnie:

— Aleksandrze Siemionowiczu, skąd ci przychodzi ta obłąkana myśl do głowy? Z kim mamy mieć wojnę? Z Niemcami właśnie zawarliśmy pakt, jak opowiada Lebidiew. W ogóle wojna jest już niemożliwa.

Przed tygodniem przybył więzień z Czernichowa i przyniósł wiadomość o zawarciu paktu z Ribbentropem.

— Grigorij Iwanowicz, nie wiem, z kim mamy wojnę — odpowiedziałem memu towarzyszkowi. — Ale z całą pewnością dzieje się coś niezwykłego. Czy nie zauważyliście, że dużo więcej żołnierzy maszeruje ulicami i że wieczorem powraca o wiele mniej, niż rano wychodzi?

Każdego ranka przechodziły pod naszymi oknami kompanie żołnierzy. Po tupocie nóg i po śpiewie można było ocenić ilu ich było. Wychodzili prawdopodobnie rankiem z koszar i szli zapewne na plac ćwiczeń. Słyszeliśmy ich każdego ranka i każdego wieczora, lecz nigdy nie zauważyłem, by wieczorem powracało tylu co rano. Teraz ta różnica w liczbach była tak wyraźna, że wszyscy moi towarzysze, gdy im na to zwróciłem uwagę, następnego dnia mogli ją sami stwierdzić. Być może część żołnierzy szła na stację kolejową i na front. Ponadto ulicą pod naszymi oknami przeciągały oddziały wojskowe przez cały dzień, w obu kierunkach.

— A dalej, zniknięcie cukru i mydła z ławoczki. Kijów jest ośrodkiem zagłębia cukrowego. Jest po prostu groteską, że naraz tu nie ma cukru. Albo ludzie magazynują cukier, gdyż należy on do artykułów żywnościowych, które najłatwiej przechować, albo też rząd ograniczył sprzedaż cukru, aby mieć większe zapasy na wojnę. Mówię wam towarzysze, coś się stało.

Inni zaakceptowali moją teorię, ale nie mieliśmy możliwości jej sprawdzenia. W dniu 11 września przewieziono mnie do więzienia w Moskwie. Przez pierwsze tygodnie siedziałem tam w pojedynkę. Potem przyszedł młody sekretarz jakiegoś partyjnego komitetu rejonowego, który jednak nic nie wiedział. W tydzień później otworzyły się drzwi, do środka wszedł wielki, trochę przed siebie pochylony Mongoł. Oczy mu się świeciły, mówił źle po rosyjsku: był to Baszkir, którego przywieziono z Ufy na śledztwo uzupełniające. W drodze do Moskwy dzięki osobliwemu przypadkowi wpadła mu do ręki gazeta. Opowiadał nam:

— Wybuchła wojna. Rosja i Niemcy razem podzieliły Polskę między sobą. Niemcy prowadzą wojnę przeciw Francji i Anglii.

Wiadomości te wydawały się nam tak nieprawdopodobne, że nie wierzyliśmy ani jednemu słowu. Zapytałem przybysza o jego zawód. Powiedział, że jest ludowym komisarzem RKI (Robotniczo-Chłopskiej Kontroli) z Republiki Baszkirskiej. Kiedy wstąpił do partii? W roku 1917. Zawód przed rewolucją: pastuch. Rozstrzygnęliśmy, że wiadomość jest kaczką. Nasz towarzysz obraził się. Jednakże po więzieniach krążyły często wiadomości po prostu wzięte z powietrza i przyjąłem sobie za zasadę, by wierzyć w coś dopiero wtedy, gdy zostało potwierdzone z kilku niepowiązanych z sobą źródeł.

W tydzień później otworzyły się znów drzwi i do środka wszedł nowy. „Brunatny”. Barwa naszych twarzy skutkiem braku świeżego powietrza i słońca stała się lekko szarzielona. Przybysz rzucał się w oczy cerą spaloną od słońca. Wszedł, przyjrzał się nam i nie mówiąc ani słowa stanął w kącie obok kaloryferu. Podobnej reakcji nie widziałem od początków roku 1937. Wówczas, przed trzema laty, w początkowej fazie obłędu, zdarzało się często, że nowoaresztowani w pierwszych dniach odrzucali pełną wspólnotę z innymi mieszkańcami celi i nie chcieli opowiadać o swym życiu. Uważali innych za kontrrewolucjonistów, białogwardystów, wrogów ludu, partii i państwa. Siebie samych uważali za wiernych sowieckich ludzi, którzy przez pomyłkę znaleźli się w tym miejscu. Od tego czasu minęły trzy lata. Pomimo hermetycznego zamknięcia, wiadomości przeciekały do świata ludzi wolnych. Społeczeństwo sowieckie przeczuwało już, że za murami twierdzy siedzieli niewinni. Ale ten człowiek, jak się zdaje, nie wiedział o tym.

Był to rosły blondyn, o uderzająco regularnych rysach. Mógł liczyć około

35 lat. Był ubrany lepiej niż przeciętni ludzie sowieccy. Ubranie miał z zagranicznego materiału. Początkowo nie mówił nic i tylko przysłuchiwał się naszym rozmowom. Co jakiś czas rzucałem na niego okiem i zauważyłem, że nie wychodził ze zdumienia. Mówiliśmy zarówno o sprawach śledztwa jak i o sprawach ogólnej polityki. Jeśli jednak pominąć nawet treść naszych wypowiedzi — już po naszym żargonie, po naszym sposobie formułowania musiał zauważyć, że jesteśmy członkami partii. Komuniści w Związku Sowieckim na ogół odróżniają się od bezpartyjnych już samym sposobem mówienia. W całym swym sposobie bycia przejawiają pewność siebie, odróżniającą ich od innych. Przyzwyczaili się do poczucia, że są panami kraju; poczucie to nie opuszcza ich także w więzieniu.

Nowy przysłuchiwał się naszej rozmowie przez jakieś pół godziny w milczeniu. Potem nie wytrzymał i zwrócił się do mnie:

— Czy jesteście członkiem partii?

— Tak jest.

— Od kiedy?

— Od roku 1925.

— A wy? — zapytał Baszkira.

— Od 1917 roku.

— A wy?

— Wstąpiłem do partii w roku 1930 i byłem od października 1937 roku aż do mego aresztowania sekretarzem partyjnego komitetu rejonowego w X

— odpowiedział mu nasz najmłodszy towarzysz.

— Na litość boską, co wy tu wszyscy robicie?

— Co wy tu robicie? — odparowałem.

— Jeśli o mnie chodzi, jest to pomyłka. Sądzę, że mnie wkrótce wezwą i wtedy wszystko się wyjaśni.

— Jeśli o nas chodzi, jest to także pomyłka.

— Ależ to niemożliwe.

Odwrócił się od nas i milczał znowu. Nie obserwowaliśmy go dłużej i kontynuowaliśmy nasze rozmowy. Co jakiś czas rzucaliśmy mu jakieś pytanie bez znaczenia. Odpowiadał monosylabami. Było widoczne, że chce unikać z nami kontaktu. My ze swej strony byliśmy w stosunku do niego cierpliwi i nie chcieliśmy się narzucać. Jego zachowanie było już anachronizmem. W roku 1937 nowoaresztowani mogli tak reagować, ale nawet wtedy postępowała tak tylko nieliczna mniejszość.

Wieczorem wezwano go na przesłuchanie. Wrócił późną nocą. Obudził nas.

— Towarzysze, co się tu dzieje: Odezwijcie się przecież do mnie! Jestem przecież człowiekiem!

— Chcieliśmy z tobą mówić. Ty nie chciałeś.

— Nie miałem pojęcia, gdzie się znalazłem. Czy to jest dom wariatów?

— Teraz jest tu bardzo przytulnie. Traficie na dobrą porę. Masz szczęście.

— Dziękuję pięknie. Powiedzcie mi, jak długo już tu siedzicie?

— Siedzę już trzy lata w śledztwie. Inni — mniej.

— Co tobie zarzucają?

— Sabotaż, terror, dywersję, szpiegostwo, agitację kontrrewolucyjną. Krótko mówiąc, niemal cały jadłospis.

— Czy należałeś dawniej do opozycji?

— Nie. Ale nie będziemy się tu teraz mną zajmowali. Kolej na ciebie. Gdzie pracowałeś?

— W aparacie Narkomindiełu.

Nastawiliśmy uszu. W czasie naszego pobytu za kratami spotykaliśmy ludzi najróżniejszych zawodów. Ludzi z aparatu przemysłu ciężkiego i z Ludowego Komisarjatu Wojny, ludzi ze związków zawodowych i z rolnictwa. Aparat partyjny był reprezentowany tak samo jak aparat sowiecki, instytuty

naukowe tak samo jak szpitale, sędziowie i prokuratorzy równie jak czołowi komisarze z aparatu NKWD. Ale nikt z nas jeszcze nigdy nie spotkał członka Narkomindiełu. Narkomindieł to Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych. Posiadał tylko szeszupły aparat w Moskwie. W gruncie rzeczy jego praca koncentrowała się za granicą. Sprawa zaczęła nas interesować.

Przesłuchiwałem go w dalszym ciągu.

— Co robisz w Narkomindiele?

— Jestem dyplomata.

— Co porabiają dyplomaci w Moskwie?

— Nie mieszkam w Moskwie, przyjeżdżam z zagranicy.

— Kiedy byłeś ostatnio za granicą?

— Przed tygodniem.

Zerwaliśmy się. Człowiek, który teraz przybył z zagranicy, a do tego jeszcze dyplomata, stanowił dla nas wszystkich sensację. W latach przebywania w więzieniu zagranica znikła całkowicie z naszego horyzontu. Myśleliśmy przeważnie o czekającym nas życiu w obozach. Optymiści myśleli o odzyskaniu wolności w kraju. Nikt nie myślał o zagranicy.

— Gdzie byłeś?

— W Chinach. Jestem radcą poselstwa sowieckiego w Czunkingu.

— Usiądź na swoim łóżku i opowiedz nam wszystko po kolei. Jak się tu dostajesz?

— Niewiele jest do opowiadania. W Czunkingu otrzymałem depezę od zastępcy ludowego komisarza Potiemkina, z wezwaniem do natychmiastowego przyjazdu do Moskwy — Mołotow chce mieć sprawozdanie o sytuacji w Chinach. Polecałem przez Sinkiang do Alma Aty. Gdy wysiadałem z samolotu, przystąpili do mnie gepeciści i zapytali o personalia. Potem oświadczyli mi, że jestem aresztowany. Zwróciłem im wtedy uwagę, że musiała zająć pomyłka i okazałem swoje papiery dyplomatyczne. Oświadczyli, że mają rozkaz z Moskwy i że muszą mnie tam dostarczyć. Jeśli to jest pomyłka i jeśli sami się o tym przekonają, wszystko się natychmiast wyjaśni i będę zwolniony. Pojechalismiśmy samochodem do pociągu i dalej razem do Moskwy. Prosto ze stacji kolejowej przywieziono mnie tu do was do celi. Wszystko inne wiecie sami.

— Co powiedział sędzia śledczy?

— Chyba zwariował. Oświadczył, że jestem japońskim szpiegiem a ponadto trockistą. Już od czterech lat jestem na służbie japońskiej centrali szpiegowskiej. Pytał, kto mnie zwerbował. Żądał, bym wymienił członków mej organizacji, szczególnie tych, którzy pracowali razem ze mną w poselstwie w Czunkingu. Ponadto żądał informacyj, kto dla mnie i dla Japończyków pracuje w sieci tajnego aparatu sowieckiego w Azji wschodniej, a więc kto jest kontrszpiegiem. Uważałem to wszystko początkowo za kiepski dowcip. Wtedy się rozjuszył.

— Czy cię bił?

— Nie, ale obrzucił mnie wyzwiskami, których nie słyszałem nawet na Sucharewce, a potem groził.

— O tym innym razem. Teraz opowiadaj nam o polityce. Czy to prawda, że jest wojna?

— Co, nie wiecie o tym?! — Patrzył na nas zdumiony. — Czy nie czytacie gazet?

— Nie — i w ogóle brak nam jakichkolwiek rozrywek. Żyjemy bardzo spokojnie i w zacinzu. Szanują nasze nerwy i dbają o to, by alarmujące wiadomości nie wytrącały nas z równowagi; poza tym troszczą się o nas i czuwają nad nami jak się należy. I za to wszystko nie płacimy ani kopiejki. Prawdziwe sanatorium.

— Proszę cię, towarzyszu, nie jestem w nastroju do żartów. Mów ze mną poważnie.

— Opowiemy ci wszystko i jutro będziesz wiedział wszystko, co powinieneś wiedzieć. Ale dzisiaj opowiedz nam dokładnie, co się dzieje na świecie. Ostatnie wydarzenie, które znamy, to pakt rosyjsko-niemiecki.

— Ja wiem dużo więcej — wmieszał się Baszkir do rozmowy — ale nie chcieli mi wierzyć.

Radca poselstwa usiadł i w dokładnych słowach dał nam przegląd sytuacji międzynarodowej. Słuchaliśmy z napiętą uwagą. Przyniesione przez niego wiadomości zachwiały moją polityczną koncepcją. Dyskutowaliśmy z nim przez całą noc. Dwukrotnie zakłócił nam rozmowę strażnik i musieliśmy ją przerwać. Zasnęliśmy dopiero przed świtem.

Wyprzedziłem tok mej relacji niemal o trzy lata, by pokazać, jak hermetyczne było odcięcie przez GPU. Niemal przez dwa miesiące nie wiedzieliśmy nic o wybuchu wojny, o fakcie, który powinien był gruntownie zmienić życie kraju i który wciągał w swe tryby każdego strażnika, każdego łąziennego, każdego sędziego śledczego, każdego fryzjera i lekarza, krótko mówiąc, wszystkie osoby, z którymi musieliśmy się stykać. Wszyscy musieli milczeć i wszyscy milczeli. Jeszcze więcej. Nie przepuszczali żadnej gazety, niszczyli starannie wszelki ślad, który by mógł przekazać wydarzenia świata zewnętrznego w obręb murów naszego więzienia. Nie docierała do nas żadna wieść, nie wydostawała się żadna wieść od nas. Dyplomata sowiecki, który na pewno często bywał w Moskwie i który prawdopodobnie miał najlepsze kontakty w czołowych sferach partyjnych, po przestąpieniu progu naszej celi sądził, że dostał się do domu wariatów.

Powracam jednak do roku 1937.

Nie narzekałem w owym czasie na izolację od świata zewnętrznego. Gazety z ich niekończącym się wyciem: „Wytępić wrogów ludu!”, „Rozdeptać trockistowskie robactwo!” mierzyły mnie do głębi. Chętnie obywałem się bez nich przez kilka dni; lecz bezczynność była nie do zniesienia. Nie nauczyłem się jeszcze żyć w swym własnym świecie. Doba miała 24 godziny. Siedem godzin należało spać, 10 minut trwał spacer, po pięć minut rano i wieczorem w ustępie, tak samo po pięć minut na śniadanie, obiad i kolację; 10 do 15 minut trwało sprzątanie celi. Razem było się zatrudnionym przez 50 minut. Pozostawało 16 godzin i 10 minut niekończącej się pustki. Pierwszego dnia czekałem jeszcze w napięciu na przesłuchanie. Trzeciego dnia, gdy już byłem bliski rozpacz, wezwano mnie do kancelarii sędziego śledczego, ale przesłuchania nie było. Porucznik Dreszer, ten sam, który mnie aresztował, przyjął mnie i wypytał o personalia. Musiałem znowu podyktować swój życiorys. Potem zapytał mnie, komu chcę przekazać dysponowanie moim mieszkaniem i moimi rzeczami.

Wymieniłem Marcela. Właściwie rozumiało się to samo przez się. Marcel mieszkał w moim mieszkaniu i każdy w Instytucie znał nasze stosunki. Jak to dziś widzę, wszystko to mogło być prowokacją ze strony GPU. Chcieli ustalić, jak bliskie były nasze stosunki, by mieć pozór do aresztowania także i jego. Zaaresztowali go w dwa dni później. Tak czy owak zaaresztowaliby go w kilka miesięcy potem, gdyż z uwagi na swą przeszłość należał do grupy, która wedle praw GPU nie powinna była przetrwać lat 1937/38 na wolności. Powiązania te uświadomiłem sobie dopiero o wiele później.

Porucznik Dreszer był poprawny, niemal przyjacielski. Zapytał czy mam jakąś prośbę. Poprosiłem o książki. Nie może mi na nie pozwolić, to należy do sędziego śledczego. On nie jest moim sędzią śledczym. Potem zażądałem swych rzeczy z magazynu. Pozwolił. Zapytałem, czy można otrzymywać jedzenie z domu. Oświadczył, że trzeba napisać, a trzy razy w tygodniu przyjmą dla mnie wałówkę. Dał mi papier i ołówek: napisałem do Leny. Na tym rozmowa dobiegła końca. Po powrocie do celi zastałem już mój kufer. Dreszer zatelefonował i kazał mi go przysłać. Wyjąłem z kufra kilka sztuk bielizny, ręcznik, mydło, dwa koce i poduszkę. Strażnik pokrajał mydło na drobne kawałki, aby stwierdzić, czy nie ma w nim jakiegoś grypsu, resztę rzeczy zabrał razem z kufrem z powrotem do magazynu. W ten sposób zakończył się ten emocjonujący dzień (był 4 marca).

Zaczął się teraz okres dwóch tygodni, nie przerywany niczym poza paczkami, przysyłanymi przez Lenę co dwa dni. Samotność była bezgraniczna. Stałem przy oknie — było to wprawdzie niedozwolone, lecz jeśli o mnie chodzi, strażnik to tolerował — i patrzyłem na podwórze. Ściana okienna szła niemal po osi wschód-zachód. Rano cień pokrywał prawie całe podwórze. W miarę upływu czasu cień się kurczył, aż w pewnej określonej chwili trzy czwarte podwórza kąpały się w słońcu. Posterunek na drugim końcu podwórza zmieniał się co dwie godziny. Zakładałem, że dzieje się to o okrągłej godzinie, mogłem więc wywnioskować z długości cienia, kiedy słońce przechodzi przez południk. Wiedziałem tedy, kiedy jest południe i mogłem na podstawie zmian warty podzielić cały dzień na dwugodzinne okresy.

Była to niema i niewidoczna tortura. Trwała aż do rozpoczęcia się przesłuchań. Cały mój organizm, wszystkie nerwy wołały o jakiegokolwiek zajęcie, o jakiegokolwiek wrażenia, o jakiegoś człowieka, o jakąś rozmowę, o jakiś ołówek, o jakąś książkę. Nic. Tylko trzy białe ściany i dwa okna. Za nimi podwórze i słońce. Piękne dni zimowe pogłębiały jeszcze mą rozpacz. Nie myślałem już wcale o oczekujących mnie przesłuchaniach, nie myślałem też

o mym dalszym losie. Pod tym względem byłem raczej optymistą. Byłem przekonany, że moja niewinność wyjdzie na jaw i że wreszcie zostanę zwolniony. Lecz każdego ranka myślałem ze zgrozą o budzącym się dniu. Jak go przetrzymam. Jak podzielę czas. Jakimi myślami i jakimi czynkami wypełnię leniwie wlokące się minuty. Każdy dzień liczył tysiąc minut, tysiąc minut, jeśli odliczyć czas przeznaczony na spanie, jedzenie i potrzeby naturalne. Dziesięciominutowy spacer nie przynosił mi ulgi. Niemy strażnik z nieżyczliwą i odrażającą twarzą. Czasem uspakaja już samo ujrzenie przyjaznej twarzy. Ta twarz była ponura i zrezygnowana. Myślałem sobie, że człowiek ten z pewnością miał mało radości ze swego życia. Podwórze, po którym mnie oprowadzał, było bardzo małe. Musiałem krążyć w kółko bez przerwy. Z jednej strony stały otworem drzwi prowadzące do lochu piwnicznego, wysypanego białym wapnem. W jednym rogu stała jakaś zardzewiała maszyna. Później dowiedziałem się, że w piwnicy tej przeprowadzano egzekucje. Krótko mówiąc, spacer mnie nie orzeźwiał. Czułem się raczej do niego zobowiązany, aby przez dziesięć minut oddychać świeżym powietrzem. Pierwsze dni były dlatego tak ciężkie, że nie byłem jeszcze ani psychicznie ani fizycznie przygotowany do nagłej samotności i bezczynności. Powoli nauczyłem się wypełniać sobie czas.

Ułożyłem sobie rozkład dnia: przez dwie godziny spacerowałem. Zakreślałem elipsę, której szczytowe punkty znajdowały się w dwóch przeciwstawnych sobie wolnych kątach celi. Wymierzyłem dokładnie krokami ront i obliczałem liczbę rontów, wykonywanych przeze mnie w ciągu dwóch godzin. W czasie takiego spaceru pokrywałem 7 do 8 kilometrów. Wreszcie znudziło mi się obliczanie rontów. Zacząłem śpiewać pieśń, na którą wypadła większa liczba rontów i obliczałem, ile razy pieśń się powtarzała. Śpiew zawsze mnie uspakajał. Przez następne dwie godziny deklamowałem poezje. Lubię wiersze i znam ich wiele na pamięć. Szczególnie nowoczesną lirykę niemiecką. Recytowałem w owych dniach niemal całego Rilkego. „Buch der Bilder”, „Stundenbuch”, „Neue Gedichte”. Mam pamięć selektywną. Wiersze chropowate zapominam natychmiast. Toteż w więzieniu musiałem często uzupełniać poezje własnymi utworami. Stefan George, Christian Morgenstern i inni byli też na porządku dziennym. Cieszyła mnie obrazowość i melodyjność słów. Dwie godziny wierszy były najznośniejszą częścią dnia. Dalsze dwie godziny wypełniałem sobie ćwiczeniami matematycznymi i fizycznymi, do których nie był potrzebny ołówek. Przypominałem sobie teoretyczne problemy z matematyki, do których rozwiązywania na wolności nie miałem ani czasu ani ochoty. Tutaj się nimi zajmowałem. Przemyśliwałem,

jak by na uniwersytetach zorganizować naukę fizyki w taki sposób, by nawet najbardziej tępy student mógł z łatwością z niej korzystać. Ostatnią część dnia obracałem na problemy budownictwa mieszkaniowego. W Związku Sowieckim stało się ono moim konikiem. Kiedy projektowaliśmy OSGO, często zmieniałem plany naszych architektów. Szczególnie plany budynków mieszkaniowych i gmachu Instytutu. Architekt żalił się w końcu Leipunskiemu na rozliczne zmiany. Nazywano mnie „architekt Weissberg”. Teraz kontynuowałem w myślach me ulubione zajęcie. Projektowałem mieszkania, odpowiadające wielorakim wymagom. Wszystkie pokoje miały być o ile możliwości kwadratowe, z bezpośrednim wejściem z przedpokoju do każdego z nich, mimo to połączone z sobą drzwiami. Łazienka miała mieć własne oświetlenie, przedpokój nie powinien zajmować zbyt wiele miejsca. Sieć rur winna być krótka, by zaoszczędzić pieniędzy przy budowie. Budowałem w duchu wille, które w myślach zawsze przenosiłem do Sieveringu, na przedmieście Wiednia. Przemyślałem też problemy urbanistyki, problemy, z którymi zetknąłem się trochę w Moskwie, gdy dyskutowano tam dziesięcioletni plan przebudowy stolicy. Gdzie pomieścić garaże, jeśli w roku 1950 każdy mieszkaniec Moskwy będzie miał samochód? Największą grupą robotników będą wtedy szoferzy. W proletariackiej Moskwie nikt nie wpadł na myśl, że urzędnicy ministerstw sami mogliby prowadzić swe samochody. Ja także nie.

Najgorszą porą było przedpołudnie, dopóki było jasno. Pod wieczór świadomość moją ogarniał swoisty spokój. Nie musiałem już krążyć naokoło, mogłem spokojnie siedzieć na rogu łóżka. Czy było to oczekiwanie nadchodzącej nocy, czy radość na myśl o łóżku, czy też zmęczenie? Nie wiem na pewno. W życiu na wolności odczuwałem coś podobnego po zażyciu środków uspakajających. W każdym bądź razie każdego ranka tęskniłem teraz za wieczorem.

Dni przechodziły powoli. Wyznaczałem sobie coraz to nowe terminy pierwszego przesłuchania. Początkowo myślałem, że będę wolny już za dwa tygodnie. Później nie myślałem już o wolności, tylko o przerwaniu mej samotności.

Pewną odmianę przynosiły wałówki od Leny. Gdy w pierwszym dniu otrzymałem w południe zupę, sądziłem, że jest to pierwsze danie obiadowe i byłem bardzo zdumiony, gdy się okazało, że to wszystko. Nie mogłem sobie wyobrazić, że człowiek dorosły może nasycić się zupą jarzynową bez odrobiny tłuszczu. Później przyzwyczałem się do tego. W więzieniu wewnętrznym pożywienie było następujące: o 8 rano 500 gramów chleba i kubek herbaty z jednym kawałkiem cukru. Chleb był wilgotny

i dlatego mało pożywny. W południe około trzech czwartych litra zupy jarzynowej, wieczorem to samo. Później przekonałem się, że pożywienie to, nawet nie uzupełniane z zewnątrz, mogło zachować człowieka przy życiu, pod jednym jedynym warunkiem: nie wolno było marnować ani odrobiny energii, czynić żadnych zbytecznych ruchów. Ludzie chudli aż do kości, ale potem waga ich stabilizowała się. Łączenie z tym pożywieniem jakiegokolwiek pracy prowadziło do fizycznej zagłady.

Następnego dnia po rozmowie z porucznikiem Dreszerem specjalny strażnik przyniósł mi wałówkę od Leny. Opakowanie potem zabrał. Rzucił wszystko na moje łóżko i dał mi karteczkę dla potwierdzenia odbioru. Lena była wzruszająca. Posyłała mi najwyszukańsze smakołyki. Pomarańcze, rzadko tylko w Związku Sowieckim dostępne, czekoladki i tak dalej. Przysyłała mi bardzo dużo. Prawdopodobnie myślała, że siedzę razem z innymi, z którymi trzeba się dzielić. Albo też sądziła, że organizm mój wymaga gromadzenia rezerw na ciężkie dni, które mogą nadejść, gdyby odebrano mi prawo otrzymywania wałówek. Miała rację. Bądź co bądź wałówki wносиły w dniu ich doręczenia trochę odmiany w moje monotonne życie.

Nareszcie wieczorem 16 marca, gdy zamierzałem już ułożyć się do snu, nadeszła wielka chwila. Zaprowadzono mnie na pierwsze przesłuchanie. Polewecki przyjął mnie lakonicznie i tak jak gdyby nigdy nic nie zaszło. Niczym nie zaznaczył, że moja sytuacja od czasu ostatniej z nim rozmowy zmieniła się zasadniczo. Przyjął mnie w innym gabinecie. Pokój był nieco większy, biurko stało pod ścianą. Przed biurkiem mały stolik, pokryty czerwonym sukniem. Po każdej stronie krzesło. Zająłem miejsce na lewym krześle. Polewecki wertował przez kilka chwil papiery, potem wziął czystą kartkę i napisał na niej: „PRZESŁUCHANIE NR 1”. Potem podniósł głowę:

- Wasze nazwisko, obywatelu?
- Weissberg.
- Imię i imię ojca?
- Aleksander Siemionowicz.
- Urodzony dnia...

Musiałem znowu podać swe personalia. Wszystko szło gładko, dopóki nie doszliśmy do kwestii przynależności partyjnej. Polewecki chciał napisać „bezpartyjny” lub „wykluczony z partii”.

- Jestem komunistą.
- U nas komuniści nie siedzą.
- Jakże? Byłem członkiem austriackiej i niemieckiej partii

komunistycznej, a teraz jestem zarejestrowany w sekcji austriackiej Kominternu.

— Komuniści nie są kontrrewolucjonistami. Jeśli w celach dywersyjnych wśliznęliście się do partii, to partia już przed waszym aresztowaniem wydalila was z swych szeregów.

— Ależ ja nigdy nie zostałem wykluczony.

— Zostaliście wykluczeni. Nawet jeśli o tym nie wiecie.

— Czy można kogoś wykluczać z partii, nie powiadamiając go o tym?

— W razie potrzeby zostaniecie o tym na czas powiadomieni. Przyjmijcie do wiadomości, że w Związku Sowieckim nie aresztuje się komunistów.

Kilka miesięcy później moi towarzysze celi zaznajomili mnie z procedurą stosowaną przy aresztowaniu towarzyszy partyjnych. W przeddzień aresztowania, a czasem w kilka dni po nim, NKWD przesyłało do biura partyjnego komitetu obwodowego — w wypadkach, gdy chodziło o ludzi ważniejszych, do Komitetu Centralnego partii — nakaz aresztowania i zawiadomienie, że odnośny towarzysz brał udział w robocie kontrrewolucyjnej. Na podstawie tego zarzutu NKWD, który przyjmowano jako dowód, partyjny komitet obwodowy w tajnym postępowaniu wykluczał odnośnego towarzysza z partii. Naturalnie postępowanie to było całkowicie sprzeczne z statutem. Statut partyjny nie przewidywał możliwości wykluczenia członka partii *in contumaciam*. Teraz jednakże wykluczano licznych komunistów bez przesłuchania i bez powiadomienia ich przed aresztowaniem o wykluczeniu. Zdarzały się także wypadki, że pomiędzy wykluczeniem z partii i aresztowaniem upływało kilka tygodni. Dowiedziałem się później o wypadku, że pewien partyjny sekretarz rejonowy, a więc wysoki funkcjonariusz partii, został w marcu 1938 roku wykluczony z partii *in contumaciam* przez Komitet Centralny partii ukraińskiej, ale aresztowany dopiero w lipcu tegoż roku. W wypadku tym GPU powzięło decyzję aresztowania i poprosiło Komitet Centralny o wykluczenie. Z jakichś nieznanych powodów aresztowanie zostało odroczone, Komitet Centralny nie cofnął jednak wykluczenia. Wspomniany partyjny sekretarz rejonowy nie został powiadomiony o swym wykluczeniu, urzędował dalej i w tych gorączkowych tygodniach ze swej strony wykluczał masowo innych członków partii. Wykluczeni nie znali jednak tajemnicy, że wykluczający sekretarz sam był wykluczony i nie mogli wnieść odwołań od tej bezprawnej decyzji. Poza tym większość z nich została wkrótce aresztowana. Wykluczenie z partii w tym okresie było niezawodną zapowiedzią aresztowania.

Po ściągnięciu personaliów kolej przyszła znowu na mój życiorys. Wyrecytowałem go mechanicznie. Przesłuchanie dobiegło

końca, Polewecki wezwał żołnierza. Nie dowiedziałem się niczego nowego.

Przed wyjściem zwróciłem się raz jeszcze do sędziego śledczego:

— Obywatelu sędzio śledczy, czy mogę o coś prosić?

— Czego chcecie?

— Chciałbym zapytać, czy mogę otrzymywać książki i gazety?

— Napiszcie w tej sprawie podanie. Przedłożę je naczelnikowi.

— Nie mam ani ołówka ani papieru.

— Otrzymacie je w celi.

Żołnierz wyprowadził mnie. Zeszliśmy po schodach, na których czekałem, kiedy jeszcze byłem na wolności. Przy spotkaniu z innym więźniem musiałem obracać się twarzą do ściany i czekać, aż tamten przejdzie. Żołnierze oznajmiali swe nadejście klasaniem w ręce. Przypomniałem sobie, jakie wrażenie podobna scena wywołała na mnie po raz pierwszy. Zapytywałem siebie wtedy, czy sam znajdę się w sytuacji uwięzionego oficera. Jak to już dawno było. Wydawało mi się to wiecznością. A przecież minęło od tego czasu tylko sześć tygodni. Po powrocie do celi jeszcze długo nie kładłem się spać. Oto czekałem na ten dzień przez dwa tygodnie i po jego przeminięciu wiem tyle, co i przedtem. Kiedy wreszcie zaczną mówić? Do czego jestem im potrzebny? Czego chcą ode mnie?

Położyłem się i myślałem o minionych czasach. O ruchu młodzieży, o grze w siatkówkę na Rambergu, o górach w mojej ojczyźnie. Tęskniłem za zagranicą, za życiem pełnym wygody i swobody, bez komplikacji politycznych i ideologicznych. Życie to, wydające mi się dawniej niezadowalające i puste, nabrało naraz bajecznego powabu. Krajobrazy i postacie przyjaciół z minionych dni przewijały się coraz szybciej. Przestałem panować nad swą świadomością. Zasnąłem.

Dzień następny przebiegł jak wszystkie dni poprzednie, tyle że byłem trochę bardziej podniecony. Program zajęć przerywano mi co chwilę. Po południu otworzyła się kłapa: „Nazwisko?” Podałem szeptem swe nazwisko.

— Chcecie wnieść podanie?

— Tak jest.

— Tu macie ołówek i papier.

Podał mi małą kartkę papieru. Napisałem, że siedzę w pojedynce i proszę o pozwolenie otrzymywania książek i gazet. Strażnik wrócił po kilku minutach, by odebrać ołówek i papier. Wieczorem wezwano mnie na przesłuchanie.

— Oskarżony, czy przyznajecie się do winy?

— Nie wiem wcale, co mi się zarzuca.

— Czy przyznajecie się do uprawiania kontrrewolucyjnej roboty?

— Cóż ja właściwie zrobiłem? Mam nadzieję, że nareszcie mi to teraz powiecie.

— Jeśli nie przyznajecie się do winy, powiedzcie po prostu: nie i nie traćcie czasu na dyskusje.

— Nie, nie przyznaję się do winy!

Zapisał to.

— Co wiecie o Edku Herrmannie?

Gdyby zaproponowano mi wymienienie dziesięciu tysięcy nazwisk, które prawdopodobnie padną w moim śledztwie, nie wymieniłbym tego nazwiska. Edek Herrmann był polskim komunistą, którego poznałem zupełnie przelotnie na uniwersytecie w Wiedniu, gdzie studiował. Wyglądał dobrze i ucieleśniał znany z książek narodników typ rosyjskiego studenta-rewolucjonisty. Poza tym nic o nim nie wiedziałem. Później spotkałem go raz w Charkowie. Ale nie podtrzymywaliśmy znajomości. Opowiedziałem sędziemu śledczemu to wszystko.

— Przez kogo poznaliście Edka Herrmanna?

— Przez Karola Langa.

Pomyślałem sobie, że na szczęście mam niezwykle dobrą pamięć. W młodości poznałem w organizacji setki ludzi, którzy nie zrobili na mnie żadnego wrażenia. Dla przeciętnego człowieka zrekonstruowanie czasu, miejsca i bliższych okoliczności jakiejś znajomości jest w takich warunkach trudne. Przypadkowo jednak utkwiał mi w pamięci następujący obraz. Było to po demonstracji studentów faszystowskich na Uniwersytecie Wiedeńskim. Na schodach, prowadzących do auli, spotkałem Karola. W pobliżu Edek Herrmann opierał się o filar. Karol mi go przedstawił.

— Kto to jest Karol Lang? — zapytał Polewecki.

Z Karolem Langem utrzymywałem bliższe stosunki. Miał 19 lat, gdy go poznałem. Wyszedł z partii polskiej. Jeszcze jako gimnazjalista za działalność rewolucyjną skazany został na trzy lata więzienia. Ojciec jego, zamożny adwokat, wyjednał za wielką kaucją krótkoterminowy urlop z więzienia. Urlop ten Karol wykorzystał do ucieczki za granicę. Karol był wzorem marksysty-leninowca. Swą niesłychaną konsekwencją wywierał silne wrażenie na nas wszystkich, którzy byliśmy co prawda socjalistami, ale mieliśmy jeszcze bardzo niejasne pojęcie o przebiegu procesu historycznego. Podporządkowywał całkowicie swe życie osobiste

prawom partii i ruchu rewolucyjnego. Przy pomocy dialektyki rewolucyjnego marksizmu analizował każde zjawisko, choćby nawet w najodleglejszych dziedzinach nauki i sztuki. Jego sposób myślenia nie był przy tym schematyczny, lecz zawsze żywy i mocny. Wiedzieliśmy też wszyscy, że wkładał całego siebie w swe teorie i to jednało mu nasz szacunek, a nawet nasze sympatie, aczkolwiek jego styl życiowy był nam bardzo obcy. Sam wstąpiłem do partii komunistycznej pod wpływem Karola.

— Kiedy widzieliście Karola Langa po raz ostatni?

— W roku 1932 w Berlinie.

— Czy wiecie, co się z nim później stało?

— Powrócił do Polski i pracował tam nielegalnie. Pewnego dnia siedział w kawiarni z czołową osobistością Komitetu Centralnego partii i zauważył, że do lokalu wszedł szpicel policyjny, który dobrze znał owego przywódcę partii. Karol siedział z towarzyszem przy oknie. On sam mógł dostrzec szpicla, tamten nie mógł, gdyż siedział zwrócony do niego plecami. Karol rozbił szybę, by tamtemu utorować drogę. Karola aresztowano, tamten uciekł.

— Od tego czasu nie słyszeliście niczego o Karolu Langu?

— O tak. Dostał pięć lat, nie udało się go jednak zidentyfikować. Żył na fałszywych papierach. Jednakże po dwóch latach ustalono w więzieniu jego prawdziwe nazwisko i przeszłość. Wtedy dołożono mu jeszcze trzy lata. Za kratami, w więzieniu w Stanisławowie, zachorował na oczy, zdaje mi się, że to była gruźlica oczu, która prowadziła niemal do ślepoty. Jego przyjaciele z Wiednia pisali do mnie przed niedawnym czasem z prośbą, bym wyjednał w Kominternie postawienie go z powodu choroby na pierwszym miejscu listy wymiennej. Szło o to, by mógł przedterminowo zakończyć swój pobyt w więzieniu i przenieść się do nas do Związku Sowieckiego.

— Kto konkretnie prosił was o tę interwencję?

— Lolek L., przyjaciel Karola.

— Czy zrobiliście coś w tej sprawie?

— Nic nie mogłem zrobić. Po pierwsze, nie miałem żadnych stosunków z partią polską, a następnie moja pozycja po aresztowaniu mej żony tak bardzo osłabła, że moje poparcie mogłoby raczej zaszkodzić niż dopomóc.

— Jakie stosunki łączyły was z Anną Jewsiejewną Bejliną i Jelizawetą Markowną Frumkiną?

Obie te kobiety były sekretarkami Pudałowa, przewodniczącego Rady Technicznej Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego. Pudałow był jednym z protektorów stacji doświadczalnej

dla chłodzenia do niskich temperatur OSGO. Był on jednym z najznakomitszych inżynierów w kraju i jak mi się zdaje, jeszcze przed rewolucją naczelnym inżynierem Zakładów Putiłowskich w Petersburgu. Ordżonikidze wprowadził go do ludowego komisariatu i każdy ważniejszy projekt przedkładał mu do zaopiniowania. Czy chodziło o rekonstrukcję moskiewskiej fabryki samochodów „Stalin”, która kosztowała milion rubli, czy też o wprowadzenie nowej metody syntezy amoniaku, czy o zapobieganie awariom w przemyśle chemicznym kraju, czy wreszcie o wprowadzenie traktora nowego typu, zawsze pytano Pudałowa o radę. Był to człowiek ze starej szkoły, solidny, rozważny, przeznany. Nie dbał o żadne interesy osobiste i rozstrzygał rzeczowo problemy uprzemysłowienia. Obchodził się z ludźmi po przyjacielsku, za jego pośrednictwem w krótkiej drodze docierało się do ludowego komisarza. Pudałow był bezpartyjny i zupełnie obcy polityce. Z uwagi na swe wielkie zasługi został bez okresu kandydackiego przyjęty do partii bezpośrednio przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Nie miało się wrażenia, by sobie tego życzył, z całą pewnością nie interesowała go żadna kariera polityczna, zatopiony był całkowicie w problemach technicznych i przemysłowych. Po raz ostatni widziałem Pudałowa jesienią 1936 roku, po procesie Zinowiewa, w początkowym okresie wielkiej czystki. Piatakow był już wtedy aresztowany, ale nie wiedziano niczego bliższego o jego losie. Przerażony byłem wyglądem Pudałowa w tym czasie. Jego twarz poszarzała jak popiół. W kilka miesięcy później, sądzę, że to było w okresie procesu Piatakowa, Pudałow znikł. Przyszedł do biura — i nie wrócił już do domu. Przez czternaście dni szukano go nadaremnie. Potem znaleziono go powieszzonego w ciemnym kącie strychu w ludowym komisariacie. Jego nerwy nie wytrzymały losu Piatakowa, którego energię i geniusz bardzo szanował.

Anna Jewsiejewna Bejlina była sekretarką generalną Pudałowa. Poznałem ją w jej biurze w roku 1934 czy też 1935. Średniego wzrostu, pulchnawa blondyna, o pięknych piwnych oczach i przyjemnym sposobie załatwiania spraw. Popisywałem się wobec niej troszeczkę swą galanterią, a ona dała się mymi komplementami przekupić i załatwiała przyniesione przeze mnie akty poza kolejką. Raz przyszła do mnie na herbatę, a raz zaprosiła mnie do siebie. Na tym wyczerpywały się nasze stosunki pozabiurowe. Jednakże w sekretariacie znajdowałem zawsze jej skwapliwą pomoc, jak i tłumaczki Pudałowa, Jelizawety Markowny Frumkiny. Pisały dla mnie obszerne elaboraty do różnych urzędów sowieckich. Kopiowały dokumenty, otrzymane przeze mnie w ludowych komisariatach i potwierdzały kopie. W okresie budowy stacji

doświadczalnej miałem stale wiele spraw do załatwiania w Moskwie, a że nie mogłem założyć sobie dla tych prac biura w Moskwie, więc z wielką wdzięcznością korzystałem z pomocy sekretarek Pudałowa.

Gdy wiosną 1936 roku aresztowano moją żonę, zwróciłem się o pomoc dla niej do różnych wysoko postawionych towarzyszy w aparacie partyjnym i w Akademii Nauk. Była ona bardzo lubiana i wiele z odnośnych osób dało za nią pisemną porękę. W pół roku później, po procesie Zinowiewa, byłoby to już całkowicie wykluczone. Na jesieni nawet najwyżsi i najpotężniejsi dostojnicy bali się o własną skórę i nie byli skłonni ręczyć za lojalność jakiejś cudzoziemki. Otrzymane od tych ludzi dokumenty musiałem powielić, aby przesłać kopie do różnych instytucji sowieckich, do prokuratury okręgu leningradzkiego i do NKWD. Wedle praw sowieckich, kopie — by miały moc prawną w obiegu urzędowym — musiały być uwierzytelnione. Każdy urząd sowiecki mógł w swym sekretariacie uwierzytelniać kopie. Wielka okrągła pieczęć państwowa, którą posiadał każdy urząd, legalizowała dokument. Lecz w tym okresie wszystkie urzędy odmawiały kopiowania i legalizowania jakichkolwiek oświadczeń, odnoszących się do uwięzionych „wrogów ludu”. Sekretarki Pudałowa miały dobre serca i pomagały mnie i mej żonie w tym ciężkim okresie. Znały ją i lubiły. Ta czysto ludzka uczynność była w tym czasie podstawą naszych stosunków. Żadne inne stosunki nie łączyły mnie z tymi kobietami.

Sędzia śledczy spisał me zeznania i podniósł głowę.

— Czy prowadziliście z tymi kobietami antysowieckie rozmowy?

— Dlaczego miałbym to robić? Nie jestem wrogiem sowieców.

— Nie dyskutujcie ze mną i nie stawiajcie mi zapytań! Odpowiadajcie: tak lub nie!

— Nie.

Przeszedł do następnego pytania.

— Co wiecie o Gustawie Wegererze, alias Schillerze?

— Była to zupełnie dzika historia, w którą wpadłem przypadkowo. Czy mam ją dokładnie opowiedzieć?

— Naturalnie, opowiedzcie z całą dokładnością.

— Ale to potrwa na pewno szereg godzin, a nie wiem czy całość jest potrzebna dla waszych celów, obywatelu sędzio śledczy.

— To moja sprawa, ja o tym rozstrzygam. Opowiadajcie najdokładniej jak potraficie, a ja potem ustalę, co z tego wciągnąć do protokołu.

Opowiadałem. Historia ta, w której byłem raczej widzem niż

uczestnikiem, jest do tego stopnia fantastyczna, że zasługuje na utrwalenie.

Spisuję ją tu przeto z wszystkimi szczegółami.

SZTUCZNE DIAMENTY

Nie pamiętam już, kiedy po raz pierwszy spotkałem się z Gustawem Wegererem. Mogło to być w roku 1926. Był on wtedy członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Austrii. Jako utalentowany proletariusz — pochodził z rodu styryjskich kowali kos, a sam był elektromonterem — zrobił po wojnie światowej burzliwą karierę w nowozałożonej Komunistycznej Partii. Komórka fabryczna, którą założył w największym austriackim towarzystwie hutniczym Montan Alpine, była jedną z najważniejszych w całym Kominternie. Mówi to wiele, jeśli zważyć, że austriacka Komunistyczna Partia była jedną z najsłabszych w całym komunistycznym ruchu robotniczym. Wegerer uchodził za dobrego organizatora. Reprezentował w partii Styrię i był w górnostyryjskim zagłębiu górniczym znaną postacią. W partii był czołowym rzecznikiem linii zbliżenia do socjaldemokratów. Linia ta napotykała w Komitecie Centralnym na gwałtowny opór i Wegerer został już w roku 1926 odsunięty na boczny tor i usunięty z Komitetu Centralnego, chociaż jeszcze nie wydalony z partii. W stosunku do heretyków panował wtedy jeszcze liberalizm. W rok później, po powstaniu z 15-go lipca (pożar Pałaca Sprawiedliwości w Wiedniu) zaczęła się w Kominternie walka przeciw prawicowej opozycji. Także i w Austrii przywódcy prawicy zostali wydaleny z partii. Przy tej okazji przypomniano sobie Wegerera, który od roku był już w ogóle politycznie nieczynny i wykluczono go razem z innymi.

Po zakończeniu swej kariery partyjnej poświęcił się Wegerer studiom technicznym i naukowym. Spotykałem go często w bibliotece Uniwersytetu i pomagałem mu w zagadnieniach matematycznych. Studiował z zapałem samouka. Był bardzo utalentowany i na wielu polach czynił szybkie postępy. Wiosną 1929 roku udał się do Niemiec, w dwa lata później do Związku Sowieckiego. Straciłem go całkowicie z oczu.

Latem 1931 roku siedziałem w restauracji hotelu Savoy w Moskwie. Skończyłem obiad i słuchałem jeszcze trochę muzyki. Nagle przy sąsiednim stoliku ujrzałem postać, która wydawała mi się znajoma. Początkowo myślałem, że to złudzenie optyczne — był to Wegerer. Tutaj w Moskwie! Ludzie nie znający systemu sowieckiego nie pojmą mego podniecenia. Trzeba było żyć w tym kraju, aby zrozumieć, co to znaczy. Wykluczony z partii opozycjonista cudzoziemski w Związku Sowieckim! Trockista czy opozycjonista prawicowy — Wegerer był tym ostatnim — w Związku Sowieckim był to po prostu wróg. Można było w Moskwie po roku 1933 spotkać inżynierów niemieckich, jawnych hitlerowców. Jeśli potrzebowano ich usług technicznych, wpuszczano ich bez trudności do kraju. Byli bardziej bezpieczni przed prześladowaniami politycznymi niż wierni komuniści. Nigdy jednak nie słyszałem, by pozwolono na wjazd do kraju komuś, wydanemu z zagranicznej partii za odchylenie polityczne. Kaerzowi groził pręgiem bardziej niż wrogowi klasowemu. I oto ten wykluczony siedział tu przy sąsiednim stoliku.

Nie byłem jeszcze zupełnie pewny, a on mnie jeszcze nie zauważył. Usiłowałem zwrócić jego uwagę i skinąłem ręką w tę stronę. Odpowiedział z uśmiechem na me pozdrowienie. A więc to był on. Wstałem i podeszedłem do niego.

— Co tu robisz?

— Pracuję.

— Czy zostałeś z powrotem przyjęty do partii?

- Nie.
- Jak w takim razie dostałeś pozwolenie na wjazd?
- Jakoś je dostałem.
- A co tutaj robisz?
- Pracuję w pewnym instytucie.
- W jakim instytucie?
- W określonym instytucie.
- Czy masz mieszkanie?
- Tak jest, nawet bardzo piękne. Trzy pokoje.

W Moskwie panował wtedy niezwykły głód mieszkaniowy. Trzypokojowe mieszkanie otrzymywali tylko bardzo wybitni specjaliści i naukowcy zagraniczni. Wegerer był w najlepszym wypadku wykwalifikowanym robotnikiem bez stopnia akademickiego.

- Gdzie mieszkasz?
- Z pewnych względów nie mogę ci tego powiedzieć.

Jego odpowiedzi były coraz powściągliwsze. W takich wypadkach partyjnicy przestają pytać. Wiedziałem, że także i w Moskwie są ludzie, którzy w porozumieniu z tajnym aparatem żyją nielegalnie i wykonują jakąś robotę konspiracyjną. Być może, był on jednym z nich. Nie mogłem tylko pojąć, jak można było powierzyć taką funkcję wykluczonemu opozycjonście.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut na obojętne tematy, potem zapłaciliśmy i wyszliśmy. Przed bramą czekał na niego samochód. I to było znamienne. Samochody były w Moskwie w roku 1931 bardzo jeszcze rzadkie. Wsiadł do samochodu.

Wieczorem odwiedziłem naszego przedstawiciela w Kominternie, towarzysza Grossmanna i opowiedziałem mu o tej historii. Wiedział już o niej i powiedział mi, że nie tylko Wegerer, ale razem z nim jeszcze dwóch innych opozycjonistów, towarzysze Reisinger i Riess, otrzymali wizy.

- Czy to się stało za waszą zgodą? — zapytałem.

— Co ci przychodzi do głowy! Wszystko było gotowe, zanim dowiedzieliśmy się. Natychmiast założyliśmy protest w Komitecie Centralnym partii rosyjskiej, ale dano nam do zrozumienia, by w tej sprawie nie podnosić hałasu. Wegerer przyjechał z wynalazkiem doniosłym dla obrony kraju, ale proszę, nie mów o tym.

Więcej nie mogłem się dowiedzieć. W kilka tygodni później spotkałem wszystkich trzech, Wegerera, Reisingera i Riessa, na uroczystości w klubie Dzierżyńskiego. Potem już nic o nich nie słyszałem.

W dwa lata później, pewnego dnia grudniowego roku 1933, siedziałem w swym biurze w Ukraińskim Fizyczno-Technicznym Instytucie. Naraz zatelefonował posterunek z dołu i zapytał, czy może przepuścić towarzysza Wegerera. Zszedłem na dół i spotkałem go w foyer Instytutu z przewodniczką Inturista. Zwróciła się do mnie w języku rosyjskim z pytaniem, czy nie zechciałbym pokazać Instytutu zagranicznemu turyście. Była zaskoczona, że przywitaliśmy się jak starzy znajomi.

- Co robisz w Charkowie i do tego z Inturistem?
- Przyjechałem z zagranicy i zwiedzałem Dnieprostroj.
- I przyjeżdżasz tu z Inturistem? Czy nie pracujesz już w Moskwie?
- Nie, przez długi czas chorowałem i musiałem za granicą dwa razy poddać się operacji. Byłem nieobecny przeszło rok. Instytut odniósł się do mnie w tym czasie niebardzo przyzwoicie. Właściwie nie chcę mieć z nim już nic wspólnego. Teraz otrzymałem wizę przez Inturista i znowu się rozglądam.

— Wiesz, mam teraz trochę czasu. Przyjdź dziś o piątej do mnie do domu na podwieczorek. Tam sobie o wszystkim pogadamy.

Przyszedł i próbowałem go rozgryźć. Był jednak powściągliwy. Opowiadał o swej chorobie i widziałem z jego ruchów, że rzeczywiście był chory. Jego żona wróciła do Moskwy i od całych miesięcy nie reagowała na jego listy.

— Teraz zamierzam pojechać do Moskwy i odszukać Elkę. Mam też propozycje ze strony innego instytutu. Może je przyjmę.

— Powiedz, Wegerer, na czym właściwie polegała twoja praca. W jakiej dziedzinie jesteś specjalistą.

— Zajmowałem się w Moskwie produkcją sztucznych diamentów, ale nie wolno mi o tym mówić.

Zmieniliśmy temat i omawialiśmy sytuację polityczną. Zanim wyszedł, zapytałem go, kiedy jedzie do Moskwy.

— Sądzę, że pojutrze.

— Jeśli zaczekasz kilka dni, pojedziemy razem. Muszę w najbliższym czasie pojechać na komandirowkę do Moskwy.

— Kiedy chcesz jechać?

— Sądzę, że z początkiem następnego tygodnia.

— Mogę do tego czasu poczekać. Jedźmy razem.

Zamówiłem dla nas obu przedział w międzynarodowym wagonie sypialnym. W ciągu siedmiogodzinnej podróży opowiedział mi wszystko*.

Po wykluczeniu z partii w roku 1928, a nawet pół roku przedtem, Wegerer zajmował się rozwiązywaniem zadań technicznych. Szczególnie interesował go problem wytwarzania syntetycznych diamentów. Studiował wiele w tej dziedzinie i miał na ten temat określone pomysły. Na Akademii Górniczej w Leoben (Styria) wykładał profesor, który skłonny był pomagać utalentowanemu samoukowi. W jednej z piwnic Akademii znalazł Wegerer nieużywane urządzenia laboratoryjne, nadające się dla jego celów. W szczególności znajdowała się tam pewna liczba autoklaw. Zaczął z nimi swe doświadczenia. Pozwalano mu tam eksperymentować bez przeszkód. Po pół roku udało mu się dokonać wielkiego odkrycia. Ustalił warunki, w których czysty węgiel można doprowadzić do krystalizacji, przy czym kryształ, to jest diamenty, miały znacznie większe rozmiary niż otrzymane w swoim czasie przez Moissana w tyglu. Poddał swe eksperymenty sprawdzeniu. Wszystko się zgadzało. Zabrał z sobą produkty krystalizacji, pojechał do Wiednia i omówił sprawę z sekretarzem Izby Robotniczej dr. Pallą. Dr Palla był socjaldemokratą, Wegerer — wykluczonym komunistą. Pomimo przeciwności politycznych, sekretarz Izby chciał pójść na rękę robotnikowi-wynalazcy. Wegerer zgłosił patent na swój wynalazek, sformułował jednak patent w ten sposób, że najważniejsze szczegóły odkrycia pozostały tajemnicą fabrykacji. Izba Robotnicza udzieliła mu też poparcia w kwocie 500 szylingów. Po przyznaniu patentu powiedział mu sekretarz:

— Panie Wegerer, dokonanie wynalazku jest rzeczą trudną, ale jego właściwe wyzyskanie jest podwójnie trudne. Nie sądzą, by pan tego mógł dokonać sam. Mogę panu jednak polecić pewnego zamożnego człowieka, który zawodowo zajmuje się eksploataowaniem wynalazków. Naturalnie musi on coś na tym zarobić. Myślę, że będzie mu pan musiał dawać 10 procent wszystkich dochodów. Za to jednak załatwi panu całą stronę prawną i handlową, a więc rzeczy, których pan nie potrafi. Ma pan tu jego adres, niech się pan do niego zwróci”.

* Prehistorię tej afery, rozgrywającą się za granicą, podaję w całości wedle słów Wegerera, aczkolwiek później znalazłem dostateczne podstawy do powątpiewania w autentyczność jego opowiadania. W dalszym rozwoju tej sprawy w Moskwie brałem udział osobiście. Pozostała mi ona w pamięci w najdrobniejszych szczegółach, gdyż nieraz opowiadałem ją moim przyjaciółom.

Wegerer udał się do Goldmanna. W Wiedniu na Kohlmarkcie, naprzeciwko Hofburgu, istnieje bardzo elegancki męski salon krawiecki Goldmann & Salatsch. Nasz Goldmann był bratem właściciela. Podjął się chętnie eksploatacji wynalazku za udział 10% we wszystkich dochodach. Wegerer dał mu patent i potrzebne pełnomocnictwo prawne. Goldmann przyrzekł mu zaliczkę. Sprzedaż patentu lub licencji zabierze kilka tygodni czasu.

Wegerer czekał. Po dwóch miesiącach przypomniał Goldmannowi przyrzeczenie i zażądał zaliczki. Goldmann pocieszył go. Rokowania są w toku. Po dalszych dwóch tygodniach Wegerer upomniał się znowu. Bezskutecznie. W następnych miesiącach niecierpliwił się coraz bardziej, aż wreszcie stało jego naleganie zaczęło działać Goldmannowi na nerwy i po prostu kazał mówić, że go nie ma w domu. Wegerer próbował przyłapać go w salonie krawieckim jego brata, ale udawało mu się to tylko rzadko. Pewnego razu, gdy znowu na próżno czekał na swego partnera, podszedł do niego pewien pracownik firmy. „Panie Wegerer, znam pańską sprawę i sądzę, że wpadł pan w ręce oszusta. Człowiek ten pertraktuje z pewnym konsorcjum szwajcarskim i zamierza sprzedać patent za 200.000 dolarów. Sprawa jakoby posunęła się już daleko. Przez przypadek tylko dowiedziałem się, że Goldmann przygotowuje się do wyjazdu do USA, to znaczy, że chce wziąć pieniądze od Szwajcarów, nie dać panu ani halera i uciec do Ameryki. Niech pan uważa!”

Oświadczenie to podnieciło Wegerera w najwyższym stopniu. Poszedł do domu, wyjął z komody rewolwer i powrócił. W salonie firmy Goldmann & Salatsch zamierzał czekać tak długo, aż jego partner nadejdzie. Wegerer znał jego obyczaje i wiedział, że codziennie odwiedza on zakład swego brata. Cekał przez dwie godziny. W salonie przyjęć czekał także elegancki starszy pan. Zwrócił się on do niego:

— Drogo jest tu u Goldmanna & Salatscha, ale muszę powiedzieć, że nikt w całym Wiedniu tak dobrze nie szyje. Co pan tu zamawia?

— Nic — odpowiedział Wegerer.

— Na co pan w takim razie czeka? — zapytał tamten.

— Czekam tu na człowieka, z którym mam mały porachunek. Myślę, że go zastrzelę jak wściekłego psa. Nie pozwolę się wyprowadzić w pole!

Starszy pan z przerażeniem zerwał się z miejsca, gdy Wegerer wyjął z kieszeni rewolwer.

— Na litość boską, czy jest pan przy zdrowych zmysłach!? Co się stało!? O co chodzi?!

Wegerer opowiedział mu całą swą historię. Tamten przedstawił się:

— Moje nazwisko jest Ritter von Karabatscheg. Nie zamierzam się mieszać w pańskie sprawy. Sądzę, że da się to wszystko przecież załatwić po dobru. Jeśli Goldmann w pańskiej sprawie dotychczas nic nie zrobił, to niech mu pan po prostu odbierze pełnomocnictwa. Patent przecież należy do pana! Teraz jednak niech mi pan poda wszystkie szczegóły, dotyczące technicznej strony wynalazku.

Wegerer nabrał zaufania do obcego człowieka i udzielił mu wszelkich żądanych wyjaśnień. Na koniec Ritter von Karabatscheg powiedział:

— Wie pan, ma pan szczęście, że pan na mnie trafił. Byłem dawniej dyrektorem w zakładach Skody i jestem z zawodu mineralogiem. Sądzę, że będę mógł panu pomóc. Gdyby pan czegoś w tej sprawie potrzebował, niech pan przyjdzie do mnie.

Dał mu swój bilet wizytowy i wkrótce potem pożegnał się. Po pół godziny przyszedł Goldmann. Wegerer zerwał się i podszedł do niego:

— Muszę z panem pomówić bardzo poważnie. Gdzie tu można bez przeszkód rozmawiać?

Goldmann zaprowadził go do małego pokoiku. Wegerer bez ogródek za-

żądał zwrotu swych papierów. Goldmann szukał wymówek. Nie ma ich przy sobie i tak dalej. Wtedy Wegerer wyciągnął rewolwer i powiedział: „Muszę otrzymać moją własność, zanim się pożegnamy! Jeśli jej nie masz tutaj, to ją zabierzemy stamtąd, gdzie się znajduje. Ale już się więcej nie dam odprawić z niczym. Jeśli za pół godziny nie otrzymam mych papierów, zabiję cię!”

Coś w spojrzeniu Wegerera przekonało Goldmanna, że jego przeciwnik bierze sprawę poważnie. Zdjęła go trwoga przed maniakami. Miał papiery przy sobie. Po kilku minutach Wegerer opuścił dom ze swymi patentami.

Miał teraz wszystko z powrotem, ale w meritum sprawy nie posunął się naprzód. Brakło mu środków na eksploatację wynalazku. Swe ostatnie oszczędności wydał na doświadczenia. W czasie rozpoczynającego się kryzysu gospodarczego nie mógł znaleźć pracy. Następne tygodnie przyniosły pogorszenie sytuacji. Jedna sztuka odzieży po drugiej wędrowała do lombardu. Nie miał nawet pieniędzy na podzelowanie bucików swej młodej i pięknej żony. Pewnego dnia, gdy już całkiem zapomniał o rozmowie z mineralogiem, żona jego czyszcząc płaszcz znalazła bilet wizytowy von Karabatschega.

— Gustek, kto to taki? Skąd ty do takiego towarzystwa?

Wegerer obejrzał bilet wizytowy i przypomniał sobie eleganckiego pana. Może on mi pomoże? Ale jakież on może mieć interes w tym, by dla mnie coś uczynić? No, na wszelki wypadek mogę pójść do niego. Jeśli nawet nie pomoże, to na pewno nie może zaszkodzić.

Mieszkanie Karabatschega położone było w eleganckiej dzielnicy Wiednia. Drzwi otworzyła pokojówka w białym fartuszkach i czepeczku. Spojrzała nieco zdziwiona na wyndniałego gościa, wzięła jego nazwisko i poprosiła, by zaczekał. Po minucie wróciła i wprowadziła go do elegancko urządzonego pokoju. Wkrótce wszedł gospodarz i serdecznie powitał gościa.

— Od dawna już czekałem na pana. Czy przyniósł pan coś, co mógłby mi pan pokazać?

Wegerer wygrzebał ze swej teczki wszystkie papiery i razem z kawałkiem wyprodukowanego kryształu podał je gospodarzowi. Ten podszedł do okna i starannie przez lupę obejrzał ów przedmiot. Potem przeprowadził próbę twardości. Wegerer obserwował jego napięty wyraz twarzy. Po próbie Karabatscheg wertował jeszcze przez chwilę dokumenty, potem zwrócił się do Wegerera.

— Mogę panu zaproponować co następuje. Zawrzemy umowę, w której przyzna mi pan prawo eksploatacji patentów na okres jednego roku. Za moje wysiłki otrzymam udział w dochodach w wysokości 10%. Swoje doświadczenia musi pan powtórzyć pod moją kontrolą. Biorę na siebie urządzenie panu laboratorium w Wiedniu i ponoszę wszystkie koszty eksperymentów. Ponadto dostarczę panu wszelkiej pomocy technicznej, jakiej może pan potrzebować. Czy pan się zgadza?

Wegerer nie miał już wielkich nadziei. Nieco zrezygnowany dał swą zgodę.

— Czy ma pan teraz trudności materialne?

— Powodzi mi się niezbyt dobrze — przyznał Wegerer — doświadczenia pochłonęły mój kapitałik.

— W takim razie daję panu zaliczkę 5.000 szylingów. Spiszemy zaraz umowę.

Karabatscheg przywołał sekretarkę i podyktował jej tekst umowy. Podpisał dwa egzemplarze i dał je potem Wegererowi do podpisania. Ten mechanicznie położył na nich swe nazwisko. Karabatscheg otworzył kasę, schował w niej jeden egzemplarz umowy i wyjął paczkę banknotów. Odliczył 5.000 szylingów i wręczył je Wegererowi, który do tej chwili przyglądał się wszystkiemu apatycznie. Nie dotarło do jego świadomości, że zaraz po podpisaniu umowy miał dostać pieniądze. Teraz, gdy trzymał je w rękach,

obudził się nagle z depresji, ogarniającej go od kilku tygodni. Po pokwitowaniu odbioru pieniędzy, pożegnał się nagle.

Opuściwszy willę, zatrzymał się i raz jeszcze przeliczył pieniądze. Rzeczywiście miał 5.000. Tylu pieniędzy naraz nigdy nie widział. Wziął samochód i pojechał do wielkiego magazynu przy Mariahilferstrasse. Kupił tam dla Elki suknie i parę pantofli. Dla siebie — ubranie. Elka nie mogła go poznać, gdy wrócił.

— Gustek, co się stało? Skąd masz te rzeczy?

— Kupiłem, nie ukradłem.

— Skąd wzięłeś pieniądze? Zattukłeś jakiego starego Żyda?

Wegerer opowiedział jej wszystko. Była trochę oszołomiona i nie potrafiła od razu pojąć tego szczęścia.

Dla obojga zaczęło się teraz nowe życie. Żona Karabatschega zajęła się małą Elką. Elka była proletariacką dziewczyną z górnostyryjskiego zagłębia górniczego. Miała zaledwie 16 lat, gdy związała się z Wegererem, który wówczas był tam sekretarzem partii komunistycznej. Państwo Karabatscheg kupowali młodej kobiecie suknie, a pani Karabatscheg uczyła ją *savoir-vivre'u*. Wkrótce zaczęto zapraszać oboje na przyjęcia do domu dyrektora, na których Elka zjawiała się w sukni wieczorowej, a Wegerer w smokingu. W owych miesiącach dawni towarzysze widywali go często w samochodzie i nie mogli sobie wytłumaczyć, skąd ten przełom w jego warunkach życiowych.

Już w dwa dni po zawarciu umowy, Karabatscheg zaczął przygotowania do doświadczeń. Dzięki swym rozległym stosunkom uzyskał u Siemensów dobrze urządzone laboratorium. Wegerer wciągnął do współpracy dwóch przyjaciół partyjnych, którzy jednocześnie z nim zostali z partii wykluczeni. Starszy z nich, towarzysz Riess, był doświadczonym metalowcem i dawnym członkiem Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Młodszy, towarzysz Reisinger, był przed wydaleniem z partii przywódcą Komunistycznego Związku Młodzieży.

Praca w Wiedniu szła szybko. Wegerer miał pieniądze i siły pomocnicze, ponadto miał doradcę w osobie Karabatschega, doświadczonego fachowca. Po ośmiu tygodniach wszystko było gotowe. Ostatnie doświadczenie dało zadowalający plon w postaci kryształów diamentowych. W kilka dni później omawiali u Karabatschega dalsze postępowanie.

— Panie Wegerer, teraz zaczynają się trudności. Jeśli idzie o sprawy czysto techniczne mogłem panu pomóc. Eksploatacja finansowa nie całkowicie wchodzi w mój zakres. Sądzę, że musimy do tego kogoś pozyskać.

Wymienił kilku przyjaciół, między nimi arystokratę węgierskiego Esterhazy'ego, którzy mogliby utworzyć konsorcjum dla eksploatacji wynalazku. Wegerer dał swą zgodę. Zaofiarowano wynalazek trustowi angielskiemu. Anglicy oświadczyli gotowość jednorazowego wpłacenia sumy 50.000 funtów, jeśli eksperymenty dadzą zapowiedziany wynik. Zanim jednak sfinalizowano sprawę z Anglikami, nadszedł telegram od IG-Farben. Towarzystwo niemieckie dowiedziało się o rokowaniach i ze swej strony złożyło ofertę. Niemcy zaofiarowali 200.000 dolarów i udział roczny ze sprzedaży licencji. Propozycja niemiecka wydawała się korzystniejsza. Karabatscheg poprosił IG-Farben o przysłanie przedstawicieli do Wiednia.

Przybyła komisja, złożona sponad dziesięciu osób. Przez kilka dni ograniczono się do bankietów w najelegantszych hotelach Wiednia. Potem spisano umowę. Wegerer miał przyjechać do laboratorium doświadczalnego IG-Farben

w Ludwigshafen i tam powtórzyć swe doświadczenia. Koszty jego pobytu i wydatki na eksperymenty pokryje IG-Farben. Jeśli ostateczny eksperyment da zagwarantowany wynik, Wegerer otrzyma 200.000 dolarów. Jeśli wydajność kryształów diamentowych nie osiągnie przyrzeczonych rozmiarów, Wegerer będzie mógł powtórzyć eksperyment po sześciu miesiącach. Na wszelki wypadek IG-Farben zabezpieczyło sobie opcję na patent i przyznało Wegererowi pewną minimalną roczną subwencję do czasu udoskonalenia metody. Suma była bardzo skromna, miała jednak umożliwić wynalazcy dalszą pracę, póki wynalazek nie dojrzeje dostatecznie do tego, by go IG-Farben nabyło.

Wegerer zlikwidował szybko swe sprawy w Wiedniu, spakował wszystkie potrzebne materiały i pojechał do Niemiec. W Ludwigshafen czekał na niego elegancki Rolls Royce i apartament w najlepszym hotelu miasta. Oddano mu do dyspozycji dobrze urządzone laboratorium, warsztaty spełniały wszystkie jego życzenia. Nie nalegano na niego, by przyspieszał pracę, na odwrót, miał wrażenie, że ci ludzie mieli dużo czasu. Zaproszono go do odbycia podróży samochodowej po Niemczech i zwiedzenia wszystkich ważniejszych fabryk IG-Farben — dla młodego inżyniera bardzo pojętna perspektywa. Wegerer przyjął. Po powrocie sam przynaglał swych pomocników do przyspieszenia pracy. Ale, pomimo wielkich środków technicznych, stojących do rozporządzenia IG-Farben, praca nie szła tak jak w Wiedniu. To urządzenie elektryczne nie było w porządku, to płaszcze chłodzące funkcjonowały tak źle, że autoklawy zaczynały się żarzyć i tak dalej.

Pewnego dnia zauważył Wegerer, że sprzątaczką starannie zbiera wrzucane przez niego do kosza kartki, na których notował swe obliczenia. Nabrał podejrzeń. Miał do rozporządzenia szafę ogniotrwałą, w której przechowywał ważne dokumenty i tym podobne. Owego wieczoru zauważył na kilku papierach odciski imadła, jak gdyby ktoś fotografował te dokumenty. Zastanowiło go to. Czy chcą mu ukraść jego wynalazek? Same umowy nie stanowiły dostatecznej ochrony. Szereg zabiegów w fabrykacji nie był ujawniony w patencie. Zamierzał je wydać dopiero po wpłaceniu ceny nabycia. Pytał teraz sam siebie, czy częste niedomogi aparatury doświadczalnej nie były czymś więcej niż przypadkiem. Miał w Berlinie przyjaciela — zdaje mi się, że był to Ernst Reinhard, redaktor „Rote Fahne”. Co prawda Wegerer był kluczony z partii, a Reinhard był czołowym komunistą, ale mimo to Wegerer liczył na jego pomoc. Pojechał do Berlina i opowiedział wszystko swemu towarzyszowi. Reinhard czynił mu wymówki.

— Nie rozumiem ciebie. Jesteś wprawdzie wydany, ale mam nadzieję, że ruch nie stał ci się całkowicie obcy. Dlaczego oddajesz tak ważny wynalazek kapitalistom, a nie Związkowi Sowieckiemu?

— No cóż, oddałbym go chętnie Związkowi Sowieckiemu, ale oni ze mną nie rozmawiają. Nie mam teraz żadnego kontaktu z sowieckimi ludźmi.

— Ja to zaaranżuję — powiedział Reinhard. — Pomówię jeszcze dzisiaj z miarodajnymi towarzyszami.

Przez tajny aparat rosyjski w Berlinie zwrócił się Reinhard do odnośnych placówek moskiewskich. Rosjanie odkomenderowali natychmiast trzech ludzi z Instytutu Mineralogii i Geologii na rokowania w Berlinie. Przyjechał profesor Feodorowski, słynny geolog, profesor Perczik i jeszcze trzeci, który jak się zdaje miał funkcje administracyjne. Omówili wszystko z Wegererem i szybko doszli do zgody. Wegerer miał powrócić do Ludwigshafen, tam jak najszybciej zakończyć swe eksperymenty, a potem odmówić zawarcia jakichkolwiek umów co do sprzedaży patentu na inne kraje poza Niemcami. Miał się postarać możliwie jak najszybciej wyjechać do Wiednia, tam spakować rzeczy i razem z towarzyszami Reisingerem i Rieszem przyjechać do Związku Sowieckiego. Jak twierdził Wegerer, w toku rozmów zrezygnował on z jakiegokolwiek odszkodowania za przekazanie swego wynalazku Związkowi So-

wiekiemu. Żądał tylko dla siebie i swych współpracowników przyzwoitych poborów, częściowo w walucie zagranicznej. Zagwarantowano mu pobory miesięczne w wysokości 700 rubli. Były to wówczas w Moskwie pobory znaczne, chociaż nie wygórowane.

Po przybyciu do Ludwigshafen Wegerer parł teraz do ukończenia pracy. Wszystko funkcjonowało źle, ale on nie dawał się już powstrzymać i w wielkim pośpiechu przygotowywał demonstrację. Wynik był ujemny. Otwarto autoklawy, zawartość procentowa kryształów diamentowych była znacznie niższa, niż osiągnięta w Wiedniu. Dyrekcja IG-Farben oświadczyła, że warunki wejścia w życie zawartej w Wiedniu umowy nie zostały dopełnione, zachęcała jednak Wegerera do kontynuowania pracy i ulepszenia metody. Wegerer dał wymijającą odpowiedź i przygotowywał się do wyjazdu.

Po przybyciu do Wiednia porozumiał się natychmiast ze swymi kolegami. Myśl o wyjeździe do Związku Sowieckiego w roli bardzo pożądanego fachowca zelektryzowała obu. Był to dla nich tryumf wobec dawnych towarzyszy partyjnych, którzy zerwali wszelkie stosunki z wykluczonymi opozycjonistami. Rosjanie przystali do Wiednia przedstawiciela, który omówił z Wegererem i jego towarzyszami ostatnie szczegóły i dał im pieniądze, niezbędne do zaopatrzenia się we wszystko co potrzebne do podróży. W ciągu kilku tygodni przygotowania były gotowe i cała trójka razem z żonami opuściła Austrię.

W Moskwie organizację pracy objął w imieniu tajnego sektora Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego — Instytut Mineralogii i Geologii. Zastępca ludowego komisarza, towarzysz Pablunowski, wziął pracę pod osobistą pieczę. GPU otrzymało polecenie podjęcia wszelkich kroków celem dopomożenia wynalazcy. Ludowy komisariat przyznał wielką sumę w dolarach na nabycie zagranicznych aparatów i instrumentów. Wegerer i jego przyjaciele otrzymali przyzwoite mieszkania, a także pod wszystkimi innymi względami starano się bardzo o ich dobrobyt.

Lecz mimo wielkiego poparcia ze strony władz sowieckich praca szła źle. Wegerer był człowiekiem chorym i musiał często przerywać pracę na kilka tygodni. Początkowo Rosjanie pozwalali mu na to. Po pewnym czasie zaczęli jednak nalegać na przyspieszenie pracy. Lecz stan zdrowia Wegerera pogarszał się. W końcu nie mógł już dalej ciągnąć. Tylko zabieg chirurgiczny mógł mu pomóc. Chciał w tym celu wyjechać za granicę. Rosjanie powiedzieli „nie”, niech się podda operacji w Moskwie. Przed ukończeniem pracy nie wolno mu opuścić kraju. Wegerer powrócił nieco do zdrowia, odroczył operację i wzmógł wysiłki, by szybko dobrać do końca. Wreszcie przeprowadził demonstrację. Zbadano wyniki. Były zadowalające. Przyrzeczony wynik został osiągnięty.

Teraz Wegerer zażądał urlopu w celu poddania się operacji za granicą. Rosjanie wymigiwali się. Nie chcieli, by wyjechał. Po przybyciu do Związku Sowieckiego musiał oddać swój paszport austriacki i otrzymał od Rosjan dokument na fałszywe nazwisko Schiller. Wegerer zażądał obecnie zwrócenia mu paszportu, by mógł wyjechać. Rosjanie utrzymywali, że paszport zaginął. Wtedy Wegerer zagroził zwróceniem się do poselstwa austriackiego, jeśli w przeciągu 24 godzin nie zwrócą mu paszportu. Rosjanie nie wiedzieli, co mają zrobić. Nie mieli żadnej władzy dyscyplinarnej w stosunku do tego człowieka. Od czasu wydalenia go z partii nie był jej członkiem. Nie były to jeszcze czasy, kiedy także i cudzoziemców aresztowano bez skrupułów. Zrobili dobrą minę do złej gry i dali mu paszport. Wegerer zabrał żonę i wyjechali do Wiednia.

W Austrii poddał się operacji. Jego rekonwalescencja trwała długo. Elka nie czekała i już w lutym 1933 roku powróciła do Moskwy. W połowie kwietnia Wegerer wyzdrowiał na tyle, by móc opuścić szpital w Grazu i dro-

gą przez Wiedeń rozpocząć podróż do Moskwy. W czasie krótkiego pobytu w Wiedniu zdarzyło mu się coś nieoczekiwanego. Półfaszystowski rząd Dollfussa, który właśnie wtedy zagarnął pełnię władzy i rozwiązał parlament, stanął wobec potężnej opozycji robotniczej. Lękał się on rewolucyjnych demonstracji w dniu 1 maja. Postanowił przeto zamknąć czołowych komunistów. Wegerer wprawdzie nie należał już do partii, ale w sferach policyjnych znany był jako wybitny komunista. Toteż zamknięto go razem z innymi. W ciągu dwóch tygodni pobytu w więzieniu stan jego zdrowia znowu się pogorszył. Konieczna była ponowna operacja. Trzeba go było przewieźć w leżącej pozycji do profesora w Grazu. Leczenie po operacji wymagało z górną sześcioletnią. W tym czasie Rosjanie zerwali z nim wszelkie stosunki. Nie przysyłali mu umownie zagwarantowanych poborów w obecnej walucie. Żona jego przerwała korespondencję. Wegerer postanowił za wszelką cenę pojechać do Moskwy w celu odszukania Elki, którą bardzo kochał. Jego wiza wygasła. Mógł zwrócić się do Instytutu i prosić o jej odnowienie, ale postawa Instytutu w czasie jego choroby bardzo go rozgoryczyła. Czuł się oszukany; wyświadczył Instytutowi i krajowi wielką usługę — odpłacili mu się czarną niewdzięcznością. Nie chciał mieć nic więcej do czynienia z tymi ludźmi. Obawiał się także, że gdyby oficjalnie starał się o wizę Instytut nie tylko nie poparłby jego przyjazdu, ale wręcz by mu przeszkadzał. Dlatego postanowił wybrać drogę okrężną i przybyć do kraju przy pomocy rosyjskiego biura podróży Inturist. Przyłączył się do wycieczki, udającej się najpierw do Zaporozża, celem zwiedzenia wielkiej elektrowni wodnej Dnieprostroj. Było to wprawdzie bardzo kosztowne, ale nie widział innej drogi dostania się do Moskwy. Z Dnieprostroju pojechał do Charkowa i tam mnie spotkał. Opowiadał tę historię w czasie wspólnej naszej podróży do Moskwy. Wydawała mi się trochę fantastyczna, ale to, co potem miałem razem z nim przeżyć w Moskwie i co mogłem sprawdzić w każdym szczególe, było jeszcze bardziej nieprawdopodobne.

Wegerer mówił powoli i bardzo plastycznie. Był to wysoki blondyn. Studiując dokładnie jego twarz, odnosiło się wrażenie, że mówi człowiek wewnętrznym złamany i słaby. Nie miałem chwilowo żadnego powodu do wątpliwania w jego słowa, miałem jednak uczucie, że coś ukrywa i często myśli o rzeczach, których nie chce z nikim dzielić. Także jego postawa polityczna wydawała mi się niejasna. Przedtem był pravicowym komunistą. Oczekiwałem, że jego rozwój pójdzie w kierunku socjaldemokracji. Lecz w jego słowach brzmiała jeszcze inna nuta. Mówiliśmy o zwycięstwie narodowego socjalizmu w Niemczech i o walce w Austrii. Wegerer usiłował mi tłumaczyć, dlaczego hitlerowcy zyskiwali zwolenników także wśród proletariatu. Pierwsza rozmowa na ten temat odbyła się między nami jeszcze w Charkowie, w obecności Ewy. Ewa miała bardzo wyczulony instynkt polityczny. Po jego odejściu powiedziała do mnie:

— To osobliwy człowiek. Czy ty go rozumiesz? Usiłował wytłumaczyć się atrakcyjną hitlerowców, ale czynił to tak plastycznie, jak gdyby sam pozostawał pod ich urokiem.

Wrażenie Ewy było prawdopodobnie nieuzasadnione. O ile wiem, dalsze jego życie nie dawało żadnych podstaw do przypuszczenia, by chciał się zbliżyć do faszystów. Jego rozmowy na ten temat dowodziły tylko siły jego fantazji, która pozwalała mu wczuwać się całkowicie w psychologię innych, choćby nawet wrogów.

Podróż do Moskwy podjął teraz bez pomocy Inturista. Pożyczył sobie ode mnie kilkadziesiąt rubli na pokrycie kosztów podróży. Po przyjeździe do Moskwy nie mógł znaleźć pokoju w hotelu. Wziąłem więc dla siebie dwupokojowy apartament w hotelu Savoy i jeden pokój mu odstąpiłem. W Moskwie czekała mnie bardzo intensywna praca organizacyjna i techniczna.

Nadszedł czas, w którym projekty stacji doświadczalnej miały być gotowe i musiałem je przy pomocy projektujących inżynierów przejrzeć, zanim pójdą do ludowego komisariatu do zatwierdzenia. Pracowałem z młodym inżynierem Guprazotem, towarzyszem Talmaszewskim, który mi przygotowywał materiał. Za dnia miałem mało czasu na zajmowanie się Wegererem, wieczorami rozmawiałem z nim w hotelu.

— No cóż, znalazłeś Elkę?

— Nie, nie ma jej w Moskwie.

— Gdzie jest zatem?

— Gdzieś na Krymie. Nie chcą mi podać dokładnego adresu. Byłem w mieszkaniu i tam mi powiedziano, że wyprowadziła się jeszcze w lipcu. Poszedłem do Meżrapom-Filmu, gdzie pracowała. Tam początkowo nie chciało dać mi żadnej informacji, później powiedziano mi, że pojechała z grupą aktorów filmowych robić zdjęcia plenerowe na Krymie. Zażądałem adresu. Nie chcieli go podać i wykręcali się: „Ona jeździ z miejsca na miejsce”, „nie ma żadnego stałego miejsca pobytu” i tak dalej. Muszę zapytać Kaufmana.

— Kto to Kaufman?

— Kaufman jest reżyserem Meżrapomu. Elka z nim razem pracowała.

Następnego dnia spotkałem się z Wegererem przy obiedzie. Był bardzo podniecony.

— Czy znalazłeś Kaufmana? — zapytałem go.

— Do tej pory nie. Idę do niego do domu dziś wieczorem. Wyobraź sobie, że spotkałem na ulicy kolegę z Instytutu Mineralogii. Powiedział mi, że po moim odjeździe usiłowali w Instytucie pracować nadal przy pomocy mej aparatury, ale nie potrafili dać sobie rady. Muszę bezwarunkowo wrócić, by im dopomóc.

— Zrobisz to?

— Jeszcze nie wiem. Zachowali się w stosunku do mnie haniebnie, ale jeśli mnie potrzebują.

— Wegerer, nie rozumiem jednej rzeczy. Dlaczego po prostu nie wniesiesz zażalenia na tych ludzi do Pablunowskiego? Opowiadałeś mi, że Pablunowski wziął twą pracę pod swą pieczę. Pablunowski jest zastępcą ludowego komisarza i jednym z najpotężniejszych ludzi w przemyśle. Jedno jego skinięcie wystarczy, by zmienić postawę Instytutu. Napisz do niego podanie. Mogę ci pomóc sformułować je po rosyjsku.

— Być może, że powinienem rzeczywiście tak zrobić. W każdym razie pójdę do Instytutu, jeżeli nie mogą sobie tam beze mnie poradzić.

Wieczorem byłem w teatrze i powróciłem do hotelu dopiero o 1-ej w nocy. Gdy otworzyłem drzwi, usłyszałem z sąsiedniego pokoju osobliwe szlochanie. Wszedłem szybko i ujrzałem Wegerera, leżącego na łóżku. Tulił twarz do poduszki. Ciało jego drżało konwulsyjnie, jak przy ataku epilepsji. Rzuciłem się do niego.

— Człowieku, co z tobą? Co się stało?

Nie odwrócił się.

— Pozbawili ją życia! Zabili ją!

— Kto zabił?! Kogo zabili?

— O moja Elko, moje biedne dziecko, moja Elko!

— Ależ człowieku, mów przecież rozumnie! Opowiedz, co się stało!

Zmoczyłem chusteczkę w wodzie i zwilżyłem mu czoło. Potem podałem mu wodę do wypicia. Podniósł się i zaczął mówić szpatycznie.

Jego małżeństwo z Elką nie było udane. Po przybyciu do Moskwy Elka poznała znanego reżysera filmowego Kaufmana. Kaufman namówił piękną dziewczynę, by wstąpiła do filmu. Nie wiem już dokładnie, czy grała ona w filmach, czy też pełniła jakąś inną funkcję w przedsiębiorstwie filmowym.

Zakochała się w Kaufmanie. Owocem tego stosunku było dziecko, które Kaufman bardzo kochał. Ale także w swym stosunku do kochanka nie była stała. Pamiętam dobrze tę kobietę. Poznałem ją jak się zdaje wiosną 1929 roku. Liczyła wtedy osiemnaście lat. Była smukła i wysoka. Moją uwagę zwróciły jej cudowne oczy, jakby nieco obłądne. Flirtowała z nią trochę, ale potem się wycofałem. Odniosłem wrażenie, że jej reakcje nie są całkiem normalne. Nastroje jej bez żadnego powodu ulegały częstym zmianom — od euforii do depresji. Zasadniczym rysem jej usposobienia była melancholia. To, co mi teraz Wegerer o niej opowiedział, potwierdziło me pierwsze wrażenie.

Po przyjściu dziecka na świat Wegerer nakłonił ją, by do niego wróciła. Będzie dla dziecka dobrym ojcem. Wszystko między nimi znowu dobrze się ułoży. Zgodziła się, ale w ich wzajemnych stosunkach nie było już dawnej radości. Towarzyszyła Wegererowi do Wiednia, a z końcem lutego 1933 roku powróciła do Moskwy. W czasie, gdy Wegerer leżał chory w Austrii, zbliżyła się znowu do Kaufmana i przeniosiła się do niego. Jej stany depresyjne były coraz częstsze. Kaufman był dla niej dobry. Usiłował ją pocieszać. Nakłaniał ją do przerwania pracy i wyjazdu na Kaukaz na kilka miesięcy wypoczynku, ale nie odzyskał już władzy nad jej niezrównoważonym umysłem. Nachodziły ją napady strachu. Kaufman miał uczucie, że coś przed nim ukrywa. Czasem przyznawała się przed nim do tego, ale oświadczała, że nie wolno jej mówić.

Pewnego dnia, w lipcu 1933 roku, Kaufman przyszedł po południu z pracy do domu. Elka leżała na sofie i płakała. Kaufman usiadł przy niej, głaskał ją i mówił do niej dobrotliwie. Naraz zerwała się i powiedziała:

— Słuchaj, zabiłam dziecko!

— Elka, czyś oszalała! Co za głupstwa mówisz!!

Zaczęła się śmiać i uspokoiła go.

— Nie, chciałam cię tylko nastraszyć i zobaczyć, co na to powiesz. Chłopiec jest u Romanowskich.

Romanowski był wyższym oficerem Armii Czerwonej, z którym Kaufman i Elka utrzymywali bliższe stosunki. Romanowscy mieszkali w Sokolnikach wśród zieleni, więc Elka często przyprowadzała dziecko do nich rannikiem i odbierała je po południu. Kaufman pozostał jeszcze chwilę przy Elce i nakłaniał ją, by nareszcie pojechała na urlop.

— Elka, tak dalej być nie może. Coraz gorzej jest z tobą. Musisz zmienić miejsce pobytu, przerwać pracę i pojechać na południe. Tam wrócisz do siebie, wyzdrowiejesz i poweselejesz, a później będzie także między nami wszystko dobrze.

Elka przyrzekła go posłuchać. Rozmawiali z sobą jeszcze przez chwilę, w końcu Kaufman wstał i powiedział:

— Chodź, pojedziemy teraz i przywieziemy chłopca.

— Kochany, weź motocykl i jedź sam. Jestem tak zmęczona, chciałabym jeszcze poleżeć.

Kaufman pognął na motocyklu. Nie chciał, by Elka była długo sama. Po przybyciu na miejsce pozdrowił krótko przyjaciół.

— Nie mogę długo u was zostać, przyjechałem tylko, by zabrać dziecko. Elka nie czuje się dobrze.

— Dziecko?? Ależ dziecka tu nie ma.

— Jak to nie ma? Przecież Elka je do was rano przywiozła?

— Nie widzieliśmy Elki od czwartku.

Dreszcz przebiegł po plecach Kaufmana.

— Na litość boską, co mówicie?! Elki tu dziś nie było?

— Nie, ale dlaczego tak się denerwujesz?

Leż on już był poza domem. Przeczuwał coś złego. Dodał gazu i pognął

do najbliższego komisariatu policyjnego. Znalazł wszystkich w stanie największego podniecenia. Zastał tam dziecko. Jakaś praczka, idąc rankiem przez las, znalazła je powieszona na drzewie. Odcięła je natychmiast. Jeszcze żyło. Powróciło do siebie bardzo szybko. W komisariacie telefonowali tymczasem na wszystkie strony, aby zidentyfikować małego. Gdy jednak teraz Kaufman wpadł i znalazł dziecko żywe, z radości zachowywał się jak szalony i chciał je zabrać zaraz z sobą, policjanci z miejsca sprzeciwili się. Musiał czekać dwie godziny na uregulowanie wszystkich formalności i zebranie przez policję potrzebnych informacji. Potem najszybciej pojechał z dzieckiem do domu.

Nie zastał Elki. Zamiast niej kartka na stole z nakreślonymi przez nią słowami.

— Dziękuję ci kochany za to, że byłeś zawsze dla mnie dobry. Wybac mi to, co ci wyrządziłam i nie szukaj mnie. Nie ujrysz mnie już nigdy. Bądź zdrowy! Twoja Elka.

Kaufman powiadomił natychmiast milicję i GPU. Elka zostawiła swoje rzeczy i wzięła tylko lekki płaszcz deszczowy. Zostawiła nawet paszport.

Przez kilka miesięcy mizolity się władze sowieckie, szukając wszystkimi środkami rozwiązania zagadki jej zniknięcia. Nie dało się jej odnaleźć. Nie było od niej żadnej wiadomości. Potem GPU zrezygnowało z poszukiwań.

— Alex, na pewno ją zabili. Nie żyje — zakończył Wegerer.

— Ależ dlaczego mieli by ją zabić? Kto ma w tym interes, by pozbawić życia nikomu nie wadzącą kobietę?

— W takim razie gdzie jest? Za granicę nie mogła wyjechać bez paszportu. Zresztą GPU wiedziałoby o przekroczeniu przez nią granicy. Do wody też się nie rzuciła, bo znaleziono by przecież zwłoki. Ostatecznie, była cudzoziemką, po cudzoziemsku ubraną. Zwróciłaby przecież na siebie uwagę.

Rzeczywiście sprawa była zagadkowa. Przedstawiłem uprzednio procedurę, regulującą wyjazdy cudzoziemców. Bez wiedzy GPU Elka nie mogła opuścić kraju legalnie. Ale nielegalnie było to także wykluczone. Nie mówiła po rosyjsku. W strefie pogranicznej rzuciłaby się natychmiast w oczy i zostałaby aresztowana. Ukrycie się gdzieś w kraju było dla cudzoziemki równie niemożliwe. GPU odnalazłoby ją rychło. Nikt nie trzymałby jej u siebie bez zameldowania. Gdyby popełniła samobójstwo, znaleziono by zwłoki.

Nakłoniłem Wegerera, by położył się spać.

— Gustawie, posłuchaj. Teraz w nocy nic nie wymyśliśmy. Jutro pomówię sam z Kaufmanem i przeanalizujemy całą sprawę dokładnie. Teraz połóż się spać i weź środek nasenny.

Dałem mu silną dawkę fanodormu, sam jednak czuwałem i rozmyślałem.

Wegerer otrzymał te wiadomości od Kaufmana. Jeśli Kaufman mówił prawdę i wszystko się w ten sposób rozegrało, sprawa była bardzo zagadkowa. Miałem przed oczyma obraz owego popołudnia lipcowego. Kaufman odjechał na motocyklu. Po pół godzinie byłby z powrotem i wiedziałby, że zamordowała dziecko. Nie mogła na niego czekać. Wzięła płaszcz i uciekła. Dokąd? Być może, by rzucić się do wody. W takim razie musiano by jednak rzeczywiście znaleźć jej zwłoki. Ale może chłopci ograbili zwłoki z cennej odzieży zagranicznej i potem zakopali? Nieprawdopodobne. GPU odkryłoby grób. Być może, Elka owego wieczoru po prostu wybiegła z miasta poza jego mury. Było lato 1933. Ostatnie lato wielkiego głodu. Na Ukrainie, Kaukazie północnym, na Powołżu często zabijano w tym okresie ludzi, zjadali ich głodujący chłopci. Zachodziły wypadki — Ewusia widziała to w Todorowce — że kobiety zjadały własne dzieci, do tego stopnia zezwierzecenia doprowadził ludzi głód. Być może, Elka zmarła taką śmiercią. Też nieprawdopodobne. Obwód moskiewski nie głodował tak jak Ukraina. Nie

słyszałem tu jeszcze o wypadkach ludożerstwa. Zwyczajni opryszkowie, czyhający na odzież, rozebraliby ją i uciekli ze zdobyczą. To zdarzało się często. Ale by jej nie zabili. Gdzież więc była Elka?

Zachodziły jeszcze dwie możliwości. Jedna, że ją zamknęło GPU. Odrzucałem tę możliwość. Nie widziałem żadnej politycznej potrzeby takiego postępku, a bez tego w owym czasie GPU nie odważyłoby się aresztować cudzoziemki. Co prawda, Elka mogła sama pośpieszyć do GPU i zgłosić zamordowanie dziecka. Zamknęliby ją wtedy, ale dlaczego mieliby to zatajać? Sprawa była w najwyższym stopniu niewyraźna.

A teraz ostatnia jeszcze możliwość. Uciekła z zagranicznym dyplomatą. Nie wiedziałem, w jakiej formie GPU kontroluje wjazdy i wyjazdy zagranicznych dyplomatów. Ale może istniała jakaś luka, przez którą jedna kobieta mogła się przecisnąć, unikając zarejestrowania wyjazdu przez GPU. Zauważyłem pewnego razu w Odessie, że poseł włoski w wielkim towarzystwie odwiedził stojący w porcie statek włoski, przy czym nie przeprowadzono w ogóle kontroli dokumentów. A gdyby jakaś osoba z tego towarzystwa pozostała na statku i nie powróciła do miasta? Może coś takiego uszłoby oczu gepistów. W takim razie Elka musiałaby przygotować swą ucieczkę. Wtedy też zamordowanie dziecka miałoby uzasadnienie. Chciała sobie rozwiązać ręce. W takim razie musiałaby mieć kontakty z jakimś zagranicznym poselstwem. Czyżby to mogło ująć uwagi GPU? Bądź co bądź było to do pomyślenia. Lecz jej przyjaciele, a przede wszystkim Kaufman, musieliby przecież zauważyć, z kim utrzymuje stosunki. Muszę z tym Kaufmanem sam pomówić. Z Wegererem nigdy nie wiadomo, co od kogo usłyszał, a co sam wymyślił.

Następnego ranka przed wyjściem z domu poprosiłem Wegerera, by umówił moje spotkanie z Kaufmanem. Chciałem mieć sam okazję do wysłuchania z pierwszego źródła wszystkich szczegółów.

Tegoż dnia po południu siedziałem w moim pokoju hotelowym razem z Talmaszewskim i przeglądałem rysunki. Nagle otworzyły się drzwi i bez pukania weszły trzy osoby.

— Czy tu mieszka towarzysz Schiller? — zapytała jedna z nich. Z całej postawy widać było, że to gepista.

— Tak jest — odpowiedziałem krótko.

— Czy jest w domu?

— Nie.

— Dokąd poszedł?

— Nie wiem.

— Kiedy powróci?

— Nie wiem tego dokładnie, zazwyczaj wraca o siódmej wieczorem.

— Zaczekamy na niego.

Przygotowywali się do zajęcia miejsc. Dwum pozostałym ta nieco opryskliwa rozmowa była widocznie niemiła. Jeden z nich był rosły, o inteligentnych rysach. Przedstawił mi się jako profesor Perczik z Instytutu Mineralogii i Geologii. Trzecim był niski staruszek o siwej głowie artysty. O ile pamiętam, nazywał się Petrowski i był — jak się później okazało — bolszewikiem jeszcze z przedrewolucyjnego okresu. Teraz był profesorem w tym samym Instytucie. Stanowiska takie piastują w Związku Sowieckim zazwyczaj partyjnicy, którzy wyszli z GPU a co najmniej mają dobry kontakt z tą organizacją.

Wskazałem na kanapę pod ścianą i poprosiłem ich, by zajęli miejsca. Sam kontynuowałem swą pracę z Talmaszewskim. Incydent zdenerwował mnie jednak, toteż nie mogłem spokojnie pracować. Po chwili zaproponowałem Talmaszewskiemu, abyśmy przerwali i spotkali się znowu następnego przedpołudnia.

- Gdy Talmaszewski wyszedł, mały staruszek zwrócił się do mnie:
- Czy znacie Schillera od dawna?
 - Około siedmiu lat.
 - Czy jesteście komunistą?
 - Tak jest.
 - Od kiedy?
 - Wstąpiłem oficjalnie do partii austriackiej w dniu 1-ym maja 1927 roku. Już dwa lata przedtem pracowałem w frakcji komunistycznej.
 - To dobrze. Potrzebujemy waszej pomocy, towarzyszu. Czy chcecie nam pomóc?
 - Nie wiem zupełnie, kim jesteście? I czego ode mnie chcecie?
 - Nazywam się Petrowski. Jestem członkiem partii od roku 1908 i pracuję teraz jako naukowiec w Instytucie Mineralogii i Geologii. Musicie nam dopomóc wyjaśnić sprawę o wielkiej doniosłości państwowej.
 - Jestem chętnie do waszej dyspozycji, ale nie wiem, czy potrafię być dla was pożyteczny.
 - Gdzie pracujecie?
 - W Ukraińskim Fizyczno-Technicznym Instytucie.
 - Naukowo?
 - Dawniej naukowo, teraz bardziej technicznie i organizacyjnie.
- Opowiedziałem mu, czym się obecnie zajmuję. Nabrał widocznie do mnie zaufania i zapytał:
- Co wiecie o Wegererze? Czy możecie mi coś opowiedzieć o jego roli w partii?
 - Przecież to jest powszechnie wiadome. Możecie się o tym dowiedzieć w Kominternie.
 - W Kominternie otrzymuje się informacje oficjalne. Sprawa nabiera wyrazu dopiero, gdy się mówi z ludźmi prywatnie. Opowiedzcie nam, co wiecie.
- Opowiedziałem mu wszystko.
- Teraz pytanie, które stawiamy wam w dyskusji. Musicie przyrzec, że nie będziecie o tym mówili z Wegererem: Czy uważacie za możliwe, że Wegerer przybył do naszego kraju, aby robić obcą robotę?
 - Nie wiem, co to znaczy „robić obcą robotę”?
 - Czy uważacie go za zdolnego do wstąpienia na służbę zagranicznego, wrogiego nam aparatu.
 - Uważam to za zupełnie wykluczone.
 - Jego sprawa jest bardzo niejasna. Przybył tu pod pozorem, że daje nam wielki wynalazek, a nie dał nic.
 - Jakże to? Wegerer twierdził, że przed swym wyjazdem przeprowadził demonstrację wynalazku i że wszystko było w porządku.
 - Demonstracja miała miejsce w ostatnim dniu przed jego wyjazdem. Przeprowadziliśmy tylko próbę twardości. Badanie rentgenoskopowe wykazało później, że otrzymano nie diamenty, lecz kryształy korundu, które swą twardością niemal dorównują diamentom.
 - No tak, ale na litość boską, jak mogliście pozwolić mu wyjechać bez uprzedniego zbadania sprawy? Przecież to jest po prostu skandal!
 - Był on już bardzo niecierpliwy i groził nam poselstwem, jeśli nie wydamy mu paszportu. Także osobliwe zachowanie, jak na byłego komunistę.
 - Nie rozumiem tego wszystkiego. Jeżeli popełnił oszustwo, to przecież nie powróciłby z zagranicy.
 - Dla nas też jest to niezrozumiałe. Po co on przyjechał?
- Dwaj pozostali wmieszali się do rozmowy. Czekanie zaczęło im się dłużyć. Nie dowierzali mi i mieli nadzieję, że Wegerer wkrótce wróci. Teraz zaczęli się niecierpliwie, gdyż o godzinie 18.30 mieli posiedzenie partyjnego komi-

tetu rejonowego, którego byli członkami. Po chwili postanowili odejść i powrócić następnego przedpołudnia. Miałem powiadomić o tym Wegerera. Gdy podnosili się z miejsc, otworzyły się drzwi i wszedł Wegerer. Powitali go przyjaźnie, ale z rezerwą. Postawili mu zarzut, że do nich nie pisał.

— Tak jest, ale przecież wy sami zerwaliście korespondencję — odpowiadał. — Na ileż to listów nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, pieniędzy też mi nie przysyłałicie, chociaż zobowiązaliście się.

— Nie mamy teraz czasu na wzajemne wymówki — wmieszał się w rozmowę Perczik. — Zamierzamy omówić sprawę jutro spokojnie. Kiedy możemy spotkać się z wami?

Ustalono godzinę, a potem stary Petrowski zwrócił się do mnie:

— Towarzyszu Weissberg, czy bylibyście skłonni wziąć udział w tej konferencji?

— Ależ ja nie mam z tymi sprawami nic a nie wspólnego. Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie.

— Nie szkodzi. Mamy do was zaufanie i sądzimy, że możecie być dla nas bardzo pożyteczni, przynajmniej jako świadek. To wasz obowiązek partyjny dopomóc nam.

— Jestem do waszej dyspozycji. Dokąd mam przyjść i kiedy?

— Zastosujemy się całkowicie do waszego życzenia — odpowiedział uprzedzająco grzecznie.

Umówiliśmy spotkanie na godzinę 8-mą wieczorem następnego dnia w mym pokoju hotelowym. Trzej towarzysze pożegnali się z nami uprzejmie.

Następnego wieczora przyszli punktualnie o 8-ej. Perczik, Petrowski i dyrektor administracyjny, którego nazwiska zapomniałem. Przeprowadzili ze sobą stenotypistkę, mówiącą po niemiecku i po rosyjsku. Wegerer wrócił do równowagi, siedział spokojny, chociaż zrezygnowany. Prowadził rozmowę Petrowski. Na początku zakomunikowali mu, że eksperymenty dały wynik ujemny. Odpowiedział ofiarowując swe pozostanie i zademonstrowanie dodatniego wyniku. Perczik wmieszał się do rozmowy i powiedział:

— Tego tylko nam brakowało. Wsadziliśmy w tę beznadziejną robotę już 20.000 dolarów w dewizach i Bóg wie ile pieniędzy sowieckich.

Zapytałem go:

— Czy jesteście przekonani, że jest beznadziejna? Stuprocentowo przekonani?

— Tego nie mogę twierdzić — brzmiała odpowiedź — Uważam jednak sukces za bardzo nieprawdopodobny. Chyba, że mi ktoś udowodni, że jest inaczej.

Wegerer przerwał tę rozmowę zapytaniem:

— Co zrobiliście z Elką? Gdzie jest moja żona?

Petrowski odpowiedział:

— Nasz kontakt z nią był bardzo słaby. Po jej zniknięciu zmobilizowaliśmy milicję i nalegaliśmy, by uczyniono wszystko co możliwe dla jej odnalezienia. Niestety, bez powodzenia.

Wszystko to jednak było tylko przygrywką. Petrowski nagle położył na stole szereg dokumentów i fotokopii. Między nimi także listy, które Wegerer pisywał do żony. Zapytał Wegerera:

— Twierdzisz, że w dniu 1 maja siedziałeś w sądzie krajowym w Wiedniu. Tak czy nie?

Wegerer potwierdził.

— W takim razie wytłumacz mi ten list.

Wręczył fotokopię listu, który Wegerer napisał do swej żony z Austrii. List nosił datę „Knittelfeld, dnia 1 maja 1933 roku”. Knittelfeld był małą miejscowością w ojczyźnie Wegerera, w Styrii górnej. Wegerer nie umiał dać żadnego przekonyującego wyjaśnienia. Powiedział jedynie: „Pisałem

ten list w więzieniu, być może w zdenerwowaniu pomyliłem sobie daty. W każdym razie na kopercie musi być prawdziwe miejsce nadania”.

Perczik:

— Zostawmy to. Ale czy wiesz, co twoja żona pisała o tobie do nas? Czytaj!

Podał mu długi list z wiosny 1933 roku, który Elka Wegerer napisała do Instytutu czy też do jakiejś innej instytucji sowieckiej. Zakrył ręką adres listu i dał Wegererowi odczytać z tekstu tylko następujące słowa:

— ... A więc mój mąż wykroczył ciężko przeciwko władzy sowieckiej. Proszę władze sowieckie, by mu nie posyłały więcej żadnych środków pieniężnych za granicę i cofnęły mu wszelkie poparcie. Ja sama wypieram się go i nie chcę, by moje dziecko nosiło jego nazwisko. Nie chcę mieć nic wspólnego z takim człowiekiem.

Z listu bił ton nienawiści. Zapytałem Wegerera, czy poznaje charakter pisma. W milczeniu skinął głową potakująco. Po tej lekturze zupełnie zbladł. Wtedy wstał z miejsca stary bolszewik z siwą głową artysty, profesor Petrowski, i zwrócił się nieco uroczyście do Wegerera tymi słowami:

— Wegerer, byłeś niegdyś komunistą. Nie mogłeś o tym całkiem zapomnieć. Stoimy tu przed tobą jako przedstawiciele władzy sowieckiej. Jeśli swe sumienie obciążyleś winą, możesz ją odpokutować, przyznając się do niej w pełni. Powiedz nam szczerze i uczciwie: czy nas oszukałeś?

Wegerer aż skoczył.

— Jak możecie tak do mnie mówić?! Kto wam daje prawo? Czy siedziałbym tutaj, gdybym był oszustem? Czy odważyłbym się powrócić?

Był to rzeczywiście argument, na który Petrowski nie umiał znaleźć odpowiedzi. Pogrzebał w swych papierach i wyciągnął stary rachunek z roku 1928 czy też 1929. Rachunek ten wystawiony był przez pewną firmę w Wiedniu, w której Wegerer nabył wówczas pył diamentowy za 35 szylingów.

— Po co to kupiłeś? zapytał Petrowski.

Na tę pozornie druzgocącą poszlakę Wegerer miał technicznie nienaganne wyjaśnienie.

— Potrzebowałem go do zaszczepienia roztworu.

Rzecz się ma następująco. Gdy chłodzi się na przykład nasycony roztwór soli, sól wydziela się pod postacią kryształów. Przy normalnym ciśnieniu barometrycznym, ów proces krystalizacji winien rozpocząć się przy określonej temperaturze. Jeśli uchroni się roztwór od wszelkiego wstrząsu i od wszelkiego zanieczyszczenia, to udaje się go przechłodzić bardzo znacznie bez wyodrębnienia się zwartych kryształów soli. Jeśli jednak wrzuci się do takiego ochłodzonego roztworu jeden jedyny kryształek soli, to z wielką szybkością krystalizuje się ich całe mnóstwo. Proces ten nosi nazwę zaszczepienia cieczy. Jak powiedziano, przyspiesza on krystalizację. Jeśli zatem Wegerer posłużył się mikroskopijnym śladem kryształów diamentowych dla pobudzenia krystalizacji, to fakt ten nie obciążał w niczym jego odkrycia. Co prawda, nabyta ilość pyłu diamentowego była zbyt wielka, ale to nie było przekonującym dowodem jakiegoś oszukańczego zamiaru. Jako samouk mógł ewentualnie nie wiedzieć z góry, jaka dawka jest potrzebna.

Petrowski nie chciał przyjąć jego wyjaśnienia. Zwróciłem się do Perczika, w którym widziałem doświadczonego fachowca i zapytałem go o zdanie. Zaakceptował argumenty Wegerera. Wtedy Petrowski przystąpił do trzeciego ataku. Podał Wegererowi kartkę papieru.

— Co powiesz o tym liście, czy to twój charakter pisma? Co miałeś na myśli, pisząc to zdanie?

Był to list Wegerera do żony. Utrzymany był w osobliwie sentymentalnym i miękkim tonie. Zakwestionowane miejsce brzmiało: „... Z głupoty, urodzone z wiary w cuda i z żądy przygód, wyrosło kłamstwo życiowe, przestania-

jące wszystko. Pragnąłem, abyśmy zamieszkali na wyspie, unikając wszelkiego kontaktu z innymi ludźmi...”

Na to pytanie Wegerer nie umiał dać odpowiedzi. Także i pozostała treść listu nie wyjaśniała tego zwrotu. Wegerer był bardzo zmieszany, nie mogłem jednak ustalić, czy na jego nastroj wpłynęło wspomnienie żony czy też wspomnienie popełnionej zbrodni. Z błyskawiczną szybkością przemyslałem tę całą sprawę. Mogłem wyobrazić sobie, że jakiś awanturnik potrafił nabrać niedoświadczonych technicznie Rosjan. Ale IG-Farben? Tam mają przecież najbardziej szczwany fachowców świata. I to IG-Farben płaci wciąż jeszcze Wegererowi minimalną licencję, by utrzymać opoję na patent w Niemczech. Niemieckie koncerny nie mają zwyczaju wyrzucania pieniędzy za okno, a że Wegerer otrzymywał od nich pieniądze — to było niewątpliwe. Pokazywał mi przekaz na swe konto bankowe w Wiedniu. Co się za tym kryje? Czy tylko Rosjanie nie umieli zastosować jego metody? Czy też on sam nie potrafił zrekonstruować w Ludwigshafen i w Moskwie tego, co udało mu się w Wiedniu i w Leoben? Naczelny dyrektor Instytutu Mineralogii i Geologii, profesor Feodorowski, uchodził za uczonego o światowej sławie; czyżby i on nie potrafił niedwuznacznie ustalić prawdy?

Zwróciłem się raz jeszcze do Perczika:

— Towarzyszu Perczik, raz jeszcze was pytam, czy jesteście przekonani, że Wegerer jest oszustem?

Odpowiedział powoli i ważąc słowa:

— Nie mogę tego twierdzić z absolutną pewnością. Chwilowo brak jeszcze do tego niezbędnych dowodów. Mam jednak jeszcze mniej podstaw do przyjęcia za prawdę jego twierdzenia o dokonanym wynalazku. To będzie musiał Wegerer dopiero udowodnić. Nasz Instytut musi się jednak zastanowić bardzo dokładnie, czy ma poczynić dalsze inwestycje w tę bardzo problematyczną pracę.

W tym momencie wmieszał się Wegerer. Ocknął się trochę ze swego letargu.

— Jestem gotów udowodnić wam, że nie jestem oszustem. Powtórzę we Wiedniu na swój własny koszt cały łańcuch doświadczeń. Gdy będę gotowy, przysłacie mi komisję do odebrania pracy. Wybierzcie jakąś znakomitość zagraniczną na rozjemcę. Mogę każdemu udowodnić, że zrobiłem czystą robotę.

Obserwowałem go, gdy mówił. To samo czynił, do tej pory milczący, dyrektor administracyjny Instytutu. Wegerer wyglądał, jak gdyby był bardzo przeświadczony o swej sprawie. Dla mnie samego było to wszystko niejasne i miałem uczucie, że i inni nie mieli ustalonego zdania. Zabrał głos Petrowski:

— Przedyskutujemy twoją propozycję i w ciągu kilku dni damy ci znać, co w tej sprawie postanowiliśmy. Teraz jednak musisz nam dać jeszcze kilka wyjaśnień.

Rozpoczęła się rozmowa o sprawach technicznych, której szczegółów sobie nie przypominam. Temat rozmowy zmieniał się co chwilę. Straciła ona swój wrogi charakter. Późną nocą wszyscy trzej wstali, posiedzenie dobiegło końca.

Po ich odejściu zadałem Wegererowi jeszcze kilka pytań. Nie przejawiał żadnej nieufności, on jednak poczuwał się do obowiązku podmurowania mojego poglądu na tę sprawę.

— Wierz mi, Alex, że nie postawiłeś na mnie na próżno. Gdy rozplączę sprawę Elki, zasiądę do roboty i pokażę im. Wróciłem już do zdrowia. Do dwóch miesięcy wszystko się wyjaśni.

Następnego dnia miałem wiele pracy w różnych urzędach. Chciałem przedyskutować jeszcze tę sprawę z Wegererem i dlatego wzięłem go ze

sobą. Pojechaliśmy samochodem najpierw do Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego, potem do kilku fabryk. Nagle zauważyłem, że jedzie za nami samochód. Początkowo sądziłem, że to przywidzenie moich przeczulonych nerwów. Kazałem kierowcy jechać na chybił trafił. Tamten wóz deptał nam stale po piętach. Jasne było, że obserwuje nas GPU. Pomyślałem, że ładnego piwa sobie nawarzyłem. Jestem już trzy lata w kraju i Bogu dzięki nigdy nie miałem nic do czynienia z GPU. A teraz wmieszałem się w sprawę, która mnie nie obchodzi i oto skutki. Po obiedzie rozstałem się z Wegerem i proszę go o zaaranżowanie na dzisiejszy wieczór mego spotkania z reżyserem Kaufmanem. Sprawa Elki zajmowała mnie nieustannie. Rozważyłem w duchu wszelkie możliwe rozwiązania i nie znalazłem żadnego zadowalającego.

Wieczorem przyszedł do mnie do hotelu Kaufman. Robił bardzo dobre wrażenie. Szerokie czoło, słowiańskie kości policzkowe, aczkolwiek sądząc z nazwiska nie był Rosjaninem, lecz prawdopodobnie Żydem, pociągające usta i uczciwe oczy. Miało się wrażenie, że ten człowiek mówi prawdę i niczego nie zataja. Czuło się też w rozmowie, że sprawa leży mu bardzo na sercu. Dziecko zmarło na zapalenie płuc w kilka miesięcy po nieszczęsnym dniu lipcowym. Widać było, że Kaufman bardzo kochał Elkę i dziecko.

Opowiedział wszystko raz jeszcze. Postawiłem mu kilka pytań.

— Czy Elka nie wzięła ze sobą swoich rzeczy?

— Nie, cała jej odzież jest jeszcze wciąż u mnie. Początkowo GPU zabrało wszystko. Po dwóch miesiącach oddali z powrotem. Matka Elki jest, jak się zdaje, bardzo biedna, napisała do mnie ze Styrii z prośbą o przesłanie jej pozostałych rzeczy. Pocztą nie mogę tego zrobić, ale może teraz Weger zabierze to ze sobą?

— Czy w ostatnich miesiącach przed swym zniknięciem Elka nie miała kontaktów z jakimś mężczyzną?

— O niczym takim nie wiem.

— Czy prowadziła jakąś korespondencję?

— Pisała często za granicę ale nie pokazywała mi swoich listów. Nigdy mi też nie przychodziło na myśl, by kontrolować jej korespondencję.

— Czy wychodziła często na czas dłuższy?

— Wiecie, towarzyszu Weissberg, pracuję przeważnie do późnej nocy. Nie mogłem więc nigdy sprawdzać, czy Elka była w tym czasie w domu, czy nie. Raz tylko przyszedłem do domu o 3-ej w nocy i nie zastałem jej. Przyszła nieco później i była bardzo podniecona. Na moje zapytanie odpowiedziała, że była u przyjaciółki. Nie chciałem się jednak dopytywać, chociaż odniosłem wówczas wrażenie, że coś ukrywa.

— Czy możecie sobie przypomnieć, kiedy to było?

— Sądzę, że w maju. Mogło to być na dwa miesiące przed jej zniknięciem. Drugi raz to się już nie powtórzyło.

— Czy Elka pozostawiła jakieś listy?

— Nie. To już zresztą zwróciło moją uwagę. Otrzymywała czasami listy, ale chyba zabrała je ze sobą. Jedyne rzecz, którą znalazłem, to kalendarz, który służył jej za swego rodzaju pamiętnik. Przeglądałem go, ale nie znalazłem tam niczego o jakimś znaczeniu.

— Czy macie jeszcze tę książeczkę?

— Tak jest, powinna być w domu.

Spojrzałem na zegarek. Była 11 w nocy.

— Czy możemy teraz pojechać do was i zabrać ją?

— Naturalnie.

Pojechaliśmy do Kaufmana. Czekałem na dole w dorożce. Przyniósł książeczkę i zapytał:

— Czy jestem wam jeszcze potrzebny, towarzyszu Weissberg?

— Chyba nie, towarzyszu Kaufman, możemy się przecież wkrótce znowu spotkać. Dajcie mi książeczkę, odeślę ją wam wkrótce przez Wegerera. Wróciliśmy do hotelu. Wegerer poszedł spać. Wertowałem kalendarz. Na początku kilka notatek bez znaczenia o zakupach w Austrii, rozmowach z przyjaciółmi i tym podobne. Długie okresy bez żadnego zapisku. Gdy doszedłem do końca lutego, brakowało kilku kartek. To zwróciło moją uwagę. Wyrwane były dni, jak mi się zdaje, od 23 do 27 lutego. Weszłem do sąsiedniego pokoju, by wypytać Wegerera. Spał już. Byłem zaintrygowany, ale nie chciałem go budzić. Przewertowałem jeszcze powierzchownie cały dzienniczek i odroczyłem szczegółową lekturę do następnego dnia.

Rano zaraz zapytałem Wegerera:

— Czy możesz mi powiedzieć, kiedy Elka wyjechała z Austrii do Moskwy?

— Było to z końcem lutego. Dokładnej daty nie pamiętam.

— Jak można by to ustalić?

— No cóż, Kaufman musi przecież mieć jej paszport. Pozostał on po zniknięciu Elki, jak nam to opowiedział Kaufman.

— Czy GPU nie zatrzymało paszportu u siebie? Jedź do Kaufmana do biura i zapytaj go. Jeśli ma paszport, niech ci go da.

Kaufman miał paszport u siebie w biurze. Dał go Wegererowi. Po południu kontynuowałem swe dochodzenia, które mnie coraz bardziej fascynowały. Przystudiowałem dokładnie daty przekroczenia granicy. W dniu 23 lutego Elka przekroczyła granicę austriacko-czeską, tego samego dnia granicę czesko-polską. Potem jednak istniał odstęp czterech dni. Gdyby jechała bezpośrednio przez Warszawę do Moskwy, musiałaby przekroczyć granicę rosyjską pod Niegorełom w dniu 24-ego. Rosyjska pieczęć graniczna wskazywała jednak datę 27 lutego. Otwierała się niewytłumaczona przerwa trzech do czterech dni. Prawdopodobnie Elka w Warszawie przerwała podróż. Ale Elka Wegerer nie była światową damą, która ni z tego ni z owego wysiada gdzieś, by sobie obejrzeć miasto. Była ona proletariacką dziewczyną, nie znającą żadnego obcego języka i z całą pewnością nie przerwała sama podróży w Warszawie. Musiała w pociągu poznać jakiegoś mężczyznę, który ją do tego nakłonił. Ale kto to był?

Odłożyłem na bok paszport i dzienniczek i rozmyślałem. Sprawa ta intrygowała mnie coraz bardziej. W tej samej chwili usłyszałem pukanie do drzwi i wszedł Talmaszewski. W ciągu ostatnich dwóch dni zaniedbałem się i nagromadziła się masa zaległej pracy. Pracowaliśmy do wieczora. O godzinie 8-jej miałem spotkanie w Café Metropol z Abramem Władimirowiczem Zyskindem. Zyskind był zastępcą Bucharina w sektorze naukowym Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego. Był on w Moskwie bezpośrednim przełożonym naszego Instytutu i administracyjnie miał z nim często do czynienia. Przyjaźnił się z Leipunskim i pod każdym względem faworyzował nasz Instytut, co często pociągało za sobą protesty starych także mu podległych instytutów leningradzkich. Lubilem Zyskinda; był to smukły, żyłasty mężczyzna w wieku około 35 lat; dzięki swym błyszczącym, żywym oczom wyglądał jednak znacznie młodziej. Jego ojciec był znanym rewolucjonistą „Władimirem”. On sam przeszedł wojnę domową jako wyższy oficer i był teraz administratorem, bardzo chłonnym na wszystkie nowe idee. Odwiedzał nas często w Charkowie, moja żona miała dla niego specjalny kącik w swym sercu.

Zastałem go przy bilardzie. Przerwał grę i razem poszliśmy na górę. Włączyliśmy się w większe towarzystwo. Przedstawił mi swych przyjaciół. Między nimi znajdowała się bardzo piękna młoda kobieta, żona pisarza Leonowa. W toku rozmowy dowiedziałem się, że pracuje w towarzystwie fil-

nowym Mezapom. To się dobrze składa, pomyślałem sobie. Zapytałem ją, czy zna Elkę Wegerer.

— Naturalnie. To przecież żona tego austriackiego inżyniera. Ale ona już u nas nie pracuje. Gdzie ona się podziewa? Nie widziałam jej od lata.

Poprosiłem Leonową, by usiadła ze mną przy innym stoliku, po czym zacząłem ją wypytywać. Nie wiedziała wiele, znała jednak decydujący szczegół:

— Elka na wiosnę poznała jakiegoś włoskiego dyplomatę. O ile dobrze pamiętam, był burmistrzem na Capri. Przynajmniej tak mi opowiadała. Ale przecież Romanowscy muszą o tym wiedzieć.

— Czy widzieliście ją kiedyś z tym mężczyzną?

— Nie, nie kontaktowałam się z Elką niemal zupełnie. Ale dlaczego tak się wypytujecie?

Opowiedziałem jej to i owo z całej tej historii i pożegnałem się wkrótce. Po powrocie do domu wziąłem znowu do ręki dzienniczek Elki i studiowałem go gruntownie, kartka po kartce. Z początkiem czerwca znalazłem notatkę „List na Capri”, w dniu 15 czerwca zestawienie kosztów podróży Moskwa-Wiedeń-Neapol, w dniu 28 czerwca notatkę: „Telegram na Capri”. Po tym ustaleniu aż podskoczyłem. Gdzie też Elka mogła nadać tę depezę? Prawdopodobnie w głównym urzędzie telegraficznym przy ulicy Twerskiej. Blankiet z tekstem telegramu musiał pozostać w urzędzie. Czy mi go wydadzą? Chyba nie. Skąd wzięła Elka zestawienie kosztów podróży? Prawdopodobnie poszła do biura Inturista w hotelu Metropol. Postanowiłem następnego ranka, przed rozpoczęciem mej pracy, odwiedzić oba te miejsca.

Sprawa stawała się denerwująca. Czyż jest jednak możliwe, że GPU, posiadające opinię najlepszej tajnej policji świata, nie przejrzało tego dzienniczka? Albo, że nie zauważyło dat, które tak bardzo mogły przyczynić się do rozwiązania zagadki? Nie mogłem w to uwierzyć. Czy ma to sens, by odgrywał rolę detektywa-amatora i prowadził poszukiwania na własną rękę? W Moskwie niechętnie takie rzeczy widziano. Być może, GPU wiedziało wszystko i miało jakiś powód do powściągliwości? Właściwie powinienem być ostrożniejszy. Może byłoby lepiej pójść do Kominternu i omówić sprawę z Grossmannem, zanim podejmę dalsze kroki.

Następnego ranka wezwano mnie do telefonu. Przy aparacie był profesor Petrowski. Kiedy mógłby się ze mną zobaczyć? Umówiliśmy się na wieczór w jego Instytucie. Musiałem poskromić swą ciekawość w sprawie Elki, chciałem jednak przede wszystkim naradzić się z Grossmannem i o ile możliwości także z Petrowskim.

Konferencja z Petrowskim dała mi pewność, że ludzie w Instytucie zachowali się bardzo przyzwoicie w stosunku do Wegerera. Sam Petrowski stanowił typ starego bolszewika. Byli to ludzie, po sekciarsku trzymający się litery starych teorii i wcale nie skłonni do wyciągnięcia wniosków z doświadczeń. Osobiście byli przeważnie o wiele przyzwoitsi, niż komuniści, którzy w ostatnich latach doszli do władzy w państwie i gospodarce. Przeważnie jednak byli w praktyce niezdolni do opanowania jakichkolwiek poważnych trudności. Powoli znikali z czołowych miejsc w administracji.

— Co myślicie o tej sprawie, towarzyszu Petrowski?

— Nie wierzę Wegererowi.

— Ja sam nie mam zdania, ale nie mogę zrozumieć, jak Karabatscheg, znany fachowiec i takie IG-Farben pozwoliłoby wprowadzić się w błąd, gdyby za tym odkryciem nie nie było.

— Cała sprawa i dla mnie jest bardzo zagadkowa. Ale my tu obserwowaliśmy Wegerera. W wielu sprawach technicznych jest on analfabetą. Nasz Instytut wziął w tej sprawie na siebie ciężką odpowiedzialność wobec rządu. Wynalazek ma znaczenie z punktu widzenia wojennego. Potrzebujemy dia-

mentów przemysłowych jako ścierniwa w przemyśle lotniczym. Jak wielką wagę przywiązywał do tego Pablunowski, widzicie z faktu, że wyasygnował 200.000 dolarów jako premię za ten wynalazek.

— Jakże to? Wegerer powiedział mi, że zrezygnował z wszelkiej premii.

— To nieprawda. Mogę wam pokazać umowę.

Przeczytał tezkę i przeczytałem oryginalną umowę. W przeciwieństwie do tego, co mówił Wegerer, umowa przewidywała sumę 200.000 dolarów w wypadku, jeśli wynalazek przyniesie oczekiwane wyniki. To kłamstwo zachwiało moje zaufanie do Wegerera znacznie bardziej, niż wszystko, co się przedtem zdarzyło.

— No tak, ale powiedzcie towarzyszu Petrowski, dlaczego ten człowiek, jeśli jest oszustem, powrócił?

— Także tego nie mogę pojąć. Może jest prowokatorem i pracuje dla zagranicznego aparatu szpiegowskiego.

— Co też wam na myśl przychodzi! Skąd on do tego. Na dobitek, po takiej historii byłby to najgorszy agent, jakiego sobie można wyobrazić. Nie też w jego charakterze nie wskazuje, by mógł wstąpić na służbę wroga.

— Nie mówcie tak, towarzyszu Weissberg. Czy znacie przykład Azefa?

— Tak jest, ale jak możecie porównywać Azefa z Wegererem.

— Wegerer także nie jest byle kim i nie wiemy, czy ktoś go nie szantażuje i jakie siły za nim stoją.

Rozmowa przyjęła, jak na mój gust, zbyt tajemniczy charakter. Skierowałem ją na inny temat.

— Co się waszym zdaniem stało z Elką?

— Nie wiemy. Aparat uczynił wszystko, by wyjaśnić sprawę, ale zniknęła ona bez śladu. Prawdopodobnie zabiła się.

— Gdzie są zwłoki?

Wzruszył ramionami. Zastanawiałem się przez chwilę, czy mam mu już teraz zakomunikować wynik moich dochodzeń, ale zdecydowałem się chwilo-wo tego nie czynić. Powróciłem do Wegerera.

— Towarzyszu Petrowski. Powtarzam pytanie, na które mi profesor Perczik nie dał zdecydowanej odpowiedzi. Czy jesteście przekonani, że to jest oszust?

— Jeśli mam być uczciwy, nie mogę tego powiedzieć. Zostaje zawsze jakaś reszka wątpliwości. Wegerer jest maniakiem, a częściowo i analfabetą, ale jest bardzo utalentowanym, instynktownie utalentowanym człowiekiem. Czasem ślepe proszę znaleźć żołądz. Być może, znalazł coś i nie umie tego zrekonstruować i może dlatego wzruszająca jest siła przekonania, z którą broni swej sprawy i która czasem zdumiewa.

— No tak, ale jak zamierzacie zamknąć tę sprawę? Jeśli macie podstawę do uważania go za oszusta, dlaczego nie każecie go zaarrestować i przeprowadzić przez GPU śledztwo?

— Myślimy i o tym, ale aresztowanie cudzoziemca wywołałoby zbyt wielką sensację.

— Co zatem chcecie uczynić?

— Musimy znaleźć jakieś wyjście, by sprawozdaniem do ludowego komisarjatu zamknąć ostatecznie tę nieszczęsną sprawę. Wszyscy szukamy jakiegoś wyjścia, ale go jeszcze nie mamy.

— Czy nie macie żadnej nadziei, że przy dalszej pracy nad tym problemem osiągniecie dodatni wynik?

— Chyba nie.

— Czy nie szkoda aparatury, specjalnie urządzonego laboratorium?

— Używamy go do innych celów. Wydatek nie pójdzie na marne.

Zakończyliśmy rozmowę i umówiliśmy się na jeden z najbliższych wieczorów w moim hotelu.

Nazajutrz rano poszedłem do Inturista w Hotelu Monopol. W biurze podróży pracowała znajoma moja, młoda komunistka niemiecka. Zapytałem ją:

— Czy znasz Elkę Wegerer?

— Zonę Schillera? Znam ją tylko bardzo pobieżnie. Zdaje mi się, że ona żyje z Kaufmanem.

— Co to za człowiek, ten Kaufman?

— Bardzo spokojny i sympatyczny. Myślę, że jest bardzo ceniony.

— Kiedy widziałas Elkę po raz ostatni?

— Była tu latem i chciała, bym jej powiedziała, ile kosztuje podróż II klasą do Neapolu. Obliczyłam jej to.

— Jak chciała jechać? Okretem przez Odessę?

— Nie, przez Warszawę i Wiedeń. Ale dlaczego tak mnie wypytyujesz? Co się stało?

— Na razie nie mogę ci tego powiedzieć.

— A ja właściwie nie powinnam ci była udzielić informacji. Służbowo jest to u nas zabronione.

— Ważne jest, abys mi powiedziała wszystko, co wiesz.

— Alex, rzeczywiście nie wiem nic więcej.

— Czy kupiła wtedy bilety?

— Nie, nigdy już tu nie wróciła.

Z Inturista poszedłem do głównego urzędu telegraficznego. Zastanawiałem się, czy zwrócić się do dyrektora, ale nie chciałem wywoływać niepotrzebnej sensacji. Postanowiłem poprosić pierwszego lepszego urzędnika o nieobowiązkową informację.

Urzędniczka zza okienka skierowała mnie do pewnego pana z administracji na pierwszym piętrze. Zapytałem go:

— Czy byłoby możliwe zapoznać się z tekstem pewnego telegramu, nadanego u was w dniu 28 czerwca 1933 roku?

— Nie, to niemożliwe — odpowiedział chłodno.

— Nie rozumiecie mnie. To nie ja chcę zobaczyć telegram. Chciałbym tylko wiedzieć, czy przechowujecie blankiety telegraficzne tak, aby odpowiednio organizacje, jeśliby sobie tego życzyły, mogły otrzymać tekst?

— Co was uprawnia do postawienia nam takiego zapytania?

— Przepraszam, nie myślałem, że jest to tajemnica służbowa.

— Kim właściwie jesteście?

Wymieniłem nazwiska i okazałem wszystkie swe legitymacje. Widocznie, papiery moje były dostatecznie „mocne”, gdyż urzędnik zmienił ton.

— Jeśli chcecie otrzymać konkretne informacje co do określonego telegramu, musicie zwrócić się przez odpowiednie organizacje do naszego inspektora. Naturalnie, przechowuje się u nas wszystkie blankiety i możemy na oficjalne zapytania udzielić natychmiast potrzebnych informacji.

— Dziękuję wam, niczego więcej nie chciałem się dowiedzieć.

Nie mógłbym zatem otrzymać tekstu. „Odpowiednie organizacje” musiałyby o to prosić. Odpowiednie organizacje, to był przyjęty w Związku Sowieckim eufemizm na określenie organów NKWD. Moja działalność detektywna doszła do granicy, poza którą nie mógłbym się posunąć bez pomocy GPU. Zatelefonowałem do Petrowskiego i poprosiłem go o zaaranżowanie mej rozmowy z dyrektorem administracyjnym Instytutu. Petrowski poprosił mnie, bym natychmiast przybył do Instytutu. Znalazłem w dyrekcji człowieka, którego szukałem.

— Towarzyszu L., chciałbym wam udzielić kilku informacji o rzeczach, które odkryłem przypadkowo i które was mogą zainteresować.

Opowiedziałem mu całą historię. Słuchał z napiętą uwagą, ale twarz jego w najmniejszym stopniu nie zdradzała, czy jego wynurzenia stanowią dla niego sensacyjną nowość, czy też nie. Był po prostu nieprzenikniony.

— Towarzyszu Weissberg, powiadomię o tym natychmiast odpowiednie placówki. Jak długo zostajecie w Moskwie?

— Prawdopodobnie do końca tygodnia.

— Proszę was o zatelefonowanie do mnie przed wyjazdem. Może będą z wami chcieli mówić w tej sprawie. Poza tym profesor Petrowski także chce z wami jeszcze mówić.

Poszedłem do Petrowskiego, do laboratorium. Przywitaliśmy się serdecznie. Słuchał uważnie i w wielkim skupieniu, gdy opowiadałem mu o najnowszym zwrocie w historii Elki. Była to dla niego sensacja.

— To wszystko jest bardzo niezwykle. Wierzcie mi, Aleksandrze Siemionowiczu, robicie na mnie wrażenie uczciwego towarzysza. Za całą tą historią Wegerera tkwi coś więcej niż zwyczajne oszustwo.

— Nie jestem jeszcze całkiem przekonany, że za tym tkwi oszustwo. I wy także nie, towarzyszu Petrowski.

— Nie potrafię inaczej wyjaśnić niepowodzenia eksperymentów. W każdym bądź razie, nie możemy tam znaleźć żadnych diamentów i on także nie może. Także jego współpracownicy Reisinger i Riess mają najgorszą opinię o Wegererze.

— Czy są oni jeszcze tutaj?

— Sądzę, że Riess powrócił do Austrii. Reisinger jest tutaj i pracuje w pewnej moskiewskiej fabryce.

Podał mi adres Reisingera. Chciałem z nim pomówić.

Następnego wieczora Reisinger przyszedł do mnie do hotelu Savoy. Wegerer był też przy tym. Pelen agresywnej wściekłości na Wegerera, Reisinger oświadczył mi, że ten człowiek jest kłamcą i że oszukał wszystkich; ich samych, Rosjan i wszystkich innych, z którymi miał do czynienia.

— Powiedz mi jednak, towarzyszu Reisinger, jeśli prawdą jest to, co masz na myśli, jak to było możliwe, że daliście się nabrać?

— Byliśmy prostymi robotnikami. Nie potrafiliśmy ocenić całej sprawy. Były przecież znakomości, które ją zbadały. Karabatscheg był wielkim specjalistą. Potem przyjechali inżynierowie z IG-Farben. Każdy z osobna — sława światowa. Sądziliśmy, że jeśli oni biorą Wegerera na serio to cała sprawa nie może przecież być oszustwem.

— Dlaczego teraz jesteś przekonany, że to jest oszustwo?

— Po pierwsze, nic z tego wszystkiego nie wyszło, a po drugie, Wegerer stale zmyśla. Po prostu wstyd mi przed Rosjanami. Naipsałem do partii i odsunąłem się od Wegerera, nie chcę, by mnie razem z nim wrzucono do jednego worka.

— Do partii napisałeś? Jesteś więc znowu członkiem partii?

— Jeszcze nie, ale prosiłem o ponowne przyjęcie i przyznałem się do mych politycznych błędów w Austrii. Mam nadzieję, że mnie na nowo przyjmą. Ostatecznie jestem przecież robotnikiem fabrycznym i podzielam całkowicie linię partii bolszewickiej i Związku Sowieckiego.

Mówił o Wegererze z taką emocją i taką, z trudem tłumioną, wściekłością, że jego świadectwo nie mogło mi się wydawać dostatecznie obiektywne.

Następnego ranka spotkałem na placu Teatralnym Leipunskiego. Opowiedziałem mu całą historię. Słuchał z zainteresowaniem i odpowiedział uśmiechając się, w wyrażnie dobrym humorze:

— Piękną historię zmagstrowali ludzie w Instytucie.

— A więc jesteście przekonani, Aleksandrze Iljczu, że sprawa jest oszustwem?

— Właściwie tak.

— Dlaczego więc ludzie z Instytutu nie każą tego człowieka aresztować?

— Chcą zapewne uniknąć sensacji i spodziewają się, że będą mogli sprawę zlikwidować po cichu. Przy aresztowaniu sprawa dostaje się do wiadomości.

mości publicznej. Co najmniej dowiedzą się o niej wszystkie kierownicze placówki w Komitecie Centralnym partii i te już im dadzą łupnia.

— Ach to tak! Nie pomyślałem o tym.

— Nie jesteście jeszcze dość długi u nas, by o wszystkim myśleć. I tak bierzecie na siebie za wiele.

— Sądzicie, że nie powinienem być się w to mieszać?

— To byłoby mądrzejsze.

Tegoż dnia spotkałem Landaua. Lew Dawidowicz Landau był najwybitniejszym fizykiem Związku Sowieckiego. Był bardzo młody i był pod każdym względem, zwłaszcza politycznym, *enfant terrible*. Powrócę do niego jeszcze później. Jego zdanie w sprawach fizyki było dla mnie zawsze miarodajne. Przedstawiłem mu sprawę. Powiedział:

— Alex, przy całej mądrości, wciąż jeszcze jesteś trochę łatwowierny. Nie mogę ocenić, co było w tej historii, ale jedno mogę stwierdzić, że diamentów tam nie było.

Wieczorem poszedłem do Grossmanna w hotelu „Lux”. Hotel „Lux” przy ulicy Twerskiej gościł wszystkich czołowych komunistów, pracujących w Kominternie, „Czerwonej Pomocy” i w Międzynarodówce Związków Zawodowych. Stary dom dawał pomieszczenie kilkuset osobom. Labirynt schodów, ganków, przybudówek i nadbudówek utrudniał orientację. Pokoje nie miały nawet kolejnej numeracji, tak że trudno było kogoś znaleźć i prawie tak samo trudno było odszukać wyjście z tego domu. Mieściło się tam także przedszkole, w którym baraszkowały dzieci wszystkich narodów. Słyszało się wszystkie języki, mimo, że językiem nauczania był rosyjski. Wiele dzieci mówiło płynnie czterema, pięcioma językami niezależnie od ojczystego. Szczególnie zwrócił mą uwagę mały chłopiec węgierski, mówiący doskonale po chińsku i po angielsku.

Gdy otworzyłem drzwi, Grossmann zawołał:

— Wiem już, Alex, po co przychodzisz! Sprawa Wegerera.

— Kto cię poinformował?

— Był tu Reisinger.

Złożyłem mu bardzo dokładne sprawozdanie. Chciałem się zabezpieczyć. Grossmann czynił sobie notatki. Na koniec powiedział:

— Alex, uważaj, sprawa może kosztować życie ludzkie.

W ciągu następnych dni odbyłem jeszcze jedną konferencję z Perczikiem i Petrowskim. Teraz stało mi się jasne, czego ci ludzie właściwie chcieli. Przypuszczenia Leipunskiego były słuszne. Potrzebny był im protokół zamykający sprawę. Zamierzali przyjąć propozycję Wegerera, w której się zobowiązywał powrócić do Austrii i tam na własny koszt powtórzyć doświadczenia w laboratorium, w którym razem z Karabatschegiem odniósł niewątpliwy sukces. Petrowski prosił mnie o omówienie sprawy z Wegererem i zredagowanie projektu wspólnego protokołu.

W dzień później odbyło się posiedzenie końcowe. Wegerer zobowiązał się najpóźniej do 1 maja zaprosić komisję z Moskwy na demonstrację. Miał pokryć wszystkie koszty. Rezygnował jednocześnie z wszelkiego odszkodowania z wynalazku na rzecz Komunistycznej Partii Austrii. Rezultaty miała zbadać komisja rosyjska. W wypadku różnicy zdań w ocenie rezultatów, kwestie sporne rozstrzygnąć miał jako rozjemca wybitny naukowiec.

Po podpisaniu protokołu, wszyscy zainteresowani odetchnęli. Wegerer w kilka dni później opuścił Moskwę. Na dworcu Aleksandrowskim uściśnął mi serdecznie dłoń:

— Alex, dziękuję ci za pomoc. Przekonasz się, że nie dawałem ci swego poparcia na próżno.

Opuściłem dworzec kolejowy z mieszanymi uczuciami. Człowiek ten był sympatyczny i niezwykle utalentowany. Opowiadał interesująco i z fantazją.

Czy rozsadzająca go fantazja nie popchnęła go do awantury, z której nie widział wyjścia? Któż mógł to rozstrzygnąć. Materiały, które mieliśmy wówczas do rozporządzenia, nie były wystarczające.

Przez długi czas nic o nim nie słyszałem. W kilka miesięcy później spotkałem w Moskwie Petrowskiego. Powitałem go serdecznie:

— Co się stało z tą sprawą? Czy Wegerer pisał?

— Ani słowa. To było jawne oszustwo.

— Czy słyszeliście coś o Elce?

— Nic dokładnego. Zdaje się, że jest z włoskim dyplomatą na Capri.

— Jeśli tak, to dlaczego nie pisze ani słowa do swojej matki w Styrii? Biedaczka jest przekonana, że jej córka już nie żyje.

— To wszystko jest bardzo zagadkowe. Być może, Elka nie wie do tej pory, że dziecko zostało wówczas ocalone, być może, boi się oskarżenia o zamordowanie dziecka. Być może, nie żyje...

W roku 1935 byłem latem w Wiedniu. Panował już rząd faszystowski. Partia zeszła w podziemie. Miałem kontakty z wielu towarzyszami, wypełniałem też kilka poleceń partyjnych i musiałem być dlatego ostrożny. Pewnego popołudnia spotkałem na Herrengasse Wegerera. Szedł pochylony. Spotkanie się z nim nie dogadzało mi i miałem nadzieję, że uda mi się go wyminąć. Ale on zauważył mnie i pozdrowił skinieniem ręki. Wyglądał chory i zmęczony. Nie chciałem z nim mówić o moskiewskiej sprawie. Jednakże on sam do niej powrócił.

— Alex, chorowałem bardzo długo i praca się przeciągnęła. Teraz jest gotowa. Publikuję całość w najbliższym czasie.

Patrzył na mnie ze zmęczonym uśmiechem. Żal mi go było i pożegnałem się szybko.

W kilka dni później opowiadał mi przyjaciel, że w pewnej wiedeńskiej wieczorówce pojawiła się wiadomość o sensacyjnym odkryciu austriackiego inżyniera. Chodzi o produkcję syntetycznych diamentów. Nie miałem już czasu na śledzenie tej sprawy, był to mój ostatni pobyt w Austrii.

O Elce nigdy niczego więcej się nie dowiedziałem*.

Opowiadanie tej historii zajęło dwa wieczory śledztwa. Usiłowaliśmy je skrócić, co jednak zawsze napotykało na opór Pole-

* Historia ta nie dawała mi spokoju. W kilka lat po uwolnieniu — latem 1948 roku — odszukałem w Alt-Aussee w Austrii pana von Karabatschega. Opowiedziałem mu o wydarzeniach w Moskwie i prosiłem o wytłumaczenie. Pokazałem mu niniejszy manuskrypt. Prehistorię sprawy, przedstawioną mi przez Wegerera, zakwestionował we wszystkich szczegółach. Jego sąd o wynalazcy był miążdzący, ale ku mojemu zdumieniu nie zaprzeczał faktu wynalazku. Twierdził, że po wyjeździe Wegerera pracował nadal nad tą sprawą. Odkrył wreszcie, że materiałem wyjściowym był żużel z matą zawartością manganu. Mógłby rzeczywiście otrzymywać syntetyczne diamenty. Mógłby je też barwić. Egzemplarze próbne wystawił na paryskiej wystawie światowej w roku 1936. Po powrocie Wegerera z Moskwy IG-Farben wypłaciło jemu i Wegererowi większe odszkodowanie za odstąpienie wynalazku.

Brak mi wiadomości fachowych i czasu na sprawdzenie jego wypowiedzi. Biorąc sprawę czysto psychologicznie, zachowanie Wegerera skłania mnie raczej do poglądu, który wyraził Landau. „Nie wiem co tam było, ale diamentów tam nie było”. Najosobliwsze jest jednak, że Wegerer po wojnie pomimo opisanego konfliktu z władzą sowiecką powrócił do partii. Został redaktorem odpowiedzialnym pewnej komunistycznej gazety w Austrii.

weckiego. Wreszcie zrozumiałem, że jego zainteresowanie dla tej sprawy nie miało nic wspólnego z moim śledztwem. Wielokrotnie przerywał mi. Gdy opowiadałem mu historię z Karabatschegiem, zapytał:

— Czy 5.000 szylingów to było dużo pieniędzy?

— Dla robotnika bardzo dużo.

— Ile to rubli?

— To trudno przeliczyć. Można było w owym czasie w Wiedniu kupić dobre ubranie za 100 szylingów.

— Rzeczywiście?! No to mogę zrozumieć, że to na nim wywarło wrażenie.

Pytania te były dla mnie wskazówką, że Polewecki bynajmniej nie zamierza wiązać ze mną afery diamentów w sensie dla mnie obciążającym. Po prostu bawiło go opowiadanie. W ciągu tych dwóch wieczorów nastrój pomiędzy nami zmienił się. Polewecki dał mi nawet do celi gazetę, kazał ją jednak następnego dnia odebrać. Siedziałem już prawie miesiąc w więzieniu i wciąż jeszcze nie wiedziałem, dlaczego właściwie zostałem aresztowany. Stan mych nerwów uległ poprawie. Nie chciałem sprawy forsować i sądziłem, że Polewecki wcześniej czy później uzna, że śledztwo nie dało wyników i że zostaną albo uwolniony albo wydalony z kraju. Z tym ostatnim już się pogodziłem i robiłem plany na przyszłość.

W kilka dni później wezwał mnie kapitan Asak. Powitał mnie sarkastycznym uśmiechem.

— Zostaliście teraz naszym gościem. Jak wam się u nas po doba, Aleksandrze Siemionowiczu?

— Znam lepsze miejsca wypoczynku.

— Dlaczego ich nie wybieracie, Aleksandrze Siemionowiczu? Milczałem.

— Pozostawiliśmy wam to swego czasu do wyboru i mogę was zapewnić, że jeszcze nie jest za późno.

— Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie.

— Chcę od was, abyście widzieli sytuację tak jaką ona jest i abyście nam powiedzieli prawdę. Musicie zrozumieć, że jesteście stroną słabszą, a my silniejszą i musicie z tego faktu wyciągnąć właściwe konsekwencje. Im szybciej to uczynicie, tym lepiej dla was.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Aleksandrze Siemionowiczu, wasza sytuacja pogorszyła się. Mamy teraz nie tylko sprawozdania naszych współpracowników, którzy was obserwowali, mamy przeciwko wam także zeznania świadków. Zeznania ludzi, którzy razem z wami wykonywali kontrrewolucyjną robotę, którzy jednak są od was rozumniejsi.

Ludzie ci skapitulowali, przyznali się do wszystkiego, ujawnili własne zbrodnie i opisali rolę, którą odgrywaliście w kontrrewolucyjnej organizacji. Możemy wam przedłożyć te protokoły. Jeżeli to nie wystarczy, skonfrontujemy was z ludźmi, którzy przeciwko wam składają zeznania. Ale im później zrezygnujecie ze swego oporu, tym dla was gorzej.

— Nie mam nic do powiedzenia. Czekam na konfrontację.

— Przemyślcie sobie sprawę raz jeszcze. Macie na to jeszcze kilka dni czasu. Czy macie poza tym jakieś życzenia?

— Prosiłem o książki.

— Zezwalam. Czy czytacie po rosyjsku?

— Naturalnie. Chciałbym mieć jednak kilka książek z domu.

— Wasz sędzia śledczy załatwi sprawę. Oczekuję od was, że okażecie na tyle rozumu, by skorzystać z danej wam szansy.

Przycisnął dzwonek i kazał mnie odprowadzić.

Dawno już nie byłem tak szczęśliwy. Miałem otrzymać książki. Sędzia śledczy mówił takim tonem, jak gdyby nie miał przed sobą wroga, lecz tylko wypełniał przykry obowiązek. Przecież odzyskam wolność. Prawdopodobnie muszą doprowadzić śledztwo do końca i zamknąć je w porządku. Ponieważ jednak nie jestem kontrrewolucjonistą i nigdy nie miałem żadnych powiązań z kontrrewolucjonistami, prędzej czy później zrezygnują ze sprawy. Będą mnie musieli zwolnić. Ale w takim razie dlaczego mnie w ogóle zamknęli? Siedzę tutaj cztery tygodnie i nie usłyszałem najmniejszego konkretnego oskarżenia. Nie przedłożyli nawet cienia dowodów. Nie doszło nawet do tego, bym musiał wyjaśniać jakieś niejasne momenty z mego życia. To wszystko jest w najwyższym stopniu osobliwe. Dlaczego mnie aresztowali. Byłby już przecie czas, by to powiedzieć.

Powróciwszy do celi przestałem wkrótce na ten temat filozofować i cieszyłem się na myśl o książkach. Linia moja była jasna. Zamierzałem składać wyjaśnienia ze spokojem i pewnością siebie. Poza tym nie zamierzałem ze swej strony czynić niczego, by sprawę forsować.

Następnego dnia w gabinecie sędziego śledczego otrzymałem książki. Polecono Lenie je przynieść. Spośród sześciu tych książek, dwie przypominam sobie z całą wyrazistością. Jedna, to „Czerwone i czarne” Stendhala, druga — to rosyjska książka dla dzieci i młodzieży o nowych wynalazkach. Ta ostatnia napisana była szczególnie dobrze i pogładowo; w ogóle wiele sowieckich podręczników mogło stanowić wzór dla Zachodu, przynajmniej jeśli chodzi o literaturę przyrodniczą. W następnym miesiącu przeczytałem Stendhala co najmniej dwanaście razy. Umiałem każdy wiersz na pamięć, byłem przesycony każdym słowem tej

książki, ale czytałem ją wciąż na nowo, bo nie miałem nic innego do czytania.

W ciągu następnych dwóch tygodni ton sędziego śledczego stale się zaostrzał, ale traktowanie pozostało na wskróś liberalne. Samotność straciła dla mnie swą grozę. Nauczyłem się nad nią panować. Sześć książek, posiedzenia u sędziego śledczego i kilka gazet, które mi dał — było o czym myśleć w wolnych godzinach. Z początkiem kwietnia musiałem zmienić celę. Otrzymałem o wiele mniejszą, o piętro niżej. Nowa cela leżała po przeciwnej stronie korytarza. Miała tylko jedno okno, wychodzące na małe wewnętrzne podwórze więzienia. Położona była tuż obok ustępu. Użalałem się przed dyrektorem więzienia na tę zmianę, przede wszystkim z powodu mnóstwa much, które mnie w nowej celi odwiedzały. Gdy teraz wracam myślą do tego szczegółu i do tego, co przeżyłem w późniejszych więzieniach, przede wszystkim w Chołodnej Gorze, ten pierwszy okres wydaje mi się zgoła idylliczny. W tej nowej celi wolno mi było nawet leżeć za dnia na łóżku. Zdobyłem gdzieś mały kawałek drzewa i używałem go jako ryłca, którym — leżąc na łóżku — wypisywałem na ścianie liczby i znaki. Swoim ciałem zasłaniałem przed oczyma strażnika to, co napisałem. Zajmowałem się kwestią, dlaczego liczby pierwsze nie przestają się pojawiać oraz innymi zagadnieniami teorii liczb. Na przemian czytałem historię Julien Sorela. Spałem bardzo wiele. Nie było to wprawdzie dozwolone, ale strażnik mnie nie budził. Nigdy później w moim życiu nie było okresu, w którym mógłbym tyle spać, co w tej małej celi. Sypiam zresztą bardzo źle. Nie potrzebuję wiele snu; wystarcza mi pięć godzin, rzadko jednak są one mym udziałem, gdyż mogę spać rzeczywiście tylko w najbardziej sprzyjających warunkach. Tam w celi nauczyłem się spać.

Rankiem budziły mnie ptaki. Na podwórzu były dwa drzewa. Jedno było martwe, wiosną nie pączkowało. Setki ptaków znalazły jednak na nim swe schronienie, podczas gdy drugie drzewo, kwitnące tuż obok, ptaki omijały. Podwórze było ciasne. Leżało jeszcze całkiem w cieniu, gdy rankiem słońce dotykało najwyższych gałęzi martwego drzewa. Wtedy odzywał się jeden wróbel, za nim szły setki. Robiły nieprawdopodobny hałas i budziły mnie. Moje okno wychodziło na południe. Budząc się, widziałem pierwsze promienie w koronie drzewa i to przynosiło mi otuchę na cały dzień.

W owych dniach zabroniono przyjmowania wałówek. Natomiast pozwolono więźniom otrzymywać z domu 50 rubli mie-

sięcznie. Pieniądze wpisywano im w więzieniu na specjalne konto, wolno im było za nie kupować artykuły żywnościowe w sklepie więziennym, „ławocze”. Co dwa tygodnie, później co miesiąc — przychodził specjalny strażnik i przyjmował zamówienia. Zamawiałem zawsze mnóstwo cukierków. Strażnik był oburzony moją lekkomyślnością. Namawiał mnie: „Bierz chleb i słoninę”. Ale nie byłem jeszcze na tyle głodny. Byłem dobrze odżywiony dzięki wałówkom Leny, potrzebowałem cukierków jako rozrywki, gdyż nie paliłem. W trzy miesiące później, gdy nadszedł głód, nie przyszłoby mi na myśl trwonić nieliczne ruble na takie artykuły zbytku.

Dowiedziałem się w tym czasie, że Marcel jest aresztowany. Nie wiem już dokładnie, czy mi to powiedział sędzia śledczy, czy też zwrócił mi na to uwagę błąd w reżyserii, popełniony przez kierownictwo więzienia. Takie „błędy w reżyserii” zdarzały się, nigdy jednak nie były przypadkowe, zarządzał je bowiem sędzia śledczy w określonym celu. Wszystko to uświadomiłem sobie dopiero później. Dwa razy jeszcze spotkały mnie w areszcie śledczym takie pozorne przypadki. Raz po przesłuchaniu u sędziego śledczego Reznikowa spotkałem na korytarzu przyjaciela mego Houtermansa, który błady z przerażenia wytrzeszczał na mnie oczy. Nie był aresztowany, natomiast czekał tam jako świadek. Reznikow widocznie chciał mi dać do poznania, że potrafi skontrolować moje zeznania, odnoszące się do mego dawnego życia za granicą. Innym razem zostałem wezwany do kancelarii, ażeby coś podpisać. Strażnik prowadził mnie obok pomieszczenia, którego drzwi stały otworem. Rzuciłem okiem do środka i rozpoznałem Gorskiego, którego właśnie aresztowano i który musiał się rozebrać. W późniejszym okresie, gdy masowe aresztowania rozsądziły surowe reguły izolacji, spotykałem jeszcze kilkakrotnie ludzi, którym udało się przekazać mi wiadomości o przyjaciółach. Były to już jednak prawdziwe przypadki, którym cała czujność gepistów nie mogła zapobiec.

Sledztwo uległo przerwie na tydzień. Teraz zostało podjęte na nowo. Przez kilka wieczorów przesłuchiwał mnie Polewecki na temat moich stosunków z różnymi sowieckimi ludźmi w Moskwie, Leningradzie i Charkowie. Potem przeszedł do pytań, dotyczących mego dawnego życia za granicą. Widocznie studiowali w tym czasie moją korespondencję i chcieli uzyskać informacje co do podejrzanych momentów. Nie uświadamiałem sobie jeszcze wówczas mechanizmu ich metod śledczych. Sądziłem wciąż, że chodzi im o dotarcie do prawdy. W erze Poleweckiego było to nawet częściowo słuszne, ale tylko częściowo. GPU nie było na tyle naiwne, by sądzić, że nielegalny działacz pozostawi

podejrzane ślady w swej korespondencji zagranicznej. Myślało ono tylko o tym, by znaleźć coś, co w rzeczywistości podejrzane nie było, lecz miało podejrzane pozory. Gdy oskarżony załamywał się, nie mogąc dłużej wytrzymać, nacisku terroru śledczego, którego całej surowości doświadczyłem dopiero po miesiącach — znajdował winę. Zmyślał legendę, ale legenda ta zbudowana była z cegiełek rzeczywistych przeżyć. Prawdziwej winy nie było; lecz GPU potrzebowało winnych. Nie przepisywało ono oskarżonym, co mają zeznawać, natomiast pozostawiało to zazwyczaj ich fantazji. Śledztwo, o ile dotyczyło faktów obiektywnych z życia oskarżonego, miało tylko jeden cel: dostarczyć cegiełek legendy. GPU podsuwało te cegiełki oskarżonemu. Nie wszyscy czynili z nich użytek. Nieraz oskarżony sam ujawniał nowe fakty ze swego życia, które używane były do wzniesienia gmachu winy. GPU sądziło, że legenda będzie bardziej prawdopodobna, a gmach solidniejszy, jeśli oskarżony sam będzie budowniczym. Spekulacja gepistów dawała rezultaty, chyba że zachodziła świadoma kontrakcja więźniów. Więzień, który kapitulował, zmyślał winę i była ona bardziej prawdopodobna, niż wszelkie fantazje GPU, ponieważ łączyła rzeczywiste przeżycia ze zmyślonymi, trzymała się praw logiki i chronologii. Poza tym był to podział pracy. Więzień miał zmyślić tylko *jedną* legendę, podczas gdy sędzia śledczy, gdyby mu odebrał tę pracę, musiałby co roku produkować dziesiątki legend. W legendach tych odgrywały rolę rzeczywiste osoby i rzeczywiste wydarzenia. Reżyseria GPU była niezdolna do pokierowania grą tych osób i tych faktów bez pomocy więźniów. Sędzia śledczy jako reżyser musiałby niechybnie czynić błędy, prowadzące do kolizji legendy z dostępną sprawdzeniu rzeczywistością.

Takie błędy zdarzały się GPU nawet w wielkich procesach. Hotel „Bristol” w Kopenhadze, w którym Trocki miał w roku 1932 wydać oskarżonemu Golcmanowi polecenie wszczęcia akcji terrorystycznej, został już w roku 1917 zdemolowany. Oskarżony Golcman nie był sprawcą tego błędu w reżyserii. GPU żądało od niego przyznania się do spotkania ze zdrajcą Trockim w Kopenhadze w roku 1932. Golcman nie widział się z Trockim. GPU wiedziało o tym równie dobrze jak on sam. Ale Golcman nie wytrzymał tortur i był gotów „przyznać się” do spotkania, zgodnie z żądaniem. I tu zaczęła się zwyczajowa technika GPU. Golcman miał sam wymyślić, gdzie i w jakich okolicznościach spotkał się z Trockim. Gdyby sędzia śledczy po prostu podyktował i przedłożył oskarżonemu do podpisania okoliczności tego spotkania, powstałoby niebezpieczeństwo, że — nie znając dokładnie przebiegu życia oskarżonego — wybrałby czas i miejsce

falszywie. Oskarżony mógłby później (o ile przedtem nie został rozstrzelany) udowodnić swe alibi. Zbyt wielu było aresztowanych, by aparat GPU mógł sprawdzić każdy szczegół, możliwość jego istnienia i jego wewnętrzną logikę. Wielkie procesy moskiewskie były dla dyktatora sprawą najwyższej wagi. Uruchomiono olbrzymi aparat w tym celu, by fałszów nie dało się w niczym zaczepić; a jednak i tutaj zdarzały się błędy w reżyserii, skutkiem których cały gmach legendy sypał się w gruzy.

Jak doszło do tego, że oskarżony Golcman w legendzie spotkania się z Trockim wymienił hotel, który już przed dwudziestu laty przestał istnieć? Golcman załamał się naprawdę. Nie miał zamiaru zdyskredytowania procesu. Żądano od niego, aby określił dzień i miejsce spotkania z Trockim. Trocki przebywał w owym czasie przez kilka tygodni w Kopenhadze. Musiał go zatem spotkać w Kopenhadze. Dlaczego jednak wymienił w swej legendzie hotel „Bristol”? Być może dlatego, że przed z górą dwudziestu laty był pewnego razu w Kopenhadze i nocował w hotelu „Bristol”. Zapewne nie znał żadnego innego hotelu w tym mieście. Wymienił więc „Bristol”. I oto wydarzył się GPU jeden z owych osobliwych przypadków, za które wdzięczna być może część ludzkości, szukająca jeszcze sprawiedliwości i prawdy. Hotele znikają rzadko. Ten jednak zniknął — i zdemolowanie go w roku 1917 rozwaliło gmach stalinowskiego fałszowania sprawiedliwości w roku 1937.

Jeśli takie błędy reżyserii zdarzały się w wielkich procesach, prowadzonych pod kontrolą GPU, prokuraturii, Politbiura i opinii publicznej całego świata, ileż ich zakradło się do legend 8 do 10 milionów aresztowanych, którzy przyznali się do zmyślonej winy! W sprawie Golcmana nic nie pomogła GPU technika, polegająca na tym, że pozostawiano samemu oskarżonemu zadanie budowania gmachu swojej winy. Na przeszkodzie stanął przypadek z roku 1917. W milionach innych spraw owa technika chroniła jednak GPU w legendach zeznań przed jaskrawymi sprzecznościami z logiką i chronologią.

W opowiadaniu swoim wybiegłem nieco naprzód i złożyłem relacje o rzeczach, o których czytelnik dowie się dopiero później. Powracam teraz do śledztwa.

Pewnego popołudnia w następnym tygodniu wezwał mnie sędzia śledczy do siebie. Jego ton był uroczysty. Wskazał palcem jakiś papier koło siebie i powiedział:

— Oskarżony, tu leży dowód waszej winy. Okłamywaliście nas do tej pory haniebnie. Czy zamierzacie się przyznać, zanim udowodnię wam winę dokumentami? Jeśli przyznacie się dobrowolnie, może zostaniecie ułaskawieni.

— Nie mam się do czego przyznawać.
— W takim razie będę musiał was przycisnąć do muru. Czy znacie Rudolfa Andersa?

— Tak jest, znam go.

— Jakie stosunki łączyły was z tym dywersantem?

Zaniemówiłem. Rudolf Anders nosił w Berlinie nazwisko metrykalne Erwin Kohn. Był to człowiek wielkiej inteligencji i pracowitości. W partii był czynny zawsze jako ekonomista. Około roku 1929 przybył do Związku Sowieckiego, pracował najpierw w Instytucie Handlu Światowego, później przejął go Ordżonikidze do Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego. Ordżonikidze zmieniał wówczas dyrekcję wielkiego kombinatu hutniczego w Makejewce. Swego siostrzeńca Gwacharię zamianował nowym dyrektorem, zagranicznego komunistę Andersa — kierownikiem całej budowy. Przy budowie zatrudnionych było 40.000 robotników. Kombinat w Makejewce miał stać się po rekonstrukcji zakładem większym niż jakiegokolwiek zakłady hutnicze w Europie zachodniej lub środkowej. Anders rzucił się w wir pracy jak opętany. Odwiedziłem go raz w Makejewce. Głęboką nocą oprowadzał mnie po terenie zakładu. Staliśmy przy wysokim piecu i czekaliśmy aż nastąpi spust. Żarzący się potok metalu oświetlał twarze stojących obok mnie dwóch mężczyzn. Anders był szczupły, wąska żydowska twarz w okularach, jaką się często widywało w kółkach dyskutantów po kawiarniach Wiednia i Pragi. Ten drugi był Hunem w niebieskim kombinezonie, o tatarskiej okrągłej głowie, osadzonej na potężnych barkach. Był majstrem przy wielkich piecach. On i jego syn otrzymali dopiero co order Lenina i wraz z wszystkimi stachanowcami przemysłu metalurgicznego zostali przyjęci na Kremlu przez Stalina. Hutnik ten, wykapany tubylec, rozmawiał ze swym synem po żydowsku. Był to Żyd z obwodu kijowskiego. Pomyślałem sobie wówczas: Jak rewolucja przetwarza ludzi.

Poszliśmy dalej. Anders objaśniał mi plany zakładu, budowanego na kilku poziomach. Zorientowałem się w systemie komunikacyjnym zakładu i w obiegu materiałów. Potem przeszliśmy na leżący obok teren, przeznaczony na nowe budowy. Instalacja dla scalania i wielkie zbiorniki gazu — były już gotowe. Anders mówił o swojej budowie pełen dumy. Był to komunista typu managerskiego. Budowa interesowała go ze względu na budowę. Nie miał żadnego stosunku do biednych ludzi, którzy tu głodowali, cierpieli i walczyli o lepszą przyszłość. Cel budownictwa socjalistycznego, zapewnienie dostatecznej ilości chleba, wolnego czasu i radości życia dla ogromnej większości ludzi na tej ziemi, był mu daleki. Chciał budować, dużo budować, dobrze budować,

tanio budować. Chciał udowodnić partii i rządowi swą sprawność. Nie czynił tego dla zarobku. Za granicą człowiek o jego kwalifikacjach mógłby żyć o wiele lepiej. Lecz w jego sercu płonęła ambicja działania na wielką skalę, stworzenia czegoś, co byłoby trwałe i związane z jego nazwiskiem. Jego przyjaciel Gwacharia, dyrektor zakładów, był jednym z najlepszych organizatorów w przemyśle sowieckim, jednym z twórców ruchu stachanowskiego. Gwacharia cenił bardzo Andersa i wiedział, że nigdy nie znalazłby lepszego kierownika nowych konstrukcji.

Z początkiem 1936 roku doszło jednakże między nimi do konfliktu i Anders opuścił Makejewkę. Objął nową pracę, rekonstrukcję huty stalowej w Zaporozu. Pracował jeszcze z tą samą energią, ale wyczuwałem w nim lekką rezygnację. W tym czasie nie dowierzano już komunistom, przybyłem z zagranicy. Anders czuł, że pomimo jego wierności dla rządu nigdy nie zapomną mu pochodzenia. W ojczyźnie robotników i chłopów stał się komunistą drugiej klasy. Widać było, że ten ambitny człowiek cierpi.

Latem 1936 roku lokomotywa fabryczna najechała na samochód Andersa. Zabrano go z połamanymi nogami i rękami. Przychodził do zdrowia bardzo powoli. O powrocie do pracy chwilo-wo nie było mowy. Lecz przyszło coś gorszego. Jego następca i kilku innych ludzi w jego aparacie ukuło przeciw niemu intrygę polityczną. Mówiło się już w zakładach o Andersie-trockiście. Pogłoski takie były zazwyczaj zapowiedzią aresztowania, a co najmniej wykluczenia z partii. Ze swego łóża boleści walczył Anders przeciwko temu przez cały rok. Z połowicznym powodzeniem. Jego następca skreślił mu pensję i Anders popadł w biedę. Na krótko przedtem ożenił się i przyszło na świat dziecko.

Jakkolwiek by oceniać ten typ człowieka, jedno było pewne: dla rozbudowy kraju był on nieoceniony. Wykonywał swą pracę z wielką energią i oddaniem. Nazywając go dywersantem, sędzia śledczy rzeczywiście przeholował.

— Ależ Anders nie jest dywersantem! Przecież sam w katastrofie na budowie został poraniony!

— To wszystko, to tylko maska. Anders stoi na czele jednej z najniebezpieczniejszych grup sabotażowych w przemyśle metalurgicznym! Wywołał w zaporoskiej hucie stalowej katastrofę, która kosztowała wiele żyć ludzkich. Sam przyznał się do tego.

— Ale jak to możliwe? Przed jego wypadkiem nie było żadnej katastrofy w Zaporozu, a potem leżał unieruchomiony w łóżku.

— Można kierować grupą sabotażową z łóżka.

Musiałem milczeć. Nie wierzyłem ani jednemu słowu z tego co mówił sędzia śledczy, ale nie miałem prawa z nim polemizo-

wał. Mogłem się bronić i dowodzić swojej niewinności, ale nie było mi wolno poddawać w wątpliwość wypowiedzi GPU w stosunku do innych. Oznaczałoby to szkalowanie organów władzy państwowej, a więc agitację kontrrewolucyjną *ex definitione*. Nie wiedziałem, czy Anders rzeczywiście przyznał się do tych zbrodni. Ale coś w tonie sędziego śledczego skłaniało mnie do dania mu wiary. Tu znowu spotkałem się z czymś niesamowitym. Anders był inteligentny i pewny siebie. To przecież nonsens, że był dywersantem. Znałem go dobrze. Nie był sabotażystą, lecz fanatycznym budowniczym socjalizmu. Czemuż tacy ludzie przyznają się do niepopelnionych zbrodni? Jestem już ponad miesiąc za kratami i jeszcze nie udało mi się uchylić rąbka zasłony, kryjącej tę tajemnicę. Niedługo już miałem na to czekać.

Sędzia śledczy przerzucił przez kilka minut akta, a potem zwrócił się do mnie:

— Dywersant trockistowski Anders siedzi w więzieniu w Dniepropietrowsku, skapitulował przed władzą sowiecką i przyznał się do swych występków. Złożył bardzo interesujące zeznania o was, o waszym nastawieniu politycznym i o robocie dywersyjnej, którą prowadziliście. Pojadę tam sam i przesłucham go. Niech się wtedy Bóg nad wami zlituje.

— Moje stosunki z Andersem ograniczały się do dyskusowania zagadnień technicznych i gospodarczych. Był on doświadczonym kierownikiem budowy, a ja całkiem zielonym. Jego rady mogły być użyteczne w mojej pracy. Mówiliśmy o lepszej organizacji pracy. Jeśli to nazywacie „kontrrewolucją”, w takim razie obaj byliśmy kontrrewolucjonistami.

— Na co sobie właściwie pozwalacie, wy trockistowski bandyto! Do kogo tak mówicie! Zamknę was na trzy dni do karceru, tam nauczycie się dyscypliny!

— Nie chciałem was dotknąć, obywatelu sędzio śledczy. Jako partyjnik i sowiecki człowiek bronię tu swego honoru przed bezpodstawnymi zarzutami.

— *Paszoł k'jobanoj materi*, ty psie faszystowski! Czy myślisz, że będziemy się jeszcze długo z tobą cackali!? Wydadaj organizację! Kto cię zwerbował!?

Milczałem.

— Czy myślisz, że długo nas jeszcze będziesz wodził za nos?! Wykryliśmy twą grę. Kto cię tu przysłał?

Milczałem. Zerwał się i krzychał:

— Kto wykonywał twoje brudne polecenia?! Jakie dyrektywy przyniósł ci z zagranicy agent trockistowski Platschek?!

Milczałem. Uspokoił się trochę i mówił dalej:

— Oskarżony Weissberg, jeśli w dalszym ciągu zachowywać

będziecie taką postawę i nie będziecie odpowiadali na pytania śledztwa, to tym samym staniecie się tutaj, w pokoju sędziego śledczego, winnym działania antysowieckiego, za co będziecie musieli ciężko odpokutować. Na takich, co sabotują śledztwo, mamy bardzo skuteczne sposoby.

— Obywatelu sędzio śledczy, nie mam zamiaru sabotować śledztwa, jestem sam jak najbardziej zainteresowany w jego szybkim zakończeniu. Ale nie postawiliście mi żadnego konkretnego zapytania, na które mógłbym odpowiedzieć.

— Pytałem, jakich kontrrewolucyjnych poleceń udzielił wam Platschek, agent międzynarodowego trockizmu? Czy przywiózł wam program tej nowej organizacji szpiegowskiej Czwartej Międzynarodówki?!

— Platschek nie ma nic wspólnego z Czwartą Międzynarodówką.

— Jak długo będziecie w nas wmawiali, że czarne to białe?! Jak długo będziecie kłamali?! Czy zamierzacie zaprzeczać oczywistym faktom, powszechnie już znanym? Platschek agitował w Instytucie z bezprzykładną bezczelnością za Czwartą Międzynarodówką! Czy odważycie się temu przeczyć? Mamy na to czterech świadków. Można ich z wami skonfrontować.

— Platschek jest błaznem, a nie człowiekiem politycznym. Był tu przez kilka dni i w rozmowach prywatnych mówił głupstwa, których konsekwencji nie mógł docenić. Jest on dobrym fizykiem i dlatego został na tydzień zaproszony z zagranicy. Politycznie nie można go brać poważnie. Na tajnego agenta jakiegś Czwartej Międzynarodówki nadaje się w tym samym stopniu, jak ja na linoskoczka. Gdybyście zamienili z nim dwa słowa, byłoby to dla was tak samo jasne jak dla mnie.

— Zbadaliśmy wszechstronnie sprawę Platscheka. Przedstawiacie wszystkich prowokatorów, których ściągacie do naszego kraju, jako niewinnych gadułów, albo jako błaznów. Ta sztuczka nie przejdzie. Odnajdujemy kontrrewolucjonistów pod każdą maską.

Sprawa Platscheka może figurować w podręcznikach szkolnych jako przykład niebezpieczeństwa, jakie może pociągnąć za sobą humor ludzki w kraju totalnej dyktatury. Platschek był dobrym fizykiem. Fizycy-teoretycy uważali go za eksperymentatora, fizycy doświadczalni — za teoretyka. Stał pośrodku. Miał za sobą kilka dobrych prac na temat efektu Ramana i promieniowania rozproszonego, lecz jego właściwa funkcja w rozwoju nowoczesnej fizyki polegała na czymś innym. Był komiwojazerem fizyki teoretycznej. Pochodził z bogatego domu i nie przyjmował dlatego żadnej posady. Podróżował od jednego wielkiego fizyka

do drugiego, spędzał kilka tygodni u Nielsa Bohra w Kopenhadze, a potem znowu jakiś czas u Fermiego w Rzymie. Lubiano go za wesołość. Opowiadał najgłupsze dowcipy i najzabawniejsze historie. Gdy już dostatecznie długo nakłanialiśmy go, by wreszcie skończył z życiem koczowniczym i osiedlił się, zdecydował się przyjąć zaproszenie uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie. Był to jednak eksperyment, który nie mógł się udać. Platschek nie był ulepiony z gliny, z której się robi profesorów. Już w swym wykładzie habilitacyjnym uznał za celowe oświadczyć, że Żydzi właściwie nie są żadnym narodem, hebrajski nie jest żadnym językiem, a to że dzieci na ulicach Jerozolimy potrafią się między sobą porozumieć jest czystym cudem, możliwym tylko w Ziemi Świętej. Można sobie wyobrazić, jak wypowiedzi tego rodzaju działały na żydowską dumę narodową. Platschek wytrzymał tam tylko przez rok, a potem zaczął na nowo wędrować. W Niemczech rzucał obraźliwe uwagi o Hitlerze i oświadczył, że przybłądźcie nie pozwoli wodzić się na pasku. Zaproponował swym przyjaciołom fizykom, by odtransportowali tego człowieka do jego górnoaustriackiej ojczyzny. Hitler był już wtedy Führerem i kanclerzem Rzeszy i tego rodzaju wypowiedzi pociągały za sobą niebezpieczeństwo utraty życia. Jego przyjaciele byli zadowoleni, gdy wyjechał. U nas, w Charkowie, był kilka razy. Cały kraj nazywał burdelem, a mnie dyrektorem burdelu. Po raz ostatni spotkałem go w grudniu 1936 roku w Moskwie. Mieszkałem w hotelu „Moskwa”. Zatelefonował do mnie i umówił spotkanie.

— Gdzie się spotkamy? — zapytałem.

— Na tej wielkiej ulicy, nazwanej imieniem tego renegata.

W Moskwie istnieje ulica Dymitrowa, Bolszaja Dymitrowka. Nazywała się już tak przed wojną i nazwa jej nie pochodzi wcale od Georgija Dymitrowa, bohatera lipskiego procesu i ówczesnego przewodniczącego Kominternu. Platschek miał szczerzy podziw dla Dymitrowa za jego bohaterską postawę w procesie o zdradę kraju w Lipsku, ale dla żartu nazywał go renegatem. Rozumieliśmy ten dowcip i nie braliśmy go za złe, ale skądże mogłem wiedzieć, czy agent, podsłuchujący każdą moją rozmowę telefoniczną, będzie tak samo liberalny i zdobędzie się na zrozumienie dowcipów Platscheka? Zakląłem i odłożyłem słuchawkę. Następnego dnia spotkałem Platscheka i robiłem mu wymówki. Spojrzał na mnie ponuro i powiedział:

— Ależ panie dyrektorze burdelu, czy zaraził się pan zwierzęcym brakiem humoru, panującym na nizinie Sarmackiej? Ten kraj schodzi na psy. Widać to po panu. Jeszcze przed rokiem był pan człowiekiem rozumnym.

Zrezygnowałem z zamiaru nawrócenia go na drogę rozsądnego

postępowania. Nie miał zrozumienia dla naszych skrupułów. Wyjechał do Charkowa, ja zos, ałem w Moskwie. Pozwoliłem mu używać mego mieszkania w Charkowie. Po powrocie dowiedziałem się, co zmagstrował w czasie mej nieobecności.

W rozmowie z Barbarą i Martinem Ruhemannami podkreślił Platschek, że Trzecia Międzynarodówka straciła sens, odkąd stary Lenin przestał jej pilnować. Trzeba teraz skupić wszystkie siły w Czwartej Międzynarodówce, zorganizowanej przez Trockiego. Barbara Ruhemann jako zdecydowana stalinówka bezzwłocznie zaoponowała ostro i energicznie. Platschek puścił jeszcze kilka dowcipów i prowokował Barbarę coraz bardziej. Martin przysłuchiwał się w milczeniu i uśmiechał się. Nie uważał, że warto się tym przejmować. Następnego dnia Barbara opowiedziała wszystko sekretarzowi partyjnemu Komarowowi. Komarow był człowiekiem roztroptnym i z pewnością nie był trockistozercą za wszelką cenę. Nie wiedział jednak, co ma począć z tym meldunkiem. Wolałby o tym nie wiedzieć. Musiał jednak się obawiać, że Barbara opowie o tym jeszcze komuś innemu, że dowie się o tym GPU i że go pociągnie do odpowiedzialności za przemilczenie informacji. Bezczynność była niebezpieczna, mógł za nią zapłacić legitymacją partyjną, a może i wolnością. Z ciężkim sercem usiadł i napisał raport do GPU.

GPU nie miało najmniejszego zamiaru wyciągania jakichkolwiek konsekwencji w stosunku do Platscheka. Był cudzoziemcem, zaproszonym do kraju na kilka odczytów; w dwa tygodnie później opuścił Związek Sowiecki bez przeszkód. Ale można było z tego ukuć kapitał przeciwko mnie. Zbierali materiał przeciwko mnie już od kilku lat. Nic konkretnego nie wpadło im do ręki. A teraz mieli przed sobą żywego trockistę, rzeczywistego zwolennika Czwartej Międzynarodówki, owego najnowszego tworu Trockiego, który prasa od czasu procesu Zinowiewa zwalczała jako kontrewolucyjny ośrodek sabotażu i szpiegostwa przeciw Związkowi Sowieckiemu; człowiek ten był przyjacielem Weissberga i mieszkał w jego mieszkaniu!

Zauważyłem od razu grożące mi niebezpieczeństwo. Zawołałem Platscheka i powiedziałem mu:

— Mój kochany, nie chcę panu robić żadnych wymówek. Nie rozumie pan po prostu atmosfery, w jakiej od ostatniego roku musimy tutaj żyć. Wytłumaczenie panu tego jest beznadziejne. Muszę jednak odczepić się od pana, w przeciwnym razie narażę się na najwyższe niebezpieczeństwo. Nie może pan dłużej u mnie mieszkać.

Poszedłem do kancelarii Instytutu i poprosiłem o przydzielenie Platschekowi osobnego pokoju w domu gościnnym. Przeniósł

się tego samego dnia. Sprawa została dla mnie tym samym wyczerpana.

Dla mnie, ale nie dla GPU. Nareszcie znaleźli tu obiektywny fakt. Takie obiektywne fakty były tak rzadkie, że należało na nie chuchać i dmuchać. Większość oskarżeń opierała się na wymuszonych zeznaniach jednych oskarżonych przeciw drugim. Zmyślano rozmowy, które nigdy nie miały miejsca, komponowano stany faktyczne, nie mające najmniejszego związku z rzeczywistością. Jednakże rozmowa pomiędzy Barbarą Ruhemann a Platschkiem odbyła się rzeczywiście.

Ale mnie przy niej nie było. Dzieliło mnie wtedy od Charkowa 1.000 kilometrów. Także treść tej rozmowy w rozumieniu sowieckiego kodeksu karnego nie była karalna. Platschek wypowiedział pogląd polityczny, sprzeczny z panującą linią kierownictwa partyjnego. Gdyby był komunistą, można by go było wykluczyć z partii. Co jednak miało tu do roboty GPU? Gdzie zachodził tu stan faktyczny zdrady kraju? I co ja miałem z tym wspólnego? Posiadałem wielkie mieszkanie i dlatego w wielu wypadkach Instytut zobowiązywał mnie do kwaterowania zagranicznych gości. Czy mogłem z tego powodu odpowiadać za ich poglądy polityczne? Przed kilku laty zaproszono na konferencję fizyka włoskiego, Rasettiego, członka Wielkiej Rady Faszystowskiej w Rzymie. Gdyby przybył do Charkowa, prawdopodobnie nocowałby w moim mieszkaniu. Czy stałbym się przez to agentem Mussoliniego?

Ale nikt wówczas w Związku Sowieckim nie snuł takich oczywistych rozważań. Ani władze śledcze, ani prokuratoria nie były w tym zainteresowane, by wykrywać rzeczywistych przestępców antypaństwowych lub odpiierać rzeczywiste niebezpieczeństwa, grożące krajowi. Większość rozmów, które śledztwo insynuowało ośmiu milionom aresztowanych, nigdy nie miała miejsca. Gdyby jednak rzeczywiście miały miejsce, nie mogłyby nawet przy najsurowszej wykładni praw stanowić podstaw do oskarżenia o zdradę główną. Jednakże takie subtelności burżuazyjnego pojmowania prawa uważano wówczas w Związku Sowieckim za „zgniły liberalizm”.

Dla sędziego śledczego sprawa była jasna. Platschek był agentem Czwartej Międzynarodówki. W „Prawdzie” stało, że Czwarta Międzynarodówka jest organizacją, wysyłającą do Związku Sowieckiego szpiegów i sabotażystów z ramienia kapitalistycznych sztabów generalnych. Platschek nocował u Weissberga. Wynikało stąd, że Weissberg jest szpiegiem i sabotażystą. Do tego miejsca wszystko było jasne. Brakowało tylko, by Weissberg przyznał się do winy. Zadaniem śledztwa było doprowadzić go do tego.

Na próżno usiłowałem wytłumaczyć sędziemu śledczemu, że Platschek sam nie brał na serio tego, co mówił i że byłoby śmieszne, gdyby organy władzy sowieckiej brały to na serio.

— Musicie zrozumieć, że Platschek wychował się w krajach, gdzie pojęcie odpowiedzialności politycznej w sensie sowieckim nie istnieje. W rozmowie mówi on co mu ślina na język przyniesie, a w tydzień później może utrzymywać coś wręcz odmiennego. Wie, że swoją gadaniną nie ryzykuje ani wolności ani posady. No to gada.

— Platschek jest zaprzysięgłym trockistą. Mamy co do tego bardzo dokładne meldunki. Przyjechał tutaj z tajnym poleceniem do was. Jakie wam dał dyrektywy?

Zrezygnowałem. Albo nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć. Zaczęło się teraz dwugodzinne przesłuchanie, do czego byłem przyzwyczajony z okresu przed mym aresztowaniem. Krzyczał i groził, żądał ode mnie przyznania się, że otrzymałem od Platscheka kontrowalucyjne polecenia. Komu je przekazałem, co z tego zostało wykonane. Przesłuchanie stawało się coraz monotonnajsze. Ja mówiłem wciąż to samo, on powtarzał te same oskarżenia. Wreszcie zamilkłem. On przerwał przesłuchanie i odprawił mnie do celi. Rozebrałem się i położyłem się do łóżka. Było już po 11-ej. Leżałem może pół godziny, gdy strażnik otworzył kłapę.

— Nazwisko?

Trzymał w ręku znajomą karteczkę, którą sędzia śledczy porywał do więzienia, gdy chciał kogoś zawezwać na przesłuchanie. Pomyślałem sobie: to przecież niemożliwe. Dopiero co ukończyłem sześciogodzinne przesłuchanie. Wymieniłem swoje nazwisko.

— Do przesłuchania.

Ubrałem się i poszedłem za strażnikiem. Trochę zamroczony wszedłem do gabinetu.

— Przyznacie się wreszcie, czy też kontynuujecie walkę?

Milczałem.

— Ty kurwo, ty psie faszystowski, jak długo myślisz nas męczyć?

Milczałem.

— Uważaj, w naszej piwnicy przejdzie ci dobry humor. Mówić!

Milczałem.

— Gdzie są nielegalne materiały, które ci dał Platschek? Masz nas za głupców?! Przyjeżdża do ciebie szpieg trockistowski, a ty naturalnie mówiłeś z nim tylko o pogodzie. Co?!

Milczałem.

— Aleksandrze Siemionowiczu Weissberg, obchodziliśmy się z wami kulturalnie i po ludzku, chcieliśmy wam sprawę ułatwić. Ale potrafimy też inaczej. Nie sądzicie, że nie mamy w naszym

arsenale środków, by uporać się z takimi jak wy bandytami. Pora z wami skończyć. Rozporządzamy dostatecznym materiałem, aby was oddać pod sąd. Wasze rozmowy z Platschekiem, z Andersem, z Komarowem są nam znane.

— Z Komarowem? — zapytałem szczerze zdumiony. — Co się z nim dzieje? To przecież nasz sekretarz partyjny.

— Dojdziemy do tego później. Teraz weźcie pióro i podpiszcie ten protokół.

Sformułowałem moje zeznania w sprawie Platscheka w ten sposób, że w każdym szczególe nasuwały podejrzenia. Nie były to bezpośrednie fałszerstwa, ale przesunięcia akcentów, które musiały w każdym niezainteresowanym i nie znającym szczegółów czytelniku wywołać podejrzenie, że wykryty został tajny spiszek antypaństwowy. Spotykałem się z tą metodą fałszowania tylko w pierwszym — by tak powiedzieć — kulturalnym, okresie mego śledztwa, później nacisk w śledztwie przybrał formy bardziej namacalne. Sędzia śledczy nie fałszował już wtedy zeznań oskarżonego, lecz zmuszał oskarżonego naciskiem fizycznym do fałszywych zeznań. Zacząłem czytać protokół. Po kilku zdaniach przerwałem.

— Musicie tu zaznaczyć, że z powodu tej rozmowy usunąłem Platscheka z mego mieszkania natychmiast po mym powrocie z Moskwy.

— Nie mam najmniejszego zamiaru wprowadzać do protokołu wszystkich waszych zmyśleń.

Odsunięcie się od Platscheka przemawiało na moją korzyść. Sędzia śledczy chciał jednak to zatuszować. Prosiłem w kancelarii Instytutu o przydzielenie dla Platscheka osobnego pokoju w domu gościnnym. Naturalnie nie opowiadałem nic tamtejszemu urzędnikowi o incydencie, powiedziałem tylko, że potrzebuję teraz mego pokoju jako pracowni, gdyż często pracuję za dnia w domu. Sędzia śledczy podchwycił to i sformułował jak następuje: „Po mym powrocie Platschek przeniósł się, gdyż w mym mieszkaniu nie było miejsca”.

— Obywatelu sędzio śledczy, opowiedziałem wam dokładnie, dlaczego wymówiłem Platschekowi mój dom. Chciałbym, aby to zostało zamieszczone w protokole.

— Ty bandyto faszystowski, chcesz nam nakazywać, co mamy wciągać do protokołu?

Podniosłem głos:

— Wasze pytania, to wasza sprawa, ale moje odpowiedzi muszą być tak wpisane, jak je podałem.

Mówiłem za głośno. Polewecki zerwał się, rzucił się na mnie i złapał mnie za kołnierz. Cofnąłem się.

— Nie macie prawa zbliżyć się do mnie, obywatelu sędzio śledczy — krzychałem głośno.

— No cóż, porachujemy się z tobą. — Opuścił pokój. Po kilku minutach powrócił z innym osobnikiem w mundurze. Wskazał na mnie i powiedział:

— Ten oskarżony jest krnąbrny i obrzuca sędziego śledczego obelgami. Proszę was, wyjaśnijcie mu następstwa jego postępowania.

Tamten pogrzebał w swej teczce i wyciągnął z niej dokument. Odczytał mi odnośne paragrafy regulaminu więziennego i śledczego. Ostrzegł mnie przed obrażaniem sędziego śledczego i odczytał mi sankcje, przewidziane za to w regulaminie śledczym. Zaostrzony karcer i tak dalej. Wzbraniałem się w dalszym ciągu podpisać protokół w tej postaci. Polewecki ustąpił troszeczkę i wstawił kilka słów, które raczej czyniły zadość memu stanowisku. Czytałem dalej. Protokół roił się od podobnych opuszczeń i fałszerstw. Poprawienie go było niemożliwe. Trzeba by go było na nowo napisać. Odmówiłem podpisania. Obaj krzyczeli teraz na mnie przez trzy godziny. Byłem całkowicie wyczerpany brakiem snu. Po trzech godzinach Polewecki bez powodu przerwał przesłuchanie. Zawołał do żołnierza:

— Zabierzcie tego brudnego psa. Połamiemy mu kości!

Powróciłem do celi przed samym świtem. Może jeszcze dwie godziny snu. Rzuciłem się w ubraniu na łóżko i natychmiast zasnąłem. Po niemal godzinie otworzyła się kłapa.

— Do przesłuchania!

Odurzony, szłem za nim, zataczając się. Przyjął mnie Polewecki.

— Napisałem protokół na nowo. Jeśli go teraz nie podpiszecie, to każę was wrzucić do karceru nr 3. Nie mam już dla was czasu.

Przeczytałem protokół. Znalazłem w nim kilka małych poprawek. Ogólne wrażenie było to samo. Byłem zbyt zmęczony, by dalej walczyć. Ostatecznie były to drobiazgi bez znaczenia. Podpisałem.

Gdy wracam teraz myślą do tego okresu i do tego, co później nastąpiło, dziwię się, ile energii włożyłem w tę denerwującą walkę o dosłowność protokołów. W kilka miesięcy później zmuszono oskarżonych do wymyślania legend, nie pozostających w najmniejszym stosunku do rzeczywistości — i niemal wszyscy ulegali naciskowi fizycznemu. Walka o dosłowność protokołów była zbytkiem, na który mogliśmy sobie pozwolić, ja i sędzia śledczy, w owym wczesnym okresie wielkiej czystki, jeszcze przed rozpoczęciem masowych aresztowań.

Następnego dnia wezwał mnie Asak.

— Jak długo jeszcze będziecie tak postępować, Aleksandrze Siemionowiczu? Żądaliście konkretnych faktów, daliśmy je wam teraz. Przyjaźń z trockistowskim agentem Platschekiem ujawnia wasze prawdziwe oblicze. Dlaczego wciąż jeszcze podejmujecie beznadziejne próby ukrycia swojej winy?

— Obywatelu kapitanie. Powiedziałem o Platscheku wszystko w moich protokołach. Nie mam nic do dodania.

— Dlaczego nie zameldowaliście natychmiast tej rozmowy? Dlaczego nie donieśliście nam natychmiast, że w Charkowie znajduje się agent Czwartej Międzynarodówki?

— Platschek nie jest agentem politycznym, lecz całkowicie apolitycznym żartownisiem.

— Tego nam nie wmówicie. Jeśli nie zna się na polityce i tylko tak sobie plecie, to dlaczego wychwalał Czwartą Międzynarodówkę, a nie Pierwszą albo Drugą?

Zrezygnowałem z usiłowania zrozumienia faktów.

— Najgorszą poszlaką przeciw wam jest to, że nie złożyliście meldunku. Chcieliście ukryć wroga przed naszą ingerencją.

— Przecież mówiliśmy o tym z Komarowem. Wszakże Komarow jest naszym sekretarzem partyjnym. Złożenie meldunku należało do niego i on to uczynił.

— Komarow jest równie podłym trockistą, jak wy sami! I na niego przyjdzie kolej i to bardzo szybko! Ale nie można od was żądać, byście to rozumieli. Pozwalamy naszym ptaszkom żyć na swobodzie przez czas dłuższy. Nie wymkną się z naszych siatek.

Chciałem powiedzieć: „Platschek przecież się wymknął!” Ale opanowałem się.

— Teraz postawimy przeciwko wam świadków. Konfrontacje wykażą wam, że wasza postawa jest nie do utrzymania. Im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej dla was. Macie wciąż jeszcze szansę wyjścia z tego obronną ręką. Jeśli jednak będziecie nadal prowadzili walkę, to zmusicie nas do najostrożniejszych represji. — Kazał mnie odprowadzić.

To co kapitan powiedział o Komarowie zaniepokoiło mnie do głębi. Czyżby Komarow był potajemnym opozycjonistą? Komarow był człowiekiem miękkim i zawsze zachowywał się bardzo sprawiedliwie i po ludzku. Stalinowcy pełnej krwi nie postępują tak jak on. Nie był karierowiczem, nie należał do tych, którzy prześladując innych drapią się w górę. Może Asak miał rację, może Komarow w głębi serca był nastawiony opozycyjnie.

Przypomniałem sobie teraz pewną rozmowę z Komarowem. U niego w domu. Skromnie urządzone pokój studencki. Siedzia-

łem na kulawym krześle, on na łożku. Opowiadał o kolektywizacji.

— Były to ciężkie czasy, Alex, ta walka z kułakami. Dwukrotnie strzelano do mnie we wsi. Raz byłem ranny. Ale roku 1932 nigdy nie zapomnę. We wszystkich chałupach leżeli ludzie, spuchnięci z głodu. Codziennie „Szybka Pomoc” wywoziła wielu zmarłych; mimo to musieliśmy ściągać chleb ze wsi, gdzie ludzie sami nic już nie mieli. Musieliśmy wykonać plan. Mój przyjaciel nie wytrzymał. Miał za słabe nerwy. Pewnego razu powiedział do mnie: „Pietia, czy to pewne, że Stalin ma rację, jeśli takie są następstwa jego polityki?” Poderwało mnie i w oburzeniu czyniłem mu wymówki z powodu tej wypowiedzi. Następnego dnia przyszedł do mnie i usprawiedliwiał się, że ma nerwy zupełnie zdarte. Przyjąłem usprawiedliwienie i nie wspominałem nikomu o jego wypowiedzi.

Myślałem o tej rozmowie. Może Komarow chciał mnie wypróbować. Może swe własne, kacerskie myśli przypisywał przyjacielowi. Może chciał zobaczyć, czy znajdzie we mnie sympatię dla opozycyjnej wypowiedzi. Może tak samo jak ja odrzucał w głębi serca obłąkaną politykę chłopską dyktatora.

Byłem już wówczas siedem lat w Rosji, ale po raz pierwszy znalazłem w rosyjskim komuniście jakiś przejaw krytycznej postawy. Wszyscy inni bronili linii ze spiżową uporczywością, a ja zawsze sądziłem, że rzeczywiście mówią to co mają na myśli.

Później, w więzieniach, mówiłem z setkami partyjników rosyjskich. Nie znalazłem wśród nich ani jednego, który by bronił stalinowskiej polityki na wsi, forsownej kolektywizacji i odkułaczenia. Polityka ta zniszczyła główną siłę produkcyjną kraju, rolnictwo. Ponad jedenaście milionów chłopów zginęło z głodu, pogłowie bydłęce zostało zniszczone. Fakty te znane były każdemu partyjnikowi w Związku Sowieckim, milczeli jednak i sławili wodza. Tylko najbliżsi przyjaciele ufali sobie wzajemnie, ale i to ustało po rozpoczęciu wielkich procesów.

A więc może Komarow był potajemnie opozycjonistą i w tej rozmowie chciał mnie „zwerbować” w gepistowskim rozumieniu tego wyrazu. Cofnąłem się trochę myślą wstecz. Przed dwoma miesiącami nie rozumiałem jasno, kogo GPU we mnie widzi: szpiega zagranicznego czy opozycjonistę. Wielkie procesy stworzyły co prawda swoisty stop obu tych antypaństwowych grup. Sądząc z procesów, opozycjonista Trocki spiskował z zastępcą Hitlera, Rudolfem Hessem, przeciwko Związkowi Sowieckiemu; opozycja związała się z faszyzmem i przyjęła szpiegostwo jako środek walki. Jeśli GPU konsekwentnie kontynuuje linię wielkich procesów, to dylemat jest rozwiązany, gdyż jestem w ich

oczach jednocześnie kacerzem w stosunku do linii partyjnej i szpiegiem. Lecz czy ludzie biorą takie plody chorobliwej fantazji na serio? Co przyniosą konfrontacje? Przecież nic złego nie czyniłem, z nikim nie spiskowałem, nikogo nie szczułem na władzę sowiecką. Co mi mogą udowodnić? Nic!

Mimo to, byłem niespokojny. Czy doprowadzalboby do konfrontacji, gdyby sobie po nich niczego nie obiecywali? Chyba nie. Czy nie mogli zwerbować fałszywych świadków? Czy nie mogli zebrać przeciwko mnie mych wrogów z czasów konfliktu w Instytucie i przy pomocy ich zeznań zniekształcić prawdziwą treść walki w Instytucie?

Chciałem przestać myśleć o tym wszystkim. Niech przyjdzie co chce, moja droga jest wyraźna.

Zaczęło świtać, a razem ze świtem zstąpił na mnie spokój. Zanuciłem piosenkę i czekałem na sen.

KONFRONTACJE

Przez kilka dni nie było przesłuchań. Potem zostałem wezwany o niezwyklej porze, o 11 rano. Normalnie przesłuchania rozpoczynały się o 10 w nocy. Polewecki nie był sam. Ktoś siedział przy biurku i wyglądał przez okno. Gdy się odwrócił, poznałem Gerfa. Gerf był przez jakiś czas moim następcą, gdy zmuszony przez Dawidowicza złożyłem kierownictwo budowy. Pozostałem naczelnym inżynierem i zastępcą kierownika. Pracowało mi się z nim dobrze. Gerf był typem partyjnika, wiernego linii. Był Żydem i — że tak powiem — wyrósł w partii. Doktryna partii stanowiła dla niego światopogląd, chroniący go przed wszelkimi niebezpieczeństwami duchowymi i materialnymi. Wiedział, że gdy zechce uczyć się, partia pošle go na uniwersytet i da mu także warunki materialne do nauki w postaci stypendium. Nie pozostanie nigdy bez pracy i zajmować będzie stanowisko, odpowiadające jego zdolnościom. Przy tym nie tylko interesy materialne wiązały go z partią. Z pewnością czuł się w niej bezpieczny, zapewniała mu ona, nawet przy braku osobistej inicjatywy, pewien wymiar dobrobytu i respektu, których inaczej by nie osiągnął. Błędem byłoby jednak sądzić, że tylko tego rodzaju względy zaprowadziły jego i ludzi jemu podobnych do partii. Ludzie ci wstąpili do partii w okresie wojny domowej i wkrótce po niej, gdyż pociągała ich wielka rewolucyjna koncepcja ruchu. Gdy jednak już znaleźli się w partii, bardzo przemyślny system bezpieczeństwa dbał o to, by od niej nie odeszli. Z jednej strony stała przed nimi pewność znalezienia w panującej grupie kraju ciepłego, dobrze zabezpieczonego miejsca, z drugiej zaś przy najmniejszym wahaniu — straszliwa groźba całkowitego unicestwienia materialnego i moralnego. Dla kacerza w stosunku do linii

partyjnej (to jest w stosunku do tego, co Stalin w danym momencie historycznym określał jako poprawną postawę bolszewicką) nie było w Kraju Sowietów litości. Wykluczony z partii i ze związku zawodowego, zwolniony z pracy, wyklęty przez swych przyjaciół, którzy nie wazyli się z nim obcować, błąkał się jak zaszczuty zwierz po całym wielkim kraju i mógł znaleźć spokój tylko pod warunkiem dobrowolnego udania się do rejonów podbiegunowych, gdzie zawsze potrzebne były siły robocze i nie pytano nikogo o pochodzenie. Oto był los heretyka, nawet jeśli nie był aresztowany. Zresztą po rozpoczęciu wielkiej czystki aresztowano bez wyjątku wszystkich, którzy kiedykolwiek świadomie lub nieświadomie wykroczyli przeciwko linii generalnej partii.

Niebezpieczeństwo zupełnego unicestwienia stało przed każdym towarzyszem partyjnym jako nieustanna groźba. Niebezpieczeństwo to zmuszało go do odpędzania wszelkiej myśli kacerskiej, czy nawet tylko krytycznej. Obłąkana polityka Stalina na wsi skazała w latach 1932 i 1933 ponad jedenaście milionów chłopów na śmierć i zniszczyła fundamenty rolnictwa. Lecz Gerfowie nie widzieli tego, nie chcieli widzieć. Odpędzali od siebie wszelką myśl o tych sprawach i zmuszali się do wierzenia, że wódz miał rację i że nie było żadnej innej drogi do kolektywizacji rolnictwa. Później, w więzieniach wielkiej czystki, dowiedziałem się, że nie mogli tej myśli całkowicie odpędzić od siebie.

Usiadłem. Między mną a Gerfem stał mały stolik, pokryty czerwonym suknem. Przed nami biurko sędziego śledczego.

— Czy znacie tego człowieka? — zapytał Polewecki.

— Tak jest.

— Kto to jest?

— To jest towarzysz Gerf, Dawid Jefremowicz.

— Czy mieliście z Gerfem jakiegokolwiek kłótnie osobiste?

— Nie.

— Czy macie podstawę do przypuszczania, że Gerf jest w stosunku do was niezupełnie obiektywny?

— Nie, nigdy nie mieliśmy ze sobą zatargów.

— W takim razie proszę was, towarzyszu Gerf, o wasze zeznanie w charakterze świadka.

Gerf scharakteryzował nasze wzajemne stosunki. Mówił też o moim obliczu politycznym. Nie pamiętam już szczegółów jego zeznania, ale przypominam sobie dokładnie, że nie powiedział niczego, co mogłoby być w stosunku do mnie krytyczne lub niebezpieczne. Nie bardzo rozumiałem, do czego potrzebne było oskarżeniu to zeznanie. Jeden szczegół negatywny pozostał mi

w pamięci. Nie chodziło tu o sprawę polityczną, lecz administracyjną.

Kredyty na budowę stacji doświadczalnej upływały z końcem roku. Po 1 stycznia bank nie wypłacał ani jednego rubla na podstawie starych kredytów. Regulaminowo, kredyt na nowy rok powinienby w tym czasie już być przez rząd przyznany. Ale w administracji kraju panował straszliwy bałagan. Plan inwestycji kapitałowych ustalała Państwowa Komisja Planowania (*Gosplan*) przy Radzie Komisarzy Ludowych Związku Sowieckiego (*Sownarkom*). Wysokość rocznych inwestycji kapitałowych była doniosłym problemem politycznym. Decyzja w tej sprawie stanowiła o poziomie życiowym każdego człowieka oraz o obronności kraju. Politbiuro ustalało, ile z pracy ludu rosyjskiego ma pójść na rozwój przemysłu wojennego, budowanie nowych fabryk włókienniczych lub wiercenie szybów kopalnianych. Po decyzji Politbiura Sownarkom zatwierdzał plan inwestycji kapitałowych i przydzielał przyznane kwoty poszczególnym ludowym komisariatom. Kwoty te ustalano na podstawie wyników roku ubiegłego, a ponieważ odnośne dane statystyczne sporządzano dopiero z końcem roku, więc nieuniknione było zawsze opóźnienie zatwierdzenia planu generalnego inwestycji kapitałowych. Od tego planu zależały jednakże nasze kredyty. Dopóki bank nie dostał zawiadomienia z ludowego komisariatu, że na rok następny przyznano nam inwestycję kapitałową w tej i tej wysokości, nie mogliśmy otrzymać ani rubla. W rezultacie w styczniu i w lutym stacja była bez pieniędzy. Jako jej kierownik byłem jednakże odpowiedzialny za wypłacenie zarobków we właściwym czasie. Z końcem grudnia 1934 roku pozostała pewna suma z kredytów roku ubiegłego. Użyłem jej częściowo na zaliczkowe wypłacenie robotnikom zarobków na styczeń i luty 1935 roku. Biorąc ściśle, postępowanie moje było sprzeczne z prawem. Nie chciałem jednak, by nasi ludzie głodowali w styczniu tylko dlatego, że ludowy komisariat nie zatwierdził jeszcze planu na rok 1935. Tylko nieliczni rosyjscy kierownicy budowy postąpili tak jak ja. Większość bała się odpowiedzialności i po prostu pozostawiła swych ludzi bez zarobku przez dwa-trzy miesiące. Nie lękałem się odpowiedzialności, a rezultaty przyznały mi słusność. W rok później Sownarkom specjalnym rozporządzeniem zlikwidował tę lukę w swym prawodawstwie i pozwolił bankom w styczniu każdego roku, nawet przed sporządzeniem planu, wypłacać zaliczkowo określone kwoty. Teraz Gerf zarzucał mi to przekroczenie służbowe.

— Oskarżony Weissberg, czy potwierdzacie zeznanie towarzysza Gerfa?

- Tak jest.
- Co macie do powiedzenia na swe usprawiedliwienie?
- Nie mogłem ludzi zostawić bez wypłaty.
- W takim razie powinniście byli napisać do Moskwy i zażądać na czas kredytów.
- Czy sądzicie, obywatelu sędzio śledczy, że tego nie zrobiłem? Nicustannie pisałem i nalegałem, ale Narkomiazprom nie dawał ani rubla przed zatwierdzeniem planu generalnego inwestycji kapitałowych. Po prostu była tu luka w prawodawstwie. Widzicie przecież, że miałem słuszność, albowiem w roku 1936 specjalne rozporządzenie sprawę uregulowało i od tego czasu budowy otrzymują w pierwszym kwartale kredyty przechodnie. Nawet przed zatwierdzeniem planu.
- Nie macie prawa krytykowania naszego rządu i samowolnego łamania prawa. Nasz rząd wie sam, kiedy należy zmienić prawo.
- Jeśli tylko o to chodzi, to przyznaję się do winy.
- Oskarżony, tak łatwo wam to nie pójdzie. Nie badamy tu waszych przestępstw służbowych, to nie nasza sprawa, odsłaniamy waszą działalność kontrrewolucyjną.
- Jednakże w toku dalszej konfrontacji z Gerfem nie udało się wykryć niczego kontrrewolucyjnego. Zeznania Gerfa były nieszkodliwe. Były odrobinę wymuszone. Chciał on uniknąć podejrzenia o sympatię dla przestępcy antypaństwowego Weissberga i oświecił kilka rzeczy niekorzystnie. Trzymał się jednak z dala od grubych fałszerstw.
- Podpisaliśmy obaj protokół. Gerf wstał i wziął gazetę, leżącą na stole. Zwróciłem się do niego:
- Towarzyszu Gerf, czy przeczytaliście już gazetę?
- Zwlekał z odpowiedzią.
- Kupcie sobie inną, a tę mi zostawcie.
- Gerf stał niezdecydowany. Nie mógł mi dać gazety bez użalenia się kiedyś na zarzut, że okazał pomoc wrogowi państwa. Wiedziałem, w jaki dylemat wprowadziłem go swą prośbą, ale tęskniłem za gazetą bardziej niż za chlebem. Od trzech tygodni nie czytałem żadnych gazet.
- Proszę, towarzyszu Gerf, zróbcie raz coś dla człowieka bezradnego. Możecie sobie przecież z łatwością kupić nową gazetę. Tutaj żadnych gazet nie dostaję.
- Gerf powiedział w końcu:
- Sam nie mogę tego rozstrzygnąć. Mogę wam dać gazetę tylko, jeśli sobie tego będzie życzył sędzia śledczy.
- Polewecki skinął głową na znak zgody. Dostałem gazetę.
- Nigdy więcej nie przeżyłem konfrontacji w tak kulturalnych

i poprawnych formach. W październiku tegoż roku, gdy usiłowałem przy konfrontacjach skierować pytanie bezpośrednio do świadka, uderzono mnie w twarz.

Następnego dnia stanąłem oko w oko z kierowcą mego samochodu Grigorim Jerowojem. Grisza był świetnym kierowcą, lecz jako człowiek i polityk absolutnie nie zasługiwał na zaufanie. Był członkiem partii, chociaż nigdy nie wykonał najmniejszej roboty partyjnej i nie poddawał się nawet najskromniejszym wymagom dyscypliny. W garażu, w którym dawniej pracował, pewnego razu zorganizował regularny strajk, który trwał dwa dni i — rzecz osobliwa — zakończył się bez politycznych konsekwencji w stosunku do Griszy. Rzecz nie do pojęcia w Związku Sowieckim. Nie został nawet wykluczony z partii. Nigdy nie przychodził do pracy na czas. Nie tylko jeździł mym samochodem na spacer, by pokazywać swym przyjaciółkom okolice Charkowa. Jeździł także na stację kolejową, aby zarobkować samochodem. Wiedziałem o tym, ale go nie wydalałem z pracy, gdyż był nie do zastąpienia jako kierowca i mechanik. Okradł nawet własny wóz, wyciął z niego skórę i sprzedał ją na bazarze. Miał duże poczucie humoru i moja żona go lubiła.

— Czy znacie Jerwoja?

— Był przez całe lata moim kierowcą.

— Czy mieliście z nim jakieś zatargi?

— Niezliczone, niemal codziennie, ale nic poważnego.

— Czy wyłączaście świadka jako stronniczego?

— Bynajmniej, Jerwoj nie ma żadnego powodu, by być do mnie uprzedzony.

— W takim razie odczytamy zeznanie towarzysza Grigorija Jerwoja.

Z kartki papieru odczytał protokół zeznania, już przez Jerwoja podpisany.

„... W ową niedzielę pojechał Aleksander Siemionowicz Weissberg ze swą żoną i kilku zagranicznymi przyjaciółmi samochodem na spacer. Prowadził wóz. Jechaliśmy szosą do Biełgorodu. W pewnym miejscu kazał Weissberg zatrzymać wóz. Towarzystwo wysiadło i udało się do pobliskiego lasu, rzekomo by szukać kwiatów, w rzeczywistości wzięli ze sobą aparaty fotograficzne i fotografowali pobliskie lotnisko podziemne”.

Skoczyłem na równe nogi:

— Grisza, czyś ty stracił rozum! Czyś ty oszalał? Kto ci podsunął takie myśli?!

Sędzia śledczy wtrącił się stentorowym głosem:

— Oskarżony, macie natychmiast usiąść i trzymać język za zębami! Nie macie prawa wplęwać na świadka! Nie wolno wam

zamienić ze świadkiem ani słowa. Jeśli macie zapytania, możecie kierować je tylko do mnie, a ja rozstrzygnę, czy świadek ma na nie dać odpowiedź! Nie pozwolimy na to, abyście tutaj uprawiali nadal waszą działalność kontrrewolucyjną i terroryzowali świadka, który chce tę robotę zdemaskować.

— Po prostu nie mogę wytrzymać, gdy słucham bezczelnych kłamstw Jerowoja.

— Oskarżony Weissberg, ostrzegam was przed obrażaniem świadka. Stoi on tak samo pod ochroną prawa jak sędzia śledczy. Regulamin więzienny ustanawia najcięższe sankcje za takie postępowanie.

— Chyba jeszcze mogę się bronić!

— Możecie się bronić, ale nie macie prawa naruszać regulaminu śledztwa. Czy potwierdzacie zeznania świadka Jerowoja?

— Nie, nie potwierdzam.

— Czy macie coś do dodania do zeznań?

— Nie mam nic do dodania, natomiast muszę zakwestionować całość zeznania. Proszę o pozwolenie na dokładne przedstawienie owej wycieczki.

— Mówcie.

— Pojechaliśmy owego niedzielnego popołudnia na spacer z kilku przyjaciółmi, zagranicznymi fizykami. Kazaliśmy zatrzymać wóz. Sam pozostałem przy wozie. Kobiety szły łąkami, zrywały kwiaty i zbliżyły się do lasu. Wtedy ukazał się posterunek i zwrócił im uwagę, że wstęp do lasu jest wzbroniony. Po czym wróciliśmy do samochodu. Wsiadliśmy i odjechaliśmy. To było wszystko.

— Czy mieliście z sobą aparat fotograficzny?

— Nie miałem. Czy któryś z moich przyjaciół miał, nie wiem.

— Czy zaprzeczacie, że fotografowaliście obiekty o znaczeniu wojskowym?

— Zaprzeczam, jakobym w ogóle fotografował, a o tym, że tam było ukryte lotnisko, dowiedziałem się dziś po raz pierwszy z zeznania Jerowoja. Jeśli zaś on jest tak dokładnie poinformowany, to proszę sędziego śledczego, by zbadał to szczególne zainteresowanie świadka Jerowoja dla obiektów wojskowych.

Polewecki zerwał się i czerwony jak burak krzyczał:

— Na co sobie właściwie pozwalacie. Czy wy jesteście tutaj sędzią śledczym, czy ja. Chcecie nam ustanawiać przepisy, jak mamy prowadzić naszą pracę?! Nie rozumiecie zupełnie waszego położenia. Jutro się przekonacie, że gra wasza jest skończona!

Nie dałem się zastraszyć i usiłowałem pytaniami krzyżowymi uwikłać świadka w sprzeczności. Gdy Polewecki to zauważył, za-

broniał wręcz tych pytań. Zaprotestowałem przeciw temu i zażądałem w interesie dojścia do prawdy, by pozwolono mi zwracać się bezpośrednio do Jerowoja. Byłem przekonany, że Grisza nie wytrwa i cofnie swe uprzednio złożone i podpisane zeznania. Polewecki nie dopuścił do żadnego pytania pod adresem świadka. Potem zamknął protokół i dał go nam obu do podpisania. Jerewoj potwierdził jeszcze raz swe zeznania. Ja je zakwestionowałem. Konfrontacja skończyła się.

Następnego dnia zastałem u sędziego śledczego Komarowa. Jego wygląd poruszył mnie do żywego. Usiłowałem zajrzeć mu w oczy. Uchylił się i patrzył w ziemię. Twarz miał zmartwioną.

— Czy znacie tego człowieka? Jak się nazywa?

— To Piotr Frołowicz Komarow.

— Czy znacie oskarżonego? — zwrócił się do Komarowa. — Jak się nazywa?

— To Aleksander Siemionowicz Weissberg — odpowiedział Komarow.

— Czy mieliście jakieś osobiste nieporozumienia z Komarowem?

— Wręcz przeciwnie, byliśmy w przyjaźni.

Komarow wmieszał się do rozmowy.

— Nie byliśmy nigdy w przyjaźni. Tyle tylko, że nam się dobrze razem pracowało.

— Nie wiem, jak ty to nazywasz, Pietia. Miałem dla ciebie uczucia przyjaźni i dawałem im często wyraz. Swego czasu sądziłem, że je odwzajemniasz, ale mogłem się mylić.

— Oskarżony Weissberg, nie prowadźcie tu żadnych prywatnych rozmów — przerwał nam Polewecki. — Będziecie mogli później zadawać pytania świadkowi, ale tylko przeze mnie.

Zwrócił się do Komarowa:

— Świadek Komarow, czy potwierdzacie podpisane tu przez was zeznanie?

— Potwierdzam.

— W takim razie odczytam je oskarżonemu.

„... Owego dnia zaczął Weissberg ze mną rozmowę na temat zamordowania towarzysza Kirowa przez kontrrewolucyjną organizację trockistowską Nikołajewa. Weissberg powiedział mi, że nie wierzy w całą tę sprawę. Trockiści są marksistami i dlatego — jak wszyscy rewolucyjni marksiści — są przeciwnikami terroru indywidualnego. Jest wykluczone, by prawdziwy trockista chwycił za broń dla popelnienia aktu terroru”...

Oślupiałem. Komarow przekreślił całkowicie legalną, w rozumieniu sowieckim, rozmowę w taki sposób, że sędzia śledczy, o ile wierzył w to wszystko, musiał mnie uważać za potajemnego

agitatora trockistowskiego. Nie wiedziałem po prostu, jak mam reagować. Komarow często prowadził ze mną rozmowy, co prawda utrzymane w tonie bardzo ostrożnym, jednakże nie przekraczające granicy legalności. Czy miałem mu o tym przypomnieć? Co się z Pietią stało? Jak mogli go zmusić do zniekształcania naszych rozmów?

Sędzia śledczy przerwał me myśli:

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy potwierdzacie, że prowadziliście ze świadkiem Komarowem rozmowy treści kontrrewolucyjnej?

— Nie, nie potwierdzam.

— Czy macie jakieś pytanie do świadka Komarowa?

— Tak jest.

— Mówcie.

Wedle wskazówki sędziego śledczego, nie wolno mi było zwracać się bezpośrednio do Komarowa, uczyniłem to jednak, a Polewecki mi nie przeszkadzał.

— Pietia, nie masz powodu do zatajania naszych rozmów, ale dlaczego je zniekształcasz? Odtwórz słowo po słowie, co mówiłem, ale nie przekraczaj mych słów. — Komarow milczał.

— Czy mówiłem kiedykolwiek, że nie wierzę w zamach, albo, że nie wierzę, by go zorganizowali trockiści?

— Powiedziałeś, że trockiści są marksistami i dlatego nie są terrorystami.

— Pietia, nie mówisz prawdy. Nigdy nie użyłem tych słów.

— Świadek Komarow, czy możecie sobie przypomnieć poszczególne słowa, których użył Weissberg? — wtrącił się Polewecki.

Komarow powiedział:

— Nie potrafię sobie przypomnieć każdego słowa, ale jestem dostatecznie wyszkolony, aby rozumieć polityczny sens zdania. Weissberg chciał dać wyraz swej wątpliwości, swej niewierze w proces Nikołajewa.

— Obywatelu sędzio śledczy, nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

— Co więc, waszym zdaniem, powiedzieliście? — zapytał Polewecki. — Jaka była treść waszych kontrrewolucyjnych rozmów ze świadkiem Komarowem?

— Mam bardzo dobrą pamięć. Przeprowadziłem z Komarowem na ten temat dwie rozmowy, ale żadna z nich nie zawierała ani śladu kontrrewolucji. Po raz pierwszy rozmawialiśmy w tydzień po zamordowaniu Kirowa. Byliśmy w samochodzie i jechaliśmy na plac budowy. Gdy przejeżdżaliśmy obok więzienia Chołodnej Gory, Komarow skierował rozmowę na zamach.

W prasie pojawiło się wówczas oficjalne oświadczenie, że mordercami byli białogwardziści. Powiedziałem: „Sprawa niezrozumiała. Nie pojmuję zupełnie, że w rozpadających się szeregach białogwardzistów znajdują się jeszcze ludzie, ryzykujący życie. Mogę pojąć rewolucyjny terroryzm pierwszych narodników, nihilistów i socjalrewolucjonistów, walczyli oni zamachami przeciw carskiemu samodzierżawiu. Uważali się za przedstawicieli dźwigającej się w górę klasy, wierzyli w zwycięstwo swej sprawy. Ale czy białogwardziści, ostatnie pobite resztki zgasłego świata, mogą jeszcze wierzyć w zmartwychwstanie? Jakże więc może znaleźć się między nimi człowiek, poświęcający się dla straconej sprawy?!” Komarow powiedział mi na to. „Widocznie także i między nimi są idealisci, wierzący w zwycięstwo swych idei”.

— Czy świadek to powiedział? — zapytał ostro Polewecki.

— Nie, nie powiedziałem tego — odpowiedział Komarow.

Teraz Pietia spojrzał na mnie. Spojrzeniem nieopisanej rozpacz. Wyczułem jego strach, mogłem wszakże opowiedzieć dużo więcej, co mogłoby go skompromitować. Namyślałem się przez chwilę. Czy mam go oszczędzać? Na pewno tylko pod przymusem złożył obciążające mnie zeznania, ale dlaczego się załamał? Może mu GPU groziło aresztowaniem. Cały Instytut wiedział, że jesteśmy ze sobą w przyjaźni. Po moim ustąpieniu ze stanowiska kierownika budowy został formalnie moim przełożonym. Był więc także za mnie odpowiedzialny. Już to było cudem, że go nie aresztowano natychmiast po mnie. Może wolność była ceną jego zeznań. Ale nic by mi nie przyszło z obciążania go. Postanowiłem go oszczędzać.

— Nie mogę ręczyć za każde słowo, gdyż od rozmowy upłynęło już z górą dwa lata. Natomiast pamiętam każde słowo z innej rozmowy, na której opiera się tu Komarow, albowiem odbyła się ona dopiero po procesie Zinowiewa, a więc zaledwie przed sześciu miesiącami.

— Oskarżony, odtwórzcie dokładnie jej treść.

— Powiedziałem: „Nie do wiary jak nisko upadli ci trockiści. Byli oni przecież dawniej marksistami, jako marksiści zwalczali terror indywidualny, a teraz sami organizują zamachy na kierownictwo partii i rządu. Co za upadek!” Moje słowa były zatem potępieniem terrorystów, a nie krytyką procesu.

— Czy świadek Komarow potwierdza, co podpisał?

— Potwierdzam.

— Ależ Pietia, jak możesz! Przecież wiesz, że to nieprawda! Nie wytrzymał mego wzroku i patrzył w okno.

— Oskarżony Weissberg wasze usiłowania wpływania na

świadka nic wam nie pomogą. Mamy jeszcze dużo więcej materiału na temat waszej agitacji kontrrewolucyjnej.

— Mówże, Pietia. Przypomnij sobie, co naprawdę powiedziałem. Przecież to było tak niedawno!

Usiłowałem zrekonstruować wszystkie szczegóły rozmowy i okoliczności, w których się odbyła. Moje własne słowa przytoczyłem co do joty. Odpowiedzi Komarowa pomiąłem. Jeśli bowiem rozmowa nie miała nawet jawnie kontrrewolucyjnej treści, to jednak niektóre sformułowania były takie, że partyjny w rodzaju Komarowa nie powinien był ich użyć. Usiłowałem wstrząsnąć Komarowem, jednak albo nie chciał, albo nie mógł się wycofać.

— Weissberg powiedział to, co podpisałem. Sens jego słów był dla mnie całkowicie jasny.

— Dosyć — Polewecki zakończył rozmowę. — Obywatelu Komarow, podpiszcie tu ten protokół.

— Pietia, podpisujesz swój własny wyrok. Idziesz z otwartymi oczyma w nieszczęście — zawołałem jeszcze.

— Milczcie, Weissberg. Przesłuchanie jest skończone.

Podpisałem i zostałem wyprowadzony. W dwa miesiące po tym przesłuchaniu aresztowano Komarowa. Sędzia śledczy miał z nim bardzo łatwe zadanie. Z własnej woli, a więc nie pod naciskiem aresztu śledczego, zeznał, że bez protestu słuchał kontrrewolucyjnych wypowiedzi trockisty Weissberga. Nie przekazał ich do NKWD. Wystarczyło to do aresztowania i skazania. Lecz oskarżenie przeciw niemu nie ograniczało się do tego występku.

Powróciwszy do celi myślałem o Komarowie. Komarow był niewątpliwie mądry. Choć proletariackiego pochodzenia, postępował raczej jak student z rewolucyjnych kółek narodników. Miał za sobą oficjalną karierę partyjną. Początkowo praca w kopalni w Zagłębiu Donieckim, wstąpienie do Komsomołu, komandirówka na uniwersytet robotniczy a potem na wyższe studia, wstąpienie do partii, wreszcie komandirówka do instytutu naukowego i nominacja na kierownicze stanowisko. Miał na tyle doświadczenia politycznego, by móc się orientować, a jednak zawiódł tak haniebnie. Mogłem pojąć i nie brałem mu tego za złe, że pod pierwszym wrażeniem mego aresztowania chciał się ode mnie odsunąć i że podobnie jak inni zajmował stanowisko przeciwko mnie na zebraniach komórki partyjnej i na zebraniach załogi Instytutu. Człowiek aresztowany przez NKWD był dla ogółu sowieckiego kontrrewolucjonistą, wrogiem ludu. W moim wypadku był ponadto agentem zagranicznym. Wszyscy musieli powstać z miejsc i rzucić w niego kamieniem; w pierwszym rządzie żądano tego od jego

bliskich przyjaciół. Komarow uczynił to na pewno tak samo jak inni. Ale nie mogłem pojąć, dlaczego ten doświadczony komunista podpisał protokół, zniekształcający moją wypowiedź tak, że nabrała niedwuznacznie wrogiego dla partii znaczenia. Wypowiedź ta miała miejsce na sześć miesięcy przed moim aresztowaniem. Była ona całkowicie niewinna. Komarow ją przekreślił. Uczynił zadość żądaniom GPU, które potrzebowało materiału przeciwko mnie. Ale tym samym dał materiał przeciwko sobie. Jeśli wypowiedź moja miała takie brzmienie, jakie jej teraz nadawał Komarow, to było jego obowiązkiem natychmiast złożyć doniesienie do NKWD. Nie uczynił tego. Pozostał nadal moim oddanym przyjacielem, stawał zawsze po mojej stronie, pocieszał mnie po aresztowaniu mej żony. Nie mógł więc być wtedy denuncjantem. Co więc stało się z nim teraz? Dlaczego zniekształca prawdę i obciąża mnie, a tym samym siebie? Może GPU urządziło mu takie same jak mnie przesłuchania i zaofiarowało mu kompromis. „Potrzebujemy tego przeciw Weissbergowi, podpisz i idź do domu, albo zostaniesz tutaj”. Komarow podpisał i chwilowo zapewnił sobie wolność; ale na jak długo? GPU zawarło kompromis, ale na pewno złamie go wkrótce. Komarow był zgubiony.

Myślałem dalej. Jaki materiał mieli przeciwko mnie? Konfrontacja z Gerfem nie dała niczego. Zachował się on nadzwyczaj przyzwoicie. Właściwie nie spodziewałem się tego. Był zawsze tak bezgranicznie ostrożnym i wiernym partii biurokratą. Mój kierowca Grisza po prostu zmyślił dziką bujdę. Ale jaki sędzia uwierzy w coś takiego? Na pewno nie było w tym lesie żadnego tajnego lotniska. Możliwe, że las był zamknięty, gdyż Armia Czerwona odbywała tam ćwiczenia strzeleckie. W każdym razie żaden normalny sąd nie może przyjąć za dowód uprawiania szpiegostwa faktu, że dwie kobiety zamierzały tam pójść i że ostrzeżone przez żołnierza zawróciły. Ale czy postępowanie sądowe u nas jest normalne?

Przejdźmy do wywodów Komarowa. Weźmy jego wersję: miałem powiedzieć, że trockiści są marksistami i dlatego nie mogą być terrorystami. Czy taka wypowiedź w ustach cudzoziemca jest agitacją kontrrewolucyjną? Konstytucja Związku Sowieckiego gwarantuje wolność myśli, słowa, prasy, zgromadzeń. Jeśli już taka wypowiedź ma pociągać za sobą proces o zdradę główną, to gdzie są konstytucyjnie zagwarantowane podstawowe prawa obywateli? Wiedziałem zawsze co prawda, że konstytucja kłamie, że faktyczna dyktatura nie przyznaje obywatelom sowieckim żadnych praw obywatelskich. Dla sądu Związku Sowieckiego byłem jednak cudzoziemcem. Fakt, że byłem członkiem partii, nie miał

pod względem prawnym znaczenia. W jawnym procesie muszą jednak przestrzegać podstawowych reguł międzynarodowej jurysprudencji. Skazanie cudzoziemca za to, że oceniał trockistów inaczej niż oficjalna prasa, było niemożliwe. Można było takiego cudzoziemca wykluczyć z partii, można go było deportować z kraju, nie można go było jednak skazać za zdradę główną.

Ponadto nigdy z moich ust nie padły słowa, przypisywane mi przez Komarowa. Forma mojej wypowiedzi była nawet wedle praktyki partii rosyjskiej zupełnie zgodna z linią. Lecz jaki był tajemny sens tej wypowiedzi?

Ten tajny sens zdekonspirował Komarow, a raczej GPU przez Komarowa. W rzeczywistości nie wierzyłem ani jednemu słowu z tego, co rozgrywało się w wielkich procesach. Wiedziałem, że było to bezwstydną fałszerstwo wymiaru sprawiedliwości; sens mej rozmowy z Komarowem polegał dla mnie na zaczerpnięciu tchu i wymienieniu z pokrewną duszą kilku słów, których rzeczywiste, prawdziwe znaczenie musiał rozumieć i on i ja, niczego nie ryzykując. Posługiwaliśmy się mową tajemną, jak to wówczas we wszystkich mieszkaniach w Związku Sowieckim czynili przyjaciele między sobą, mężowie z żonami, rodzice z dziećmi. Kraj nie mógł po prostu strawić, że cała stara gwardia rewolucji, bohaterowie wielkiego października i wojny domowej, rzekomo nie byli niczym innym jak bandą sprzedajnych agentów, sabotażystów, dywersantów i szpiegów. Trzeba było jakoś zaczerpnąć tchu. Jawne słowo mogło kosztować wolność i życie. Dlatego dobierało zdania, mające ukryte znaczenie, które jednak pomagały wyrazić to, co się miało na myśli. Gdyby GPU przez Komarowa i przez presję śledztwa zmusiło mnie teraz do przyznania się, co miałem rzeczywiście na myśli, to wynik niezbyt odbiegałby od złożonego do protokołu zeznania Komarowa.

Gdybym miał do czynienia z postępowaniem śledczym i z sądem, mającym jeszcze iskrę respektu dla własnych zasadniczych ustaw kraju i okazującym jeszcze trochę szacunku dla wolności myśli i słowa, to rzeczą najwłaściwszą byłoby powiedzieć swobodnie:

— Nigdy wprawdzie nie powiedziałem tego, co mi przypisuje Komarow, ale zawsze miałem to na myśli. Jestem przekonany, że ogromna większość narodu rosyjskiego nie wierzy ani jednemu słowu z tego, co piszecie w waszych gazetach! Trockiści, bucharinowcy, zinowiewowcy, to dla nas prądy opozycyjne w łonie rewolucyjnego ruchu robotniczego, a nie grupy, załatwiającej brudne interesy faszystwu niemieckiego i japońskiego. Murawow to dla mnie bohater wojny domowej i rewolucji październikowej, a nie żaden agent Gestapo. Piatakow to dla mnie genialny orga-

nizator uprzemysłowienia kraju, a nie żaden tchórzliwy morderca, nakazujący zepsucie wentylacji w kemerowskiej kopalni, aby kilku nieszczęśliwych robotników zginęło. Trocki to dla mnie twórcą Armii Czerwonej i przywódca powstania petrogradzkiego, a nie żaden zdrajca, umawiający się z zastępcą Hitlera, Rudolfem Hessem, o wydanie Ukrainy hitlerowcom i obwodów amurskiego żołnierzom mikada. Ludzie ci być może mieli odmienne poglądy, ale cały naród wie, że byli rewolucjonistami. Jest rzeczą niemożliwą, by w partii rewolucyjnej, wokół której we wszystkich krajach świata gromadzą się miliony robotników i inteligencji, wszyscy z góry myśleli tak samo. Ta jednolita linia, ten wspólny pogląd musi być wywalczony w gwałtownych dyskusjach zwalczających się grup. Kto narzuca ją z góry, ten przeobraża partię albo w aparat wojskowy, albo w oligarchię despotyczną. Ten paraliżuje twórcze siły rewolucyjnej demokracji, ten stwarza dobór negatywny, w którym do kierownictwa gospodarki i życia duchowego kraju dochodzą najgorsi, pochlebcy i lizusy, brutalni karierowicze bez sumienia. Ten stwarza warstwę uprzywilejowanych pasożytów, żyjących z wyzysku pracujących.

Tak musiałby mówić rewolucjonista. Jednakże w państwie GPU człowiek o takich zamierzeniach nigdy nie stanąłby przed kratkami jawnego sądu. Nigdy. Człowiek taki musiałby pokazać swe oblicze już w śledztwie wstępnym. Gdyby je ukrył i czekał na jawną rozprawę, musiałby przed tym zdyskredytować się beznadziejnie przez podpisanie protokołów śledztwa, w których przyjął inną linię. Sędzia mógłby wtedy pozbawić jego zeznanie wszelkiej wartości przez zwyczajną konfrontację z podpisanymi protokołami. Natomiast bohater, który by stawiał NKWD czoło już w śledztwie, zostałby sprzątnięty tajnym wyrokiem śmierci, a jego ofiarna śmierć nawet nie nabrałaby znaczenia demonstracji.

Carat dawał rewolucjonistom szansę zamieniania sali sądowej na trybunę ludową i podnoszenia oskarżenia przeciw uciskowi. Dyktatura stalinowska zamyka bojownikowi wolności wszelką drogę do mas ludowych.

Poza tym jednak — nie jestem bojownikiem wolności w Związku Sowieckim. Straciłem wiarę, że można system dyktatury stalinowskiej zmienić od wewnątrz. „Aparaty nie rozpadają się same, gdy znika historyczna konieczność ich istnienia, aparaty trzeba rozwalać”, powiedział mi przed kilku laty dwudziestoletni Kola R. w rozmowie na placu Czerwonym w obliczu groźnych wież Kremla. Wówczas wierzyłem jeszcze w ewolucję dyktatury, w powrót wolności. Młody Kola był mądrzejszy.

Nie, nie tędy droga. Moja linia była wyraźna. Przed sądem nie stały moje myśli. Nie musiałem z nich składać rachunku.

Miałem odpowiadać za me słowa i czyny, a te nigdy nie wyszły poza linię sowieckiej legalności.

Gdyby GPU miało jakąś nadprzyrodzoną możliwość tropienia myśli ludzi tego kraju, nikt nie byłby bezpieczny przed aresztowaniem. Ale wtedy gepeciści pierwsi musieliby iść do więzienia; albowiem nikt nie wiedział tak dokładnie jak oni, co się dzieje w kraju.

Moja droga była wyraźna. Dopóki mi sił starczy będę walczył o każdą literę w protokole. Moje zeznanie nie będzie przeczyło żadnemu słowu, które rzeczywiście padło. Moje myśli nie obchodzą sędziego śledczego. Dyktator zmusza nas do dwulicowości. Jeśli z ludzi tego kraju, miłujących wolność i prawdę tak samo jak ludzie innych narodów i innych krajów, czyni on bandę obłudników, to nie powinien żądać, abyśmy w więzieniach GPU odślaniali nasze prawdziwe poglądy.

Nie powiedziałem niczego, co mogłoby być przedmiotem oskarżenia o zdradę główną i nie uczyniłem niczego, za co sędzia mógłby wydać wyrok skazujący. Oskarżenia podnoszone przeciw mnie były śmieszne i same się załamywały. Trzeba przetrzymać, a będą mnie musieli zwolnić.

Ta decyzja przyniosła mi spokój. W ciągu następnych dni nie było przesłuchań. Zajmowałem się książkami i obliczeniami statystycznymi. Czułem się niemal dobrze.

Po kilku dniach Polewecki wezwał mnie znowu. Zaczął przesłuchanie na temat konfliktu w Instytucie. NKWD zarzucało mi, że zorganizowałem wszystkich czołowych pracowników naukowych i z grupą tą sabotowałem prace Instytutu, leżące w interesie obrony kraju. Był to zarzut bardzo ciężki. Walka przeciw obronności kraju była zdradą kraju. Ustosunkuję się później do całej tej sprawy. Mój późniejszy sędzia śledczy, porucznik Reznikow, początkowo traktował ten punkt bardzo szczegółowo, zanim zdecydował się przypisać mi znacznie straszliwsze zbrodnie. Polewecki postanowił jednak wydobyć ze mnie za wszelką cenę przyznanie się do winy w konflikcie w Instytucie. Zaczął się pienieć. W przeciwieństwie do swej zwykłej, bardzo formalnej i biurokratycznej metody, krzyczał i obrzucał mnie niemożliwymi do powtórzenia wyzwiskami. To także nic nie pomogło. Nie zmieniałem swojej postawy. Wtedy postanowił zaszczyć mnie na śmierć. Budził mnie po nocach, przesłuchiwał mnie przez godzinę, kazał mnie potem wyprowadzać i po dziesięciu minutach przyprowadzać na nowo. Powtarzał to sześć do ośmiu razy w ciągu jednej nocy. Ponieważ jednak sam nie był zmieniany, procedura

ta męczyła go tak samo jak mnie. Wreszcie zdecydował się sam spisać protokół, rojący się od fałszerstw. Trudno mi było szybko odczytać obszerny i ręcznie pisany protokół w języku, który wszakże był mi obcy. Nalegał na mój podpis i nie chciał mi dać czasu na ocenę znaczenia poszczególnych fałszerstw. Zaprotestowałem.

— Obywatelu sędzio śledczy, nie macie prawa zmuszać mnie do podpisania protokołu, zanim go starannie nie przestudiuję.

— Ty szmato! Ty psie faszystowski! Ty sukinsynie! Ty kurwo! Ty będziesz mi dyktował, do czego mam a do czego nie mam prawa!

— Obywatelu sędzio śledczy, proszę oficjalnie, byście mi powiedzieli, kto sprawuje nadzór zwierzchni nad śledztwem?

— Co cię to obchodzi, ty psie?

— Obywatelu sędzio śledczy, gdy jeszcze byłem na wolności i interweniowałem w sprawie mej żony, dowiedziałem się, że oskarżeni mają prawo zwracać się do prokuratora o wzięcie ich w obronę. Czy istnieje takie postanowienie?

— Naturalnie istnieje. Ale prokurator jest także sowieckim człowiekiem i ma coś lepszego do roboty, niż bronić kontrrewolucjonistów!

— Musicie najpierw udowodnić, że jestem kontrrewolucjonistą. Proszę mi powiedzieć, obywatelu sędzio śledczy, jak mogę zwrócić się do prokuratora?

— Czego chcecie od prokuratora?!

— Chcę złożyć zażalenie, że zeznania moje nie są oddawane w protokole dosłownie i że bezprawnymi środkami jestem zmuszany do podpisywania takich protokołów.

— Możecie pisać do prokuratora, ale listy idą tylko przeze mnie.

— Nie mam w celi ani papieru ani atramentu.

— Każę was wezwać jutro przed południem i będziecie mogli napisać do prokuratora. Ale teraz jesteśmy przy przesłuchaniu.

Chciał w ciągu tej trzeciej nocy doprowadzić za wszelką cenę do tego, abym podpisał protokół, sfalszowany w setkach drobniaków. Miałem za sobą już dwie bezsenne noce i byłem śmiertelnie zmęczony. On widocznie spał za dnia, gdyż wydawał się wypoczęty. Mnie strażnik nie pozwalał w owych dniach spać, a nawet kłaść się na łóżku. Co pięć minut zaglądał przez judasza i kazał mi wstawać, ilekroć groziło, że zasną na siedząco.

Kiedy odmówiłem podpisania sfalszowanego protokołu, zabawa zaczęła się na nowo. Co dwie godziny przesłuchanie przerywano, by je po dziesięciu minutach podjąć na nowo. O dziesiątej rano następnego dnia byłem nerwowo wykończony. Uległem.

Nie zachodziły tu jakieś jaskrawe fałszerstwa, a tylko drobne zniekształcenia prawdy, nadające całej sprawie cechy podejrzanę. Zdecydowałem się podpisać.

— Obywatelu sędzio śledczy, podpiszę ten protokół pod warunkiem, że mi dacie papier i atrament i że skierujecie moje podanie do prokuratora.

— Nie macie prawa stawiania tutaj warunków, ale jak każdy inny oskarżony macie prawo pisania do prokuratora.

Podpisałem protokół, on wręczył mi papier i atrament. W podaniu do prokuratora Charkowskiego Okręgu Wojskowego protestowałem przeciwko metodzie śledztwa, zmuszania mnie przez wyczerpanie fizyczne do podpisywania zniekształconych zeznań. Prosiłem prokuratora o posłuchanie, abym mógł mu zreferować swą sprawę.

Polewecki kazał mnie wyprowadzić. Śledztwo zostało przerwane aż do ostatniego tygodnia kwietnia.

W ostatnim tygodniu kwietnia przyjął mnie sędzia śledczy niezwykle łagodnie. Znikł wszelki ślad agresywności. Pytał mnie o różnych ludzi i fakty i wciągał moje zeznania do protokołu dosłownie. Nie wiedziałem na pewno, czy zmienioną postawę należy przypisać interwencji prokuratora, w każdym jednak razie odżyłem co się zowie. Nastrój między nami polepszał się z dnia na dzień. Pewnego dnia zawiadomił mnie, że już wkrótce zamknie śledztwo. Zapytałem go:

— Obywatelu Polewecki, jak sądzicie, co ze mną będzie?

— To zależy od prokuratora. Być może, będziemy was deportowali.

Powiedziałem mu:

— W każdym wypadku, jestem człowiekiem zgubionym.

— Ależ dlaczego? Jesteście inżynierem i macie zawód, z którym wszędzie dostaniecie pracę.

— Ależ obywatelu Polewecki, zastanówcie się przecież, jestem partyjny. Wracam do domu wykluczony z partii, deportowany z kraju przez władze sowieckie i odsądzony od czci. Kto będzie ze mną mówił? Jak będę wyglądał? Życie poza ruchem robotniczym było dla mnie zawsze pozbawione sensu. Partia nigdy nie przyjmie mnie w swe szeregi z powrotem, jeśli będziecie mnie deportowali jako element antysowiecki. W dotychczasowym moim życiu, podobnie jak moi przyjaciele, nieustannie czekałem na rewolucję w Europie. Wykluczony i wyklęty, z jakimi uczuciami mam jej teraz oczekiwać? Jestem człowiekiem zgubionym, nawet jeśli mnie wypuścicie na wolność.

— Nie będzie tak źle, Aleksandrze Siemionowiczu. Rewolucja nie zwycięża w ciągu jednego dnia, to będzie wymagało ciężkich walk. W wojnie domowej możecie wziąć karabin na ramię i pokazać w boju, że jesteście prawdziwym rewolucjonistą.

Teraz, gdy piszę te słowa, widzę retrospektywnie, że Polewecki był w owym momencie mocno zdecydowany zamknąć me śledztwo i postawić wniosek o zwolnienie mnie. Stało się potem całkiem inaczej, zaszły okoliczności niezależne od niego i ode mnie, które sprawiły, że jeszcze przez trzy lata siedziałem w więzieniu w najcięższych warunkach i nigdy nie odzyskałbym wolności, gdyby nie interwencja historii światowej.

Następne przesłuchania były bez znaczenia. Polewecki chciał wysłuchać mojej opinii o kolegach z Instytutu.

Zbliżaliśmy się do 1 maja. Gdy interweniowałem w Leningradzie w sprawie mej aresztowanej żony, dowiedziałem się, że kodeks karny przepisuje zakończenie śledztwa wstępnego najpóźniej w dwa miesiące po aresztowaniu. Termin ten może ulec przedłużeniu tylko za zgodą prokuratora. Mój termin ubiegał 1 maja i czułem, że Polewecki chce sprawę zakończyć. Byłem nastrojony optymistycznie. Polewecki przy ostatnim przesłuchaniu mówił ze mną w taki sposób, w jaki nie mógł mówić żaden czekista z więźniem, którego uważał za winnego. Wierzyłem w bliskie zwolnienie i już kłopotalem się tym, co będę robił za granicą. Byłem bowiem mocno przekonany, że będą mnie deportowali. W ostatnim tygodniu kwietnia przesłuchania się urwały. Pozwalano mi leżeć w celi także za dnia. Przeczytałem jeszcze kilka razy Stendhala i rozwiązywałem na ścianie problemy statystyczne. Myślałem o zagranicy. Czy odstawią mnie na granicę, czy też dadzą mi kilka dni czasu na załatwienie mych spraw w kraju? Czy mam wracać do Austrii, czy też do Finlandii i Szwecji, aby nawiązać łączność z moimi przyjaciółmi w Anglii? Gdzie będę pracował? Jak mam się ustosunkować do partii?

Nie wstawałem już z łóżka poza posiłkami i spacerami. Za dnia leżałem na łóżku, oddając się marzeniom lub lekturze; strażnik mi nie przeszkadzał.

Wieczorem przed 1 maja weszło dwóch uzbrojonych gepistów do mojej celi. Musiałem się rozebrać, przeszukali wszystko bardzo dokładnie i zabrali wszystkie książki i gazety. Zaprotesutowałem:

— Sędzia śledczy pozwolił mi na te książki.

— Otrzymacie te książki u sędziego śledczego z powrotem, gdy uzna to za właściwe.

1 maja spędziłem w wielkim niepokoju. Strażnik nie pozwalał mi leżeć. Nie miałem żadnych książek ani niczego, czym mógłbym pisać na ścianie. Godziny wlokły się bez końca. Nie umiałem wyjaśnić tego zaostrenia reżymu.

Dni następne nie przyniosły odpowiedzi. Poprosiłem o papier i raz jeszcze napisałem do prokuratora. Prosiłem go o zbadanie mej sprawy. Następnego dnia zostałem wezwany na przesłuchanie. Obok Poleweckiego siedział mężczyzna w mundurze. Szara bluza munduru nie zdradzała, czy był to enkawudysta czy też wojskowy. Sądziłem, że to prokurator. Był mniej niż średniego wzrostu, krępy, okrągła, zupełnie łysa czaszka mongolska osadzona była niemal bezpośrednio na jego silnych barkach. Barwę skóry miał zdrową, lekko zaróżowioną. Wyglądał jak człowiek, czujący się cieleśnie i duchowo bardzo dobrze, obdarzony zmysłem humoru i cieszący się z tego, że wszystkie jego organy dobrze funkcjonują. Polewecki zwrócił się do mnie:

— Aleksandrze Siemionowiczu, poczynając od dzisiaj zajmować się wami będzie towarzysz Reznikow. Daliście mi rady. Ja już nie mogę.

— Czyż więc śledztwo nie jest zamknięte? — zapytałem Poleweckiego.

— Dopiero teraz zacznie się naprawdę, Aleksandrze Siemionowiczu — wmieszał się nowy do naszej rozmowy. — Obejmuję teraz waszą sprawę i mogę was zapewnić, że nigdy jeszcze nie brałem się do czegoś, czego bym nie doprowadził do końca. Będziecie mówili, Aleksandrze Siemionowiczu, możecie za to rękę włożyć w ogień. Jestem mocnym człowiekiem, wypuszczę z was bebechy, ale będziecie mówili. Jutro zaczynamy.

Zwróciłem się raz jeszcze do Poleweckiego:

— Obywatelu sędzio śledczy, o ile wiem śledztwo wedle kodeksu karnego musi być zamknięte w ciągu dwóch miesięcy, chyba że prokurator pozwoli na jego przedłużenie.

— Pozwolił, Aleksandrze Siemionowiczu, porucznik Reznikow będzie prowadził dalsze śledztwo.

— Czy mogę zobaczyć pozwolenie?

Polewecki chciał odpowiedzieć, ale do tego nie doszło. Nowy uderzył pięścią w stół tak, że szklanki zadzwięczały.

— Na co sobie pozwalacie. Czy jesteście tu w sanatorium? Będziecie czytali to, co wam damy do czytania.

— Myślę, że nawet jako oskarżony mam prawo do ochrony prawa. I wolno mi żądać przestrzegania praw, o ile chronią mnie one przed samowolą.

Polewecki odpowiedział:

— Po zamknięciu całości śledztwa znajdziecie w aktach

wszystkie dokumenty, odnoszące się do waszej sprawy, także i pozwolenie prokuratora na dalsze prowadzenie śledztwa.

Reznikow wstał z miejsca. Żyły na czole mu nabrzmiały, twarz stała się ciemnoczerwona. Widocznie nie odpowiadał mu pojednawczy ton Poleweckiego.

— Ty chcesz nas uczyć przestrzegania ustaw, ty sukinsynu, ty skurwysynu, ty sprzedajna kurwo?! Połamiemy ci kości. Jeszcze nie wiesz, z kim masz do czynienia. Wkrótce zmięknieś. Tak jest, gdy przyznasz się do winy i ujawnisz swoją organizację, wtedy damy ci wszystko do czytania i ja sam będę uważał, byś korzystał z opieki prawa. Ale przeciw takiemu rozbójnikowi jak ty, napadającemu z za węgła na władzę sowiecką i prowadzącemu dalszą walkę nawet tutaj, u nas, istnieje tylko siła. Poczujesz ją wkrótce. Jutro zaczynamy. Zobaczysz co to znaczy. Możesz się tą myślą cieszyć!

Zadzwonił, nie pytając Poleweckiego i kazał mnie wyprowadzić. Zaczął się nowy rozdział mego śledztwa.

O KAŻDĄ PIĘDŹ ZIEMI

W dwa dni później przed południem Reznikow kazał mnie wezwać. Siedział właśnie przy śniadaniu. Od dawna już nie miałem wałówki od Leny i byłem bardzo głodny.

— Siadajcie, Aleksandrze Siemionowiczu. Czy chcecie jeść?

Odmówiłem. Po obelgach z ostatniego przesłuchania była mi jego życzliwość niemiła. Lecz Reznikow był mądry. Odkrył natychmiast przyczynę mej odmowy i zwrócił się do mnie łagodnym tonem.

— Słuchajcie, Aleksandrze Siemionowiczu, muszę pełnić swój obowiązek. Prowadzicie przeciwko nam walkę, a ja reprezentuję tu interesy państwa. Jestem zobowiązany stosować wszystkie środki, aby was zmusić do kapitulacji. Nie jestem jednak potworem i przykro mi jeść samemu, gdy się głodny przygląda. Podzielmy się.

Podsunał mi dwa sandwicze, zadzwonił i zamówił dla mnie herbatę. Trwanie w odmowie byłoby zbyt pryncypialne. Herbata była dobra. Od dawna piłem tylko gorącą wodę.

Reznikow zapalił papierosa, wyciągnął się w krzesło i zaczął.

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie spisuję dziś protokołu, chcę z wami pomówić i spróbować nakłonić was do innej oceny waszego położenia. Musicie złożyć broń. Nie ma dla was innego wyjścia. Jesteśmy mocniejsi, musicie to zrozumieć. Chcemy was zmusić i zmusimy. Wynik tej walki jest dla nas jasny, mam nadzieję, że i dla was także. Wobec tego dlaczego kontynuujecie walkę? Rozporządzamy środkami przymusu, którym ludzie tacy jak wy nie potrafią się oprzeć. Siedzieli u nas nie tacy, o wiele mocniejsi, a jednak wszyscy się załamali. Czy chcecie sobie zrujnować zdrowie, nerwy, zamiast po prostu zrobić to czego od

was żądamy, wyznać szczerze wszystko i zacząć nowe życie? Przez krótki czas w więzieniu, a potem jako szanowany obywatel w służbie władzy sowieckiej.

— Obywatelu Reznikow, to co mówicie nie jest dla mnie nowe. Mój poprzedni sędzia śledczy i naczelnik oddziału mówili to samo. Gdybym uczynił cokolwiek przeciw władzy sowieckiej, przyznałbym się do tego od dawna. Tak jednak musiałbym zmyślić winę, a nie chcę kłamać przed władzą sowiecką. Właśnie jako sowiecki człowiek i jako dawny komunista uważam się za zobowiązanego do mówienia czystej prawdy i tylko prawdy. Nie sądzę, bym oddał usługę wam albo władzy sowieckiej, gdybym się przyznał do fikcyjnej winy.

— Nie chcemy fikcyj, chcemy prawdy. Chcemy, abyście narzeczcie przyznali się do przynależności do bucharinowskiej organizacji.

— Do bucharinowskiej organizacji? Coś takiego słyszę dzisiaj po raz pierwszy. Do tej pory zarzucano mi, że byłem ukrytym trockistą.

— Od tego czasu otrzymaliśmy dokładniejsze materiały o waszej opozycyjnej przeszłości. Oto są akty, sam przesłuchiwałem głównych świadków obciążających was. Wiemy, że byliście czołowym przedstawicielem Bucharina na terytorium Ukrainy.

— Ale na litość boską, skąd przyszło wam to na myśl?

— Nic nie przyszło na myśl, to jest fakt. Sam śledziłem organizację, na której czele staliście, aż do najdalszych jej odgałęzień. Wszyscy wasi kamraci są już za kratą.

— Obywatelu sędzio śledczy, sprawa staje się coraz bardziej fantastyczna. To co opowiadacie, przypomina bajkę.

— Te bajki, które snuliście wy i wam podobni, doprowadziły nasz kraj niemal na skraj przepaści. Lecz byliśmy czujni. Daliśmy sobie z wami radę.

— Obywatelu sędzio śledczy, mogę tylko powtórzyć, co powiedziałem już dziesięć razy podczas śledztwa. Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

Wstał i wziął akty do ręki:

— Gdy pomyślę o tym, co tu jest ustalone i o niewinnej minie, którą chcecie osłonić swe zbrodnie, chwytam mnie po prostu wściekłość. Aleksandrze Siemionowiczu, jak długo chcecie jeszcze uprawiać z nami swą grę?

— To beznadziejne, obywatelu sędzio śledczy. Jak długo byłem na wolności, oświadczano mi, że nie można mi okazać materiału obciążającego, dopóki nie zostanę aresztowany. Jestem aresztowany. Siedzę już dwa miesiące w areszcie śledczym. Mam za sobą trzy konfrontacje. Ale wciąż jeszcze nie przedłożono mi

ani jednego dowodu mej winy. Na litość boską, co ja zrobiłem? Pokażcie mi wasz materiał.

— Uczynię to, oskarżony. Ale chcę dać wam jeszcze jedną szansę. Jeśli przynacie się zanim przyciśniemy was do muru, zanim udowodnimy wam waszą winę pisemnymi zeznaniami i konfrontacjami z obciążającymi was świadkami — złagodzicie swój los. Macie tu papier i ołówek. Idźcie do celi i napiszcie do naczelnika charkowskiego GPU szczegółowe przyznanie się. Jeśli zrobicie to dzisiaj, jeśli będę miał je jutro w rękach, to będziecie mieli szansę nie tylko wyjścia na wolność ale i uzyskania o wiele wyższego stanowiska, niż moglibyście oczekiwać. Albowiem jesteście człowiekiem utalentowanym i możecie zostać wielkim człowiekiem w systemie sowieckim. Pod jednym jedynym warunkiem, że będziecie z nami rzetelnie współpracowali.

Chciałem jeszcze wtrącić: „Nie mam nic do powiedzenia i nic nie napiszę”. Ale nie doszedłem do słowa. Do pokoju wszedł żołnierz. Reznikow podał mu papier i ołówek dla mnie i kazał mnie odprowadzić. Następnego dnia zużytkowałem ten papier na napisanie obszernego podania do prokuratora wojskowego. Przedstawiłem swój rozwój rewolucyjny i usiłowałem wykazać, jak bezsensowne i nieuzasadnione były ataki przeciwko mnie. Wieczorem poszedłem do Reznikowa. Papiery miałem z sobą.

— Napisaście przyznanie się?

— Nie, napisałem protest do prokuratora przeciwko metodzie śledztwa.

Reznikow wyrwał mi papier z ręki. Przebiegł go szybko wzrokiem i podał. Błady z wściekłości krzyczał na mnie:

— Chyba nie siedzieliście jeszcze w karcerze. Czy myślicie, że musimy obchodzić się z wami w aksamitnych rękawiczkach tylko dlatego, że jesteście cudzoziemcem? Przeżyjecie gorzkie rozczarowanie. Załatwimy się z zagranicznymi szpiegami w krótkiej drodze. W naszym kraju obowiązują tylko nasze prawa.

— Zwróciłem się do prokuratora o dopilnowanie przestrzegania właśnie tych praw w mojej sprawie.

Reznikow chwycił leżący na stole rewolwer, przyskoczył do mnie jednym susem i wywijał kolbą przed moimi oczyma. Popłynął mu z ust potok obelg, których po prostu nie mogę powtórzyć. Rzucił się, jakby mnie chciał chwycić za gardło. W ostatniej chwili powstrzymał się.

— Oskarżony, twierdzicie zatem niewzruszenie, że jesteście niewinny i że nie byliście bucharinowcem?

— Tak jest, twierdzę.

— No to słuchajcie.

Otworzył akty i odczytywał. Było to zeznanie mego przyjaciela Rudolfa Andersa.

„... Poznałem Aleksandra Weissberga w Berlinie w środowisku Karola Franka, przywódcy niemieckiej opozycji prawicowej. W Związku Sowieckim Weissberg prowadził ze mną bardzo często rozmowy polityczne. Krytykował politykę rządu w sprawie kolektywizacji i w sprawie racjonowania artykułów pierwszej potrzeby. Występował za całkowitym zniesieniem racjonowania, a więc za przywróceniem wolnego rynku już w roku 1932. Z moich rozmów z nim odniosłem wrażenie, że jest zaprzysięgłym bucharinowcem. We wszystkich istotnych zagadnieniach politycznych podzielał antypartyjne i antysowieckie poglądy Nikołaja Iwanowicza Bucharina i usiłował także i mnie dla nich zjednać. We wszystkich tych zagadnieniach występował przeciwko polityce partii i rządu, jestem też przekonany, że kierował antypartyjną grupą bucharinowską w Ukraińskim Fizyczno-Technicznym Instytucie...”

— Oskarżony, czy wam to wystarczy? Czy też mam czytać dalej?

— Sam przeczytam. Nie mogę uwierzyć, by Anders napisał coś takiego.

Pokazał mi przelotnie protokół. Nosił on niewątpliwy podpis mego przyjaciela Andersa.

— Aleksandrze Siemionowiczu, daję wam raz jeszcze szansę. Pokazałem wam tylko małą próbkę naszych materiałów. Weźcie papier i ołówek, idźcie do celi i napiszcie teraz, co nam macie do powiedzenia.

Zeznanie mego przyjaciela Andersa zdruzgotało mnie do tego stopnia, że początkowo byłem niezdolny do reagowania. Mechanicznie wziętem papier i poszłem za żołnierzem.

Po przyjsciu do celi, usiadłem na łóżku i rozmyślałem. Opanował mnie wielki niepokój, nie mogłem się skupić. Siedziałem tak bez ruchu może przez godzinę. Otworzyła się kłapa i strażnik skinął na mnie. Po raz pierwszy powiedział do mnie coś więcej ponad obowiązkowe słowa:

— Czy wam niedobrze?

— Dlaczego pytacie?

— Przyglądałem się wam w ciągu ostatnich dwóch godzin wielokrotnie. Siedzicie wciąż w tej samej pozycji i nie ruszacie się. Może chcecie trochę bromu.

Jego życzliwość wzruszyła mnie. Zażyłem brom. Później dowiedziałem się, że Reznikow dał mu polecenie, by mnie specjalnie obserwował i złożył mu meldunek.

Po niespełna godzinie przyniesiono supę. Postawiłem ją na

stoliku, nie ruszyłem jej i rozmyślałem dalej. Co się tu właściwie dzieje? Jak się to skończy?

Dotychczasowe oskarżenia niezbyt wyprowadzały mnie z równowagi. Nigdy nie należałem do opozycji, w szczególności nigdy nie byłem trockistą. Wstąpiłem do partii na krótko przed zakończeniem konfliktu z Trockim. Przyszedłem z socjaldemokracji. Trockizm uchodził wówczas za ultralewicowe odchylenie w komunistycznym ruchu robotniczym. Odrzucałem je. Byłem przekonany, że w Europie środkowej i zachodniej socjalizm może zwyciężyć tylko pod warunkiem przezwyciężenia nieszczęsnego rozłamu w ruchu robotniczym. To wymagało zjednania socjaldemokracji dla rewolucyjnej linii politycznej oraz ścisłego sojuszu komunistycznych i socjalistycznych partii robotniczych Europy. Podziwiałem Trockiego jako wielkiego stylistę i rewolucjonistę z charakterem. Uważałem jednak linię trockistów za zbyt doktrynerską, by ją mogły zrozumieć masy socjaldemokratycznych robotników. Wewnętrzne problemy rewolucji rosyjskiej były nam wówczas na Zachodzie nieznane. Nie rozumieliśmy dokładnie, o co chodziło w walce Stalina z Trockim. Bez zastanowienia głosowaliśmy za rezolucją Komitetu Centralnego partii, aprobującą wykluczenie trockistów z Kominternu. Nie mieliśmy wyboru. Kto głosował przeciw rezolucji, zostawał z partii wykluczony. Dla komunisty wykluczenie z partii było najgorszą rzeczą w świecie. Gdy wstąpiłem do partii, zaczynała się właśnie walka Stalina z prawicowymi komunistami, pozostającymi pod przewodem Bucharina. Ale w Rosji była już wtedy wszelka opozycja w partii zdelegalizowana. Bucharin nie walczył już o swą politykę. Partia walczyła przeciw niemu. On sam milczał. O poglądach Bucharina dowiadywano się tylko z polemik oficjalnej prasy partyjnej, skierowanych przeciw niemu. Później, w okresie intensywnej kolektywizacji, kierownictwo partyjne zmusiło komunistów na wsi do polityki, która niszczyła fundamenty rolnictwa rosyjskiego. Miliony chłopów zginęły z głodu w latach 1931 do 1933. Komuniści na wsi, a co najmniej niektórzy z nich podnosili głos ostrzeżenia, ale każdego, kto wzdrażał się uprawiać samobójczą linię partyjną na wsi, wykluczano z partii jako prawicowego oportunistę to jest bucharinowca i najczęściej zsyłano na północ. W ciągu krótkiego czasu zmuszono towarzyszy na wsi do milczenia. Nie było już chleba. Chłopi leżeli bezsilni w swych chałupach, opuchli z głodu, niezdolni do pracy. Lecz kierownictwo partyjne posyłało z miasta komunistyczne oddziały rekwizycyjne, by konfiskować ostatni, zakopany gdzieś pud zboża. Komuniści z miasta szybko zrozumieli prawdziwe położenie wsi, lecz nie mieli już odwagi, by mówić prawdę. Powoli Komitet Centralny utracił wszelką kontrolę nad rozwojem wydarzeń. Stalin zsyłał każdego, kto usiłował powiedzieć mu prawdę — czy to chodziło o rzeczywiste położenie w Niemczech, w Chinach czy też na ukraińskiej wsi. Komuniści nauczyli się milczeć, a dyktator utracił wszelkie źródło prawdziwej informacji. Nie licząc się z niczym zdaniem, szedł nadal drogą do katastrofy. Dopiero, gdy katastrofa nastąpiła, zawrócił. Rezultatem jego polityki na wsi było 11 milionów trupów chłopskich. Rolnictwo straciło większość pogłowa bydłowego. Koni zostało zaledwie 17%, świń i owiec niespełna 10%*. Byłoby rogate

* Liczby te znano w najwyższych sferach partyjnych Moskwy. W czasie kryzysu utrzymywano je w tajemnicy. Dowiedziałem się o nich od pewnej czołowej osobistości Gosplanu. Aż do jesieni roku 1932 mówiono oficjalnie tylko o „świetnych zwycięstwach na froncie rolnym”. Dopiero w półtora roku później, na XVII zjeździe partyjnym w lutym 1934 roku, raczył Stalin

spadło do czwartej części swego poprzedniego stanu. Najlepsi gospodarze kraju, którzy protestowali przeciwko obłędowi, zostali zesłani w tundry jako kułacy, aczkolwiek w większości wypadków nie byli żadnymi kułakami, lecz biedniakami lub średniakami. Każdy w kraju wiedział co się stało. Każdy w tych latach głodował i każdy milczał. Początkowo rozmawiano jeszcze z bliskimi przyjaciółmi, później, gdy rozpoczęła się wielka czystka, wystrzegano się zamienienia jednego słowa o politycznym wydzwieku nawet z bratem lub z żoną.

Czy byliśmy wszyscy bucharinowcami, gdy braliśmy udział w tej polityce, protestując przeciwko niej tylko w głębi duszy? Bynajmniej. A jednak Nikołaj Iwanowicz Bucharin ostrzegał przed nią uprzednio. Bardzo rychło głos jego został stłumiony. Na późniejszych posiedzeniach Komitetu Centralnego stawiał on tak samo jak my wszyscy mądrość ukochanego wodza.

Jeśli nazwać rozsądną politykę na wsi polityką bucharinowską, to zawsze byłem w głębi duszy bucharinowcem, aczkolwiek naturalnie nigdy nie należałem do żadnej organizacji bucharinowskiej. Nigdy takiej nie było.

Partia niemiecka na bezpośredni rozkaz Stalina prowadziła od roku 1929 politykę, która doprowadziła do katastrofy niemieckiego ruchu robotniczego i do zwycięstwa faszyzmu. Politykę tę musiał później naród rosyjski i cała ludzkość opłacić drugą wojną światową. Rozsądni towarzysze z oburzeniem protestowali przeciwko tej polityce. Komintern określał tych kacerzy jako oportunistów prawicowych i bucharinowców. Jednakże opozycja prawicowa w partii niemieckiej i w pozostałych partiach Kominternu nie miała żadnego organizacyjnego lub ideowego powiązania z Bucharinem. Prawicowcy w partii niemieckiej podnosili głos ostrzeżenia przeciwko kursowi, który musiał doprowadzić do zwycięstwa faszyzmu. Nie wtrącali się do zagadnień rosyjskiej polityki na wsi. Partia niemiecka wykluczyła prawicowców i kontynuowała swą szaleńczą politykę. We wszystkich miastach niemieckich zwalczali się wzajemnie niemieccy komuniści i niemieccy socjaldemokraci, aż jedni i drudzy po zwycięstwie Hitlera wylądowali w obozach koncentracyjnych faszyzmu. Czy opozycjoniści prawicowi w partii niemieckiej byli bucharinowcami? Każdy rozumny człowiek, patrząc na fakty nie przez okulary scholastycznej dialektyki, musiał protestować przeciw polityce kierownictwa partyjnego. Sam nigdy nie protestowałem. Wycofałem się jednak zupełnie z życia politycznego. Wielu towarzyszy partyjnych wyczuwało instynktownie niebezpieczeństwo, które ścigała na nich polityka partii, milczeli jednak, by uniknąć wykluczenia z partii. W niemieckim Reichstagu wszelką możli-

częściowo przyznać straty w pogłowie bydłowym. Wymienił liczby następujące:

	1929	1933
	(w milionach sztuk)	
Koni	34	16
Owiec i kóz	147	50
Świń	20	12

Są to liczby fałszywe, ale nawet z nich wynika, że w tym krótkim czasie zginęło niemal 60% koni i 2/3 owiec.

O stratach w ludziach Stalin nie mówił. „Szybka Pomoc” zobowiązana była do liczenia wypadków śmierci. Jej statystykę znało małe grono. Dlatego latem 1932 roku aresztowano szefa tej organizacji na Ukrainie i zakazano dalszych obliczeń.

wość utworzenia demokratycznego rządu centrowego torpedowali od prawej strony — hitlerowcy, od lewej — komuniści. Wybory do Reichstagu odbywały się jedne po drugich. Ciężki kryzys gospodarczy łączył się z głębokim kryzysem politycznym demokracji niemieckiej. Sytuacja zapędzała wahające się warstwy pośrednie do obozu faszyzmu. Komuniści spodziewali się, że kryzys zakończy się rewolucją. Zakończył się objęciem władzy przez Hitlera.

W dwa lata później Stalin i Komintern zrozumieli, jakiego piwa nawarzyli. Niemiecki ruch robotniczy przestał istnieć. Tysiące zadreżono na śmierć w obozach koncentracyjnych i w więzieniach Gestapo. W nowej niemieckiej sile zbrojnej wyrosło śmiertelne niebezpieczeństwo dla Związku Sowieckiego. Dopiero teraz Stalin zawrócił. VII kongres Kominternu latem 1935 roku wyciągnął konsekwencje z nieszczęsnej polityki i dał te same dyrektywy, za które przed trzema laty niemieccy opozycjoniści, pravicowi wyrzucani byli z partii. Sam nie należałem nigdy do prawicowej opozycji, ale — jak zresztą większość komunistów niemieckich — podzielałem poglądy pravicowców. W roku 1931 także i Trocki w świetnej, proroczej broszurze przyłączył się do poglądów pravicowców i zażądał popierania rządu Brüninga, aby w ostatniej minucie uratować kraj przed faszyzmem. Już wtedy nie było dla żadnego rozsądnego człowieka najmniejszej wątpliwości, że oficjalna polityka partii musi doprowadzić do katastrofy. Tylko Stalin nie chciał tego dostrzec.

Czy w więzieniach NKWD siedzieli teraz wszyscy, którzy tego nie zapamiętali? Głodu na wsi, zniszczenia ruchu robotniczego w Europie, zniszczenia ostatnich pozostałości demokracji wewnątrzpartyjnej w Rosji? Czy dyktator chciał zlikwidować wszystkich, którzy mogliby mu przypomnieć jego własne błędy? Wszystko niemal za tym przemawiało.

Ale czy rzeczywiście chcieliśmy mu o tym przypominać? Czy nie zapomnieliśmy o tym, lub czy — mówiąc ściślej — nie zdławiliśmy tego w sobie? W Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego i w innych urzędach państwowych miałem często do czynienia z dawnymi opozycjonistami. Z ludźmi w rodzaju Piatakowa lub Bucharina, znałem też swe własne poglądy.

Wyругowaliśmy z naszej świadomości wydarzenia lat 1931 do 1933. Traktowaliśmy je jako nieszczęście, podobne do katastrofy żywiłowej. Nigdy nie wierzyliśmy, by Stalin rozmyślnie spowodował śmierć głodową milionów. Chciał szybkiej kolektywizacji. Nie przewidywał następstw. Chciał zwycięstwa rewolucji w Niemczech. Nie przewidywał zwycięstwa faszyzmu. Zawrócił bardzo późno, jednakże zawrócił. Głód na wsi przeminął po świętnych zbiorach roku 1933. Triumfalny pochód faszyzmu przez Europę zdawał się zatrzymany po powstaniu frontu ludowego we Francji i w Hiszpanii. Wydawało się, że partia idzie teraz właściwą drogą. Byli opozycjoniści nie zamierzali podejmować dawnego sporu. Rzucili się w wir wielkiej, konstruktywnej pracy. Przyjmowali samodzierżawie Stalina jako zło konieczne. Spodziewali się tylko, że w miarę gospodarczego rozwoju kraju, w miarę wzrostu bogactwa i zadowolenia mas ludowych, Stalin sam złagodzi despotyzm. Powoli powróci demokracja, co najmniej wewnątrz partii.

W kraju nie było żadnej opozycji. Przynajmniej — żadnej zorganizowanej opozycji. Istniała jeszcze tylko podziemna nadzieja powrotu wolności i zdecydowana wola trzymania się z dala od wszelkiej polityki oraz koncentrowania całej energii na rozwiązywaniu zadań gospodarczych.

Dlaczego w połowie 1936 roku nakazał dyktator aresztować setki tysięcy? Dlaczego splugawił rewolucję, niszcząc starych rewolucjonistów w wielkich procesach? Jakie niebezpieczeństwo groziło mu po odniesieniu zwycięstwa na wsi? Nie mogłem znaleźć wytłumaczenia.

Nie te pytania ogólne niepokoiły mnie jednak teraz. Widziałem ciężkie niebezpieczeństwo dla siebie samego. Coraz lepiej zdawałem sobie teraz sprawę, że NKWD chce mnie zniszczyć jako rzekomego opozycjonistę a nie jako agenta zagranicznego. Dopóki przypisywali mi trockizm, sprawa wydawała się niewinna. Z ideami Bucharina sympatyzowałem jednak rzeczywiście. Jeśli sprawują oni sąd nad ideami, to sprawa może przyjąć dla mnie zły obrót.

Następnego dnia obudzono mnie o północy i zaprowadzono do Reznikowa. Leżał przed nim arkusz papieru:

— Dziś będziemy pisali, Aleksandrze Siemionowiczu. Kiedy wstąpiliście do organizacji?

Udawałem naiwnego.

— Do Komunistycznej Partii Austrii wstąpiłem 1 maja 1927 roku. Ale już dwa lata wcześniej prowadziłem pod kierunkiem partii komunistycznej robotę frakcyjną wewnątrz socjaldemokracji.

— Idź do diabła z twoją austriacką partią komunistyczną! Nie interesuje nas, jak się maskowałeś. Chcemy wiedzieć, kto cię zwerbował do nielegalnej, kontrrewolucyjnej organizacji bucharinowskiej.

Milczałem.

— Nie będziesz mówił?!

Zaczął kląć. Przysłuchiwałem się obojętnie. Wreszcie przerwał i zapytał:

— Oskarżony Weissberg, czy zamierzacie sabotować śledztwo? Czy odmawiacie zeznań?

— Nie odmawiam zeznań, ale już dziesięć razy odpowiadałem na to samo pytanie i złożyłem tę odpowiedź także do protokołu. Nie byłem nigdy członkiem żadnej kontrrewolucyjnej organizacji.

— Weissberg, daliśmy wam wczoraj próbkę. Była to jednak tylko setna część materiału, który tu w tych aktach zebraliśmy przeciwko wam. Jeśli zamknę dziś śledztwo i przekażę materiał sądowi wojennemu, to najpóźniej w ciągu jednego miesiąca będziecie nieboszczykiem. Nie ma w Związku Sowieckim takiego trybunału wojskowego, który by na podstawie tego materiału wydał w waszej sprawie wyrok inny, niż rozstrzelanie.

— Dlaczego więc go nie zamykacie?

— Bo chcemy wiedzieć wszystko.

— Przecież wicie rzekomo wszystko.

— Wiemy wiele, ale ty wiesz więcej. Znamy dziewięćdzie-

siąg twoich zbrodni, ale ty znasz całą setkę. Nie wypuścimy cię stąd, dopóki nie dowiemy się o tych pozostałych.

— Powiedźcie mi wreszcie konkretnie, co wiecie. Może mi uda się was przekonać, że to wszystko jest omyłką lub oszczerstwem.

— Nie mamy ci nic do powiedzenia. Ty tu jesteś oskarżonym. Ty musisz mówić. U nas panuje inny system, jak w krajach kapitalistycznych. Chcemy dowiedzieć się o dziesięciu faktach, których jeszcze nie znamy, więc nie mówimy nic i żądamy od ciebie, abys wszystko zeznał. Jeśli twoje zeznanie zawierać będzie wszystkie dziewięćdziesiąt znanych nam faktów, to będziemy wiedzieli, że złożyłeś broń i wtedy możesz liczyć na naszą pomoc.

— W takim razie nie wierzę, że moje śledztwo kiedykolwiek się skończy. Mianowicie, nie mam nic do powiedzenia.

— Czy przeczysz może rozmowom, które prowadziłeś z Andersem?

— Nie, ale z nich nie wynika, bym był kontrrewolucjonistą. Prawdą jest, że krytykowałem nasz system racjonowania środków żywności i artykułów pierwszej potrzeby. Ale rząd sam zniósł potem to racjonowanie. Nie mogę tego zrozumieć, dlaczego uważacie moją krytykę za zdradę główną albo kontrrewolucję.

— Idee, stanowiące podstawę twojej krytyki, pochodziły z arsenału bucharinowskiej opozycji kontrrewolucyjnej. Ty ich nie wymyśliłeś. Zastłyszałeś je od swoich towarzyszy w organizacji. Idee są dla nas tym, czym dla wędrowca w lesie dym w oddali, sygnalizujący osiedle ludzkie. Uzewnętrzniona idea kontrrewolucyjna naprowadza nas na istnienie kontrrewolucyjnej organizacji. Dla nas nie ma przypadków.

— Coraz mniej rozumiem, dokąd zmierzacie. Początkowo mówiliście mi, że jestem czymś w rodzaju agenta zagranicznego, szpiega wrogiego mocarstwa. Teraz mam być opozycjonistą. Czego chcecie naprawdę?

— Tylko dureń nie może zrozumieć tego związku. Czy śledziłeś procesy?

— Tak jest.

— Czy czytałeś, co Radek powiedział o Bucharinie?

— Tak jest.

— Czy wiesz, że Bucharin utworzył trzecie centrum kontrrewolucyjne, które pracowało równolegle i w bloku z centrum trockistowskim?

— Tego nie czytałem.

— Ci ludzie przyznali się, że nastawili całą swą organizację na dywersję, terror, szpiegostwo i robotę sabotażową. Taką dyrektywę dał im Trocki. Od roku 1931 ludzie ci nie byli już

opozycjonistami, lecz agentami zagranicznymi. W naszym kraju, pod przewodnictwem Stalina zwyciężył socjalizm. Nie mając żadnej możliwości obalenia go własnymi siłami sprzymierzyli się z faszystowskimi centralami szpiegowskimi.

Milczałem. Nie wierzyłem ani jednemu słowu z tego wszystkiego. Doszedł on jednak do punktu, w którym w najlepszym wypadku mogłem milczeć. Już milczenie było niebezpieczne. Ostrożność nakazywała, by potwierdzić jego słowa.

— Czy rozumiesz teraz zachodzący związek?

— Wciąż jeszcze niezupełnie.

— Jeśli bucharinowcy wydali w swych organizacjach hasło roboty szpiegowskiej i terroru, to każdy ich członek jest dla nas terrorystą i szpiegiem. Jeśli szerzyłeś idee bucharinowskie, to jest to dla nas sygnałem, że byłeś członkiem tej organizacji. To znaczy, że byłeś w służbie Bucharina i na jego polecenie agentem zagranicznym.

Zakręciło mi się w głowie. Wiedziałem, że protestując przeciwko logice tej dedukcji mogę tylko ściągnąć na siebie najcięższe niebezpieczeństwa. Nie pozostawało mi nic innego, jak zaprzeczyć, że miałem bucharinowskie idee. I to było niełatwe.

— No więc, wydasz organizację czy nie?!

— Nie znam żadnej organizacji.

— Aleksandrze Siemionowiczu, może masz fałszywe wyobrażenie o nielegalnych organizacjach w Związku Sowieckim...

Podczas gdy mówił, myślałem: „Jak on sobie sam przeczy. Żąda ode mnie wydania organizacji, a jednocześnie mówi, że nie mam pojęcia, jak takie organizacje teraz wyglądają. I faktycznie, nie miałem pojęcia”.

— ... W naszym systemie kontrrewolucyjne organizacje z wybieralnym przewodniczącym i legitymacjami członkowskimi nie są możliwe.

— Co w takim razie rozumiecie pod kontrrewolucyjną, nielegalną organizacją — zapytałem z cicha pęk.

— Wyjaśnię ci to: Jeśli siedzi was trzech w pokoju i rozmawiacie na jakiś temat, a wchodzi czwarty i zmieniać temat, to wy trzej należycie do organizacji, a ten czwarty nie należy.

— Ale mogę przecież mieć tajemnice przed obcym także z przyczyn prywatnych?

— Jeśli prowadziliście rozmowę polityczną, to nie uznajemy żadnych prywatnych tajemnic. Dobrzy obywatele Związku Sowieckiego nie muszą obawiać się jawności.

Powoli zaczynałem rozumieć, po co on to wszystko mówi. Chciał ułatwić mi przyznanie się do uczestnictwa w tajnej organizacji. Po przyjęciu jego definicji łatwo już byłoby przyznać,

że moi przyjaciele z UFTI utworzyli nielegalną organizację, gdyż na pewno byłoby dla nas bardzo przykre, mieć obcych świadków przy wszystkich naszych rozmowach.

Reznikow był coraz bardziej pojednawczy i rozmawiał ze mną do 6 rano na bardzo różne i częściowo bardzo odległe tematy z mego dawnego życia za granicą. Powróciłem do celi bardzo zmęczony.

To przesłuchanie dało mi dużo do myślenia. Postawiłem sobie raz jeszcze rozstrzygające pytania:

1. Czy podejrzewają mnie rzeczywiście i chcą dojść do prawdy?

2. Czy też, podobnie jak w wielkich procesach, chcą przyznania się do fikcyjnej winy?

3. W wypadku, jeśli podejrzewają mnie naprawdę, co sobie myślą? Czy uważają mnie za niemieckiego szpiega, czy za opozycjonistę?

Reznikow dokładał starań, by pojęcie nielegalnej organizacji wydawało mi się niewinne. Chciał mi widocznie ułatwić przyznanie się. To wskazywało na drugą ewentualność. Chcieli więc tylko przyznania się do zmyślonej winy. Ale dlaczego tego chcieli? Odpowiedź, że wykrywanie organizacji nielegalnych jest ich zawodem, była zbyt prymitywna. Przede wszystkim nie wyjaśniała, dlaczego naraz, ni stąd ni zowąd, zaaresztowali setki tysięcy ludzi. Nic przecież w kraju nie zaszło. Nie było żadnego kryzysu na wsi. Żadnego wzmożonego niebezpieczeństwa wojny. Wszystko szło stosunkowo dobrze. W każdym razie znacznie lepiej, niż przed czterema laty, a mimo to aresztowania na wielką skalę zaczęły się dopiero w roku 1936. Musi za tym kryć się coś głębszego.

Następne przesłuchania nie przyniosły odpowiedzi. Wręcz przeciwnie, zatarły wrażenie ostatniego przesłuchania. Reznikow był bardzo przykry i zachowywał się tak, jak gdyby był mocno przekonany o mej winie. Wypytywał się o moje kontakty z opozycją za granicą.

— Czy znaliście jakich trockistów lub bucharinowców w Niemczech?

— Nie znałem ani jednego trockisty, natomiast wielu zwolenników opozycji prawicowej.

— Wymieńcie nazwiska.

— Jest ich zbyt wiele. Towarzysze ci byli przecież razem z nami w tej samej partii i tylko w oficjalnych dyskusjach rozwijali odmienne poglądy na różne zagadnienia.

— Wymieńcie tych, którzy zostali z partii wykluczeni, a przynajmniej najwybitniejszych między nimi.

— Najwybitniejsi, których znałem bliżej osobiście, to Willi Stein i Karl Frank.

— Kiedy poznaliście Willi Steina?

— Poznałem Willi Steina już jako piętnastoletniego chłopca w socjalistycznym ruchu uczniów szkół średnich w Wiedniu. Byliśmy wówczas obaj gimnazjalistami. Było to po rewolucji roku 1918. Willi wstąpił do komunistów i odgrywał tam wielką rolę. Później wybrano go do Komitetu Centralnego. Po 15 lipca 1927 roku przeszedł do opozycji w partii. W roku 1928 został wykluczony. Wiosną 1929 roku wyjechałem do Berlina i straciłem z nim kontakt.

— Czy spotykaliście się jeszcze z Willim po wykluczeniu go z partii?

— Tak jest. Spotykałem go niekiedy we Wiedniu, Pradze lub Berlinie i dyskutowałem z nim. Byłem też zaprzyjaźniony z jego żoną.

— Utrzymywaliście zatem stosunki z wrogiem partii?!

— Spotykałem go bardzo rzadko i starałem się zawsze w dyskusji zwalczać jego teorie.

— Kto was upoważnił do rozmawiania z nim? Czy za każdym razem składaliście o tym sprawozdanie partii?

— Nie, nie było u nas takiego zwyczaju. Członkowie partii nie mieli zakazu rozmawiania z byłymi członkami partii.

— Nie opowiadajcie mi bajek. Wiem o zagranicy nie mniej niż wy. Nie w mówicie mi, że komuniście wolno było utrzymywać nielegalne stosunki z wrogami partii.

— O nielegalnych stosunkach nie było mowy. Spotykałem go czasami w kawiarni i zamienialiśmy kilka słów na temat aktualnych zagadnień. Ja broniłem mego punktu widzenia, to znaczy punktu widzenia partii, a on bronił swego. Czyż nie miałem się już witać ze starym przyjacielem tylko dlatego, że został wykluczony?

— Ten stary przyjaciel był zawziętym, niebezpiecznym wrogiem partii, a teraz jest jawnym faszystą.

— Jak możecie mówić takie rzeczy? Nie słyszałem nigdy, by przeszedł do niemieckich faszystów.

Wyciągnął stertę zielonych zeszytów i powiedział:

— Oto biuletyny informacyjne, które otrzymujemy co tydzień, poświęcone wrogim ruchom za granicą. Znajdziecie tu często nazwisko Willi Steina. Jest to jeden z najniebezpieczniejszych wrogów klasy robotniczej świata.

— Nic o tym nie wiem.

— Kiedy widziałeś Willi Steina po raz ostatni?

Zawsze kiedy Reznikow przechodził do używania formy „ty”, wiedziałem już, że zanosi się na zaostrenie tonu.

— Latem 1935 roku spotkałem się z nim w Pradze.

Reznikow zaczął szaleć.

— Co, więc nawet po przybyciu do Związku Sowieckiego utrzymywałeś stosunki z wrogami?! Jakie materiały przekazałeś Willi Steinowi?

— Żadnych materiałów. Mówiliśmy o tym, czy dojdzie w Abisynii do wojny, czy nie.

— Takie niewinne jagniątko! Spotyka w czasie podróży przypadkowo w Pradze niebezpiecznego wroga i wymienia z nim poglądy na temat Abisynii. Kto ci w to uwierzy?!

— Możecie mi wierzyć albo nie. Nie mówiłem z Willim ani słowa o Związku Sowieckim.

— Co robiłeś w Pradze?

— W Pradze miał siedzibę Komitet Centralny austriackiej partii komunistycznej. Chciałem nawiązać łączność z którymkolwiek członkiem KC.

— Z kim chciałeś mówić?

— Z Ernstem Fischerem. Dałem mu znać przez jedną towarzyszkę, że jestem w Pradze, ale nie miał on w tych dniach dla mnie czasu.

— Czego chciałeś od niego?

— Chciałem opuścić Związek Sowiecki i chciałem prosić Komitet Centralny mojej partii o odwołanie mnie.

— Paliła ci się ziemia pod stopami? Obawiałeś się już wtedy zdemaskowania?!

— Nie miałem się czego obawiać, obywatelu sędzio śledczy. Jednakże odkąd Dawidowicz został dyrektorem, praca w Instytucie mi obrzydła. Na każdym kroku spotykałem się z nieufnością i przeszkodami. Miałem dość.

— Biedna owieczka! Czuje się obrażona nieufnością! Zorganizowałaś wtedy w Instytucie jawny bunt przeciw pracom wojskowym Instytutu, jakże mogliśmy ci ufać? Byliśmy po prostu idiotami, że już wtedy nie kazaliśmy ci aresztować! Instytut wyglądałby wówczas inaczej.

Nie odpowiadałem. Sprzeczenie się nie miało celu. Gdyby Reznikow chciał mi zarzucać moją rolę w walce przeciw Dawidowiczowi, to zrobiłby to już wcześniej.

— Czy Willi Stein dał ci w Pradze jakieś polecenia?

— Jakie mógłby mi dać polecenia? Willi Stein jest młodszy ode mnie. Stosunek między nami nie jest taki, by mi mógł wydawać rozkazy.

— Nie udawaj głupca! Pytam, czy dał ci kontrrewolucyjne

polecenia roboty szpiegowskiej lub działalności dywersyjnej w Związku Sowieckim.

Nie miało celu się oburzać. Powiedziałem po prostu: „Nie”.

— Czy dał ci polecenie dokonania zamachu terrorystycznego?

— Na litość boską, jak sobie to wyobrażacie? Spotykam w Pradze w kawiarni dawnego przyjaciela młodości i wypijam z nim i z jego żoną filiżankę kawy. I wtedy właśnie miał mi zlecić wykonywanie aktów terroru, roboty szpiegowskiej i tym podobne?! Wprawdzie nie mam pojęcia o działalności tego rodzaju, ale wyobrażam sobie, że się takie rzeczy robi inaczej.

— Nie udawaj niewinnego! Jakie polecenia dał ci Willi Stein, gdy wracałeś? Jakie przewiozłeś rozkazy od niego?

— Obywatelu, sędzio śledczy, oświadczam raz jeszcze z całą stanowczością, że Willi Stein nie dawał mi żadnych poleceń. Wypiłem z nim filiżankę kawy i sprzeczałem się na temat wojny abisyńskiej. Nie miał on żadnych listów do Związku Sowieckiego i nie zabrałem z sobą żadnych listów.

— Jesteśmy o tym innego zdania. Wiemy, że Willi Stein był twoim przełożonym w kontrrewolucyjnej organizacji bucharinowskiej. Ale jeszcze do tego powrócę.

Następnego dnia przyszła kolej na Karla Franka. Poznałem Karla Franka w roku 1918. Byłem gimnazjalistą, gdy on już był doktorem. Wyszedł także z ruchu młodzieżowego, ale już w roku 1918 stał się komunistą. Lubiłem go. Był to człowiek bardzo piękny i miał sympatyczny sposób bycia. Kobiety go kochały, a on im się odwzajemniał. Mówiono wiele w naszym środowisku o jego romansach. Karl Frank był dobrym kolegą. Mimo jego wysokiego stanowiska w partii, nigdy nie uważałem go za polityka. Jego wystąpienie z partii — jak mi się zdaje w roku 1929 — zasługiwało na uwagę. Chociaż nigdy przedtem nie występował nigdzie w opozycji, przed zjazdem partyjnym w Weddingu Karl Frank zajął jawnie stanowisko przeciwko metodom Komitetu Centralnego i rozdawał ulotki tej treści uczestnikom zjazdu partyjnego. Był to okres, gdy na rozkaz Moskwy demokracja wewnątrzpartyjna w partii niemieckiej była całkowicie zduszona. Karl Frank protestował przeciwko metodzie usunięcia opozycji z partii. Samo przez się zrozumiałe, że tego samego dnia został z partii wykluczony. Jego przykład zaimponował mi wtedy. Większość z nas potępiała despotyzm kierownictwa partyjnego, lecz tłumiliśmy nasze prawdziwe opinie nie mając odwagi by się mu sprzeciwić. Przesłuchanie w sprawie mego stosunku do Karla Franka nie różniło się niczym od przesłuchania na temat

Willi Steina. Raz jeszcze zielony zeszyt i twierdzenie, że Karl Frank przeszedł jawnie do niemieckiego faszyzmu. Raz jeszcze pytania, jakie dał mi rozkazy, czy zwerbował mnie do kontrrewolucyjnej organizacji i tak dalej. A potem jeszcze jeden szczegół charakterystyczny, który mi pozostał w pamięci. Reznikow zapytał mnie: „Kiedy widzieliście Karla Franka po raz ostatni?”

Odpowiedziałem: „Latem 1932 roku. Przyjechałem ze Związku Sowieckiego i spędzałem urlop w Grundlsee w Austrii. Spacerowałem nad jeziorem w towarzystwie Fritza Houtermansa i spotkałem przypadkowo Karla Franka, który właśnie szedł pływać”.

Reznikow mi przerwał: „Zawsze spotykacie ludzi przypadkowo. My tutaj nie wierzymy w przypadki. Dla nas nie jest przypadkiem, jeśli jakiś agent wyjeżdża za granicę i tam spotyka się ze swoim mocodawcą”.

Pominałem jego zarzut milczeniem i mówiłem dalej: „Rozwinięła się między nami polemika na tematy polityczne. Houtermans i ja byliśmy towarzyszami partyjnymi, Karl Frank — wykluczonym opozycjonistą prawicowym. Początkowo drwił sobie z nas i wytykał nam różne błędy partii. Później spoważniał i zapytał mnie: 'Alex, podobno przyjechałeś dopiero co ze Związku Sowieckiego. Interesuje mnie jak tam jest. Chciałbym, byś zaszedł kiedyś do nas i opowiedział'. Odpowiedziałem: 'Opowiem ci bardzo chętnie, ale jeżeli chcesz się czegoś ode mnie dowiedzieć, musisz przyjść do mnie. Przyjdź kiedyś po kolacji do nas do domu'. Karl Frank przyrzekł przyjść, ale nie przyszedł. Od tego czasu nigdy go już nie widziałem”.

— Czy nie spotykaliście się z nim potajemnie, czy nie przekazywaliście mu materiałów szpiegowskich?

— Nie, nie robiłem tego — powiedziałem.

— Na jakie tematy polityczne rozmawialiście z nim?

— Nie przypominam sobie.

— Pomyślcie.

— Naprawdę nie wiem. Upłynęło już pięć lat.

— Wasza pamięć zawodzi zawsze, gdy chcecie zataić kontrrewolucyjne rozmowy.

— Powiedziałem wam już, że polemizowaliśmy ze sobą. On zajmował stanowisko przeciw linii partyjnej, ja — za. Już z tego możecie wywnioskować jaki charakter miała rozmowa.

— Mamy dowody, a zeznania Andersa to poświadczą, że Karl Frank zwerbował was do kontrrewolucyjnej opozycji prawicowej.

— Jeśli Anders tak mówi, to kłamie.

Gdy następnego popołudnia opuszczałem pod eskortą żołnierza gabinet Reznikowa, natknąłem się w korytarzu na czekającego tam Fritza Houtermansa. Blady z przerażenia wytrzeszczył na mnie oczy. Pomyślałem sobie: „Ładnie muszą wyglądać”. Instynktownie usiłowałem się uśmiechnąć, aby tym podnieść na duchu moich przyjaciół w Instytucie. Przez chwilę staliśmy naprzeciw siebie, potem bez słowa poszedłem dalej. Widocznie Reznikow wezwał Houtermansa, aby uzyskać od niego zeznanie w sprawie rozmowy z Karlem Frankiem. Moje spotkanie z nim w korytarzu prawdopodobnie nie było przypadkowe, lecz wyreżyserowane przez Reznikowa. Chciał mi tym „przypadkiem” dać do zrozumienia: „Mów prawdę o swoim poprzednim życiu za granicą, mamy możliwość to sprawdzić!”

Następne przesłuchania dotyczyły konfliktu w Instytucie. Reznikow rozparł się w krześle, patrzył na mnie badawczo i zaczął:

— Aleksandrze Siemionowiczu, teraz przechodzimy do rozdziału, w którym prawdopodobnie nie będzie między nami różnic. Nie mamy tym razem do czynienia z tajną robotą waszej grupy, lecz z jawnym buntem przeciw kierownictwu Instytutu, przeciw partii i przeciw rządowi. Mam nadzieję, że temu nie zaprzeczacie.

— Wybaczcie, obywatelu sędzio śledczy, przeczę temu zdecydowanie. Jeśli macie na myśli naszą walkę z Dawidowiczem, to nie był to bunt przeciw rządowi, lecz walka przeciw szkodnikowi, zakłócającemu pracę w Instytucie.

Przybyłem do Instytutu wiosną 1931 roku. Dyrektorem był wówczas Nikołaj Iwanowicz Obreimow, uczony starej szkoły z Leningradu. Instytut został założony z inicjatywy organizatora fizyki sowieckiej, Abrama Władimirowicza Joffego. Grupa młodych fizyków pod przewodnictwem Obreimowa i Leipunskiego opuściła leningradzki instytut Joffego i udała się do Charkowa, by na prośbę rządu ukraińskiego założyć nowy ośrodek naukowy. Był to czas pierwszej pięcioletki, wielkiej odbudowy gospodarki sowieckiej. Budowano nie tylko fabryki, ale i instytuty badawcze. Rząd sowiecki wydawał olbrzymie sumy, aby pokryć kraj siecią placówek badawczych. W samym Charkowie utworzono ponad 20 nowych instytutów. Najważniejszym z nich był nasz UFTI. Sądząc z jego rozmiarów, był to jeden z największych instytutów fizyki doświadczalnej w całej Europie. Gdy przybyłem w marcu 1931 roku, Instytut znajdował się jeszcze w powijkach. Aparat administracyjny i aparat partyjny w Instytucie były znikome. Ośrodek zainteresowania stanowiły badania naukowe. Kwestiami politycznymi w ogóle się nie zajmowano, przemysłowymi — bardzo mało. W rozmowach naukowców panował ton swobodny. Dyrektorem Instytutu był jeden z nas — naukowiec. W stosunkach z nim nie istniały żadne biurokratyczne hamulce. Bardzo często większość fizyków decydowała inaczej, niż on chciał i dyrektor Obreimow musiał się z tym godzić. Największym autorytetem cieszył się w Instytucie

Aleksander Iljicz Leipunski, zastępca dyrektora, młody komunista i bardzo utalentowany fizyk. Sam Obreimow był człowiekiem ze starej szkoły i miał często kaprysy, z których my, młodzi, naśmiewaliśmy się. W końcu Obreimow ustąpił, a rządy objął Leipunski. Był to wzorowy szef. Gdy ktoś czegoś potrzebował, odwiedzał dyrektora w laboratorium i — podczas gdy Leipunski manipulował przy aparatach — omawiał z nim swój problem. Leipunski miał ciepły, serdeczny sposób rozmawiania z ludźmi. Nawet gdy czegoś odmawiał, nikt nie czuł się dotknięty. Poza tym mało zajmował się administracją i pozostawiał całą inicjatywę ludziom, do których miał zaufanie. Pod jego przewodnictwem Instytut w krótkim czasie doszedł do prawdziwego rozkwitu. Można powiedzieć, że rósł wszcz i w głąb. Otwierano nowe oddziały. Stworzono olbrzymią instalację wysokiego napięcia. Miały tam być dokonywane doświadczenia nad rozszczepianiem atomów. W laboratorium niskich temperatur zainstalowano urządzenia do skraplania helu, a to w celu osiągnięcia najniższych temperatur. Laboratorium radiowe pracowało dla wojska nad ultrakrótkimi falami i zajmowało się zagadnieniami bezprzewodowego przenoszenia energii na odległość. Ruhemann, Szubnikow i ja staraliśmy się oddać technikę niskich temperatur na służbę przemysłu azotowego. Oddział fizyki teoretycznej pod kierownictwem Lwa Dawidowicza Landaua pozostawał w ścisłym kontakcie z czołowymi teoretykami całego świata i w roku 1934 zorganizował w Charkowie kongres, w którym wziął udział Niels Bohr, nestor nowoczesnej fizyki atomowej i inni cudzoziemscy fizycy. Krótko mówiąc, Instytut rozwijał się w pełnej swobodzie, a kraj mógł na tym jedynie zyskać. Należało tylko dać ludziom spokój, a mieliby twórcze rezultaty. Jednak nie dano im spokoju.

Proces głaichszaltunku całego życia sowieckiego, rozpoczęty po ukończeniu walki w partii i po zlikwidowaniu opozycji, nie dotknął Instytutu aż do początków roku 1935. UFTI był wyspą wolności na morzu stalinowskiego despotyzmu. Polityką interesowano się niewiele, żyło się we własnym świecie, mieszkało się razem w domach mieszkalnych na obszarze Instytutu i nie kontaktowało niemal zupełnie ze światem zewnętrznym. Idylla ta nie mogła trwać długo. Skończyła się w dniu, w którym kierownictwo Instytutu objął dyrektor Dawidowicz. Dzień ten był z innej przyczyny symboliczny dla zdławienia wolności w kraju. Był to dzień 1 grudnia 1934 roku, w którym student Nikołajew zastrzelił w Leningradzie członka Politbiura, Sergieja Michajłowicza Kirowa, dzień stanowiący punkt wyjścia dla rozwoju wydarzeń, zakończonych wielką czystką.

Przychodząc do Instytutu Dawidowicz chciał pokazać co potrafi. Chciał zsovietyzować Instytut. Było tu za wiele wolności, a dyrektor miał jego zdaniem za mało władzy. Należało z tym skończyć. Urządził nowy gabinet dyrektorski i napisał na drzwiach: „Przyjmuje się w poniedziałki, środy i piątki w godzinach 3-5”. Ludzie dziwili się tym biurokratycznym porządkom i w ogóle do niego nie chodzili. Można było załatwić niemal wszystko bez dyrektora i dlatego nie zwracano na niego uwagi. Pewnego dnia wezwał profesora Szubnikowa, kierownika laboratorium niskich temperatur na pewną określoną porę przed południem. Szubnikow opuścił laboratorium i udał się do dyrektora. Musiał tam czekać niemal godzinę. Wyszedł i kazał przez sekretarkę powiedzieć dyrektorowi, że jeśli sobie czegoś życzy, niech go poszuka w laboratorium. Od tego się zaczęło. Dawidowicz rozdrażnił czołowych naukowców szeregiem nietaktów. Był to mały człowiek, o wąskich horyzontach i wielkiej ambicji. Jego partnerami byli znakomici uczeni, świadomi swej rangi. Dawidowicz chełpił się swym stanowiskiem, fizycy UFTI — swymi osiągnięciami. Usiłował on przeszczepić do instytutu naukowego styl wojskowy, który w ostatnich latach pojawił się w stosunkach między dyrektorami fabryk sowieckich a ich podwładnymi. To nie mogło mu się udać. Ludzie

w UFTI byli przyzwyczajeni do swobody. Wykonywali z entuzjazmem obowiązki wobec państwa, ale nie zamierzali pozwolić małemu biurokracii, by ich gnębił. O nauce Dawidowicz nie miał pojęcia i to także osłabiało jego autorytet.

Popępiał jeden błąd po drugim. Iwan Wasiliewicz Obreimow był człowiekiem starszym i dobrym fizykiem. W wolnych godzinach zajmował się upiększaniem terytorium Instytutu, zakładaniem ogrodów itp. Ogrodnik Instytutu odbierał od niego polecenia i wszystko szło dobrze. Byliśmy mu wszyscy wdzięczni za to, gdyż terytorium Instytutu przeobrażało się powoli pod jego ręką z placu budowy w teren wypielęgnowany. Ale i tutaj zapragnął Dawidowicz wykazać inicjatywę. Pewnego dnia wezwał Obreimowa i kazał mu złożyć sprawozdanie z robót ogrodowych. Zakończył posłuchanie słowami: „Dopóki nie znajdę kogoś innego, zostawiam to wam”. Spotkałem Obreimowa, gdy wracał od dyrektora. Był bardzo nieszczęśliwy. Musiałem go pocieszać.

Pijany władzą, Dawidowicz naruszył także i święte zasady sowieckiej techniki administracyjnej. W roku 1932 Stalin ogłosił sześć słynnych warunków wzmoczenia wydajności pracy. Najważniejszym z nich było tak zwane „jednolite kierownictwo”. Za każde zadanie odpowiedzialny miał być tylko jeden człowiek, a nie grono. Każdy miał mieć tylko jednego bezpośredniego przełożonego. Robotnik — brygadiera, brygadier — kierownika oddziału, kierownik oddziału — naczelnego inżyniera zakładu, a ten ostatni — dyrektora. Wedle tej zasady, dyrektor nigdy nie powinien wydawać robotnikowi bezpośrednich rozkazów z pominięciem drogi służbowej. Dawidowicz naruszał tę zasadę rozmyślnie. Usiłował podszczuwać niższych współpracowników Instytutu przeciw naukowym kierownikom laboratoriów, aby w ten sposób wzmocnić swój wpływ. Kierownicy laboratoriów — utalentowani naukowcy byli dla niego zbyt niewygodni. Zamierzał znaleźć wśród asystentów Instytutu ludzi, którzy by go popierali w nadziei zrobienia szybkiej kariery. Ponad głową szefa laboratorium niskich temperatur, profesora Szubnikowa, zwrócił się do jego asystenta Jurija Riabinina i dał mu bezpośrednie polecenie wykonania tajnej pracy dla wojska. Prace dla wojska miały zawsze w Instytucie pierwszeństwo przed pracami czysto naukowymi. Środki pomocnicze Instytutu jak instrumenty, warsztaty i pracownicy kwalifikowani były bądź co bądź ograniczone. Każdy szef laboratorium musiał rozsądnie planować, aby te środki pomocnicze sprawiedliwie przydzielać na prace nad różnymi tematami naukowymi. Gdy Riabinin nie pytając swego szefa, Szubnikowa, chciał wszystko podporządkować pracy, której Szubnikow nie znał, ten zaprotestował u dyrektora i oświadczył: „Jestem gotów objąć odnośną pracę i uczynić wszystko, aby ją pospiesznie wykonać, muszę jednak wiedzieć, o co chodzi. Niemożliwa jest taka sytuacja, w której jeden z mych asystentów gospodaruje w moim laboratorium, a ja nie wiem co on robi i nie mogę tego kontrolować”. Właśnie taki protest Dawidowicz chciał sprowokować. Chciał doprowadzić grupę czołowych naukowców do tego, by uczynili coś, co można by interpretować jako walkę przeciw pracom zleconym przez wojsko. Prowokował Riabinina do zuchwałej postawy wobec swego szefa i usztwytniał go. To samo czynił w innych laboratoriach. Wynikiem tych intryg był całkowity paraliż prac badawczych Instytutu.

Pewnego dnia Dawidowicz przyjął złożony przez bardzo przeciętnego członka Instytutu projekt przeprowadzenia określonych badań, mających rzekomo znaczenie dla obrony kraju. Uproszono Lwa Dawidowicza Landaua, najznakomitszego teoretyka Związku Sowieckiego, by dokonał ekspertyzy. Landau przeprowadził obliczenia teoretyczne i z absolutną pewnością zapowiedział wynik negatywny. Pomimo to Dawidowicz polecił wykonać pracę. Landau zaprotestował, gdyż doświadczenie to musiało pochłonąć bardzo wiele

pieniędzy. Na próżno. Dawidowicz chciał pokazać, jak bardzo leży mu na sercu obrona kraju.

W każdym instytucie sowieckim, w każdej fabryce, w każdym urzędzie istniał tajny sektor. Miał on dwojaką funkcję. Z jednej strony kontrolował lojalność polityczną wszystkich pracowników odnośnej organizacji i składał GPU okresowe sprawozdania, z drugiej strony czuwał nad rozwojem prac dla wojska. W szafie ogniotrwałej tego tajnego sektoru przechowywany był również plan mobilizacyjny. Każdy urzędnik, mający brać udział w pracach dla wojska albo mający mieć dostęp do tajnej korespondencji, musiał być „prześwietlony”, to znaczy tajny sektor składał w GPU wniosek co do takiego człowieka i otrzymywał zgodę na dopuszczenie go do tajnej pracy. Wszyscy czołowi naukowcy Instytutu byli dopuszczeni do tajnych prac. Także Szubnikow. Nie było zatem żadnej rzeczowej przyczyny, by Dawidowicz pominął Szubnikowa i ponad głowę kierownika laboratorium wydał polecenie jego asystentowi Riabininowi. Uczynił to wyłącznie w tym celu, by osiąść niezgodę i osłabić autorytet ośmiu kierowników laboratoriów, w których upatrywał swych wrogów.

Codziennie zdarzały się nowe incydenty. Wreszcie kolej przyszła na mnie. Miałem w Instytucie stanowisko bardzo niezależne. Byłem kierownikiem budowy stacji doświadczalnej dla chłodzenia do niskich temperatur. Ów kombinat naukowo-techniczny miał służyć bezpośrednio potrzebom przemysłu. Plac budowy był odległy o 20 kilometrów od Instytutu. Wprawdzie jako szef formalnie podlegałem jeszcze dyrektorowi Instytutu, ale w rzeczywistości otrzymywałem rozkazy wprost z Ludowego Komisarjatu Przemysłu Ciężkiego w Moskwie. Mieliliśmy odrębny budżet. Leipunski pozwolił mi się usamodzielnic. Informowałem go w dorywczych rozmowach wieczornych o postępie prac. Czasem dawał mi przyjazną radę, czasem interweniował w Komitecie Centralnym, gdy jakaś instytucja sowiecka nas pokrzywdziła. Już po założeniu przeze mnie czasopisma poświęconego fizyce ustaliła się w Instytucie opinia, że jestem dobrym organizatorem. Gdy trzeba było rozwiązać trudne zagadnienia natury organizacyjnej, wzywano mnie, nawet gdy sprawy te leżały poza sferą mego działania.

Gdy przybył Dawidowicz, złożyłem mu grzecznościową wizytę powitalną, poinformowałem go o celu nowego kombinatu i o stanie robót budowlanych i montażowych. Bardzo rychło doszło do konfliktu. Bardzo trudno było uzyskać maszyny fabryczne. Walczyłem w Moskwie z wielką energią o przydział ośmiu obrabiarek i frezerek i otrzymałem je. Aparat administracyjny Instytutu składał się z kiepskich urzędników i nie umiał z dostateczną natarczywością przedstawiać władzom w Moskwie potrzeb Instytutu. Patrzyli oni poządliwie i zadrośnie na mój park maszynowy. I oto Dawidowicz pokazał co potrafi. Po prostu zarządził, że mam oddać maszyny Instytutowi. Oznaczało to, że za kilka miesięcy, gdy trzeba będzie uruchomić pracownię stacji doświadczalnej, będę musiał pojechać do Moskwy po nowe maszyny, przy czym wcale nie było pewne, że je otrzymam. Jeżeli zaś pracownię nie zostaną uruchomione, będę za to odpowiedzialny. Naturalnie zaprotestowałem. Dawidowicz powołał się na konieczności natury wojskowej i mój protest przebrzmiał bez echa.

Dawidowicz był leniem. Nigdy nie zadawał sobie trudu, by przemysleć jakieś zagadnienie do końca i potem krok po kroku podejmować nieodzowne środki. Po prostu komenderował, a jeśli coś nie zostało zrobione — przerzucał winę na innych. Mnie się obawiał. Wiedział, że często bywam w Moskwie i że urzędnicy ludowego komisarjatu dają mi posłuch. Zdecydował się usunąć mnie z mego stanowiska i zaczął na mnie szczerć.

Było wiele płaszczyzn tarcia. Postawiłem sobie za cel, by aparat administracyjny stacji doświadczalnej był możliwie najmniejszy. Zatrudniałem w

biurze ośmiu ludzi, w tym samym czasie gdy Instytut pod kierownictwem Dawidowicza dla takiego samego zadania zatrudniał około trzydziestu urzędników. Chciałem swych ludzi, o ile na to pozwalało prawo, opłacać lepiej i żądać od nich pełnowartościowej pracy. Dawidowicz musiał wielokrotnie wysłuchiwać w Moskwie nieprzyjemnych dla siebie porównań ze stacją doświadczalną. Budował garaż na terytorium Instytutu, ja budowałem w OSGO inny garaż na tę samą ilość samochodów. Budowa garażu Instytutu pochłonęła 87.000 rubli, nasz wybudowany został kosztem 30.000. Dawidowicz szalał. Chciał zmusić także i nas do marnotrawstwa. Żądał od nas utworzenia w OSGO tajnego sektora, stworzenia specjalnie płatnego stanowiska sekretarza partyjnego i wzmocnienia straży.

Problem straży wysunął co prawda nie on, lecz GPU. Załogi strażnicze były chorobliwą naroślą na ciele gospodarki sowieckiej. Strażnicy stanowili w Związku Sowieckim największą warstwę zawodową. Myślę, że w Związku Sowieckim było więcej strażników, niż metalowców i górników węglowych razem wziętych. Naszego Instytutu strzegł przez kilka lat tylko portier nocny i nikt więcej. To wyprowadzało GPU z równowagi. Wielokrotnie usiłowaliśmy zmusić nas do wzmocnienia straży w UFTI. Gdy Leipunski, a później jego następca Gej odmówili, gepiści wpadli na pomysł. Pośleli ludzi do Instytutu i ukradli kilka instrumentów. Następnego dnia wezwali dyrektora Geja, zrobili mu awanturę z powodu niedostatecznej czujności, a na dowód pokazali mu ukradzione aparaty. Prawdopodobnie aparaty te przynieśli im ich agenci w Instytucie. Zażądali w końcu załogi strażniczej, której roczny koszt wynosiłby 8.000 rubli. Aby ukraść aparaty na taką sumę, musieliby złodzieje zajeżdżać do Instytutu samochodami ciężarowymi. Załoga strażnicza kosztowałaby zatem więcej, niż mogłaby przynieść pożytku. Dawny dyrektor usiłował wytłumaczyć to geplistom. Wtedy wysunęli inny argument. W Instytucie wykonywuje się tajne prace. Mógłby się zakraść szpieg. W rzeczywistości tajny oddział Instytutu zabezpieczony był ciężkimi drzwiami żelaznymi i właśnie ten oddział był strzeżony. Poza tym szpieg, nawet gdyby mu się udało dostać do środka, nie dowiedziałby się niczego. Zobaczyłby tylko zamiatwany gąszcz szklanych rur i drutów, nagromadzone pompy i motory i to wszystko, co należy do aparatury instytutu fizycznego. To, co należało zachować w tajemnicy, a więc wyniki pomiarów, spoczywało w głowach fizyków; nawet ich notatniki nie mogłyby służyć za źródło informacji. A zatem szpieg, gdyby nawet był fizykiem, w razie włamania nie zdobyłby żadnych wartościowych wiadomości. Musiałby pozyskać sobie pracowników naukowych, a ci nie pozostawali pod nadzorem strażników Instytutu. Jednakże dyskusowanie z GPU było bezcelowe. Hasłem dnia była „czujność rewolucyjna”. Wydał je sam Stalin. Przejęło je GPU i stosowało wszędzie tam, gdzie nie było nic do strzeżenia. Koszty płacił kraj, musiał bowiem wyżywić olbrzymi aparat pasożytniczy.

Jedna ingerencja Dawidowicza w dziedzinę mojej pracy szła po drugiej. Każda pogarszała wydajność pracy, każda podnosiła koszty administracyjne. Ale to nie wystarczało Dawidowiczowi. Byłem zbyt samodzielny, trzeba mnie było zastąpić kimś innym. Pewnego dnia oznajmił mi, że nie może mnie dłużej tolerować na tak eksponowanym stanowisku, że muszę je przekazać rosyjskiemu komuniście, natomiast sam mam dalej pracować w charakterze naczelnego inżyniera i zastępcy kierownika. Nie chciałem zwolnić z pracy. Wiedział, że nie miałby kim mnie zastąpić. W kraju było niewiele dobrych organizatorów. Trusty i komisariaty wyrwały ich sobie z rąk. Gdybym był Rosjaninem, ludowy komisariat od dawna już powierzyłby mi rozwiązywanie zadań znacznie większego formatu. Jednakże budowa stacji doświadczalnej była problemem bardzo skomplikowanym. Trzeba było rozwiązywać nie tylko zadania techniczne, które nasuwa każda wielka budowa prze-

mysłowa, lecz także zagadnienia związane z przygotowaniem prac badawczych. Dawidowicz nie miał więc dla mnie następcy. Chciał postawić na czele jakiegokolwiek powolnego sobie komunistę rosyjskiego, a mnie nakłonić do tego, bym pracował dalej pod jego kierownictwem. Wzbraniałem się. Pamiętam decydującą z nim rozmowę. Przyjął mnie w swym mieszkaniu późno w nocy. Mieszkanie miał świeżo umeblowane na koszt Instytutu. Sam wybierał meble. Były one dowodem jego drobnomieszczańskiego braku smaku. W ostatnich latach weszło w zwyczaj w fabrykach, że dyrektor urządzał się na koszt państwa. U nas w UFTI ten zły obyczaj do tej pory się nie zagnieździł. Nasi czołowi ludzie mieli bardzo skromnie urządzone mieszkania.

Dawidowicz powiadomił mnie o swej decyzji. Odpowiedziałem:

— Towarzyszu Dawidowicz, nie protestuję przeciwko waszemu postanowieniu. Być może, że było ono konieczne ze względów politycznych. Chętnie oddam komu innemu me stanowisko administracyjne i powrócę do pracy w dziedzinie fizyki technicznej. Nie sądzę jednakże, by kontynuowanie tej samej pracy na innym stanowisku było rzeczą rozsądną.

— Czy to znaczy, że chcecie zrezygnować z pracy w stacji?

— Tak jest.

— Jest to niemal to samo, co odmowa pracy. Czy wiecie, co to znaczy w naszym kraju?

— Towarzyszu Dawidowicz, przy jednym i tym samym zadaniu *jeden* zły organizator jest lepszy niż *dwóch* dobrych organizatorów. Każda praca wytrzymuje tylko jednego człowieka odpowiedzialnego za całość. Jeśli ja mam kontynuować pracę, a przyszedł dyrektor ma za nią przejąć odpowiedzialność, to nieuniknione będą konflikty, hamujące budowę. Lepiej, by ten nowy człowiek przyzwyczał się za wszystko sam odpowiadać. Będę mu pomagał przez miesiąc, aby go wprowadzić w pracę.

Dawidowicz obawiał się jednak, że jeśli odejdę, budowa stanie. Budować w Związku Sowieckim nie było wówczas rzeczą prostą. Brakowało wszystkiego. Kiedy był cement, brakowało drzewa. Kiedy było jedno i drugie, brakowało transformatora do urządzenia siłowni. Albo nie było robotników budowlanych. Kiedy byli robotnicy, brak było kredytów i trzeba było ich zwalniać. Na jeszcze większe trudności napotykało montowanie urządzenia. Wielka budowa musi funkcjonować jak orkiestra, w której nie może brakować żadnego instrumentu. Dawidowicz sam odpowiedzialny był w Instytucie za budowę instalacji wysokiego napięcia. Budowa ta wlokła się już od pięciu lat, a mimo to nawet w jednej piątej nie dorównała rozbudowie stacji doświadczalnej. Wiedział on, że zastój na budowie stacji doświadczalnej po moim ustąpieniu przede wszystkim jego będzie obciążał i lękał się odpowiedzialności. Z tego powodu przewłókł decyzję o dwa miesiące. Po dwóch miesiącach zmusił mnie przez partię do poddania się. Oświadczyłem gotowość złożenia kierownictwa i kontynuowania pracy pod nowym szefem.

W Instytucie było z każdym dniem gorzej. Czołowi ludzie Instytutu postanowili w końcu, że dłużej tego znosić nie będą. Zebrali się i napisali podanie do Komitetu Centralnego partii, prosząc o odwołanie Dawidowicza i ponowne powierzenie dyrekcji Instytutu Leipunskiemu. Leipunski był w Anglii i pracował tam w laboratorium lorda Rutherforda. Komitet Centralny i Komisja Kontroli Partyjnej, jeden z najwyższych organów Związku Sowieckiego, zajmowały się tą sprawą. Członkiem Komisji Kontroli Partyjnej, któremu podlegał sektor naukowy, był Modest Josipowicz Rubinsztajn, człowiek czystego charakteru i wielkiej kultury wewnętrznej. Objechał on niemal wszystkie kontynenty, władał siedmioma językami i należał do tego typu marksistów rosyjskich, którzy bardzo szczęśliwie łączyli najlepsze tradycje kultury rosyjskiej i zachodniej. Mówiłem z nim i otworzyłem mu oczy na to, co dzieje się w Instytucie. Omówił on sprawę z referentem Komitetu

Centralnego i wydał polecenie, by na czele Instytutu postawił naukowiec. Tym samym konflikt w Instytucie został w praktyce rozstrzygnięty, ale my w UFTI przez całe miesiące nie wiedzieliśmy o moskiewskiej decyzji. Walka w Instytucie trwała. Dawidowicz przystąpił do kontrataku. Poinformował charkowskie NKWD, że w Instytucie utworzył się spisek pod przewodnictwem Landaua i Weissberga, mający na celu sabotowanie prac dla wojska. Nie znaliśmy szczegółów denuncjacji Dawidowicza, przesyłanych epistom, ale przeczuwaliśmy najgorsze. Towarzysze w komórce partyjnej Instytutu wahali się. Nie wiedzieli jeszcze, z kim należy być w dobrych stosunkach. Z dyrektorem, za którym prawdopodobnie stało GPU, czy z czołowymi naukowcami, którzy mogli oczekiwać pomocy z Komitetu Centralnego w Moskwie. Dawidowicz był przekonany, że ja stoję za kulisami i pociągam sznurki spisku przeciwko niemu. W rzeczywistości Landau i jego przyjaciele byli zbyt samodzielni, by pozwolić mi na wydawanie sobie rozkazów. Jednakże protest naszej grupy przeciwko Dawidowiczowi był tak zręcznie pod względem politycznym sformułowany, że dyrektor widział w nim moją rękę. Nie mógł uwierzyć, że bezpartyjni uczeni tak ostrożnie wzięli się do dzieła. Dla podania do najwyższych organów partyjnych w Związku Sowieckim istniał bowiem określony rytuał, którego nie wolno było naruszać. I tak na przykład podjęcie kroku zbiorowego, a więc podpisanie pisma przez — powiedzmy — osiem osób, było postępekmi kontrrewolucyjnym. Było to zapoczątkowanie organizacji politycznej, co w rozumieniu sowieckim równało się kontrrewolucji. Zmuszeni byliśmy więc kierować do Komitetu Centralnego różne podania w sprawie Dawidowicza, podpisane przez co najwyżej dwie lub trzy osoby. Kroki zbiorowe i zbieranie podpisów dozwolone były tylko wtedy, gdy organizowano je odgórnie, a więc gdy na przykład kołchoźnicy w jakiejś wsi kierowali list do ukochanego wodza, ojca narodów, wielkiego Stalina i dziękowali mu za szczęśliwe życie. W takim wypadku organizacja partyjna sama organizowała zbieranie podpisów.

Wahała się jednak nie tylko organizacja partyjna w UFTI, także i charkowskie NKWD, stojące po stronie Dawidowicza, brało się ostrożnie do rzeczy. Dawidowicz naciskał ich, by kogoś zaaresztowali. Wtedy jeszcze nie wazyli się położyć ręki na osobie Landaua, naukowca o sławie światowej, ani też zaaresztować mnie — cudzoziemca. (W dwa lata później z przyjemnością aresztowali właśnie cudzoziemców). Wyszukali sobie najślabszego w naszej grupie. Młodego studenta, nazwiskiem Korec, pracującego u Landaua. Korec uwielbiał Landaua i bardzo ofiarnie brał udział w walce przeciw Dawidowiczowi. Dawidowicz kazał go najpierw pod byle jakim pozorem wykluczyć z Komsomołu. Rzekomo zataił swe pochodzenie społeczne. Przy wstąpieniu do Instytutu Korec wręczył swój bardzo dokładny życiorys organizacji Komsomołu, do której wstąpił, drugi zaś całkiem krótki Instytutowi. W życiorysie obszernym zaznaczył, że matka jego podczas wojny domowej przez krótki czas z nędzy zajmowała się handlem. W rzeczywistości przynosiła na plecach ze wsi do Swierdłowska ziemniaki i jabłka i sprzedawała je na targu. Porzucona przez męża, z dochodu tego utrzymywała dwoje dzieci. W krótkim życiorysie dla Instytutu Korec ten szczegół opuścił. Ostatecznie Instytut był jednostką administracyjną, a nie polityczną. Dawidowicz usiłował przez Koreca ugodzić w naszą grupę. Wywłócił sprawę przed partię i Komsomoł wykluczył Koreca jako „element obcy klasowo”, który zataił swe kapitalistyczne pochodzenie. To jednak Dawidowiczowi nie wystarczyło. Chciał nas zastraszyć. W kilka tygodni później Korec został zaaresztowany. Krok ten faktycznie sparaliżował inicjatywę naszej grupy. Landau był jedynym, który się nie dał złamać. Moi przyjaciele byli zdania, że teraz ja sam jestem w najwyższym stopniu zagrożony.

W kilka dni po aresztowaniu, na jawnym posiedzeniu wszystkich człon-

ków Instytutu rozpoczęła się rozróbka Koreca. Podnosił się jeden po drugim i z głębokim oburzeniem mówił o ukrytym wrogu, szpiegu, który zakradł się do Instytutu. Wahałem się długo, czy mam pójść na zebranie. Komarow, który jako stary komunista znał dobrze nastroje w partii i który w głębi serca stał po naszej stronie, nakłonił mnie w końcu do tego. Powiedział mi:

— Alex, jeśli dzisiaj nie pójdziesz, to będziesz, być może, aresztowany, a w najlepszym wypadku deportowany z kraju. Ten konflikt nie rozstrzygnie się w Charkowie. Komitet Centralny w Moskwie będzie miał jeszcze ostatnie słowo. Nie ma żadnego sensu, byś teraz demonstrował i trzymał się z dala od zebrania. GPU potraktuje to jako prowokację. Dawidowicz tylko na to czeka. Nie sprawiaj mu tej przyjemności.

Posłuchałem, poszedłem na zebranie i przy głosowaniu podniosłem rękę za rezolucję, potępiającą Koreca. Ale jeszcze teraz, gdy piszę te słowa, płonę ze wstydu. W całej mojej karierze partyjnej i przez cały okres mojego pobytu w Związku Sowieckim było to moje najcięższe przestępstwo.

Aresztowanie Koreca rzeczywiście zdelegalizowało naszą grupę. Wszyscy chodzili przygnębieni, nikt się już nie ważył na jedno otwarte słowo. Dawidowicz tryumfował. Lecz prace badawcze uległy paraliżowi. Sam poinformowałem o tym wyższe placówki w Moskwie. Przyjęto moje informacje, ale ani słowem nie dano mi do poznania, co będzie. Minał miesiąc, dwa miesiące. Dawidowicz nabrał odwagi i zdecydował się mnie usunąć. Miałem wtedy coś do załatwienia w Moskwie i chciałem tam pojechać. Dawidowicz odmawiał mi pozwolenia na wyjazd, o ile nie dam mu słowa honoru, że ani z Piatakowem ani z żadnym innym wyższym funkcjonariuszem w Moskwie nie będę poruszał sytuacji w Instytucie. Odmówiłem takiego przyrzeczenia i zrezygnowałem z podróży, zatelefonowałem jednak do Moskwy i poinformowałem ludzi w ludowym komisariacie. W tydzień później Dawidowicz zamianował nowego kierownika stacji doświadczalnej. Kontynuowałem swą pracę. Pewnego popołudnia, gdy właśnie wróciłem z placu budowy i odpoczywałem, wesza do pokoju moja teściowa, promieniująca radością. „Alex, czy wie pan, kto właśnie wrócił!?” Nie wiedziałem. „Korec!” Na polecenie z Moskwy wypuszczono go tegoż ranka na wolność. Nie był więc szpiegiem. W organizacji partyjnej zaczęto się wstydzić. Nastroj zwrócił się przeciwko Dawidowiczowi. Komitet Centralny okazał się mocniejszy od miejscowego GPU.

W kilka miesięcy potem Komitet Centralny usunął Dawidowicza: Leipunski został odwołany z Cambridge i z powrotem mianowany dyrektorem. Nabrałem znowu odwagi i zdecydowałem się pozostać w kraju. Było to jesienią 1935 roku. Jeszcze latem byłem za granicą i — zdecydowany opuścić Związek Sowiecki — rozglądałem się. Teraz zmieniłem decyzję, czego potem bardzo żałowałem.

Oto historia konfliktu w Instytucie. Było to moje pierwsze zetknięcie się z GPU. Od tej chwili charkowskie NKWD założyło teczkę „UFTI” i teczkę „WEISSBERG”. Od tej chwili do aresztowania prowadziła prosta droga. Gepiści nie mogli mi wybaczyć swej klęski w konflikcie w Instytucie.

W następnych przesłuchaniach Reznikow chciał mnie zmusić do scharakteryzowania walki w Instytucie jako spisku kontrrewolucyjnej grupy, sabotującej prace wojenne Instytutu. Opierałem się wszystkimi siłami. On krzyczał i szalał. Kazał mnie budzić

po sześć razy w ciągu nocy. Przesłuchiwał mnie przez osiemnaście godzin bez przerwy. Nie ustępowałem. W pewien wieczór piątkowy po przesłuchaniu kazał mnie odprowadzić nie do celi, lecz do łaźni. Podłoga była mokra. Nie było gdzie usiąść. Musiałem stać przez czternaście godzin. W kącie leżała deszczułka. Położyłem się na niej. W sobotę zawezwał mnie Reznikow i zapytał, czy wreszcie zamierzam się przyznać. Gdy odmówiłem, odesłał mnie z powrotem do łaźni. Tymczasem deszczułka zniknęła. Wody było prawie na centymetr. Miałem nadzieję, że na noc będę mógł powrócić do celi, gdyż w niedzielę nie było przesłuchań. Omyliłem się. Aż do poniedziałkowego ranka musiałem pozostawać w mokrym pomieszczeniu. Położenie się oznaczałoby pewne zapalenie płuc. Na pół martwego przyprowadzono mnie w poniedziałek do Reznikowa. Był w dobrym humorze:

— Jak wy wyglądacie, Aleksandrze Siemionowiczu? Czy jesteście chory?

— Nie, ale stałem przez 40 godzin w łaźni.

— Jakże to? Czy nie odprowadzono was w sobotę do celi?

— Nie. Pukałem nieustannie i zwracałem uwagę strażnikowi. Powiedział, że nie wydano żadnych poleceń.

— Słusznie, całkiem zapomniałem. Proszę wybaczyć.

Naturalnie, bandyta uczynił to rozmyślnie. A teraz jeszcze drwił sobie ze mnie.

Nie mógł wymusić mojego przyznania się do spisku przeciw pracom dla wojska. Zaczął z innej beczki:

— Przyjrzyjmy się waszym przyjaciółom. To przecież wszyscy zaprzysięgli wrogowie. Weźmy na przykład Lwa Dawidowicza Landaua. To zdeklarowany wróg ludu i trockista. Spodziewam się, że nie zaprzeczycie.

Milczałem.

Lew Dawidowicz Landau był zjawiskiem bardzo skomplikowanym i interesującym. Było to *enfant terrible* fizyki sowieckiej. Wyglądem zewnętrznym sprawiał zawsze wrażenie Don Kiszota. Okaz nieustannego wieku dojrzenia. Będąc najwybitniejszym teoretykiem fizyki w Związku Sowieckim był jak najdalszy od ceremoniału i pompy. W Akademii Nauk zasiadali — jak wyrażał się Landau — czcigodni „mężowie z brodami”, którzy mu bynajmniej nie dorównywali. Młody 27-letni Landau przerastał ich wszystkich o głowę. Mimo to nie został przyjęty do Akademii. Sprawiało mu przyjemność prowokowanie „mężów z brodami”. Panował nad swą dziedziną jak władca udzielnny. Czcigodni profesorowie nie byli pewni siebie. Po pewnym wykładzie Joffego powiedział: „To, co opowiadał Joffe, było bardzo ciekawe, tyle tylko, że nie miało nic wspólnego z dotychczasowymi zdobyczami wiedzy”. Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem. Landau dowiódł kilku formułkami słuszności swej krytyki. Był zawsze skłonny do żartów, wykrzywił się jak uczniak i prowokował każdego kto chełpił się rangą i nazwiskiem. Pew-

nego dnia wpadło rządowi sowieckiemu na myśl ponadawać stopnie naukowcom kraju. W Moskwie powołano komisję rządową, w większych miastach prowincjonalnych komisje lokalne, mające przyznać każdemu uczonemu określoną rangę. Najwyższym stopniem był doktor nauk, niższe stopnie: *nadnaukowiec*, *podnaukowiec* i tak dalej. Nasz Instytut jako naczelny instytut w kraju miał prawo przyznawania tych tytułów. Komisja pod kierownictwem dyrektora obradowała całymi tygodniami nad tymi zagadnieniami. Pewnego dnia, było to 1 kwietnia 1935 roku, wywieszono na tablicy w Instytucie zarządzenie dyrektora, wyznaczające każdemu współpracownikowi jego rangę. Wyniki były groteskowe. Jakiś mały asystent został doktorem, pewien wielki fizyk musiał zadowolić się rangą podnaukowca. Sponiewierani pobiegli z oburzeniem do dyrektora i zaprotestowali. Dyrektor oświadczył, że nie miał o tym wszytkim pojęcia. Okazało się, że Landau przyniósł sekretarce Instytutu zarządzenie dyrektora do ogłoszenia. Ta bez namysłu postawiła pieczęć na dokumencie i podała go do powszechnej wiadomości. Landau hawił się po królewsku, obserwując reakcje różnych, ugodzonych w swej próżności „mężów z brodami”.

Pewnego dnia wpadł na pomysł założenia instytutu erotechicznego. Zapytał mnie:

— Czy nie chcielibyście zostać sekretarzem nowego Instytutu Erotechniki?

— Nie wiem dokładnie, co to jest i dlaczego właśnie ja?

— Aleksandrze Siemionowiczu, rozporządzacie w Instytucie najbardziej rozwiniętą techniką erotyczną. Należy ją oddać na usługi ogółu.

— Jak doszliście, do tego wniosku Lwie Dawidowiczu?

— Widzę to po wynikach.

— Pozory myślą, żyję tu jak mnich. Jakie zadania stawiacie nowemu instytutowi?

— Wykrycie praw, rządzących wzajemnymi stosunkami obu płci.

Zaproponował potem ponumerowanie różnych stadiów zbliżenia pomiędzy mężczyznami i kobietami. Numer 1, to pierwsze spotkanie, numer 4 — przedstawienie się sobie, numer 8 — chodzenie ze sobą pod rękę, numer 13 — pierwszy pocałunek, numer 20 — stosunek.

Zapytałem:

— I na tym koniec?

— Naturalnie, Alex.

— Widać, Leonie Dawidowiczu, że jesteście początkującym. Sądzę, że to się dopiero zaczyna od numeru 20.

— Należałoby też zaklasyfikować przedmioty badań, przynajmniej kobiety. Numer 1 — to kobieta idealna, od której, gdyby się ją rzeczywiście spotkało, nie można by oderwać oczu, numer 5 — coś, na co patrzeć nie można, a między nimi wszystkie stopnie pośrednie.

Nie przyjąłem jego propozycji.

Znajdował zawsze czas na takie głupstwa. Nie widziano go nigdy pracującego, a jednak napisał w owym czasie swe najznakomitsze prace, których opracowywanie szło mu widocznie łatwiej, niż innym ich lektura.

Najlepszą cechą Landaua było to, że nie znosił żadnego kłamstwa, żadnej obfudy. Na zakłamanie odpowiadał gryzącą ironią. Jasne było, że taka postawa duchowa musi go doprowadzić do konfliktu z panującą dyktaturą. Landau był odważny, jawnie wypowiadał to, przed czym inni bledli. Tylko jego pozycja naukowa ochroniła go do tej pory przed interwencją GPU.

Odmawiałem dawania odpowiedzi na pytania Reznikowa, które były dla mnie niewygodne. GPU wychodziło z założenia, że każdy

nastawiony krytycznie jest wrogiem ludu. Nie miało sensu kłócić się o to.

— Obywatelu sędzio śledczy, nie wiem czego ode mnie chcecie. Landau jest postacią tak godną uwagi, że z pewnością lepiej niż ja wiecie o nim wszystko. Dlaczego żądacie ode mnie jego charakterystyki?

— Chcemy was zmusić do przyznania, że wszyscy wasi przyjaciele byli wrogami ludu.

— Jeśli Landau był wrogiem ludu, dlaczego go nie aresztowano?

— Chwilowo chroni go jeszcze jego sława światowa, ale nie na długo.

— Landau nie był nigdy moim osobistym przyjacielem, aczkolwiek chętnie z nim rozmawiałem.

— W takim razie przechodzimy teraz do waszego przyjaciela od serca, angielskiego kontrrewolucjonisty Martina Ruhemanna. Co wiecie o Ruhemannie? Kiedy Ruhemann wstąpił na służbę Intelligence Service?

— Przede wszystkim, Ruhemann nie jest kontrrewolucjonistą.

— Czym jest w takim razie? Może komunistą?

— Nie, Ruhemann jest typowym angielskim liberałem, z wielkimi sympatiami dla socjalizmu.

— Chcecie mi sypnąć piaskiem w oczy? Ruhemann nie jest kontrrewolucjonistą?! Więc waszym zdaniem angielscy liberałowie stoją *po stronie* socjalistycznej rewolucji?

— Nie, nie stoją.

— Zatem są *przeciw* rewolucji. Kto nie jest po stronie rewolucji, ten jest przeciw rewolucji, ten jest właśnie kontrrewolucjonistą.

— Jestem bezsilny wobec tej logiki. Kontrrewolucjonistą w moim rozumieniu jest ktoś, kto aktywnie walczy przeciw rewolucji, a nie demokrata brytyjski, który patrzy na eksperyment sowiecki z wyraźną sympatią.

— Nie udawajcie naiwnego, wiecie zupełnie dokładnie, kim jest Ruhemann. Utajony wróg, który pod jowialną maską wykonywuje brudną robotę angielskiej centrali szpiegowskiej. No, a teraz przechodzimy do herszta całej bandy, do Aleksandra Iljicza Leipunskiego. Jeden szczegół jest tu dla nas niejasny. Czy wy zwerbowaliście Leipunskiego, czy on was?

— Do czego zwerbował?

— To przecież jasne. Do kontrrewolucyjnej organizacji bucharinowskiej.

— Ani on mnie, ani ja jego. Jeśli jednak tak pójdzie dalej, to okaże się, że w Instytucie byli sami wrogowie. Najznakomitszy

fizyk Związku Sowieckiego, Landau, jest wrogiem. Aleksander Iljicz Leipunski, młody komunista i syn robotnika, szanowany i ceniony przez partię, najlepszy typ nowej inteligencji sowieckiej, jest dla was wrogiem. Kogo w takim razie uważacie jeszcze za dobrego?

Reznikow zerwał się, uderzył pięścią w stół, aż szklanka zadźwięczała:

— Ty skurwysynu, ty bandyto zagraniczny, ty brudny zdrajco ludu! Na co sobie pozwalasz? Chcesz jeszcze tutaj, w moim biurze, uprawiać agitację kontrrewolucyjną? Może ci tęskno za łaźnią!? Mogę bez trudu kazać ci stać tam przez tydzień!

Milczałem. Byłem śmiertelnie znudzony. Przerazała mnie myśl, że dziś także nie wrócę do celi.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł rosty, korpulentny gepista. Reznikow zerwał się. Podniosłem się także. Był to nowy kierownik oddziału, kapitan Tornujew. A więc Asak również odszedł. Później dowiedziałem się, że po samobójstwie Maso, naczelnika charkowskiego GPU, Asak został aresztowany. Reznikow zaraportował.

— Melduję, kapitanie, że ten bandyta jest najbardziej zakamieniałym wrogiem, jaki kiedykolwiek przechodził przez moje ręce. Jestem wprost bezradny. Ten człowiek mnie wykańcza.

Tornujew oświadczył na to: „Poruczniku, musicie połamać mu kości” i wyszedł.

Kapitan wypowiedział te groźne słowa w tak życzliwym tonie, że po prostu wcale mnie one nie zaniepokoiły. Także Reznikow złągodził ton i naraz zrobił się uprzejmy.

— Aleksandrze Siemionowiczu, później zrozumiecie, co dla was robię. Staram się ochronić was przed straszliwym losem, a wy uważacie mnie za swego wroga. Widzę jednak, że jesteście dzisiaj nieobliczalni. Idźcie teraz do celi. Możecie się przespać, a jutro rano napiszemy spokojnie pierwszy protokół. Inaczej nie ruszymy z miejsca.

Odetchnąłem i byłem mu rzetelnie wdzięczny.

Tę noc przespałem jak kamień. Nie obudził mnie świergot ptaków o wschodzie słońca. Wstałem dopiero wtedy, gdy strażnik przyniósł herbatę. Głowę miałem spokojną i lepszy humor. W myślach musiałem raz po raz wracać do niemal dobrodusznego tonu, jakim kapitan Tornujew wypowiedział straszne słowa: „Radzę wam, poruczniku, połamać mu kości”. Nowy naczelnik sprawiał wrażenie chłopskie. Asak był intelektualistą.

Potem przemyślałem raz jeszcze sytuację. Trudno było śledzić

bieg myśli Reznikowa. Zmieniał nieustannie taktykę. Teraz żądał czegoś bardzo niewinnego, czegoś, co mnie w ogóle nie obciążało. Miałem przestawić swych przyjaciół jako kontrrewolucjonistów. Do czego mu to było potrzebne? Nie wiedziałem, dokąd zmierza. Najlepiej zapytam go wprost.

Okazała się nastręczyła się przy następnym przesłuchaniu. Reznikow był w dobrym humorze i niemal uprzejmy.

Zapytałem:

— Czy rzeczywiście uważacie Leipunskiego za wroga?

— Za bardzo niebezpiecznego.

— Dlaczego więc cieszy się on powszechnym szacunkiem w kraju, obsypuje się go zaszczytami, jest członkiem Ukraińskiej Akademii Nauk i tak dalej?

— Czy macie pojęcie, ilu ludzi nosiło order Lenina, zanim zdemaskowaliśmy ich jako wrogów? Bardzo często czołowi ekonomiści otrzymywali od Najwyższego Sowietu najwyższe odznaczenia w tym samym dniu, kiedy ich aresztowaliśmy.

Chciałem zauważyć: „Zła kooperacja naczelnych organów sowieckich”, ale nie powiedziałem nic. Widocznie sam wyciągnął podobny wniosek z własnych słów i argumentował w dalszym ciągu.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Aby utrzymać pracę w tajemnicy, informujemy tylko naszych własnych przełożonych. Nasz najwyższy przełożony, generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego i ludowy komisarz spraw wewnętrznych, towarzysz Nikołaj Iwanowicz Jeżow (później sam aresztowany, A. W. C.), zdaje sprawę tylko towarzyszowi Stalinowi. Niestety może się przy tym zdarzyć, że wrogom uda się zmylić władze sowieckie i zebrać ordery i zaszczyty, zanim ich wsadzimy za kratę. Nie każdego też aresztujemy od razu. Obserwujemy go, aby za jednym zamachem zagarnąć całą sieć organizacji. Także i w sprawie Leipunskiego czekamy.

— Obywatelu sędzio śledczy, prawdopodobnie wasza taktyka jest słuszna, prowadzi ona jednak do tego, że najwyższe organy państwowe dają się wprowadzać w błąd. Jak więc możecie żądać ode mnie, bym zdemaskował podwójne oblicze Leipunskiego.

Myślał przez chwilę, a potem powiedział:

— Byliście druhem Leipunskiego, jego prawą ręką, a może nawet jego mocodawcą. Jeszcze nie całkiem jasno widzimy, jak podzielone były role.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale zaniechałem tego. Przecież to było beznadziejne. Ton przesłuchania zaostrzał się. Reznikow zaczął znowu kląć. Wyglądałem z rezygnacją przez okno. Nagle zrobił wolte.

— Poprzedniego razu żaliliście się, że was dręcę, nie daję spać i tak dalej. W rzeczywistości to wy mnie dręczycie. Nie widziałem jeszcze nigdy takiego więźnia jak wy. Jesteście po prostu jak kamień. Nie można się z wami uporać ani logiką ani przymusem. Zupełnie jakbyście niczego nie odczuwali. Siedzicie trzy miesiące w pojedynce. Inni już by zwariowali, a wy nawet się nie żalicie.

Nadstawiłem ucha.

— Jakże można na to się żalić? Takim samym prawem mógłbym się żalić, że mnie zamknęliście.

— To co innego. Wasze aresztowanie zatwierdził prokurator. Natomiast cela pojedyncza jest zastrzeżeniem pozbawienia wolności, o czym decyduje naczelnik oddziału. Możecie napisać podanie do kapitana Tornujewa i prosić o przeniesienie do celi zbiorowej. Może się zgodzi. — Na pewno to uczyni, jeśli nareszcie nabierzecie rozumu i przestaniecie sabotować śledztwo.

— Wiecie, że nigdy nie sabotowałem śledztwa. Walczę tu po prostu o przeprowadzenie dowodu mej niewinności, co jest moim dobrym prawem jako oskarżonego.

— Jestem w tej sprawie innego zdania. Ale ostatecznie napisanie podania do kapitana, to wasza sprawa. Osobiście nie będę protestował przeciwko jego decyzji. Być może pobyt w celi pojedynczej mąci wam umysł i odbiera zdolność zorientowania się w waszym prawdziwym położeniu.

— Czy mogę prosić o papier i atrament?

Podał mi jedno i drugie. Napisałem bezwzględnie krótkie podanie, prosząc o przeniesienie do celi zbiorowej. Reznikow kazał mnie odprowadzić.

— Kapitan Tornujew uwzględnił wasze podanie. Dziś wieczorem zostaniecie przeniesieni do celi zbiorowej. Ostrzegam was jednakże przed prowadzeniem kontrrewolucyjnych rozmów z waszymi towarzyszami celi. W przeciwnym bowiem razie powrócicie natychmiast do pojedynki, a ponadto będziecie musieli odpowiadać za to wobec prawa. Wiele z tego, co tu powiedzieliście w śledztwie, uznałby każdy prokurator za wykroczenie przeciw paragrafowi 54, 10, ukraińskiego kodeksu karnego. Musicie się do tego przyzwyczaić, że u nas obowiązują prawa, których także i cudzoziemiec nie może przekraczać.

Zadzwonił na strażnika. Przesłuchanie było skończone.

PROWOKATOR

Ledwie potrafiłem stłumić swą radość. Nareszcie widzieć znowu ludzi, dowiedzieć się, co się tu właściwie dzieje i co się dzieje poza więzieniem. Nie musiec wciąż beczynnie roztrząsać swoich losów. Będzie wspaniale. Każde przesłuchanie, każdy zwrot w śledztwie będę mógł potem omówić z przyjaciółmi w celi. Musi to być olbrzymia ulga.

Moja zupa stała na stoliku. Z podniecenia nie tknąłem jej. Podeszłem do okna i patrzyłem na oba drzewa, to kwitnące i opuszczone oraz to obumarłe i zamieszkałe przez niezliczone wróble. Jeszcze dziś się przeniosę.

Nagle zdjęła mnie nieufność. Do czego zmierzał Reznikow? Nie należało przecież przypuszczać, że w tym gmachu cokolwiek mogło się ze mną dzieć bez jego woli. Jak się to stało, że rozmowa zesłała na warunki mego bytu więziennego? On sam nią tak pokierował. Co prawda bardzo dyskretnie, na pozór przypadkowo. Ale „nie wierzymy w przypadki”, jak mówią zawsze enkawudyści. Może i ja zrobię dobrze, jeśli będę się trzymał tej zasady.

Nakazując przeniesienie mnie do celi zbiorowej, niewątpliwie Reznikow miał jakieś swoje zamiary. To, że musiałem napisać podanie do Tornujewa, służyło zapewne tylko jako kamuflaż. Mógł zarządzić moje przeniesienie bez tej okrężnej drogi, a fakt że ją wybrał, jest podwójnie podejrzany.

Być może posadził w nowej celi szpicla, który ma mnie wypytywać. Winienem być ostrożny.

Późnym popołudniem przyszedł zastępca naczelnika więzienia ze strażnikiem i kazał mi się rozebrać. Zrewidowali mnie bardzo starannie, potem kazali mi się ubrać, spakować rzeczy i iść za nimi. Zaprowadzili mnie o piętro wyżej do celi, położonej po

drugiej stronie i podobnej do mej pierwszej celi. Z okien rozciągał się widok na wielkie podwórze. W celi stały trzy łóżka. Gdy weszłem, podnieśli się dwaj więźniowie i przedstawili mi się.

Młodszy nazywał się Deinin. Włosy miał popielate, był średniego wzrostu, twarz ze śladami ospy. Po jego rękach poznać można było proletariusza. Sprawiał niezbyt uczciwe wrażenie. Z zawodu był elektromonterem i pracował w charkowskim Instytucie Materiałów Ogniotrwałych.

Drugi był godny uwagi. Wysoki, chudy, trochę pochylony do przodu. Wyniszczone rysy twarzy, wysokie czoło, granatowo-czarne włosy i przenikliwe oczy. Podałem mu rękę i wymieniłem nazwisko. Wymruczał „Rożanski” i przez chwilę przetrzymał moją rękę w swojej. Patrzyłem mu prosto w twarz i przez kilka sekund nie mogłem oderwać wzroku. Tak bardzo urzekła mnie demoniczność tych oczu. Potem zaczął mówić. Po kilku słowach było dla mnie jasne, że duch tego człowieka był adekwatny ciału.

Odpowiadałem monosylabami. Interesowało mnie pytanie, kto z nich dwóch jest prowokatorem. Zdecydowałem, że Rożanski. Położyłem rzeczy na pustym łóżku i usiadłem. Rożanski oparty o okno prowadził rozmowę z Deininem. Mówił długo. W celi zapadał zmierzch. Milczałem i oddawałem się całkowicie owemu dobroczyńnemu uspokojeniu, które przynosił mi każdy wieczór. Wpatrywałem się w ciemną sylwetkę pod oknem.

Kogo przypominał mi ten człowiek? Wyobraźnia moja w ten sposób zawsze odmalowywała sobie postać florentyńczyka Girolamo Savonaroli. Słowom jego towarzyszyły zamaszyste a mimo to kanciaste ruchy rąk. W głosie jego brzmiał stłumiony fanatyzm. Opowiadał Deininowi historię francuskiej Konwencji. Moje wejście przerwało jego opowiadanie. A teraz podjął je na nowo. Mówił o Robespierre i miałem wrażenie, że nie przypadkowo nadawał trybunowi wielkiej rewolucji burżuazyjnej rysy człowieka na Kremlu, który nas tu wszystkich trzymał za kratami. Śledziłem treść jego przemówienia tylko połowicznie. Fascynowała mnie jego postać. Raz po raz przychodziło mi na myśl, że gdyby ten człowiek zmienił swoją nędzną odzież na sutannę mnicha, zmartwychwstałby kacerz florentyński.

Rozmowy pierwszego dnia były powściągliwe. Nie opowiadałem niczego o swej sprawie. Również tamci dwaj mówili ostrożnie. Pomimo to dowiedziałem się wiele o sytuacji politycznej w kraju i w świecie. Rożanski należał do najbardziej wykształconych ludzi, jakich spotkałem w swym życiu. W Związku Sowieckim znałem tylko niewielu takich, którzy przyswoili sobie całą kulturę Zachodu. Wśród starych towarzyszy partyjnych z okresu przedrewolucyjnego było takich sporo, patrzyli oni jed-

nak na świat nieco dogmatycznie, przez okulary marksistowskiej teorii. Zagadnienia sztuki leżały najczęściej poza ich horyzontem. Rożanski był marksistą, ale nie ograniczał zainteresowań do problemów polityczno-socjologicznych. Nie było takiej książki, którą wymienilibym spośród angielskiej, francuskiej, niemieckiej lub włoskiej literatury pięknej, żeby jej nie znał. Był zadomowiony w klasycznej filozofii niemieckiej tak samo jak w ekonomice brytyjskiej i w racjonalizmie francuskim.

Mój — od dawna nie zaspakajany — głód tworców wyobraźni naukowej i artystycznej znajdował w rozmowach z nim znowu pokarm. Byłem odcięty od życia duchowego Europy i Ameryki — i to nie tylko od chwili mego aresztowania. Pochłaniały mnie całkowicie zadania bieżące. Od czasu, gdy zamieniłem pracę naukową na organizacyjno-techniczną nie miałem już nawet czasu na czytanie książek. Nowoczesna literatura Zachodu była mi z trudem dostępna. Literatura sowiecka znalazła się w owym czasie pod naciskiem dyktatorskiej kontroli. Dorywczo uciekałem jeszcze do dzieł wielkich klasyków rosyjskich. Ale i to bardzo rzadko. Najczęściej po skończeniu pracy byłem zbyt wyczerpany, aby pójść do teatru, aczkolwiek teatr w Rosji był wciąż jeszcze znakomity. Teraz, w więzieniu, w rozmowach z Rożanskim, powracałem do upodobań mej młodości. Jednego razu mówiliśmy o wielkich postaciach z czasów rozkwitu renesansu, innym razem o Szekspirze. W tym intelektualnym tenisie odbijaliśmy sobie nawzajem piłki i cieszyliśmy się, gdy ten drugi dobrze zaserwował. Odżyłem.

Rożanski był ubogi. Nie miał nikogo, kto by mu posyłał żywność lub pieniądze. Dzieliłem się z nim tym, co miałem. W pierwszych dniach niemal nie mówiliśmy o naszych sprawach osobistych. Dyskusowanie problemów ogólnych odsuwało wszystko na dalszy plan.

Sędzia śledczy zostawił mnie przez tydzień w spokoju. Przyszedłem do siebie i rozumiałem już teraz w pełni piękne powiedzenie z Eddy: „Człowiek raduje człowieka”.

W ciągu kilku dni po moim wprowadzeniu się, Rożanski i Deinin nabrali do mnie zaufania i opowiedzieli mi swe historie. Historia Deinina była nieinteresująca. Był bezpartyjnym robotnikiem i pod brzemieniem nędzy materialnej często wypowiadał uwagi, które gorliwi koledzy donosili do NKWD: nie można dostać chleba i smalcu, raczej są śmiesznie skąpe i tak dalej. Była to w rozumieniu kodeksu karnego agitacja kontrrewolucyjna. Paragraf 54, 10. Nie miało znaczenia, że krytyka Deinina była uzasadniona — chleb na wolnym rynku kosztował wiosną 1933 roku rzeczywiście 50 razy tyle, co wiosną 1927 roku przed rozpo-

częciem kolektywizacji, natomiast zarobki wzrosły tylko o około 60 procent. GPU uważało za agitację kontrrewolucyjną nawet stwierdzenie prawdziwych faktów, jeśli nie dogadzały one dzierżycielom władzy. Nie wolno było powiedzieć, że dawniej buty były lepsze, chociaż teraz po miesiącu czy dwóch po prostu rozlatywały się. W oczach NKWD nie decydowała prawdziwość jakiejś wypowiedzi, lecz jej tendencja. Oskarżeni sami, jak to później widziałem w setkach wypadków, nie podejmowali najmniejszej próby protestu przeciw temu kręctwu prawnemu, w większości wypadków kwestionowali tylko fakt takiej wypowiedzi. Byli jednak mocno przekonani — tak dalece byli zarażeni dialektyką enkawudystów — że człowiek chwalcący dawne obwie jest rzeczywiście winien zbrodni agitacji kontrrewolucyjnej.

Sprawa Rozańskiego była bardziej skomplikowana. Rozański był starym rewolucjonistą. W toku procesu komunistów rumuńskich z początkiem lat dwudziestych został i on aresztowany. Wszystkie tortury Sigurancy znosił po stoicku. Po odcierpieniu kary uciekł do Związku Sowieckiego. Odgrywał tam początkowo wielką rolę, lecz w latach 1925 do 1927 sympatyzował z opozycją trockistowską. Przez jakiś czas zajmował stanowisko instruktora politycznego przy charkowskim NKWD. W tym czasie poznał bardzo dokładnie wewnętrzny mechanizm tajnej policji. Mówił o tym mało. Widocznie wciąż jeszcze wiązała go wojskowa dyscyplina tej organizacji. Po zlikwidowaniu opozycji przydzielano mu coraz to niższe funkcje. W końcu był kierownikiem oddziału kadr w pewnym truście w Charkowie. Stamtąd zabrano go do więzienia.

Nigdy nie rozgryżłem jego sprawy dokładnie. Mówił o niej niejasno. Nigdy też nie zapewniał o swojej niewinności. Stawiane mu zarzuty dotyczyły zawsze tylko rozmów. Czasem rozmów o rozmowach innych osób. Nigdzie w całym oskarżeniu nie było konkretnego obwinienia. Jednakże Rozański uważał, że go słusznie oskarżono. Jego postawa w celi była postawą człowieka jak najbardziej oddanego partii, rządowi, socjalizmowi. Uważał za rzecz samą przez się zrozumiałą, że także i w swojej obecnej sytuacji powinien zawsze bronić władzy sowieckiej.

Trzeciego dnia po moim przybyciu zapytał mnie o moją sprawę. Opowiedziałem mu to i owo. Zapytał:

- Do czego przyznaliście się?
- Do niczego. Niczego złego nie zrobiłem.
- Nie rozumiem. Jaką część oskarżenia zaakceptowaliście?
- Już wam powiedziałem, że jestem całkowicie niewinny.
- Obaj roześmieli się. Potem Deinin wmieszał się do rozmowy.

— A któż jest winny? Czy ja jestem winny?

— Teraz ja nie rozumiem — zwróciłem się do Deinina. — Czy chcecie przez to powiedzieć, że zaakceptowalibyście fałszywe oskarżenia?

— Naturalnie, a jak można inaczej. Stąd nikt nie wychodzi jako niewinny.

Spojrzałem pytająco na Rozańskiego, jak gdybym prosił go o wyjaśnienie Rozański zaczął:

— Powiedźcie, Aleksandrze Siemionowiczu, jak długo już siedzicie?

— Z górą trzy miesiące.

— I jeszcze jesteście tacy naiwni.

— Absolutnie nie rozumiem waszych słów. Co ma wspólnego moja niewinność z moją naiwnością?

— Aleksandrze Siemionowiczu — powiedział Rozański — jesteście przecież człowiekiem dorosłym. Czy wierzycie, że jesteśmy przestępcami przeciw władzy sowieckiej?

— Właściwie po tym wszystkim, co mi opowiedzieliście, nie wierzę.

— A jednak Deinin, tak samo jak ja, potwierdził wszystkie oskarżenia.

— No tak, ale dlaczego? Kto was zmusza do tego, by przyznawać się do czegoś, co nie jest prawdą?!

Rozański spojrzał na Deinina i wskazał na mnie wzrokiem, potrząsając przy tym głową tak, jakby chciał dać do poznania, że jestem niespełna rozumu.

— Towarzyszu Rozański, wyjaśnijcie mi, co się tu dzieje. Dlaczego dorośli ludzie, tacy jak wy i towarzyszu Deinin, przyznają się do rzeczy niepopelnionych?

— Czy wam tego do tej pory nikt nie wyjaśnił?

— Nie, siedziałem w pojedynce.

— Zapomniałem o tym. Osobiście uważam za swój obowiązek partyjny przyznać się do tego, czego żąda ode mnie sędzia śledczy.

— Rozański, czyście zwariowali! Chcecie się przyznać do czegoś, co nie jest prawdą?

— Od jak dawna jesteście w Związku Sowieckim?

— Od sześciu lat.

— Sześć lat jesteście u nas. Jesteście partyjnikiem i posługujecie się burżuazyjnymi pojęciami prawdy i kłamstwa, pozbawionymi całkowicie sensu w zastosowaniu do naszych stosunków. Ale nie chcę na ten temat dyskutować z wami, ostatecznie to jest wasza sprawa. Dziwi mnie jednak, że sędzia śledczy tolerował waszą postawę.

— Cóż mógł zrobić? Po prostu odmawiałem podpisania czegokolwiek, co nie odpowiadałoby prawdzie.

Obaj spojrzeli na mnie z szczerym zdumieniem. Potem Rożanski mówił dalej:

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie wiem, jak ustosunkowuje się sędzia śledczy do cudzoziemców. Obywatel sowiecki nie mógłby tu przesiedzieć dwóch miesięcy nie przyznawszy się.

— Ależ na litość boską, po prostu *nie mam się* do czego przyznawać! Przyjmijcie to przecież do wiadomości.

— Mówicie jak dziecko. Kto z nas ma się do czego przyznać? Istnieją pewne konieczności polityczne i partia ma prawo żądać od partyjników, by się podporządkowali koniecznościom.

Zakreśliło mi się w głowie. Nareszcie natrafiłem na postawę towarzyszy rosyjskich znaną mi z wielkich procesów, a całkowicie dla mnie nie do pojęcia. Początkowo myślałem, że Rożanski chce mnie po prostu sprowokować. Spojrzałem mu jednak w oczy i zrozumiałem, że mówił ze śmiertelną powagą.

— Towarzyszu Rożanski, czy sądzicie, że obowiązkiem towarzysza partyjnego jest podpisywanie rzeczy po prostu nieprawdziwych?

— Sądzę, że obowiązkiem komunisty jest podporządkowanie się na każdym etapie walki koniecznościom walki.

— Wszystko to jest na mój rozum zbyt skomplikowane. Czy mam powiedzieć, że byłem szpiegiem, jeśli nim nie byłem? Co ma z tego partia?!

— Nie musicie mówić, że byliście szpiegiem. Sądząc z tego wszystkiego, co opowiadaliście, śledztwo wcale tego od was nie wymaga. Winniście mieć słuch na tyle wyostrzony, by wyczuć czego sędzia śledczy w waszej sprawie rzeczywiście potrzebuje. I do tego powinniście się przyznać, właśnie dlatego, aby nie dopuścić do zrobienia z was szpiega.

— Wszystko co mówicie jest przecież najczystszy szaleństwem. Brak mi po prostu słów na scharakteryzowanie tego.

— W takim razie nie mówmy na ten temat. Sądzę tylko, że sędzia śledczy nie będzie już długo znosił waszej postawy.

— A cóż on może zrobić, jeśli nie dam się zmusić?

— Aleksandrze Siemionowiczu, po prostu ośmieszacie się. Jeśli zechce was zmusić, to w przeciągu jednego, dwóch tygodni załamięcie się dokładnie tak samo jak wszyscy inni i przyznacie się do wszystkiego co trzeba. Jestem zdania, że powinniście nie dopuścić do tego i na czas pogodzić się z sędzią śledczym. Siedzę już długo, ale nie spotkałem się dotąd z taką sprawą jak wasza. Sprawa ta jednak denerwuje mnie tak dalece, że już nie chcę więcej o niej mówić.

Milczał zagniewany, jak gdybym wyrządził mu coś złego. Złapałem się za głowę. Czy dostałem się do domu wariatów? Oto siedzą tu niewinni ludzie i przyznają się do tego, czego żąda od nich ich gnębiel. Bronią oni nie tylko ogólnych interesów systemu społecznego — co ja też czyniłem — bronią także bezpośrednich kroków represyjnych, skierowanych przeciwko nim samym. Role są po prostu odwrócone.

Szorstkie przerwanie rozmowy stworzyło nieco napiętą atmosferę. Moje późniejsze doświadczenia wykazały mi, że cela więzienna jest niezwykle czułym organizmem. Nastrój całej celi układa się wedle nastroju jej najbardziej zdeprymowanego mieszkańca. Człowiek nieprzyjemny może dwudziestu innym zamienić życie w piekło.

Zastanawiałem się, dlaczego Rożanski tak się obraził. Znalazłem wytłumaczenie psychologiczne. Człowiek ten był starym rewolucjonistą. Nie potrafił oprzeć się naciskowi fizycznemu w więzieniu NKWD. Może wstydził się swej słabości i każdy stawiający opór przypominał mu jego własną hańbę, każdy działał na niego w tym sensie prowokacyjnie. Wszystko, co mówił o wierności dla partii i tym podobnym było tylko nadbudową ideologiczną, aby usprawiedliwić kapitulację przed sobą samym.

Po południu tegoż dnia Rożanski zaproponował grę intelektualną. Wybierało się jakąś wielką postać historyczną, wodza, artystę, uczonego lub męża stanu i ktoś z towarzystwa, kto nie był wtajemniczony, miał odgadnąć nazwisko tej postaci. Wolno mu było postawić dziesięć zapytań, na które pozostali mogli odpowiedzieć tylko „tak” lub „nie”. Pytaniami tymi pod względem czasu, miejsca i zawodu zawęzał coraz bardziej dziedzinę, z której wywodziła się wybrana postać, aż wreszcie odgadywał ją. Właściwe stawianie pytań było sprawą zręczności intelektualnej.

Gra ta pozwoliła mi w ciągu następnego tygodnia zupełnie zapomnieć o otoczeniu, w którym się znajdowałem. Właściwie udział w grze brał tylko Rożanski i ja. Deinin ledwo znał ze słyszenia nazwiska, które w grze wysuwaliśmy. Wyszukiwaliśmy coraz to bardziej odległe w czasie postacie historyczne. Badaliśmy w tej grze rozwój intelektualny i stopień wykształcenia partnera i stwierdzaliśmy z przyjemnością, że jesteśmy sobie niemal równi. Miałem czasem wyrzuty sumienia w stosunku do Dejinina i obawiałem się, że budzimy w nim kompleks niższości.

W kilka dni później doszło do gwałtownego sporu pomiędzy mną a Dejininem. Zaatakował on system akordowy w gospodarce sowieckiej. Tym razem ja broniłem interesów państwa. Dejinin powiedział:

— Dawniej walczyło się stale przeciw zarobkom akordowym i przeciw śrubowaniu norm pracy, a teraz robi się u nas to samo na znacznie większą skalę. U nas w ogóle nie ma już zarobków godzinowych, wszyscy pracują na akord i zamęczają się przy tym na śmierć. Dawniej bojkotowało się takich, którzy chcieli bić rekordy i zmuszali innych do pracy w takim samym tempie. Teraz stali się oni bohaterami. Słabsi zaś nie mogą nadążyć i zdychają z głodu.

— Ależ towarzyszu Deinin, czy nie rozumiecie, że to co innego pracować dla kapitalistów, a co innego dla własnego państwa.

— Co ma robotnik z tego, jeśli musi więcej harować, a nie może kupić sobie nawet pary przyzwoitych butów?

— Towarzyszu Deinin, nadwartość, pochodząca ze wzmożonej wydajności pracy, idzie teraz do kasy państwa, to znaczy przynosi korzyść ogółowi klasy robotniczej kraju.

— W takim razie dlaczego powodzi się nam teraz gorzej niż dawniej?

— W każdym razie nie z powodu systemu akordowego. Nadwartość ze wzmożonej wydajności pracy proletariuszy nie jest już teraz trwoniona przez wyzyskiwaczy. Jednakże mamy teraz zadania, których dawniej nie mieliśmy. Musimy w krótkim okresie czasu dogonić kraje kapitalistyczne, musimy zbudować wielki przemysł i zaopatrzyć nasze skolektywizowane rolnictwo w traktory, młockarnie i nawozy sztuczne. Musimy uzbroić naszą armię, abyśmy w razie ataku nie byli bezbronni. Jest zrozumiałe, że w takim okresie państwo rości sobie prawo do bardzo wielkiej części produktu społecznego, aby pokryć inwestycje i wydatki zbrojeniowe. Nie możemy przeznaczać więcej na spożycie, ponieważ budujemy i musimy się uzbroić.

— Towarzyszu Weissberg, słyszymy to już od dziesięciu lat. Mówi nam to każdy mówca z agitpropu na każdym zgromadzeniu. Ale na początku mówiono nam, że musimy wykonać plan pięcioletni, a potem będziemy mieli ziemię obiecaną, potem będziemy żyli z dochodów wielkich fabryk i to dobrze żyli. Wykonaliśmy plan pięcioletni, ustanowiliśmy drugi plan pięcioletni. On też się skończył i wciąż jest jeszcze o wiele gorzej niż przed obu pięcioletkami. Rozumiem, że musimy wydawać wiele pieniędzy na inwestycje. Ale przecież powinniśmy mieć już teraz pożytek z pieniędzy, zainwestowanych w minionych dziesięciu latach. W latach 1931, 1932 i 1933 nie mogłem kupić ze swego zarobku nawet piątej części tego, co za to samo kupowałem w ciągu trzech lat 1924, 1925 i 1926. Coś się tu nie zgadza. Nie widać poprawy.

Podziwiałem jak ten robotnik jasno widział sytuację. W latach ubiegłych często rozmawiałem z proletariuszami. Słyszałem bardzo często gorzkie skargi, lecz nikt nie zanalizował sytuacji tak ostro jak Deinin. Być może wszyscy myśleli tak samo, unikali jednak swobodnego wypowiedzania się. Być może cela więzienna jest w Związku Sowieckim jedynym miejscem, w którym możliwa jest jeszcze swobodna dyskusja.

Po kolacji zaprowadził nas strażnik do ustępu. Deinin załatwił się szybciej i powrócił do celi. Rożanski i ja wracaliśmy później. W tym krótkim odstępie czasu przystąpił do mnie Rożanski i powiedział szepem:

— Aleksandrze Siemionowiczu, bądźcie ostrożni. Nie wdawajcie się w rozmowy z Deininem. To człowiek niepewny.

— W jakim sensie, nie rozumiem was?

— Nie mam na to dowodu, ale jestem przekonany, że to szpicel NKWD. Mam w tych sprawach bardzo wielkie doświadczenie oraz instynkt, który mnie rzadko zawodzi.

— Ależ zrozumcie, że nie *jestem* kontrrewolucjonistą. Czego może dowiedzieć się ode mnie szpicel? Nie prowadzę rozmów kontrrewolucyjnych.

— Towarzyszu Weissberg, jesteście naiwni i nie znacie stosunków w naszym kraju. Taki agent musi swemu mocodawcy dostarczyć materiał. A jeśli go nie ma, to zmyśla. Po prostu przekręci wasze wypowiedzi tak, że nabiorą one odcienia kontrrewolucyjnego.

— Może to jednak zrobić nawet bez rozmawiania ze mną.

— Tak jest, lecz bez rozmawiania z wami nie znajdzie punktów zaczepienia, do których mógłby nawiązać. Poza tym róbcie co chcecie, ale w waszym własnym interesie radzę wam być ostrożnym.

Długo zastanawiałem się nad tą rozmową z Rożanskim. Dotychczas wciąż jeszcze nie pozbyłem się lekkiego podejrzenia, że Rożanski wykonywuje w naszej celi jakieś zadania, poruczone mu przez sędziego śledczego. Jego osobliwe stanowisko co do „prawdziwości” zeznań pozostawało dla mnie wciąż niezrozumiałe. Człowiek ten był jednak inny od przeciętnych ludzi. W jego wypowiedziach kładłem bardzo wiele na karb jego dawnych przeżyć i pewnej neurozy więziennej. Moje podejrzenia powoli wygaszały. Teraz, gdy ostrzegał mnie przed Deininem, zjednał mnie sobie zupełnie. Znalazłem też nowe wytłumaczenie dla jego postępowania. Być może obawiał się szpicla Deinina i jego sprawozdań, składanych sędziemu śledczemu. Być może z tego właśnie powodu chciał obroną NKWD stworzyć pozory swej wielkiej

lojalności. Jednakże teoria ta nie mogła być całkowicie przekonywująca. Mówił on wówczas ze swoicie religijnym przeświadczeniem. Patrzył na mnie jak na wroga, podnoszącego rękę na wszystko, co najświętsze. Człowiek nie może maskować się do tego stopnia — i to człowiek o tak silnym temperamencie jak Rożanski.

Nocy tej długo nie mogłem zasnąć. Mózg mój gorączkowo szukał orientacji. Co się tu dzieje? Czy faktycznie Deinin jest szpiclem? Czy Rożanski się go obawia? I dlatego odgrywał komedię? W takim wypadku mógł jednakże odczekać, aż Deinin zaśnie i potem mówić ze mną szczerze. Do tej pory nie uczynił żadnej takiej próby. Ale może obawiał się mnie tak samo, jak i Deinina? W atmosferze NKWD traciło się poczucie proporcji. Nawet tam, na wolności, po wielkich procesach ludzie już nie wiedzieli, kto był prześladowanym, a kto prześladowcą. Cóż dopiero tutaj. Z drugiej strony Deinin rozmawiał tak, jak gdyby nie trzeba się tu niczego obawiać. Być może kryła go umowa z sędzią śledczym.

Rozbolała mnie głowa. Nie wiedziałem już co sądzić. Jedno było pewne: Rożanski był mi sympatyczny. Był to człowiek o silnych namietnościach. Taki nie nadaje się na szpicla. Deinina nie znosiłem.

Leżałem już tak kilka godzin, gdy zauważyłem, że i Rożanski nie śpi. Wstał, przyszedł do mnie i usiadł na mym łóżku. Zaczęliśmy rozmowę szeptem.

— Towarzyszu Rożanski, Deinin śpi. Proszę, powiedzcie mi teraz, czy wszystko, co powiedzieliście mi przedwczoraj, braliście na serio?

— Jak najbardziej. Nigdy w tych sprawach nie żartuję.

— No tak, ale na litość boską jaki sens może mieć składanie fałszywych zeznań?

— Aleksandrze Siemionowiczu, nikt z nas nie zna w całości sensu tego co się teraz dzieje. Cała stara gwardia rewolucji ulega wytopieniu. Niemal nikt z tych, którzy przed rokiem 1917 należeli do partii, nie pozostał na wolności. Likwiduje się nie tylko wszystkich, którzy sympatyzowali z opozycją, nie tylko zwolenników Trockiego, Bucharina, Zinowiewa, ale także wszystkich zwykłych towarzyszy partyjnych z dawnych czasów, wszystkich starych rewolucjonistów, wszystkich byłych mienszewików i socjalrewolucjonistów, krótko mówiąc wszystko, co miało oblicze polityczne i co jeszcze znało czasy przedrewolucyjne. Jak gdyby przechodziła przez kraj katastrofa żywiołowa, huragan. Czy pytacie orkan, skąd przychodzi i dokąd idzie? Czy daje on wam odpowiedź? Nie, możecie tylko przycupnąć, aby nie ulec zmiążdżeniu. Burza wyrwa wielkie stare drzewa z korzeniami i łamie

je, lecz trawa burzę przetrzymuje. Żdźbła pochylają się, a potem znowu się podnoszą. Radzę wam się pochylić.

— No tak, ale komu służy ten orkan?

— Tego nie wiemy. Możemy tylko spodziewać się, że ten co idzie na czele widzi cel. Być może, ujrzymy go kiedyś wszyscy, o ile przedtem nie zginiemy. Sądzę, że podporządkowanie się jest naszym obowiązkiem. Obowiązkiem wobec ruchu i obowiązkiem wobec siebie samego.

— Dlaczego wobec nas samych? Czy mamy się pohańbić w imię celu, którego nie znamy?

— Aleksandrze Siemionowiczu, walczyście o honor munduru, przybyliście do naszego kraju z pojęciami, nie nadającymi się do naszej epoki. Tak działać mógł Ferdynand Lassalle, gdy pozwolił rumuńskiemu bojarowi zastrzelić się, by ratować honor arystokratycznej dziewczki. My nie znamy pojęcia burżuazyjnego honoru oficerskiego. Znamy tylko cel, cel ostateczny.

— Ależ właśnie tego celu ostatecznego nie widzicie.

— Na zakręcie drogi straciliśmy go z oczu, ale Stalin wie, gdzie on się znajduje. Na następnym zakręcie drogi ujrzymy go znowu.

Milczałem i patrzyłem na tego człowieka. Wychudł na szkielet. Na pewno był suchotnikiem. Mało było prawdopodobne, że przeżyje to więzienie, by raz jeszcze ujrzeć cel. Jak się zdaje, odgadł on moje myśli, gdyż wstał i powiedział:

— Aleksandrze Siemionowiczu, być może, że ja sam nie dożyję już wolności. Ale poczucie, że poświęciłem się zupełnie sprawie, która była gwiazdą przewodnią mojej młodości i że nawet w najciemniejszej nocy nie dałem się zbici z tropu, przywraca mi spokój ducha. Cel walki był wart tego, by w przebiegu setek lat poświęciły się dla niego miliony najlepszych ludzi wszystkich narodów. Jest on wart także i tego, by zginął dla niego jeszcze i niejaki Rożanski. Aleksandrze Siemionowiczu, wasza postawa jest bez sensu. Jesteśmy za słabi, by płynąć przeciw prądowi. Prąd jest zbyt rwący. Głazy, które z sobą niesie, zmiażdżą was, jeśli mu się przeciwstawicie. Zaufajcie prądowi, a znajdziecie spokój. Być może, dobiejecie kiedyś do spokojnego brzegu.

Położył się znowu. Nie odpowiedziałem. Miałem uczucie, że w rozmowach z Rożanskim zacierają się we mnie jasne i proste pojęcia dobrego i złego, prawdy i fałszu oraz ich mierniki. Zaczynałem wątpić w słuszność swej sprawy. Powiedziałem sobie, że w mej sytuacji nie ma nic gorszego. Broniełem się przed trucizną, sączoną jego słowami kropla po kropli do mego mózgu. Jednakże w ciągu następnego tygodnia czułem, że jego siła sugestii powoli przewycięża moją wolę.

W dwa dni później wezwał mnie Reznikow. Był w dobrym nastroju.

— No, i jak się czujecie w nowym otoczeniu?

— Dziękuję, o wiele lepiej.

— Widzicie zatem, że nie jesteśmy potworami. Mam nadzieję, że i wy przestaniecie nas dręczyć. Musimy się wreszcie pogodzić i doprowadzić rzecz do końca.

Wziął kilka kartek i zaczął protokołować.

— Powracam raz jeszcze do sprawy Andersa. Przyznaliście, że wygłosiliście wobec Andersa bucharinowskie wypowiedzi.

— Nigdy tego nie przyznałem.

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy chcecie, nas znowu prowokować? Czy sądzicie, że wszystko będziemy znosili? To przecież czysta prawda, że prowadziliście te rozmowy z Andersem. Anders to poświadcza i wy sami przyznaliście to dawniej!

— Przyznałem, że prowadziłem rozmowy z Andersem i że krytykowałem różne urządzenia naszego państwa. Zaprzeczam jednak, by krytyka moja miała treść kontrrewolucyjną i bym ją przeprowadzał w jakimkolwiek związku z Bucharinem.

— Zatem wszystko wymyśliliście sobie sami. Ani Leipunski, ani sam Bucharin nie dali wam żadnych dyrektyw?!

— Żadnych dyrektyw.

— Znaliście Bucharina?

— Widziałem go wielokrotnie w ludowym komisariacie. Ostatecznie, był on naszym bezpośrednim przełożonym.

— Kto was poznał z Bucharinem? I przy jakiej okazji?

— Leipunski przedstawił mnie Bucharinowi. Było to latem 1931 roku. Poszliśmy do Bucharina, by uzyskać pozwolenie na założenie czasopisma poświęconego zagadnieniom fizyki w Związku Sowieckim.

Przybyłem do Związku Sowieckiego wiosną 1931 roku. Prace fizyków rosyjskich były do tej pory drukowane niemal wyłącznie w czasopismach zagranicznych, w pierwszym rzędzie w niemieckiej „Zeitschrift für Physik”. Brakowało centralnego organu fizyki rosyjskiej w jakimkolwiek języku światowym. Fizycy sowieccy nie chcieli ogłaszać swych prac w języku rosyjskim, gdyż w ten sposób izolowaliby się od europejskiego i amerykańskiego życia naukowego. Trzeba uwzględnić, że fizycy całego świata tworzą jedną rodzinę i że postęp naukowy dokonuje się drogą intensywnej wymiany poglądów. W Leningradzie, w Pasadenie, w Cambridge i w Berlinie pracują ludzie nad tymi samymi zagadnieniami. Każdy mały zabieg, zastosowany przez tego czy innego fizyka gdziekolwiek w świecie, natychmiast po opublikowaniu jego pracy staje się wspólną własnością całego świata. Wszyscy fizycy w świecie znali niemiecki i angielski, przeważnie także francuski. Rosyjskiego nie znał żaden. Dlatego fizycy sowieccy publikowali swe prace w czasopismach angielskich i niemieckich.

Zaproponowałem założenie w Charkowie centralnego pisma poświęconego fizyce rosyjskiej, wydawanego w języku angielskim i niemieckim. Przyjaciele w Instytucie przyjęli ten projekt zyczliwie. Miałem razem z Leipunskim przedłożyć sprawę Komitetowi Centralnemu w Moskwie. Byłem podówczas dopiero od kilku tygodni w Rosji i nie umiałem jeszcze ani słowa po rosyjsku. Bucharin przyjął nas bardzo przyjaźnie. Aleksander Iljicz zreferował mu sprawę. Bucharin, zwracając się potem do mnie, zagadał po rosyjsku. Gdy Leipunski zwrócił mu uwagę, że nie rozumiem tego języka, przeszedł na angielski, a potem na niemiecki. Podziwiałem, jak znakomicie opanował te języki. Bucharin w tym czasie zakończył już swoją karierę polityczną. Partia dała mu stanowisko — jak na jego kaliber — bez znaczenia. Był kierownikiem sektora naukowego w Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego. Praca administracyjna w jego resorcie zajmowała go tylko niewiele. Bucharin nie był organizatorem, jak Piatakow. Był raczej myślicielem i artystą. Na mnie czynił wrażenie *animae candidae*. Było dla mnie często niezrozumiałe, jak ten pięknoduch mógł wytrzymać zaciętą walkę, bez której nikt nie może dojść do kierowniczego stanowiska w partii. A przecież Bucharin przez pewien okres czasu prowadził partię razem ze Stalinem. U boku Stalina rozgrywał walkę przeciw opozycji Trockiego i Zinowiewa. Dopiero po zniszczeniu opozycji trockistowskiej i zinowiewowskiej Stalin odsunął Bucharina na bok. Do tego czasu Bucharin znajdował się na drugim miejscu w Związku Sowieckim i na pierwszym miejscu w Kominternie. Po odejściu Zinowiewa został wybrany przewodniczącym Międzynarodówki Komunistycznej. Bucharin był drobnej postaci. Jego delikatne rysy twarzy i spokojny, niemal subtelny sposób mówienia, zjednywały mu natychmiast każdego, kto z nim rozmawiał. Po kilku słowach zdobyłem go dla mojego planu. Siadł przy biurku, napisał odręczny list do Komitetu Centralnego i wręczył go Leipunskiemu. W dwa tygodnie później Komitet Centralny wydał naszemu Instytutowi polecenie założenia czasopisma. Zostałem jego redaktorem.

Później spotkałem Bucharina jeszcze kilka razy w Ludowym Komisariacie. Gdy nasz Instytut czegoś potrzebował, zawsze nam chętnie pomagał. Miało się jednak wrażenie, że w tym gmachu, w którym bił puls wielkiego przemysłu, jest on przybłądą. Pewnego razu weszłem do jego gabinetu — na sztalugach stał jakiś krajobraz. Bucharin zapytał mnie, jak mi się podoba. On sam go malował. O ile pamiętam, obraz ten i jeszcze inny obraz Bucharina wystawiane były w moskiewskiej galerii. Ponadto Bucharin zajmował się bardzo wiele pracami literackimi. Pisał rozprawy o Goethem i Heinem. Artykułów ekonomicznych i politycznych nie publikował od czasu odsunięcia go od władzy. Później opuścił Ludowy Komisariat i objął redakcję naczelną „Izwestii”. Latem 1936 roku, w czasie gdy rozpoczynały się wielkie procesy, Bucharin przebywał za granicą. O ile wiem, szukał wypoczynku na francuskiej Riwierze. Platschek spotkał go w Kopenhadze i zamienił z nim kilka słów. Teraz, gdy piszę te słowa, myślę o tym, jak ślepo ci ludzie szli w swe własne nieszczęście. Bucharin powrócił do Związku Sowieckiego chociaż w owym czasie Stalin poczynił już wszystkie przygotowania do zniszczenia dawnego opozycjonisty. W kilka miesięcy później, gdy Radek w procesie przeciwko Piatakowowi wymienił nazwisko Bucharina jako przywódcy kontrrewolucyjnej organizacji, Bucharin został aresztowany. Wiosną 1938 roku Bucharin, jak wszyscy inni, poszedł na śmierć. Winien był znać Stalina. Był jego przyjacielem, razem z nim w roku 1927 pokonał opozycję Trockiego i Zinowiewa. Czyż nie spodziewał się po nim takiej zbrodni? Czy liczył na sentymenty starego przyjaciela? W moskiewskich sferach partyjnych opowiadało się zawsze, jak bardzo Stalin kochał Bucharina. Widocznie dyktator w szale umocnienia swej władzy nie zawahał się go poświęcić. Lecz iluż innych postąpiło równie naiwnie jak Bucharin i w przekonaniu o swej nie-

winności powróciło. W jednym z pierwszych procesów wymienił ktoś generała Putnę, jednego z najznakomitszych wojskowych rosyjskich, jako współuczestnika spisku i szpiega. Putna był wówczas attaché wojskowym Związku Sowieckiego w Londynie. Nie bał się powrócić bezzwłocznie. Inni zaś nie bali się go aresztować i kazać go rozstrzelać jako niemieckiego i japońskiego szpiega, razem z marszałkiem Tuchaczewskim, Jakirem i innymi najwybitniejszymi generałami. Który szpieg powróciłby po zdemaskowaniu? Czy Putna, gdy decydował się na powrót, wierzył w winę szesnastu innych, którzy zostali rozstrzelani? A jeśli — co jest prawdopodobne — w nią nie wierzył, dlaczego w takim razie powrócił? Dlaczego naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo? Czy może sądził, że lojalność jego postawy wobec państwa i partii rozbroi Stalina i jego siepaczy?

Powracam jednak do mego przesłuchania. Reznikow zanotował sobie dokładne daty moich wizyt u Bucharina. Nie wiedziałem dlaczego przywiązuje taką wagę do tych spraw. Coraz bardziej nalegał na odtworzenie każdego szczegółu. No cóż, w ostatnich latach spędziłem co najmniej trzecią część mego czasu w gmachu Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego w Moskwie. Niepodobnieństwem było, bym w tych warunkach mógł dokładnie określić daty spotkań sprzed szeregu lat.

Coraz częściej mówiłem: „Nie mogę już sobie tego przypomnieć, obywatelu poruczniku”.

— Macie dobrą pamięć, jeśli chodzi o sprawy mniejszego znaczenia. Sprawy, które dzisiaj omawiamy, w waszym własnym interesie będziecie musieli sobie bardzo dokładnie przypomnieć.

— Obywatelu poruczniku, miałem kilka, zresztą bardzo rzadkich spotkań z Bucharinem — i to wszystkie przed wielu laty. Odwiedzałem go w sprawach służbowych w okresie, gdy jeszcze kierował pracą naukową w ludowym komisariacie. Po jego ustąpieniu nigdy go już nie widziałem. Byłoby to poza tym wykluczone. Byłem cudzoziemcem i to bynajmniej nie czołową osobistością. W latach 1931 do 1934 Bucharin przyjął mnie kilka razy, by podpisać jakiś list lub zarządzenie, które mu przyniosłem. To wszystko.

— Nie wmówicie nam tego. Służbowy charakter miał tylko na celu maskowanie waszej tajnej roboty dywersyjnej. Sabotaż lat ostatnich, który nas niemal doprowadził do ruiny, posługiwał się we wszystkich komisariatach formą służbowych poleceń.

Przestałem już odpowiadać. Dyskusja nie miała żadnego celu.

— Przyznaliście, że prowadziliście walkę przeciwko systemowi racjonowania.

— To jest zbyt mocno sformułowane. Krytykowałem system racjonowania i zwracałem uwagę na jego przestarzałość. W naszym kraju od czasu kolektywizacji państwo reguluje dochody

obywateli. Nie ma już w naszej gospodarce żadnych źródeł pieniężnych, które nie byłyby pod kontrolą państwa. Jeśli jednak tak jest, to nie ma żadnego sensu — i to mówiłem często — regulować podział dóbr innymi środkami, jak tylko przy pomocy pieniądza. Państwo może wyznaczać ilość dóbr spożycia na poszczególną jednostkę w zależności od jej znaczenia i jej funkcji w gospodarce narodowej. Jedynie i wyłącznie przez regulowanie ilości pieniądza, otrzymywanej przez jednostkę, można się obejść bez racjonowania, jeśli przez słuszne ceny dostosuje się całość dochodu pieniężnego do całości wyprodukowanej masy dóbr spożycia. Kartki są swego rodzaju drugą walutą, którą wynagradza się obywateli za ich świadczenia. Uważam to za zbyt uczynne. I to powtarzałem wielokrotnie. Nic więcej.

— Uważaliście zatem za zbyt uczynne to, co rząd uważał za słuszne? I agitowaliście za waszym poglądem przeciw uchwałom partii i rządu?

— Tak jest, tak było.

— W takim razie przyznajecie się do agitacji kontrrewolucyjnej? Nareszcie doczekaliśmy się, że nabieracie rozumu.

— Nie mogę się w tym dopatrzeć żadnej agitacji kontrrewolucyjnej. Chciałem obalić nie rewolucję, lecz system kartkowy, który uważałem za szkodliwy.

— Nie jesteście ciekawi waszych mądrości. Wydaje się wam, że waszą dialektyką potraficie przekręcić najprostsze fakty. To się wam nie uda, Aleksandrze Siemionowiczu. Nie u nas. To nie przejdzie.

— A przecież sam rząd z końcem 1934 roku zrozumiał ten problem i zniósł system kartkowy.

Reznikow zaczął szaleć.

— Z taką bezczelnością nie spotkałem się jeszcze nigdy! Przyplątał się tu taki agent zagraniczny i chce pouczać naszą partię i nasz rząd, jak mają postępować. Nie jestem tu po to, by z wami dyskutować. Musi się to raz wreszcie skończyć. Ja tu wykrywam wasze zbrodnie, a do was należy tylko ich potwierdzenie i nazwanie rzeczy po imieniu. Rozważcie to sobie. Nie mamy dla was więcej czasu, musimy z wami skończyć. Wyczerpaliście naszą cierpliwość.

Kazał mnie odprowadzić.

Powróciłem do celi zdenerwowany. Opowiedziałem Rozańskiemu przebieg przesłuchania. Był oburzony.

— Aleksandrze Siemionowiczu, siedzę tu już kilka lat, znam setki spraw. Podobnej historii, jak wasza, nie przeżyłem do tej

pory. Po tym wszystkim twierdzenie, że nie ma przeciw wam żadnego materiału? Czy nie wiecie, że sam fakt utrzymywania stosunków z Bucharinem zaprowadził tysiące ludzi na Syberię? Przeciw nikomu z nas nie ma więcej materiału, jak przeciw wam. Prowadziliście przecież insynuowane rozmowy!

— Ależ one miały inny charakter!

— Czy zdaje się wam, że siedzicie w francuskim salonie, uprawiając krytykę literacką? Zrozumcie wreszcie, że Reznikow jest bolszewikiem. Jego zadaniem jest osłaniać partię i rząd. Gdyby się zajmował akceptowaniem waszych subtelnych różnic w charakteryzowaniu kontrrewolucyjnych rozmów, wkrótce siedziałby tu z nami.

Byłem zrozpaczony. Wiedziałem że w sprawie racjonowania ja miałem rację, nie rząd. Uważałem formę dystrybucji lat 1931, 1932, 1933 za istne szaleństwo i w roku 1934 rząd sam zniósł system kartkowy. Czyż w roku 1933 było kontrrewolucją to, co w dniu 1 grudnia 1934 roku wszystkie gazety sławiły jako mądrą politykę wodza — zniesienie systemu kartkowego? Zapytałem Rożanskiego o jego zdanie. Odpowiedział ostro:

— W roku 1933 stanowisko wasze było kontrrewolucyjne i bardzo niebezpieczne dla politycznej stabilizacji kraju. Od 1 grudnia 1934 roku zniesienie systemu kartkowego stało się koniecznością naszej gospodarki narodowej. Możecie na tym polegać, że Komitet Centralny stoi na straży historycznych interesów naszego kraju i klasy robotniczej świata. Gdy jakieś posunięcie jest potrzebne, Politbiuro wydaje konieczne polecenia we właściwym momencie.

Oślupiałem. Chciałem na ten temat kontynuować dyskusję z Rożanskim. Odmówił, wskazując ukradkiem na Deinina. Zrozumiałem go i czekałem na nadejście nocy.

W meritum sprawy mam do powiedzenia, co następuje. Przybyłem do Związku Sowieckiego w marcu 1931 roku. Był to trzeci rok pierwszej pięciolatki i kolektywizacji. Rząd zdławił całkowicie import dóbr spożycia, by zaoszczędzić waluty na zakup maszyn. Forsowało się eksport rosyjskich produktów rolnych. Już to musiało wywołać wielki brak artykułów żywnościowych i odzieży. Była to jednak tylko drugorzędna przyczyna katastrofy głodu, która spadła na kraj. Główną przyczyną było zniszczenie rolnictwa w czasie kolektywizacji. Chłopi wyrzynali bydło przed wejściem do kolektywów. Po pierwszych żniwach, za ciężką pracę całego roku nie dostali w kołchozie nic więcej, poza parą bezużytecznych sportowych pantofli zamiast potrzebnych im butów z cholewami, oraz kiepskiej jakości tekstyliami. Byli ciężko rozczarowani i po prostu przestali pracować. W pierwszych latach panowała w kołchozie tak zwana zasada „od gęby”, to znaczy każda rodzina chłopska otrzymywała udział w zbiorach w zależności od liczby jej członków — jej „gęb” — bez względu na wykonaną pracę. Gdy latem słońce przypiekało, chłopi zostawali w chałupach i każdy myślał sobie, niech inny pra-

cuje. Doprowadziło to wreszcie do całkowitej dezorganizacji gospodarki. Z każdym rokiem zbiory spadały coraz bardziej. Wreszcie, w roku 1932, osiągnęły zaledwie ułamek normalnych zbiorów. Ale państwo nie dbało o sytuację na wsi i rekwirowało bezwzględnie wszystko, co mu było potrzebne dla miasta i na eksport. Uprzemysłowienie kraju w owych latach finansowano częściowo przez powiększanie obiegu pieniężnego. Gdy w konsekwencji na wolnym rynku ceny wzrosły, państwo ustanowiło ceny maksymalne i regulowało dystrybucję przy pomocy systemu kart żywnościowych. W roku 1932 wartość pieniądza na wolnym rynku spadła do poziomu pięćdziesiątej części wartości pieniądza z roku 1927. Wprawdzie inflacja została zahamowana już z końcem 1931 roku, lecz nieustający zastój w produkcji wiejskiej zmniejszał podaż towaru. Państwo rekwirowało produkty wsi po śmiesznie niskich cenach. Chłopi szli do miasta, by nabyć chleb dla siebie i płacili za kilogram chleba więcej, niż otrzymywali od państwa za centnar zboża.

W roku 1932 proces kolektywizacji dobiegł końca. Każdy człowiek w Związku Sowieckim pobierał teraz dochody ze źródła kontrolowanego bezpośrednio przez państwo. Najprostszą rzeczą byłoby zatem zrewidować w tym momencie system cen, ustanowić — biorąc pod uwagę niską podaż towarów — słuszne ceny i znieść system kartkowy. System kartkowy obciążał kraj olbrzymim aparatem pasożytniczym: urzędnicy w dystrybucji artykułów żywnościowych kradli dużą część kartek. Ludzie, których etyka nie pozwoliłaby im kraść pieniądze, bez skrupułów przywłaszczali sobie nie przystługające im kartki. Nieliczne dobra spożycia, wytwarzane jeszcze przez słaby przemysł lekki, wyciekały nieuchwytnymi kanałami. Tylko niewiele z nich docierało do rąk czynnych produktywnie robotników i chłopów. Rozwinięty system gospodarki protekcyjnej marnotrawił towary. Byłem przekonany, że rewizja cen umożliwi powrót do wolnego rynku. Kraj mógł na tym tylko zyskać. Pozostałby tylko jeden miernik świadczeń produkcyjnych — pieniądz. Rząd miał możliwość przydzielać dochody pieniężne tak, jak to uważał za słuszne. Mógł dawać wyższe zarobki inżynierom, potrzebnym mu dla uprzemysłowienia, albo gepistom, potrzebnym mu dla bezpieczeństwa kraju, niż, na przykład, lekarzom lub nauczycielom, którzy w owym okresie budownictwa wydawali mu się mniej ważni. Tak czy owak, pewne warstwy były uprzywilejowane. Lecz uprzywilejowanie nosiło charakter ukryty i dlatego korumpujący. Gepiści za swoje 500 rubli miesięcznie mogli kupić więcej, niż nauczyciele za swoje 6.000 rubli w ciągu całego roku. Czekiści oprócz rubli otrzymywali jeszcze inną walutę w postaci specjalnych kart na artykuły żywnościowe, uprawniających ich do nabywania tanich artykułów spożywczych w specjalnych sklepach. W kraju nie było jednej waluty, lecz dwie: ruble i kartki. Ponieważ zaś każda kategoria towarów wymagała innych kartek, więc istniały setki odmian waluty. Ceny ustanawiano w drodze administracyjnej, zupełnie samowolnie. Gospodarka utraciła kryteria dla ustalania słusznych cen. Rząd zaś utracił wgląd w podział produktu narodowego. Dochód pieniężny przestał być dla robotników bodźcem do podnoszenia wydajności pracy. W każdym wypadku zarabiali oni niewielką sumę pieniężną, którą mogli zrealizować po niskich cenach w kooperatywach i w sklepach państwowych. Wszystko, co zarabiali ponadto, mogli wydawać jedynie na wolnym rynku po pięćdziesięciokrotnie wyższych cenach, a to nie było warte wzmózonego wysiłku. By dać tylko jeden przykład: Robotnik, zarabiający 50 rubli miesięcznie, mógł się za nie zaopatrzyć w głodowe racje, otrzymywane w kooperatywie po niskich cenach urzędowych. Jeśli się wysilił i wyprodukował trzy razy więcej, dostawał co prawda dwa razy większy zarobek, ale nie trzy razy więcej kart żywnościowych. Musiał zatem za dodatkowy zarobek 100 rubli kupować chleb po fantastycznych cenach wolnego rynku. I tak, wiosną 1933 roku, za dodatkowo zarobione 100 rubli otrzymywał tę samą ilość chleba, która w koope-

ratywie kosztowała 2 ruble. Faktycznie zarabiał zatem za trzykrotną wydajność pracy zamiast 50 rubli nie 150, lecz tylko 52 ruble.

Przy takich warunkach wynagrodzenia, agitacja za wzmoczeniem wydajności pracy musiała pozostać bez skutku.

Po zniesieniu systemu kartkowego zaczęli ludzie znowu rozumieć znaczenie pieniądza. Starali się znowu zarabiać, podczas gdy dawniej chcieli tylko wyłudzać kartki żywnościowe. Droga do pieniądza prowadziła przez wydajność pracy i wskaźniki produkcji wzrastały fantastycznie. Zaczęła się stachanowszczyzna. Wielu nie dostrzegało wówczas związku wewnętrznego pomiędzy tymi dwoma zjawiskami. Wszystko sprowadzało się do tego, że pieniądz stał się ponownie miernikiem gospodarki rosyjskiej. To właśnie stanowiło podstawę owej wielkiej fali racjonalizacji, którą świat znał pod nazwą systemu stachanowskiego.

W niezliczonych rozmowach z ekonomistami, partyjnikami, naukowcami i administratorami dyskutowałem już wcześniej kwestię zniesienia systemu kartkowego. Część komunistów — pamiętam na przykład rozmowę w domu ekonomisty Eugeniusza Wargi, którego młody syn gwałtownie mnie atakował — była zdania, że powrót do wolnego rynku, nawet gdyby to był wolny rynek państwowy, a więc nawet gdyby aparat handlowy pozostawał w ręku państwa, oznaczałby powrót do kapitalizmu. Komuniści ci byli zdania, że socjalizm oznacza repartycję dóbr spożycia do rąk każdego obywatela, a nie ich nabywanie wedle swobodnego uznania. Nie twierdzą, że ten fałszywy pogląd reprezentował w owych latach oficjalne zdanie partii. Po prostu nie dyskutowano tych spraw oficjalnie. Komitet Centralny zarówno wtedy, gdy zadekretował system kartkowy, jak i wtedy, gdy go zniósł, nie pytał o zdanie ani partii, ani tym bardziej opinii publicznej.

O wszystkim tym rozmyślałem owego popołudnia w celi więziennej. Czekałem bardzo niecierpliwie na nadejście nocy. Chciałem poznać prawdziwe zdanie Rożanskiego.

Nasza nocna rozmowa zaczęła się od banałów. Rożanski powtórzył to, co większość ludzi, nie zastanawiających się głębiej nad tą sprawą, ma do powiedzenia o gospodarce kierowanej. Do czasu żniw roku 1933 było w kraju za mało chleba. System kartkowy umożliwiał sprawiedliwy podział małego zasobu. Bez systemu kartkowego i cen maksymalnych mniej zamożni pozostaliby bez chleba. Nawet w państwach burżuazyjnych w razie gospodarczego stanu wyjątkowego, na przykład w czasie wojny, przechodzi się do systemu kartkowego. Odpowiedziałem:

— Rożanski, przecież jesteście mądrym człowiekiem. Czy nie rozumiecie różnicy między krajami kapitalistycznymi a nami? Od czasu ukończenia kolektywizacji rząd ustala, kto jest zamożny a kto nie. Rząd rozdziela cały dochód pieniężny narodu. Jak go dzieli, jest wyłącznie jego sprawą. Po co zatem dwa rodzaje banknotów, uprawniających do nabywania dóbr spożycia, ruble i kartki? Wystarczy jeden rodzaj — pieniądz.

Długo spieraliśmy się na ten temat. Nie chciałem zrozumieć, że w rzeczywistości od zakończenia kolektywizacji wszystkie źródła pieniężne były pod kontrolą rządu. Przyciskałem go coraz bardziej

do muru. Znajdował coraz to nowe wymówki. Wreszcie zabrakło mi cierpliwości.

— Moje stanowisko w tej sprawie może być albo słuszne albo fałszywe. Uważam je za słuszne, ale być może myślę się. Cóż to jednak ma wspólnego z rewolucją lub kontrrewolucją? Trzeba przecież mieć możność swobodnego dyskusowania takiego czy innego pociągnięcia gospodarczego w socjalistycznym kraju bez narażania się na konflikt z tajną policją.

— Aleksandrze Siemionowiczu, dziwny z was człowiek. Zyliscie tu siedem lat i poznaliscie nasz aparat gospodarczy tak dokladnie, jak niewielu obywateli sowieckich. Staliscie się dobrym administratorem i sledziliscie uważnie tendencje naszego rozwoju. Jednakże o pewnych stronach życia sowieckiego nie macie po prostu najmniejszego pojęcia. Mówicie w naszym kraju, jak gdybyśmy byli klubem dyskusyjnym typu angielskiego Fabian Society.

— Doprawdy nie rozumiem, co macie na myśli. Powiedzcie wreszcie otwarcie.

— Są rzeczy, których się otwarcie nie mówi. Istnieje pewna zmowa milczenia, wiążąca kierownictwo partyjne z ogółem masy partyjnej. Przekroczenie tej konwencji, choćby nawet przez stawianie niewygodnych pytań, jest aktem kontrrewolucyjnym.

— Rożanski, mówcie nareszcie bez obstępów. Powiedzcie, co macie na myśli.

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy myślicie, że ujemne strony ścisłego racjonowania, systemu kartkowego i podwójnych cen, nie były naszemu rządowi znane, tak samo jak i wam? Czy sądzicie, że towarzysze partyjni, z którymi prowadziliście dyskusje, nie wiedzieli tego wszystkiego tak samo jak i wy?

— Dlaczego w takim razie ludzie ci zwalczali mój pogląd?

— Sowieccy partyjnicy są wychowani w ten sposób, że rozumieją ukryty sens zarządzenia, chociaż nie mówi się jawnie o co chodzi.

— Albo przestaniecie zadawać mi zagadki, albo po prostu przestaniemy rozmawiać.

Przysunął się do mnie bliżej i zaczął:

— Aleksandrze Siemionowiczu, wiosną 1933 roku zginęło u nas z głodu 11 milionów chłopów. Dochód realny robotnika w mieście spadł do dziesiątej części dochodu z roku 1926/1927. Czy waszym zdaniem mieliśmy zaraz to rozgłaszać?

— Co ma z tym wspólnego racjonowanie?

— System kartkowy pozwolił nam ukryć ten fakt przed zagranicą, a co jeszcze ważniejsze — przed własnym narodem. Ceny nominalne na artykuły żywnościowe w kooperatywach, wydawane w zamian za kartki, pozostały bez zmiany. Zarobki no-

minimalne nawet wzrosły i Stalin mógł na posiedzeniu Komitetu Centralnego, w styczniu 1933 roku, na którym omawiano wyniki pierwszej pięcioletki, stwierdzić spokojnie, że dochód ludności pracującej wzrósł w porównaniu z rokiem 1928 o 60%. Czy przypominacie to sobie, Aleksandrze Siemionowiczu?

Rzeczywiście przypominam sobie, z jakim oburzeniem przyjąłem sprawozdanie z posiedzenia Komitetu Centralnego. Kryzys doszedł do punktu szczytowego. Miliony zmarły, reszta opuchła z głodu leżała po chałupach. Nawet na targu w Charkowie codziennie umierali chłopci, uciekający z obszarów objętych głodem. Robotnicy w mieście też wyglądali jak truposze. Konie padały na ulicach. A Stalin miał w tym czasie czelność twierdzić, że dobrobyt wzrósł i że przeciętny dochód roczny podniósł się o z górą 60%. Ale ruble roku 1928 miały pełną wartość rubli w złocie, zaś ruble roku 1933 spadły wskutek dewaluacji do pięćdziesiątej części swojej wartości. O tym Stalin nie mówił. Istniał prosty miernik do mierzenia dewaluacji pieniądza, a mianowicie cena tak zwanego torgsinrubla. W roku 1933 utworzono sklepy państwowe, w których można było nabywać artykuły żywnościowe i tekstylia po cenach światowych za zagraniczne waluty lub złoto. Sklepy Torgsinu służyły początkowo tylko cudzoziemcom, później głodna ludność rosyjska zanosila do tych sklepów ostatnie kosztowności. Za złoto otrzymywało się bony w jednostkach, które powszechnie nazywano w kraju torgsinrublami i które później można było nabywać na wolnym rynku za zwyczajne ruble. Za jednego torgsinrubla można było nabyć tę samą ilość towarów, co za zwykłego rubla przed dewaluacją w roku 1927. Ale z końcem roku 1932 płacono na wolnym rynku w Moskwie lub Charkowie za jednego torgsinrubla 50 do 70 rubli papierowych. W tym samym czasie, w którym dochód realny robotników i pracowników umysłowych spadł tak fantastycznie, Stalin na posiedzeniu Komitetu Centralnego mówił o wzroście dobrobytu w mieście. Formalnie miał prawo utrzymywać, że robotnicy otrzymywali w roku 1933 o 60% więcej rubli papierowych niż w roku 1927. Mógł też dodać, że ceny zostały te same, gdyż rzeczywiście chleb w kooperatywie nie podrożał. Wyrazem nędzy było to, że w kooperatywie nie można było dostać nic więcej jak tylko co dzień trochę chleba i raz na miesiąc kilogram cukru. Do tego ograniczały się racje prostych robotników, nie korzystających z żadnych przywilejów. Resztę musieli kupować po fantastycznych cenach na wolnym rynku. Ale także i chleba nie było dość w kooperatywie. Dwa razy w roku, z okazji wielkich świąt 1 maja i 7 listopada były racje dodatkowe: trochę margaryny, marmolada, ryby i tak dalej. Poza tym kooperatywy przedstawiały oplakany widok. W oknie wystawowym muchołapki i zakurzone atrapy, otaczające ukwiecony portret Stalina. Wewnątrz — brudne lady, do których cisnęły się dziesiątki zgębionych kobiet po to, by zabrać do domu skąpą rację chlebową i trochę kapusty. Był to obraz nędzy i rozpacz, lecz europejska i amerykańska prasa utraciły skalę dla oceny gospodarki rosyjskiej: zarobki wzrosły, oficjalne ceny w kooperatywie pozostały bez zmiany. Fakt, że nie można było niczego kupić, został ukryty przed oczyma zagranicznych obserwatorów kunsztownym systemem uprzywilejowanych sklepów w Moskwie. Rożanski miał chyba rację: być może, system kartkowy służył tylko zamaskowaniu tych faktów i dlatego godzono się z nim pomimo jego szkodliwości.

— Towarzyszu Rożanski, czy rzeczywiście warto było dezor-

ganizować naszą gospodarkę ze względu na propagandę zagraniczną? System podwójnych cen zniekształcał także wszelkie poprawne stosunki rynkowe między fabrykami państwowymi, trustami, sektorami repartycyjnymi i tak dalej. Mógłbym coś o tym powiedzieć jako kierownik budowy. Wszystko, co można było kupić od państwa po sztywnych cenach, było fantastycznie tanie. Każdy się do tego rwał. W rezultacie trzeba było aż zarządzenia samego ludowego komisarza, by uzyskać przydział każdego motoru, każdej obrabiarki, każdego transformatora. Prowadziło to do bezsensownej centralizacji w gospodarce i do przeciążenia góry. Skąd Ordżonikidze lub Piatakow mogli wiedzieć, czy mojej fabryce bardziej potrzeba frezerki niż jakiejś fabryce maszyn w Zagłębiu Donieckim albo na Uralu? Otrzymałem frezerkę, ponieważ byłem zapobiegliwszy niż kierownik budowy na Uralu i potrafiłem natarczywiej przedstawić w ludowym komisariacie potrzeby naszego zakładu. Ten drugi nie dostawał jej, choć może bardziej jej potrzebował.

— Za to, Aleksandrze Siemionowiczu, scentralizowana gospodarka planowa nie porasta chwastami.

— Jednak porasta. Po zniesieniu systemu podwójnych cen i przywróceniu wolnego rynku państwowego także na środki produkcji, a więc także na maszyny i surowce, skomplikowana maszyna musiałaby bardzo podrożeć i musiałbym trzy razy zastanowić się przed jej nabyciem dla mego Instytutu, gdybym jej nie potrzebował koniecznie. Natomiast fabryka na Uralu nabyłaby tę frezerkę, ponieważ obliczyłaby sobie, ile zyska na oszczędnościach, które jej da droga maszyna automatyczna. Mój zakład musiałby zadowolnić się skromniejszą maszyną, co byłoby dobre dla gospodarki narodowej. Ponadto w obu wypadkach dalibyśmy spokój ludowemu komisarzowi, a sami znaleźlibyśmy czas na skoncentrowanie się na najważniejszych zagadnieniach polityki technicznej. Teraz zaś dyrektorzy wszystkich wielkich fabryk w kraju, podobnie jak kierownicy robót budowlanych oraz zaopatrzenia zakładów, przesiadują miesiącami w Moskwie, aby wystarać się dla swego zakładu o maszyny, instrumenty i surowce. Ludzie z Władywostoku jeżdżą po sześć razy na rok do Moskwy na komandirówkę, dwieście tysięcy ludzi siedzi stale w Moskwie na komandirówce. Koszty tych podróży pokrywa kraj. System przydziałów prowadzi do pęcznienia pasożytniczej biurokracji w każdym zakładzie i w każdym urzędzie. Wszystko to można sobie zaoszczędzić, wprowadzając słuszne ceny i wolny rynek państwowy.

— Wszystko to było nieważne wobec kwestii, które się wówczas rozstrzygały.

— Ależ Rożanski, co nas obchodzi zagranica? Czyż trzeba

było rujnować naszą gospodarkę tylko w tym celu, by zagranica nie dowiedziała się, jak źle jest u nas?

— Chodzi nie tylko o samą zagranicę. Chociaż i to jest o wiele ważniejsze, niż myślicie. W owych latach walka o władzę w Kominternie odgrywała jeszcze wielką rolę. Nasza linia zwyciężyła tam dzięki temu, że wykazaliśmy się sukcesami w budownictwie. Nie zwyciężylibyśmy, gdyby robotnicy europejscy dowiedzieli się, że budownictwo opłacone zostało śmiercią głodową milionów.

— Ale ta śmierć głodowa nie byłaby konieczna. Spowodował ją w ogromnej mierze dopiero ten system fałszywych cen. Tylko te fałszywe ceny skłoniły rząd do podjęcia próby zabierania chłopom produktów ich ciężkiej pracy za byle co, bez rzeczywistej odpłaty. Chłop odpowiedział na to tak, jak zawsze chłopci odpowiadają na takie rekwizycje, przestał pracować i na kraj spadła katastrofa głodu. Co jest kontrrewolucyjne: stwierdzać prawdziwy stan rzeczy, czy też doprowadzić kraj do tej sytuacji?

Przerazony przerwałem. W gorączce dyskusji zapomniałem, gdzie jestem. Może jednak Rożanski jest prowokatorem?

— Aleksandrze Siemionowiczu, to co mówicie jest do głębi kontrrewolucyjne. Dobrze, zgódźmy się, że wódz popełnił błąd, którego można było uniknąć. Czyż mamy z tego powodu wyprzeć się kierownictwa kraju, zdyskredytować je? Czy też jest naszym obowiązkiem milczeć?

— Czy żądałem wyparcia się kierownictwa kraju?

— Powtarzam wam raz jeszcze, że system kartkowy służył do zamaskowania naszych błędów za granicą i — co jeszcze ważniejsze — w kraju.

— Jakto w kraju? Każdy człowiek sam wie dokładnie, czy głoduje czy nie. Nie można mu niczego wmówić ani przez oficjalną prasę ani też przez system kartkowy. Żołądek mówi mu prawdę i koryguje fałszywe oświadczenia wygłaszane na posiedzeniach Komitetu Centralnego.

— Mylicie się, Aleksandrze Siemionowiczu. Fakt sam w sobie nie jest jeszcze faktem dla milionów. Staje się nim dopiero przez to, że się go oficjalnie proklamuje. Nie rozumiecie znaczenia propagandy rewolucyjnej. Gdybyśmy dopuścili do tego, by fakt głodu został jawnie stwierdzony i dyskutowany, nie przetrwalibyśmy lat 1932 i 1933. Fakt stwierdzony oddziałuje mobilizująco na masy. Powstanie chłopskie w tych latach głodu zmiotłoby nas. Pierwsza próba stworzenia socjalistycznego ustroju społecznego załamałaby się pod natarciem kontrrewolucji.

Milczałem. Być może Rożanski miał słuszość.

— Przy tym przeczyliście jedno jeszcze, Aleksandrze Siemionowiczu, coś co, moim zdaniem, jest najważniejsze. System kartkowy umożliwił nam w tych latach uprzywilejowywanie tych warstw ludności, które mają żywotne znaczenie dla istnienia reżymu — i to nie kłuło zbyt mas w oczy. Przy cenach jednolitych wszystko byłoby jasne i widoczne. Trzeba by było dawać gepiście 5.000 rubli poborów miesięcznych, aby mógł sobie kupić na wolnym rynku to samo, co otrzymywał w zamkniętej kooperatywie po śmiesznie niskich cenach. Wywołałoby to w masach ludowych złą krew. Tak zaś mogliśmy płacić gepistom te same pobory co lekarzom, a mimo to otrzymywali oni za swe pieniądze dziesięć razy tyle. Lekarze zaś nie wiedzieli, ile zarabiają gepiści. Robotnicy w Moskwie otrzymywali za tę samą pracę trzy razy tyle, co robotnicy w Charkowie i cztery razy tyle, co robotnicy w Frunze lub jakimś innym małym mieście prowincjonalnym. Lecz prowincja nie wiedziała, ile dostaje Moskwa. Zarobki nominalne były te same.

— Nie rozumiem, do czego to służyło? Dlaczego robotnicy moskiewscy mieli za tę samą pracę otrzymywać więcej niż inni?

— Robotnicy Moskwy tworzą pierścień wokół Kremla. Kreml musi być otoczony przez ludność zadowoloną, w przeciwnym bowiem razie reżym może być śmiertelnie zagrożony. Gdy wybuchą powstanie gdzieś na prowincji, można tam odkomenderować dwie dywizje — powstanie będzie stłumione. Gdy Kreml wpadnie w ręce powstańców — nie będzie nikogo, kto by odkomenderował dywizje. Wszystkie te nici wzajemnej zależności winien partyjnik rozumieć, Aleksandrze Siemionowiczu; domaganie się posunięć, które w skutkach mogłyby zachwiać bezpieczeństwem pierwszego rewolucyjnego państwa w dziejach świata jest postawą kontrrewolucyjną.

Milczałem zmieszany. Jego słowa wywarły na mnie głębokie wrażenie. Jedno stało mi się jasne: nie był prowokatorem. Sędzia śledczy nigdy nie pozwoliłby mu wypowiadać takich myśli. W Związku Sowieckim nie było szpiclów, którzy mieliby za zadanie wygłaszać kontrrewolucyjne przemówienia, aby swoje ofiary sprowokować do tego samego. To zaś, co Rożanski przed chwilą powiedział, wyrażone w tej formie było — jeśli nawet taki był tajny zamiar reżymu i tajny sens wszystkich tych posunięć mistyfikacyjnych — w najwyższej mierze nielegalne i antysowieckie. Rozmową tej nocy Rożanski oddał się w moje ręce. Gdybym podał dalej to co usłyszałem, groziłyby mu na pewno najcięższe kary. Nawet gdyby wypełniał tu polecenia sędziego śledczego, nie mógłby otrzymać polecenia wygłaszania takich przemówień. Rożanski nie był prowokatorem. Zasnąłem o świcie. Miałem chaos

w głowie, mimo to czułem ulgę. Uspakajała mnie myśl, że mogłem swobodnie mówić z uczciwym człowiekiem.

Presja śledztwa rosła coraz bardziej. Reznikow był nerwowy i niecierpliwy. Nie dawał mi już możliwości odpowiadania. Po prostu nie chciał już o niczym słyszeć. Krzyczał i przeklinał, nie pozwalał mi przy przesłuchaniu siedzieć, kazał mi stać i robił wszystko, by zniszczyć moje morale. W kilka dni po nocnej rozmowie z Rozańskim rozmowa zesłała na moje wystąpienie w klubie robotników niemieckich w dniu 5 marca 1933 roku.

— Tu leżą protokoły tej sprawy, sprzed czterech lat. Czy przyznajecie, że w dniu 5 marca 1933 roku wygłosiliście w klubie robotników niemieckich przemówienie jawnie wrogie wobec partii i Sowietów? W czyim imieniu występowaliście?

— Kierownictwo klubu prosiło mnie o wygłoszenie referatu o sytuacji politycznej.

— Nie udawajcie głupca. Jaka organizacja kontrrewolucyjna tam was skierowała?

— Żadna.

— Prostyutka! Faszystowski sutener! *Uże ja tiebia w rot pojebu!* Skończę z tobą! Myślisz, że możesz tu z nami wyprawiać co chcesz! Mów, albo cię zagnam do karceru! Ja już nie takim przysięgałem karku!

Milczałem.

— Stań twarzą do ściany!

Musiałem się odwrócić. Reznikow wziął arkusz papieru i pisał niemal przez 20 minut. Potem zawołał mnie:

— Teraz podpisuj, ale szybko!

Miałem się przyznać, że wykorzystałem swoją działalność w niemieckim klubie do podburzania robotników niemieckich przeciw państwu i rządowi. Nie chciałem podpisać protokołu. Reznikow poczerwieniał z wściekłości. Podarł papier, rzucił mi skrawki w twarz i zawołał:

— *Paszot k'jobanoj matieri*, ty faszystowski robaku. Podpiszesz jeszcze gorsze rzeczy. Teraz robisz nam trudności o każdy drobiazg, ale przyjdzie chwila, że będziesz nas błagał na kolanach abyśmy w ogóle pozwolili ci się przyznać. A teraz wynoś się. Nie mogę już na ciebie patrzeć. Po prostu zbiera mnie obrzydzenie. Ale jedno ci mówię: jeżeli nie zgłosisz się tu w ciągu 48 godzin i nie podpiszesz wszystkich swych zbrodni, wszystkich bez wyjątku, to pożałujesz.

Oszołomiony opuściłem gabinet. Nie wiedziałem, ki-diabeł opanował Reznikowa. Przypisywałem ten wybuch jego osobistej nerwowości. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że wszyscy sędziowie

śledczy przechodzili przez swoistą szkołę aktorską. Umie li regulować wybuchy swoich uczuć. Reznikow potrafił za chwilę, bez najmniejszego zdenerwowania, prowadzić wesołą i życzliwą rozmowę z kolegą albo z innym oskarżonym.

Rozanski przyjął mnie życzliwie.

— Alex, jeszcze wciąż walczy cie o honor munduru. To, co robicie, jest nie tylko antypartyjne, ale i bezsensowne. Szkodzicie sobie sami. To, czego sędzia śledczy żąda od was, jest tylko śmieszną drobnostką. W gruncie rzeczy tylko antysowiecka agitacja i walka przeciw pracom wojskowym Instytutu. Każdy z nas byłby rad wykręcić się takim tanim kosztem.

— Nie zrobiłem niczego przeciwko Sowietom i nie mam zamiaru składać do protokołu fałszywych zeznań.

— Aleksandrze Siemionowiczu, wie cie, że jestem innego zdania, ale nie będę się dziś z wami sprzeczał. Widzę, że jesteście podenerwowani. Ostrzegam was tylko w waszym własnym interesie. Jeśli teraz zamkniecie sprawę i zaakceptujecie niewielkie przewiny, które śledztwo dotychczas przeciwko wam podniosło, to wyjdzie cie obronna ręką. Natomiast opierając się, narazicie się na największe niebezpieczeństwo. Sędzia śledczy będzie wtedy żądał od was coraz więcej. Sabotaż, dywersja, szpiegostwo, a może nawet zdrada kraju. Nie powinniście do tego dopuścić.

— Może żądać czego chce. Sumienie nie pozwala mi na składanie fałszywych zeznań.

— Znowu honor munduru.

— Nie podpiszę nic sprzecznego z prawdą. Co mi zresztą mogą zrobić!

— Mówicie jak dziecko. Istnieją środki nacisku, którym nie sprostajcie. Najsilniejsi załamali się i podpisali wszystko czego od nich żądano.

— Czy ich torturowano, bito?

— Dlaczego tak mówicie? Bicie jest u nas ustawowo zabronione. Są inne środki, by was zmusić.

— Jakie?

— Na przykład można wam nie dać spać przez tydzień.

— Jak można to zrobić?

— Po prostu będzie cie przesłuchi wani bez przerwy.

— W takim razie i Reznikow nie będzie mógł spać.

— Tak nie jest, Aleksandrze Siemionowiczu. Odkomenderują czterech sędziów śledczych i zrobią was na szaro. Sędziowie śledczy się zmieniają, wy zostajecie.

— Wytrzymam i to.

— Mogą was zamknąć do karceru nr 3.

— Co to jest karcer nr 3?

— Ciasny loch z dziesiątkami szczurów. Zamkną was tam nago i będziecie musieli nieustannie kijem odpędzać szczury, albo wleżą na was i nie będziecie mogli spać.

— Na miłość boską, czy coś takiego jest możliwe u nas, w Związku Sowieckim?! Jak można u nas tak się obchodzić z ludźmi?

— Ludzie, stawiający jawnie opór władzy sowieckiej, nie są dla NKWD ludźmi. To są wrogowie, których należy zniszczyć.

— Ale przecież nie jestem wrogiem przez fakt, że nie chcę podpisać kłamstw. Składanie fałszywych zeznań uważam za prowokację. Nie wyjdzie to na dobre ani państwu ani mnie.

— Sędzia śledczy reprezentuje tutaj państwo, on ponosi odpowiedzialność, a nie wy. Musicie się podporządkować. Jest on dla was komendantem w ciężkiej wojnie, którą władza sowiecka prowadzi o swoje bezpieczeństwo. Musicie słuchać jego rozkazów.

— Rozański, przecież to wszystko nie ma sensu. Jak w takim razie władza sowiecka może rozróżnić potem, czy jestem rzeczywistym terrorystą, szpiegiem i agitorem kontrrewolucyjnym, czy tylko fikcyjnym? W protokołach nie będzie przecież żadnej wzmianki o tym, że nie biorę tych zeznań na serio.

— To wszystko nie jest wasza sprawa. Czy sądzicie, że jesteście sam jeden? Macie fałszywy obraz, ponieważ siedzieliście całymi miesiącami w pojedynce, a teraz tylko razem z nami dwoma. Gdy was przeniosą z więzienia wewnętrznego do wielkiego więzienia na Chołodną Górę, spotkacie tam setki i tysiące takich jak wy. Wszyscy bronią się początkowo, wszyscy podporządkowują się najpóźniej po miesiącu. Opornych niszczą fizycznie. Nikt już nie pyta o sens całości, to nie nasza sprawa. Składamy nasz los w ręce władzy sowieckiej i wierzymy, że poprowadzi nas ona właściwą drogą. W całym kraju setki tysięcy ludzi spotkał ten sam los, co was i mnie. Są między nimi ludzie mający znacznie większe zasługi dla rewolucji i budownictwa socjalistycznego niż wy. Są między nimi także towarzysze zagraniczni, którzy odznaczyli się w powstaniach w Europie i w Azji. Nikt się nie broni, wszyscy idą tą samą drogą.

Słowa jego przygnębiły mnie. Nie uważałem się za człowieka szczególnie słabego, jeśli jednak wierzyć Rozańskiemu, w więzieniach siedziała elita najzarliwszych bojowników rewolucji — jeśli oni się załamali, jakże mogę mieć nadzieję, że dam sobie radę? Widocznie Rozański miał rację, gdyż w wielkich procesach występowały także ludzie jak Murałow i Mraczkowski, których odwaga fizyczna była znana daleko poza granicami kraju. Oni też skapitulowali.

Ilekróż w ciągu następnych dni wracałem z przesłuchań, wi-

działem głęboką troskę mego przyjaciela o mnie. Za każdym razem wypytywał mnie, czy poszedłem na rękę Reznikowowi. Czulem, jak bardzo był zmartwiony, gdy zaprzeczałem. Moja nieufność do niego znikła całkowicie. Miałem wrażenie, że martwi go mój los, że obawia się dla mnie niebezpieczeństw, których ja jeszcze nie dostrzegałem.

Dopóki mój umysł był jasny, nie mogłem przyjmować jego politycznych wypowiedzi bez sprzeciwu. Ale zaczynałem się już obawiać, że jego bezustanne nalegania mogą mi zamącić w głowie. Spokój mój przepadł. Każda nocna rozmowa podważała moją pewność siebie. Coraz trudniej było mi znosić przesłuchania. Reznikow chciał mnie zaszczyć na śmierć. W ciągu 24 godzin wzywał mnie sześć razy. Gdy go nie było, przejmowali przesłuchanie jego zastępcy, Wajsband i Szalit. Szalit był o wiele gorszy niż Reznikow. Dręczył mnie bez miary. Bywałem do tego stopnia zmęczony, że moja siła oporu słabła i powoli zaczynałem dopuszczać myśli, by zapewnić sobie nareszcie spokój, podpisując przyznanie się do jakichś obwinień bez znaczenia. Zawsze jednak w ostatniej chwili cofałem się. Rożanski był zrozpaczony. Czasami przesywała mnie myśl, że jego zainteresowanie się moją sprawą mogło mieć także inne motywy poza sympatią dla towarzysza niedoli. Każda jednak rozmowa nocna przekonywała mnie na nowo, że moja podejrzliwość była bezpodstawna.

Mówił on teraz bardzo rzadko o lojalności wobec rządu i partii, natomiast coraz wyraźniej rysował przede mną okropności, które mogą mnie czekać, jeśli nie zmienię swej postawy. Także sędzia śledczy robił w tym kierunku aluzje. Pewnego dnia powiedział:

— Trzeba będzie policzyć się z wami.

Nie wiedziałem dokładnie co miał na myśli i zapytałem go o to. Powiedział:

— Są metody, które stosujemy tylko wtedy, gdy wszystkie inne środki zawodą. Musimy mieć na to pozwolenie naczelnika. Zwlekam jeszcze ze zwróceniem się do niego.

Gdy opowiedziałem o tym Rożanskiemu, zdradzał najwyższy niepokój. Był zupełnie wzburzony.

— Alex, nie chciałbym tego jeszcze raz przeżywać z towarzyszem mojej celi. Myślę o Jureniewie i na samą myśl przechodzą mnie ciarki.

— Kto to był Jureniew? I co się z nim stało?

— Oszczędzę wam szczegółów. Opierał się, jak wy. Poddali go specjalnej procedurze. Po trzech tygodniach do celi powrócił złamany staruszek. Ledwie go poznałem. Zachorował potem i po miesiącu zmarł w szpitalu więziennym.

— Na miłość Boską, co z nim zrobili?

— Nie będę wam tego opowiadał. Nie chcę nawet o tym myśleć.

Nalegałem na niego. W tym momencie otworzyła się kłapa i strażnik wezwał mnie na przesłuchanie.

Reznikow był tym razem znowu łaskawy. Spisywał w dalszym ciągu protokoły, w którym charakteryzowałem mych kolegów z Instytutu. Rozmowa zesłała na Leipunskiego. Powiedział:

— Aleksandrze Siemionowiczu, to co robicie jest więcej niż zbrodnią, to samobójstwo. Musicie zrozumieć, że mamy przeciwko wam bardzo wiele dowodów. Wiele z nich zostało całkowicie sprawdzonych, ale to i owo jest jeszcze niejasne. Na przykład wasza robota dywersyjna w wielkich fabrykach charkowskich.

— Cóż to takiego, na litość boską?

— Umieszczaliście w wielkich fabrykach charkowskich grupy robotników cudzoziemskich, dając im polecenie, by w razie wybuchu wojny wysadzili w powietrze siłownie tych zakładów. Nie zbadaliśmy jeszcze tego przestępstwa we wszystkich szczegółach i nie jesteśmy jeszcze zupełnie przekonani, że odpowiada ono całkowicie faktom, ale wasza postawa tutaj jest najcięższą poszlaką przeciwko wam.

— W jaki sposób?

— Przeczycie po prostu oczywistym faktom, które każdy nieuprzedzony człowiek może bez trudu stwierdzić. Odnosimy więc wrażenie, że jesteście kłamcą dla zasady oraz zakamieniałym wrogiem i dlatego dajemy wiarę wszystkiemu co was dotyczy, nawet temu, co jeszcze nie zostało stuprocentowo udowodnione.

— Nic na to nie poradzę. Nie zrobiłem niczego przeciw władzy sowieckiej i nie udowodniliście mi żadnych przestępstw. Wszystko, co mówicie, jest całkowicie wyssane z palca.

Reznikow był dzisiaj niezwykle łagodny.

— Aleksandrze Siemionowiczu, zdaje się, że mówimy różnymi językami. To co wy nazywacie białe, dla nas jest czarne i na odwrót. Weźmy na przykład sprawę Leipunskiego. Co powiedzielibyście o człowieku, który po wykryciu kontrrewolucyjnej bandy szpiegów, szkodników i dywersantów w wielkich procesach, zadeklarowałby swą solidarność z Piatakowem lub Zinowiewem? Czy waszym zdaniem byłby to postępek kontrrewolucyjny?

— Bezwarunkowo, ale czegoś takiego Leipunski nigdy nie uczynił, przynajmniej o ile mnie wiadomo.

— W takim razie pomyślcie trochę. Piatakow został zdemaskowany dzięki czujności NKWD. W was, Aleksandrze Siemionowiczu Weissberg, NKWD również rozpoznało tajnego wroga lu-

du. I cóż robi Leipunski? Wie, co o was myśli NKWD i staje po waszej stronie przeciwko NKWD, a więc przeciwko władzy sowieckiej. Interweniuje o was u Maso. Jako dyrektor Instytutu ma odwagę wyrazić wam w jawnym zarządzeniu podziękowanie Instytutu w chwili, gdy NKWD szykuje się do zaareztowania was jako kontrrewolucjonisty. — Tu stoi władza sowiecka — Reznikow walnął się przy tym z całej siły w piersi — tam — wskazał na mnie — stoi kontrrewolucjonista. I Leipunski przechodzi na waszą stronę przeciwko władzy sowieckiej. Czy nie jest to postępek kontrrewolucyjny?

— Leipunski sądził, że w mojej sprawie NKWD pomyliło się.

— Następnym razem będzie sądził, że oficjalna prasa się myli, a jeszcze następnym razem będzie agitował, że rząd się pomylił i że Piatakow lub Radek lub Zinowiew nie są faszystowskimi bandytami. Nie, do tego nie dopuścimy! Tylko my sami reprezentujemy tutaj władzę sowiecką. Kto walczy przeciw *nam* — walczy przeciw władzy sowieckiej.

Brak mi było słów. Właściwa odpowiedź musiałaby brzmieć: Wszystko co się tu dzieje jest oszustwem. Piatakow, Radek, Zinowiew, Murałow i Bucharin nie są kontrrewolucjonistami. Wy tu jesteście oszustami i mordercami — pod pozorem wymiaru sprawiedliwości. Zajmując stanowisko przeciwko wam, nie walczy się przeciw władzy sowieckiej, natomiast walczy się o wieczne idee prawdy, wolności i sprawiedliwości, którym władza sowiecka zawdzięcza swe narodziny w wielkiej rewolucji rosyjskiej. Lecz tej właśnie odpowiedzi, jedynie słusznej odpowiedzi, dać nie mogłem. Byłby to jawny bunt. Wykończono by mnie w jakiejś mrocznej piwnicy, a mój protest przeciwko gnębielowi przebrzmiałby bez echa. Dla ludzi o takiej postawie nie było jawnego sądu.

Półowiczność mej obrony kruszyła moją odwagę. Jeśli akceptuję oficjalne napiętnowanie Piatakowa jako kontrrewolucjonisty, to dedukcja Reznikowa jest poprawna: Leipunski, deklarujący wbrew zdaniu NKWD swoją solidarność z kontrrewolucjonistą Weissbergiem, jest sam kontrrewolucjonistą. Leipunski nie mógł sądzić i nie powinien był imputować, że Weissberg nie jest kontrrewolucjonistą. NKWD napiętnowało Weissberga, tak samo jak Piatakowa lub Zinowiewa, jako kontrrewolucjonistę. Jeśli Leipunski podaje w wątpliwość zdanie NKWD, to jest wrogiem ludu w tym samym stopniu co Weissberg.

Nie walczyłem tu o prawdę i sprawiedliwość, walczyłem o swą wolność oraz — być może — o swe życie. Mogłem walczyć tylko w tych ramach, na które pozwalało mi NKWD. Z jednej strony agitacja Rozańskiego, z drugiej strony żelazne granice moż-

liwości obrony przetręciły mi kręgosłup, zanim jeszcze rozpoczął się fizyczny terror śledztwa.

Zupełnie apatyczny powróciłem do celi. Zacząłem już rozważać, do czego mógłbym się przyznać, aby wycofać się z całej afery z jaką taką przyzwoitością.

Wpływ Rozańskiego rozłożył mnie zupełnie. Gdy teraz powracam myślą do tego okresu, jedno wiem z całą pewnością. W gruncie rzeczy Rozańskiemu nie udało się wmówić mi niczego. Nigdy nie uznałem, że moim obowiązkiem w stosunku do partii jest ulec naciskowi śledztwa. Stałem się tylko tchórzem i słabeuszem. Po prostu bałem się, że terror fizyczny przeciwko mnie zaostrzy się do tego stopnia, iż nie potrafię się mu oprzeć. Uwierzyłem też Rozańskiemu, że w miarę trwania mego oporu, żądania sędziego śledczego będą stale rosły. Teraz być może wystarczy przyznać się do agitacji antysowieckiej, za dwa tygodnie będą żądali ode mnie sabotażu, a za miesiąc — terroru, szpiegostwa i dywersji. Zgroza mnie przejmowała, gdy o tym myślałem. Sama myśl o położeniu podpisu pod dokumentem, stwierdzającym, że jestem agentem faszyzmu niemieckiego, napawała mnie przerażeniem. Tylko nie to! Agitacja przeciwko władzy sowieckiej — każdy za granicą zrozumie, że chodziło o agitację przeciwko tyranii Stalina; terroryzm — niejeden w kraju a także za granicą w głębi serca byłby rad zamachowi na despotę. Przyznanie się do takiej działalności nie przyniosłoby mi wstydu, może nawet niezасłużoną aureolę męczennika i bojownika wolności. Lecz szpiegostwo? Na rzecz faszyzmu niemieckiego? Akty dywersyjne, aby bezbronny Kraj Sowietów wydać na łup faszystowskiej interwencji? To było najstraszliwsze. Nie, wszystko, tylko nie to!

Zacząłem rozmyślać nad możliwością zawarcia kompromisu z sędzią śledczym. Uwzględniłem kilka jego określeń. Walkę w Instytucie przedstawiam nieco inaczej. Moje wystąpienie w klubie niemieckim nazwę agitacją antysowiecką. Na tym moja sprawa będzie musiała się zakończyć. Może tak będzie najlepiej. GPU nigdy bowiem nie przyzna, że aresztowało niewinnego. Muszę wziąć na siebie drobiazgi, aby uchronić się od czegoś gorszego.

W jednym z najbliższych przesłuchań Reznikow powrócił do wystąpienia w klubie niemieckim. Ale tylko tak mimochodem. Potem powiedział coś, co mnie do głębi zaniepokoiło:

— Otrzymujemy stale informacje o waszej przeszłości. Gdybyście nie uprawiali po prostu obstrukcji, mogliśmy z wami mówić swobodnie. Ostatecznie nie jesteśmy ludźmi bez serca. Mielibyście możność wyjaśnienia i odparcia niejednego, co wydaje się podejrzane. Tak zaś pozbawiacie się wszelkiej szansy obrony. Wszystko, czego się o was dowiadujemy, przyjmujemy z góry

jako prawdziwe. Także i te ostatnie meldunki, dowodzące jasno faktu szpiegostwa. Nie macie już wiele czasu, Aleksandrze Siewionowiczu, będziecie musieli ujawnić wszystkie tajemnice, w przeciwnym bowiem razie grozi wam katastrofa i to bardzo rychło. Po prostu odstąpimy sprawę *nadzwyczajnej Trojce*, zostaniecie skazani *in contumaciam* na śmierć, i rozstrzelani w 24 godziny później.

Jego groźby nie zastraszyły mnie. Na tym etapie śledztwa nie obawiałem się jeszcze wyroku śmierci, to nastąpiło dopiero później. Lecz zaniepokoiła mnie jego niejasna wzmianka o szpiegostwie. Czy miał może na myśli rysunki, które prawdopodobnie przez zapomnienie zostawiłem za granicą? W następnych dniach myślałem o tym bez przerwy. Ale wciąż jeszcze nie mogłem zdecydować się na przedyskutowanie tej sprawy z Rozańskim. Stałiśmy się wprawdzie przyjaciółmi, ale nie przyzwyciężyłem jeszcze ostatniej resztki podejrzliwości.

Myśl o rysunkach, które swego czasu kazałem sobie przesłać przez tajny aparat za granicę i których, jak się zdaje, nie odwoziłem z powrotem, nigdy nie opuściła mnie zupełnie. Gdzie pozostały rysunki? Komu je zwróciłem po moim powrocie do Związku Sowieckiego jesienią 1933 roku? Czy pozostały rzeczywiście za granicą? Pamięć tego całego wydarzenia wygasła. Nie umiałem już zrekonstruować stanu faktycznego. Czytelnik musi zważyć, że pomimo agitacji Rozańskiego jeszcze nie mogłem wtedy uwierzyć, iż świadomie domagano się ode mnie fikcyjnych zeznań. Byłem przekonany, że stosunki opisywane przez Rozańskiego odpowiadały częściowo rzeczywistości, ale tylko częściowo. Wiedziałem, że nieznanymi mi metodami zmuszono przywódców opozycji w wielkich procesach do przyznania się do zmyślonej winy. Nie chciano tych ludzi, których nazwiska przeszły do historii rewolucji, zniszczyć po prostu jako przeciwników politycznych Stalina. Chciano ich zdyskredytować w oczach mas ludowych jako szpiegów niemieckich i japońskich. Stalin nigdy nie osiągnął tego celu. Ogromna większość ludu rosyjskiego nie wierzyła w prawdziwość przyznania się ich do winy. Pomimo to oskarżonych w wielkich procesach otoczyła pogarda. Nie byli szpiegami — o tym większość wiedziała — lecz ulegli naciskowi tyrana i nawet nie spróbowali zamienić jawnej rozprawy w trybunę walki o wolność przeciw despotyzmowi. Masy ludowe nie mogły wiedzieć, przez jakie męki musieli przejść ci ludzie, zanim ich spreparowano. Ludzie w Rosji nie wiedzieli jeszcze podówczas, że wszelkie bohaterstwo ma granice i że nawet starzy rewolucjoniści są tylko ludźmi.

Wiedziałem, że przyznania się do winy dawnych opozycjonis-

tów były to wymuszone bajki. Nie mogłem jednak wówczas jeszcze uwierzyć, by chciano wymuszać podobne bajki od milionów więźniów politycznie pozbawionych znaczenia. Nie mogłem jeszcze pojąć sensu tej akcji. Ludzie tacy jak ja nie byli pod żadnym względem niebezpieczni dla reżymu. Byłem cudzoziemcem. Jeśli byłem niewygodny, można mnie było deportować w ciągu dwóch dni. Po co obciążać aparat tak skomplikowanym i długim śledztwem? Rożanski nie mógł mieć racji. Na pewno mieli jakieś obiektywne podejrzenie przeciwko mnie. Sami nie dają żadnej wskazówki. Muszę dojść sam do tego, co było punktem wyjścia ich podejrzeń. Czyżby sprawa rysunków?

Może będzie najlepiej, jeśli opowiem całą sprawę sędziemu śledczemu. Byłoby to bezwarunkowo słuszne, gdyby moje przesłanki były trafne, to znaczy, gdyby nie chcieli fikcyjnych przyznań się do winy. Jeśli jednak mylę się, a słuszność ma Rożanski? W takim razie wydam się w ręce sędziego śledczego. Sam mu dam wspaniały materiał.

Gdy teraz patrzę wstecz, dziwię się, jak bardzo już wtedy zaraziłem się szerzoną przez NKWD psychozą lęku przed szpiegami. Na litość boską, cóż to był za materiał? Niemcy wybudowali dla nas zakłady azotowe w Gorłowce. Zdemontowaliśmy i odrysowaliśmy aparaty. Rysunki te zabrałem ze sobą za granicę, aby je przedyskutować z zaprzyjaźnionymi fachowcami i uzyskać wyjaśnienia. Potem prawdopodobnie zapomniałem te rysunki zabrać. No to co, powie każdy rozsądny człowiek. Przecież nie był to materiał szpiegowski! Miałem sprzedać Niemcom ich własne rysunki jako rosyjską tajemnicę państwową? To wszystko nie miało przecież sensu. Pomimo to przez trzy lata cierpiałem straszliwie z powodu tej sprawy, dopóki się nie wyjaśniła jako zupełnie nieszkodliwa. (Później spotykałem w więzieniu ludzi, którzy przyznali się do znacznie drobniejszych incydentów jako do szpiegostwa i zostali za nie skazani sądownie).

Byłem zdezorientowany. Nie wiedziałem, czego chcą. Zdemaszkować opozycjonistę, czy też złapać szpiega. Zmusić niewinnego człowieka do fałszywych zeznań przeciwko sobie samemu, czy też wypruć flaki osobie podejrzanej. Należy milczeć, dopóki nie upewnię się, do czego zmierza śledztwo. Jednakże cierpiałem pod tym brzemieniem.

W owych dniach straciłem pewność siebie. Nieustanna agitacja Rożanskiego, abym sobie nareszcie przyniósł ulgę, rozkładała moją siłę oporu. Sędzia śledczy zaostrzał nacisk. Przestałem już w ogóle sypiać. Czas przesłuchań przedłużył się do 18-20 godzin na dobę, obejmując przy tym zawsze całą noc. Za dnia nie pozwalamo mi się kłaść. Wolno mi było siedzieć na łóżku, nie wolno

jednak było oprzeć się o ścianę. Jeśli mimo to udało mi się zdrzemnąć siedząc, budzono mnie do przesłuchania. Miałem wrażenie, że strażnik obserwował mnie przez judasza i zawsze wywoływał mnie w momencie gdy się zdrzemałem, gdyż często musiałem całymi godzinami wyczekiwać w przedpokoju sędziego śledczego na rozpoczęcie przesłuchania. Reznikow dostał nowy gabinet, a w prowadzącym do niego pokoju urzędowali jego zastępcy Szalit i Wajsband. Teraz nie było już dyskusyj z sędzią śledczym. Czasem krzyczeli na mnie we dwójkę bez przerwy, aż mi głowa pękała z bólu. Ograniczałem się do mówienia „nie” lub „tak”, najczęściej „nie”, nie podejmując próby sprostowania lub wyjaśnienia czegokolwiek. Czułem jednak, że już długo nie wytrzymam. I z przerażeniem myślałem, że ich żądania mogą wzrastać. Może Rożanski miał słuszość. Może traciłem czas, może należało skończyć, zanim zażądają ode mnie przyznania się do szpiegostwa i dywersji. Już teraz robili do tego aluzje.

Przez tydzień tak mnie zaszczuwali. Nie pozwalali mi wracać do celi. W okresach między przesłuchaniami musiałem czekać bądź w piwnicy bądź w łaźni. Czytelnik, który nigdy nie zapoznał się z więzieniem, być może nie zrozumie, co to znaczy nie być puszczone „do domu”. Przebywałem później w więzieniu na Chołodnej Gorze w przerażających warunkach, w celi o powierzchni 8 metrów kwadratowych i zaludnieniu 26-29 osób, ale nawet tę morderczą kwaterę określali więźniowie jako swój „dom”. Być wezwanym na przesłuchanie i nie móc powrócić po jego ukończeniu do zwykłego otoczenia, było dla każdego wielkim nieszczęściem. Spało się na nagim cemencie, brak było miejsca, by ułożyć się na wznak, jednak człowiek lubił to swoje zwykłe miejsce i popadał w rozpacz, gdy nie mógł do niego wrócić.

Przez tydzień mnie zaszczuwali, a w niedzielę pozwolili mi wrócić „do domu”. Rożanski przeraził się, gdy weszłem do celi. Nawet Deinin, z którym miałem tylko wąty kontakt, wyrażał mi swe współczucie. Odkładali dla mnie chleb, poza tym racje moje były zwracane. Położyłem się na łóżku, strażnik pozwolił mi spać.

Wieczorem Rożanski znowu zaczął ze mną rozmawiać. Nie był agresywny i nie próbował zjednać mnie dla swych politycznych poglądów. Powiedział mi jednak, że najwyższy czas, bym skończył.

— Wasza sprawa przypomina mi sprawę pewnego czeskiego robotnika, nazwiskiem Krofta. Został on aresztowany pod ciężkimi zarzutami szpiegostwa. Siedziałem z nim razem przez trzy tygodnie na Chołodnej Gorze. Był metalowcem z fabryki loko-

motyw. Na koniec przyznał się, że coś tam źle zrobił w produkcji. Za mało rozumiem się na technice, by móc to wam powtórzyć. Kazali mu potem podpisać dwochsotkę i deportowali go. Pod strażą odstawiono go na granicę w Szepietówce i tam odebrał go konsul czeski z Warszawy. Być może, że wobec was mają takie same zamiary.

— Co to jest „dwochsotka”?

— W ukraińskim kodeksie karnym istnieje paragraf 204, ale więźniowie powszechnie mówią w skróceniu: dwochsotka.

— Jak ten paragraf brzmi?

— Reguluje on procedurę zamknięcia śledztwa. Sędzia śledczy, według tego paragrafu, jest obowiązany po ukończeniu ostatniego przesłuchania przedłożyć wam cały materiał. A więc wasze własne protokoły, protokoły konfrontacji i zeznania świadków przeciw wam. Także inne materiały dowodowe, opinie rzeczoznawców i tym podobne. Musicie to wszystko przeczytać i macie prawo wnieść do protokołu końcowego swoje uwagi. Ten protokół końcowy nazywamy powszechnie „dwochsotką”.

Zastanawiałem się przez jakiś czas. Coś w jego wypowiedzi napawało mnie nieufnością, ale byłem zbyt roztargniony, by móc sobie z tego jasno zdać sprawę. Rożanski mówił dalej:

— Musicie zrozumieć, Aleksandrze Siemionowiczu, że jeśli nawet NKWD chce kogoś zwolnić lub deportować, żąda przyznania się do jakiejś małej winy. Ci ludzie nie mogą przyznać, że aresztowali niewinnego. Człowiek taki, jeśli jest cudzoziemcem, mógłby spowodować protest dyplomatyczny albo nawet skargę o odszkodowanie. NKWD zabezpiecza się przed tym przez protokolarne przyznanie się do winy.

Musiałem mieć w tym czasie umysł zupełnie osłabiony. W przeciwnym bowiem razie nabrałbym podejrzeń. Skąd Rożanski mógł znać tak dokładnie sprawę Krofty? Skąd mógł wiedzieć, co się działo na granicy w Szepietówce? Słyszałem później często o takich deportacjach. Kolportowano także wiadomości o interwencjach konsularnych. Zawsze były to jednak tylko pogłoski. Ludzie powtarzający je nie twierdzili, że mają wiadomości z pierwszego źródła.

Do rozmowy wmieszał się Deinin. On także nie widział żadnego innego wyjścia dla mnie jak tylko ustępstwa. Obaj dyskutowali moją sprawę wszechstronnie. Ja zaś siedziałem apatycznie w kącie. Grozą przejmowała mnie myśl o ponownym przesłuchaniu. Dojrzałem już do kapitulacji.

Jeszcze dziś pamiętam dokładnie proces psychiczny, poprzedzający moje załamanie. Chciałem zawrzeć kompromis z sędzią śledczym, ale trudno mi było przełamać zahamowania, wynikają-

ce z poczucia honoru. W tym momencie agitacja polityczna Rożanskiego padła we mnie na żyzny grunt. Szukałem usprawiedliwienia psychologicznego dla mej słabości i znalazłem je w myśli o podporządkowaniu się dyscyplinie partyjnej. Nie wmawiałem w siebie niczego. Motywem, dla którego życzyłem sobie kapitulacji, był jedynie i wyłącznie strach przed następstwami, jakie mogła pociągnąć za sobą kontynuacja oporu. Przystwojenie sobie od Rożanskiego myśli o obowiązku partyjnym, dyscyplinie i wierności dla sprawy rewolucji służyło do usprawiedliwienia przed sobą samym własnej słabości. Lecz te przejęte od Rożanskiego myśli miały w sobie coś kojącego dla mych poszarpanych nerwów. W taki sposób zastraszony kacerz odzyskiwał spokój, powracając na łono Kościoła. Zdecydowałem się wejść na drogę kapitulacji.

Następnego wieczora wezwał mnie Reznikow. Zacząłem:

— Obywatelu sędzio śledczy, jeśli to jest potrzebne dla rewolucji, jestem gotów podpisać wszystko, czego ode mnie żądacie.

— Co chcecie, Weissberg, przez to powiedzieć? Nie rozumiem was?

— Piszcie co chcecie, ja podpiszę.

— Co?! Teraz, na sam koniec, stałeś się jeszcze i prowokatorem? Czy chcesz przez to powiedzieć, że mamy zaprotokółować jakieś bajki?! To przecież najczystsza prowokacja! Masz zeznać prawdę! Nie chcemy żadnych kłamstw!

Już nic nie rozumiałem.

— Przecież w rzeczywistości, obywatelu sędzio śledczy, nie zrobiłem niczego.

— *Paszol k'jobanoj matieri*, ty skurwysynu. Myślałem, że nareszcie nabrałeś rozumu i skapitulowałeś przed władzą sowiecką. A ty tylko chcesz nas sprowokować. Skończymy teraz z tobą.

Przerwał przesłuchanie. Rożanski był wściekły, gdy mu opowiedziałem, co się stało.

— Zwariowaliście, Aleksandrze Siemionowiczu. Jak mogliście sądzić, że Reznikow przyjmie przyznanie się do winy, jeśli jednocześnie daliście mu do zrozumienia, że to bajki. Ludzie *chcą* bajek. Ale nigdy się do tego nie przyznają. Nawet sami przed sobą. Sędzia śledczy, który przed bodaj jednym swym kolegą podkreśliłby fikcyjny charakter wszystkich tych zeznań, byłby następnego dnia rozstrzelany jako kontrrewolucjonista. Wszyscy nawzajem grają role jak w teatrze. Znacie przecież bajkę Andersena o szatach cesarza? Każdy w niej zachowuje się tak, jak gdyby widział piękne szaty, gdyż nie chce uchodzić za głupca. Tutaj zaś wszyscy udają, że wierzą w fikcje własnego wyrobu, gdyż nikt nie chce być rozstrzelany. Zrozumcie to wreszcie, Alek-

sandrze Siemionowiczu! Musicie złożyć przyznanie się do winy i musicie to zrobić w taki sposób, jak gdybyście w nie sami wierzyli. W przeciwnym bowiem razie cała rzecz wam się nie uda.

Nie mogłem mu jeszcze wówczas uwierzyć. Nie mogłem uznać za możliwe, że aparat policyjny wielkiego państwa posłuszny jest prawidłom olbrzymiego kłamstwa.

Byłem nieszczęśliwy, że nie udało mi się zamknąć sprawy. Lecz z drugiej strony nabrałem znowu otuchy. Jeśli rzeczywiście szukają prawdy, to niewinność moja wyjdzie kiedyś na jaw i wypuszczą mnie. Myśli moje znowu wróciły do rysunków. Być może była to przyczyna całego nieszczęścia i powinienem wreszcie o tym powiedzieć. Chciałem zapytać o radę Rożanskiego, ale powstrzymała mnie od tego jakaś resztką nieufności.

Następnego dnia Rożanski został wezwany na przesłuchanie. Dla nas i dla niego była to niespodzianka. Jego śledztwo było zamknięte. Już pół roku wcześniej podpisał dwóchotkę i czekał na sąd lub na zesłanie w drodze administracyjnej. Rożanski powrócił po godzinie. Byliśmy zaciekawieni. Mówił mało.

— Miałem potwierdzić zeznanie pewnego towarzysza z Moskwy. Chodziło o rozmowę z roku 1931. Sprawa ma tylko pośredni związek z moją sprawą.

Tej nocy Rożanski rozmawiał ze mną natarczywie. Radził mi, jak mam pójść na rękę sędziemu śledczemu. Byłem już tak zmęczony, że prawie nie oponowałem.

Wieczorem, w czasie przesłuchania, Reznikow skierował znowu rozmowę na moich kolegów z Instytutu. Formułował moje zeznania w taki sposób, by podkreślić ich antysowiecką postawę. Podpisałem, ale wciąż jeszcze z zastrzeżeniem. I tak na przykład: „Jeśli w ten sposób patrzycie na sprawę, to można określić stosunek Leipunskiego do mnie jako wrogi wobec partii i Sowietów”. Reznikow wykreślił później to zastrzeżenie. Charakterystyka pozostała. To był mój grzech pierworodny. Rozmowa zesłała potem na konflikty w Instytucie.

— Czy przyznajecie, że uknuliście spisek przeciwko pracom dla wojska?

Milczałem. Przyszedłem, aby wyznać moją fikcyjną winę, lecz gdy już do tego doszło, wszystko się we mnie przeciwko temu burzyło. Głos mi się po prostu załamywał. Reznikow podniósł się:

— Weissberg, wstańcie! — Wziął moje krzesło i przesunął je o trzy metry, w pobliże drzwi. — Tak, teraz siadajcie. A teraz nie powiem ani słowa, Daję wam trzy minuty czasu. — Wyjął zegarek z kieszeni i położył go na stole. — Po trzech minutach musicie złożyć zeznanie własnymi słowami, bez mej pomocy.

Skrecałem się z bólu. Po prostu nie mogłem. Gdyby położył przede mną gotowy protokół, podpisałbym go bez czytania, lecz przyznanie się słowo po słowie do zbrodni, których nigdy nie popełniłem, nie mogło mi po prostu przejść przez gardło. Sekundy mijały. Reznikow podniósł zegarek do góry:

— Jeszcze 15 sekund!

Wybuchnąłem:

— Towarzyszu Reznikow, wszystko to jest szaleństwem. Byłem przecież patriotą Związku Sowieckiego i cieszył mnie każdy postęp w kraju. Dlaczegoż miałbym spiskować przeciw armii! Armia Czerwona była dla mnie symbolem rewolucji. Byłem zawsze z niej dumny. Gdy spotykałem na ulicy żołnierzy maszerujących ze śpiewem na ustach, serce biło mi żywiej. Czego chcecie ode mnie?! Nie możecie przecież wierzyć, że planowałem cokolwiek przeciw armii.

Reznikow wstał. Zbliżał się do mnie powoli. Odbezpieczył rewolwer.

— Toś ty taki. Chcesz nas wodzić za nos. Ty komediancie. Ty faszystowski oszuście. Ty kurwo. Ty płatny najemniku. Do tego doszło. Od jutra będziemy cię szczuli psami. Nie damy ci złapać tchu. Będziemy cię bić, aż padniesz. Jesteśmy już gotowi.

Kazał mnie wyprowadzić. Po przyjściu do celi, runąłem z wy-czerpania.

Rzecz zdumiewająca, sędzia śledczy przez kilka dni zostawił mnie w spokoju. Wróciłem do siebie. Rożanski był zły z powodu mego stanu.

Nagle zaczął mówić na inny temat. Zapytał:

— Co właściwie powiedzieliście wtedy w niemieckim klubie robotniczym?

— Czy macie na myśli 5 marca 1933 roku?

— Tak jest.

— Było to wieczorem, po wyborach do Reichstagu. Komuniści otrzymali 5 milionów głosów; wprawdzie stracili milion, ale wobec faktu, że Hitler znajdował się już u władzy, był to rezultat dobry. Zaproszono mnie do wygłoszenia referatu w niemieckim klubie robotniczym. Poszedł ze mną Artur Koestler.

— Kto to jest Artur Koestler?

— Artur Koestler był lewicowo-burżuazyjnym dziennikarzem i pod moim wpływem zbliżył się poniekąd do partii. Był przez jakiś czas moim gościem w Charkowie i pisał książkę o Związku Sowieckim.

Koestlera poznałem z początkiem roku 1931 w domu mej przyszłej żony w Berlinie, w towarzystwie lewicowych intelektualistów. W kilka dni później spotkałem go na Kurfürstendamm. Podeszedł do mnie:

— Panie inżynierze, dowiedziałem się, że jest pan członkiem Komunistycznej Partii. Pragnę wstąpić do partii i chciałbym z panem o tym pomówić.

Byłem zdumiony. Koestler był znany jako współpracownik domu wydawniczego Ullsteina. W swojej działalności dziennikarskiej nie zdradzał żadnych sympatii dla rewolucyjnej lewicy. Mówił dalej:

— Zamierzam pójść do pracy w jakiejś wielkiej fabryce jako robotnik. Myślę, że nie można być uczciwym komunistą, jeśli się samemu nie doświadczyło egzystencji robotniczej.

Odpowiedziałem:

— Ależ jaki miałoby to dla pana sens, panie Koestler? Na pewno nie nadaje się pan przecież na robotnika kwalifikowanego i prawdopodobnie może pan oddać partii większe usługi na swym obecnym stanowisku.

Koestler nie był jeszcze wówczas wielkim pisarzem, był jednak świetnym dziennikarzem, ze wszystkim, co cechuje ten zawód. Sympatię budził przede wszystkim jego żywy temperament i odwaga. Polecał zeppelinem na biegun północny i zatknął tam flagę swej gazety. Gdy książę de Broglie, wielki fizyk francuski, otrzymał nagrodę Nobla, Koestler wiedział o tym wcześniej niż laureat. Powiadomił o tym natychmiast Brogliego, a w nagrodę uzyskał wywiad z uczonym. Zapoczątkował tym łańcuch popularno-naukowych artykułów przyrodniczych, które rozślały jego nazwisko w Niemczech. W czasie hiszpańskiej wojny domowej, jak się dowiedziałem z gazet grubo później, Koestler udał się wprost do jaskini lwa i ujawnił dostawy broni i ludzi, otrzymywane przez generała Franco od faszystów niemieckich i włoskich. W Maladze wpadł w ręce wojsk generała Franco i byłby przypłacił życiem swą śmiałość. W ostatniej chwili ocaliła go interwencja parlamentarzystów angielskich.

Latem 1932 roku Artur Koestler przyjechał do mnie do Charkowa. Był już wtedy członkiem Komunistycznej Partii Niemiec.

Cieszyło nas jego towarzystwo. W nasze życie, poświęcone wyłącznie technice, wnosił zawsze wiele urozmaicenia.

Rozpoczynała się zima, najcięższa od zakończenia wojny domowej. Koestler był zrozpaczony. Elektrownia charkowska raz po raz wyłączała prąd. Potem dostarczała prąd tylko przez dwie godziny dziennie. Za każdym razem w innej dzielnicy miasta. Co najgorsze, nigdy nie wiedziało się, kiedy będzie światło, o północy, o świcie czy po kolacji.

Koestler klął: „Najbardziej złości mnie szachrajstwo prasy. Wynaleziono słowa, które mają ukryć najgorszą prawdę. Mówi się o trudnościach w dostarczaniu energii. Dlaczego nie mówi się po prostu: 'W Charkowie zimą światło elektryczne ograniczone jest do dwóch godzin, które najczęściej przypadają w samo południe'. Mówi się o 'trudnościach aprowizacyjnych'. Należałoby powiedzieć po prostu: 'Ludzie na wsi od trzech miesięcy nie mają nie do jedzenia i dlatego giną jak muchy'. Sądzę, że nie było jeszcze nigdy w historii świata katastrofy głodu takiego rozmiaru. A ci oszuści mówią o 'trudnościach aprowizacyjnych'”.

Gdy sobie to teraz przypominam, jedno przychodzi mi na myśl. Nikt z nas nie dawał się oszukać. Wiedzieliśmy, jak się rzeczy mają w kraju, lecz uważaliśmy to za klęskę przejściową. Socjalizm zwycięży, powróci wolność i dobrobyt. Wiedzieliśmy, że katastrofę spowodowała chybiona polityka Stalina. Spodziewa-

liśmy się jednak, że Stalin zrozumie swoje błędy i sam je skoryguje. Nikt nie myślał o obaleniu go, a nawet o pociągnięciu do odpowiedzialności. Byłoby to zresztą nie do pomyślenia bez rewolucji politycznej. Rewolucja polityczna zaś w owym momencie musiałaby doprowadzić do władzy białą kontrrewolucję, w oparciu o głodnych chłopów. Wszyscy byliśmy zdania, że rozprawa ze Stalinem nie powinna zagrażać bezpieczeństwu rewolucyjnego państwa. Pomijając nawet te polityczne rozważania, żadna opozycja, ani nawet najskromniejsza krytyka, nie była możliwa. Można było tylko czekać i żywić nadzieję.

Koestler także podzielał to stanowisko. Mimo swego krytycznego nastawienia pisał książkę pod tytułem: „Kraj Sowietów w oczach burżuazji”, w której do głosu dochodziły tylko pozytywne strony budownictwa socjalistycznego.

W dniu 29 stycznia 1933 roku, w niedzielę po południu, graliśmy w trójkę z profesorem Szubnikowem w karty. Szubnikow był znany ze swej flegmy. Siedzieliśmy już kilka godzin przy kartach, gdy zauważył pod nosem:

— To ciekawe, Reichstag płonie.

Koestler zwrócił się do niego:

— Szubnikow, co mówicie?!

— Reichstag niemiecki w Berlinie.

— No tak, co się dzieje z niemieckim Reichstagiem?

— Płonie, radio podaje, że został podpalony tej nocy.

Obaj zerwaliśmy się jak oparzeni.

— Szubnikow, czyście zwariowali?! Siedzicie tu już ponad trzy godziny i nie powiedzieliście ani słowa!! Czy nie rozumiecie, co to oznacza!?

Obaj od razu uświadomiliśmy sobie, że podpalenie było sygnałem do przewrotu faszystowskiego w Niemczech.

Koestler pozostał jeszcze przez kilka miesięcy, skończył pisać swą książkę i wyjechał potem do Paryża. Odprowadzałem go na dworzec kolejowy. Jeszcze dzisiaj czyni mi wyrzuty:

— Alex, czy pamiętacie swoje słowa, gdy pociąg ruszał?

— Już nie pamiętam.

— Wołałście na całe gardło: „Koestler, trzymajcie za granicą wysoko sztandar Związku Sowieckiego!”

Tę scenę usiłował mi Koestler przypomnieć, gdy spotkałem go wiosną 1948 roku w Londynie. Jeśli tak było istotnie, to był to tylko przejaw naszej dwoistej postawy. Wiedzieliśmy, co się dzieje w kraju rewolucji, lecz nie bacząc na to broniliśmy kraju i rewolucji.

W dniu 5 marca 1933 roku byliśmy, Koestler i ja, na zebraniu robotników cudzoziemskich Charkowa w Niemieckim Klubie Robotniczym. Wygłosiłem referat polityczny. Tematem była sytuacja w Niemczech. Radio podało właśnie wyniki wyborów. Nie było jeszcze komentarza „Prawdy”. Sowietcy referenci wystrzegają się zabierania głosu w takim wypadku. Czekają na komentarz oficjalny, aby stać na mocnym gruncie i nie odbiegać od linii partyjnej. Ja jednak wyczuwałem, że wydarzenia niemieckie otwierają nową fazę w historii Europy. Byłem do głębi wzburzony i odważyłem się mówić tak jak myślałem.

Zobrazowałem to co się stało w Niemczech i scharakteryzowałem wydarzenia jako przejściową klęskę niemieckiej klasy robotniczej. Uwypukliłem również błędy, popełnione przez partię po roku 1929. Błędy te jednak były

już częściowo stwierdzone na ostatnim posiedzeniu Komitetu Wykonawczego Kominternu. Pod wrażeniem wydarzeń niemieckich Komintern postanowił później zmienić kurs. Przejmował punkt po punkcie linię polityczną dotychczas wyklętej opozycji prawicowej. Proces ten dobiegł końca dopiero w roku 1935, na VII kongresie Kominternu. Był to zwrot o 180 stopni. Przewodniczący Kominternu, Georgi Dymitrow, w swym głównym referacie na kongresie wytyczył linię, za którą trzy lata przedtem każdy członek partii byłby z niej wykluczony jako kontrrewolucjonista. Jednakże w dniu 6 marca 1933 roku, gdy wygłaszałem wspomniany referat, nowa linia jeszcze nie zwyciężyła. Musiałem to odpokutować.

Mówiłem tedy o klęsce robotników niemieckich. Nie miałem jednak na myśli wyników wyborczych, były one w tamtych warunkach pomyślne dla komunistów. Miałem na myśli przesunięcie w rzeczywistym układzie sił w Niemczech. Rozpoczynał się tam proces, który zakończył się całkowitym podporządkowaniem kraju dyktaturze faszystwu. Żaden sukces wyborczy nie mógł już zatrzymać rozwoju wydarzeń, rozpoczętego zamianowaniem Hitlera kanclerzem Rzeszy i pożarem Reichstagu. Żadna rewolucja wewnętrzna nie obali faszystwu. Ludzkość zapłaci za zwycięstwo Hitlera nową wojną światową. Myśli te już wtedy chodziły mi po głowie. Wypowiadałem je jednak z wielką ostrożnością. Mówiłem, jak już zaznaczyłem, o przejściowej klęsce niemieckiej klasy robotniczej. Ale i tego było za wiele.

Następnego dnia ukazał się w „Prawdzie” artykuł wstępny, mówiący o wielkim zwycięstwie robotników niemieckich. Byłem wstrząśnięty. Marks i Lenin piorunowali na „kretynizm parlamentarny”. Czy rzeczywiście redaktorzy „Prawdy” widzieli tylko cyfry wyborcze, a nie dostrzegali oddziałów szturmowych SA, zapędzających aktywistów partii lewicowych w Niemczech do obozów koncentracyjnych?

W dyskusji po moim referacie 6 marca nikt nie wypowiedział się przeciwko mnie. Nie było jeszcze dyrektywy z Moskwy. Także i partyjnicy na zebraniu nie mieli pojęcia, że mówiłem z własnej inicjatywy i wyrażałem tylko swój własny pogląd. Koestler poparł w dyskusji moje stanowisko. Po ukazaniu się artykułu w „Prawdzie” wszyscy się od nas odwrócili. Kierownictwo partii i kierownictwo klubu wdrożyły przeciwko nam postępowanie. Musiałem „zrozumieć swój błąd i wyrazić skruchę”. Nie wolno mi było więcej występować w klubie. Gdy po roku okazało się, że rzeczywiście w Niemczech nastąpiło coś w rodzaju klęski niemieckiej klasy robotniczej, nie uległo zmianie w stosunku kierownictwa klubu i partii do mnie. Koestler szalał wtedy z powodu mojej ustępliwości. Jeśli jednak chciałem pozostać w kraju, nie miałem żadnej innej drogi.

W mojej rozmowie z Rozańskim oświetliłem wszechstronnie incydent z dnia 6 marca. Rozański słuchał i rozmawiał ze mną bardzo rozumnie o zasadniczych kwestiach polityki niemieckiej. Nie usiłował zająć stanowiska przeciwko mnie. W głębi serca przyznawał mi słuszność. Gdy jednak mowa zeszała z powrotem na śledztwo, doradził mi co następuje:

— Alex, macie świetną okazję, by pójść na rękę sędziemu śledczemu bez ujmy dla siebie. Przedstawicie fakty prawdziwie i zmienicie tylko ich pobudki. Ostatecznie chodzi przecież o fakty, a nie o ich zaszufładkowanie. Niech sobie sędzia śledczy napisze, że wygłaszając to przemówienie uprawialiście agitację kontrrewo-

lucyjną przeciwko władzy sowieckiej. Możecie się do tego spokojnie przyznać. Historia przyzna rację wam, a nie jemu. Pod jednym warunkiem — jeśli w ogóle okaże się, że my mamy rację, a nie on.

— Kto to jest: my i kto to jest: on?

Rożanski przerwał przerażony.

— To także rozstrzygnie dopiero historia. Wydarzenia historyczne formują zespoły ludzkie, a nie na odwrót.

Słowa jego wydały mi się trochę mgliste, ale nie chciał ich wyjaśnić. Zauważyłem, że od czasu swego ostatniego przesłuchania Rożanski był nieco wytracony z równowagi. Czasem wybuchał gwałtownie, potem znowu zwyciężała jego uległość wobec losu. Mówił teraz rzeczy, które wydawały mi się zupełnie zagadkowe — jak na przykład zdanie, wciąż jeszcze tkwiące w mej pamięci: „Kroczymy jeszcze w mroku, ale wkrótce nadejdzie ktoś, kto wyłamie ciężką bramę i wtedy spłynie światło. Bez światła osobowość ludzka nie może się rozwijać”.

Zdanie to wymruczał sam do siebie, więc wydawało mi się nietaktem prosić go o wyjaśnienie. Gdy obserwowałem go tego tygodnia, przychodziły mi często na myśl postacie narodników, znane mi z powieści „Płomienie” polskiego socjalisty Brzozowskiego, Żelabow i Perowska, Sołowiew i Babuszkin, wszyscy ci bohaterzy rewolucjoniści, którzy wycisnęli swe piętno na budzącym się ruchu przeciwko carskiemu samodzierżawiu. Rożanski nieźle by do nich pasował. On sam opowiadał mi często o Nieczajewie, który w najgłębszym lochu twierdzy Pietropawłowskiej napawał strażników więziennych lękiem. — Rożanski opowiadał:

„Ten Nieczajew był postacią rozdwojoną. Jedni uważali go za zwykłego mordercę, który kazał zabić towarzysza walki jako prowokatora ochrony, gdyż stał mu w partii na zawadzie. Inni uważali go za typ konsekwentnego, bezinteresownego, lecz zimnego jak lód rewolucjonisty, który poświęca siebie samego i swych przyjaciół na ołtarzu czystej idei walki o wolność. W twierdzy Pietropawłowskiej Nieczajew siedział całymi miesiącami, przykuty do ściany. Ciężkie łańcuchy wrzynały mu się w ręce i w nogi, lecz on znalazł w sobie tyle siły, by sterroryzować psychicznie wartowników. Wierzyli w jego misję, wierzyli, że ma zasiąść na tronie carskim. Czuli go jak świętego”.

W rozmowach z Rożanskim dowiedziałem się wiele o nieznanym mi dotychczas stronicach historii rosyjskiej. Ukazał mi w nowym świetle postać Iwana Groźnego. Raz po raz przebijało porównanie ze Stalinem, chociaż nie wymówił jego imienia. Może tylko raz powiedział wprost:

„On stoi pomiędzy Robespierrem a Iwanem Groźnym. Trzy-

ma swoją siłą państwo w garści, a jednocześnie burzy fundamenty przeszłości”.

Jego uległość wobec reżymu dyktatury uzewnętrzniała się w każdym drobiazgu. Intelktualistów na ogół trudno jest utrzymać w karności. Rożanski był najbardziej karnym więźniem, jakiego znałem. Z tego powodu dochodziło często między nami do starć. Złościł się, gdy nie zasłałem porządnie łóżka, gdy nie stawałem punktualnie do spaceru lub gdy kreśliłem obliczenia na ścianie. Strażnik więzienny był dla niego również przedstawicielem państwa rewolucyjnego.

Pomimo tych małych konfliktów zbliżałem się do Rożanskiego coraz bardziej. Jedno nas tylko dzieliło, moja tajemnica, której trwożnie strzegłem przed sędzią śledczym: sprawa rysunków.

Pewnego dnia Rożanski został wezwany do sędziego śledczego. Po dwóch godzinach powrócił szary jak popiół, ręce mu drżały.

— Na litość boską, co z wami?

Nie odpowiadał. Rzucił się na łóżko, wtulił twarz w poduszkę, tłumiony szloch wstrząsał jego ciałem. Żal mi go było. Cała moja tkliwość dla niego odezwała się. Przysiadłem się do niego, objąłem go, uściśnąłem i uśiłowalem go pocieszać.

— Co z wami, Jakóbie Jefremowiczu? Na miłość boską, co się stało?

— Nie pytajcie. Myślałem, że wszystko już mam za sobą, że męczarnia się już skończyła, podpisałem wszystko, a teraz przychodzi z nową sprawą. Jakaś grupa w Moskwie podała moje nazwisko i śledztwo zaczyna się na nowo. Jestem już u kresu sił, Aleksandrze Siemionowiczu. Popatrzcie na mnie, przecież nie jestem już człowiekiem.

— Ależ Rożanski, nie rozpaczajcie, wszystko przemienie.

Nagle zmienił temat:

— Dlaczego śpiewamy w Międzynarodówce „Nie ulituj się nad nami ni Bóg, ni cesarz, ni trybun!” a gazety nasze zmuszają nas codziennie do sławienia trybuna?

Pytanie wydało mi się niebezpieczne.

— Rożanski, pieśń ma na myśli obcych trybunów, a nie takich, którzy sami wyszli z klasy rewolucyjnej i których ona sama wybrała sobie na wodzów.

Rożanski odpowiedział z rezygnacją:

— No tak, już i wy mówicie tak jak wszyscy inni. Dobrze was u nas wychowano. Wiecie, co należy powiedzieć.

Było mi trochę wstyd mojej taktycznej ostrożności. W owej chwili znikła ostatnia resztką nieufności wobec mego towarzysza. Deinina nie było w celi, jego też zawołano do sędziego śledczego. Zdecydowałem się mówić.

— Rożanski, zataiłem dotychczas przed wami pewną sprawę, która mnie bardzo gnębi. Jestem zupełnie niewinny, ale pozory przemawiają przeciwko mnie.

Opowiedziałem mu historię rysunków. Podniósł się i słuchał mnie z napiętą uwagą. Gdy już miałem powiedzieć, że prawdopodobnie zostawiłem rysunki w Wiedniu, w mieszkaniu moich rodziców, oczy jego zabłysły zdradziecko. Słowa uwięzły mi w gardle. W tej chwili spłynęło na mnie swoiste objawienie: TEN CZŁOWIEK JEST ZDRAJCĄ. Mówiłem dalej różne rzeczy bez związku. Jakby mnie tknął paraliż. Mówiąc, myślałem zdjęty trwożą: Co będzie, jeśli mnie zdradzi! Jak cofnąć lub wytłumaczyć to co powiedziałem.

— Ile było tych rysunków, Aleksandrze Siemionowiczu? — zapytał Rożanski.

Błyskawicznie postanowiłem dać mu fałszywą odpowiedź.

— Było sto pięćdziesiąt arkuszy.

W rzeczywistości było ich tylko 85. Ten drobny szczegół dopomógł mi później do zdemaskowania Rożanskiego.

Poczynając od tej chwili, usiłowałem gorączkowo rejestrować w mózgu każdy szczegół, by uzyskać potwierdzenie mego podejrzenia. Zapytałem Rożanskiego:

— Poradźcie mi, Jakóbie Jefremowiczu. Czy mam opowiedzieć całą tę historię sędziemu śledczemu? Naprawdę to jest przecież głupstwo i jestem niewinny.

— Waszym obowiązkiem jest powiedzieć mu wszystko. Ale jeszcze nie dziś, zastanówcie się przez jeden dzień, jak mu to najlepiej podać do wiadomości.

Jego odpowiedź była dla mnie poszlaką. Pomyślałem sobie, że chce najpierw zabezpieczyć swą zdobycz i poinformować sędziego śledczego, by sobie przypisać zasługę mego zdemaskowania. Wstałem i częściowo odzyskałem panowanie nad sobą. O 6-ej godzinie nadeszła kolacja. W napięciu obserwowałem obu: strażnika i Rożanskiego. Wydawało mi się, że Rożanski dał jakiś znak strażnikowi, ale być może moja podniecona wyobraźnia łudziła mnie. Jednakże tego samego wieczoru wezwano Rożanskiego jeszcze raz. To już nie mógł być przypadek. Nie spałem przez całą noc.

Następnego dnia obaj zauważyli we mnie zmianę. Deinin wielokrotnie zwracał się do mnie o wytłumaczenie. Rożanski milczał. Czuł, że się na nim poznałem. Czekałem na następne przesłuchanie. Byłem zdecydowany z miejsca powiedzieć sędziemu śledczemu prawdę, aby go rozbroić.

O północy zostałem wezwany do Reznikowa:

— Namysłiliście się nareszcie, Aleksandrze Siemionowiczu?

— Obywatelu sędzio śledczy, muszę wam coś opowiedzieć, co samo przez się nie ma znaczenia, ale być może to jest przyczyną waszej nieufności do mnie.

Zaledwie zacząłem, Reznikow przerwał mi:

— Sprawę tę znamy już od niemal czterech lat. Wszystko to spoczywa w naszych aktach. Macie znacznie więcej na sumieniu!

— Nie mam nic na sumieniu, także i w tej sprawie nie ponoszę żadnej winy.

Reznikow krzychał:

— Gdzie jest 150 rysunków? Komu je sprzedaliście? Ile za to dostaliście?! A może zrobiliście to tylko z przyczyn ideowych, z nienawiści do władzy sowieckiej?!

Odpowiadałem powoli:

— Obywatelu Reznikow, wasz Rożanski jest kiepskim szpiclem. Światłokopii było nie 150, lecz 85. Mała sztuczka wystarczyła, by go zdemaskować.

Reznikow zerwał się, chwycił przycisk do listów i rzucił go w moim kierunku. Nie trafił.

— Ty bandyto! Ty zawodowy prowokatorze, chcesz prowokować władzę sowiecką?! Rozdepczemy cię, jak jadowego gada!

Zadzwonił na żołnierza i krzychał na mnie jak opętany, póki ten nie wszedł. Potem zawołał do niego:

— Zabierzcie tę zgniłą zmiję, zatruwa nam atmosferę! — A potem do mnie: — Jutro naczelnik zadecyduje o twojej sprawie! Jutro skończymy z tobą!

Na pół nieprzytomny poszedłem za żołnierzem.

Z trudem tylko mogę odtworzyć wydarzenia następnych dwóch tygodni. Załamałem się nerwowo do takiego stopnia, jakiego nigdy bym nie mógł sobie wyobrazić. Znajdowałem się w stanie całkowitego rozkładu psychicznego. Nie byłem zdolny do niczego, co wymagało choćby nawet najmniejszej koncentracji. Gdy chciałem wziąć do ręki coś, co leżało tuż przy mnie, na łóżku, ręka moja błądziła najpierw na lewo, potem na prawo, zanim znalazła właściwą drogę. Mój mózg był niezdolny do rozkazywania organom. Kolana odmawiały mi posłuszeństwa; gdy chciałem chodzić, zataczałem się i koledzy musieli mnie podpierać. Więźniowie znajdują się przeważnie w stanie wielkiego podniecenia seksualnego. Ze mną działo się wprost odwrotnie. Sądziłem, że już ostatecznie straciłem męskość. Nie mogłem nic jeść. Nie ruszałem zupy i chleba. Przynoszono mi z domu wałówki. Kierownictwo więzienia i sędzia śledczy pozwalali nawet na wyraźne smakołyki. Nic nie mogło jednak teraz podnieć mego ape-

tytu. Moje myśli straciły moc, błąkały się bezładnie wokół określonego punktu, lecz nie były zdolne do analizowania stanu faktycznego krok po kroku, a cóż dopiero do wyciągania rozumnych wniosków. Znajdowałem się z stanie maksymalnej dekompozycji. Koncentrowanie się wszystkich aktów świadomości ludzkiej w jednym ognisku, które w stanie normalnym nazywamy „ja”, znikło. Nie było już więcej indywiduum ludzkiego poruszającego się w przestrzeni, nie było żadnej całości, a jedynie poszczególne cząstki nie kierowane jednoczącą je wolą.

Pierwsze dwa dni po załamaniu się spędziłem w rozpaczliwej apatii. Nie mówiłem z nikim. Trzeciego dnia zabrali Deinina. Rożanski pozostał.

Dbał o mnie jak matka o dziecko, ale nie mogliśmy patrzeć sobie w oczy. Wreszcie wziąłem się w garść i powiedziałem mu, co myślę. Początkowo zaprzeczał, że mnie zdradził. Potem uderzył się w pierś, rozłożył szeroko ramiona i zawołał: „Uważam za swój obowiązek pomagać NKWD! Gdybym to zrobił, byłbym z tego dumny!”

Było to pośrednie przyznanie się. Nie nalegałem na nic więcej.

Byłem w bezgranicznej rozpacz. Później przeanalizowałem swój stan i przyczyny szoku nerwowego. Ostatecznie Rożanski nie wydał niczego, co mogłoby być dla mnie rzeczywiście groźne. Czemuż więc moja rozpacz? Wytłumaczenie było oczywiste:

Przez trzy miesiące żyłem w niezłomnym przekonaniu, że moja niewinność zostanie dowiedziona i że wtedy mnie wypuszczą. Nadzieja ta dała mi siłę do stawiania oporu. Sprawa z Rożanskim wykazała mi, że sędzia śledczy rzeczywiście nie chciał ustalenia prawdy, natomiast żądał fikcyjnych samooskarżeń. Jeśli jednak tak było, byłem stracony. Nigdy nie wypuszczą za granicę człowieka, który patrzył na to wszystko. To poczucie beznadziejności paraliżowało mnie całkowicie. Z przerażeniem myślałem o wznowieniu śledztwa. Wszystko pozostało otwarte, nie przyznałem się właściwie do niczego, byłem jednak przekonany, że przy najbliższym przesłuchaniu stracę rozum. Bogu dzięki, przez jakiś czas pozostawili mnie w spokoju. Miałem niemal wrażenie, że obserwują mnie przez strażnika, przez lekarza i przez Rożanskiego i że liczą się z moim stanem. W pół roku później, gdy zaczęły się masowe aresztowania, nie mieli już czasu na takie subtelności, lecz na razie widocznie miałem dla nich jeszcze jakieś znaczenie.

Mój ówczesny stosunek do Rożanskiego wydaje mi się teraz niezrozumiały. Wiedziałem, że ten człowiek mnie zdradził, że swą diabelską grą wyłudził moje zaufanie, że rzucił na szalę całą moc swej sugestii, aby sparaliżować moją wolę i wpędzić mnie

w nieszczęście. A jednak mimo to nie potrafiłem po prostu żyć bez niego. Przerażeniem napawała mnie myśl, że mogą mi go zabrać. Pewnego dnia raniem został wezwany z rzeczami. Deini-na zabrali już dawniej.

Byłem zrozpaczony. W południe zameldowałem się do lekarza.

— Obywatelu doktorze, przypatrzcie mi się, przecież w obecnym mym stanie nie mogę być sam. Jeśli pozostawią mnie samego, odbiorę sobie życie.

— To nie zależy ode mnie, to sprawa sędziego śledczego. Ja mogę dać wam tylko pomoc lekarską. Uspokójcie się nareszcie.

— To na nic, doktorze. Nie wytrzymuję już samotności, proszę, powiedzcie to sędziemu śledczemu.

Lekarz był rozsądny i widocznie to zrobił. Już w pół godziny później weszło dwóch strażników, kazali mi się rozebrać i nadzwyczaj skrupulatnie przeszukali wszystkie moje rzeczy, szukając twardych przedmiotów oraz wszystkiego, z czego można by skrócić powróż. Strażnik zaglądał co kilka minut przez judasza. Ale wieczorem Rożanski powrócił. Oddali mi go. Niemal go uściskałem, gdy go znów zobaczyłem.

Mimo wszystko, co mi wyrządził, nie czułem do niego złości. Żal mi go było. Myślałem o jego przejściach, zanim do tego doszedł. Patrzyłem na jego zapadłą twarz i wychudłe ręce. Nie był to już człowiek, mający siłę fizyczną do dalszej walki. Jeśli chciał dalej żyć, musiał iść drogą najmniejszego oporu i być posłuszny enkawudystom. Co też mu mogli za to dawać? Może trochę jedzenia, może papierosy. Rożanski miał zawsze papierosy. Palił jednego za drugim. Denerwował się, gdy mu ich brakło. Nie dostawał wałówek z domu, nie miał chyba nikogo, kto by się o niego troszczył. A jednak raz na tydzień dostawał większą ilość papierosów od człowieka, wydającego wałówki. Teraz to zwróciło moją uwagę. Dawniej nie byłem dostatecznie uważny.

Mój stan poprawiał się powoli, ale nie mogłem w tym czasie sypiać. Przedtem noc była dla mnie wyzwoleniem, teraz codziennie myślałem o nadchodzącej nocy z przerażeniem. Rożanski dbał o mnie i widać było, że robił to powodowany prawdziwym uczuciem. Nikt nie mógłby tak udawać, nawet on. Gdy leżałem bez snu, przychodził do mnie, kładł się przy mnie na łóżku i podnosił mnie na duchu. Jego cielesna bliskość uspakajała mnie. Czynił wszystko, bym usnął. Nie mówiliśmy już o jego zdradzie, nie mówiliśmy też o śledztwie. Jego wysiłek szedł w kierunku odmalowania mi przyszłości w różowych barwach — i czasem mu się to udawało.

Ten stan rzeczy trwał niemal dwa tygodnie. Potem wróciła

mi ochota do życia. Pewnego dnia w celi było bardzo gorąco i wyraziłem chęć wzięcia znowu udziału w spacerze. Następnego dnia przyszedł komendant więzienia, ściągnął ze mnie personalia i kazał mi spakować rzeczy.

— Rozanski, dokąd mnie biorą?

— Myślę, że do więzienia na Chołodnej Gorze. Bywajcie, Aleksandrze Siemionowiczu. Wybaczcie mi wszystko co zrobiłem. I wierzcie mi, że was kocham.

Uściskałem go. Przyszedł posterunek, by mnie zabrać.

Na dole wydali mi kuferek z magazynu. Potem wsiadłem do więziennego samochodu. Byłem sam. Naprzeciwko mnie siedział uzbrojony gepista. Nie odpowiadał na moje zapytania. Po dziesięciu minutach jazdy, wylądowałem w więzieniu Chołodnaja Gora, centralnym więzieniu obwodu charkowskiego.

W dwa lata później dowiedziałem się, że także i Deinin był prowokatorem.

WIELKI KONWEJER

Więzienie Chołodnaja Gora leżało na krańcu miasta. Przejeżdżałem obok niego codziennie samochodem, gdy jeździłem do stacji doświadczalnej. Wówczas można było jeszcze widzieć półnagich więźniów, trzymających się kurczowo krat okiennych. Byli już niepodobni do ludzi i często na ich widok zdejmowała mnie zgroza. Czy był to lęk, czy też wstyd, że coś takiego jeszcze istnieje w kraju socjalizmu? W każdym bądź razie zawsze szybko odwracałem wzrok.

Budynek pochodził jeszcze z czasów caratu. Wóz z więźniami przepuszczono najpierw przez żelazną bramę. Wysiedliśmy i podeszliśmy do drugiego muru, w którym po naszym przybyciu otworzono małą furtkę. Strażnik przejrzał nasze papiery i przepuścił nas. Zaprowadzono mnie do Oddziału II. Czteropiętrowy gmach, w kształcie litery T. W pionowym członie litery T mieściło się na czterech piętrach 50 pojedynków. Człon poprzeczny zawierał 12 wielkich cel zbiorowych. Przydzielono mi pojedynkę, o ile pamiętam nr 37. Właściwie tylko za czasów caratu cela ta była pojedynką. Teraz miała mieścić trzy osoby. Cela miała cztery metry długości i dwa metry szerokości. Łóżka były żelazne, przy jednej ścianie dwa, przy przeciwległej — jedno, na dzień podnoszone do góry i zamykane. Nocą, gdy były spuszczone, odstęp między nimi wynosił 30 cm. Byłem w celi sam.

Okno miało zaledwie metr kwadratowy i było umieszczone tak wysoko, że gdy chciałem wyrzec przez nie, musiałem podciągać się na kratkach albo stawać na stołku. W celi był stolik i dwa drewniane stołki. Wyrzałem przez okno i bardzo szybko zorientowałem się w położeniu budynku. Terytorium więzienia otaczały dwa koncentryczne mury. Właściwe bloki więzienne

leżały na terenie objętym murem wewnętrznym. Pas pomiędzy murem wewnętrznym a zewnętrznym należał do załogi strażniczej. Żołnierze i urzędnicy mieli tam małe domki i ogrody warzywne. Wieczorem dziewczęta i młodzi chłopcy siedzieli przed drzwiami domów, grali na harmonijkach i tańczyli. Dźwięki muzyki docierały do nas w celach.

Byłem znowu sam, ale samotność nie przygnębiała mnie tak, jak na początku mego pobytu w więzieniu. Znajdowałem się w stanie powolnej rekonwalescencji. Pozwalano mi leżeć także w ciągu dnia. Dawało to wielką ulgę. W kilka dni później dostałem towarzysza do celi. Zapomniałem jego nazwiska. Był to stary socjalrewolucjonista, należał zatem do partii, która w oczach ludu rosyjskiego, a zwłaszcza mas chłopskich, prowadziła najaktywniej walkę o wolność przeciwko samodzierżawiu. Miał około pięćdziesięciu lat, był jednak dobrze zbudowany, muskularny, o młodzieńczej twarzy bez zmarszczek i bujnych włosów szatyna — wyglądał na trzydzieści lat. Przywitał mnie mocnym uściskiem dłoni i zapytał, jak mi się powodzi. Robiło to niemal komiczne wrażenie, jak gdyby spotkali się starzy znajomi w restauracji. Przyjrzałem mu się; jego szerokie czoło i promienne oczy zjednały mnie sobie od razu. Z zawodu był robotnikiem. O ile pamiętam — mechanikiem precyzyjnym. Przejawiał bezgraniczny respekt dla wszystkiego, co nazywał kulturą i był mi nieskończenie wdzięczny, gdy mu opowiadałem cokolwiek z dziedziny cudzoziemskiej literatury, sztuki lub historii. Poddał się swemu losowi. Oburzało go tylko, że sędzia śledczy kłął przy przesłuchaniu. Często tracił zupełnie panowanie nad sobą.

— Pomyślcie, Aleksandrze Siemionowiczu, ten człowiek skłął mnie *po materi*. Przecież to nie jest prywatna osoba, przecież on pracuje w instytucji państwowej. W instytucji państwowej coś takiego nie powinno mieć miejsca.

Jego naiwność miała w sobie coś wzruszającego. Dowiedziałem się później, że przeklinanie nie było przypadkowym wykołajeniem się gepistów, lecz że byli w tym ćwiczeni. Do służby tej przyjmowano tylko ludzi o mocnym głosie. Przeklinanie pełniło ważną funkcję w przebiegu śledztwa. Trzeba było złamać samopoczucie więźnia. Jego godność ludzką obrzucano błotem. Odwaga opuszczała go wtedy, nie ośmielał się już bronić. Zapytałem esera za co został aresztowany. Sam nie wiedział. W wojnie domowej walczył po stronie Armii Czerwonej. Partię socjalrewolucjonistów opuścił już w roku 1907, gdy zesłano go na Syberię. Powrócił w roku 1913 i pomimo swych sympatii dla ruchu rewolucyjnego pozostał bezpartyjny. Po ukończeniu wojny domowej, w roku 1921, żył w Charkowie jako robotnik wykwalifikowany.

— Dorywczo odwiedzali mnie starzy przyjaciele z czasów przedrewolucyjnych. Może to było przyczyną mego aresztowania.

— Ale to przecież nie jest zbrodnia — zauważyłem.

— To nie jest zbrodnia, ale oni zapewne sądzą, że mówiliśmy między sobą coś złego. Stali się podejrzliwi, bardzo podejrzliwi. Trzeba im udowodnić, że się nie jest wielbłądem*.

Zapytałem go:

— Co się z wami stanie, towarzyszu?

— Poślą mnie na Syberię, to jeszcze nie tak złe. Już raz tam byłem, przez sześć lat. Ma to także swoje dobre strony. Jeśli mi dadzą wolną zsyłkę, to już nie wrócę, nawet gdyby mi pozwolili.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia. Człowiek ten, całkowicie niewinny, uważał za naturalne, że się go zsyła na Syberię i nie buntował się przeciw temu. Początkowo myślałem ze strachem: Może to jest nowy Rożanski, który chce mnie zdemoralizować. Wkrótce jednak uspokoiłem się. Ten eser był jednym z najuczciwszych i najdelikatniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

W kilka dni później drzwi otworzyły się raz jeszcze. Wszedł stary mój znajomy, profesor Raszkow. Poznałem Raszkowa w roku 1931. Był profesorem socjologii i wykładał marksizm-leninizm na uniwersytecie charkowskim. Przed rewolucją był mien-szewikiem. W roku 1918 wstąpił do partii komunistycznej. Powitaliśmy się serdecznie. Opowiedział mi historię swego aresztowania:

— Już w dawniejszych latach wzywano mnie dorywczo do GPU. Wypytywano mnie tam bardzo uprzejmie o moje poglądy, a także o moich przyjaciół. Wszystko było w porządku, wszystko zaprotokołowali. Potem przez długi czas chorowałem. Zimą poddałem się operacji i musiałem przeleżeć w szpitalu kilka miesięcy. Raz zapytywali telefonicznie, czy już mogę wstawać. Lekarz nie pozwolił. Wobec tego kazali mi powiedzieć, że mam sam do nich zatelefonować w dniu opuszczenia szpitala. Zatelefnowałem i ten sam urzędnik, który w dawniejszych latach dorywczo wzywał mnie do siebie, zażądał mego przybycia. Był bardzo uprzejmy, ściągnął ze mnie jeszcze raz życiorys,ypytywał mnie o kolegów,

* Znana anegdota:

Zając przekracza perską granicę. Już na ziemi rosyjskiej spotyka go pies. Rozmawiają.

Pies: Dlaczego uciekasz?

Zając: Nowa ustawa w Persji. Wszystkie wielbłądy mają być wybite.

Pies: Przecież nie jesteś wielbłądem!

Zając: Nie mogę ryzykować. Najpierw cię zabiją, a potem możesz udowodnić, że nie jesteś wielbłądem.

a potem wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach weszło dwóch innych gepistów, musiałem oddać krawat i szelki i zostałem odprowadzony do celi. W dwa tygodnie później zaczęło się przesłuchanie. Jeszcze się nie skończyło. Ale dzisiaj przywieźli mnie tutaj.

Raszkow był Żydem, oddanym władzy sowieckiej i wdzięcznym za jej politykę narodowościową. Równouprawnienie wszystkich narodów było jednym z atutów polityki sowieckiej, pomagającym jej pozyskiwać ludy uciskane. I istotnie, nie było wówczas — przynajmniej o ile sam mogłem zaobserwować — żadnego antysemityzmu w Związku Sowieckim. Żydzi uważani byli za mniejszość narodową, jakich wiele. Wielki kraj zamieszkiwało niemal sto narodów. Większość miała swe własne republiki narodowe, albo obszary autonomiczne. Ponadto jednak istniały odpryski narodowe, wtłoczone w miasta wielkich narodów. W miastach ukraińskich żyli Niemcy, Polacy, Żydzi, Armeńscy, Grecy, Łotysze i inni. Ludność była przyzwyczajona do — że się tak wyrażę — kolonii mniejszościowych. Przed wojną, gdy kościół prawosławny i rząd carski popierały antysemityzm, gdy przede wszystkim carska polityka strefy osiedlenia przepełniła ukraińskie i polskie miasta Żydami, nienawiść do Żydów rosła bardzo silnie. Miało się wrażenie, że jawnie internacjonalistyczna polityka Lenina w pierwszych latach rewolucji zupełnie zlikwidowała w masach ludowych nienawiść do Żydów. Państwowy zakaz antysemityzmu i sprawiedliwe traktowanie wszystkich dawniej uciskanych ludów, sprawiły cuda. Przed przyjazdem do Związku Sowieckiego nie dałbym wiary, że da się wytępić taką chorobę środkami przymusu państwowego. Byłem zdania, że nie można nikogo odczyć antysemityzmu przez fakt że mu się zabroni agitacji. Nie liczyłem się z jednym: wśród niemal wszystkich narodów rzeczywiście zdecydowani antysemitami stanowią tylko garstkę. Inni ich tylko imitują. Jeśli zabroni się działalności aktywistom antysemityzmu, to ci inni nie będą ulegali zarazie niezawisłości rasowej.

Mówiłem często z Raszkowem o kwestiach narodowościowych. Pewnego razu opowiedziałem mu o przeżyciu z naszego Instytutu. 19-letnia dziewczyna Semionowa, pracująca w naszym Instytucie jako kreślarka, powiedziała do koleżanki: „Na ulicy stoi Pliskin ze swoją Chajką”. Pliskin był Żydem, majstrem w warsztacie mechanicznym Instytutu. Zona jego nie nazywała się Chajka. Ale tak dawniej na Ukrainie przezywano każdą Żydówkę. Koleżanka Siemionowej doniosła o tym komitetowi związku zawodowego w Instytucie. Reakcja była gwałtowna i dla mnie niespodziewana.

Zwołano zebranie wszystkich członków Instytutu i wniesiono sprawę pod obrady. Instytut liczył ponad stu członków. Między nimi było tylko niewielu Żydów. Na pewno nie więcej jak dziesięciu. Zebranie uchwaliło jednomyślnie wykluczenie 19-letniej dziewczyny ze związku zawodowego. Byłby to dla niej ciężki cios, równający się utracie posady w Instytucie, nie mogłaby też dostać żadnej pracy w Rosji europejskiej, chyba jedynie pracę niewykwalifikowanej robotnicy na budowie. Spóźniłem się nieco na zebranie. Gdy dowiedziałem się co się stało, poprosiłem o głos i zaprotestowałem przeciw tej uchwale:

— Towarzysze, znam towarzyszkę Siemionową z jej pracy. Pracuje dobrze. Przeczy, by powiedziała to, co jej zarzucają. Przyjmijmy jednak nawet, że stan faktyczny jest bezsporny. Czy jest to coś tak złego, że musimy zaraz zastosować najcięższą karę? Pomyślcie, że towarzyszka Siemionowa ma 19 lat. Czyż nie potrafimy wyrzucić na nią wpływu i wyleczyć ją z fałszywych poglądów? Jeśli skutkiem naszej uchwały będzie musiała opuścić Charków, jej opór tylko się umocni. Wnoszę o reasumpcję uchwały zebrania.

Po żywej dyskusji, w której część komunistów zajęła stanowisko przeciwko mnie, uchwałę uchylono i udzielono Siemionowej surowego ostrzeżenia.

Następnego dnia wezwał mnie sekretarz partii Komarow do sekretariatu. Komarow podlegał mi wówczas w pracy, ale jako sekretarz partyjny stał nade mną. Osobiście byliśmy zaprzyjaźnieni.

— Alex, twoje wczorajsze wystąpienie było wyraźnie wrogie partii. Zająłeś stanowisko antysemityczne.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Sposób, w jaki broniłeś postępowania Siemionowej, był najczystszy antysemityzmem.

— To przecież nonsens zarzucać mi antysemityzm. Sam jestem przecież Żydem.

— To nic nie znaczy, są także żydowscy antysemita.

— Ależ Pietia, czy naprawdę jest w tym coś tak złego, że Siemionowa powiedziała: „na ulicy stoi Pliskin ze swoją Chajką”. Czy to dowodzi nieuleczalnego antysemityzmu? Czy trzeba z powodu tak błahej wypowiedzi wykluczać ze społeczeństwa człowieka młodego i obiecującego. Sądziłem, że to idzie za daleko i dlatego zabrałem głos na zebraniu.

— Alex, nie rozumiesz tego. Jawny antysemityzm jest w naszym kraju zdelegalizowany. Wróg klasowy sięga dlatego do skrytych metod i tajnej propagandy szeptanej. Takie, na pozór pozba-

wione znaczenia, wypowiedzi są przejawem do głębi wrogiej ideologii. Partia musi ją zdławić w zarodku. Czy też mamy czekać, aż na ulicach Charkowa rozebrzmi hasło Białej Armii: *Biejtie Jewrejew, spasajtie Rossiju!*

Przytaczam tę rozmowę tylko w tym celu, by scharakteryzować panującą podówczas w partii ideologię w kwestii narodowościowej. Komarow nie był intelektualistą, lecz młodym górnikiem, który znalazł sobie drogę na uniwersytet. Bynajmniej nie traktował kwestii żydowskiej uczuciowo. Była ona dla niego częścią ogólnego problemu współżycia różnych narodowości na pewnym obszarze osiedlenia. Organizowanie tego współżycia bez tarć było dla niego zadaniem rewolucyjnego internacjonalizmu.

Raszkwow wiedział o przyczynach swego aresztowania równie niewiele jak ja. Jedno było dla niego jasne, a mianowicie, że główną przyczyną była jego przedrewolucyjna przynależność do partii młuszewickiej. To samo zapewne odnosiło się do esera. Raszkwow mówił:

— Rozumiem, że się nam teraz nie ufa, a także, że się chce nas odosobnić. Ale po co to całe śledztwo? Jeśli pozostawienie nas tutaj wydaje im się rzeczą niebezpieczną, powinni nas po prostu, podobnie jak dawniej car, zesłać w drodze administracyjnej na Syberię. Ale dlaczego żądają od nas, abyśmy przyznali się do nigdy nie popełnionych zbrodni.

— Czy żądano tego także od was?

— Naturalnie. Początkowo tylko przyznania się do kontrrewolucyjnej organizacji i agitacji przeciw władzy sowieckiej, ale teraz żąda się ode mnie szkodnictwa. Twierdzą, że przemyślałem do mych książek i wykładów błędne idee trockistowskie. Nazywają to kontrabandą trockistowską. Zwróciłem uwagę, że pisma moje były sprawdzane przez partię i przed publikacją przeglądane przez cenzurę. Na to powiedział sędzia śledczy: „Nie mówcie o cenzorze, to był wasz współnik, siedzi już od dawna”. Z naszego uniwersytetu siedzi prawie co trzeci profesor, wszyscy przyznali się do kontrabandy trockistowskiej. Większość książek wydana jednak była przed laty, partia i publiczność bardzo je chwaliły. Dlaczego teraz to wszystko jest trockistowską propagandą?

Był to zmęczony, stary, chory człowiek. Trzymał się jeszcze całkiem dobrze. Nigdy nie przypuszczałbym, że ma w sobie tyle siły oporu. Wzywano go często na przesłuchania. Poza wszystkim, cierpiał na chorobę pęcherza, co zmuszało go do udawania się do ubikacji co siedem minut. Sędzia śledczy był wściekły. Musiał go eskortować i czekać na niego przed ubikacją. Łagodziło to bardzo presję śledztwa. Trwające godzinami przesłuchania traciły charakter szantażu, gdy przerywano je co siedem minut. Ale wtedy

sędziowie śledczy respektowali jeszcze diagnozę lekarską. Później miało się to zmienić.

W kilka dni po przybyciu Raszkowa wezwano mnie na przesłuchanie. Samochód zawiózł mnie do centralnego gmachu GPU, nie zaprowadzono mnie jednak wprost do gabinetu sędziego śledczego, lecz do piwnicy więzienia wewnętrznego. Tam zamknięto mnie w pojedynce. Przechodząc przez korytarz zauważyłem, że w innych celach musiało być wielu ludzi. Później dowiedziałem się, że cele piwniczne służyły za poczekalnie. Więźniów z Chołodnej Gory, wzywanych na przesłuchanie, przywożono zawsze wieczorem między 7-ą a 8-ą, czasem nawet później. W piwnicznej celi czekali, aż nadejdzie pora ich przesłuchania. Najczęściej następowało ono tej samej nocy, czasem czekali w piwnicy dwa do trzech dni. Około szóstej rano samochody wracały do Chołodnej Gory. Nie zabierano jednak więźniów, którzy następnego dnia znowu mieli być przesłuchiwani. Zdarzało się, że więźniów nie puszczano przez cały miesiąc „do domu”. Oznaczało to dla większości nieznośne zaostrenie presji.

Latem 1937 roku starano się jeszcze trzymać mnie w izolacji. Śledztwo poświęcało mej sprawie wiele czasu i energii. Byłem dla nich widocznie ważny. Toteż gdy czekałem na przesłuchanie w piwnicy więzienia wewnętrznego zamykano mnie w pojedynce. W kilka miesięcy później ten luksus już był niemożliwy. Wszystkie cele piwniczne były przepełnione czekającymi więźniami. Więźniowie stali stłoczeni jak śledzie w beczce przez całą noc; gdy strażnik otwierał drzwi, by zmieścić nowego więźnia, nie mógł ich już potem zamknąć: Stłoczona masa ludzka rozszerzała się. Te poczekalnie w więzieniu wewnętrznym, zwłaszcza dwie największe cele, zwane były w żargonie więziennym „Brechałowką”. Można to być przetłumaczyć jako „Gadalnię”. W celi tej spotykali się mianowicie więźniowie ze wszystkich cel Chołodnej Gory i podczas czekania wymieniali swe doświadczenia. Można tu było posłyszeć także polityczne nowinki. „Brechałowka” była najważniejszym wyłomem na froncie izolacji. Dopiero ona czyniła z izolowanych grup z setek cel jednolity kolektyw więzienny. Powracających z „Brechałowki” natychmiast otaczano „w domu” i domagano się nowin.

Przesiedziałem noc w piwnicznej celi. Po południu następnego dnia zaprowadzono mnie do Reznikowa. Reznikow czekał na mnie w postawie stojącej.

— Dostałem teraz z Ługańska informacje o was, które mi po prostu ścinają krew w żyłach. Nie jesteście wcale tym, za kogo was uważaliśmy. Nie jesteście drobnym pionkiem, jesteście wielkim mistrzem kontrrewolucji. Tutaj, czytajcie!

Usiadł i podał mi kilka kart protokołu. Czytałem.

Po dwóch stronach odłożyłem kartki i zapytałem Reznikowa:

— Obywatelu sędzio śledczy, powiedzcie mi otwarcie, czy bierzecie to wszystko na serio, czy chcecie tylko naigrywać się ze mnie?

— Oskarżony, ostrzegam was, dosyć żartów. To sprawa bardzo na serio. Do tej pory nie znaleźliśmy tych powiązań. Inaczej nie tolerowalibyśmy waszej postawy. Przyznanie się Włacha i jego towarzyszy pozwoliło nam zagarnąć całą siatkę organizacji, stworzonej przez was na obszarze Ukrainy. Wszyscy zostali aresztowani. Wlach siedzi w Ługańsku, Stupin w Kijowie, Lessingowie i Joffowa u nas, pozostali częściowo w Dniepropetrowsku, częściowo w Charkowie. Wszyscy przyznali się i złożyli przeciwko wam zeznania. Istnieje dwadzieścia zeznań, obwiniających was o terror, szpiegostwo, dywersję. Przez wyaresztowanie waszej organizacji została ujawniona cała wasza działalność podziemna. Dotychczas mieliśmy tylko ślady, teraz odstoniliśmy nici. Wy sami zeznacie resztę.

— Obywatelu Reznikow wydaje mi się, że po prostu tracę rozum. To co tu napisano jest płodem chorej wyobraźni. Nie mam z tym nic wspólnego.

Wlach był robotnikiem z Wiednia. Poznałem go w roku 1931 w Charkowie. Był kierownikiem Klubu Niemieckiego. Zaprzyjaźniliśmy się z sobą. W pierwszym okresie pomagał mi swą znajomością języka rosyjskiego. Wygłaszałem często odczyty w Klubie Niemieckim. Wlach był człowiekiem uczciwym i głęboko oddanym sprawie klasy robotniczej. Dbał o klub jak dobry ojciec domu o rodzinę. Przez szereg lat robił to bez wynagrodzenia. Pracował jako giser w Charkowskiej Fabryce Lokomotyw i cały wolny czas poświęcał Niemieckiemu Klubowi Robotniczemu. Pomimo bezinteresowności był często przedmiotem złośliwych intryg. Miałem zawsze dla niego sympatię. Latem 1933 roku, na polecenie partii, Wlach pojechał na środkową Syberię, do Zagłębia Kuźnieckiego. Przepracował tam rok, po czym wrócił do Charkowa. W roku 1935 przeniósł się do Ługańska i zginął mi całkiem z oczu.

Teraz pisał w swym protokole — on także został aresztowany z początkiem roku 1937: „Weissberg stał na czele naszej organizacji. W roku 1934 wygłosił w naszej grupie referat o sytuacji i oświadczył, że teraz należy pracować w trzech kierunkach, aby przyspieszyć upadek władzy sowieckiej. Wojna stoi u wrót. W chwili wybuchu wojny trzeba wysadzić w powietrze siłownie wielkich fabryk charkowskich. W tym celu należy umieścić w nich grupy robotników cudzoziemskich, na których organizacja

nasza mogłaby bezwarunkowo polegać. W dalszym ciągu Weissberg podkreślał znaczenie roboty szpiegowskiej. Jako główne zadanie uważał jednak usunięcie wodzów partii i rządu. Trzeba zabić Stalina i Woroszyłowa. Weissberg wybrał z naszego grona godnych zaufania towarzyszy i polecił im przygotowywać się do tego aktu terrorystycznego...”

„... Po referacie towarzysza Maddaleny zebraliśmy się raz jeszcze w mieszkaniu towarzysza Weissberga. Maddalena omówił szczegółowo proces Dymitrowa. Tego samego wieczoru Weissberg oświadczył spiskowcom, że nadeszła pora działania. Wybrał dwóch towarzyszy godnych zaufania i przyrzekł zaopatrzyć ich w broń. Weissberg miał dobre kontakty z Armią Czerwoną i dlatego łatwo mógł otrzymać potrzebną broń. Towarzysze mieli udać się na Kaukaz, do miejscowości, którą Weissberg miał im potem bliżej określić. Stalin i Woroszyłow spędzali w tej okolicy urlop letni. Weissberg polecił towarzyszom zabić obu przywódców rządu w czasie polowania i zamaskować zamach jako wypadek na polowaniu...”

Czytałem to zeznanie i początkowo nie brałem go na serio. Całość była tak awanturnicza i tak pozbawiona związku z rzeczywistością, że nie mogła — jak wówczas sądziłem — stać się dla mnie groźna. Miałem wkrótce zostać wyprowadzony z błędu.

Reznikow brał zeznania Włacha zupełnie poważnie.

— Gdyby to był sam Wlach, można by przyjąć, że chce was oszkalować. Ale Lessingowa mówi to samo, a także Joffowa to potwierdza. Mehrenbach — niezależnie od Włacha, w innym mieście — przedstawił fakty dokładnie tak samo. Istnieje przeciwko wam niemal dwadzieścia zeznań — i mamy wam wierzyć?! A nie tym innym, którzy uczciwie przyznają się do winy?

— Obywatelu sędzio śledczy, trudno mi w ogóle z tym dyskutować. To, co tu napisano, jest wytworem wyobraźni. Nie mam z tym nic wspólnego. Więcej jeszcze: znam Włacha jako prostego, uczciwego robotnika. Człowiek ten nie uczynił nigdy nic antysowieckiego.

Reznikow wstał. Poczzerwieniał na twarzy. Powoli zbliżał się do mnie. Wycofałem się w sam kąt pokoju. Reznikow szedł za mną. Stał o krok przede mną. Zaczął stłumionym głosem:

— Co, ośmielasz się obwiniać organy władzy sowieckiej o wymuszanie fałszywych zeznań! Wlach przyznaje się do winy z własnej woli, a ty masz odwagę temu zaprzeczać?! Czemu miałby się przyznać, jeśli jest niewinny! Co ten twój zbrodniczy mózg znowu wymyślił?

Posunąłem się za daleko. Powiedzieć im w oczy, że wymusili te zeznania torturami, było niebezpieczne. Mogłem tylko prze-

czyć memu udziałowi w tym spisku, to było mym dobrym prawem. Nie wolno mi było troszczyć się o los Włacha i innych.

— Obywatelu sędzio śledczy, nie wiem, w jaki to ciemny spisek wplątał się Wlach. Nigdy bym tego o nim nie przypuszczał. Jednak ja osobiście nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego. Słyszę dziś o tej sprawie po raz pierwszy.

— Tym razem nie uda ci się wykręcić! Teraz złapaliśmy cię za kołnierz! Wiemy jak zawiniłeś — i sam wiesz o tym najlepiej. Już niepotrzebne jest nam twoje zeznanie dla wytoczenia ci procesu, chcemy jednak zagarnąć całą siatkę twojej organizacji. Musisz podać ludzi, którzy ciebie zwerbowali i tych, których ty zwerbowałeś. Od kogo otrzymałeś dyrektywę aktu terrorystycznego przeciwko głowom partii i rządu?

— Od nikogo.

— Opowiedz dokładnie o zdradzieckiej organizacji, którą stworzyłeś na naszym terytorium.

— Nie wiem o żadnej organizacji.

W całej historii mego śledztwa nie przeżyłem jeszcze tego, co teraz nastąpiło. Reznikow wykrzykiwał nieustannie te same zdania. Odpowiadałem początkowo wciąż to samo, później milczałem. Trwało to przez cztery godziny. Myślałem, że Reznikow będzie musiał wkrótce się załamać, lecz on miał silny głos. Wynajdywał coraz to nowe obelgi, takie, że ich tu nie mogę przytoczyć i od których zaczerwieniłby się ze wstydu każdy kryminalista. Po czterech godzinach Reznikow zmęczył się. Wstał — cieszyłem się już na przerwanie przesłuchania i powrót do siebie. Zrobiłem rachunek bez gospodarza.

— Nie mam już czasu dla ciebie. Towarzysz Wajsband przejmie przesłuchanie.

Wajsband był jednym z trzech zastępców Reznikowa. Zresztą o wiele mniej dokuczliwym niż jego przełożony. Przesłuchanie z nim zaczęło się od napomnień. W końcu całkiem utknęło. Co jakiś czas zapytywał o to lub owo, ja ledwo odpowiadałem. W tym samym czasie czytał gazetę i załatwiał swe akty. Potem ni z tego ni z owego chciał się dowiedzieć, czy zamierzałem także wysadzić w powietrze fabrykę traktorów. Mówił jednak o tym tak sennym głosem, jak gdyby wypytywał mnie o moje projekty urlopowe. Miałem ochotę odpowiedzieć ironicznie, ale bałem się go drażnić.

Przesłuchanie wlokło się aż do zapadnięcia nocy. Byłem bezgranicznie zmęczony. Myślałem, że wkrótce będą musieli przestać i posłać mnie „do domu”. Stało się inaczej.

O 10-ej wieczorem Wajsband przekazał przesłuchanie Szalitowi. Szalit był młodym człowiekiem, liczącym 22-23 lata. Włosy

miał blond z popielatym odcieniem, był średniego wzrostu, smukły, wyglądał niemal jak chłopiec. W okresie mego pobytu w więzieniu poznałem bardzo wielu sędziów śledczych. Do nikogo nie żywiłem takiej nienawiści, jak do tego młodzieńca. Wychowany w szkole marksizmu, starałem się zawsze analizować przebieg jakiegoś zjawiska i odnajdywać pobudki działania występujących osób. Zrozumienie jakiegoś czynu równa się jednak przeważnie jego usprawiedliwieniu. Wiedziałem, że w mechanizmie dyktatury sędziowie śledczy stanowią tylko małe kółka, które są poruszane i same muszą się nadal poruszać, o ile nie chcą być zniszczone. Moje analityczne skłonności tłumili przeważnie gwałtowność moich reakcji. Koncentrowałem nienawiść na centralnym motorku tego potwornego mechanizmu, na samym dyktatorze i na jego pomocniku, naczelniku GPU — Jeżowie. Także i teraz, gdy wracam myślą wstecz, nie czuję nienawiści do moich sędziów śledczych. Niektórzy z nich, jak Asak i Tornujew, byli mi nawet sympatyczni. Szalit był wyjątkiem od tej reguły.

Rzadko kiedy nienawidziłem kogoś tak jak jego. Był to typowy karierowicz, pozbawiony sumienia. Był niskim urzędnikiem, na szczeblu sierżanta lub jeszcze niżej — i chciał szybko zrobić karierę. Szczegółami jego awansu były ciała i dusze więźniów, których deptał swoim buciorom. Śledził dokładnie prasę i wiedział, co w danym momencie było potrzebne, jakie spiski kontrrewolucyjne były aktualne po ostatnim wystąpieniu Stalina lub Jeżowa. Nie wiem, czy był na tyle głupi, by brać wszystkie te oskarżenia na serio. Właściwie nie wierzę w to, gdyż postępował z niesamowitą konsekwencją. Reznikow nieraz przerywał swój wrzask jakimś dowcipem, czasem okazywał więźniowi współczucie. Szalit nienawidził więźniów za to, że stawiali mu opór, że nie byli gotowi podpisać bezzwłocznie, tego czego od nich wymagał. Każdy „pozytywny” protokół, który przeforsował, był dla niego zdobyczą, z którą natychmiast biegł do naczelnika oddziału. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby miał po każdych dziesięciu udanych protokołach awansować o jeden stopień. Szalit mógł przez 6 godzin powtarzać grzmiącym głosem to samo zdanie bez zmęczenia i bez najmniejszej zmiany. Pod moim adresem całymi godzinami wykrzykiwał co dwie minuty następujące zdanie:

— Mówcie o kontrrewolucyjnej, trockistowsko-faszystowskiej terrorystycznej organizacji dywersyjnej i szpiegowskiej, którą utworzyliście na terytorium Związku Sowieckiego!

Usiłowałem wprowadzać do mych odpowiedzi warianty, aby go zmusić do częściowej bodaj zmiany powyższego zdania, którego powtarzanie całymi godzinami doprowadzało mnie wprost do obłądzenia. Nie udało mi się. Powtarzał je setki i tysiące razy

tym samym tonem, z tą samą gestykulacją, z tym samym natężeniem głosu. Stosowałem przeróżne podstępny. Pewnego razu powiedziałem zupełnie poważnie:

— Obywatelu sędzio śledczy, odpowiedziałem już na to pytanie w moim protokole z dnia 4 czerwca.

Zdumiał się przez chwilę i wpadł w pułapkę.

— Co powiedzieliście? Kto prowadził protokół?

— Porucznik Reznikow. Powiedziałem, że nie utworzyłem żadnej organizacji kontrrewolucyjnej.

Myślałem, że to zuchwałstwo wytrąci go z równowagi. Nic podobnego. Grzmiącym głosem kontynuował monotonne terkotanie tej samej śpiewki. Dziwiłem się, że zatrudnia się człowieka przy tak mechanicznych pracach. Płyta gramofonowa spełniłaby ten sam cel. Później dowiedziałem się o wypadkach, w których istotnie posługiwano się płytami gramofonowymi.

Czy był on po prostu głupi? Czy nie mógł się zdobyć na żadne niuanse? Czy był to brak wyobraźni, że nigdy nie próbował przechytrzyć oskarżonego i wykazać mu jego winę, a przynajmniej odeprzeć jego argumenty? Czy brak mu było wszelkiego poczucia dobrego smaku, że nie wstydził się po tysiąc razy powtarzać to samo? Nie sędzę. Sędzę, że Szalit wiedział bardzo dokładnie, iż oskarżenia są dzikimi wymysłami. Wiedział, że nie powinien wdawać się z oskarżonymi w dyskusje, gdyż będzie musiał przegrać. Mógł tylko próbować wyczerpać oskarżonych czysto mechanicznie i tym sposobem położyć ich na obie łopatki. I stosował tę metodę do ostatecznej konsekwencji. Z punktu widzenia zadania, postawionego mu przez NKWD, miał słusność. Szalit był chytry. Wyczuwał wszystko, co było politycznie aktualne i co mogło mu być pomocne w karierze. Przypominam tu sobie pewną jego wypowiedź, w jednym z dawniejszych przesłuchań. Znalazłem w klozecie zanieczyszczony arkusz gazety, widocznie pozostawiony tam przez strażnika. Oczyszcifem go i przeczytałem. Zawierał sensację. Doniesienie o aresztowaniu i skazaniu Tuchaczewskiego i ośmiu najwybitniejszych generałów Armii Czerwonej. Wiadomość ta poruszyła mnie niesłychanie. Dotychczasowe procesy obejmowały w zasadzie przywódców politycznych dawnej opozycji. Tuchaczewski i generałowie nigdy do nich nie należeli. W rozumieniu sowieckim byli apolitycznymi fachowcami, chociaż byli naturalnie komunistami i członkami Komitetu Centralnego partii. Marszałek Tuchaczewski był prawdziwym wodzem Armii Czerwonej. Po odejściu Trockiego i Frunzego zaczął reorganizację Armii Czerwonej. Pracował nad nią bez wytchnienia. Oficjalnie zajmował stanowisko zastępcy Ludowego Komisarza Obrony Kraju. Woroszyłow, Ludowy Komisarz, był zerem. Tu-

chaczewski był wielkim strategiem. Zmotoryzował armię. Pierwszy rozwinął koncepcję oddziałów spadochronowych, które można by rzucić za frontem. Zreformował system szkolenia młodych żołnierzy. Kierował się przy tym względami czysto rzeczowymi i odrzucał wszelki dryl pruski. Krasnoarmiejcy nie uczyli się paradować, lecz prowadzić wojnę. Młodzież chłopska otrzymywała wykształcenie techniczne, dzięki któremu umiała obchodzić się z nowoczesnymi broniąmi. Lud kochał swą armię. W latach wielkiego głodu chłopci cisnęli się do jej szeregów, byli tam dobrze karmieni, otrzymywali czyste kwatery i dobre wyposażenie. Popularność Tuchaczewskiego wśród bezpartyjnych i wśród komunistów przewyższała popularność jakiegokolwiek innego przywódcy sowieckiego. Czuło się, że pod przewodem tego człowieka armia góruje nad siłami zbrojnymi każdej koalicji w Europie i w Azji. Wiedzano, że dopóki Tuchaczewski na czele sztabu generalnego obserwuje rozwój militarny Europy, kraj jest pod dobrą opieką. Chętnie ponoszono wszelkie ofiary materialne na rzecz wyposażenia wojska.

I ten oto człowiek został pewnego dnia usunięty z urzędu, przeniesiony na podrzędne stanowisko w Powołżu i tam aresztowany. Widocznie brakło odwagi, by wyrwać go spośród ślepo mu oddanych oficerów i żołnierzy. Aresztowanie marszałka być może przepełniłoby czarę. Pomimo wszechmocy GPU i niesamowitego lęku przed nim, lokalny opór w centrum armii mógłby wywołać powstanie przeciwko despotce. Stalin był ostrożny. Izolowany gdzieś w dalekim Powołżu, Tuchaczewski był bezsilny, gdy gepiści przyszli po niego. Razem z marszałkiem poszli na śmierć jego najbliżsi współpracownicy: Kork, były komendant miasta Moskwy, a ostatnio naczelnik Akademii Wojennej, Garmnik, naczelnik zarządu politycznego Armii Czerwonej, Jakir, komendant Ukrainy, Uborewicz, komendant Białorusi, Ejdeman, dowódca obrony przeciwlotniczej, Primakow, Feldman, Putna. Byli to najlepsi ludzie w armii i w kraju. Jakir jako 17-letni student odznaczył się w wojnie domowej, zarówno w armii jak i w partyzantce. Na Ukrainie bardzo kochano smukłego, młodzieńczego głównodowodzącego. Także i jego trzeba było pod byle jakim pozorem oddalić od wiernych mu ludzi, aby już bez ryzyka móc go aresztować w czasie podróży do Leningradu.

Tuchaczewski i generałowie — inaczej jak przedtem przywódcy opozycji — nie zostali postawieni przed jawnym sądem. Tajny trybunał wojskowy pod przewodnictwem Woroszyłowa skazał ich jako szpiegów niemieckich i japońskich, którzy wydali nieprzyjacielowi plany strategiczne. Tuchaczewski i Kork rzeko-

mo konspirowali z niemiecką Reichswehrą, by obalić rząd sowiecki. Spośród członków trybunału, który skazał Tuchaczewskiego na śmierć, kilku zostało później aresztowanych i zlikwidowanych jako szpiedzy.

W mym odosobnieniu nie mogłem się dowiedzieć, jak armia zareagowała na usunięcie swoich przywódców. Strach odbijał się echem w gabinetach sędziów śledczych. Reznikow wezwał mnie do siebie w kilka dni później. Był całkiem roztrzęsiony. Jego spokojne poczucie bezpieczeństwa zostało zachwiane. Gepiści rozmawiali tymi dniami między sobą półgłosem. Czy może czuli, że i w ich gmachu trzęsą się fundamenty? W kilka dni później przesłuchiwał mnie Szalit. Powiedział do mnie: „Wasza organizacja nie była ani bucharinowska, ani trockistowska. Było to coś zupełnie odmiennego, o wiele groźniejszego, coś absolutnie jedyne w swym rodzaju. Jeśli ją wydacie, musicie dokładnie opisać, kto w nią był uwikłany i będzie bardzo dobrze, jeśli w zeznaniu waszym skompromitowanych zostanie kilku czołowych oficerów Reichswehry niemieckiej”.

W chwili, gdy to mówił, nie wiedziałem jeszcze, że Tuchaczewski był oskarżony o spiskowanie z czołowymi osobistościami Reichswehry przeciwko własnemu krajowi. Głośne stało to się dopiero znacznie później, gdzieś na jesieni 1937 roku. Później uświadomiłem sobie, jakie to ambitne plany żywił Szalit. Odkryć tuż po procesie Tuchaczewskiego spisek wojskowy, na którego czele stał niemiecki sztab generalny, był to ponętny cel, który mógł mu przynieść chwałę i godności.

Lecz Szalit był malutkim sierżantem. Reznikow i jego wyżsi przełożeni nie zaakceptowali planów Szalita. Reznikow ubzdurał sobie, że uczyni ze mnie koronnego świadka w nadchodzącym procesie Bucharina.

Cudzoziemscy świadkowie w wielkich procesach pokazowych — to był łakomy kęs. NKWD, prokuratura i trybunał wojenny — aczkolwiek nigdzie się do tego nie przyznały — działały jednak pod naciskiem opinii publicznej całego świata. Stalin, Wyszynski i Jeżow śledzili prasę krajów demokratycznych. Wiedzieli bardzo dokładnie, z jakim sceptycyzmem przyjmowano przyznanie się do winy oskarżonych przywódców opozycji w wielkich procesach moskiewskich. Prokuratura i NKWD starały się więc uprawdopodobnić sprawę. Gdy w procesie kemerowskim, który był przygotowaniem do procesu Piatakowa, po raz pierwszy jako współoskarżony występował niemiecki inżynier nazwiskiem Stickling, wywołało to niezwykłą sensację. Wszyscy zapytywali: jak się to właściwie dzieje? Można jeszcze zrozumieć, że oskarżeni sowieccy przyznają się do winy i przejawiają skruchę,

nawet jeśli są niewinni. Są oni bezradni w obliczu morderczej maszyny. Ich żony i dzieci są zakładnikami w rękach tajnej policji. Jeśli zawiodą w procesie i zerwą sieć kłamstwa, mogą oczekiwać nowych tortur i pewnej śmierci. Nie tylko im, ale także ich najbliższymi grozi zagłada... Ale cudzoziemiec? Stoi on wszakże pod osłoną swego poselstwa! Jeśli ujawni metody, przy pomocy których wymuszono na nim fałszywe przyznanie się do winy, wybuchnie skandal międzynarodowy. Dlaczego więc przyznaje się?! Może jednak jest coś na rzeczy?

Spotkałem później tego świadka koronnego z procesu kemerowskiego w więzieniu Gestapo w Lublinie. On też został wydany. Oświadczył mi, że w jego zeznaniu w procesie nie było ani jednego słowa prawdy. Wymuszono na nim to przyznanie się. Nie chciał podać, jakimi środkami. Przypuszczam, że GPU znało jakieś tajemnice jego życia i posłużyło się nimi, by go zaszantażować.

Współdziałanie cudzoziemca jako świadka lub oskarżonego w publicznym procesie mogło więc bardzo wzmocnić wiarygodność oskarżeń. Tu leżała przyczyna, dla której w pierwszym półroczu 1937 roku śledztwo zadawało sobie ze mną tyle trudu.

Początkowo Reznikow nigdy nie mówił otwarcie, jakie ma w stosunku do mnie zamiary. Czynił tylko niejasne aluzje. Pewnego razu powiedział:

— Weissberg, przyznajecie się zawsze tylko do tego, że mieliście wrogie wobec państwa myśli i udajecie, że uprawialiście kontrrewolucję na własną rękę, jako chałupnik. My jednakże chcemy organizacji, musicie wydać organizację. Nie jesteście żadnym drobnym chałupnikiem, jesteście wielkim człowiekiem kontrrewolucji i macie jeszcze wielkie zadanie do spełnienia.

Wytrzeszczyłem oczy.

— Jakie zadanie, na litość boską?!

— Musicie pomóc partii i rządowi do zdemaskowania kogoś wielkiego w Moskwie i tym samym zniszczenia ostatniego gniazda kontrrewolucji w naszym kraju. Jeśli spełnicie to zadanie, oddacie nam usługę i nie będziecie tego żałowali.

Zapytałem przy tej okazji naiwnie:

— Czy wierzycie, że kontrrewolucja kiedykolwiek wygaśnie w naszym kraju?

— Gdybym w to nie wierzył, nie siedziałbym tutaj. Niszczymy wroga i w ten sposób zabezpieczamy podstawy społeczeństwa bezklasowego. Partia nasza pracuje w dwóch kierunkach: z jednej strony zaostrza czujność wobec wroga klasowego i wali weń żelazną pięścią, ilekroć odważy się podnieść głowę, z drugiej stro-

ny nadaje krajowi najswobodniejszą demokratyczną konstytucję w świecie.

Deklaracje takie można było słyszeć często z ust Reznikowa. Powtarzał w nich tylko to, co było w gazetach. Złościło mnie, że nie mogłem mu swobodnie odpowiedzieć. Moje położenie przypominało mi często położenie kołchoźników w głodowym roku 1933, gdy czytali w gazetach lub słyszeli na zjazdach o dobrobycie, który polityka stalinowska przyniosła na wieś rosyjską, podczas gdy oni sami żarli korę drzewną.

Wracam jednak do przesłuchania u Szalita. Po 6-ciu godzinach podniósł się. Nacisnął dzwonek. Myślałem, że teraz odprowadzi mnie żołnierz. Pomyliłem się raz jeszcze. Po kilku minutach przyszedł Reznikow, wyspany, świeżo ogolony, aby złuzować Szalita. Byłem półmartwy. Siedziałem na stołku przez 14 godzin bez przerwy, nie mogąc się nawet podnieść. Dawniej myślałem zawsze, że stanie godzinami pod ścianą jest męczarnią. Siedzenie bez przerwy jest o wiele gorsze. W pozycji stojącej można sobie ulżyć, przestępując z nogi na nogę. W pozycji siedzącej jest się ciągle w stanie napięcia. W pachwinach wszystko powoli nabrzmiewa i występują dotkliwie bóle.

Reznikow kazał mi wstać i iść za nim do jego gabinetu.

Zwróciłem się do niego:

— Obywatelu sędzio śledczy, jestem niezdolny do dalszego przesłuchiwania. Proszę o przerwanie śledztwa.

— Nie możemy. Nie mamy już na to czasu. Musimy doprowadzić przesłuchanie do końca. Gdy podpiszesz, będziesz mógł odejść.

Zaczęło się na nowo. Przez dwie godziny krzyczał na mnie. Nie odpowiadałem. O 8-ej rano przerwał i zawołał żołnierza.

— Odprowadźcie oskarżonego.

Odetchnąłem. Wreszcie „do domu”! Nadeszło gorzkie rozczarowanie. Żołnierz sprowadził mnie na dół. Musiałem pójść do ustępu, a potem dostałem jeść. Jedzenie było obfitsze, niż kiedykolwiek. Po 10-ciu minutach otworzyła się kłapa i zostałem znowu wywołany na przesłuchanie. Reznikow kazał mi usiąść na stołku. Nie zajmował się mną wcale. Przyjmował podwładnych, prowadził rozmowy telefoniczne, załatwiał akta i zapytywał czasami: „Kiedy się przyznasz, ty psie?!” Patrzyłem na niego bez słowa odpowiedzi. Głowa spadała mi ciężko na piersi. Gdy groziło, że zasnę, Reznikow budził mnie grzmącym głosem:

— Czy zwariowałaś, jak zachowujesz się u sędziego śledczego?! Śpisz! Czy kpisz sobie z władzy sowieckiej?! Gdzie się tego nauczyłeś?! Kiedy wreszcie złożysz zeznania?

Zwróciłem się do niego:

— Obywatelu sędzio śledczy, to już nie jest przesłuchanie, to jest wymuszanie. Proszę o papier, abym mógł napisać do prokuratora. To są środki nacisku fizycznego. Nie mogę dłużej siedzieć wyprostowany.

— Podczas przesłuchania masz składać zeznania i nic więcej. Po ukończeniu przesłuchania możesz pisać do prokuratora, ile chcesz.

— No tak, ale kiedy przesłuchanie zostanie zakończone?

— Natychmiast po twoim przyznaniu się do winy.

— Obywatelu sędzio śledczy, jestem niewinny. Nie mam się do czego przyznawać. Nie przyznam się do niczego. Czyż to więc znaczy, że przesłuchanie nigdy się nie skończy?

— Przyznasz się, bądź tego pewny. Weszliśmy teraz w nową fazę. Nie zarzucamy ci już jakiejś niewyraźnej agitacji przeciwko władzy sowieckiej, jakichś rozmów, natomiast fakty: terror, zamachy terrorystyczne, akty dywersyjne, szpiegostwo.

— Obywatelu sędzio śledczy, jestem głęboko przekonany, że sami wiecie, jak się sprawa przedstawia. Wiecie przecież dokładnie, że zeznania Włocha, to absolutne kłamstwa. Dlaczego chcecie mnie zmusić do ich potwierdzenia.

Reznikow uderzył pięścią w stół:

— Ty kupo gówna, ty prowokatorze faszystowski, nawet tu, w więzieniu, chcesz prowokować władzę sowiecką?! Pozwalasz sobie twierdzić, że chcemy wymusić fałszywe zeznania? Powiedz to raz jeszcze, a napiszę raport do naczelnika, prosząc żeby cię wsadził do karceru nr 3!

Milczałem. Po rozmowach z Rozańskim bałem się karceru nr 3.

Wciąż jeszcze miałem nadzieję, że wieczorem poślą mnie „do domu”. Za dnia zmieniali sędziów śledczych co cztery-sześć godzin. O szóstej wieczorem sprowadził mnie żołnierz na 10 minut do piwnicy. Cele w piwnicy miały podłogę z cementu i były bez żadnego urządzenia. Po przyjsciu położyłem się bezwzględnie na nagiej podłodze, aby odprężyć członki. Po minucie zasnąłem. Obudzono mnie natychmiast i przyniesiono mi jedzenie. Chciałem zrezygnować z jedzenia, byle by móc spać. Strażnik do tego nie dopuścił. Zabronił mi leżeć na podłodze. Usłuchałem, nie ważyłem się na jawny opór. Po 10-ciu minutach zaprowadzono mnie znowu do Reznikowa.

Wciąż jeszcze miałem nadzieję, że z nadejściem nocy przesłuchanie będzie przerwane. Nie mogłem sobie wyobrazić, że mnie w ogóle nie puszczą, dopóki nie podpiszę. Rozański powtarzał to co prawda, ale ja w to nie wierzyłem.

Gdy teraz siedziałem przed Reznikowem, z przerażeniem

myślałem o rozmowach z Rożanskim. Był prowokatorem, to wyszło na jaw, ale być może był mi życzliwy. W każdym razie sprawdziło się wszystko, przed czym mnie ostrzegał. Podówczas żądali tylko przyznania się do drobnych przewinień: agitacji antysowieckiej, walki przeciw pracom dla wojska w Instytucie i tak dalej. Teraz domagali się terroru, szpiegostwa, dywersji. Być może powinienem był usłuchać Rożanskiego, podpisać wtedy wszystko i tym sposobem wykupić się z ich rąk. Teraz było na to za późno. Teraz pozostawało mi tylko jedno, zapanować nad słabością i nie pokazać im nawet małego palca. Nie było nic gorszego od szpiegostwa i dywersji. Nie mogli więc już bardziej podwyższyć swoich żądań. Czas kompromisów przeminał. Muszą sobie zęby wyszczerbić o granit. Może wtedy ustąpią.

Gdy o północy Szalita zluzował Wajsband, gra była już dla mnie jasna. Rozpoczęła się nowa faza śledztwa: przesłuchanie bez przerwy. Jak się później dowiedziałem, więźniowie nazywali ten środek nacisku w śledztwie „konwejerem”. Oskarżony przesłuchiwany był dniem i nocą „na konwejerze”. Sędziowie śledczy zmieniali się. Trwało to tak długo, póki oskarżony nie załamał się. Do jesieni 1937 roku czekałsi stosowali tortury cielesne tylko w wypadkach wyjątkowych. Jak się później dowiedziałem, bicie wymagało pozwolenia z góry. Z końcem sierpnia 1937 roku, gdy rozpoczęły się masowe aresztowania, w wewnętrznych więzieniach NKWD zaczęto powszechnie bić. Przedtem jednak najskrajniejszym środkiem nacisku, jaki stosowali, był konwejer. Była to tortura niesamowita. Nie wierzyłem nigdy, że takie przesłuchanie łańcuszkowe mogłoby zmusić twardej ludzi do zaniechania oporu. W rzeczywistości bardzo wielu więźniów przetrzymało najcięższe tortury i nie ustąpiło, ale znam tylko jeden jedyny wypadek przetrzymania konwejera bez złożenia podpisu. Był to żydowski anarchista, o którym jeszcze będzie mowa.

Nacisk konwejera działa po cichu, automatycznie. Po kilku dniach zaczynają puchnąć członki, mięśnie w pachwinach bolą straszliwie. Sędzia śledczy nie musi się wyteżać. Może czekać. Czas jest po jego stronie. Oskarżony nie widzi kresu udęki. Gdyby znał z góry termin końcowy przesłuchania, potrafiłby zmobilizować wszystkie siły, by przetrzymać. Tak jednak zapytuje sam siebie: Co dalej? Przetrzymam jeszcze tę noc i jeszcze jedną i jeszcze jeden dzień. Oni mogą czekać, oni mają czas. Kiedyś muszę się załamać. Po co w takim razie męczyć się jeszcze?

W ciągu drugiej nocy Szalit znowu dobierał się do mnie bez przerwy. Przez osiem godzin. Był to jego rekord. W ogóle już

nie próbowałem mu przerywać. Oczy mnie piekły, miałem wciąż uczucie, że głowa mi pęknie i że chroni ją przed tym tylko silna obręcz żelazna. Przez cztery godziny Szalit powtarzał przytoczono uprzednio zdanie: „Mów o trockistowsko-faszystowskiej, kontrrewolucyjnej organizacji szpiegowskiej i dywersyjnej, którą utworzyłeś na terytorium Związku Sowieckiego”.

Potem przerwał na chwilę, zawołał strażnika i opuścił pokój. Gdy powrócił, wszystko zaczęło się na nowo. Zmienił teraz nieco tekst zdania. Nie pamiętam już jego dokładnego brzmienia, wiem tylko, że wołał bezustannie:

„Na kolana przed władzą sowiecką! Ukorz się przed władzą sowiecką, ty psie faszystowski!”

Gdy o 8-ej rano złuzował go Wajsband, byłem bliski zemdle-
nia. Wajsband pozwolił mi stać przez kilka minut. Była to ogromna ulga. Moje mięśnie rozprężyły się. Nie jestem lekarzem i znam się bardzo niewiele na medycynie, toteż nie mogę dokładnie opisać zmiennych stanów podczas wielkiego konwe-
jera. Wiem tylko, że nieruchomość całego ciała podczas szeregu godzin początkowo straszliwie wyczerpuje, a po pewnym czasie bardzo boli. Każda zmiana w postawie ciała przynosi pewną ulgę.

Tego dnia zaprowadzono mnie na posiłek dopiero później. Wszystko razem — śniadanie, do ustępu i mycie się — miało trwać tylko 10 minut. Potem wróciłem na przesłuchanie. Wajsband nakłaniał mnie po dobremu:

— Aleksandrze Siemionowiczu, przecież tego nie wytrzyma-
cie. Szkoda was. Rujnujcie się.

— No tak, ale co mam zrobić, towarzyszu Wajsband? Nie mogę przecież napisać czegoś, co nie jest prawdą. Nie mogę przecież po prostu oszukiwać władzy sowieckiej. Kto miałby z tego pożytek?

Wajsband nie dał na to odpowiedzi. Odniosłem wrażenie, że myślał o tym to samo co i ja. Spełniał kwaśno swój obowiązek i nie dręczył mnie ponad miarę. Co więcej, pozwalał mi nawet wstawać co jakiś czas i stać przez kilka minut.

Po południu przyszedł znowu Reznikow:

— Jak długo będziesz nas jeszcze męczył? — zawołał do mnie wesoło. — Biada nam, że dostaliśmy się w ręce takiego bandyty jak ty! Daj nam nareszcie spokój!

Zbyłem milczeniem jego szyderstwo. Był w dobrym humo-
rze. Jakiś kolega zatelefonował do niego. Słuchałem rozmowy. Widocznie był to urzędnik, którego przeniesiono z innego mia-
sta do Charkowa i który jeszcze nie miał mieszkania. Reznikow mówił do niego:

— Zostaw babę na prowincji i wprowadź się tu do hotelu. Znajdziesz tam wiele wesołych kobietek.

Dziwiłem się, że bez żenady mówił w mej obecności o kobietach. Nie byłem już dla niego człowiekiem, lecz szmatą, leżącą w kącie i preparowaną, by uzyskać żądany kształt. Kontynuował rozmowę i przeplatał ją tłustymi powiedzonkami. Wcale się mnie nie wstydził. Nie brałem mu tego za złe. Miałem go przed sobą w całej jego krasie. Reznikow był człowiekiem żywotnym, tryskał życiem, lubił jeść i pić, lubił też kurwić się z kobietami. Czemuż by nie? Czemu miał się przede mną maskować? Używał życia na swój sposób i miał słuszność. Złe było tylko to, że wyszukał sobie zawód, w którym zmuszony był łamać ludzi, jeśli sam nie chciał być zmiążdżony. Cierpienia więźniów mało go wzruszały. Myślał sobie, że troska o nich nie jest jego sprawą. Wykonywał rozkazy. Odpowiedzialność ponosili ci, co je wydawali.

Miał później nadejść czas, w którym większość sędziów śledczych sama znalazła się w celach w charakterze więźniów. Nauczyłem się od nich wiele. Przeciętą ich psychologią była psychologia Reznikowa. Byli też jednak i inni. Najgorszy był typ Szalita. Najlepszy typ ucieleśniał dawny naczelnik charkowskiego NKWD, Maso, który wpakował sobie kulę w łeb, aby nie ponosić dłużej odpowiedzialności za zbrodnie wielkiej czystki.

Reznikow w toku przesłuchania wynajdywał coraz to nowe obelgi. Wszystkie miały coś wspólnego z aktem płciowym. Cieszyło go wyraźnie każde pieprzne przewisko. Działo się to w czasie, gdy w całym kraju partia i związki zawodowe prowadziły gwałtowną kampanię przeciw przeklinaniu. Przeklinanie przedstawiano jako spuściznę po przedrewolucyjnym braku kultury. Postępowi proletariusze nie przeklinają. Wyzbyć się przeklinania jest tak samo ważne, jak nauczyć się czytania i pisanie. Kampania ta miała powodzenie. Na wsi już nie przeklinano. Najbardziej zacofani chłopcy i robotnicy dali się przekonać. Lecz w NKWD nawet najwyżsi urzędnicy, równi rangą generałom Armii Czerwonej, posługiwali się najsoczystszymi przekleństwami. Przeklinanie należało do ich obowiązków, ale przeklinali także z zamiłowania. Czy powstrzymywali się od tego nawyku, gdy opuszczali biura i powracali do swoich żon?

Na mnie metoda ta nie działała. Wnosiła ona nawet trochę odmiany w monotonię przesłuchania. Czasami bawiło mnie wprost obserwowanie, jak Reznikow szukał coraz to mocniejszych wariantów. Z Szalitem było gorzej. Powtarzał tę samą obelgę setki razy, tak samo zresztą setki razy powtarzał wszystko inne, co mu raz przyszło na myśl.

Poczynając od trzeciego dnia konwejera, mój stan cielesny pogarszał się szybko. Bóle w okolicy miednicy powoli stawały się nie do wytrzymania. Co jakiś czas nie mogłem już po prostu wytrzymać i zrywałem się z krzesła. Pogróżki sędziów śledczych zmuszały mnie, bym usiadł z powrotem. Wajsband, najbardziej ludzki z tej trójki, pozwalał mi co jakiś czas wstać. Zresztą i Reznikow pozwalał na to, gdy widział że jestem bliski omdlenia.

Wydzielane mi posiłki były bardzo dobre. Zupa bardzo tłusta. Poczynając od czwartego dnia nie wolno mi już było opuszczać pokoju sędziego śledczego, przynoszono mi jedzenie na górę. Tym sposobem straciłem także i te ostatnie dziesięć minut wypoczynku. Gdy musiałem iść do ubikacji, towarzyszył mi sędzia śledczy z zegarkiem w ręku. Nie wolno mi było zamykać drzwi. Przed kilku tygodniami jakiś więzień powiesił się w klozecie.

Podczas jedzenia co jakiś czas wchodził do pokoju naczelnik oddziału, kapitan Tornujew. Swoim rozwlekłym głosem nakłaniał mnie, bym zjadł wszystko.

— Nie zostawiać nic na talerzu, jeśli nie będziecie jeść, przejdziemy do odżywiania przymusowego.

Nie wiedziałem, dlaczego mi grozi. Jadłem chętnie, było to w owym czasie jedynie orzeźwienie. Później dowiedziałem się, o co chodziło Tornujewowi:

Odmawiając przyjęcia pożywienia, a nawet wody, można radykalnie skrócić męczarnię konwejera. Najpóźniej po dwóch dniach człowiek mdleje i spada z krzesła. Niestety nie wiedziałem wtedy jeszcze o tym, w przeciwnym bowiem razie ogłosiłbym głodówkę. W latach 1938 i 1939 zaczynałem głodówkę dla przyczyn znacznie mniejszej wagi.

Czwartej nocy całe moje ciało doszło do stanu kurczowego napięcia. Myślę, że Wajsband musiał zauważyć skurcz w mojej twarzy, gdyż niemal się przeraził.

— Co wam jest, Aleksandrze Siemionowiczu? Czy jest wam niedobrze?

Odpowiedziałem niemal bezdźwięcznie:

— Myślę, że nie przeżyję tego wszystkiego.

— Aleksandrze Siemionowiczu, ustąpcie przecież i zróbcie, co trzeba. Daję wam tutaj zeznania Włacha i innych. Przeczytajcie, weźcie arkusz papieru i napiszcie do kapitana Tornujewa, co macie do powiedzenia.

Podał mi papier, pióro i atrament. Miałem zabrać się do pisania. Skorzystałem z okazji, aby szczegółowo wykazać bezsens tych zeznań. Pisałem może już pół godziny, praca ta wzmocniła mnie i pokrzepiła. Wtedy wszedł do pokoju Reznikow.

Zorientował się szybko w tym, co się stało i był wściekły.

Wyrwał mi papier z ręki i kazał mi iść za sobą. Wajsband został na miejscu osłupiały.

Reznikow był specjalistą w swoim fachu. Wiedział, że dla ofiar konwejera wszelką przerwę w monotonii jest wypoczynkiem i był zły, że Wajsband dał mi tę chwilę wytchnienia.

— Nie jestem potworem, ale musimy dojść do końca. Im mocniej będziemy na ciebie naciskali, tym szybciej się załamiesz. Będzie to lepiej dla nas, bo zaoszczędzimy czasu, a także dla ciebie, bo oszczędzisz zdrowia. Wkrótce złożysz zeznanie.

— Sami nie wierzycie w moją winę. Chcecie mnie zmusić nielegalnymi środkami do złożenia fałszywych zeznań.

Reznikow zerwał się i zaczął kląć jak zupak. Nie dałem się już zastraszyć.

— Obywatelu sędzio śledczy, mówcie co chcecie, jestem przekonany, że prokurator nie sankcjonuje takich metod. Jeśli załamie się i podpiszę, to podpiszę kłamstwo. Odwołam je później bezzwłocznie. Wasze postępowanie jest nielegalne. Domagam się wezwania prokuratora. Niech on rozstrzygnie, czy postępujecie zgodnie z prawem.

Doszło do dzikiego wrzasku. Reznikow rzucił we mnie szklankę. Rozbiła się na podłodze. Nie pozwoliłem sobie przerwać i krzychałem jak zranione zwierzę. Reznikow zadzwonił:

— Sprowadźcie komendanta i dwóch sąsiadów! — zawołał do żołnierza. Potem uspokoił się i powiedział do mnie:

— Nie ścierpimy tu u nas buntu przeciw władzy sowieckiej. Użyjemy wobec ciebie siły fizycznej.

Usiadłem i odpowiedziałem spokojnie.

— Nie będę składał żadnych zeznań, dopóki nie przyjdzie prokurator. Dajcie mi możliwość napisania do prokuratora.

Reznikow opuścił pokój. Widocznie wydał w sąsiednim pokoju inne polecenia, gdyż komendant nie przyszedł. Później przez godzinę nie odpowiadałem na żadne zapytania. Reznikow stracił panowanie nad sobą.

— Zwracam ci uwagę, że igrasz z życiem. Twoje postępowanie jest jawnym sabotażem śledztwa. Możemy kazać ci rozstrzelać na podstawie decyzji administracyjnej.

— Jeśli mam podpisać to, czego ode mnie żądacie, będę tak czy owak rozstrzelany.

— Nie bądź idiotą, ty durniu! U nas nie rozstrzelują się ludzie, zdolnych do pracy! Jesteś fachowcem, profesorem. Przyznasz się do winy i dostaniesz 5 lat obozu. Jeśli będziesz się dobrze prowadził i wykonywał normę, możesz wyjść na wolność po dwóch latach. Będziesz w obozie pracował w swoim zawodzie, jako inżynier. Prawdopodobnie nawet odwołają cię stamtąd i po-

wierzą ci pod naszą kontrolą techniczne zadania, jak to się stało z Ramzinem, który wyznał na publicznym procesie swoje zbrodnie i jest teraz wielkim człowiekiem, odznaczonym najwyższymi orderami.

— Nie mam się do czego przyznać i nie powiem ani słowa więcej, jeśli nie przyjdzie prokurator.

Reznikow zauważył widać, że się zaciąłem. Stan taki sprawia, że oskarżeni są bardziej krnąbrni. Najgorsze, to bezdźwięczne, monotonne przesłuchanie. Myśli się wtedy tylko o nadchodzącym załamaniu się i skręca się w bólach cielesnych. Wszelka aktywność mobilizuje uciekające siły na nowo. Reznikow szukał drogi odwrotu.

— Nie mogę zmusić prokuratora, by przyszedł do ciebie. Ma coś ważniejszego do roboty.

— Dajcie mi tylko możliwość napisania do niego.

— Masz!

Wziąłem papier i siadłem do stołu. Pisałem:

„Obywatelu prokuratorze! Jestem zupełnie niewinny. Nie mam nic wspólnego ze zbrodniami, o które mnie śledztwo oskarża. Sędzia śledczy poddaje mnie bezprawnemu naciskowi. Siedzę już od z górą stu godzin nieprzerwanie, bez snu, na przesłuchaniu. Nie mogę tego dłużej wytrzymać. Jeśli mój organizm w najbliższych dniach załamie się i będę zmuszony podpisać to, czego chce sędzia śledczy, proszę was przyjąć do wiadomości, że będą to zmyślane samooskarżenia. Później, przed każdym sądem odwołam te wymuszone zeznania. Proszę was o przyjście do gabinetu obywatela Reznikowa i pomówienie ze mną. Proszę was o uczynienie tego natychmiast po otrzymaniu niniejszego podania, albowiem z uwagi na mój stan fizyczny nie będę mógł już długo wytrzymać.

A. Weissberg”.

Podpisałem, postawiłem datę i wręczyłem pismo Reznikowi. Pisałem po niemiecku. Chciałem mianowicie, by Reznikow nie podał go natychmiast. Nie rozumiał niemieckiego i w takich wypadkach zazwyczaj wzywał tłumaczkę. Mimo bezprawności postępowania gepiści przestrzegali pewnych formalności. Podpisane przeze mnie oświadczenie nie mogło ulec konfiskacie. Jego odpis musiał być dołączony do protokołu. Powiedział mi o tym Rożanski.

Lecz Reznikow nie był głupi. Wziął podanie i zażądał ode mnie, bym je przetłumaczył na rosyjski. Bałem się, że nastąpi atak szału. Stało się inaczej.

Reznikow usiadł, patrzył długo na mnie, kiwał głową i powiedział:

— Myślisz, że jesteś mądrzejszy od nas wszystkich tutaj.

Chcesz sobie stworzyć gwarancje na przyszłość i z góry zdementować wszystko, co masz zeznać. Wszystkie te chwytaki nic ci nie pomogą. Nie popuścimy, aż cię powalimy.

Jednakże — o dziwo — nie podał mego podania do prokuratora. Złożył je do aktów.

— Czy doręczycie je prokuratorowi?

— Naturalnie.

— Kiedy prokurator odpowie?

— Prawdopodobnie w ogóle nie odpowie. Zna on twoją sprawę równie dobrze jak my. Wie, że jesteś zaprzysięgłym wrogiem. A z takimi nie chce mieć nic wspólnego.

Następnego dnia napadła mnie niesamowita senność. Próbowalem pomimo hałasu spać z półotwartymi oczyma. Sędziowie śledczy zauważyli to od razu, gdyż głowa spadała mi na piersi. Podchodzili do mnie i podnosili mi głowę. Osłabłem bardzo. Czasem myślałem, że już dłużej nie utrzymam się na stołku. Lecz to osłabienie nie było tak dokuczliwe, jak skurcz, który nastąpił wieczorem. Wszystkie członki bolały mnie straszliwie. Uda spuchły okropnie. Miałem uczucie, że pachwiny znalazły się w obcęgach, które ktoś coraz mocniej zaciskał. Od tej pory myślałem z przerażeniem o chwili załamania się. Dotychczas panowałem jeszcze nad zmysłami, ale teraz obawiałem się, że stracę kontrolę nad swoją świadomością. Podpiszę wtedy wszystko, co przede mną położą. Teraz mogłem jeszcze regulować sprawę, wpłacać do mego zeznania rzeczy nieprawdopodobne, które mi później ułatwią doprowadzenie całości *ad absurdum*. Może powinienem teraz ustąpić, póki nie będzie za późno.

O północy objął przesłuchanie Szalit. Dręczył mnie ponad wszelką miarę. Zaczynał każde zdanie wyrazem: „Prostytutka”, a kończył je wyrazem: „Organizacja”.

— Ty prostytutko! ty kurwo! ty sprzedajny zdrajco, podniosłeś rękę na najświętsze, co mamy. Musisz wydać twych ludzi. Organizację, o—r—g—a—n—i—z—a—c—j—ę.

Początkowo nie wiedziałem, co rozumiał pod słowem „najświętsze”. Później uświadomiłem sobie, że była to aluzja do zamachu na życie umiłowanego wodza, ojca narodów, wodza proletariatu całego świata Józefa Wisarionowicza Stalina. W chwili tej uświadomiłem sobie, że przyjąłbym z przyjemnością obwinienie o planowanie zamachu na Stalina. W moich oczach nie byłaby to już zbrodnia, ale czyn bohaterski. Dla dwóch jednak przyczyn trzymałem się jeszcze: nienawidziłem do głębi duszy despotę, odpowiedzialnego za zbrodnie tajnej policji, lecz wciąż jeszcze stałem po stronie kraju rewolucji. Inne zaś zbrodnie, które mi poza terrorem przypisywali, dywersja i szpiegostwo —

były mi wstrętne. Poza tym wiedziałem — Szalit też powtarzał to raz po raz — że po przyznaniu się będę musiał wymienić towarzyszy z rzekomej organizacji. Będą zatem żądali ode mnie, bym wydał Leipunskiego i innych przyjaciół, których kochałem. Wzdrażałem się przed tym. Myśl o wciągnięciu jeszcze i innych w to nieszczęście była przerażająca. Cóż jednak mogłem zrobić? Czy oni kiedykolwiek przestaną? Już teraz byłem tylko bryłą spuchniętego mięsa. W głowie mej szalała burza. Przed oczyma miałem czerwone kręgi. Być może wytrzymam jeszcze dzień, dwa, ale co potem?

Szalit powtarzał to samo zdanie przez kilka godzin. Była, być może, trzecia w nocy, bóle stały się już nie do zniesienia. Musiałem powziąć decyzję. Pomyślałem sobie, że to co tu czynią jest bezprawiem. Co się stanie, jeśli jawnie będę się przed nim bronił? Trzeba spróbować.

— Obywatelu sędzio śledczy, proszę was o przerwanie przesłuchania. Jestem na pół bezwładny i nie mogę już usiedzieć.

— Podpisz, ty kurwo i wszystko gotowe!

— Już nie mogę, obywatelu sędzio śledczy.

Wstałem i położyłem się na podłodze. Szalit zaniemówił ze zdumienia. Nie mógł mnie zostawić samego, a w sąsiednich gabinetach nie było nikogo. Wybiegł na korytarz i wołał; nikt nie przychodził. Wreszcie zatelefonował po komendanta. Jego słowa nie docierały do mojej świadomości. Czułem się nieskończenie błogo na podłodze. On miotał się, a ja o to nie dbałem. Ból natychmiast ustąpił. W ciągu kilku minut wypocząłem tak, jak gdyby to były godziny. Nikt nie przychodził. Szalit zatelefonował ponownie. Wreszcie chwycił karafkę i chlusnął na mnie wodą. Nie oczekiwał chyba takiego skutku. Zimna woda odświeżyła mnie nadzwyczajnie. Usłyszałem kroki kilku ludzi na korytarzu i wstałem. Weszło trzech strażników. Dwóch miało w rękach batogi, trzeci — kaftan bezpieczeństwa. Komendant rozejrzał się w sytuacji i zapytał:

— Czy oskarżony stawia jawny opór?

Odpowiedziałem:

— Nie mogłem już wytrzymać i byłem bliski omdlenia. Teraz przyszedłem trochę do siebie i mogę znowu siedzieć.

Komendant powołał się na jakiś paragraf w regulaminie więziennym i zagroził mi użyciem siły fizycznej, gdybym na nowo stawiał opór. Potem opuścili pokój. Szalit kontynuował przesłuchanie. Jego pewność siebie jednakże się zachwiała.

Wypocząłem. Wprawdzie bóle natychmiast powróciły, ale mój stan psychiczny poprawił się. Odrzucałem teraz myśl o kapitulacji. Szalit nadal wypytywał o organizację. Zacząłem odpo-

wiać i tłumaczyć mu, że to wszystko jest nonsensem. Nie chciał jednak żadnych zaprzeczeń. Gdy wielokrotnie usiłowałem przeczytać, przerwał mi i krzyknął:

— Mów do ściany, ty kurwo!

— Obywatelu sędzio śledczy, mogę wam udowodnić, że w sierpniu 1935 roku nie prowadziłem żadnych rozmów z Wlachim, gdyż nie byłem w Rosji, lecz za granicą.

— Do ściany, ty kurwo!

— Obywatelu sędzio śledczy...

— Do ściany, ty prostytutko!

Odwrociłem się wtedy do ściany i mówiłem do ściany. Mówiłem głośno wszystko, co miałem do powiedzenia. Szalit milczał. Zupełnie osłupiał. Nie mógł kontynuować swego zwyczajowego „Do ściany...”, gdyż już mówiłem do ściany. Może i jego ta scena rozśmieszyła i zmuszał się do zachowania powagi. Przepuszczenie swoje opierałem na tym, że epizod powyższy wkrótce stał się wiadomy w całym gmachu. Gdy w kilka miesięcy późniejszą stać przez całą noc w kancelarii nie moich sędziów śledczych, jeden z nich przedstawił mnie drugiemu: „To ten Weissberg, co mówi do ściany”.

Rankiem przyszedł Wajsband. Przesłuchanie z nim było jednocześnie i łatwiejsze i trudniejsze. Odczuwało się jego współczucie. Pozwalał co jakiś czas stać przez kilka minut. Z drugiej strony przygnębiała monotonia całych godzin. Musiało się myśleć wciąż o zbliżającym się końcu. Nic nie przerywało strasznego uczucia bólu.

Po południu Reznikow oświadczył mi:

— Prokurator czytał wasze podanie i jest oburzony, że przesyłałyśmy mu takie kontrrewolucyjne wypowiedzi. Zna waszą sprawę. Domaga się maksymalnego nacisku, by was zmusić do przyznania się.

Nie wierzyłem ani jednemu słowu, ale wyzbyłem się nadziei, że ujrę prokuratora przed zakończeniem przesłuchania.

Przed wieczorem kolej przyszła znowu na Szalita. Wymyślił sobie coś nowego. Chciał mnie wziąć sposobami psychologicznymi. Zaczął:

— Co powiedzą wasi przyjaciele, gdy się dowiedzą, że byliście między nimi brudny zdrajca?

— Na pewno już wiedzą, że jestem aresztowany. Ci, co mnie znają, nie uwierzą w moją winę.

— Każemy was rozstrzelać i opublikujemy całą waszą sprawę w zagranicznych gazetach. Wasza matka dowie się, że wydała na świat zdrajcę Kraju Sowieckiego.

Nie zdążyłem zastanowić się nad głupotą jego słów. Wspom-

nienie o matce wzruszyło mnie. Napłynęły mi łzy do oczu. Szalit myślał, że uderzył we właściwą nutę i całymi godzinami mówił teraz o mojej matce. Można oszaleć.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł kapitan. Zauważył moje wzruszenie i przystąpił do mnie. Objął mnie po ojcowsku ramieniem i powiedział:

— Chodź ze mną, wygadamy się. Wszystko będzie dobrze.

Zaprowadził mnie do pokoju, znanego mi jeszcze z czasów Asaka i kazał przynieść dla nas obu herbatę.

— Aleksandrze Siemionowiczu, musisz złożyć zeznania. Nic tu nie pomoże. Robisz niesłychany zamęt i tylko sam sobie tym szkodzisz. Skończ nareszcie. Nie musisz potwierdzić wszystkiego, co ci się zarzuca. Możesz spokojnie zaprzeczyć wszystkiemu, co nieprawdziwe.

— W takim razie nic nie zostanie, obywatelu kapitanie. Wszystko jest nieprawdą.

— Coś z tego jednak musi być prawdziwe. NKWD nie aresztuje człowieka, który nic nie zrobił. Jeśli tylu ludzi składa przeciwko tobie zeznania, to jesteś po prostu winien. Sąd musi dać wiarę dwudziestu innym, którzy świadczą przeciwko tobie.

Obywatelu kapitanie, wiercie mi, wszystko jest pełnym wymysłem, nie ma w tym ani słowa prawdy.

— To nie przejdzie, Aleksandrze Siemionowiczu. Coś musisz dać. Musimy sprawę doprowadzić do jakiegoś ładu. Jesteś przecież rozumnym człowiekiem. Napisz co trzeba, a postaram się już o to, by ci nie zrobiono krzywdy.

Wypocząłem w wygodnym fotelu klubowym u kapitana. Niestety jednak bardzo szybko zaprowadził mnie z powrotem do Szalita.

— Weissberg zmądrzeje i będzie pisał — powiedział do Szalita i opuścił pokój.

— Chcecie papieru?

— Nie mam nic do napisania.

Męczarnia zaczęła się na nowo. Była to szósta noc i byłem już zbyt słaby, by zwalczać ból. Szalit krzyczał i miotał się. Każde słowo waliło w moją roztrzęsioną czaszkę jak nowe uderzenie młotem. Migąło mi w oczach, ale najgorsze były bóle w pachwinach. Widocznie siedzenie na drewnianym stołku napręża różne mięśnie. Przy całkowitym odprężeniu spada się prawdopodobnie ze stołka. Wytrzymanie napięcia przez sześć dni i sześć nocy wymaga wielkiego wysiłku. Muskuły i ścięgna reagują na to nieprzerwane napięcie rosnącym bólem. Nie wiem, co mówi o tym medycyna. Jednakże w ciągu szóstej nocy uświadomiłem

sobie, że nie wytrzymam już długo tego stanu. Opanował mnie niepokój. Zacząłem obawiać się, że utracę zdolność jasnego myślenia i że podpiszę wtedy najgorsze.

O północy wszedł Tornujew raz jeszcze do gabinetu. Zwrócił się do Szalita:

— No co, napisał?

— Nie, kpi z nas bez przerwy. Co każecie, kapitanie?

— Próbowałem po dobroci, ale nie pomogło. Trzeba się będzie z nim porachować.

Opuścił pokój.

— Słyszeliście, co powiedział kapitan? Wiecie, co to znaczy?

— Nie.

— Obawiam się, że dowiecie się we właściwym czasie. Zrobimy was na szaro. Mamy w naszych piwnicach różne sposoby na oswojenie takich łajdaków, jak wy. Radzę wam nie dopuścić do tego. Ale ostatecznie to wasza sprawa.

Po tej przerwie kontynuował swój monotony wrzask. Usiłowałem się zastanowić, nie dając mu się zbić z tropu. Zauważył to i kilkakrotnie podchodził do mnie, by mnie poderwać.

Pomimo bólu w udach i pachwinach, pomimo ucisku, rozsadzającego mi głowę, zmuszałem się do myślenia. Co robić? Jasne było, że muszę kończyć. Ale co mam napisać? Być może uda mi się jeszcze zawrzeć kompromis: Akceptuję zamach, za to oni rezygnują z dywersji i szpiegostwa. Zauważyłem już jednak, że nie mogę im zaproponować czegoś w tym rodzaju. Odrzucą to jako prowokację. Zachowywali się przecież, jak gdyby wszystko brali za dobrą monetę. Tym samym nie mogli się kompromitować i załatwiać sprawy krakowskim targiem. Nie mogłem tedy im powiedzieć: „Wszystko to jest oszustwem, jednak biorę na siebie oskarżenie o zamiar zabicia Stalina. Nie przynosi ono bowiem ujmy memu honorowi. Natomiast odrzucam szpiegostwo i dywersję”. Należało prawdopodobnie przyznać się w ten sposób: „Byłem terrorystą i przygotowywałem zamachy na Stalina. To należało do mnie. Natomiast nie miałem nic wspólnego z dywersją i szpiegostwem. To zadanie objął w organizacji ktoś inny”.

Ale wtedy narzuca się pytanie, kto należał do organizacji? Kto mnie zwerbował i kogo ja zwerbowałem? Przez jakiś czas płątała mi się po głowie myśl, by jako tych, którzy mnie zwerbowali, wymienić mego wroga w Instytucie, Dawidowicza albo Pawła Andrejewicza Krawczenkę, dyrektora administracyjnego, który niewątpliwie był agentem NKWD. Wkrótce tę myśl porzuciłem. Nie uwierzą, uznają to za prowokację i będą mnie jeszcze dotkliwiej dręczyli. Prawdopodobnie chcieli określonych ludzi, znajdujących się u nich na czarnej liście, jak Leipunski, Szubni-

kow i cudzoziemcy u nas w Instytucie, ale tych właśnie nie podam. Na tym sobie wyłamią zęby.

Jaką organizację powinienem był podać? Trockistowską czy bucharinowską. Trockizm odrzucałem zawsze. Z ideami Bucharina sympatyzowałem. Wybrałem bucharinowców.

W kilka godzin po północy przejął komendę Wajsband. Szalit błąd jak trup opuścił gabinet. Widocznie sześć godzin wrzasku podziałało także na jego własne nerwy. Wajsband tym razem nie przyniósł mi ulgi. Bóle w pachwinach rosły coraz bardziej. Jednakże moich rozmyślań nie zakłócał już bezustanny wrzask. Postanowiłem przygotować wszystko do kapitulacji, ale próbować przetrzymać tak długo, jak tylko możliwe. Myślałem teraz na zapas. Być może jednak przebrnę przez to wszystko. Lecz jeśli załamie się, to będę przynajmniej przygotowany i będę wiedział, co mam powiedzieć.

W godzinach porannych moje decyzje dojrzały. Przyznam się do terroru, być może do agitacji kontrewolucyjnej i walki przeciw pracom dla wojska w Instytucie. Natomiast nie przyznam się do szpiegostwa, nie przyznam się do dywersji. Organizacja — bucharinowska, nie trockistowska.

Po tych decyzjach próbowałem jeszcze ostatniego oporu, ale było mi coraz trudniej. Myśl, że wreszcie będzie wolno wstać i wyprostować się, że będę mógł chodzić, działała jak fatamorgana, łudząca podróżnika na pustyni.

Rano przyszedł Reznikow. Zebrałem się na odwagę i powiedziałem:

— Obywatelu sędzio śledczy, jestem u kresu sił. Wszystko o co mnie obwiniecie jest czystą fantazją. Nie mam z tym nic wspólnego, jednak jestem gotów złożyć swój podpis.

— Nie przyjmujemy przyznania się, połączonego z takim zastrzeżeniem. Jeśli to wszystko nie jest prawdą, to nie masz prawa się przyznawać. Nie powinienes składać fałszywych zeznań. Byłoby to prowokacją w stosunku do władzy sowieckiej.

— No tak, ale po prostu nie mogę już dłużej wytrzymać. Co mam zatem zrobić? Wymuszacie torturami przyznanie się, a potem je odrzucacie. Zwolnijcie mnie, a nie będę się ani przyznawał ani prowokował władzy sowieckiej.

— Przeprowadzamy tu przesłuchanie w formach cywilizowanych. Nie bijemy cię, żądamy jednak, żebyś mówił prawdę. I powiesz prawdę. Chcemy dotrzeć do twojej prawdziwej winy. Winienes zeznać, co uczyniłeś przeciwko władzy sowieckiej. Na przyznanie się, które z góry dementujesz, nie damy się nabrać.

Dobrze mu było mówić. Przyszedł świeżo ogolony, po dobrym śniadaniu, wyspany u boku swej żony. Ja nie spałem przez 140

godzin, cała dolna część mego ciała była jedną raną. On wiedział dokładnie, że dojrzałem do kapitulacji. Mógł teraz stawiać jakie chciał warunki. Jeszcze przed ośmiu dniami przyjąłby z radością takie przyznanie się z zastrzeżeniem, opuściłby zastrzeżenie i zaprotokołował przyznanie się. Teraz mógł sobie pozwolić na czekanie. Przyjmę przecież wszelkie warunki.

Jednakże broniłem się jeszcze. Za każdym razem, gdy usiłowałem przystąpić do „przyznania się”, słowa po prostu nie mogły mi przejść przez gardło. Nie mogłem się zdobyć na to, by złożyć zeznania tego rodzaju, a przy tym zachowywać się tak, jak gdybym to wszystko brał na serio. Bałem się także, że na tym nie poprzestaną. Reznikow podkreślał raz po raz, że jestem podwójnym agentem, naślany do kraju z jednej strony przez opozycję, z drugiej strony przez niemieckie Gestapo. Nie przejmował się przy tym faktem, że w roku 1931, gdy przybyłem do kraju, nie było jeszcze w Niemczech ani Hitlera ani Gestapo. A w ogóle prawa logiki i chronologii niezbyt mu imponowały. Jeśli raz tylko okażą słabość, będą chcieli iść dalej do samego końca. Będą żądali ode mnie wszystkich mych przyjaciół, a ja ich nie wydam. Raczej zgniję.

Ostatkiem sił próbowałem się jeszcze bronić. Natężyłem swą wolę, ale na próżno. Bóle w dolnej części ciała rozbijały wszystkie moje dobre postanowienia. Wyciągałem przed siebie nogi i próbowałem oprzeć się trochę na rękach, by odciążać pachwiny, byłem jednak za słaby, by wytrzymać tę pozycję dłużej niż przez kilka minut. Gdy czyniłem to częściej, spotykałem się z zakazem Reznikowa. Także i Wajsband, który go złuzował, nie robił mi już żadnych ustępstw. Widocznie mu zabroniono. Próbowałem obrócić się na bok na stołku, upadłem jednak razem ze stołkiem i zwichnąłem sobie palec, na którym przy spadaniu chciałem się oprzeć. Można było oszaleć. Gdy kogoś biją, musi zacisnąć zęby, aby przetrzymać torturę, mogącą trwać i godzinę. Potem traci się przytomność. Tutaj nie traciło się przytomności, za to męczarnia nie miała końca. Skręcałem się z bólu. Wajsband nie mógł na to patrzeć i wyglądał przez okno. Około południa przyszedł Szalit. Gdy wchodził, zerwałem się i rzuciłem się przez otwarte drzwi boczne do Reznikowa, który tam siedział przy swym biurku:

— Obywatelu sędzio śledczy, brońcie mnie przed tym człowiekiem. Prowadźcie śledztwo, róbcie ze mną co chcecie, ale zabierzcie mnie od Szalita!

— Szalit was zupełnie dobrze rozpracowuje. Ugniecie się. Wracajcie i piszcie swoje przyznanie się.

Nie odważyłem się na jawny bunt. Byłem zbyt otumaniony,

by móc jeszcze coś przedsięwziąć. Szalit zacierał ręce i zadowolony z siebie zasiadł do biurka.

— Mam nadzieję, że już rozumiesz: to koniec. Jeśli teraz napiszesz, będziesz mógł jeszcze dziś wieczorem pójść spać. Jeśli teraz nie napiszesz, gwarantuję ci, że już w ogóle nie przyjmujemy twego przyznania się. Będziesz czołgał się po podłodze i skowyczał, ale zgnijesz zanim cię odeślemy.

Mogę tylko z trudem odtworzyć, co owego popołudnia ze mną wyprawiał. Zorientował się w moim stanie i chciał teraz doprowadzić do mojej kapitulacji tak aby zdobycz wpadła w jego ręce, a nie kolegów. Obserwował zazdrośnie każdy mój ruch. Gdy usiłowałem przynieść sobie ulgę, wyciągając nogi przed siebie i opierając się na rękach, nie pozwalał i krzyczał na mnie grzmiącym głosem. Raz pozwoliłem sobie na opór i podpierałem się przez kilka sekund. Szalit wstał i butem strącił mi rękę ze stołka. Zerwałem się.

— Nie macie prawa mnie dotykać! Cokolwiek się stanie, być może nie wytrzymam i podpiszę to oszustwo, ale wam, obywatelu Szalit, nie podpiszę ani jednego słowa.

Pobladł z wściekłości. Z łatwością wytrzymałby moją nienawiść, lękał się jednak, że złożę zeznanie na ręce Reznikowa albo Wajsbanda i że on wyjdzie z pustymi rękami. Reznikow był w tym czasie nieobecny. Powiedziałem otwarcie do Szalita:

— Zawołajcie obywatela Reznikowa, wam nie przyznam się do niczego. Chcę złożyć oświadczenie na ręce Reznikowa.

— Teraz ja jestem sędzią śledczym. Reznikow już dziś nie przyjdzie. Ujawnij twoją trockistowsko-faszystowską, kontrrewolucyjną organizację szpiegowską i dywersyjną! Wydadz twoich współników! Przez kogo przemycałeś wiadomości z naszego kraju? Przez tutejszego konsula niemieckiego, czy też wprost przez poselstwo w Moskwie? Skąd wzięłeś broń mogącą posłużyć do zamordowania towarzysza Stalina?

— Wam nie powiem ani słowa.

— Jeśli będziesz sabotował śledztwo, przejdziemy do tortur cielesnych. Kapitan już się zgodził.

— Będę mówił tylko z Reznikowem.

Zrozumiał, że wywołał we mnie rozpaczliwą obronę i chciał to naprawić.

— Jeśli nie chcesz mówić ze mną, to napisz do kapitana. Tu masz papier.

— Zawołajcie Reznikowa.

— Pisz do Reznikowa, ty bandyto! Ty faszystowski gadzie, ty chcesz nam stawiać warunki! Wkrótce będziesz pluł krwią. Rzucimy cię szczyrom na pożarcie!

— Nie odpowiadałem mu więcej. Przed oczyma latały mi czerwone plamy, nie mogłem już myśleć. Wszystko się ze sobą plątało. Wściekle bóle czułem już w całym ciele. Bolał mnie teraz także i kark. Próbowałem zmienić pozycję głowy, ale to nie przyniosło ulgi. Wieczorem przyszedł Wajsband. Powiedział mi:

— Aleksandrze Siemionowiczu, oszalejecie, jeśli będziecie się dalej upierali.

Nie słuchałem. W oczach miałem zamęt. Nie mogłem znieść światła elektrycznego i zamknąłem oczy. Dwa razy obsunąłem się ze stołka. Przez chwilę myślałem, że serce mi bić przestało. Gdy bóle były już nie do zniesienia, zażądałem od Wajsbanda zaprowadzenia do ubikacji. Zgodził się, chociaż byłem tam zaledwie przed godziną. Wstanie z miejsca i ruch przywróciły mi świadomość, lecz natychmiast po powrocie do gabinetu męka zaczęła się na nowo. Czułem, że już nie wytrzymam. Czekałem na Reznikowa, ale przyszedł znowu Szalit. A przecież kolej była na Reznikowa. Nie wiedziałem, jak to Szalit urządził, że zastąpił Reznikowa w przesłuchaniu.

— Zostanę z tobą przez całą noc, braciszku. Ciesz się.

Myśl o spędzeniu całej nocy z Szalitem była nie do przyjęcia. Byłem zdecydowany nie składać jemu żadnych oświadczeń, lecz aby przetrzymać musiałbym dać sobie amputować obie nogi. Szalit zaczął znowu krzyczeć. Słowa jego docierały do mnie tylko połowicznie. Straciłem niemal przytomność. Przestałem już wyraźnie widzieć. Widziałem Szalita tylko w mglistym zarysie. Ucisk w mózgu zaostrzał się coraz bardziej. Szalit obserwował mnie jak myśliwy zwierzynę. Widoczne było, że wzbierała w nim dzika nienawiść. Nieraz chciał się na mnie rzucić, aby siłą fizyczną zmusić mnie do pisania. Nie wolno mu jednak było mnie dotknąć. Pienił się ze złości. W owych ostatnich godzinach przeszedł sam siebie. Byłem u kresu, trzymała mnie jeszcze tylko nienawiść do tego człowieka. On to czuł i to go podniecało. Wydobywał z siebie całą energię, by mnie pokonać. Jego krzyk tak się rozlegał na korytarzu, że wielokrotnie sędziowie śledczy wychodzili z sąsiednich pokojów, by zapytać co się dzieje. Na krótko przed północą poczułem, że słabnę. Wiedziałem, że zbliża się koniec.

— Obywatelu Szalit, zatelefonujcie do obywatela Reznikowa. Chciałbym mu coś powiedzieć.

— Najpierw musisz powiedzieć wszystko, wyznać wszystkie zbrodnie, cały twój ponury sposób myślenia, wszystko musisz na ten papier wyrzygać.

Podniosłem się i zachwiałem. Pokój zakręcił mi się w oczach, upadłem. Szalit przyskoczył do mnie jednym susem, dźwignął

mnie w górę i walił w mą czaszkę grzmiącym głosem, jak młotem. W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł kapitan.

— Co się tu dzieje? Co to za hałas?

— Ten zbrodniarz szydzi z władzy sowieckiej, obywatelu kapitanie. Wydajcie rozkaz, by z nim skończyć.

Wpatrywałem się w Tornujewa, jak w ojca. Łzy napływały mi do oczu.

— Obywatelu kapitanie, zdecydowałem się podpisać protokół, ale chcę to uczynić tylko wobec was.

Zwrócił się do Szalita, stojącego przed nim na baczność.

— Gdzie jest porucznik?

— Winien tu być za kilka minut, obywatelu kapitanie.

— Zaczekajcie na niego i potem przyjdźcie razem z nim i Weissbergiem do mego gabinetu.

— Rozkaz, kapitanie!

Ledwo kapitan opuścił pokój, przyszedł Reznikow. Szalit zdał mu sprawę. Rzucił na mnie okiem i zapytał:

— Chcesz złożyć zeznanie?

— Tak jest.

— Szalit, zaprowadźcie oskarżonego do mego pokoju i pośadźcie go na mojej kanapie. Idę do naczelnika.

Po kilku minutach zatelefonował. Szalit w całkiem innym, niemal przyjacielskim tonie kazał mi iść za sobą. Była północ, siódmego dnia mego przesłuchania. Nawojowałem się. Przyszła kapitulacja i „przyznanie się”.

PRYZNANIE SIĘ

Weszliśmy do gabinetu naczelnika oddziału. Kapitan Tornujew rozparł się za biurkiem i powitał mnie życzliwie. Na lewo od biurka siedział Reznikow i szperał w aktach. Tornujew poprosił mnie abym usiadł w wygodnym skórzanym fotelu po drugiej stronie. Za mną stał stół z winem i innymi napojami, a przy nim Szalit. Podczas rokowań nieustannie proponował mi różne trunki. Obsługiwał mnie jak gorliwy kelner dobrze płacącego gościa. W ciągu tych kilku minut odpocząłem. Usiłowałem nie myśleć o tym, co będzie. Udało mi się odzyskać równowagę ducha. Szalone bóle szybko ustępowały. Leżałem w miękkim fotelu prawie jak w łóżku.

Reznikow wertował protokoły i co jakiś czas wręczał coś kapitanowi. Kapitan czytał i czasem coś podkreślał. Wreszcie zwrócił się do mnie:

— Aleksandrze Siemionowiczu, wszystko będzie dobrze. Weźmiemy teraz wszystko na papier. Musimy zacząć od organizacji. Musicie opisać charakter organizacji, dla której pracowaliście. Musicie nam powiedzieć, co was popchnęło na drogę walki przeciw władzy sowieckiej. Czy były to względy osobiste, czy też wpływ przyjaciół. Niech się wszystko wyjaśni. Nie śpieszcie się, zastanówcie się nad wszystkim spokojnie, zanim coś zapiszemy.

Już przed trzydziestu godzinami powziąłem decyzję. Wystąpię jako bucharinowiec, przyznam się do terronu i kontrrewolucyjnej organizacji, natomiast zaprzeczę dywersji i szpiegostwu. Chwilowo niejasna mi była kwestia osób, które mnie zwerbowały. Każde przyznanie się w NKWD pociągało za sobą dwa kardynalne zapytania:

1. Kto cię zwerbował?

2. Kogo zwerbowałeś?

Odpowiedź na pierwsze pytanie była łatwa. Mogłem wymienić ludzi przebywających za granicą i tym samym zabezpieczonych przed ingerencją GPU. Reznikow nie poruszał kwestii, gdzie zostałem zwerbowany. W swych oskarżeniach sędziowie śledczy często wzmiankowali, że przyjechałem do kraju już jako agent z jednej strony zagranicznych trockistów lub bucharinowców, z drugiej strony — Gestapo. Tym samym wedle koncepcji NKWD musiałem zostać zwerbowany za granicą. Było to dla mnie dobre. Ale Reznikow chciał bezwarunkowo powiązać mnie z Bucharinem. Nie wiedziałem, jak sobie to wyobraża. Może domagał się zeznania, że niemiecka opozycja prawicowa posłała mnie z jakimś poleceniem do Bucharina i że Bucharin udzielił mi potem konkretnych wskazówek dla pracy kontrrewolucyjnej na Ukrainie. Nigdy dotychczas gepiści nie ujawnili jak wyobrażają sobie mechanikę kontrrewolucyjnej organizacji. Robili tylko aluzje. Nie wiedziałem zatem dokładnie, do czego mam się przyznawać. Gepiści również nie wiedzieli. Wspólne podłoże naszej niewiedzy stanowił fakt, że nie było wówczas w Rosji żadnej kontrrewolucyjnej organizacji Trockiego lub Bucharina. Tej radykalnej sprzeczności z rzeczywistością nie udało się gepistom nigdy całkowicie przezwyciężyć w zeznaniach.

Drugie pytanie sprawiało mi większe trudności. Tu Reznikow żądał najwidoczniej ludzi, pracujących w Rosji. W pierwszym rzędzie mych przyjaciół w Instytucie, Leipunskiego, Szubnikowa, Landaua, Ruhemanna i tak dalej. Byłem stanowczo zdecydowany ich nie wymieniać. Pod tym względem nie mogło być kompromisu pomiędzy mną a GPU. W ciągu następnych trzech godzin dyktowałem swe zeznanie. Mówiłem i myślałem na pół świadomie wciąż tylko o jednym: Co zrobię, jeśli zażądają ode mnie wydania moich przyjaciół. Jak tego uniknąć? Może będę miał szczęście; Tornujew jest zmęczony i może zadowolony się dzisiaj połowicznym wyznaniem. Jeśli mi potem użyczy jednej nocy snu, jestem ocalony. Wtedy wytrzymam znowu tydzień konwejera.

Zacząłem od rozległego opisu historycznego. Znałem dzieje austriackiej i niemieckiej partii komunistycznej, opisywałem walki frakcyjne w obu partiach, tłumaczyłem, jakie różnice powstawały w łonie Komitetu Centralnego i jakie osoby przechodziły do opozycji wobec linii Kominternu.

„... Sprzeciw w stosunku do kierownictwa partii doprowadziły wreszcie do tego, że opozycja ukonstytuowała się w ramach organizacji partyjnej jako zwarta frakcja. Tym samym weszła na drogę walki frakcyjnej. Partia zareagowała wykluczeniem przywódców opozycji...”

Tornujew przerwał mój referat:

— Kiedy opozycja prawicowa w Niemczech stała się nielegalna?

Wytrzeszczyłem oczy.

— Co macie na myśli, kapitanie? Opozycja nigdy nie stała się nielegalną. W każdym razie nie w tym czasie, gdy w Niemczech panowała demokracja weimarska. Później, po nadejściu Hitlera, stała się nielegalna wraz z całą partią.

Tornujew próbował przez chwilę polemizować z moim poglądem:

— Przecież to niemożliwe, by opozycji pozwolono jawnie propagować kontrrewolucyjne, wrogie dla partii i Sowietów poglądy.

— Obywatelu kapitanie, rzecz dzieje się wszakże w Niemczech i w Austrii. Aparat policyjny i aparat sądowy tych krajów nie interesował się w najmniejszym stopniu różnicami wewnątrz partii komunistycznej. Było im zupełnie obojętne, czy opozycja była czy nie była wroga w stosunku do Sowietów.

Gdy kapitan chciał odpowiedzieć, przerwał mu Reznikow:

— Towarzyszu kapitanie, w Niemczech istnieją takie specyficzne stosunki.

Dopiero w toku tej sprzeczki uświadomiłem sobie idiotyczny sens zapytania Tornujewa. Bezmyślnie przenosił on stosunki w Związku Sowieckim i agitację oficjalnej prasy na zagranicę. Do roku 1927 istniała w rosyjskiej partii komunistycznej jawna walka kierunków. Potem Trocki i jego przyjaciele zostali wygnani, a opozycja — zdelegalizowana. Od tego czasu GPU mieszało się do walki wewnętrzno-partyjnej. W trzy lata później nie było już ani jawnej ani tajnej organizacji opozycyjnej. Później gepiści przyzwyczaili się do mówienia o kontrrewolucyjnych organizacjach, działających nielegalnie. Organizacje te nie były ani kontrrewolucyjne, ani nielegalne. Po prostu ich nie było. Istniały tylko w głowach czekistów. Lecz na zjazdach partyjnych i w prasie mówiono często o momencie, w którym opozycja przeszła do nielegalności. To zapamiętał sobie Tornujew. Dawniej opozycja, teraz nielegalna organizacja kontrrewolucyjna. Taki był w jego mózgu naturalny przebieg rzeczy. Tą drogą musiała kroczyć niemiecka opozycja prawicowa. Należy tedy ustalić, kiedy nastąpił w Niemczech przełom. Tornujew zapomniał o tym drobiazgu, że Niemcy leżały poza zasięgiem GPU, że w kraju tym wrogość wobec oficjalnej partii w Rosji nie mogła być powodem delegalizacji. Kontynuowałem swój referat. Przedstawienie w bardzo uczonych słowach różnic pomiędzy partią a opozycją sprawiło mi istną przyjemność. Uczyniłem to w taki sposób, by protokół sta-

nowił dla wtajemniczonego apologię polityki niemieckiej opozycji prawicowej. Opisałem zjazd niemieckiej opozycji prawicowej w Niemczech środkowych w roku 1929. Gepiści, zwłaszcza Tornujew, przysłuchiwali się z wielkim zainteresowaniem.

Dyktowałem niemal przez dwie godziny, nie popadając w sprzeczność z faktami. Był to po prostu opis walk ideowych w niemieckim ruchu robotniczym. Ani słowa o kontrrewolucji. Obie grupy, partia i opozycja, chciały rewolucji. Sprzeczano się tylko o najkrótszą do niej drogę. Obie broniły Związku Sowieckiego budownictwa socjalistycznego. Co prawda, wszelka jawna opozycja przeciw kierownictwu partii i Kominternu, a więc przeciw dyrektywom towarzysza Stalina — to dla wziętych czekistów była naga kontrrewolucja. Przewyciężyłem jednak już wówczas ostatnią resztkę hipnozy Rożanskiego. Oceniałem rzeczy wedle prawideł zdrowego rozsądku ludzkiego, a nie wedle prawideł dialektyki GPU. Gdy pisałem pierwszą część zeznania, mózg mój był świeży i jasny. Znikła ostatnia resztką zmęczenia.

Miło mi było móc się tu, w więzieniu tajnej policji, zsolidaryzować z ideami prawicy niemieckiej, z którymi zawsze sympatyzowałem.

Tornujew sam spisywał protokół. Po blisko dwóch godzinach przerwał:

— Myślę, że zjemy coś teraz, Aleksandrze Siemionowiczu, a potem przejdziemy do drugiej części: wasza osobista rola w organizacji.

Zamówił dla nas wszystkich luksusową kolację. Szalit nalewał mi trunki. Podczas jedzenia ustalałem w myśli, kto mnie „zwerbował”. Miał to być przede wszystkim Willi Stein. Był on swego czasu przywódcą opozycji prawicowej w Austrii i był ze mną w przyjaźni. Poza tym podałem pewnego młodzieńca, Griszę R., który w chwili zwerbowania mnie mógł mieć 14 lub 15 lat życia. Wedle reguł GPU było wykluczone, by osoba 15-letnia zwerbowała 30-letnią. Wymieniłem go w tym celu, by z góry odebrać sprawie cechy prawdopodobieństwa i mieć później możliwość odwołania wszystkiego.

— Kiedy przystąpiliście do opozycji?

— Latem 1927 roku.

— Co was skłoniło do rozpoczęcia walki przeciwko partii.

— Niewiara w siłę rewolucyjnego proletariatu. Niewiara w powodzenie budownictwa socjalistycznego w Związku Sowieckim.

Były to stereotypowe odpowiedzi. We wszystkich doniesieniach prasowych aż do roku 1935 jako motyw działania opozycjonistów podawano niewiarę. Po procesie Piatakowa zmieniono taktykę. Przypisywano opozycjonistom nowy motyw: pragnienie

odbudowania kapitalizmu w Związku Sowieckim. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego mieliby oni pragnąć restauracji kapitalizmu, który sami obalili. Gepiści prawdopodobnie też tego nie mogli zrozumieć. Nie troszczyli się oni jednak o sens logiczny jakiegoś oświadczenia. Wszystko było dla nich w porządku, jeśli było zgodne z oficjalną doktryną. „Niewiara” jako motyw miała wciąż jeszcze kurs wysoki, aczkolwiek „odbudowanie kapitalizmu” było modniejsze i lepsze. W przebiegu przesłuchania musiałem wielokrotnie tłumaczyć mój sposób postępowania, sam w sobie całkowicie niewytłumaczalny. Musiałem na przykład wytłumaczyć nienawiść do Stalina, jeśli miałem uzasadnić organizowanie zamachu terrorystycznego na niego. Nie wolno mi jednak było wymienić prawdziwych powodów mej nienawiści do Stalina. To byłaby kontrrewolucja w więzieniu. Nie wolno mi było powiedzieć: „Stalin zdławił wolność w partii i w kraju, jest winien śmierci głodowej jedenastu milionów chłopów, zwycięstwa faszyzmu niemieckiego i wymordowania starej gwardii rewolucji”. Musiałem obmyślić sobie oficjalnie dozwolone powody nienawiści do Stalina. Agitacja Rożńskiego oświeciła mnie. Przedyskutował on ze mną setki wypadków i powiedział mi, jak się redaguje zeznania. Winienem był powiedzieć: „Nienawidziłem towarzysza Stalina, gdyż pod jego przewodnictwem zwyciężył socjalizm i dlatego obalenie władzy sowieckiej środkami legalnymi stało się już niemożliwe”.

Zwerbowali mnie wtedy moi przyjaciele z niemieckiej i austriackiej opozycji prawicowej. W pierwszym rządzie Willi Steina i Karla Franka. Pewien udział w werbunku miał także 15-letni Grisza R. Z Willim spotkałem się w kawiarni podczas mego urlopu w Pradze. Tam polecił mi on powrócić do Związku Sowieckiego i zabić Stalina i Woroszyłowa. Tutaj pojawia się już pierwsza sprzeczność, na którą później zawsze mogłem się powoływać, gdy odwoływałem swe zeznanie. Moje *rendez-vous* z Willim Steinem w praskiej kawiarni miało miejsce latem 1935 roku. Natomiast zorganizowanie zamachu terrorystycznego na Stalina i Woroszyłowa przeniósł Włach i jego towarzysze na rok 1934. Jednakże takie niuanse nie przeszkadzały GPU.

Antycypując późniejsze polecenie mego przełożonego w kontrrewolucji, Willi Steina, dałem również w roku 1934 polecenie szeregowi robotników niemieckich, by pojechali na Kaukaz, aby zabić Stalina i Woroszyłowa podczas polowania. Wymieniłem Włacha i innych, których zeznania w tej sprawie mi przedłożono. Musiałem uzgodnić swe zeznanie z ich zeznaniami, co było niezwykle łatwe. Gdy miałem to już za sobą, odetchnąłem z ulgą, ponieważ miałem teraz nadzieję, że wykręcę się od odpowiedzi

na pytanie, kogo zwerbowałem do organizacji. Ostatecznie potwierdzając przyznania się Włacha i jego towarzyszy, wymieniłem już *eo ipso* większą liczbę ludzi, których jakoby wciągnąłem do roboty kontrrewolucyjnej.

Z wyjątkiem wymienionych już sprzeczności w chronologii, zeznanie moje zbudowane było z nienaganną logiką. Nie wiedziałem jednak, jak dalej snuć legendę. Dlaczego zamach nie udał się? W jakim stadium został zaniechany? Nieudana próba musiałaby przecież doprowadzić natychmiast do zaarrestowania sprawców i do wykrycia organizacji. Logiczna słabość mej legendy trochę mnie niepokoiła.

Byłem wtedy jeszcze naiwny. Gepiści uspokoili mnie rychło. Wcale nie podzielali mych skrupułów. Zapytałem zatroskany:

— No tak, ale dlaczego zamach nie doszedł do skutku? Nie mogę w tej sprawie złożyć żadnych rozsądnych zeznań.

Tornujew śmiał się do rozpuku; wmieszał się Reznikow:

— Gdyby coś takiego doszło do skutku, gdyby nawet podjęto jakąś poważną próbę, trzeba byłoby rozstrzelać nas a nie was. My jesteśmy od tego, by w zarodku tłumić czarne zamysły wroga klasowego.

Próbowałem coś jeszcze powiedzieć, lecz Tornujew mi przerwał:

— Aleksandrze Siemionowiczu, nic się o to nie martwicie, odpowiadajcie tylko sumiennie na stawiane wam zapytania. Widzę, że jesteście zmęczeni. Przerwiemy teraz i pójdziecie spać. Jutro zabierzemy się do kwestii dywersji i szpiegostwa.

Chciałem już odetchnąć. Nie ośmielałem się wcale nawet marzyć o takim szczęściu, gdy Tornujew zaczął na nowo:

— Dziś zatem zakończymy następującym zdaniem: Jutro złożę dodatkowe zeznania o dywersyjnej i szpiegowskiej robocie organizacji i o moim w niej udziale.

Podał mi pióro. Stałem wobec dylematu: Zaprotestować przeciw temu zdaniu, albo podpisać bez słowa. Jeśli zaprotestuję, to taniec czarownic zacznie się na nowo, nie będzie żadnej przerwy, będzie wznowiony konwejer. Muszę się wyspać. Muszę wypocząć, aby zebrać siły na tydzień bez snu. Podpiszę.

Wziąłem pióro do ręki i położyłem swe nazwisko pod protokołem. Tornujew wstał i kazał mi raz jeszcze napełnić szklanekę.

— Pijcie, Aleksandrze Siemionowiczu, zrobiliście dzisiaj dobrą robotę, pomogliście nam bardzo.

— Co będzie ze mną, kapitanie? Czy będę rozstrzelany?

Tornujew zbliżył się do mnie. Wstałem i podszedłem do okna. Już świtało. Okno było otwarte. Rozkoszowałem się świeżym

powietrzem. Tornujew myślał, że chce się rzucić z okna i złapał mnie za ramię.

— Rozstrzelany?! Co ci na myśl przychodzi? Dostaniesz kilka lat obozu, potem wrócisz i będziesz wielkim człowiekiem. Popatrz na Rożanskiego!

— Co się stało z Rożanskim?

— Dostał trzy lata i poszedł już etapem.

W dwa lata później dowiedziałem się, że Rożanski wciąż jeszcze siedział w charkowskim więzieniu.

Tornujew zatelefonował do garażu i zawezwał swój wóz prywatny. Reznikow sam zawiózł mnie otwartym autem do więzienia na Chołodnej Gorze. Weszłem do swej celi. Była pusta. Towarzyszy zabrano. Zdjąłem buty i położyłem się w ubraniu na łóżko. Patrzyłem przez otwarte okno na niebo, na którym powoli gasły gwiazdy. Nie mogłem zasnąć.

Nadszedł ranek. Nie zmrużyłem oka. Strażnik pozwolił mi leżeć. W godzinę później przyszedł chleb i herbata, wziąłem jedno i drugie i postawiłem na stole. Odpędzałem od siebie myśli o minioniej nocy, lecz raz po raz powracały. Myślałem o zagranicy, o żonie, o przyjaciołach. Chyba ich już nigdy nie zobaczę. Czy mnie rozstrzelają? Właściwie muszą to zrobić, jeśli biorą swe rzemiosło na serio. Po zamordowaniu Kirowa wydane zostało specjalne prawo przeciw terrorystom. Już za usiłowanie przewidziana była kara śmierci. Całe śledztwo musiało być ukończone w ciągu dziesięciu dni. Potem następował sąd doraźny i egzekucja. W wypadku takim jak mój — stwierdzonego przeze mnie zamiaru zamordowania Stalina — nie mogło być żadnego innego rezultatu*. A jednak myśl ta niezbyt mnie niepokoiła. Nie sądziłem, że mnie rozstrzelają. W przebiegu mego trzechletniego pobytu w więzieniu tylko przez sześć tygodni obawiałem się o swe życie. Było to jesienią 1937 roku, gdy ustanowione zostały *Trojki nadzwyczajne*, skazujące ludzi *in contumaciam* na śmierć. Nie obawiałem się zatem rozstrzelania, lękałem się natomiast następnego przesłuchania. Byłem stanowczo zdecydowany odwołać wszystko. Lecz z przerażeniem myślałem o tym, co będzie później. Nowy konwejer — czy też coś jeszcze gorszego? Leżałem przez całe popołudnie. Pod wieczór zasnąłem.

O północy otworzyła się kłapa:

— Weissberg, do przesłuchania.

* Jak się później dowiedziałem, prawo to zostało znowu uchylone na krótko przed procesem Zinowiewa.

Serce mi się skurczyło. Jak zachowam się wobec Reznikowa? Co on powie? Nie chciałem o tym myśleć.

W piwnicy czekałem tylko kilka minut, potem żołnierz zaprowadził mnie do gabinetu Reznikowa.

— No więc, Aleksandrze Siemionowiczu, zabierzemy się teraz najpierw do kwestii dywersji. Jeśli nam potem jeszcze starczy czasu, załatwimy dzisiaj także i szpiegostwo. W przeciwnym razie odłożymy je do jutra. W każdym razie skończymy najpóźniej jutro.

Zebrałem się na odwagę:

— Obywatelu sędzio śledczy, czy faktycznie wierzycie choćby jednemu słowu z tego, co wczoraj podpisałem?

Reznikow tak jakby mnie nie rozumiał.

— Nie wiem, co chcecie powiedzieć, Aleksandrze Siemionowiczu? Wyrażajcie się jaśniej.

— Pod naciskiem tortur fizycznych, po niemal siedmiu dobach nieprzespanych, złożyłem zeznania od początku do końca zmyślone. Uważam za swój obowiązek je odwołać.

Reznikow zerwał się:

— Co, ty kurwo, ty prowokatorze, ty kontrrewolucyjny bandyto. Twierdzisz zatem, że chciałeś sprowokować władzę sowiecką! I ośmielasz się coś takiego powiedzieć mi w oczy?! Zastrzelimy cię jak wściekłego psa!

— Róbcie ze mną, co chcecie. Nigdy nie byłem kontrrewolucjonistą, nigdy nie organizowałem zamachów i nie uprawiałem szpiegostwa. To są dzikie fantazje. Zmyśliłem tę bajkę, bo po prostu nie mogłem już wytrzymać. Zmusiliście mnie do tego nielegalnymi środkami.

Reznikow, okrążając biurko, zbliżał się do mnie.

— Co, ty psie?! Twierdzisz, że wymusiłem coś na tobie!? Zrozumiałeś, że jesteś zdemaskowany i że dalszy opór jest bezcelowy i dlatego po prostu przyznałeś się do twych zbrodni. Nie wiedziałem, że mamy do czynienia z taką prostytutką, w przeciwnym bowiem razie nie pozwoliłbym ci zejść ze stołka, zanim nie wyrzgasz wszystkiego. Ale rychło zmalejesz! Teraz jesteście gotowi! Teraz będziesz sam wszystko pisał, aż sobie palce pokaleczysz! Teraz otworzysz swoją duszyczkę, by każdy do niej mógł zajrzeć. Dla wrogów ludu nie ma litości! Tego nas nauczył Jeżow. Raz nas mogłeś oszukać, drugi raz ci się nie uda!

Konwejer zaczął się na nowo ze wzmoczoną siłą. Zyskałem jeden dzień spokoju. Oznaczało to pięć dni dalszego oporu. Znowu zmieniali się Reznikow, Szalit i Wajsband, znowu skrzeczał Szalit po sto razy na godzinę jedno i to samo monotonne zdanie, znowu zaczęły się bóle w pachwinach. Już po 24 godzi-

nach cały byłem spuchnięty. Trzeciego dnia zażądałem papieru i napisałem do Tornujewa:

„Obywatelu kapitanie, jestem niewinny. Jeśli moje ciało zawiędzie, złożę znowu fałszywe zeznanie. Ale następnego dnia odwołam je znowu. Nie ma takiej siły na świecie, która zmusiłaby mnie do potwierdzenia wobec prokuratora i wobec sądu fałszywych zeznań”.

Reznikow przeczytał list.

— To wszystko nic ci nie pomoże. Skapitulujesz. Nie stąnisz przed sądem, wyrok na ciebie wyda *nadzwyczajna Trojka*.

Czwartego dnia po południu opuścili mnie siły. Wziąłem papier i napisałem znowu zeznanie. Nie wiem już dokładnie, do czego się wówczas przyznałem. Szalit wstał i zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, do innego sędziego śledczego. Musiałem tam czekać przez kilka minut. Tam też oprzytomniałem. Gdy przyszedł potem po mnie Reznikow, zażądałem zwrotu papieru:

— To wszystko jest nieprawdą, obywatelu Reznikow! Nie mogłem już wytrzymać bólu. Nie znoszę dłuższego siedzenia. Teraz, gdy tylko wstałem — odwołuję to oszustwo. Oddajcie mi protokół! To wszystko jest oszustwem!

Jeszcze dziś przypominam sobie dokładnie wyraz twarzy Reznikowa. Miał w ręku papier z moim podpisem. Potrząsnął głową bez słowa i schował ten papier jak drogocenny skarb do kieszeni na piersiach. Potem wziął mnie do gabinetu:

— Mamy teraz wszystkie potrzebne nam dokumenty. Zeznania świadków, twoje zeznania i inne poszlaki. Możemy przekazać ten materiał *Trojce* i skazać cię zaocznie na śmierć. I zrobimy to, jeśli nie okażesz skruchy. Jeśli będziesz trwał w oporze, będziesz nieboszczykiem przed upływem dziesięciu dni. Czy podtrzymujesz zeznanie?

— Odwołuję je, obywatelu poruczniku.

— Twoje odwołanie nie ma żadnego znaczenia. Te protokoły idą do *Trojki*. Ciebie już nikt nie będzie o nic pytał. Czy wciąż jeszcze odwołujesz?

— Odwołuję.

— Będziesz siedział na tym stołku, aż uschniesz, ty kurwo. *My ciebia w rot pojebiom*, ty bezwstydna dziewczko, ty sutenerze, ty!! Na co sobie właściwie pozwalasz?! Myślisz, że możesz nas prowokować!! Chcesz kraść nasz czas?! Połamiemy ci kości. Będziesz się czołgał na podłodze. *Paszot k'jobanoj materii!!*

Wścikiły, wypchnął mnie do sąsiedniego pokoju, gdzie czekał już Szalit. Od tej chwili krzyczeli na mnie w trójkę i w czwórkę. Szalit sprowadził kolegów, których nazwisk nie znałem. W ciągu najbliższych 24 godzin pastwiło się nade mną chyba

z dziesięciu sędziów śledczych. Wszystko to nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Tłumiłem ból i trzymałem się ostatkiem sił. Nie chciałem ustąpić. Piątego dnia jeszcze trwał mój opór. Nie myślałem ani przez chwilę o kapitulacji i już się nie bałem tego, co może nadejść. Byłem przekonany, że potrzymają mnie jeszcze przez tydzień bez snu na stołku i byłem zdecydowany przetrwać tę próbę. Stało się inaczej.

Piątego dnia po południu wszedł do pokoju żołnierz i przyniósł Szalitowi karteczkę. Przeczytał ją i wstał. Głos jego brzmiał niepewnie.

— Zastosujemy teraz inne środki, aby cię doprowadzić do rozumu.

Potem zwrócił się do żołnierza.

— Odprowadźcie tego człowieka.

Myślałem, że to dziesięciominutowa przerwa na jedzenie i do ustępu, lecz samochód więzienny zabrał mnie natychmiast na Chołodną Górę. Wielki konwejer dobiegł końca.

TWIERDZA CHOŁODNAJA GORA

Nadeszły tygodnie spokojne. Nic nie zakłócało mej samotności. Wolno mi było leżeć. Izolacja traciła przez to na surowości. Nie tęskniłem za ludźmi. Czułem instynktownie, że potrzebuję spokoju i całkowitego odwrócenia się od okropności minionych tygodni. Powoli przemijało podniecenie. Nabrałem przekonania, że teraz już przez długi czas nie będą mnie wołali. Jedynym zadaniem jakie stało teraz przede mną, było domagać się papieru i ołówka, by utwierdzić moje odwołanie pisemnymi protestami do najwyższych władz państwowych i partyjnych oraz do prokuratora. Odmówiono mi wówczas papieru. Chwilowo z tym się pogodziłem.

Przeważną część dnia spędzałem na łóżku, patrząc w okno. Okno było kwadratowe, o krawędzi niespełna jednego metra. Umieszczone było wysoko. By wyrzec przez okno na świat, musiałbym posłużyć się stołkiem, a to było zabronione.

Był lipiec. Odzyskałem już poczucie czasu i za miarę brałem już nie pozycję słońca, lecz natężenie światła. Mogłem leżeć godzinami i wpatrywać się w kwadrat okna. Samotność już mnie nie przynębiała. Patrzyłem na błyszczącą niebieską plamę i cieszyłem się, gdy z nadejściem wieczora zmieniała swą barwę. O szóstej odbywała się zmiana personelu więziennego. O tej porze w pasie ogrodu, leżącym pomiędzy murem wewnętrznym a zewnętrznym, zbierała się grupa strażników więziennych z żonami i dziećmi, urzędników biurowych i młodych dziewcząt z kuchni. Jeden z młodych mężczyzn grał na gitarze, drugi na harmonii. Dziewczęta tańczyły i śpiewały. Patrzyłem przez chwilę przez okno na rozbawioną młodzież — bez zazdrości. Nachodziło mnie tylko uczucie smutku. Potem kładłem się z powrotem na

łóżko. Powoli zapadał w celi zmrok. Wpatrywałem się w błyszczącą plamę, zmieniającą barwę z lazuruwej na purpurową. Do późnej nocy rozbrzmiewały melancholijne melodie ukraińskie. Marzyłem o pięknych rzeczach. O wspomnieniach młodości, o grze w piłkę na Rambergu, o tarasach nad Grundlsee z cudownym widokiem na połyskującą o zmierzchu czerwono ścianę skalną Backensteinu, o niezakłóconym niczym życiu za granicą.

Nie mieliśmy ani zbyt wiele, ani za mało pieniędzy. Byliśmy dostatecznie chłonni, by cieszyć się przyrodą i dziełami sztuki. Uprawialiśmy sporty i kochaliśmy dziewczęta. Czemuż na litość boską zabraliśmy się do zbawiania świata? Kto wsączył nam w krew ten niepokój? Czy może solidarność z uciskanymi, których życie było codzienną walką, którzy nie mieli na tyle wolności, by uczestniczyć w szczęściu tego świata? Wspominałem jednak robotników wśród naszych przyjaciół. I oni mieli swoje niedziele, swoje urlopy, nieraz motocykle lub kajaki, i oni jeździli na nartach w pobliskich Alpach. A tutaj? To zagonienie, ten brak swobody także w życiu codziennym, niepolitycznym, prywatnym. Także i wypoczynek jest zorganizowany. Bardzo niewiele już im pozostaje. Spotykają się wieczorem pod drzewem, grają na harmonii i śpiewają. Nawet i to było udziałem tylko nikłej części młodzieży tego kraju. Po raz pierwszy zobaczyłem to wewnątrz murów więziennych.

Większość jest zagoniona, uczy się. Z zawziętą zapamiętałością przyswajają sobie naukę i technikę. Czy będzie później szczęśliwa? Czy człowiek, by mógł się cieszyć, nie potrzebuje wolności i bezpieczeństwa?

Przymuszałem się do myślenia tylko o rzeczach przyjemnych. Uciekałem do mej wczesnej młodości, myślałem o wędrownościach po Włoszech, o Florencji, Wenecji i Rzymie, o skarbach Watykanu i o rozmowie z Robertem Planckiem, z którym razem zwiedzałem salę po sali i któremu wówczas powiedziałem:

„Jest może niesprawiedliwością, że to wszystko jest skoncentrowane we Włoszech i że cały świat ma w tym taki mały udział. Gdy zdobędziemy w świecie władzę, będziemy musieli lepiej to rozdzielić”.

Za każdym razem powracałem od wspomnień do mego obecnego stanu.

W ostatnich dniach byłem skazany wyłącznie na wikt więzienny. Nie miałem już na koncie pieniędzy i nie mogłem nic kupić w sklepie więziennym. Wałówek już nie dopuszczano. Z Leną straciłem wszelką łączność. Jedzenie było coraz gorsze. Na Chołodnej Gorze zupę dawano nie dwa razy dziennie, lecz tylko raz.

Wieczorem przynosili trochę suchej papki — i to niepełną łyżkę. Przeraziłem się po prostu na widok tej porcji.

— Czy to wszystko?

— Tu nie sanatorium — brzmiała odpowiedź.

Byłem zadowolony, że w ogóle udzielił odpowiedzi. Znałem już zwyczajową reakcję. Strażnik kiwał głową w milczeniu i zamykał klapę.

Pewnego razu mówiłem z komendantem bloku więziennego. Prosiłem go o papier. Przyrzekł przekazać mą prośbę sędziemu śledczemu. Sam nie mógł na nią dać zgody. Komendant bloku był roslym oficerem, o długich jasnych włosach. Zdobył sobie od razu moje serce. Przy całej surowości reżymu umiał mówić do więźniów spokojnie i życzliwie. Nigdy nie groził. Czuło się jego sympatię. Gdy jakiś więzień zachowywał się sprzecznie z regulaminem, prosił go o zmianę postępowania, aby on, komendant, nie miał trudności. Dziwiłem się nieraz odwadze tego człowieka. Przy rozpowszechnionym systemie szpiclowskim postawa ta nie mogła długo pozostać niedostrzeżona. I faktycznie, po trzech miesiącach zniknął, a na jego miejsce przyszedł inny, który dręczył więźniów. Tamtego aresztowano. Odnalazł się później w obozie koncentracyjnym w pobliżu Archangielska. Obóz budował stocznię marynarki wojennej. Jako więzień polityczny był brigadierem i spełniał swą pracę z oddaniem. Często sam pomagał, gdy ktoś z jego ludzi zmęczył się i zasłabł. Dowiedziałem się o tym później od pewnego kryminalisty, który powrócił z owego obozu do więzienia.

Byłem coraz głodniejszy. Mój organizm w minionych miesiącach stracił zapasy tłuszczu, przyniesione do więzienia. Bardzo dotkliwie odczuwałem teraz brak posiłnego wikt. O szóstej przynoszono chleb. Był czarny, wilgotny, gliniasty. Zapałką robiłem dziurki w chlebie i dzieliłem go na sześć kawałków. Postanowiłem sobie jeść racjonalnie i odkładać część na wieczór. Lecz moja wola była słaba. Już o jedenastej przed południem byłem bez chleba. Wieczorem dąwił mnie głód. Leżałem, patrzyłem na jasną plamę okna i marzyłem o wspaniałych daniach. Wywoływałem w pamięci wygląd tortu Sachera, zapach befsztyku i smak wiedeńskiego pączka. Zjadałem te smakołyki w marzeniu i trochę mnie to syciło. Gdy się ściemniało, odganiałem marzenia i podnosiłem się w chwili, gdy w celi zapalano światło. Była to osobliwa namiastka zadowolenia.

Potem zdarzały się dni, w których strażnik, rozdzielający jedzenie, dawał mi drugą miskę zupy. Co jakiś czas, gdy coś zostawało na dnie, dzielił to wśród więźniów, którzy nie dostawali nic z ławoczki (sklepiku więziennego). W takich dniach nie

marzyłem o jedzeniu. Leżałem, czekałem aż pojawią się pierwsze gwiazdy na nieboskłonie, kołysały mnie sentymentalne melodie. Powracał spokój ducha. Okropności śledztwa były daleko za mną. Traciły posmak rzeczywistości. Pamiętam bardzo dokładnie nastrojów owych wieczorów. Była we mnie cicha żalność i wielkie współczucie dla świata i dla siebie samego.

Jakoś w trzy tygodnie po moim powrocie do pustej celi otworzyły się drzwi. Wszedł nowy więzień. Obejrzał się i stanął w środku celi ze swym węzełkiem:

— A to świństwo! — powiedział po niemiecku.

— Co z tobą?

— Mówią, że jestem szpiegiem.

— Jak się nazywasz?

— Reibisch.

— Czy jesteś Niemcem?

— Nie, jestem z Czechosłowacji. Matka była Czeszka, ojciec Niemiec.

— Gdzie pracowałeś?

— W Ch.P.Z.

Ch.P.Z. było skrótem Charkowskiej Fabryki Parowozów, jednej z największych fabryk na Ukrainie.

— Byłem mechanikiem — dodał.

— Od jak dawna jesteś już w Związku Sowieckim?

— Od 1921 roku.

— Czy przyjąłeś obywatelstwo sowieckie?

— Nie.

— Czy jesteś członkiem partii?

— Nie, nigdy nie należałem do partii.

— Jak się tu dostałeś?

— Byłem w Rosji jako jeńiec wojenny i dopiero w roku 1920 powróciłem do Czech. Miałem tam jednak pewne trudności, więc pojechałem znowu do Rosji. Wiedziałem, że trzeba tu specjalistów i dostałem od razu robotę.

Jak się później dowiedziałem, pewne trudności polegały na małym włamaniu, którego Reibisch dokonał za granicą. Dlatego uciekł do Związku Sowieckiego. Pracował tam przez cały czas uczciwie w wielkich fabrykach charkowskich. Miał żonę Rosjankę.

— Dlaczego cię aresztowali?

— Aresztują wszystkich cudzoziemców, a także Rosjan, którzy przebywali za granicą. Obojętne jest przy tym, czy to są rosyjscy jeńcy wojenni, którzy powrócili jeszcze przed 15 laty, czy też inżynierowie, których odkomenderowano na studia za granicę i którzy teraz wracają.

— Skąd to wiesz?

— Przecież nie jestem ślepy. W naszej fabryce pracuje 20.000 ludzi i łatwo się czegoś dowiedzieć. Jeden cudzoziemiec znika po drugim, a do tego jeszcze wszyscy, którzy mają albo mieli kontakt z zagranicą.

— Co się dzieje z tymi ludźmi?

— Przez dwa miesiące siedzą tutaj, a potem idą etapem do obozu.

— Skąd to wiesz?

— Najczęściej żony dostają wiadomość, że mają przynieść ciepłą bieliznę i ubranie. Każda już wtedy wie, co się święci.

— Czy cudzoziemcy też idą do obozów?

— O cudzoziemcach nic nie słychać. Ale Rosjanie — wszyscy. Jeszcze żaden nie powrócił.

— Kiedy cię aresztowano?

— Przed dwoma tygodniami.

— Co na to mówią ludzie?

— Nikt nie waży się pisać. Nikt też o niczym nie myśli. Nikt nie rozumie, co się dzieje.

Był to człowiek bardzo ograniczony i niewiele mogłem od niego się dowiedzieć. Niemal tęskniłem za samotnością. Zakłócał moje wieczorne marzenia. Po dziesięciu dniach przyszedł jeszcze jeden, który mnie bardziej ucieszył. Był to młody człowiek, kula- wy. Zwykle chodził o lasce, ale zabrano mu ją w więzieniu.

— Jak się nazywasz?

— Bondarenko, jestem pół-Polakiem, pół-Ukraińcem i pochodzę z okolic Borysławia w Galicji wschodniej.

— Jak się dostałeś do Rosji?

— Ojciec mój jest robotnikiem w kopalniach ropy i sympatykiem komunistów. Ja sam, od dziecka byłem czynny w partii. Dwa razy z ramienia partii przekraczałem granicę polsko-rosyjską. Przeszedłem tu kurs szkoleniowy i miałem wrócić przez zieloną granicę. Przy jej przekraczaniu polscy strażnicy graniczni trafili na mój trop, poszczuli na mnie psy i strzelali do mnie. Jedna kula strzaskała mi kolano. Rok przesiedziałem w polskim więzieniu, potem pracowałem znowu w nielegalnej partii i zostałem na nowo posłany do Rosji, tym razem drogą przez Gdańsk.

— Dlaczego cię aresztowano?

— Nie wiem. Aresztuje się wszystkich.

— Cóż to za bzdura! Przecież nie można wyaresztować całego narodu.

— Naturalnie nie można wyaresztować całego narodu. Ale nas, emigrantów z Polski, aresztuje się dosłownie wszystkich. Z początkiem marca aresztowany został kierownik naszego klubu.

W dwa tygodnie później — sekretarz komórki partyjnej, potem jednocześnie pięciu towarzyszków z kierownictwa klubu, a potem jeden po drugim. Byłem jednym z ostatnich i liczyłem się z tym z godziny na godzinę. Przygotowałem sobie nawet suchary. Krążyła między nami wiadomość, że w więzieniu jest za mało chleba.

— Czy byłeś w więzieniu wewnętrznym na śledztwie?

— Tylko dwa dni. Sędzia śledczy powiedział mi, że jestem kontrrewolucjonistą i szpiegiem polskiej defensywy. Potem żądał, bym zeznał, że organizacja nasza chciała jakoby oderwać Ukrainę od Związku Sowieckiego i przyłączyć do Polski Piłsudskiego. Prawda jest wręcz odwrotna. Walczyliśmy przecież zawsze o oderwanie Ukrainy zachodniej od Polski i jej zjednoczenie z Ukrainą sowiecką.

— Czy podpiszesz?

— Nie wiem. Czy trzeba? — zapytał naiwnie.

— Nie. Nie trzeba, trzeba walczyć.

— Powiedział mi, że Karpiuk podpisał.

Karpiuk był kierownikiem klubu.

— Potem wyliczył mi jeszcze cały szereg przyjaciół, z których wszyscy podpisali.

— Czy myślisz, że to prawda? Czy też kłamie?

— Kłamie bardzo często, ale być też może, że ci inni osłabli i podpisali.

Bondarenko był szczerym i uczciwym 22-letnim mężczyzną. Różnił się bardzo od większości Ukraińców, których znałem, a którzy byli skryci i rozgoryczeni. Co do tamtych, w większości wypadków nie wiedziałem, czy im mogę wierzyć. Co do Bondarenki, nie miałem najmniejszych obaw. Wkrótce związała nas serdeczna przyjaźń. Opowiadał mi wiele o ruchu rewolucyjnym w Galicji wschodniej. Mówił prosto i plastycznie. Języka jego nie psuł marksistowski żargon szkół partyjnych. Opisywał nędzę robotników w zagłębiu naftowym.

— Z samego zarobku nie można wyżyć, jeśli się ma kilkoro dzieci. Są u nas źródła bogate w sól. Gotujemy wodę i sprzedajemy sól, która osadza się na dnie. Ale to jest zakazane. Istnieje u nas monopol solny. Wielu już wpadło.

Musiałem raz po raz zadawać sobie pytanie, dlaczego ten młody człowiek siedzi w więzieniu. Był proletariuszem, a więc pochodził z klasy, proklamowanej w Związku Sowieckim klasą panującą. Był od dziecka czynny w ruchu rewolucyjnym. Prześtrzelone kolano było dowodem jego ofiarności. Miał przebywać w Związku Sowieckim dwa lata, kształcić się w szkole partyjnej, a potem powrócić, by kontynuować robotę rewolucyjną w Polsce Piłsudskiego. Czy typy takie jak on były niebezpieczne dla kraju?

Czy też tylko dla reżymu Stalina? Po prostu zrozumieć nie można, co NKWD wyprawia. To więcej niż zbrodnia, to głupota. Bondarenko był tak naiwnie szczery, że bez trudu mogłem zapoznać się z całą jego ideologią. Nigdy nie nasuwało mi się podejrzenie, że jest zakonspirowanym opozycjonistą. Nie zajmował się zagadnieniami rosyjskimi. Wszystkie jego myśli należały do kraju, z którego pochodził i do zadań, jakie tam przed nim stały. Stalin był dla niego swego rodzaju obcym potentatem, którego należało czcić.

Czego chcieli od niego? Do czego był im potrzebny?

W kilka dni później Reibisch udał się na przesłuchanie. Pozostał tam trzy dni. W tym czasie Bondarenko zbliżył się do mnie tak dalece, że mogłem z nim mówić otwarcie.

— Powiedźże Henryku Pawłowiczu, co sobie właściwie ludzie myślą? Jak sobie tłumaczą masowe aresztowania?

— Ludzie nie mówią. A jeśli mówią, nie mówią tego, co myślą. Mówią tylko, że wielcy opozycjoniści nawarzyli piwa, a teraz cały naród musi je wypić.

— A co ty myślisz?

— Ja też nic nie mówię.

Milczeliśmy obaj, ale każdy z nas wiedział, co ten drugi ma na myśli.

— Czy sądzisz Henryku, że wkrótce nadejdzie przełom?

— Po mowie Stalina wszyscy się tego spodziewaliśmy, ale potem przysłała ta historia z Tuchaczewskim. To strasznie wzburzyło towarzyszy rosyjskich. Następnego dnia po rozstrzelaniu generałów, wszyscy się trzęśli. Każdy mówił: „To przecież niesłychane, że tacy zdrajcy mogli stać na czele armii. Szczęście, że ich na czas zdemaskowano. Teraz trzeba zmienić wszystkie plany strategiczne, aby zlikwidować następstwa zdrady”. Tak mówili ludzie.

— Czy naprawdę w to wierzili?

— Nie wiem.

— A czy ty sam w to wierzysz?

Popatrzył na mnie, potem spuścił wzrok:

— Właściwie nie — powiedział szeptem. — Ale dlaczego dzieje się to wszystko? Musisz chyba lepiej to rozumieć, Aleksandrze Siemionowiczu. Przeczytałeś przecież tyle książek.

— Rozumiem równie mało jak i ty.

Byłem zadowolony, że we wszystkich sprawach Bondarenko myślał podobnie jak ja. Jednakże obaj unikaliśmy wyraźnego wypowiedziania naszych poglądów. Baliśmy się mówić. Ściany mogły mieć uszy.

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy słyszałeś o sprawie Maso?

— Nie.

— Maso pewnego dnia zamknął się w swym gabinecie i wpa-
kował sobie kulę w łeb. Sekretarka znalazła go za biurkiem mar-
twego i znalazła także jego list. Gepiści wpadli do pokoju i prze-
czytali list. Potem przyszedł zastępca Maso, zabrał ze sobą list,
a pokój opieczętowano. W liście były straszne rzeczy. Większość
tych, którzy wiedzieli o liście, zaaresztowano, ale Maso poprzed-
niego wieczora wysłał szereg kopii do wysoko postawionych to-
warzyszy w Kijowie i w Moskwie. Zbyt wielu znało treść listu.
Więść o jego treści rozeszła się szybko i ja też o niej się do-
wiedziałem.

— Co w nim było?

Zniżył głos:

— Niebezpiecznie o tym mówić.

— Możesz mi zaufać. Kto ci o tym powiedział?

— Jeden rosyjski towarzysz, który pracował w GPU w kan-
celarii. Teraz jest już aresztowany.

— Co było w liście?

— Nie uwierzysz, Aleksandrze Siemionowiczu. Ostatecznie,
Maso był przecież starym czekistą i naczelnikiem NKWD na ob-
wód charkowski. Tysiące aresztowano na jego rozkaz — i oto
odchodzi, odbiera sobie życie i do tego pisze taki list.

— Co było w liście?

— Maso napisał, że mu sumienie nie pozwala dalej brać udziału
w tym, co się dzieje. Nie po to walczył w rewolucji, aby pokry-
wać swym nazwiskiem straszliwe oszustwo i mordy na masową
skalę. Nie widzi żadnego innego sposobu zaprotestowania, jak
tylko śmiercią.

Henryk mówił szeptem. Gdy jednak w tym momencie strażnik
podszedł do judasza i zajrzał do celi, przeraził się. Długo
nie mógł się uspokoić.

— Czy sądzisz, że nas podsłuchiwał?

— Ależ Henryku, nie bądź śmieszny. Mówiliśmy tak cicho,
że nie mógł zrozumieć ani jednego słowa.

Nocy tej myślałem długo o Maso. W lutym Maso przyrzekł
Leipunskiemu, że mnie wypuści z kraju. Mimo to zostałem areszt-
owany 1 marca. Czy Maso oszukał Leipunskiego, aby mnie uspić
fałszywym poczuciem bezpieczeństwa? Chyba nie. Nie było mu
to potrzebne. W rok później spotkałem w innej celi pewnego
aresztowanego czekistę i ten mnie oświecił. Maso został z koń-
cem lutego odwołany ze stanowiska naczelnika charkowskiego
GPU i przeniesiony do Kijowa. Czas ten wyzyskali moi nieprzy-
jaciele w NKWD dla uzyskania od zastępcy Maso podpisu pod

moim nakazem aresztowania. Maso jednak nie został w Kijowie, powrócił w dwa tygodnie później, ale ja byłem już aresztowany. Tego nie mógł Maso cofnąć bez normalnego śledztwa. Tym niemniej metody mego śledztwa, jak to mogłem stwierdzić retrospektywnie, były bardzo liberalne. Polewecki był aniołem w porównaniu z Reznikowem i Szalitem. A może Maso dał mu specjalne dyrektywy w mej sprawie? Tak to nieomal wyglądało. Polewecki prowadził śledztwo w taki sposób, jak gdyby zmierzał do zwolnienia, w najgorszym razie do deportacji.

— Także Dubowej jest aresztowany.

— Niemożliwe, Henryku! Kiedy się to stało?

— Zaraz po aresztowaniu Tuchaczewskiego i Jakira. Mówią, że już został rozstrzelany.

Ta sprawa wstrząsnęła mną. Generał Dubowej był naczelnikiem Charkowskiego Okręgu Wojskowego. Armia Czerwona pod względem terytorialnym była podzielona na szereg okręgów wojskowych. O ile pamiętam cała Ukraina, obszar o 45-ciu milionach ludności, obejmowała tylko trzy okręgi wojskowe. Naczelnik takiego okręgu był zatem jednym z najwyższych rozkazodawców w armii. Dubowej znany był jako stanowczy i utalentowany generał. Nikt nigdy nie łączył jego nazwiska z jakąkolwiek opozycją. Jak większość oficerów liniowych, ograniczał swe zainteresowania do kwestii wyszkolenia żołnierzy. Dlaczego go aresztowano? Co o tym myśli armia? Zapytałem Bondarenkę o nastroj w mieście.

— Ależ, Aleksandrze Siemionowiczu, nikt już palcem nie kiwnie. Codziennie aresztuje się setki oficerów.

— Ruszać armię, to przecież istne szaleństwo. Co uczynimy, jeśli nas teraz Niemcy zaatakują?

— Tuchaczewski i Jakir byli czymś więcej niż Dubowej, ale i oni poszli. Na tydzień przed moim aresztowaniem musiano już zdejmować ze ścian portrety Budiennego, Blüchera i Jegorowa. Być może, oni też są już za kratą. Co zresztą myślisz o sprawie Tuchaczewskiego, Aleksandrze Siemionowiczu?

— Nie mam pojęcia. Ale dam sobie uciąć prawicę za to, że nie był zdrajcą. Mowy nie ma. Nie walczy się przez całe życie dla rewolucji, jak na przykład Jakir, aby potem sprzedawać plany wojskowe Hitlerowi. I to jeszcze, jeśli, jak Jakir, jest się Żydem. Gdyby tu chodziło tylko o jednostkę. Ostatecznie w każdej armii znajdzie się jakiś zdrajca, jeśli nawet nie na tak wysokim stanowisku. By jednak cały sztab generalny składał się ze szpiegów, w to po prostu nie wierzę.

— Coś jednak musieli zrobić! Nie do pomyślenia jest przecież, by cały sztab generalny został bez powodu aresztowany.

Może Tuchaczewski przygotowywał przewrót przeciw Stalinowi.

— Możliwe, ostatecznie garnizon moskiewski i straż na Kremlu podlegały tym ludziom. Ale tak trudno to wszystko zrozumieć.

Od czasu konwejera zapadałem na zdrowiu. Miałem katar kieszek, stale się pogarszający. W tym czasie dawano nam wciąż bardzo kwaśny kapuśniak. Miałem czerwonkę i musiałem po dwadzieścia razy na dzień wychodzić do ustępu. Złościło to strażnika i zabronił mi tego. Zgłosiłem się jako chory. Lekarz przepisał mi opiekę szpitalną. Minęło kilka dni, stan mój pogarszał się coraz bardziej, mimo to nie przeniesiono mnie do szpitala. Chciałem napisać do komendanta. Całymi dniami walczyłem o papier i ołówek. Nie chciano mi go dać, albowiem obawiano się, że użyję go na pismo do prokuratora.

W prawodawstwie sowieckim funkcją prokuratora jest nie tylko oskarżanie, ma on ponadto czuwać, by władze przestrzegały ustaw. Jest to urzędnik właściwy dla wszystkich naszych zażaleń. W korytarzu na dole wisiała osobna skrzynka, do której więźniowie mogli wrzucać listy do prokuratora. Skrzynkę tę winien był raz na tydzień opróżniać urzędnik prokuraury. Sędziom śledczym nie przysługiwało prawo kontrolowania treści listów. Takie było prawo. Być może, w dawniejszych czasach było ono nawet przestrzegane. Jednakże wielka czystka wprowadziła w NKWD nagie prawo pięści sędziów śledczych. Skrzynka prokuratora wisiała wciąż na swym miejscu, ale więźniów nie dopuszczano w jej pobliże. Także nie dawano im papieru. Pewnego razu zaopatrzyłem się w papier nielegalnie. Zawołano mnie do kancelarii więziennej dla udzielenia jakiejś informacji odnośnie moich personaliów. Przy tej okazji, w chwili nieuwagi ukradłem arkusz papieru. Miałem przy sobie schowany ołówek. Napisałem list do prokuratora, opisałem moich jedenaście dób bez snu (z przerwą tylko jednego dnia) i odwołałem zeznanie. Gdy prowadzono mnie na dół na spacer, wybiegłem z szeregu w kierunku skrzynki prokuratora. Strażnik okazał się szybszy. Wyrwał mi list.

— Nie macie prawa przeszkadzać mi w pisaniu do prokuratora!

— Nie wolno wam bez pozwolenia występować z szeregu.

— Po co więc wisi tu skrzynka, jeśli nie wolno mi do niej wrzucić listu?!

— Wolno wam wrzucać listy, ale nie wolno występować z szeregu.

— Jak się mam dostać do skrzynki, jeśli nie wolno mi wystąpić z szeregu?

— Możecie prosić naczelnika, by was zaprowadzono do skrzynki, może na to pozwoli.

Nigdy na to nie pozwalano. W takich sprawach nikomu nie udało się stanąć przed obliczem naczelnika.

Na Chołodnej Gorze strażnicy byli nieco rozmowniejsi niż w więzieniu wewnętrznym. W środku podwórza, wokół którego spacerowaliśmy, znajdowała się grządka jaskrawo żółtych mleczy. Pewnego dnia rozkopano grządkę, mlecze znikły. Zapytałem strażnika:

— Dlaczego to zrobiliście? Co wam zawiniły kwiaty?

— Nie są tu potrzebne.

— Ale przecież nikomu nie szkodzą!

— Nikomu też nie pomagają.

Dałem spokój. Kwiaty cieszyły nas, gdy w świetle południowego słońca opuszczaliśmy budynek i widzieliśmy ich jaskrawą barwę. Ale Stalin wydał hasło: „Tiurma, tiurmoj!” Wypowiedź ta zainaugurowała nową erę w rosyjskiej polityce penitencjarnej. W latach 1924, 1925 i 1926 więzienia Związku Sowieckiego były najbardziej humanitarne w świecie. Później, w okresie wielkiej czystki, zmieniło się to gruntownie. Przyszły miesiące, w których trudno było wytrzymać pobyt w więzieniu. Jedno wszakże odróżniało radykalnie więzienia Związku Sowieckiego od więzień faszyzmu niemieckiego: więźniów nie bito i mogli swobodnie rozmawiać z kierownikiem, jeśli stanęli przed jego obliczem. Nacisk fizyczny na więźniów wywierano wyłącznie w gabinetach sędziów śledczych. W więzieniach więźniowie byli nietykalni. Także ich godność osobista nie była poniewierana do tego stopnia, jak w kaźniach hitlerowskich.

Moja choroba kiszek pogarszała się coraz bardziej, lecz wciąż nie zabierano mnie do szpitala. Nie mogłem niczego przełknąć. Chleb był gliniasty i kwaśny. Dzieliłem go pomiędzy obu moich współwięźniów. Kapuśniak pogarszał czerwonkę. Nie ruszałem go. Wreszcie udało mi się zobaczyć komendanta. Opisałem mu swój stan. Przyrzekł zaważać sędziego śledczego. Bez jego pozwolenia nie mogłem — mimo zarządzenia lekarskiego — przenieść mnie do szpitala. Gdy do szóstej wieczorem nie było decyzji, odmówiłem przyjmowania pokarmów. O 11 w nocy przeniesiono mnie do szpitala.

Już w pierwszej chwili zdjęło mnie przerażenie z powodu panującego tam brudu. Leżało wielu chorych na czerwonkę. Dawano nam belladonę i bardzo skąpy lecz zdrowy wikt szpitalny.

Trochę sucharków i rosół. W oczach wracałem do zdrowia. Trwało jednak 22 dni, zanim mogłem opuścić szpital.

Na sąsiednim łóżku leżał ponury, bezpartyjny urzędnik. Ktoś z jego oddziału, aresztowany, przyznał się do szpiegostwa i podał wszystkich swych kolegów jako współników. Wszyscy zostali aresztowani. Zapytałem go:

— Do czego przyznaliście się?

— Do wszystkiego, czego zażądano. W pierwszym rządzie do szpiegostwa na rzecz Niemiec.

— Nie rozumiem! Jeśli się ktoś bierze do szpiegostwa, to musi przecież przekazywać jakieś tajne, ważne pod względem wojskowym wiadomości aparatowi zagranicznemu. Czy znaliście tajemnice wojskowe?

— Nie. Pracowałem jako planista w truście budowlanym, budującym kominy w nowych zakładach fabrycznych.

— Kiedy jednak przyznaliście się do szpiegostwa, czy nie musieliście konkretnie powiedzieć, co wyszpiegowaliście i komu przekazaliście materiał?

— Ależ tak, napisałem, że dostarczyłem materiał Smirnowowi, który skontaktował naszą organizację z konsulem niemieckim w Charkowie. Tajnym zaś materiałem były plany budowlane naszego trustu na następne półrocze.

— Czy to było rzeczywiście tajne?

— Skądże, każdy mógł obejrzyć sobie te plany. W ogóle nie jestem przecież dopuszczany do tajnej korespondencji.

Był tam jeszcze jeden szpieg. Pochodził z Taganrogu. Pracował w jakiejś spółdzielni rybackiej i informował wywiad niemiecki ile wynosi przeciętny miesięczny połów ryb.

Opowiedziałem sąsiadowi o mojej sprawie. Zrobił bardzo poważną minę.

— Czy wiecie, że od początku sierpnia znowu pracuje *Trojka*?

— Słyszałem o tym, ale nie wiem nic dokładnego.

— *Trojka* ma prawo załatwiać w drodze administracyjnej poważne sprawy, nie nadające się dla trybunału wojennego i wydawać wyroki śmierci. Obawiam się, że wasza sprawa należy do tej kategorii.

— Trzeba przyznać, że działacie bardzo uspokajająco. Skąd wam to przychodzi do głowy?

— Co ma GPU zrobić z wami? Skoro raz po raz odwołujecie swoje zeznania, musi was skazać w drodze administracyjnej, gdzie przewidziana jest tylko jedna kara — śmierć. Co prawda, *Trojka* może również odesłać sprawę do OSO i w takim razie dostaniecie pięć lat. Nie wiem jednak, czy OSO jest kompetentne w odniesieniu do cudzoziemców.

— Czy nie sądzicie, że mogę być uwolniony?
— Czyście zwariowali, Aleksandrze Siemionowiczu? Po tym wszystkim, co podpisaliście? Akt terroru przeciwko Stalinowi i Woroszyłowowi!

— Przecież odwołałem to następnego dnia.
— Odwołanie idzie do kosza. Przyznanie się pozostaje.
— Napiszę do prokuratora.
— Nie dopuszczą do tego. Ale nie mówmy więcej o przyznaniu się. Jeśli was uwolnią, pojedziecie za granicę. Czy sądzicie, że GPU wypuści za granicę kogoś, kto na to wszystko patrzył własnymi oczyma?

Milczałem. Jego słowa przygnębiły mnie. Widziałem przyszłość w ciemnych barwach.

— Nikt stąd nie wyjdzie żywy, a już na pewno nie wy.

Złościł mnie. Staralem się zawsze podnosić na duchu kolegów, którzy stracili odwagę. On postępował odwrotnie. Oburzał go po prostu mój optymizm. Jego ponure proroctwa wywierały we mnie odwrotny skutek. Powiedziałem mu:

— Nie wiem jeszcze dokładnie w jaki sposób, ale jestem przekonany, że opuszczę to więzienie, a także Związek Sowiecki. Zapamiętam sobie wasze nazwisko i nim dwa lata upłyną, przyślę wam paczkę czekolady ze Szwajcarii. Gdy otrzymacie taką paczkę w obozie, będziecie wiedzieli, że jestem wolny.

Zapomniałem jednak jego nazwiska. Moja paczka zresztą i tak nie doszła do niego.

Stan mój ulegał poprawie, mogłem wstawać i przyglądać się otoczeniu. Oddział nasz miał kilka izb i wolno było chodzić z jednej do drugiej. Chorzy w sąsiedniej izbie byli kryminalistami. Opowiadali wiele o obozach na północy i opisywali stosunki bez szczególnego pesymizmu. Byli tam już kilkakrotnie, potem zostali zwolnieni a teraz znowu aresztowani. Nasz oddział mieścił się na parterze. W piwnicy pod nami umieszczono chorych na choroby skórne i weneryczne. Były to przeważnie prostytutki. W godzinach południowych spacerowały po podwórzu, przed naszymi oknami. Więźniowie wdawali się z nimi w rozmowy. Były to młode, świeże chłopki. Niczym nie przypominały dziewczek, spotykanych na ulicach wielkich miast europejskich. Do tej pory sam nie miałem pojęcia o tym, że także w Związku Sowieckim istnieje nielegalna prostytutka. Pamiętam rozmowę w hotelu Metropól w Moskwie, w której udział brali kompozytor niemiecki Hans Eisler, reżyser Erwin Piscator, powieściopisarka Anna Gmeiner i austriacki inżynier-leśnik, nazwiskiem Melzer. Wszyscy przy-

jechali tu dopiero co, w roku 1931, z wyjątkiem Melzera, który żył w kraju od roku 1920 i znał stosunki. Ktoś wysunął twierdzenie, że w Związku Sowieckim nie ma prostytutek. Melzer zaprzeczył. Hans Eisler sprowokował go żartobliwie i dobrodusznie. Melzer zgodził się i zaofiarował się, że nam je pokaże. Poszliśmy na ulicę Twerską, a potem na ciemną boczną ulicę, która, jak twierdził Melzer, była centrum prostytucji w Moskwie. Towarzystwo nasze przeszło się z jednego końca ulicy na drugi, ale żadnych dziewczyn nie było. W ogóle nie było tam nikogo. Byliśmy bardzo rozczarowani. Hans Eisler dał wyraz naszym uczuciom:

— Melzer, ależ nas nabrałeś. W życiu nie widziałem czegoś tak przyzwoitego, jak ta ulica.

Później nieco zmieniłem zdanie. Zauważyłem, że w wielkich hotelach moskiewskich często telefonują do cudzoziemców kobiety pod pozorem, że szukają w danym pokoju innego mężczyzny. Najczęściej wynikała z tych rzekomych pomyłek bliższa znajomość. Nigdy jednak nie było jasne, czy te młode dziewczyny szukały znajomości tylko w sensie „sztuka dla sztuki”, czy też dobierały się do cudzoziemców z tajnego polecenia NKWD.

Młode dziewczyny w naszych oczach prowokowały więźniów nie przypadkowo. Mężczyźni nie mieli już od miesięcy czy nawet lat żadnego stosunku z kobietami. Dziewczyny śpiewały ordynarne pieśni i pokazywały się więźniom w wyzywających pozach. Ciekawe, że strażnicy nie interweniowali. Być może bawiło ich to wszystko. Kobiety nie zwracały najmniejszej uwagi na więźniów politycznych. Ich serca należały do kryminalistów, którzy wymieniali z nimi tłuste dowcipy, w języku niemożliwym do odtworzenia.

Obie pielęgnarki na naszym oddziale też były więźniarkami. Z jedną z nich często rozmawiałem. Dostała dwa lata za nielegalne osiedlenie się w mieście. Była to wiejska dziewczyna, mocno zbudowana, o pięknych oczach i wysokim biuście, która przyszła do miasta, by pracować jako służąca. Od wprowadzenia paszportów nie wolno jednak było przenosić się do większych miast bez pozwolenia milicji. Dziewczyna nie otrzymała pozwolenia, a mimo to pozostała. Pracowała u pewnej rodziny i spodziewała się, że po sześciu miesiącach będzie przyjęta do fabryki traktorów i tym samym uzyska pozwolenie na osiedlenie się. Została jednak zadenuncjowana i dostała dwa lata więzienia. Dbała trochę o mnie, przynosiła mi często świeżą bieliznę i nieco dodatkowego pożywienia. Budziło to zazdrość w pewnym kryminaliście,

którego przedtem darzyła swymi łaskami. Odgrzał się i mnie i jej. Ale inni kryminaliści stanęli po mojej stronie. Byli jak małe dzieci i chcieli wieczorami słuchać bajek, nowel i powieści. Przydała mi się moja znajomość literatury i opowiadałem im całymi godzinami. Kupowałem tym sobie ich serca, wreszcie pogodziłem się nawet z tym zazdrosnym nieprzyjacielem.

Bliskość kobiet podniecała niezmiernie wszystkich więźniów. Im bardziej przygnębiała ich własna sytuacja, im większy był ich niepokój o los własny i o los rodziny, tym bardziej szukali odprężenia w myślach na tematy seksualne i — gdzie to tylko było możliwe — w stosunkach seksualnych. Pomimo najcięższych kar, nie dało się w obozach koncentracyjnych na północy zapobiec stosunkom płciowym pomiędzy więźniami i więźniarkami. W więzieniu było to naturalnie wykluczone, w szpitalu — możliwe tylko z wielką trudnością i przypadkowo. Daszę cechowała pomysłowość. Pewnego razu poprosiła mnie o pomoc w magazynie bielizny. Na podłodze leżała sterta świeżo wypranych prześcieradeł. Zamknęła drzwi i mogliśmy spędzić razem kilka minut.

Przebywałem w szpitalu przez dwadzieścia dwa dni. Już po dwóch tygodniach powróciłem niemal do zdrowia, ale lekarz był liberalny i dał mi jeszcze tydzień na rekonwalescencję. Potem musiałem wracać.

Moi towarzysze tymczasem zmienili celę, przybył też nowy. Nazywał się Grigorij Makedon. Jeśli pominąć Szalita, nikt tak jak on nie utrudnił mi życia w ciągu trzech lat spędzonych w więzieniu. Był to szczególnie egzemplarz tej skomplikowanej rasy. Liczył około 40 lat, wyglądał jednak młodziej. Wyrośnięty, więcej niż średniego wzrostu, silny, o gładkiej cerze bez zmarszczek, wyglądał w łaźni jak młodzik. Aresztowano go dopiero przed kilku dniami. Nigdy nie dowiedziałem się niczego bliższego o jego sprawie, nigdy niczego o jego pochodzeniu. Zatajał wszystko, co dotyczyło jego osoby, starał się natomiast dowiedzieć wszystkiego o cudzych sprawach. Zżerała go ambicja, był chorobliwie przeczułony, był przy tym awanturnikiem. Inteligentny, lecz bez wykształcenia. Często wysuwał twierdzenia, których bezsens ujawniała dyskusja już po dwóch minutach, ale nie pozwalał — w razie konieczności, przy użyciu pięści — by go korygowano. Gdy przynoszono chleb do celi, był zawsze pierwszy i wybierał największą porcję. (Kuchnia nie mogła dokładnie odważyć chleba dla 12.000 osób, zawsze były małe różnice). Zajmował najlepsze miejsce w celi, posługując się w razie potrzeby siłą. Inni byli przeważnie znacznie słabsi fizycznie od niego, wyzyskiwał więc bez skrupułów tę przewagę. Niepisanym prawem wszystkich

więźniów było niewciąganie strażników do swoich kłótni. Makedon liczył na to i terroryzował innych. Gdy go jednak pewnego razu spotkała rzekoma krzywda, natychmiast zadenuncjował sprawę dyrektorowi więzienia.

Towarzysze celi nienawidzili go bardziej niż sędziego śledczego. Gdy w rok później opuścił moją celę, wszyscy odetchnęli. Był to w naszym życiu dzień odświętny.

Bondarenko i Reibisch powitali mnie owacyjnie, gdy wchodziłem do celi. Przedstawiono mi Makedona. Wszystkie trzy łóżka były zajęte, poprosiłem więc strażnika o materac i urządziłem się na podłodze. W owym czasie istniał jeszcze taki luksus jak materace. W rok później gnieździło się nas 29 w takiej samej celi, przeznaczonej dla trzech. (Za caratu były to pojedynki, w których siedział tylko jeden więzień). W ciągu tego roku warunki więzienne pogorszyły się do tego stopnia, że obawialiśmy się, iż niedługo już przetrwamy. Lecz w sierpniu 1937 roku dano mi jeszcze materac.

Makedon do tej pory nie był jeszcze przesłuchiwany. Opowiadał, że był dawniej przewodniczącym trustu. Przed sześciu miesiącami został wykluczony z partii. W dawniejszych latach odgrywał wybitną rolę. W wojnie domowej walczył przeciw Wranglowi i zajmował Krym. Łgał na potęgę. Co w tym wszystkim było prawdą, nigdy nie można było stwierdzić. Raz po raz powracał tylko do doniosłej dyskusji w sprawie armii ukraińskiej, w roku 1918/19 w Charkowie, w której prócz niego brali udział Piatakow i Woroszyłow. Chodziło o to, czy na Ukrainie należy tworzyć specjalną narodową armię ukraińską, czy też po prostu organizować ukraińskich krasnoarmiejców jako część Armii Czerwonej całej Rosji. Z dumą powoływał się na to, że Piatakow zajmował wówczas stanowisko chwiejne, natomiast on, Makedon, energicznie wypowiadał się przeciw armii ukraińskiej i za jednolitą Armią Czerwoną. Wspomnienie to pojawiało się raz po raz w jego opowiadaniach. Widocznie ono jedno odpowiadało prawdzie. Wszystko inne ulegało zmianom, w zależności od czasu i kręgu słuchaczy.

W kilka dni później pożegnał się Reibisch. Potem odszedł Bondarenko. Zostałem sam z Makedonem.

W więzieniu poznaje się człowieka szybciej, niż w wolnym społeczeństwie. Dwie są po temu przyczyny: Po pierwsze jest się razem, bez przerwy, dniem i nocą. Ma się zatem znacznie więcej czasu, by obserwować. Po drugie obserwuje się go w warunkach doświadczalnych, zdarzających się bardzo rzadko na wolności. Gdy ludzie żyją w dostatku, trudniej jest zauważyć ich egoizm. Tu, w więzieniu, odrobina chleba, trochę więcej miejsca, odgry-

wają wielką rolę. Tu większość wyzbywa się wszelkich hamulców moralnych. Większość też nie przywiązuje żadnej wagi do tego, by się maskować. I charakter występuje wyraźnie.

Makedon był typowym stalinowcem i to pierwszym, jakiego spotkałem w więzieniu. Po nim przyszło takich wielu. Możliwe, że tuż po zgonie Lenina zwolennicy Stalina i Trockiego grupowali się wedle stanowisk ideologicznych, aczkolwiek także i w to nie wierzę. Uważam za uzasadniony pogląd, że — przynajmniej jeśli chodzi o Stalina — walka ta była wyłącznie walką o władzę. Chodziło o spadek po Leninie, a nie o dalszą drogę rewolucji. Chodziło wyłącznie o kierownictwo krajem. Bądź co bądź jest jednak możliwe, że masy zwolenników Stalina i Trockiego orientowały się wówczas jeszcze wedle idei, a nie wedle interesów. Taka była sytuacja w roku 1924. W 10 lat później uległo wszystko zmianie. Jako „stalinowców” z roku 1935 określam typ ludzi, którym idee wielkiej rewolucji stały się obce. Byli to ludzie, którzy wyraźnie widzieli układ sił i którzy stawiali sobie tylko jeden cel: zająć w panującej hierarchii możliwie jak najwyżej. Uczyli się na pamięć haseł prasy i partii i posługiwali się nimi mechanicznie, nie pytając o ich sens. Co/prawda mieli ucho wyczulone na wszystkie odchylenia, na wszelką „trockistowską kontrabandę”, na najmniejszy głos krytyki. Trzymali się od tego z dala i denuncjowali bez litości wszystkich towarzyszy, których podejrzewali o jakiegokolwiek wahania. Każda denuncjacja usuwała bowiem konkurenta do najlepszych miejsc w hierarchii. W latach trzydziestych zaczęło się uprzywilejowanie wielkich warstw aparatu partyjnego. Czołowi administratorzy otrzymali samochody służbowe, uprzywilejowane możliwości zakupów po niskich cenach, podróże wakacyjne na koszt państwa, urządzenia mieszkań, wille i tak dalej. Im wyżej się awansowało, tym więcej było przywilejów. Awansować zaś można było tylko depcząc ludzi słabszych. W pewnym sensie uprzywilejowanie służyło doborowi ludzi bezwzględnych. Stalin wiedział o tym, ale wówczas byli mu potrzebni ludzie bezwzględni, umiejący wszystko przeforsować. Człowiek sentymentalny byłby w owym czasie złym dyrektorem fabryki. Wzruszałaby go nędza robotników niewykwalifikowanych. Staralby się poprawić kosztem państwa warunki ich bytu. W każdym razie zrezygnowałby z wyzyskiwania ostatnich sił tych głodujących ludzi. Sekretarz partyjny na wsi nie potrafiłby rekwirować zboża, gdyby przejmował się nędzą konających chłopów. W owych twardych latach wytworzył się typ administratorów sowieckich, idących po trupach. Słowo dyktatora było dla nich rozkazem. Nie zastanawiali się, słuchali. Pojęcia rewolucji światowej, pojęcia socjalizmu i społeczeństwa bezklasowego na-

brały w ich ustach innego wydźwięku. Interesowali się tylko rozwiązaniem ograniczonych zadań, stawianych im przez partię i rząd, walką przeciw odchyleniom politycznym i swym własnym dobrobytem.

Do ludzi takich należał Makedon. Jak jednak dostał się tutaj? Dotychczas nie spotykałem w więzieniu ludzi tego typu. Nawet prowokator Rożanski był innym człowiekiem. Rożanski załamał się i stał się narzędziem czekistów ze słabości. Lecz w głębi serca na pewno nienawidził Stalina. Idee humanizmu, o które walczy socjalizm, nigdy nie były mu obce. Inni, których spotkałem w więzieniu, byli albo przypadkowymi ofiarami, jak Reibisch, albo ludźmi jak mienszewik Raszko, polski komunista Bondarenko i stary socjalrewolucjonista, którego nazwisko wypadło mi z pamięci. Byli oni wszyscy bojownikami o wolność, gardzącymi uciskiem. Makedon musiał się dostać w tryby tej maszyny przez przeoczenie. Aresztowanie ludzi takich jak on było z punktu widzenia Stalina bez sensu. Sądząc z jego predyspozycji psychicznej, nie powinien był siedzieć w celi, lecz za biurkiem sędziego śledczego.

Nie rozumiałem wtedy mechanizmu werbunku. Nie wiedziałem jeszcze, że podówczas gepiści bez wyboru aresztowali każdego, kogo inny aresztowany wymienił jako kontrrewolucyjnego współnika. W kilka miesięcy później tysiące Makedonów pojawiły się w celach. Przybywali ze wszystkich instytucji Związku Sowieckiego. W końcu przybywali nawet z szeregów NKWD. Niemal wszyscy nasi sędziowie śledczy zostali w roku 1938 zaaresztowani. Aparat NKWD w połowie roku 1939 nie był w niczym podobny do tego, który w roku 1936 rozpoczął wielką czystkę. Najwyżej 10 procent dawnych czekistów pozostało na swych posterunkach. Inni znikli. Część z nich siedziała w naszych celach. Ich miejsce w aparacie NKWD zajęli młodzi komsomołcy. Opanowali oni bardzo szybko rzemiosło ucisku.

Makedon bronił polityki Stalina i konieczności masowych aresztowań. Jeśli był przy tym więcej niż jeden świadek, bronił jej do skrajności. W jego rozumieniu, wszyscy siedzący w celi byli z góry winni, tylko on sam był niewinny, aresztowany przez pomyłkę. Początkowo oburzała mnie ta tępota. Później zrozumiałem, że postawę tę dyktowały mu względy ostrożności. Makedon obawiał się nie tylko towarzyszy celi jako świadków mogących go obciążyć za nieostrożne słowa, był ponadto przekonany, że w celi wmontowany jest aparat podsłuchowy. W pół roku później — byliśmy sami w celi, a on nabrał już do mnie zaufania — zaciągnął mnie do kąta i ujawnił szeptem swe prawdziwe poglądy. Dowiedziałem się wtedy ku memu zdziwieniu, że także te pod-

pory reżymu stalinowskiego zdawały sobie sprawę, iż są wykonawcami zbrodniczej polityki. Wierzyłem dotąd, że ludzie ci są tylko tępi i wykonywują ślepo poruczone im zadanie, bez skrupułów i bez namysłu. Potajemne rozmowy z Makedonem wyprawiły mnie z błędu. Aparatczycy stalinowscy równie dobrze wiedzieli co robią, jak hitlerowscy SS-mani. Nie chcieli się nad tym zastanawiać, wiedzieli bowiem, że wszelkie wahanie grozi im niebezpieczeństwem. Gdy szła masowych aresztowań zataczał coraz szersze kręgi i zabierał niezliczone ofiary także spośród ich szeregów, zwrócili się z psychologicznej konieczności przeciwko dyktatorowi. Nie dlatego, że zapędził do więzień niewinne miliony, lecz że zachwiał ich własną, do tej pory spokojną, egzystencję.

Sierpień dobiegał końca. Od dawna już nie miałem wiadomości z „Brechałowki”. Nikogo nie wzywano na przesłuchanie. I wtedy zabrali Makedona. Powrócił po trzech dniach. Wyglądał znużony, spędził w „Brechałowce” trzy dni, nie wołany do sądziego śledczego. Nie chciał od razu mówić. Po chwili przysiadł się do mnie na łóżko i powiedział szeptem:

— Aleksandrze Siemionowiczu, źle się dzieje.

— Co takiego?

— Nie można w „Brechałowce” spać po nocach. Słyszysz się wciąż krzyk bitych kobiet.

— To przecież niemożliwe! Dowiaduję się o tym po raz pierwszy.

— Dzieje się to całymi nocami, do szóstej rano. Zatykałem sobie uszy chlebem.

— No tak, ale dlaczego tylko kobiety?

— Biją także mężczyzn, ale mężczyźni nie krzyczą tak przerażliwie.

— Ale kiedy się to zaczęło? Dawniej o czymś podobnym nigdy nie słyszano!

— Ludzie w „Brechałowce” mówią, że zaczęło się przed dwoma tygodniami. Wczoraj przyjechał ktoś z Moskwy. Frołow. Ma tu zeznawać przeciw Dubowojowi. Powiedział, że w Moskwie zaczęli bić w tym samym czasie, 18 sierpnia. Zdaje się więc, że był to rozkaz centralny.

— Nie mogę w to uwierzyć. Czy widziałeś kogoś pobitego?

— Nie jednego. Całe mnóstwo. Wczoraj rano przynieśli jednego do „Brechałowki”. Nie mógł już chodzić.

— Może jesteś prowokatorem i chcesz mnie nastraszyć?

— *Paszoł k'jobanoj matieri*, myślisz, że chcę cię nabrać? Dowiesz się sam, gdy przyjdzie pora.

Nie mogłem mu uwierzyć. Wiedziałem, że GPU stosuje w wypadkach wyjątkowych tortury fizyczne. Rożanski opowiadał mi jednak, że w każdym poszczególnym wypadku musi być specjalne pozwolenie naczelnika obwodowego NKWD. Natomiast Makedon opowiadał, że teraz bije się niemal co drugiego.

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie możesz sobie wyobrazić, jak wygląda w „Brechałowce”. Co nocy czeka w piwnicy kilkuset ludzi. Większość, to nowo aresztowani, przychodzą wprost z ulicy do piwnicy, nie zatrzymując się przedtem w celi. Opowiadają fantastyczne rzeczy. W każdym domu jest codziennie NKWD. Ludzie śpią ubrani i mają w pogotowiu swoje pakunki. Każdy ma przygotowany worek z sucharami. Nikt nie wie, dlaczego aresztują sąsiadów, ale każdy czeka na swoją kolej. Nie tylko komuniści, ale i Bogu ducha winni bezpartyjni.

— GPU chyba zwariowało. Jak się to skończy?

— Nie mów tak głośno. Tu ściany mają uszy. I nie prowokuj mnie do takich rozmów. GPU wie, co robi.

Zawsze, gdy Makedon przez chwilę mówił szczerze, ogarniało go potem przerażenie. Bał się, że go przy jakiejś okazji zdradzę...

Nasza cela położona była na czwartym piętrze. Przed nami mały dziedziniec, na którym więźniowie odbywali swoje spacery. Chodzili w koło jeden za drugim. Z naszego okna mogliśmy obserwować tylko przeciwległy koniec koła. Pomimo to udało się nam stwierdzić liczebność każdej celi z osobna. Naturalnie wyglądanie przez okno było surowo wzbronione. Złapany na tym, szedł do karceru. W sierpniu 1937 roku byliśmy przez tydzień czy dwa sami z Makedonem w celi.

Pewnego przedpołudnia Makedon czuwał przy judaszu, a ja wyglądałem przez okno. Naraz zauważyłem człowieka, którego chód zwrócił moją uwagę. Tak chodził tylko Marcel. Nie mogłem dostrzec jego twarzy. Głowę miał, jak my wszyscy, gładko wygoloną. Ubranie i sandały mogły być jego.

— Makedon, myślę, że na dole jest Marcel, mój najlepszy przyjaciel.

— Wmawiasz tylko sobie. Nie możesz go z tak wysoka rozpoznać.

— Jestem pewny, że to on. Tylko on tak chodzi.

Makedon usłyszał kroki strażnika. Odszedłem od okna. W kilka minut później, gdy powróciłem do okna, spacerowała już inna cela. Makedon poradził mi:

— Gdy jutro przyjdzie ta sama cela, zawołaj „Marcel” i patrz, czy podniesie głowę. Potem odejść natychmiast od okna.

Tak też zrobiliśmy. Udało się. Człowiek ów od razu podniósł głowę. To był Marcel.

Serce mi waliło. Wszystko, co było związane z życiem przed aresztowaniem, choćby to nawet były tylko drobiazgi bez znaczenia, podniecało mnie bardzo. Marcel był najbliższym mi w świecie człowiekiem. Sędzia śledczy powiedział mi w maju 1937 roku:

— To inny człowiek. Jego nawet wypuścimy. On nie taki, jak wy.

Byłem przekonany, że Reznikow był wówczas uczciwy i miałem nadzieję, że Marcel wyjdzie zaraz na wolność. A teraz był jeszcze tutaj.

Następnego dnia w ubikacji przy myciu zauważyłem słowo „ALEX”, wypisane kredą na pomalowanej na czarno ścianie. Łacińskimi literami. Początkowo myślałem, że sam je napisałem i że — roztargniony jak zawsze — zapomniałem o tym. Kredę miałem przy sobie. Gdy skierowałem się ku drzwiom, do wyjścia, znalazłem to samo słowo nad drzwiami. Nie był to więc przypadek. Marcel siedział w jednej z cel na tym samym piętrze. Byłem zupełnie wytracony z równowagi. Wieczorem napisałem w tym samym miejscu kredą słowa „MARCEL — OKNO”. Cela Marcela chodziła do ubikacji po naszej. My byliśmy w ogóle pierwsi. W nocy rozważałem, co mu mam napisać. Porozumiewanie się pomiędzy więźniami było surowo zabronione. Nawet gdy chodziło o tematy obojętne. Jeśliby GPU wykryło nielegalny kontakt w sprawach śledztwa, mogło to prowadzić do nieobliczalnych następstw. Nadałem przeto mym informacjom niewinną formę.

Posiadałem utajony skarb: wielki kawał papieru, pozostawiony mi w spadku przez jednego z więźniów. Podzieliłem go na dwie połowy i napisałem na obu jednobrzmiące podania do prokuratora, w których protestowałem przeciw metodom śledztwa. Opisałem dokładnie przebieg śledztwa i odwołałem moje przyznanie się do fikcyjnej winy.

Jeden egzemplarz, który mógł uchodzić za brulion, wsadziłem do pudełka od zapalek i położyłem je pod parapetem okna w ubikacji. Wcisnąłem je w szczelinę pomiędzy cegłami muru zewnętrznego. Gdyby nawet przeszukiwali ustęp, nie wpadliby na myśl, by sięgnąć za okno. Od strony podwórza nie można było go zauważyć. Gdyby jednak wypadło samo, mogłem się posłużyć wymówką, że chciałem na wszelki wypadek przechować w bezpiecznym miejscu odpis mego podania do prokuratora.

Eksperyment udał się. Marcel znalazł pudełko. W dwadzieścia cztery godziny później miałem odpowiedź. Korespondowaliśmy

w ten sposób przez dwa tygodnie. Potem kontakt się urwał. Nie wiedziałem, co się stało z Marcelem.

5 listopada 1937 roku słyszałem o nim po raz ostatni. Wieczorem zepsuło się coś w elektrowni. W całym więzieniu zgasło światło. W ciemności byliśmy bezkarni. Naraz usłyszałem od strony cel masowych krzyk „ALEX!” Odpowiedziałem natychmiast. Zgiełk był zbyt wielki, by można było się porozumieć. Wkrótce zabłysło światło zapasowe.

Później dowiedziałem się od jednego z współwięźniów, że z końcem listopada Marcel został wysłany etapem. Dostał dziesięć lat obozu koncentracyjnego.

Z początkiem września Makedon wyjrzał przez okno na podwórze i zawołał do mnie:

— Aleksandrze Siemionowiczu, chodź-no! Co się tu dzieje?

Podszedłem do okna i ujrzałem tłum kołchoźników, może kilkuset, czekających na podwórzu, na którym zazwyczaj odbywaliśmy swój spacer. Złożyli swoje zawiniątka na ziemi i odpoczywali na nich. Większość była w wieku pomiędzy 30 a 50 rokiem życia. Byli jednak też starzy chłopci z długimi brodami o wyglądzie patriarchów. Makedon zwrócił się do mnie:

— Może oni idą etapem.

— Nie sądzę, wszyscy mają twarze brązowe. To nowo aresztowani.

— Nie mogli przecież dostawić jednego dnia kilkuset chłopów!

— Dla nich wszystko jest możliwe. Chciałbym tylko wiedzieć, co się z tymi ludźmi stanie! Dlaczego ich nie odprowadzają do cel?

Chłopci musieli czekać na podwórzu aż do wieczora. Potem porządzano ich na cele. Dostaliśmy tylko jednego z nich. Nazywał się Siemion. Był to smukły, żyłasty szatyn, mógł liczyć 30 lat.

— Dlaczego cię aresztowano?

— Nie wiem. Myślę, że za tę historię sprzed czterech lat.

— Co było przed czterema laty?

— Wzięli mnie i powiedzieli, że ukradłem na stacji kolejowej worek ziarna. Ale nie miałem wtedy żadnego ziarna. Moja żona spuchła z głodu, a potem umarła. Trzymali mnie przez trzy miesiące. Aż wyszło na jaw, że jakiś milicjant ukradł ten worek. Potem mnie wypuścili.

— Ależ Siemionie, nie mogą cię przecież aresztować teraz za to, że cię w roku 1933 niesłusznie aresztowali?

— Może myślą, że jestem na nich zagniewany.

Zakwestionowałem jego wyjaśnienie. Nie odpowiedział. Był to spokojny, uprzejmy człowiek, bardzo przestrzegał czystości i rzadko wtrącał się do naszej rozmowy. Znacznie później zrozumiałem, że ten chłop miał słuszość. Aresztowano setki tysięcy ludzi z tego tylko powodu, że ich kiedyś w ciągu ostatnich 10 lat władza sowiecka skrzywdziła. Następnego dnia zawołano Siemiona na przesłuchanie. Pozostawał tam 24 godziny i powrócił następnego wieczora, właśnie gdy byliśmy w ubikacji. Był zupełnie roztrzęsiony. Zwróciłem się do niego życzliwie:

— Siemionie, jak tam było?

— Niedobrze. Bili mnie.

Podciągnął spodnie i zobaczyliśmy zupełnie posiekane uda. Sędzia śledczy obrabiał jego nogi metalowym kantem linealu. Byłem wstrząśnięty. Opowiadań Makedona sprzed kilku dni zupełnie nie brałem na serio. Teraz miałem żywy dowód.

Siemiona wzywali dwa razy. Zaraz na początku sędzia śledczy wrzasnął na niego:

— Podaj swą organizację, ty kontrrewolucyjny bandyto! Kto cię zwerbował? Kogo zwerbowałeś?

Gdy Siemion nie dał żadnej odpowiedzi, rzucili się na niego sędzia śledczy i jego zastępca i zaczęli go maltretować. Wybierali najczulsze miejsca. Widoczne było, że chłop wytrzymał bezgraniczny ból. Po pół godzinie zawlekli go do piwnicy i rzucili do „Brechałowki”. Tam go uświadomiono. Po sześciu godzinach wezwano go znowu. Sędzia śledczy nie miał z nim teraz żadnych trudności. Jako werbownika wymienił przewodniczącego kołchozu, a jako zwerbowanych — pięciu chłopów, z którymi pracował w tej samej brygadzie. Przeraziłem się.

— Na litość Boską, Siemionie, coś ty zrobił?! Teraz ich wszystkich zaaresztują.

— Nie towarzyszu, już są aresztowani. To ich właśnie chciał sędzia śledczy.

Widocznie zaaresztowano chłopów z tego kołchozu, nie mając żadnych przeciw nim zeznań. Teraz sędzia śledczy musiał *oformliat'* sprawę (co znaczy po rosyjsku mniej więcej „doprowadzić do rozsądnej formy”). Szukał świadków obciążających, aby *ex post* usprawiedliwić aresztowania. Nie wiem, na podstawie jakiej to zasady dokonali wyboru aresztowanych chłopów. Może miarodajne były charakterystyki, sporządzone przez agentów GPU we wsi. Może w ciągu roku zebrali GPU jakieś podejrzone wypowiedzi. Może wzięto wszystkich, których kiedykolwiek spotkała jakaś krzywda. W każdym razie, dopiero w więzieniu zbierano materiał obciążający. Dopiero w więzieniu budowano organi-

zając, do której mieli należeć. Fundamentami legendy były samooskarżenia i konfrontacje.

Od chłopów żądano niewiele. Przeważnie tylko agitacji kontrrewolucyjnej i sabotażu. Zamierzali rzekomo zatrzuwać studnie, by wyzdychało bydło, podpalać stogi siana, rzekomo przeklinali Stalina i szczuli przeciwko podatkowi w naturze. Czasami zdarzały się też poważniejsze oskarżenia. Dwudziestu chłopów aresztowano pod zarzutem, że planowali kradzież koni kołchozowych, konny najazd na stolicę prowincji i wywołanie tam zbrojnego powstania przeciw władzy sowieckiej. Kraj miał powstać na bicie dzwonów. Nigdy jednak od tego nie doszło. Krowy się nie potruły, stogi siana nie spłonęły, naród nie powstał. Zawsze były to tylko pobożne życzenia — nie aresztowanych chłopów, lecz aresztujących czekistów.

W ciągu następnych dni więzienie zapełniło się chłopami. Codziennie setki ich czekały na podwórzu, aż do wieczora. Potem przychodził z NKWD rozdzielnik i prowadzono ich do cel. Drugi z kolei przyszedł do nas Bojko. Był to młody chłop, ale robił raczej wrażenie miejskiego urzędnika. Był ateistą, zwolennikiem kolektywizacji i w wolnych chwilach zajmował się astronomią. Polubiłem go. Miał świeży i żywy sposób opowiadania. W kołchozie był brygadierem. Był wielokrotnie odznaczony. Jego brygada zawsze przekraczała wszystkie normy. Bojko był aktywistą kolektywizacji. Aczkolwiek bezpartyjny, wykonywał więcej roboty politycznej, niż niejeden komunista. Z agronomem, przyjeżdżającym z rejonowego miasta, omawiał teoretyczne zagadnienia agrokultury. Często chodził do pobliskiej Stacji Maszynowo-Traktorowej i pomagał dobrowolnie przy naprawie traktorów, aby się doksztalić technicznie. W ludziach takich jak Bojko myśl socjalistycznego przeobrażenia wsi znalazła świadomych pionierów. Ludzie ci byli na wsi w mniejszości, ale od tej mniejszości zależał los kolektywizacji. I właśnie takich zagarniała bezlitośnie fala masowych aresztowań.

Bojko był dobrym kolegą. Był bardzo czysty i dlatego przyjemny jako sąsiad w czasie spania. Przed zaśnięciem musiałem mu nieraz całymi godzinami opowiadać o zagadnieniach techniki. Interesował się również historią. Cieszyłem się nim i miło mi było, że mogłem tu, w więzieniu, być komuś pożyteczny.

W kilka dni później przyszedł Satina. Gdy go strażnik wpuścił przez drzwi, stał przez chwilę, postawił swoje zawiniątko na ziemi, skrzyżował ramiona na piersiach i skłonił się. Był mały, osiwiasty i miał dobre, ciepłe oczy. Mówił cichym głosem i odczuwało się zawsze respekt, jaki żywił dla intelektualistów. Był to chłop z dawnych czasów, znający jeszcze tradycje poddaństwa.

Pogodzony ze swym losem, wierzący i bardzo uczciwy. Nigdy nie wysuwał się na pierwszy plan i starał się być na dobrej stopie z wszystkimi. Był zawsze ostatni do chleba i do zupy, nigdy nie kłócił się z innymi o miejsce na nocleg i łątał bieliznę i odzież wszystkim, nawet jeśli go o to nie prosili. Gdy w miesiąc później zaczęto znowu wzywać mnie często na przesłuchania, a cela była pełna, w czasie mej nieobecności wielu korzystało z moich porcji żywności. Satina zwrócił mi na to uwagę. Byłem zbyt nerwowym, by się tym zajmować, a co dopiero zabierać ze sobą swoje porcje na przesłuchanie. Satina chował je dla mnie przed innymi. Sam nigdy niczego nie ruszył.

— Musicie dbać o siły, Aleksandrze Siemionowiczu, macie jeszcze przed sobą długą drogę. My jesteśmy bardziej przyzwyczajeni do niedostatku.

Mówił to wszystko spokojnym, dobrym głosem. Wstydzilem się trochę. Miałem uczucie, że jego respekt dla mnie bierze się jeszcze z tradycji lat młodości, kiedy to w wielu majątkach, u rozsądnych ziemian, panowały pomiędzy panem a parobkiem stosunki patriarchalne.

Od sierpnia 1937 roku do 1 grudnia 1938 roku w obrazie zewnętrznym każdej celi więziennej na Chołodnej Gorze dominowali chłopci. Nie da się o nich wiele napisać, zawsze było to samo. Najpierw aresztowano przewodniczącego kołchozu, który wydawał cały aparat administracyjny kołchozu, ten z kolei wydawał brygadierów, a ci ostatni — wielu spośród chłopów. W rzadkich wypadkach było tak, jak z Siemionem. Najpierw aresztowano ogromną część kołchozu, a potem konstruowano materiał obciążający. Ale to był tylko wyjątek.

Chłopci przychodzili i odchodzili. Żaden nie siedział dłużej niż trzy miesiące. Żaden z nich nie oparł się torturom. Poczynając od października nawet nie próbowali już stawiać oporu. Wiedzieli: „Władza” żądała teraz od nich przyznania się do kontrrewolucji. Dawniej żądano kolektywizacji, podatków w naturze, była i tak dalej. Nigdy się nie bronili. Nie oburzali się także i teraz. Tylko w oczach Bojki widziałem łzy, gdy musiał pójść etapem.

— Nie jestem najgorszy — skarżył się. — Znacznie gorsi ode mnie pozostają na wsi przy kobietach.

Usiłowałem go pocieszyć:

— Bojko, za dwa lata wrócisz. Dla was będą względni, nie jesteście politykiem. Wasze ręce potrzebne są w kołchozie.

— Jeszcze bardziej potrzebne są na północy — odpowiedział.

I miał rację.

— Bądź zdrow, Bojko!

— Bądź zdrow, Aleksandrze Siemionowiczu! Nigdy cię już nie zobaczę.

Drzwi zamknęły się za nim. Serce krajało mi się z bólu.

W ciągu września robiło się coraz ciasniej. W końcu 14 ludzi siedziało w celi o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych. Trzeba było przymocować łóżka do ściany i urządzić się na podłodze. My, dawni, mieliśmy jeszcze przywilej używania materaców. Dla nowych już ich nie było. Chłopów zabierano codziennie na przesłuchanie, ale najwyżej po trzech przesłuchaniach śledztwo było zamknięte. Sędziowie śledczy mieli w „Brechałowce” wśród więźniów swych prowokatorów, którzy pouczali chłopów do czego mają się przyznawać. Bito tylko tych, którzy zaprzeczali że są winni. Przeważnie tylko przez jeden wieczór. Potem kapitulowali i prowokatorzy w „Brechałowce” układali im zeznania. Prowokatorami byli przeważnie więźniowie, którzy się już sami przyznali. W pierwszym rzędzie przewodniczący kołchozów, znający psychologię chłopską, albo sekretarze partyjni z chłopskich terenów. Dwa razy na tydzień zestawiano transporty do obozów na północy. Po ukończeniu śledztwa chłopci nie musieli długo czekać. Przeważnie po dwóch-trzech tygodniach wyruszali etapem.

Intelektualiści w celi — w ciągu września przybyło ich jeszcze kilku — często dyskutowali polityczny sens aresztowań. Nikt nie rozumiał, dlaczego zamykano chłopów. Teraz pojawiła się teoria, że Stalin planuje wielkie roboty na północy kraju. Koleje na Syberii, kanały, krótko mówiąc, udostępnienie rejonów podbiegunowych. Nie znalazłyby się żadne dobrowolne siły robocze, które by chciały udać się do tych niezagospodarowanych okolic i dlatego Jeżow poprzez NKWD mobilizował robotników przymusowych. Stary anarchista, nazwiskiem Zariuk, lansował ten pogląd. Zwalczałem go.

— Jakież mogłoby to mieć sens? Mógłbym to jeszcze zrozumieć, gdyby chodziło tylko o chłopów, lecz oto wrywa się z produkcji dyrektorów fabryk, inżynierów i robotników kwalifikowanych i wlecze się ich na północ, gdzie kopią ziemię. Kraj wydał olbrzymie sumy, by stworzyć inteligencję techniczną, a teraz używa się najbardziej wykwalifikowanych robotników i techników do budowania dróg. Dezorganizuje się produkcję w Zagłębiu Donieckim, by przekopać Kanał Białomorski. Kosztowna rozrywka!

— Być może tamte roboty są ważne pod względem strategicznym — odparł Zariuk.

— W takim razie można by też znaleźć wolnych robotników.

Trzeba by tylko było płacić im znacznie lepiej, niż na południu.

— To za dużo kosztuje, Jeżow to robi taniej.

— Robi to znacznie drożej, towarzyszu Zariuk. Praca przymusowa jest w ogóle najmniej wydajną formą pracy ludzkiej. Gdyby wolna praca nie była o wiele wydajniejsza od pracy wymuszonej, nie doszłoby nigdy do zniesienia poddaństwa.

Rozmowy na temat politycznego sensu masowych aresztowań nie kończyły się. Każda nowa grupa aresztowanych rozpętywała dyskusję na nowo.

Sam Zariuk był starym anarchistą. W rewolucji 1905 roku stracił nogę. Podczas lokalnego powstania kozacy strzelali do tłumu i trafili w niego. W szpitalu więziennym amputowano mu prawą nogę. Potem zesłano go na Syberię. W roku 1913 był amnestionowany. Powrócił i został nauczycielem. Nigdy nie wyrzekł się zupełnie swych anarchistycznych poglądów. Nigdy nie wstąpił do partii komunistycznej. Był jednak rzeczywiście lojalnym sowieckim człowiekiem. Siedzieliśmy razem do stycznia 1938 roku. Krytykowałem reżym NKWD znacznie ostrzej i nieostrożniej, niż inni. Wyrzucał mi to ze szczerym oburzeniem i wymyślał mi od „zgniłego komunisty”.

Z końcem września wezwano mnie znowu na przesłuchanie. Po raz pierwszy sam zapoznałem się z „Brechałowką”.

W piwnicy więzienia wewnętrznego było może dwanaście dużych cel. Miały podłogę cementową i pozbawione były wszelkich urządzeń. Niektóre z nich były przepelnione, w innych można było usiąść. Spotykałem w „Brechałowce” najrozmaitszych ludzi, ale — rzecz zdumiewająca — do połowy 1938 roku nie spotkałem nikogo z mego Instytutu, chociaż większość czołowych naukowców była już aresztowana. To samo dotyczyło innych więźniów. Wielu spośród nich należało do „kontrewolucyjnej organizacji”, złożonej sponad 50 ludzi. Śledztwo przeciw wszystkim „uczestnikom” prowadził ten sam sędzia śledczy, przy pomocy dwóch lub trzech zastępców. A jednak bardzo rzadko zdarzało się, że ludzie z tej samej „organizacji” spotykali się w celach lub w „Brechałowce”. (Wyjątek od tej reguły stanowili więźniowie, aresztowani zespołowo. Jak na przykład chłopci z jednego kołchozu, Armeńczycy z Charkowa i tym podobne grupy). Natomiast od osób trzecich można było dowiedzieć się wiele o losie przyjaciół.

Siedziałem w „Brechałowce” przez szereg dni, zanim wezwał mnie sędzia śledczy. Poznałem tam najrozmaitszych ludzi. W paśmie zostało mi tylko niewielu.

I tak, dwóch 18-letnich chłopców żydowskich. Byli oskarżeni o należenie do kontrrewolucyjnej organizacji syjonistycznej. Nie mieli jednak pojęcia o syjonizmie. Miał ich zwerbować kolega szkolny, który rzekomo był syjonistą. Wypytywali mnie, co to jest ten syjonizm. Ich ignorancja nie była udawana. Organizacja syjonistyczna została zdelegalizowana mniej więcej z początkiem lat dwudziestych. Jej członkowie byli prześladowani tak samo jak dawni anarchiści, mienszewicy, socjalrewolucjoniści i tak dalej. Partia komunistyczna miała w państwie monopol. Wszystkie inne organizacje polityczne były z góry kontrrewolucyjne i dlatego zakazane. W konsekwencji propaganda syjonistyczna wygasła całkowicie w żydowskich masach ludowych Związku Sowieckiego. A ci 18-letni chłopcy, urodzeni dopiero po rewolucji, nie wiedzieli nic o minionych czasach. Poza tym byli bardzo zaasymilowani i nie rozumieli ani słowa po żydowsku. Pytali mnie o historię syjonizmu. Zacząłem im opowiadać. Wmieszał się wtedy do rozmowy sąsiad, kapitan Armii Czerwonej:

— Po co opowiadasz im takie rzeczy? Lepiej dla nich, by nic o tym nie wiedzieli.

— Dlaczego?

Kapitan zaciągnął mnie do innego kąta:

— To ty tego nie rozumiesz? Nie wiedząc nic o syjonizmie, nie mogą się przyznać do niczego. Jeśli im coś opowiesz, zużytkują to i sfabrykują przyznanie się do winy. Chcesz tu załatwić interesy sędziego śledczego? Ci dwaj są jedynymi w celi, którzy mają szansę wyjścia na wolność. I ty chcesz im tę szansę odebrać.

— Dlaczego myślisz, że wyjdą na wolność?

— Po pierwsze, mają 18 lat, aresztuje się u nas niemal wyłącznie ludzi pomiędzy 30 a 50 rokiem życia. W rzadkich wypadkach tylko ludzi pomiędzy 20 a 30 rokiem życia, ale na ogół nie aresztuje się młodzieży szkolnej. Po drugie, są w „Brechałowce” we dwójkę. Nie sądzisz chyba, że to jest przypadek. Od sześciu tygodni jestem tutaj prawie co drugi dzień i jeszcze nigdy nie spotkałem ludzi z tej samej organizacji. Obaj wyjdą na wolność.

Kapitan miał rację. W dwa tygodnie później zwolniono obu młodych „syjonistów”.

Spotkałem jeszcze jednego więźnia, który miał wyjść na wolność. Był to niemiecki komunista z Lipska. Rosły, smukły człowiek o zwracających uwagę szlachetnych rysach twarzy. Od całych miesięcy nie słyszałem jednego niemieckiego słowa. Był historykiem, dopiero od niedawna w Związku Sowieckim. Aresztowano go w czasie podróży z Dniepropietrowska do Charkowa. Było to aresztowanie przypadkowe. Uwagę jadącego z nim enkawudysty

zwróciło to, że mówił tylko po niemiecku i widocznie zameldował o tym posterunkowi GPU na dworcu kolejowym w Charkowie. I młodego Niemca zamknęli. Sędzia śledczy na dwóch pierwszych posiedzeniach zarzucał mu szpiegostwo, na trzecim dał mu do poznania, że wkrótce odzyska wolność. Sprawa była jasna, nikt na terenie Charkowa nie znał młodego Niemca, nikt go nie „zwerbował”. Nie dało się go wmontować w żadną „organizację kontrrewolucyjną”. Był przeto dla sędziego śledczego bezużyteczny.

W „Brechałowce” dowiedziałem się w owych dniach bliższych szczegółów o funkcjonowaniu tak zwanej *Trojki*. Był to nadzwyczajny sąd administracyjny, złożony z trzech członków. Sąd ten mógł skazać zaocznie na karę śmierci oskarżonych, którzy nie byli gotowi przyznać się do winy przed zwyczajnym trybunałem sądowym albo przed trybunałem wojskowym. Obawiałem się, że GPU może w mej sprawie posłużyć się tą procedurą. Mieli w rękę protokół końcowy, po owym pierwszym konwejerze, kiedy to przyznałem się do winy. Mogli postarać się, by zniknęły dokumenty, w których wycofałem swoje zeznania. Jeśli *Trojka* nie będzie mnie przesłuchiwała osobiście, nikt nie zauważy oszustwa. Można mnie będzie rozstrzelać i nawet kot po mnie nie zapłacze. Nie widziałem niemal żadnego innego wyjścia dla GPU i niepokoiłem się bardzo.

Chociaż pochodzę z rodziny bardzo ortodoksyjnej, jestem w gruncie rzeczy człowiekiem areligijnym. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak mogą intelektualiści, znający nowoczesną wiedzę, kokietować wiarą w Boga z lat swego dzieciństwa. Nie mogłem też nigdy pojąć, że ludzie troszczą się o swoją pośmiertną opinię. Poświęciłem część mego życia walce o socjalizm, jednak socjalizm nie był dla mnie sprawą dalekiej przyszłości, lecz zadaniem żyjącego pokolenia. Teraz po raz pierwszy ogarnęło mnie nieznanne mi do tej pory uczucie metafizyczne. Nie było mi obojętne, co moi przyjaciele za granicą pomyślą sobie o mnie po mojej śmierci. Bałem się, że zostanę rozstrzelany i tym samym utracę możliwość odparcia kiedykolwiek oszustwa GPU. Mówiłem o tym z moim niemieckim towarzyszem.

— Nazywam się Aleksander Weissberg, jestem z Wiednia. Proszę, przyrzeknij mi, że powiadomisz moich przyjaciół w Kominternie i w partii austriackiej, że nigdy nie byłem kontrrewolucjonistą. Nie wiem, czy przeżyję następny miesiąc, ale nie chcę odejść z uczuciem, że moi towarzysze będą mnie uważali za wroga.

Niemiec przyrzekł.

Gdy myślę teraz o tym retrospektywnie, dziwię się swoim naiwnym troskom. W owej chwili w Związku Sowieckim areszto-

wane już były miliony. Pomiedzy nimi cała stara gwardia rewolucji, najbliżsi przyjaciele Lenina, bohaterowie wojny domowej i budownictwa socjalistycznego; a ja obawiałem się, że zagranica nie pozna się na oszustwie Stalina. Co prawda, długo trwało, zanim opinia publiczna świata rozszyfrowała tajemnice wielkiej czystki. Do dzisiaj jeszcze nie udało się to całkowicie. W przeciwnym razie nie pisałbym tej książki.

Noce w „Brechałowce” były trudne do zniesienia. Nawet jeśli się miało miejsce, nie można było spać. Z położonych naprzeciwko na wskos od nas okien pokojów śledczych dochodziły krzyki torturowanych. Najczęściej słyszało się krzyk kobiet. Zamykaliśmy okna, aby nic nie słyszeć, lecz wtedy powietrze w przepelnionej piwnicy stawało się nie do zniesienia. Nieustannie otwierały się i zamykały drzwi, zabierano sąsiadów na przesłuchania. Czekano się na swoją kolej i myślało się ze zgrozą o tym, co kogo czeka.

GPU osiągało swój cel przez strach przed grożącym maltretowaniem. W rzadkich tylko wypadkach przez rzeczywiste tortury. Byli bardzo wstrzemięzliwi z biciem. (Tym różnili się od gestapowców, jak mnie o tym w sześć lat później pouczył mój pobyt na Pawiaku, w centralnym więzieniu warszawskiego Gestapo). Do drugiej połowy sierpnia 1937 roku bili w ogóle tylko w bardzo rzadkich, wyjątkowych wypadkach. Najsilniejszym środkiem nacisku był konwejer. Teraz na konwejer nie mieli czasu. Zaczęły się masowe aresztowania i więzienia były przepelnione. Pragnęli szybko zamykać akta każdej poszczególnej sprawy, aby wysłać ludzi etapem. Konwejer był bardzo skutecznym środkiem nacisku, zatrudniał jednak przez cały tydzień czterech sędziów śledczych dzień w dzień, zanim przesłuchiwany załamał się i podpisał protokół. Na każdego człowieka potrzebowali zatem przy konwejerze mniej więcej 100 do 200 godzin przesłuchiwania. W tym samym czasie bicie dawało im nie jeden protokół, ale sto. Przesłuchiwanie chłopów nie wymagało bowiem więcej, jak dwóch posiedzeń po 60 minut.

W rok później przybyło do nas do Charkowa wielu ludzi z więzień z innych miast celem składania zeznań i dodatkowych śledztw. Wszyscy mówili to samo. Pewnego określonego dnia, 17 lub 18 sierpnia 1937 roku, wszystkie więzienia wielkiego kraju, od Niegorodoje do Władywostoka i od Odessy do Archangielska, przeszły do bicia. Czy był to centralny rozkaz z Moskwy? Niemał na to wyglądało. Później dowiedziałem się od aresztowanych gepistów, że w tej sprawie nigdy nie wyszedł z góry rozkaz pisemny. Istniała tylko milcząca zмова, sięgająca od ludowego komisarza Jeżowa w dół aż do ostatniego sędziego śledczego. O tym później.

Przedostatniego dnia września zostałem wezwany na przesłuchanie. Żołnierz przyprowadził mnie nie jak zazwyczaj do pokoju Reznikowa nr 222, lecz do gabinetu kierownika oddziału Tornujewa. U kapitana znajdował się inny gepista w cywilnym ubraniu. Jego nabiegłe krwią oczy zwróciły moją uwagę. Sprawiał wrażenie histeryka. Obaj rozmawiali przez chwilę, po czym nieznajomy przystąpił do mnie. Stałem w kącie.

— Dostałeś już lanie?

Nie odpowiedziałem.

— Zbliź się!

Podszedłem o krok.

— Jeszcze bliżej!

Przyglądał mi się przez chwilę badawczo. Wytrzymałem jego wzrok.

— Czy podpiszesz, ty psie!

— Nie mam nic...

Nie dokończyłem zdania. Odwinął się i z całej siły uderzył mnie pięścią w twarz. Zachwiałem się. Potem drugim ciosem zwałił mnie na ziemię. Kopnął mnie. Zerwałem się. Strach zniknął. Ogarnęła mnie wariacka wściekłość. Zasłoniłem twarz rękami i wołałem do niego:

— Nie macie prawa mnie bić!

Wrzasnął:

— Ręce w dół! Zbliź się, ty psie!

Potem rzucił się na mnie. Zacząłem krzyczeć. Tornujew odwrócił się. Nieznajomy chciał mnie sterroryzować. Zauważyłem, że mój krzyk był mu bardzo nieprzyjemny. Okno gabinetu otwarte było na ulicę. Przechodnie mogli z całą pewnością wszystko słyszeć. Zaczął mnie bić kijem. Podbiegłem, nie bacząc na niego, do okna i zacząłem po prostu wrzeszczeć. Kapitan położył kres tej scenie. Nieznajomy opuścił pokój. Uspokoilem się. Tornujew zbliżył się do mnie:

— Najwyższy czas kończyć. Czy będziesz zeznawał?!

— Nie mam nic do zeznawania.

Chwycił mnie za rękę i usiłował rzucić mnie na podłogę. Spostrzegłem jednak, że cała sprawa była mu w najwyższym stopniu nieprzyjemna. Tamten był zapewne sadystą. Tornujew nie żywił do mnie nienawiści. To było widoczne. Rychło zaprzestał i zawołał innego urzędnika. Zaprowadził mnie on do pokoju kancelaryjnego, gdzie siedziało przy biurkach trzech urzędników GPU.

— Przyprowadzam wam Weissberga. To ten, co mówi do ściany.

Tamci roześmiali się. Widocznie epizod z Szalitem rozniósł

się po całym gmachu i rozstawił mnie. Znali mnie i wiedzieli o mnie wiele. Musiałem stać pod ścianą. Minęło kilka godzin, po czym do pokoju wszedł Reznikow. Roześmiał się.

— Witaj, Aleksandrze Siemionowiczu. Jak ci się powodzi? Czy już skończyłeś śledztwo?

Nie odpowiedziałem.

— Nie patrz na mnie tak krzywo! Już nie jestem twoim sędzią śledczym.

— Kto jest moim sędzią śledczym?

— Chwilowo jesteś bezprizorny. Sam kapitan zajmuje się twoją sprawą. Może przyjdzie mu do pomocy Szalit.

— Tylko tego mi brakuje.

— Nie będzie tak źle. Nie jesteśmy potworami. Potrzebujemy cię jeszcze przecież jako specjalistę.

Nic już nie rozumiałem. Dlaczego Reznikow zrezygnował z prowadzenia mego śledztwa? Dlaczego mówił teraz ze mną życzliwie? Rozmowa z nim podniosła mnie znowu na duchu. Czyż może taki był jego tajny zamiar? Czy chciał utrudnić swemu następcy sprawę?

W kilka miesięcy później Reznikow znikł. Opowiadano potem, że poszedł do obozu.

Stałem w tym pokoju pod ścianą przez całą noc i cały dzień następny. O północy zabrał mnie Szalit. Szliśmy korytarzem zgromy. Z obu stron, ze wszystkich gabinetów, rozbrzmiewały najokropniejsze krzyki. Nie wiedziałem, czy tam rzeczywiście tak ludzi torturowano, czy też to wszystko było pozorowane celem zastraszenia innych. Gabinet Szalita znajdował się na samym końcu korytarza. Droga nie miała kresu.

Szalit w międzyczasie zaawansował na samodzielnego sędziego śledczego. Pod ścianą stał stołek, z którego usunięto siedzenie. Musiałem na nim usiąść. Ostre kanty wrzynały mi się w uda. Pomyślałem sobie, że na tym stołku nie wytrzymałbym długo konwejera. Szalit podszedł do mnie.

— Przyznasz się?

— Nie mam się do czego przyznać. Ale nie powiem w ogóle ani jednego słowa, dopóki nie zobaczę prokuratora.

Szalit rzucił się do biurka i chwycił długą linijkę z mosiężnym kantem. Zaczął nim walić mnie po głowie. Lecz bijąc, bał się mnie trochę. Był słabszy ode mnie fizycznie i dobrze nie wiedział, do czego jestem zdolny. Jednakże nie dałem się sprowokować. Czekałem. Po kilku minutach weszło do pokoju czterech-pięciu czekistów. Obstawili mnie dokoła. Jeden z nich przyniósł koronę ze złotego, błyszczącego papieru, ozdobioną potężnymi swastykami. Wzięli mnie za ręce i włożyli mi tę koronę na głowę. Rów-

niez na piersiach przyczepili mi wielką swastykę z papieru. Potem odstąpili i naśmiewali się ze mnie. Zerwałem się, zrzuciłem koronę i zawołałem:

— Odpowiedcie za to. To niemożliwe, by wam partia pozwałała wyrabiać tu swastyki.

Szalit uderzył mnie w głowę, tym razem płaską stroną linijki. Mój argument widocznie jednak wywarł na nich wrażenie. Nie próbowali po raz drugi włożyć mi korony na głowę i opuścili wkrótce pokój.

Potem zaczął się na nowo konwejer. Był to ostatni konwejer, przez który musiałem przejść. Nie bili mnie. Zmuszali mnie tylko, bym tkwił na stołku bez siedzenia, ale i w tym była co jakiś czas przerwa. Postanowiłem sobie wytrzymać do dnia mych urodzin, 8 października. Czułem się mocniejszy niż latem. 4 października około wieczora nieustające przesłuchanie dobiegło końca bez wyniku. Odetchnąłem. Miałem uczucie, że moja próba jest skończona.

Na Chołódnej Gorze moi towarzysze celi powitali mnie hałaśliwie. Przybyło wielu nowych, każdy miał coś do opowiadania. Pozwolili mi leżeć na łóżku — również za dnia — zasłaniali mnie przed oczyma strażnika. Odpocząłem.

Następnego dnia, około północy otworzyła się znowu kłapa.

— Na literę W?

Oprócz mnie, było w celi trzech o nazwisku na W. Musieli stanąć pod drzwiami i szeptem wymienić żołnierzowi swe nazwisko. Ja byłem ostatni. Zabrał mnie ze sobą. Tym razem przyprowadzono mnie wprost do gabinetu Tornujewa. Przed biurkiem, zwrócony do mnie plecami, siedział więzień. Tornujew kazał mi zająć miejsce po drugiej stronie stołu. Strażnik z kijem w rękę stanął za mną na posterunku. Poznałem więźnia dopiero, gdy zaczął mówić. Był to Szubnikow.

Tornujew trzymał w rękę podpisany już przez Szubnikowa protokół. Zażądał od niego, by powtórzył swe zeznania. Szubnikow mówił:

„Weissberg przybył do nas do Instytutu w roku 1931. Przybył z Niemiec. Zwerbowało go Gestapo. Miał u nas organizować robotę sabotażową i szpiegostwo. Chciał mnie do tego zwerbować. Ponieważ jednak byłem już od roku 1924 agentem niemieckiej centrali szpiegowskiej, odrzuciłem werbunek Weissberga. Od tej pory pracowaliśmy równolegle, jednakże bez łączności”.

Szubnikow nie ważył się patrzeć mi w oczy, gdy mamrotał te zdania. Co oni zrobili z tego silnego i upartego człowieka? Miał wygląd człowieka złamanego, chociaż nie znać było po nim żadnych śladów maltretowania. Dlaczego podpisał to obłąkane zezna-

nie? Szubnikow był niewątpliwie wybitną osobistością. W Instytucie ceniono jego siłę woli i energię. Był człowiekiem nieustępliwym. Jakim sposobem udało się im tak go spreparować? Tornujew zwrócił się do mnie:

— Czy potwierdzenie zeznania oskarżonego Szubnikowa?

Z pominięciem Tornujewa, zwróciłem się wprost do Szubnikowa:

— Lwie Wasiliewiczu, czyście zwariowali?! Jak mogliście podpisać taką bzdurę?!...

Nie udało mi się dalej mówić. Tornujew wtrącił się grzmącym głosem:

— Nie macie prawa rozmawiać z oskarżonym! Możecie tylko odpowiadać na moje pytania! Tak albo nie?

— Nie! Zaprzeczam temu.

Tornujew sformułował swoje pytania szczegółowo. Na wszystkie odpowiedziałem przecząco. Nie usiłowałem wywierać na mnie nacisku. Zapisał moje odpowiedzi i podał mi protokół do podpisu. Potem zadzwonił. Gdy odprowadzano Szubnikowa, zebrałem się na odwagę i zawołałem:

— Szubnikow, na miłość Boską, cofnijcie przed sądem swoje zeznania!

Strażnik idący za mną wymierzył mi potężny cios w głowę. Na tym skończyło się przesłuchanie.

Następnego wieczora byłem znowu u Tornujewa. Przed biurkiem siedział mały człowieczek. Usiadłem.

— Znacie tego człowieka? — zapytał kapitan.

— Nie — odpowiedziałem.

Tornujew zwrócił się do mojego *vis-à-vis*.

— Znacie oskarżonego?

— Tak jest, to Aleksander Siemionowicz Weissberg. Znam go od siedmiu lat.

Patrzyłem na niego, ale nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Zidentyfikowałem go dopiero gdy Tornujew wymienił nazwisko.

Spotkałem tego człowieka raz w życiu. Było to 29 marca 1931 roku, w dniu mego przyjazdu do Związku Sowieckiego. Przyjechałem przez ukraińsko-polską stację graniczną w Szepietówce. Miałem wprawdzie bilet do Charkowa, lecz ani jednego rubla. Konduktor w wagonie sypialnym zażądał 5 rubli za pościel. Współpodróżny nazwiskiem Flenning, nauczyciel niemieckiej szkoły w Charkowie, zaofiarował mi pożyczkę. Po przybyciu do Charkowa odesłałem mu tych 5 rubli. Później nie widziałem go już nigdy. Teraz ten Flenning siedział naprzeciw mnie. Już wówczas nie był szczególnie okazały, ale teraz wyglądał jak upiór.

Tornujew zabrał głos.

— Oskarżony Flenning, powtórzcie swe zeznanie.

— Spotkałem Weissberga w pociągu z Szepietówki do Charkowa. Oświadczył mi, że udaje się z polecenia niemieckiego Gestapo do Charkowa, aby tam utworzyć siatkę szpiegowską. Zapytał mnie, czy chcę pracować w jego organizacji i zaproponował mi wysokie pobory. Odmówiłem.

— Jak uzasadniście swą odmowę, oskarżony Flenning? — zapytał Tornujew.

— Oświadczyłem Weissbergowi, że już od dawna pracuję dla Gestapo.

— Zwerbowanie przez Weissberga nie doszło zatem do skutku, gdyż byliście już zwerbowany z innej strony. Czy to chcieliście powiedzieć, oskarżony Flenning?

— Tak jest, to chciałem powiedzieć, obywatelu kapitanie.

— Czy mieliście później jakąkolwiek łączność z szpiegowską grupą Weissberga, czy też praca wasza dotyczyła zupełnie innego terenu, oskarżony Flenning?

— Zupełnie innego terenu, obywatelu kapitanie.

Tornujew zwrócił się do mnie.

— Weissberg, czy potwierdzenie zeznanie świadka oskarżenia Flenninga?

Nie mogłem tak szybko zebrać myśli. Przeżyłem w tym gmachu niejedno. Wiedziałem z własnego doświadczenia, jak się tu robi konfrontacje. Znałem wiele groteskowych szczegółów z historii śledztw przeciw moim towarzyszom celi. Jednakże nie spotkałem się do tej pory z podobnym wypadkiem.

— Potwierdzenie zatem zeznanie Flenninga, oskarżony Weissberg — powiedział Tornujew z całą powagą.

— Obywatelu kapitanie, powiedzcie uczciwie: Czy oczekujecie, że potwierdzą to szaleństwo?

— Weissberg, czyś ty zwariował?! Tęskno ci znów za stołkiem?! Jak ty do mnie mówisz?! Kto tu ma stawiać zapytania, ty czy ja?!

Gdy tak krzyczał, zastanawiałem się. Dostrzegłem od razu szansę beznadziejnego skompromitowania całego śledztwa protokołem tej konfrontacji. Należało jednak być ostrożnym i nie zdradzać za wcześnie swych zamiarów.

— Weissberg, pytam cię po raz ostatni — czy przyznajesz, że w pociągu pospiesznym pomiędzy Szepietówką a Kijowem podjąłeś próbę zwerbowania oskarżonego Flenninga do twej organizacji szpiegowskiej?

— Zanim odpowiem, chciałbym postawić świadkowi Flenningowi dwa pytania. Czy pozwalacie, obywatelu kapitanie?

— Co za pytania?

— Po pierwsze: Kiedy miała mieć miejsce ta próba zwerbowania?

— Flenning, odpowiedzcie na zapytanie oskarżonego Weissberga! — rozkazał kapitan.

— Już nie pamiętam dokładnej daty. Było to z końcem marca 1931 roku. Wracalem z Niemiec do Charkowa i spotkałem Weissberga w Szepietówce. Pożyczył sobie ode mnie 5 rubli na pościel i przy tej okazji nawiązaliśmy rozmowę.

— Proszę to zaprotokołować, obywatelu kapitanie.

— Protokół napiszemy po zamknięciu przesłuchania.

— Obywatelu kapitanie — w tym wypadku, mającym dla mnie rozstrzygające znaczenie, uważam za konieczne, by natychmiast zaprotokołować wszystko co Flenning mówi i odebrać mu wszelką możliwość wyparcia się później czegokolwiek.

Reznikow nabrałby w tym miejscu podejrzania, ale Tornujew był o wiele bardziej prostoduszny. Albo nie zauważył do czego zmierzam, albo też chciał mi po prostu dopomóc do odparcia bezsensownych oskarżeń. Zapisywał odpowiedzi Flenninga.

— Moje drugie pytanie brzmi: Czy świadek Flenning widział mnie kiedykolwiek przed tym spotkaniem? Czy wiedział o moim istnieniu? Czy otrzymał od kogokolwiek polecenie do mnie?

Flenning odpowiadał powoli, przy czym oczy jego biegały niespokojnie:

— Nie — nie widziałem Weissberga nigdy przedtem, a także nic o nim nie wiedziałem.

— To mi wystarczy. Nie potwierdzam zeznań świadka Flenninga. Są one całkowicie wysane z palca. Rozmowa taka nigdy się nie odbyła.

— Czy obstajecie przy swym zeznaniu, oskarżony Flenning?

— Obstaję, obywatelu kapitanie. — Flenning zwlekał trochę z swą odpowiedzią.

Tornujew spisał protokół do końca i podał go nam do podpisu.

Przed podpisaniem oświadczyłem:

— Obywatelu kapitanie — nalegam na to, by protokół tej konfrontacji pozostał w moich aktach. Nie podpiszę „dwóchсотki” bez niego.

— Nie wydawaj nam rozkazów! Nikt tu nie będzie wykra-
dał protokołów z aktów. Nie jesteśmy oszustami.

Tornujew kazał wyprowadzić Flenninga, mnie zaś zatrzymał.

— No i co teraz powiesz? Nieustannie krzyczysz, że nie potrafimy ci niczego dowieść. Teraz masz dwóch żywych świadków. Zostałeś złapany — że tak powiem — *in flagranti*, na werbowaniu szpiegów. Czy teraz nareszcie spaszujesz?

— Obywatelu kapitanie, czy mogę mówić swobodnie?

— U mnie zawsze możesz mówić swobodnie, ale nie bądź przemądrzały. To szkodzi zdrowiu.

Zaczęła się teraz rozmowa, której w owym czasie nie mógłbym prowadzić z żadnym innym sędzią śledczym, nie narażając się na pobicie do krwi. Znałem jednak Tornujewa. Wiedziałem, że będzie przeklinał, ale że mi pozwoli się wygadać. Czasem podejrzewałem, że w głębi duszy bawiło go, gdy moje argumenty rozbiły fikcje NKWD jak bańki mydlane.

— Obywatelu kapitanie, wy także macie przecież agentów za granicą. Co powiedzielibyście o agencie sowieckim, który, na przykład, jedzie do Niemiec faszystowskich i pierwszego dnia, w pół godziny po przekroczeniu granicy ujawnia się kompletnie obcemu człowiekowi, opowiada mu, że przyjechał do kraju z ramienia NKWD i pyta go, czy chciałby współpracować? Takiego idiotę rozstrzelalibyście przecież natychmiast po jego powrocie. Nieprawda? Możecie potwierdzić, obywatelu kapitanie, że GPU nigdy nie posłałoby takiego durnia za granicę. Ale przyjmijmy sytuację najmniej prawdopodobną, że jakiś szkodnik w waszym aparacie posłał takich ludzi za granicę. Człowiek ten przekracza granicę niemiecką i zwraca się do przypadkowego współpodróżnego z zapytaniem czy nie jest on akurat bez pracy i czy nie chciałby objąć stanowiska w GPU. I teraz następuje druga rzecz nieprawdopodobna. Przejmowo trafia on przy tym na drugiego agenta GPU. Obywatelu kapitanie, istnieje 70 milionów Niemców. Z tego co najwyżej 700 jest agentami sowieckimi, a więc jeden na 100.000. Przyjmijmy jednak, że wasz agent ma szczęście, jak wszyscy głupcy — i trafia na tego jednego spośród stu tysięcy. I teraz następuje trzecia rzecz nieprawdopodobna: ten drugi agent sowiecki jest również bezmyślnym durniem. Jak to jest w zwyczaju sowieckich agentów, jest wyzbyty z wszelkiej nieufności w stosunku do obcych ludzi. Mogłoby mu na przykład przyjść na myśl, że ten drugi jest gestapowcem i chce go sprowokować. Nie przychodzi mu to jednak na myśl, gdyż jest bardzo ufny, a poza tym jest głupcem, dwie cechy predestynujące go do zawodu tajnego agenta.

— *Paszoł k'jobanoj matieri*, ty sukinsynu! Jak ty mówisz o naszych ludziach?! Czy myślisz, że możesz sobie na wszystko pozwalać, bo zachowuję się w stosunku do ciebie jak człowiek kulturalny?! Potrafię także inaczej — nie prowokuj mnie!

— Obywatelu kapitanie — przecież nie twierdzę, że coś takiego jest faktycznie możliwe w aparacie NKWD. Daję tylko przykład, by udowodnić, jak nieprawdopodobne jest to wszystko, co tu Flanning opowiadał. Musiałyby zbiec się razem trzy nie-

prawdopodobieństwa, zaś matematyka uczy nas, że nieprawdopodobieństwa należy mnożyć jedno przez drugie.

— Co to znaczy? Co to znowu za jakiś nowy twój wynalazek?

— Obywatelu kapitanie — to nie żaden wynalazek, jestem fizykiem i studiowałem swego czasu rachunek prawdopodobieństwa.

Wyjaśniłem mu na podstawie przykładów, jak nieprawdopodobny musiałby być rezultat, jeśli wszystkie prowadzące do niego elementy same przez się są nieprawdopodobne.

— Aleksandrze Siemionowiczu — zdaje ci się, że jesteś sprytny, ale w rzeczywistości jesteś głupszy od chłopca na wsi. Z całą twoją matematyką nic u nas nie wskórasz. Nie posyłamy za granicę takich agentów jak Gestapo, toteż naszych agentów nie wyłapują, za to szpiedzy niemieccy siedzą u nas całymi setkami.

— Obywatelu kapitanie — nie wiem, jakich ludzi posyłają Niemcy za granicę. Możliwe, że to są głupcy. Udowodniłem wam, jak nieprawdopodobne są twierdzenia Flenninga, nawet jeśli chodzi o dowolnych agentów niemieckich, którzy — niech i tak będzie — mogą być głupcami i samobójcami. Nie chodzi jednak o ludzi dowolnych, natomiast ja mam być jednym z tych agentów! A że nie jestem durniem, mówił to przez cały czas sam Reznikow.

— Jesteś durniem! Tyle, że przeczytałeś dużo książek, ale u nas nic ci to nie pomoże! Radzę ci, skończ nareszcie. Żal mi cię po prostu.

Tornujew zadzwonił. Przyszedł żołnierz i wyprowadził mnie. W drzwiach odwróciłem się jeszcze i powiedziałem:

— Obywatelu kapitanie — o jednym całkiem zapomniałem: W marcu 1931 roku nie było jeszcze w Niemczech żadnego Gestapo. Hitlerowcy doszli do władzy dopiero w dwa lata później.

— Zabieraj się stąd, ty w *rot jobany*.

Rozkoszowałem się później jeszcze przez całe tygodnie tą absurdalną konfrontacją i byłem wdzięczny losowi za to, że przesłuchanie prowadził Tornujew. Szalit w ogóle nie dopuściłby do żadnych innych odpowiedzi, jak tylko „tak” lub „nie”. Reznikow spostrzegłby od razu do czego zmierzam i odebrałby mi głos. Sterroryzowałby mnie groźbą karceru i tym sposobem nie dopuściłby do rozwinięcia moich argumentów. Prawdopodobnie od samego początku zredagowałby zeznania Flenninga w ten sposób, by z nich wyeliminować rzeczy najjaskrawiej nieprawdopodobne. Tornujew był bardziej prostolinijszy i dobronijny. Był to stary żołdak, ale niezły człowiek. Chętnie ze mną rozmawiał. Pewnego razu kazał mi przyjść o trzeciej w nocy. Sekre-

tarki w przedpokoju nie było. Na korytarzach nie było żywej duszy. Tornujew zamówił dla mnie herbatę i zadał mi kilka pytań, odnoszących się do grup opozycyjnych w Niemczech. Początkowo sądziłem, że potrzebne mu były moje informacje do protokołu. W toku rozmowy zorientowałem się, że chciał zaspokoić tylko swe osobiste zainteresowania. Chciał uzyskać wiadomości o ruchu robotniczym za granicą, wiadomości, których w prasie oficjalnej nie mógł znaleźć w ogóle albo tylko w zniekształconej postaci. Posługiwał się w rozmowie zwrotami i terminami z żargonu partyjnego, lecz nie bacząc na to, mogłem bardzo szybko odkryć jego ukryte zamierzenia.

— Czy u was, w Niemczech, wpływ na robotników mają trockiści, czy też bucharinowcy?

— Nie mają najmniejszego wpływu. To są małe sekty.

— Ale dlaczego? Jeśli te sukinsyny szkalują naszą partię i nikt im u was tego nie zabrania, jak to się dzieje, że im robotnicy nie wierzą? Mów prawdę.

— Mówię prawdę. Jeśli robotnicy przestają wierzyć partii, to idą do socjaldemokratów albo do faszystów, ale nie do opozycji. Robotnicy przeważnie nie rozumieją, czego chcą opozycjoniści.

Długo jeszcze potem rozmyślałem o tej nocnej rozmowie. Czyżby nawet ludzie w samym sercu stalinowskiego aparatu przymusu wątpili w słuszność polityki swego wodza?

Następnej nocy po konfrontacji z Flenningiem kazał mi Tornujew znowu przyjść.

Odczytał mi zeznania towarzyszkii Lessingowej. Lessingowa była kierowniczką niemieckiego klubu robotniczego po ustąpieniu Włacha. Jej zeznanie pokrywało się z twierdzeniem Włacha, jakobym po referacie komunisty niemieckiego Maddaleny zaprosił czołowych członków niemieckiej kolonii w Charkowie do mego mieszkania i dał przy tej okazji trzem ludziom polecenie wyjazdu na Kaukaz i zabicia tam Stalina i Woroszyłowa w czasie polowania. Tornujew czytał:

„Pod przewodnictwem trockisty-faszysty Maddaleny zebrała się grupa terrorystyczna Weissberga w jego mieszkaniu. Trockista-faszysta Maddalena wygłosił referat polityczny. Oświadczył on, że po zwycięstwie partii na froncie gospodarczym trzeba przejść do innych metod walki. Nie ma teraz innego sposobu zdobycia władzy, jak tylko likwidacja wodzów partii i państwa, w pierwszym rządzie Stalina. Cała grupa zgodziła się z nim. Postanowiono natychmiast przystąpić do praktycznych kroków celem przygotowania aktu terroru. Kierownictwo powierzono Weissbergowi. Wybrał on trzech zaufanych towarzyszy dla dokonania zamachu. Przynależ, że wyzyska swe stosunki z Armią Czerwoną, by postarać się o broń. Potem zamknął się z tą trójką w innym pokoju i wydał jej tajne instrukcje. O niczym więcej już mnie nie poinformowano...”

Tornujew odłożył kartkę na bok i popatrzył na mnie.

— Czy potwierdzacie zeznania Lessingowej, czy też życzycie sobie konfrontacji.

— Zaprzeczam zeznaniu i rezygnuję z konfrontacji.

— Dlaczego zaprzeczacie zeznaniu?

— Bo jest fałszywe, a także z innego jeszcze powodu.

— Z jakiego powodu?

— Wyrządziłbym wam złą usługę, gdybym je potwierdził.

— Mnie? Czyś ty oszalał?

— Obywatelu kapitanie, czy wiecie, kto to jest Maddalena?

— Jeden z was — sukinsynów z niemieckiej partii, którego tu nasłano, by zdradzał nasz kraj. Nie takich już zdemaskowaliśmy.

— Obywatelu kapitanie, towarzysz Maddalena był jednym z najlepszych towarzyszy w partii niemieckiej. Był posłem do niemieckiego Reichstagu. Po objęciu władzy przez Hitlera przybył do Moskwy i pracował w Kominternie. O ile pamiętam, był potem zastępcą przewodniczącego Międzynarodówki Zawodowej. Gdy zaszła konieczność wysyłania doświadczonych organizatorów na pomoc dla ciężko walczącej nielegalnej partii niemieckiej. Komintern upatrzył towarzysza Maddalenę. Maddalena był bardzo znany w Niemczech. Wiedział, na jakie niebezpieczeństwo się naraża. Poszedł jednak na wezwanie partii. Tuż po jego przybyciu do Niemiec gestapowcy rozpoznali go i aresztowali. Robotnicy całego świata demonstrowali i żądali jego uwolnienia. Prasa sowiecka całymi miesiącami drukowała olbrzymimi czcionkami: „Uwolnić Thälmana, Ossietzkiego i Maddalenę!“. Wszystko to nic nie pomogło, faszyci ścięli mu głowę*. Jeśli podpiszę ten protokół i kiedyś dojdzie on do Moskwy, co na to powiedzą? Partia i Komintern czczą Maddalenę jako męczennika niemieckiej klasy robotniczej, a NKWD w Charkowie piętnuje go jako trockistę-faszystę? Czy rozumiecie teraz, kapitanie Tornujew, dlaczego nie chcę podpisać tego protokołu?

Tornujew wstał. Po raz pierwszy widziałem, że ten flegmatyk stracił kontenans.

— Weissberg, być może, że w tym wypadku Lessingowa nałgała. Zbadamy tę sprawę. Możliwe, że to zeznanie przeciw Maddaleni stanowi ze strony Lessingowej akt kontrrewolucyjny, aby nas skierować na fałszywy ślad. Ale to nic nie zmienia twojej sytuacji. Musisz nareszcie złożyć zeznania. Przeciwno tobie jest

* Pomyłka! Jak mogłem stwierdzić w rok po moim uwolnieniu, Maddalena został skazany w czerwcu 1937 roku w Niemczech na dożywotnie więzienie. Dwóch współoskarżonych w tym samym procesie zostało straconych.

ponad dwudziestu świadków. Pora, żebyś skończył. Do czegoś musisz się przyznać.

— Nie mam się do czego przyznawać. Jestem niewinny.

— Weissberg, jak ty sobie to wyobrażasz? Czy NKWD zamyka kogoś, kto jest niewinny? Czy NKWD trzyma niewinnego przez siedem miesięcy w więzieniu? Kto ci w to uwierzy? Nabierz przecież rozumu. Dlaczego dwudziestu ludzi zeznaje, że jesteś kontrrewolucjonistą? Coś w tym przecież musi być. Coś musisz dać. Nie możesz przecież tłuć głową o ścianę. Jesteś po prostu błaznem, jeśli myślisz, że tak przebrniesz. Ale teraz szaleństwo twoje może mieć dla ciebie niebezpieczne następstwa. Od miesiąca urządza *nadzwyczajną Trojka*. Czy wiesz o tym?

— Nie wiem, co to znaczy.

— Jeśli się przyznasz, staniesz przed trybunałem wojskowym i złapiesz ewentualnie trzy lata. Jeśli będziesz dalej z nami walczył, będę musiał przekazać twoją sprawę *Trojce*. Może cię ona tylko albo uniewinnić, albo skazać na śmierć. Wobec obciążającego cię materiału nie może być mowy o uniewinnieniu. Zeznania dwudziestu świadków i pięć konfrontacji, to pewna śmierć.

— Czy rozprawę przeciwko mnie będzie *Trojka* prowadziła zaocznie?

— Naturalnie, *Trojka* jest sądem administracyjnym. Od jej decyzji nie ma apelacji, co najwyżej tylko łaskawienie przez Najwyższy Sowiet. Będziemy mogli jednak skierować wyżej twoje podanie o łaskę tylko w tym wypadku, jeśli się w nim przyznasz do winy i będziesz prosił o łaskę. Będziesz więc musiał po wyroku śmierci tak czy owak przyznać się do winy, jeśli będziesz chciał pozostać przy życiu. Lepiej przecież zrobić to od razu.

— Nie mam się do czego przyznawać.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Tak jest.

— W takim razie nic już ci pomóc nie mogę.

Kazał mnie wyprowadzić. Nigdy już więcej kapitana nie widziałem. Moje śledztwo zostało przerwane. Miało być wznowione dopiero po dwudziestu miesiącach w Kijowie.

SABAT CZAROWNIC

Część druga

WROGOWIE LUDU

Jesienią 1937 roku w Warszawie odbyła się. Nastąpił wyjazd obłęd. Prokuratorzy szli do sądu z listą na dzień 10, z godziną na godzinę stary nakaz w przesłaniu, nie używając nawet nazwisk oskarżonych. Władze wyczerpały z wszelkich możliwości rozum, i w końcu, w październiku, wysłały walczyć teraz fantastycznie spójny Z kapitałem i nauką, podług lepszej sprawy, braliśmy obłąkane oskarżenie. Przewidywać w tych protokołach przewidy i przydzielali im procesy oskarżenia okrzykiem kierowane jako w obłąkanym powołaniu. Oskarżeni nawet nie próbowali się bronić. Byli jakby odurzeni. Nie tylko obłąkane szlachy, wymagane rozumia, nie odbiła im pomysł pasjonatami szarymi. Fakt, że władzy behawioru nie narodził się do przesady, braliśmy ich szlachy i takimi ich fantazje. Szlachy było jak przed, tym lepiej. Władzy nie szlachy od ludzi w łowu są na głowie, wymagane najlepszych ludzi z armii, gospodarki, nauki, polityki i sztuki w postać katastrofy — miała to być druga nagroda doprowadzić do obłąkanej polityki dyktanda i jego szlachy polity. Nie obłąkano się już szlachy po przywołaniu się do szlachy na wrota, szlachy przeciw nie można rozstrzelać. Nie obłąkano się szlachy na przez przywołanie się do szlachy na mecie Hitlera. Hitler miał miliony szlachy w kraju — w szlachy w szlachy w szlachy NKWD. Praywudy szlachy, i szlachy szlachy szlachy szlachy szlachy szlachy kraj na mecie Gestapo — tego szlachy szlachy GPU. Najlepsze głowy w kraju, szlachy i szlachy, wyszli na dzień swe szlachy, aby doznać szlachy, kapitalizmu szlachy, w szlachy szlachy szlachy się i szlachy szlachy szlachy w powietrze — tego szlachy szlachy.

Case 4288

WROGOWIE LUDU

SABAT CZAROWNIC

Jesienią 1937 roku przysły wszystkie tamy. Nastąpił wyścig obłądu. Prokuratorzy republik sankcjonowali z dnia na dzień, ba, z godziny na godzinę stopy nakazów aresztowania, nie czytając nawet nazwisk oskarżonych. Czekiści, wyzwoleni z wszelkich hamulców rozumu, moralności i interesu narodowego, wynajdywali coraz fantastyczniejsze spiski. Z zapałem i troską, godną lepszej sprawy, budowali nielegalne organizacje. Przygotowywali w swych protokołach przewrót i przydzielali nie przeczuwającym niczego oskarżonym kierownicze role w zbrojnym powstaniu. Oskarżeni nawet nie próbowali się bronić. Byli jakby odurzeni. Nie tylko chętnie składali wymagane zeznania, ale ozdabiali je ponadto pasjonującymi szczegółami. Fakt, że wszyscy bohaterowie narodowi szli do więzień, uspakajał ich sumienie i uskrzydlał ich fantazję. Hasłem było „im gorzej, tym lepiej”. Wynajdywanie zbrodni od których włosy stają na głowie, wciąganie najlepszych ludzi z armii, gospodarki, nauki, polityki i techniki w powszechną katastrofę — może to była droga mająca doprowadzić *ad absurdum* politykę dyktatora i jego tajnej policji. Nie obawiano się już śmierci po przyznaniu się do zamachu na wodza, milionów przecież nie można rozstrzelać. Nie obawiano się pohańbienia przez przyznanie się do szpiegostwa na rzecz Hitlera. Hitler miał miliony szpiegów w kraju — a raczej w celach więziennych NKWD. Przywódcy narodu, bohaterowie rewolucji październikowej zdradzali kraj na rzecz Gestapo — tego sobie życzyło GPU. Najlepsze głowy w kraju, wynalazcy i odkrywcy, wysilali za dnia swe mózgi, aby dogonić technikę kapitalistycznej zagranicy, w nocy natomiast zakradali się i wysadzali swe laboratoria w powietrze — tego żądali czekici.

Czekiści mieli w tym czasie święte życie, podlegali jednak prawu konkurencji. Każdy śledził zazdrośnie „sprawy” kolegów i usiłował ich prześcignąć. Każdy oddział NKWD rywalizował ze wszystkimi innymi oddziałami. Każde miasto prowincjonalne — z Moskwą. Nie chodziło tylko o liczbę aresztowań, chodziło o jakość. Sędziowie śledczy, jeśli chcieli zrobić karierę, a co najmniej utrzymać swe stanowisko, musieli wykrywać coraz to niebezpieczniejsze spiski. W ich protokołach fabryki wylatywały w powietrze, płonęły magazyny zboża, wykolejały się pociągi, całe pułki Armii Czerwonej wymierały otrute — wszystko to nie wystarczało. Chciano czegoś więcej, silono się na oryginalność. Gorączkowo poszukiwano kontrrewolucyjnych faktów, lecz oskarżeni mogli podawać tylko zamierzenia, tylko spiski — żadnych powstań, tylko nakazy aktów terrorystycznych — żadnych prawdziwych składów broni, tylko wymaginowane — żadnej rzeczywistej broni, którą można by poczuć i wziąć do ręki. Te braki w zeznaniach miały swe wytłumaczenie nie w zatwardziałości oskarżonych, lecz w rzeczywistości sowieckiej roku 1937. Pomimo nienawiści do dyktatora, nie było w owym czasie żadnej nielegalnej organizacji w całym kraju. Nie było powstań, nie było tajnych składów broni, nie było zamachów na czołowe osobistości państwa. A ludzie z Politbiura nie zamierzali dać się wystrzelać tylko w tym celu, by dostarczyć NKWD rzeczywistego materiału.

Im mniej czynów kontrrewolucyjnych mogli wynaleźć czekisci, tym więcej wykrywali kontrrewolucyjnych zamierzeń. Każda wieś miała już szereg grup terrorystycznych, czyhających niezależnie od siebie na życie dyktatora, w każdym zakładzie przemysłowym siedzieli dywersanci, pragnący podminować siłownie. Wszyscy kolejarze-drogowcy w całym kraju nastawiali fałszywie zwrotnice, by spowodować wykolejenie się transportów wojskowych. Bakteriologowie szerzyli nowe choroby zakaźne. Dawni partyzanci z czasów wojny domowej zbierali się w lasach i chwyтали za broń. Politycy odstępowali części państwa wrogim mocarstwom. Mniejszości narodowe odrywały obszary swego osiedlenia od Związku i jednoczyły się z faszystowskimi macierzami, nawet jeśli były one oddalone o ponad 3.000 kilometrów — jak na przykład Niemcy hitlerowskie od republiki Niemców nadwołżańskich. Tak rysował się obraz Związku Sowieckiego w głowach czekistów, gdy rok 1937 dobiegał końca.

Nie wszyscy więźniowie ulegali psychozie. W celach siedzieli najlepsi patrioci kraju. Ludzie pięćdziesięcioletni, którzy niegdyś na swych barkach nieśli rewolucję i wojnę domową. Teraz patrzyli z głęboką troską na rozpadanie się ich dzieła w gruzy. Nie podzielali optymizmu młodszych, nie wierzyli, że czystka jest

sprzecznym z wolą wodza wybrykiem oszalałego aparatu. Nie oddawali się złudzeniom innych, jakoby rozpętany automatyzm zniszczenia miał unicestwić sam aparat zniszczenia. Czystka miała rzekomo sama sobie ostatecznie położyć kres. Ludzie ci stawiali opór do samego końca. Przeciwno nim kierował się bezlitosny terror gestapistów. Załamywali się fizycznie pod torturą. Niektórzy umierali bez słowa skargi.

W październiku siedział w „Brechałowce” stary przywódca partyzantów. Człowiek herkulesowej budowy. Walczył na Dalekim Wschodzie pod dowództwem Łaso przeciw Japończykom i przeciw białogwardyjskim generałom, Kołczakowi i Ungern-Sternbergowi. Teraz miał się przyznać do tego, że był szpiegiem japońskim, który wówczas wydawał wrogowi swych kolegów. Nie udało im się złamać jego oporu i odczuwali jego nienawiść. Po tygodniu przynieśli go nieprzytomnego do „Brechałowki”. Przywołany lekarz nakazał natychmiastowe odstawienie go do szpitala. Kolega opowiadał nam później o jego końcu. Lekarze i inni chorzy zapytywali go, co z nim zrobiono. Początkowo milczał, potem — już konając — opowiedział, że spadł ze schodów.

W owym czasie wiedzieliśmy w celach wszystko, co się działo na wolności. Izolacja została przełamana. Codziennie przybywały setki nowych. Byli oni żywą gazetą, ale przynosili nam więcej, niż by mogła przynieść poddana cenzurze gazeta. Przychodzili z kraju milczenia, tu w celi zaczynali mówić. Przychodzili z workami suszonego chleba. Czekali od miesięcy na chwilę aresztowania. Teraz, gdy chwila ta nadeszła, znikało napięcie, oddychali niemal z ulgą. Opowiadali nam, co się stało z partią. Sekretarz partyjny zapytywał każdego komunistę: Ilu wrogów ludu już zadadenuncjowałeś. Nie przyjmował tłumaczenia, że żadnego nie wykryto. Odpowiedź była stereotypowa: „Czy chcesz przez to powiedzieć, że w twym kręgu nie ma żadnych wrogów ludu, czy też nie obowiązuje cię stalinowskie hasło 'rewolucyjnej czujności'. Jeśli chcesz pozostać w partii, wydaj wrogów”. Kto trzymał się mocno, zostawał wykluczony, a to było zapowiedzią aresztowania. Najczęściej już tej samej nocy po wykluczeniu przychodzili do mieszkanka czekać.

Zacząto wtedy zachodzić w głowę: Jaki jest polityczny sens tego wszystkiego? Nie znajdowaliśmy wówczas żadnego wyjaśnienia. Wszystkim dzisiejszym teoriom zadawały kłam doświadczenia dnia następnego i co raz to szersze kręgi, jakie zataczała czystka. Jedno tylko było dla nas jasne: Bez względu na rzeczywiste zamysły dyktatora, bez względu na polityczny cel zamierzonej likwidacji, technika GPU osiągała coś wręcz odwrotnego. Najoczywiściej połączyła się tutaj obłąkana idea z obłąkaną lecz

konsekwentną techniką, a w konsekwencji zachwiały się fundamenty ludzkiego współzycia. Idei przewodniej jeszcze wówczas nie znaleźliśmy. Natomiast poznaliśmy obłąkaną technikę. Była to metoda WERBUNKU.

Opowiadają, że cesarz perski wezwał wynalazcę gry w szachy, by wyraził jakie zechce życzenie. Szach przyrzekł je wypełnić, nawet gdyby to kosztowało połowę jego państwa. Wynalazca był na pozór skromny: „Cesarzu, połóż mi jedno ziarno pszenicy na pierwsze pole szachownicy, na drugie pole — dwa ziarnka, na trzecie — cztery i tak dalej. Niech to będzie moją nagrodą”. Cesarza oburzyła bezpretensjonalność zasłużonego człowieka. Rozkazał dostarczyć pszenicę. Wkrótce jednak zrozumiał, że pałac jego nie wystarczyłby na pomieszczenie tej ilości pszenicy i gdy mędrcy zabrali się do obrachunku, ustalili, że zbiory całego tysiąclecia nie mogłyby wystarczyć, by wypełnić życzenie wynalazcy. Coś podobnego musiało zdarzyć się Stalinowi, gdy po trzech latach czystki zobaczył, do czego doprowadził. Wtedy zawrócił. Było za późno. Zwolnienie niewinnych było niebezpieczne. Pozostawienie ich w obozach przypieczętowało los rewolucji rosyjskiej.

Każdemu nowo aresztowanemu stawiano dwa kardynalne pytania: Kto cię zwerbował? Kogo zwerbowałeś? Początkowo przeczył on wszelkiej winie, po kilku dniach załamywał się pod torturą i wskazywał 5 do 10 współwinnych. Najpóźniej w miesiąc po zaarrestowaniu werbownika, przybywali ci zwerbowani do więzienia. Każdy z tych 5 wskazywał 5 nowych. Po dalszym miesiącu przybywała trzecia generacja, obejmująca już 25 spiskowców. Po pół roku potomkowie pierwszego spiskowca rozrastali się do armii 15.000 kontrrewolucjonistów, jeśli pominąć dziurę, wynikającą stąd, że rozliczni spiskowcy werbowali te same osoby.

Gdy w relacji mej później towarzysze celi posługiwać się będą słowami „werbownik” lub „zwerbowany”, nie należy nigdy tego rozumieć w tym sensie, że w rzeczywistości było coś na rzeczy. Gdy ktoś z nas mówił: Lebidiew „zwerbował” Kondraczenkę, znaczyło to tylko, że Lebidiew jest tak samo jak Kondraczenko wiernym sowieckim człowiekiem, który nigdy nie należał do żadnego ruchu kontrrewolucyjnego. Jednakże załamał się pod naciskiem tortur, po czym zeznał do protokołu: Byłem kontrrewolucjonistą i zwerbowałem Kondraczenkę do mej kontrrewolucyjnej organizacji. W żargonie naszym był zatem Lebidiew WERBOWNIKIEM, Kondraczenko — ZWERBOWANYM.

W więzieniach charkowskich mogliśmy za moich czasów śledzić ten proces werbunku tylko od dołu, nie od góry. Widzieliśmy rozgałęzienia drzewa, nie widzieliśmy jego pnia. Nigdy, albo

tylko w bardzo rzadkich wypadkach, mogliśmy ustalić początek łańcucha. Każdy, kto przybywał, był już zwerbowany, ale musieli przecież istnieć ludzie, którzy zapoczątkowali kolumnę. Gdzie pozostały pierwsze kamienie, których spadek wywołał całą lawinę? Tych wymaginyowanych przodków naszej organizacji nazywaliśmy „głównymi werbownikami”.

Masowe aresztowania rozpoczęły się późnym latem 1937 roku. Lecz główni werbownicy odeszli już w roku 1936. Groby ich już po raz drugi porastała trawa. Początkowo mieliśmy podstawę do przypuszczenia, że wszystkie nasze organizacje pochodziły od wielkich opozycjonistów, zlikwidowanych w procesach moskiewskich. Analiza dziejów setek śledztw mych towarzyszków dowiodła mi jednak, że tak nie było. Aż do wiosny 1937 roku GPU zabierało nie tylko zwerbowanych, wskazanych bezpośrednio lub pośrednio przez oskarżonych w wielkich procesach, ale także wszystkich innych, widniejących w teczkach GPU jako obciążeni z dawniejszych czasów. Odgrywali oni później również rolę głównych werbowników, to znaczy, stawali się przodkami kilku pokoleń po nich aresztowanych. Co prawda ludzie ci musieli szlusować do wielkich opozycjonistów z procesów moskiewskich. Musieli jednego z nich wybrać sobie jako „werbownika”.

Absorbowało mnie bardzo pytanie: Czy GPU aresztuje bez różnicy wszystkich zwerbowanych, a więc wszystkich, których inni określili jako współpiskowców. Otóż czyniło tak tylko początkowo. Później próbowało nadawać werbunkowi kierunek. Wiosną 1938 roku powstała sytuacja, w której wielka część ludności rosyjskiej figurowała w aktach GPU jako obciążona. Stosując zwykłą tabliczkę mnożenia można było wyliczyć, kiedy cały naród rosyjski zostanie zwerbowany. Czekaistów zdjęła trwoga przed własną odwagą, ale nie tak łatwo było im zawrócić. Niepodobieństwem byłoby nie aresztować człowieka, zadenuncjowanego jako agent hitlerowski lub terrorysta. Sędziowie śledczy wiedzieli naturalnie, że to wszystko są bzdury, ale nie mogli tego przyznać, nawet pomiędzy sobą. Czekaista, wyrażający wątpliwości, byłby natychmiast aresztowany. Musieli odgrywać komedię i to nie tylko przed więźniami, ale także sami przed sobą. Przypominali bardzo ludzi w bajce Andersena o „nowych szatach cesarza”. Cesarz był nagi, ale za głupca uchodził, kto nie widział na nim szat. Więźniowie byli niewinni, ale kto powątpiewał w ich winę, uchodził za „wroga ludu” i szedł na rozwałkę. Czekaści nie chcieli być rozstrzeliwani, toteż woleli wierzyć w winę oskarżonych.

Próbowali ograniczyć werbunek. Napotykali jednak w wielu wypadkach na opór oskarżonych. Latem 1938 roku oskarżonych

ogarnęła nadzieja, że im więcej zwerbują, tym szybciej zmora przeminie. Hasło: „Im gorzej, tym lepiej” znajdowało coraz więcej zwolenników. Wskazywali teraz już nie przyjaciół, nie tych wszystkich, którzy im byli bliscy ideologicznie, ale wskazywali wszystkich, których posądzali o to że są ortodoksyjnymi stalinozcami i zapewne tajnymi agentami GPU. GPU było często bezradne.

Wiosną 1938 roku aresztowano w Charkowie pewnego lekarza. Był on sekretarzem swoistej zawodowej organizacji charkowskich lekarzy. Człowiek ten posiadał nadzwyczajną pamięć i znał wszystkich lekarzy Charkowa z imienia i nazwiska. Dostał się do „Brechałowki” i przez kilka dni przyglądał się sabatowi czarownic. Potem powziął decyzję. Jednemu z mych towarzyszy celi, który w tym czasie codziennie chodził na przesłuchanie do „Brechałowki”, powiedział: Nawarzę im takiego piwa, że je długo będą musieli pić. Od razu na pierwszym przesłuchaniu przyznał się do winy. Na zapytanie sędziego śledczego, kogo zwerbował, powiedział:

— O, wielu.

— Wymieńcie wszystkich.

— Muszę ich sobie przypomnieć. Dajcie mi papier i ołówek. Spiszę wszystko w celi.

Dano mu papier i pozwolono wrócić do celi. Następnego dnia przyniósł spis. Spisał niemal wszystkich lekarzy charkowskich — było ich kilkuset. Sędzia śledczy wrzasnął na niego:

— Zwariowaliście. Przecież nie mogliście zwerbować wszystkich lekarzy charkowskich?

— A jednak to zrobiłem. Organizacja postawiła mi takie zadanie i pracowałem dniem i nocą nad jego wykonaniem. Nie sprawiało mi to trudności, gdyż byłem sekretarzem komisji medycznej.

— Nie będziecie przecież we mnie wmawiali, że wszyscy lekarze charkowscy są wrogami ludu.

— Lekarze charkowscy zawsze ulegali nastrojom antysowieckim. Częściowo pochodzą oni z dawnych klas, odnoszących się wrogo do rewolucji. Reszty dokonała moja propaganda.

Sędzia śledczy był w rozpacz. Naradził się z naczelnikiem. Następnego dnia wezwał go znowu.

— Spisz najważniejszych przywódców waszej organizacji. Trzech lub czterech.

— Wszyscy byli równie ważni.

— Nie gadaj głupstw. Przecież musiało istnieć jakieś kierownictwo organizacji.

— Ja byłem kierownikiem. Wszyscy inni byli równi. Roz-

dzielałem robotę kontrrewolucyjną w ten sposób, by nikt nie był przeciążony.

Sędzia śledczy chciał go zmusić do wyłuskania kilku osób jako szczególnie obciążonych. Więzień wzbraniał się uporczywie. Wtedy sędzia śledczy spisał protokół, w którym podał pięciu lekarzy jako członków organizacji i wręczył go więźniowi do podpisania. Odmówił podpisu. Nie bardzo można go było bić. Przecież nie negował swej winy, tyle że obciążał zbyt wielu innych. Sędzia śledczy nazwał go prowokatorem i zagroził mu represjami. Potem odesłał go z powrotem do „Brechałowki”. Niech sobie przemyśli całą sprawę. Po przybyciu do „Brechałowki” lekarz postarał się o papier i napisał do naczelnika charkowskiego GPU. Wyraził skruchę z powodu swych zbrodni przeciwko władzy sowieckiej i złożył szczerze przyznanie się do winy. Jednakże — twierdził — sędzia śledczy z pobudek jak się zdaje kontrrewolucyjnych usiłuje chronić pozostałych członków jego organizacji. GPU nie wiedziało, co ma z tym człowiekiem uczynić. Aresztowanie wszystkich zwerbowanych równałoby się оголоczeniu Charkowa i charkowskich szpitali z lekarzy. Na to nie mogli się zdobyć.

W kilka dni później dowiedzieliśmy się, że lekarza posłano do Moskwy. Początkowo uważałem tę historię za niewiarygodną, sam bowiem nigdy tego człowieka nie widziałem. Tym jednak, który nam tę historię przyniósł z „Brechałowki”, był stary socjalrewolucjonista, nazwiskiem Kuszarenko, którego znałem jako niezwykle przyzwoitego i godnego zaufania człowieka. Wkrótce i inni więźniowie potwierdzili jego opowiadanie. Człowiek, który przybył do naszej celi w dwa tygodnie później, siedział od początku w jednej celi z lekarzem. Opisał go nam. Przez cały czas siedział w kącie zatopiony w myślach. Potem opowiedział historię z czasów prześladowania czarownic w Niemczech. W pewnym małym miasteczku — o ile mnie pamięć nie myli, Würzburgu lub Bambergu — inkwizycja święciła prawdziwe orgie. Sabat czarownic dobiegł końca, gdy aresztowano pewnego młodego teologa. Nie negował on swego związku z diabłem, a jako współników grzechu podał wszystkich członków Wysokiej Komisji Duchownej, między innymi głównego inkwizytora w mieście. Nie można go było wziąć na męki, gdyż przyznał się. Sprawa przysłała przed arcybiskupa, który zdecydował się wtedy zabronić działalności inkwizycji w tym mieście. Mieszkańcy odetchnęli.

Znajomość historii średniowiecznej skłoniła tego człowieka do pójścia tą samą drogą, by doprowadzić rzecz do nonsensu. Ale GPU widocznie miało dłuższy dech niż inkwizycja.

Pod wielu względami wybryki wielkiej czystki przypominały procesy czarownic w średniowieczu. Wymuszone torturami zez-

nia były całkowicie wysane z palca. Sędziowie śledczy nie stawiali hamulców fantazji oskarżonych i pomagali im tylko w tych wypadkach, w których oskarżony był zbyt tępy lub zbyt nieświadomy, by mógł cokolwiek zmyślić, albo też w tych wypadkach, gdy zeznania członków jakiejś organizacji zanadto kłóciły się z sobą. Tylko w rzadkich wypadkach troszczyli się, czy zmyślenia oskarżonych mogą mieć jakikolwiek związek z rzeczywistością. Opiszę później taki wypadek: wypadek Kusznarenki i tajnego składu broni.

Istnieje wielu ludzi, skłonnych usprawiedliwiać wykroczenia wielkiej czystki. Sądzą oni, że Stalin i jego GPU zmuszeni byli wytepić bardzo potężną piątą kolumnę i że zrobili to może w sposób zbyt okrutny. „Ale, mój Boże — gdzie drwa rąbią, wióry lecą”. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że nie tylko poleciały wióry, ale i las. Mówią oni: „Nie możecie nam przecież wmówić, że miliony przyznają się do zbrodni, chociaż nikt nic nie przekrobał. Coś przecież musiało być na rzeczy”. Odpowiadałem najczęściej kontrpytaniem: „Czy wierzycie w czarownice? Nie? W takim razie przyjmijcie do wiadomości, że w ciągu trzech stuleci setki tysięcy kobiet przyznało się, iż były czarownicami i że za to spłonęły na stosie. Ich zeznania są dostępne dla każdego. Przechowuje się je jeszcze w wielu bibliotekach. Niewiele różnią się one od zeznań z czasów wielkiej czystki. Pomimo to, czarownice nigdy nie istniały. Tak samo jak i zbrodnie, do których przyznali się moi towarzysze”.

Każdy nowy dzień przynosił nam nowy materiał. My, starzy więźniowie, znaliśmy już tak dokładnie mechanizm śledztwa, że mogliśmy przepowiedzieć rozwój każdej nowej sprawy. Znaliśmy prawa, wedle których narastała ta mordercza lawina. Dowiadywaliśmy się codziennie o zniszczeniach, jakie pociągała za sobą w całym kraju. Ale nie znaliśmy motoru tego przerażającego mechanizmu. Zapytywaliśmy się raz po raz: jaka jest myśl przewodnia tego niszczycielskiego procesu. Czego chce Stalin? Jacy ludzie mają być zlikwidowani? Czy werbunek odbywa się wedle jakiegoś potajmnego planu? Czy sędzia śledczy żąda od więźniów, by wskazywali ludzi z określonych grup narodu? Niewątpliwie istniały i takie tendencje. Doszły one jednak do głosu dopiero w roku 1938. Do tego zaś czasu gepiści brali wszystko, co im pod rękę popadło. Kim byli główni werbownicy, aresztowani jeszcze w roku 1936 i których już nie było w więzieniach? Czy przynajmniej aresztowanie tych protoplastów wszystkich organizacji, zbudowanych później przez GPU, było aktem świadomym?

Jesienią 1937 roku nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi na te pytania. Dopiero w rok później, po aresztowaniu gepistów, roz-

jaśniły się mroki. W ciągu całego roku rejestrowałem wydarzenia, prowadziłem statystykę, obliczałem, jakie grupy ludności — jeśli chodzi o wiek, narodowość i klasę społeczną — były wśród więźniów najsilniej reprezentowane. Dyskutowałem z moimi towarzyszami najrozmaitsze możliwości interpretacyjne. Dopiero jesienią 1938 roku stworzyłem teorię.

Już wiosną 1937 roku towarzysze moi zaczęli ustalać liczbę aresztowań. Metoda była prosta. Każdy nowo aresztowany, przywożony do więzienia Chołodnaja Gora, miał przy sobie trochę pieniędzy i jakieś przedmioty, których nie wolno mu było zabrać ze sobą do celi. Na przykład szelki, szczyryk, grzebień metalowy i inne. Na wstępie musiał oddać te rzeczy w kancelarii więziennej i otrzymywał w zamian dwa pokwitowania, jedno na pieniądze, drugie na rzeczy. Pokwitowania te miały numery bieżące. Jeśli zatem dwaj więźniowie przybywali do naszej celi w odstępie miesiąca, mogliśmy wedle różnicy numerów ustalić, ilu ludzi w tym miesiącu zostało aresztowanych. Chołodnaja Gora była więzieniem centralnym dla Charkowa i okolicy. Znaczyło to, że wszyscy więźniowie — nawet jeśli ich śledztwo prowadzone było w więzieniach prowincjonalnych — wychodzili etapem z Chołodnoj Gory. Zatrzymywali się tutaj co najmniej przez jeden dzień. W tym więzieniu centralnym zestawiano transporty do dalekich obozów. Liczyliśmy aresztowanych i porównywaliśmy uzyskane liczby z ogółem ludności. Gdy w dniu 20 lutego 1939 roku opuszczałem Charków, było przez nas ustalone, że niemal 5,5 % ludności miasta i obwodu charkowskiego było w ciągu tych dwóch lat aresztowane.

Charków i okolica, to wcale duża jednostka statystyczna. Można więc było już z liczb aresztowanych w Charkowie wyciągnąć pewne wnioski co do ogólnej liczby aresztowanych. Ale nie poprzestaliśmy na tym.

Dowiedzieliśmy się od więźniów, przybywających z innych miast jako świadkowie, albo z obozów do śledztwa dodatkowego, że ta metoda obliczeniowa stosowana była we wszystkich więzieniach centralnych kraju. I wszędzie więźniowie dochodzili do niemal tego samego rezultatu. Wyniki wahały się pomiędzy 5,5 a 6 % ogółu ludności. Biorąc dla ostrożności niższą cyfrę, dochodzimy do 9 milionów aresztowań.

Od liczby tej należy odjąć około 2 miliony, przypadające na kryminalistów. Wiosną 1938 roku Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych, Jeżow, mógł stwierdzić z zadowoleniem, że udało mu się bez wielkich trudności dostarczyć odległym obozom miliony nowych robotników przymusowych. Lecz apetyt jego wzrósł. Dostarczanie dalszych milionów politycznych więźniów

było ryzykowne. Życiu gospodarczemu groziło wykrwawienie, gdyby mu zabrano jeszcze ostatki wykwalifikowanych sił. Jeżow wydał wtedy polecenie wyaresztowania wszystkich kryminalistów. Ci nowo aresztowani w swej większości byli zawodowymi przestępcami. Wielką część ich stanowili jednak ludzie, którzy kiedyś, może przed 20 laty, znaleźli się w konflikcie z prawem i których nazwiska były z tego powodu odnotowane w spisach milicyjnych. Spotkałem księgowego, który w roku 1923, a więc przed 15 laty, został skazany za brak nadzoru na jakąś drobną karę. Od tego czasu pracował sumiennie i wiernie. Teraz musiał iść razem z innymi do obozu, chociaż nie zarzucano mu niczego nowego.

Kryminaliści ci nie stawali przed żadnym sądem, a tylko przed komisją specjalną, która ich skazywała przeważnie *in contumaciam*. Niekiedy rozpatrywała ona po kilkaset spraw dziennie na podstawie list przedłożonych jej przez milicję. Potem wzywano kryminalistów przed *Trojkę* i ściągano z nich personalia. Jeśli personalia się zgadzały, komunikowano im wyrok. Werdykt brzmiał: trzy lub pięć lat obozu koncentracyjnego. Nigdy nie udało mi się stwierdzić, jakiego rodzaju ludzie otrzymywali niższy wymiar kary.

Komendanci milicji poszczególnych rejonów musieli co miesiąc dostarczać z góry określone kontyngenty kryminalistów. Moskwa wyznaczała plany stolicom obwodów — a te rozdzielały je na miasta rejonowe. Często jednak zdarzało się, że jakiś nieszczęsny komendant milicji nie mógł w swym rejonie znaleźć dość zbrodniarzy, aczkolwiek figurowali oni w spisach obwodowych. Przestępcy opuszczali bowiem pewne okolice, gdy przestały być opłacalnym terenem działalności. W takim wypadku komendanci milicji brali pod łada pozorem zupełnie niewinnych ludzi. Muszę tu przytoczyć taki wypadek.

Było to późnym latem 1938 roku, siedziałem z 130 ludźmi w zbiorowej celi. Długotrwały głód sprawił, że dostałem pewnego rodzaju szkorbutu, który doprowadził do choroby skórnej. Całe moje podbrzusze pokryte było bolesnymi wrzodami. Głódówką wymusiłem przeniesienie do szpitala. Lekarz mnie zbadał, przepisał maść i odesłał do izby, na której widok przeszły mnie ciarki. Cała podłoga pokryta była starymi workami, które lepiły się od brudu. Na workach tych leżały nagie postacie, wysmarowane tłustą szarą maścią. Nie chciałem się tam położyć i domagałem się lekarza. Był to człowiek dobrej woli. Uspokoił mnie, że wszystko tylko wygląda tak brudno, ale nie jest niebezpieczne. Brud, który widziałem, to szara maść, używana przez chorych. Worki były nią zupełnie przesycone. Dzięki maści jednak cały pokój był sterylizowany. Rzecz wyglądała co prawda odra-

zająco, ale była jakoby dobra dla mego zdrowia. Przyjąłem jego oświadczenie i rozebrałem się. Przy oknie stał Cygan z synem i płakał. W owym czasie okna naszych cel były już pozabijane blachą i nigdy nie mogliśmy oglądać nieba. Tu, w szpitalu, nie ruszono okien. Stałem także przy oknie i patrzyłem. Widać było wielkie, gęsto liśćmi pokryte drzewo. Widok ten radował me serce. Od roku nie widziałem jednego zielonego liścia. Cygan płakał. Zawiązała się rozmowa. — Czemu płaczesz? — Siedzę już dwa miesiące. — Ja siedzę już dwadzieścia miesięcy, a nie płaczę. — No tak, ale wy żyjecie zawsze w zamknięciu, a my jesteśmy przyzwyczajeni do wolności, my umiemy żyć tylko na wolności.

Wkrótce okazało się, co miał na myśli: my ludzie miejscy siedzimy zawsze w solidnych domach, jesteśmy tedy zawsze zamknięci, natomiast oni, Cyganie, dojrzewają pod otwartym niebem.

Poznałem jego dzieje.

On i jego najbliżsi byli „kopaczami”. Wędrowali razem ze swymi końmi, kobietami i dziećmi przez cały Związek Sowiecki, z zachodu na wschód i z południa na północ. Wszędzie, gdzie zaczynała się jakaś wielka budowa, robili postój. Pozostawiali na miejscu przez kilka tygodni wykonując roboty ziemne. Budowali fundamenty i równali teren. Mężczyźni kopali, kobiety wywoziły ziemię na małych taczkach. Przy większych odległościach posługiwali się końmi. Ich artel składał się z niespełna 25 mężczyzn i 50 kobiet i dzieci. Po ukończeniu robót inkasowali wynagrodzenie i wędrowali dalej. W żargonie sowieckim zwano ich „pracującymi Cyganami”.

Latem 1938 roku ukończyli pewną pracę na Krymie i skierowali się na północ. Wieczorem zatrzymali się w jakimś kołchozie w rejonie Militopolskim. Zapytali przewodniczącego kołchozu, czy mogą skorzystać z pastwiska. Pozwolił. Konie pały się, Cyganie tańczyli, młodzież z kołchozu przyszła i tańczyła razem z nimi. Potem Cyganki wróżyły chłopom z kart. Następnego ranka chcieli powędrować dalej. Wtedy zjawiała się milicja, wypręgåła im konie i zaarrestowała wszystkich mężczyzn.

— W Militopolu na milicji w ogóle nie chcieli z nami mówić — skarżył się Cygan — chcieli tylko wiedzieć jak się nazywamy i gdzie jesteśmy urodzeni. Byliśmy na tyle głupi, że im to powiedzieliśmy. Trzech z nas nie wiedziało, gdzie byli urodzeni. Tych puścili. Nie chciałem wyjść z pokoju, póki mi komendant nie powie, jakie właściwie przestępstwo popełniliśmy. Na to powiedział: 'Jesteście pasożytami, obrabowaliście własność kołchozną'. Przecież pracujemy tak samo ciężko jak ludzie w mieście albo

na wsi, a że wędrujemy, to nie zbrodnia, taki jest nasz zwyczaj. Ponadto, w naszym zawodzie nie możemy dostać w żadnym mieście roboty na stałe.

W tygodniu po aresztowaniu posłano Cyganów do Charkowa. Tam stanęli przed *Trojką*. Mój Cygan, nauczony doświadczeniem z Militopola, odmówił potwierdzenia swych personaliów, dopóki mu nie powiedzą, co zawinił. Wreszcie przewodniczący *Trojki* dał się nakłonić do przejrzenia aktów.

— Popełniliście przestępstwo w stosunku do własności społecznej. Wasze konie spasały trawę kołchozu.

— No tak, ale pytaliśmy przecież o pozwolenie i uzyskaliśmy je. Wszędzie, którędy przechodzimy, pozwalają nam paść nasze konie. Ludzie w kołchozie nie są tacy źli jak wy.

— Jesteście w ogóle obcym elementem. Wasze kobiety wróżyły przyszłość z kart.

I tutaj ten prosty człowiek dał sędziemu odpowiedź, na jaką my, intelektualiści, przez całe lata nie mogliśmy się zdecydować.

— Jeśli kobiety wróżyły z kart, to dlaczego aresztujecie nas, a nie kobiety? Gdzie jest napisane, że jesteśmy odpowiedzialni za kobiety?

W tych kilku słowach zaatakowana została zasada do głębi wroga wolności i wykluczająca wszelkie bezpieczeństwo prawne. Zasada odpowiedzialności zbiorowej.

Konstytucja i prawodawstwo Związku Sowieckiego na ogół nie znają tej zasady. Dopiero w roku 1938 została ona wprowadzona do legislatury rosyjskiej w jednym jedynym wypadku: ludzie sowieccy, uciekający za granicę, winni są zbrodni zdrady kraju, § 58, 1 B. Sankcją jest kara śmierci. W tym jednym jedynym wypadku prawo pociąga do współodpowiedzialności członków rodziny uciekiniera. Wedle § 58, 1 A, mogą być oni skazani na dziesięć do dwudziestu pięciu lat obozu koncentracyjnego. Poza tym nie ma żadnego innego prawa w Związku Sowieckim, które by znało pojęcie odpowiedzialności zbiorowej. Formalne zastosowanie tej zasady jest w kodeksie karnym też bardzo ograniczone. W praktyce jednak przenika ona całe życie sowieckie. Ta sprzeczna z prawem zasada panowała już w latach rewolucji i wojny domowej — nie była ona wynalazkiem epoki stalinowskiej — wtedy jednak ograniczała się do postawienia poza prawem członków rodzin obszarników i kapitalistów. Rewolucja francuska nie inaczej postępowała z obaloną arystokracją. Pod panowaniem Stalina zasada ta zmieniała swoją funkcję. Teraz każda jednostka ludzka, robotnik, chłop czy inteligent, bezpartyjny czy komunistą, odpowiedzialny był za wszystko, co działo się w jego otoczeniu. Obecnie hasło partyjne zobowiązywało każdego

sowieckiego człowieka do rewolucyjnej czujności. To znaczy — w przekładzie na język prostego człowieka — do denuncjowania wszystkich żyjących w jego otoczeniu i będących „wrogami ludu”. „Wrogiem ludu” był każdy, o kim przypuszczano, że w głębi serca nastawiony jest wrogo w stosunku do dyktatora. Otoczeniem, za które ponosiło się odpowiedzialność, nie była już klasa społeczna albo wspólnota rodzinna, lecz miejsce pracy i krąg przyjaciół. Jeśli w jakiejś fabryce aresztowano większą liczbę inżynierów jako „wrogów ludu”, to wykluczano z partii sekretarza partyjnego i dyrektora fabryki. W latach 1937 i 1938 zamykano ich tej samej nocy po wykluczeniu.

My, komuniści, nie przeciwstawialiśmy się nigdy tej zasadzie. Uznawaliśmy ją za niezbędną dla obrony rewolucji. Stała się ona dla nas tak dalece sama przez się zrozumiała, że nawet w więzieniu GPU nie krytykowałem jej nigdy. Dopiero opowiadanie Cygana wstrząsnęło mną i zmusiło do rewizji moich poglądów.

Cyganowi nie pomogły protesty. Dostał pięć lat, jego 16-letni syn trzy lata.

Opisałem ten wypadek tak szczegółowo, by pokazać, jak pod ciosami czystki załamywał się respekt dla praw człowieka nawet tam, gdzie nie wchodziły w grę żadne motywy polityczne.

Większość kryminalistów, objętych akcją Jeżowa, składała się jednakże z prawdziwych, zawodowych przestępców. Wielu z nich dopiero co powróciło z obozów na północy, po odpokutowaniu długoletnich kar. Zostali wzięci i odtransportowani z powrotem do obozu, zanim jeszcze zdążyli przeskrobać coś nowego. Być może, była to jedyna celowa metoda wzięcia w karby rozpowszechnionej przestępczości. Jednakże moje poczucie prawa oburzało się.

W Chołodnej Gorze mogliśmy ustalić procent kryminalistów zupełnie dokładnie. Nigdy nie przekraczał on 15 do 20 procent ogólnej liczby więźniów.

Opisana powyżej metoda ustalenia liczby aresztowań nie była jedyna. Wiedzieliśmy ilu ludzi w różnych okresach siedziało jednocześnie w więzieniu. Dowiadaliśmy się od pracujących w kuchni kryminalistów, ile krojono porcji chleba. Ludzie, idący do „Brechałowki”, dowiadawali się tam o zaludnieniu niemal każdej celi i każdego bloku więziennego. Zналиśmy też przeciętne trwanie życia więźniów na Chołodnej Gorze. Rozumiem przez to czas, który więźniowie przeciętnie odsiadawali, zanim odchodzili etapem. Z danych tych dedukowaliśmy liczbę więźniów, którzy każdego miesiąca przechodzili przez Charków w drodze do obozów. Dochodziliśmy do tego samego odsetka.

Już sam fakt, że ten sposób obliczania — praktykowany

w różnych częściach kraju — prowadził do tego samego rezultatu, stanowi w dużym stopniu potwierdzenie użyteczności metody i poprawności końcowej cyfry. Nasze liczby poświadczyli enkawudyści, przybywający latem 1938 roku w coraz to większej liczbie do cel jako więźniowie.

Zarząd obozów koncentracyjnych podlegał specjalnemu oddziałowi NKWD, tak zwanemu GUŁAG'owi. Latem i jesienią 1938 roku aresztowanych zostało także wielu czołowych ludzi tej organizacji. Podawali oni nieco wyższe liczby. Transporty etapowe z całego kraju spotykały się w kilku punktach centralnych (Syzrań, Kotłas...). Tam segregowano więźniów i stamtąd rozdzielano ich na różne obozy koncentracyjne. Zatrudnieni tam urzędnicy GUŁAG'u mieli dokładny obraz tych ruchów. Spotkałem w Kijowie i w Moskwie kilku towarzyszy, którzy siedzieli z takimi GUŁAG'owcami. Ich oceny przekraczały nasze obliczenia o 10 do 15 procent. Z ostrożności jednak przytoczę tylko liczby niższe.

Jeśli od uzyskanych z rachunku dziewięciu milionów więźniów odejmiemy dwa miliony kryminalistów, otrzymamy za lata 1937 i 1938 liczbę siedmiu milionów aresztowanych. Do tego szacunkowo należy dodać milion, pochodzący z roku 1936. (Dla ustalenia liczb za lata 1936 i 1935 brak mi jakichkolwiek elementów. Jestem tu zdany tylko na wypowiedzi enkawudystów). Po 1 stycznia 1939 nie aresztowano już chyba nikogo. W roku tym zwolniono nawet ponad 100.000.

Nasz sposób obliczania należy nieco skorygować, uwzględniając okoliczność następującą: Czasami ten sam więzień przybywał do Chołodnej Gory dwukrotnie. Pojawiał się przeto dwukrotnie w naszej statystyce. Zdarzało się, że więźniowie szli z Chołodnej Gory do więzienia wewnętrznego na wznowienie śledztwa i po jego zamknięciu wracali do więzienia centralnego. Zdarzało się też, że przybywali do nas więźniowie z więzień centralnych innych obwodów, którzy byli tam już wedle naszej metody obliczania uwzględnieni, wreszcie zdarzało się, że więźniowie zostali wypuszczeni na wolność i po kilku tygodniach lub miesiącach po raz drugi aresztowani. Jednakże niecodzowne poprawki są nieznaczne. Równoważy je fakt, że w Charkowie i w innych stolicach obwodów istniały więzienia specjalne, skąd ludzie szli wprost etapem. Były to podlegające specjalnemu regulaminowi więzienia NKWD dla robotników i urzędników kolejowych.

Po uwzględnieniu wszystkich tych okoliczności dochodzę do liczby co najmniej ośmiu milionów więźniów politycznych z czasów wielkiej czystki. Inni autorzy uważają mój szacunek za zbyt niski. Wolę być ostrożny.

Gdy w dniu 1 stycznia 1940 roku opuszczałem Rosję, osiem milionów moich towarzyszyw pozostawało w obozach. Między nimi nie było ani jednego, który usiłował obalić reżym. W kraju pozostawały dalsze 152 miliony, które w głębi serca tak samo nienawidziły dyktatora, jak owych osiem milionów za drutem kolczastym. Przedtem nie było w Rosji piątej kolumny. W toku tej ogromnej czystki, w ciągu niemal trzech lat udało się GPU przygotować grunt dla piątej kolumny, obejmującej niemal cały kraj. Nie udało się Stalinowi osiągnąć tego przedtem ani nie-szczęsną kolektywizacją, która wpędziła jedenaście milionów chłopów do grobu, ani polityką Kominternu, która wydała robotników niemieckich na łup faszyzmu, a tym samym Europę na łup drugiej wojny światowej. Masy ludowe Związku Sowieckiego zerwały z reżymem dopiero pod wrażeniem dwóch wydarzeń: procesów moskiewskich i wielkiej czystki.

WROGOWIE LUDU

Z końcem pierwszego tygodnia października powróciłem z „Brechałowki” na Chołodną Gorę. Miałem wrażenie, że moje śledztwo jest chwilowo zamknięte. W sierpniu byłem bardzo zdeprimowany. Obawiałem się, że skazą mnie administracyjnie lub sądownie na śmierć. Mieli przecież moje przyznanie się z lipca i mogli po prostu wrzucić do kosza wszystkie odwołania. Jeszcze w sierpniu uważałem, że takie przyznanie się jak moje — zamach terrorystyczny na Stalina i Woroszyłowa — jest czymś niezwykłym. Minione dwa miesiące wyprowadziły mnie z błędu. Dziesiątki tysięcy przyznały się do znacznie gorszych rzeczy i — co ważniejsze — nigdy ich nie odwołały. Fakt, że po mym przyznaniu się podjęto jeszcze raz śledztwo, uspokoił mnie. W ciągu minionych trzech miesięcy często udawało mi się zdobyć kawałek papieru i wysłać list do prokuratury lub do Komitetu Centralnego partii. Dwa ostatnie listy skierowałem wprost do Stalina. W listach tych odwoływałem swe przyznanie się i opisywałem nacisk fizyczny, któremu byłem poddany. Coś z tego wszystkiego musiało dostać się do mych aktów. Cudzoziemca w drodze administracyjnej nie rozstrzelają. Przestałem się obawiać, że dostanę się przed *Trojkę*.

Muszę tu opisać incydent, którego już nie potrafię dokładnie umiejscowić w czasie, który jednak musiał przypaść na późne lato roku 1937. Po mych nieustannych domaganiach się prokuratora wezwał mnie pewnego wieczora Tornujew.

— Chcieliście mówić z prokuratorem. Będzie tu wkrótce i przesłucha was. Zaczekajcie za drzwiami.

Przez kilka minut siedziałem w przedpokoju. Potem przy-

szedł ktoś — w białym nieznanym mi mundurze — a za nim cała gromada sędziów śledczych. Znikli w pokoju naczelnika. Później wprowadzono mnie. Ten w białym mundurze siedział na prawo od Tornujewa, przy innym biurku.

— Jestem prokuratorem — zaczął. — Czego chcecie ode mnie?

— Pisałem do was o tym. Zmuszono mnie środkami nacisku fizycznego do fałszywych zeznań. Jestem zupełnie niewinny, nie mogłem już jednak dłużej wysiedzieć bez snu na stołku.

— Nie szkalujcie organów państwowych. Znam waszą sprawę bardzo dokładnie. Mało jest oskarżonych, bardziej od was winnych. Tylko pobłażliwości NKWD zawdzięczacie, że jeszcze żyjecie. Osobiście już w lipcu proponowałem postawienie was przed trybunałem wojskowym.

Byłem zdezorientowany. Więc to miał być człowiek, od którego oczekiwałem pomocy? Przerwał nam Tornujew:

— Towarzyszu prokuratorze, chciałem wam dzisiaj posłać dwadzieścia nakazów aresztowania do zatwierdzenia. Skoro jednak jesteście już tutaj, moglibyście je przecież po prostu od razu zabrać z sobą.

Podał mi plik papierów. Prokurator przyrzekł rozpatrzyć je do dnia następnego.

W tym momencie odwróciłem się na chwilę i spostrzegłem, jak otaczający nas półkołem sędziowie śledczy uśmiechali się z zadowoleniem. Tornujew wysiłał się nawet, by stłumić śmiech. Zdumiałem się. Potem błyskawicznie pomyślałem:

Wszystko to jest komedią. Dlaczego Tornujew mówi z prokuratorem o nakazach aresztowania akurat w mej obecności? Był z nim przecież uprzednio sam w pokoju. Enkawudyści zazwyczaj wystrzegają się omawiania spraw urzędowych w obecności więźniów. Musi to być fałszywy prokurator, którym Tornujew posługuje się, by złamać mą wole walki.

Z górą w rok później otrzymałem potwierdzenie mego podejrzenia. Jeden z sędziów śledczych, obecnych w pokoju, znalazł się jesienią 1938 roku w sąsiedniej celi i tam naśmiewał się z historii Weissberga i fałszywego prokuratora. Przekazano mi ją pukaniem.

Gdy z początkiem października powróciłem z „Brechałowki” do mej celi, zastałem tam ciągle większość chłopów. Przybyło kilku nowych ludzi z miasta. Witano mnie bardzo serdecznie, jak syna powracającego do rodziny. Przedstawiono mi nowych.

Oto był Komarowski, mądry i spokojny człowiek. Komunista i wysoki dygnitarz partyjny. Przyglądał się wszystkiemu ze smutkiem. Już dawno wyzbył się wszelkich złudzeń. Pozostał na

swym posterunku w nadziei, że kiedyś będzie jednak lepiej. Ludzie tacy po prostu nie mieli możliwości wycofania się. Wystąpienie z partii uchodziło za kontrrewolucyjną demonstrację. Oznaczało pewne aresztowanie. Zamknięte było też inne wyjście — na pozór niedobrowolne wykluczenie z partii za opieszałość i zaniedbywanie się w pracy. Od lata 1937 roku bezzwłocznie aresztowano każdego wykluczonego. Nawet ludzie, wykluczeni przed wielu laty, ulegali teraz likwidacji.

Komarowski był małomówny. Zgryzota zżerała mu serce. Nie otrzymywał z domu ani bielizny ani pieniędzy. Czyżby żona jego też została aresztowana? Lecz w takim razie jakiś krewny zatroszczyłby się o nich oboje. Nie, jego gryzła obawa o coś innego. Może żona wyparła się go publicznie. Wiele kobiet postępowało w ten sposób natychmiast po aresztowaniu mężów, aby nie dzielić ich losu.

Makedon kłął:

— Komarowski, nie martw się o tę dziewczkę. Jeśli cię puszcza kantem teraz, gdy wpadłeś w gówno, to warta jest tego, by jej dać kopniaka w tyłek.

Komarowski milczał. Później powiedział mi na osobności:

— Ona nie jest dziewczką. Ale co miała robić? Jest też komunistką i członkinią miejskiego komitetu partyjnego. Na pewno żądano od niej deklaracji. Czy miała odmówić? Zostałaby wykluczona i następnego dnia aresztowana. Kto troszczyłby się potem o dzieci? Więc uległa i napisała w gazecie, że wyrzeka się mnie, „wroga ludu”, że przeklina godzinę, w której mnie poznała i podobne rzeczy, jakie się czyta codziennie w gazetach. Przez osiemnaście lat byliśmy razem. Była w mej grupie partyzanckiej, gdy walczyliśmy przeciw Petlurze. Była wtedy szesnastoletnią dziewczyną. Ranna podczas ataku, pozostała na miejscu. W nocy wbrew rozkazowi przekradłem się do niej i niosłem ją dwa kilometry z powrotem do naszych. Potem wzięliśmy ślub. Nigdy nie kłóciliśmy się. A teraz — po wszystkim.

Nie łatwo było go pocieszyć. To publiczne wypieranie się najbliższych osób było wstydem i hańbą. Wiele kobiet wyklinało mężów i przyrzekało publicznie, że ze zdwojoną gorliwością pracować będą na rzecz budownictwa socjalistycznego, by odpokutować zbrodnie swych mężów, tych wrogów ludu, tych obcych szpiegów. Więźniowie bardzo cierpieli z tego powodu. Niektórzy szli po rozum do głowy. Gdy tylko dochodziła do nich wiadomość o wyparciu się przez żony, obejmowali je werbunkiem. Następnego dnia hipergorliwa baba szła za kratę i uzyskiwała w obozie koncentracyjnym sposobność dalszej działalności „z podwójną gorliwością” na rzecz budownictwa socjalistycznego.

Wreszcie takie oświadczenia ustały. Myślę, że organizacje partyjne otrzymały z góry dyrektywę, by zaniechać agitacji w tym kierunku.

Innym „wrogiem ludu” był Kaganowicz. Był to ukraiński Żyd wiejski. Przed rewolucją ludzie tacy bywali woźnicami lub karczmarzami. Rosły i przysadzistej budowy, o tatarskiej okrągłej czaszce na potężnych barkach, był najłagodniejszym i najweselszym kolegą, jakiego sobie można było wyobrazić. Podczas mej nieobecności wybrano go starostą celi. W celi było już tylu ludzi, że ktoś musiał pilnować ładu i dyscypliny. Kaganowicz potrafił kląć jak szewc albo jak sędzia śledczy, zawsze jednak tylko ze złości, gdy coś było nie w porządku. Nigdy nie obrażał swych współwięźniów. Chłopi go uwielbiali. Uważali go za swojego. Rozmawiał z nimi w ich mowie macierzystej, niesfałszowanym wiejskim językiem ukraińskim. Nawet Makedon, wszystkich poza tym terroryzujący, żywił dla niego szacunek. W Galicji wschodniej często spotykałem żydowskich karczmarzy wiejskich, podobnych w typie do Kaganowicza. Był to przede wszystkim dobry gospodarz — *chaziain*, jak mówią Rosjanie. Był komunistą od czasu wojny domowej, partia posługiwała się nim na różnych stanowiskach, zawsze jednak na wsi. Znał duszę chłopaka ukraińskiego lepiej niż własną kieszeń. Opowiadał często o kolektywizacji i o wielkim głodzie lat 1931 do 1933. Nie nabierał wody do ust i opisywał nam dokładnie, jak ówczesna obłądna polityka partii zrujnowała kraj. Interesowałem się tymi zagadnieniami jeszcze wtedy, gdy byłem na wolności. Tu, w celi, zapoznałem się ze wszystkimi stronami życia wsi sowieckiej. Rozmowy o forsownej kolektywizacji nie kończyły się. Wszyscy więźniowie byli przekonani, że nieszczęście wielkiej czystki było prawowitym dzieckiem nieszczęsnej kolektywizacji.

Kaganowicz był ostatnio kierownikiem politoddziału Stacji Maszynowo-Traktorowej. Politoddziały przy Stacjach Maszynowo-Traktorowych powołał do życia Komitet Centralny z końcem 1932 roku, gdy na wsi wszystko schodziło na psy. Dziesięć milionów chłopów pomarło już z głodu. Żniwa spadły do trzeciej części normalnych plonów. Nie było już chleba. Nie było ziarna na zasiewy. Chłopi z głodu stracili zupełnie siły, opuchli, niezdolni byli do nowych zasiewów — bez uprzedniego odjedzenia się. W każdej chałupie leżał co najmniej jeden trup. Nie było już komu grzebać zmarłych z głodu. I wreszcie, na pięć minut przed dwunastą (a raczej w pięć minut po 12) dał Stalin sygnał odwrotu. Śpichlerze Armii Czerwonej otworzy swe wrota, dano chłopom zboże na zasiew i dokładnie tyle żywności, by mogli zwlec się do roboty. Zniesiono podatek w naturze i w miejsce

dotychczasowego podatku dochodowego wprowadzono podatek gruntowy, w zależności od powierzchni. Podatek w naturze (*chlebozagotowka*) wydawał chłopów i ich bezbronne kolektywy na łaskę i niełaskę państwowych komisji rekwizycyjnych. Jeśli dobrze pracowali i jeśli żniwa były dobre, zabierano im po prostu wszystko, z wyjątkiem małej reszty, wystarczającej od biedy na pokrycie ich własnych potrzeb — a od roku 1931 nawet na to nie wystarczającej. Poborcy nie byli sadystami, byli jednak w położeniu przymusowym. Dostawali z góry sztywny plan i musieli wydobyć z określonego terenu określoną ilość pudów. Kolektyw dobrze pracujący musiał zatem pokrywać deficyty swych leniwych sąsiadów. Do tego doszła z początkiem kolektywizacji niemożność dokonania ilościowego i jakościowego szacunku świadczeń w pracy poszczególnych chłopów i odpowiedniego ich wynagrodzenia. Powstała sytuacja, w której chłop jako jednostki i kolektywy jako całość straciły poczucie, że ich wynagrodzenie zależy od ich pracowitości. Zatracił się prosty związek między pracą a zarobkiem. W pierwszych latach kolektywizacji chłop pracowity dostawał ze zbiorów to samo co jego leniwy sąsiad. Pracowity kolektyw zatrzymywał z owoców swej pracy nie więcej niż inne kolektywy. Od roku 1930 umocniło się przeto wśród chłopów przekonanie, że nie ma sensu pracować. Tak czy owak zabierają im przecież wszystko. Do wielkiego głodu doprowadziły nie zniszczenia w początkowym okresie kolektywizacji, wyrzwanie bydła i tak dalej, lecz systematyczne szkody, powodowane podatkiem w naturze. Wieś po prostu przestała pracować. Pola rosyjskie porastały chwastami.

Z początkiem roku 1933 Stalin proklamował odwrót: znosi się podatek w naturze. Każdy kolektyw ma świadczyć stały podatek w wysokości około dwóch cetnarów z hektara. Sprawa była teraz jasna. Kolektyw, zbierający dziesięć cetnarów musiał oddawać 20 % swych zbiorów, co było stosunkowo znośne. Inny, który pracował źle i zebrał tylko cztery cetnary, tracił na rzecz państwa 50 % swych zbiorów. Warto było teraz znowu pracować.

Ale czy chłopci uwierzą nowym przyrzeczeniom partii? Tak często ich oszukiwano. Stracili wszelkie zaufanie do władzy państwowej. Władza państwowa była w ich oczach gnębicielem. Stalin o tym wiedział. Wiedział także, że kraj po prostu nie może sobie pozwolić na nowy nieurodzaj. Dziesięć milionów chłopów zmarło już z głodu. Brakowało już nawet żelaznego zapasu na zasiewy, brakowało nędznego wyżywienia, by utrzymać pracujących chłopów przy siłach. Stalin niezależnie od otwarcia śpichlerzy Armii Czerwonej polecił zakupić na giełdzie zbożowej w Baltimore wielkie ilości zboża. Zmobilizowano aparat partyj-

ny całego kraju, aby wyjaśnić wsi znaczenie zwrotu w polityce rolnej.

Stworzono wtedy nowy organ partyjny na wsi: politoddziały przy Stacjach Maszynowo-Traktorowych. Ich kierownicy otrzymali pełnomocnictwa dyktatorskie. Wszystkie organy partyjne na wsi podporządkowane zostały ich rozkazom. Od pracy tych ludzi zależał w owych krytycznych dniach los kraju. Kaganowicz był jednym z nich. Niestrudzenie pracował nad tym, by w zrozpaczonych chłopów tchnąć nową nadzieję. Udało mu się. I udało się partii w całym kraju. Chłopi zaczęli wierzyć i zaczęli znowu pracować. Żniwa roku 1933 były najlepsze od dziesiątków lat.

Za swą niestrudzoną pracę w owym czasie Kaganowicz otrzymał order Czerwonego Sztandaru Pracy. W cztery lata później zapomniano o jego zasługach. Odkryto obecnie, że wówczas właściwie uprawiał sabotaż. Unieruchamiał traktory w ten sposób, że zamawiał niewłaściwe części zapasowe. Gdy doszło do zasiewów, brakowało odpowiednich części i traktory stały bezczynne. Poza tym już z początkiem kolektywizacji namawiał kułaków do wytrucia bydła. Niestrudzenie agitował na wsi przeciwko polityce partii.

Kaganowicz podpisał się pod sprawą traktorów. Poza tym przyznał, że z pobudek kontrrewolucyjnych agitował przeciwko stalinowskiej polityce na wsi. Natomiast energicznie odrzucił zastruwanie bydła. Kochał bardzo bydło — a zwłaszcza konie — i dlatego nie chciał się przyznać do haniebnego czynu. Sędzia śledczy uderzył go w twarz. I wtedy zazwyczaj łagodny lecz silny jak niedźwiedź Kaganowicz przyjął tak groźną postawę, że czekista po prostu się przeraził. Poprzestał na fałszywych traktorach i na agitacji kontrrewolucyjnej. Kaganowicz zamknął na tym śledztwo i poszedł później razem z chłopami etapem.

W połowie października przyszedł do celi zupełnie inny typ wroga ludu. Właściwie nie przyszedł, lecz wsunął się. Nazywał się Gewondi i był perskim Armeńczykiem. W rzeczywistości nazywał się on Gewondian, ale carski urzędnik policyjny na granicy perskiej, który spisywał jego personalia, był widocznie zbyt leniwy, by dopisać jego nazwisko do końca. I tak już pozostało.

Wszystko w Gewondim było krzywe: nogi, ramiona, nos. Mrugał nieustannie małymi, błyszczącymi oczkami. W podnieceniu mógł chwycić za nóż. Poza tym — przyzwoity kolega. Był to w naszej celi pierwszy wróg ludu z grupy mniejszości narodowych. Już we wrześniu rozeszła się wiadomość, że aresztują Łotyszów,

potem Armeńczyków. Nie mogliśmy zrozumieć, co to znaczy. Uważaliśmy za wykluczone, by GPU jako powód do represji brało kryterium tak nieistotne dla politycznego sposobu myślenia, jak czyjaś przynależność narodowościowa. Musieliśmy jednak stwierdzić, że pewnego określonego dnia wszyscy nowo dostawieni więźniowie byli narodowości łotewskiej. Innego dnia — armeńskiej. Chodziło w obu wypadkach o setki ludzi. W wielkim napięciu czekaliśmy na wyjaśnienie, co też nowego NKWD wysmażyło.

Gewondian był szewcem. Inni aresztowani Armeńczycy, z wyjątkiem trzech, również byli szwaczami lub czyścicielami butów. Wszyscy zresztą czyściciele butów w Związku Sowieckim byli Armeńczykami lub Azerbejdżaninami. Poza tym handlowali złotem. Na czarnym rynku w miastach rosyjskich niemal nie spotykano już w owym czasie Żydów, a tylko chłopów i ludzi Wschodu. Początkowo sądziliśmy przeto, że biorą Armeńczyków celem zlikwidowania czarnego rynku. Jak jednak w takim razie wyjaśnić aresztowanie Łotyszów, którzy należeli do najlepszych elementów społeczeństwa sowieckiego i dali Armii Czerwonej bardzo wielu świetnych oficerów?

Byliśmy więc bardzo ciekawi pierwszego Armeńczyka. Gewondian opowiadał:

— W lipcu zamknęli naszego księdza. Od tego się zaczęło. Jest nas w Charkowie sześciuset. Znamy się między sobą wszyscy. Mamy nasz własny kościół i własny klub. Ksiądz jest dla nas wszystkim. Gdy mamy między sobą zatargi, nie idziemy nigdy do sądu. Ksiądz rozstrzyga wszystko i tak jest dobrze. To dobry człowiek. Z początkiem września przyszli i zaaresztowali jednej nocy około 350 ludzi, a przed dwoma tygodniami — resztę.

Wszyscy ci ludzie poszli wprost z ulicy do „Brechałowki”, ja także. Widzieliśmy, co się tam dzieje i postanowiliśmy nie czekać, aż nam kości połamią. Chcieliśmy wydać złoto dobrowolnie.

— Co za złoto? — zapytał Makedon z ciekawością.

— Jesteśmy u nich nie po raz pierwszy. Już nas raz wzięli w roku 1930. Potrzebne im było wtedy złoto na zapłacenie maszyn, zakupionych w Ameryce. Złota zażądali od nas — jak gdybyśmy to my zamawiali maszyny. Ale z naszym bratem nie tak łatwo. Tylko pierwsi wpadli. Inni zostali ostrzeżeni i pochowali złoto w wielu miejscach.

Wmieształ się Komarowski:

— Nic nie rozumiem. Mów wyraźnie, o co chodzi.

Komarowski był wysokim funkcjonariuszem partyjnym, ale ta strona życia sowieckiego uszła jego uwagi. Także i mojej. Armeńscy czyściciele butów należeli w społeczeństwie sowieckim

do podziemnego świata. Ta sfera wymykała się spod naszych oczu.

Gewondian nie dał się prosić i opowiadał dokładnie. Opowiadał w ogóle dobrze i chętnie. Później rozweselił nam niejednego długiego wieczór perskimi i arabskimi bajkami. Gdy tak sobie siedział na skrzyżowanych nogach, z głową pochyloną nieco w lewo, rytmicznie kołysząc całe ciało i gdy mówił o kalifach i ich kochankach, zapominaliśmy o naszych troskach i wydawało nam się, że jesteśmy na targu w Bagdadzie.

— W roku 1930 zabrali nas po raz pierwszy. Zamknęli nas, dwustu ludzi, w niewielkim pokoju. Mogliśmy tam tylko stać i to ściśnięci jak śledzie. Było nieludzko gorąco. Mieliśmy stać tak długo, aż wydamy złoto. Niektórzy stali przez cztery dni. Byli to ci, co wszystko zakopali w jednym miejscu. Kto wydał schowek, tego natychmiast wypuszczano. Ode mnie otrzymali niewiele. Cztery sztuki złota. Inne były w bezpiecznym schowku.

— A jak teraz było z waszymi ludźmi?

— Teraz NKWD zwariowało. Nie chcą w ogóle złota.

— Co to znaczy? Czego chcą od was?

— Powiadają, że jesteśmy dasznakami. Nasi ludzie nie wiedzą, co to jest. Przysięgam wam, że dowiedzieliśmy się o tym dopiero od księdza.

— Opowiadaj rozumnie i po kolei. — Komarowski prowadził przesłuchanie.

Gewondian ubił swój węzełek i usiadł na podłodze.

— Więc to było tak, jak powiedziałem. Przyszliśmy do „Brechałowki” i zobaczyliśmy, jak tam biją ludzi. Naradziliśmy się między sobą i postanowiliśmy natychmiast wydać część złota. Kto tylko był wezwany, od razu w drzwiach mówił do komisarza: „Towarzyszu komisarzu, nie potrzebujesz mnie bić. Daję ci te złote ruble”. To, co jednak potem nastąpiło długo nie mogło się nam pomieścić w głowach.

— Co się wydarzyło?

— Komisarz i jego pomocnik rzucali się na naszych ludzi i bili ich po głowach. Komisarz krzyczał dziko: „*Paszoł k'jobanoj matieri* z twoim złotem. Potrzebne mi twoje złoto, jak zeszlóroczny śnieg. Jesteś dasznakiem, ty psie. Wyдай twoją organizację”. Nikt z nas nie wiedział, co to jest dasznak. Nigdy nie mieliśmy nic wspólnego z czymś takim. Czyściliśmy buty i troszeczkę handlowaliśmy. Z samego czyszczenia butów nie da się u nas wyżyć. Ale enkawudyści nie chcieli nam wierzyć. Przeganiiali naszych ludzi na pół martwych z powrotem do „Brechałowki” i krzyczeli: „Jeśli jutro nie wydasz organizacji, ty przeklęty dasznaku, zatłuczemy cię na śmierć”. I nikt z naszych ludzi —

wierzcie albo nie wierzcie — nie wiedział, co to jest dasznak. Siedzieliśmy w „Brechałowce” i prosiliśmy Rosjan o radę. Ale Rosjanie nie chcieli z nami mówić i sami jeszcze wtedy nie wiedzieli, co to jest dasznak*.

Przez dwa dni siedzieli nasi w zupełnej rozpacz. Potem przyszło ocalenie. Przyszedł ksiądz. Popłakaliśmy się na jego widok.

— Co zrobił ksiądz?

— Ksiądz już wiedział, co trzeba mówić. Sami go wszystkiego nauczyli. Opowiedział nam wszystko o dasznaku. Jak dasznak walczył dawniej z Turkami i jak wysadzał w powietrze przeklętych wielkich wezyrów. Jak potem przeszedł do kontrrewolucji przeciw Sowiетom. Ale w tę kontrrewolucję naturalnie nie wierzyliśmy. Oni to tak mówią tylko po to, by nas obrażać. Dlaczego nasz dasznak miałby stać się kontrrewolucjonistą?

— I co wtedy zrobiliście?

— Każdy z nas dostał papier, a ksiądz chodził od jednego do drugiego i pisał każdemu zeznanie. Dla każdego troszkę inne.

Zakląłem.

— Ten wasz ksiądz to szpicel, prowokator, parszywy enkawudysta. A wy durnie pozwalacie się mu nabierać.

Naciąłem się jednak. Gewondian zerwał się i chciał się na mnie rzucić. Inni go przytrzymali. Klął jak zupak.

— Ty psie połamany, *ja tieba w żopu pojebu*. Nasz ksiądz prowokatorem? Nasz ksiądz, to dobroczyńca. Połamaliby nam kości, zgnilibyśmy bez ratunku. Nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co trzeba napisać, gdyby on nie przyszedł.

Siedziałem później przez półtora roku razem z Gewondianem. I on był cudzoziemcem — poddanym perskim. Lubiliśmy się wzajemnie. Wspólna nienawiść do Makedona, z którym całymi miesiącami dzieliliśmy w trójkę celę, zbliżyła nas do siebie. Lecz pod jednym względem nie chciał mnie nigdy zrozumieć. Gdy mu mówiłem, że należy odmawiać wszelkiego przyznania się do winy, patrzył na mnie, jak na człowieka niespełna rozumu.

— Też sobie wyszukałeś kogoś do bitki! NKWD, przyjemny partner — szydził.

Wikt w więzieniu pogarszał się coraz bardziej. Więźniowie, nie mający pieniędzy na koncie i tym samym nie mogący kupić dodatkowego pożywienia, głodowali. Trochę im inni pomagali. Wolno było kupować w sklepie za 50 rubli miesięcznie. Była to

* „Dasznak” jest nazwą armeńskiej partii narodowo-rewolucyjnej, która na przełomie wieków podjęła walkę z Turkami o niepodległość Armenii.

cena około 2 kg masła lub 13 kg cukru. W przeliczeniu na kalorie, była to wielokrotność pożywienia, które nam dawało więzienie. Lena przysyłała mi 50 rubli miesięcznie. W domu pozostało dużo pieniędzy. Bałem się jednak, że Lena może być aresztowana lub zesłana administracyjnie i wtedy nie będzie nikogo, kto by mi mógł pieniądze przysyłać. Toteż starałem się przemyścić wiadomość. Raz na tydzień przynosiła mi czystą bieliznę i zabierała brudną. Odbiór musiałem poświadczać na karteczce strażnikowi, który przynosił mi bieliznę. Czyniąc to, dopisałem „500 rubli”. Ponieważ w pokwitowaniu musiałem podawać liczbę poszczególnych kawałków bielizny, wpisałem w środku słowa „500 rubli” i spodziewałem się, że cenzura tego nie zauważy, a Lena zrozumie. W tydzień później otrzymałem 500 rubli. Po miesiącu zabroniono przynoszenia bielizny i straciłem jedyną łączność ze światem zewnętrznym. Zanim jednak doszło do tego, udało mi się przekazać ważną wiadomość. O tym potem.

Nabrałem już bardzo wielkiego doświadczenia więziennego. I udzielałem innym porad. Byłem przekonany, że długo zostawią mnie teraz w spokoju, może przez rok, może do przełomu politycznego. Najpóźniej w ciągu roku musi przyjść przełom. Jeśli tak dalej będą postępowali, to wyaresztują cały kraj. Inni oczekiwali przełomu w ciągu trzech tygodni. Spodziewali się powszechnej amnestii na 7 listopada 1937 roku, w 20 rocznicę rewolucji. Byłem bardziej sceptyczny. W ciągu października nabrałem jednak przekonania, że osobiście przetrzymam bez względu na to, jak długo potrwa ten obłęd.

Wbrew oczekiwaniom, 17 października o północy zostałem znowu wezwany. Serce we mnie zamarło. Raz jeszcze przesłuchanie. Należę do osób, które tracą równowagę, gdy rzeczywistość wywraca gmach ich teoryj. Przeanalizowałem dokładnie swoje położenie i doszedłem do wniosku, że przynajmniej przez rok dadzą mi spokój. Czego chcą więc znowu ode mnie? Czy jednak postanowili złamać mój opór?

Zupełnie oszołomiony i osłabły ze strachu szedłem za strażnikiem. „Brechałowka” była przepelniona, jak jeszcze nigdy. Chłopi, dyrektorzy fabryk, oficerowie i inżynierowie, komuniści i bezpartyjni, stali ściśnięci jak śledzie w pomieszczeniu, w którym nie można było oddychać. Okna były zamknięte. Ludzie nie chcieli słuchać wycia torturowanych. Co kilka minut żołnierze zabierali kogoś na przesłuchanie. Stałem przez całą noc niewzywany. Rano zabrano mnie z powrotem „do domu”. Odetchnąłem. A więc pomyłka? A więc teoretyczna ocena mego położenia w śledztwie przecież jest trafna?

Nie długo miałem się cieszyć. O północy otworzyła się znowu kłapa.

— Na literę W...

Strażnik nie miał prawa wymieniać całego nazwiska. Często zdarzało się bowiem, że mylił się co do celi. W ten sposób więźniowie w niewłaściwej celi dowiedzieliby się o aresztowaniu wyzywanej osoby. Tego należało unikać. Co prawda wszystkie te środki ostrożności stały się teraz iluzoryczne. Masowe aresztowania, przynoszące dzień w dzień nowych ludzi z wolności, przełamały izolację. W „Brechałowce” spotykali się ludzie z najrozmaitszych cel i wymieniali nawzajem nazwiska współwięźniów. Poza tym ważne wiadomości przekazywaliśmy pukaniem przez całe więzienie. Co prawda, więzienia wewnętrzne NKWD gwarantowały dostateczną ochronę przed porozumiewaniem się. Toteż ważni więźniowie trzymani byli w więzieniu wewnętrznym, dopóki ich przesłuchanie nie zostało w głównych zarysach zakończone. Jednakże nawet tutaj, w Chołodnej Gorze, musieli strażnicy przestrzegać instrukcyj.

— Na literę W...

Dwaj współwięźniowie, których nazwiska również zaczynały się na W, podeszli do drzwi i wymienili strażnikowi szeptem swe nazwiska. Byłem trzeci. I mnie wziął ze sobą.

Znowu stałem przez całą noc. Jednakże następnego ranka nie posłali mnie z powrotem do Chołodnej Gory. Za dnia „Brechałowka” była na poły pusta. Mogłem leżeć i spać. Opowiadano wiele nowin. Jednak ich nie słuchałem. Czegóż chcą znowu ode mnie? Rankiem przybyły samochody więzienne i zabrały ze sobą większość. Mnie znowu zostawiono. O 11 przed południem — a więc o niezwyklej porze — zabrał mnie żołnierz na przesłuchanie do sędziego śledczego. Był to Wajsband. Na jego widok odetchnąłem z ulgą.

— Siadajcie, Weissberg.

Wziął akty do ręki. Zarejestrowałem natychmiast, że zwracał się do mnie przez wy.

— Weissberg, czy przyznacie się wreszcie?

— Nie mam się do czego przyznać.

— Aleksandrze Siemionowiczu, dwudziestu ludzi zeznaje przeciwko wam. Komu da sędzia wiarę?

— Nie wiem.

— Mogę wam powiedzieć. Uwierzy większości, a wy powinniście to nareszcie zrozumieć, inaczej przypłaciecie głowę.

— Obywatelu sędzio śledczy, powiedzcie mi: jeśli dwudziestu ludzi będzie utrzymywało, że jestem Murzynem, a ja mimo tych

zeczna jestem przekonany, że jestem białym, czy mam wtedy podpisać, że jestem Murzynem?

— Weissberg, wszystkie te sztuczki nic wam nie pomogą. Jeśli się teraz nie przyznacie, pójdziecie przed *Trojkę* i zostaniecie najpóźniej 15 listopada rozstrzelani. To jest ostatni termin.

— Bardzo to smutne. Może zginę, ale nie będę winny.

— Weissberg, szkoda was. Jesteście przecież mądrym człowiekiem, specjalistą, profesorem. Możecie być jeszcze bardzo pożyteczni dla kraju.

— Nie zrobiłem nic takiego, co by krajowi przyniosło szkodę. Przeciwnie, zawsze starałem się być pożyteczny. Jeśli wam o to chodziło, nie należało mnie odrywać od mej pracy.

Doświadczenia ostatnich dwóch miesięcy wzmocniły mój opór. Nie czyniłem już sobie żadnych złudzeń co do aparatu państwowego. Stało się dla mnie zupełnie jasne, że socjalizm zwycięży tylko po obaleniu tego aparatu. Walka, którą prowadziłem przeciwko naciskowi śledztwa, stała się dla mnie walką polityczną. Nie chodziło już tylko o próbę ocalenia mej wolności i życia. Chodziło o coś więcej. Miałem podświadome uczucie, że od mojej tutaj postawy, o ile przeżyję, zależeć będzie mój szacunek dla siebie samego w późniejszych latach.

Wajsband wyczuł inny ton. Rzecz zdumiewająca, nie zareagował na to ostro.

— Weissberg, nie mam ochoty dyskutować z wami. Nie prowadzę już waszego śledztwa. Wezwałem was dzisiaj z innego powodu. Wasza żona chce się z wami rozwieść.

Pociemniało mi w oczach. Zapomniałem już całkiem o Ewie. Po raz ostatni mówił ze mną o niej Reznikow. Pewnego razu pokazał mi urzędowy wyrok sądu w Leningradzie i powiedział: „Wasza żona dostała za szpiegostwo osiem lat i poszła do obozu w Archangielsku. Jeśli się przyznacie, będziecie mogli dostać się do tego samego obozu”.

Nie wierzyłem wówczas ani jednemu słowu Reznikowa i odpowiedziałem zuchwale: „To byłoby zaostrenie kary, obywatelu sędzio śledczy. Jeszcze na wolności nie cierpieliśmy się wzajemnie”.

Czy Wajsband chciał zagrać mi na nerwach? Nie, tym razem było to na serio.

Wyjął jakiś papier i podał mi. Papier listowy pochodził z kancelarii adwokackiej mego brata we Wiedniu. Podniecony przestudiowałem nagłówek: Adwokat Dr Jakób Weissberg, Wiedeń I, Wipplingerstrasse 23. Zauważyłem, że mój brat w międzyczasie zmienił kancelarię. Potem odczytałem: „Udzielam Panu adwokatowi Drowi Jakóbowi Weissbergowi pełnomocnictwa do podję-

cia wszelkich kroków, wymaganych dla rozwodu z moim małżonkiem”.

Wajsband przemówił znowu. Widziałem jego twarz jak przez mgłę.

— Zatem, jeśli się godzicie na rozwód, podpiszcie to oświadczenie.

Zwróciłem się do niego:

— Kto ten list tu przyniósł?

— Wasza teściowa. Przyjechała do Charkowa. Jest tu także list od niej. Prosi was o pełnomocnictwo w jakiejś innej sprawie.

Okazało się, że na dzień przed aresztowaniem oddałem ubranie do czyszczenia i że pralnia odmawiała wydania go moim bliskim bez mego pełnomocnictwa.

— Czy to znaczy, że moja żona jest wolna i za granicą, obywatelu sędzio śledczy?

— Tak jest. Czy chcecie się rozwieść?

— Jesteśmy od dawna rozwiedzeni. Moja żona mieszkała w pobliżu Moskwy, a ja w Charkowie. Tylko z braku czasu dotychczas nie zarejestrowaliśmy rozwodu.

— W takim razie podpiszcie to pełnomocnictwo, aby można było przeprowadzić formalności.

Wręczył mi przepisany tekst. Przystudiowałem raz jeszcze nagłówek z adresem mego brata. I zawahałem się.

— Czy wolno mi coś jeszcze dopisać, towarzyszu sędzio śledczy?

— Nie.

— Obywatelu sędzio śledczy, zrozumcie mnie. Wprawdzie rozwiedliśmy się, ale mimo to zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Chcę tylko złożyć żonie życzenia szczęścia z okazji wolności i nowego życia. Chcę ją prosić, by szybko wyszła znowu za mąż. Straciła wiele czasu, obywatelu sędzio śledczy. Ma już trzydzieści lat i nie ma jeszcze dziecka, chociaż tego bardzo pragnie.

— Czy nie boli was myśl, że wasza żona poślubi innego mężczyznę?

— Nie, obywatelu sędzio śledczy. Wyjdzie za mąż za przyjaciela mej młodości. On ją bardzo kocha i czekał na nią długo. Rozeszliśmy się we wzajemnym porozumieniu. Lubimy się nadal bardzo, ale nie nadawaliśmy się na małżeństwo.

Straciłem panowanie nad sobą i powiedziałem jeszcze wiele rzeczy, które właściwie sędziego śledczego nic nie obchodziły.

Wajsband wstał:

— Chciałbym wam chętnie pomóc, ale nie mogę na to pozwolić. Możecie tylko podpisać, albo nie podpisać.

Podpisałem.

— Obywatelu sędzio śledczy, czy mogę was prosić o drobnostkę? Nie zostawiajcie mnie do następnego ranka w „Brechawce”. Odeślijcie mnie teraz z powrotem.

— Zrobię to.

Wajsband dotrzymał słowa. Już po kilku minutach zabrał mnie żołnierz. Była to niezwykła pora dnia. Pojechałem sam jeden samochodem z powrotem do Chołodnej Gory.

Przeszliśmy przez wrota w murze zewnętrznym. Przy murze wewnętrznym musieliśmy czekać. Przyjmujący urzędnik był na obiedzie. W południe na ogół żadni więźniowie nie przybywali.

Był to przyjemnie ciepły, słoneczny dzień jesienny. Usiadłem na ziemi. Strażnik pozwolił.

Rozmowa z Wajsbandem wzburzyła mnie do głębi. Dopiero teraz to odczułem. Od całych miesięcy żyłem w innym świecie. Rzadko myśli moje wybiegały za granicę.

Rozmowa o Ewie otworzyła wrota, przez które napłynęło obce, czarowne światło. Wolność — zagranica.

Myślałem o Ewie. Była wolna. Może odpoczywała teraz w Grundlsee, u stóp gór, które oboje tak kochaliśmy. Z dała od okropności ostatnich lat. Czy zapomniała o nas tutaj? Czy otrząsnęła się ze wszystkich niesamowitych przeżyć?

Nie spałem przez trzy noce. Teraz pogrążyłem się w snach na jawie. Widziałem smukłą postać Ewy, jak idzie nadbrzeżną drogą na Côte d'Azur. Obrazy zmieniały się. Opierała się o poręcz, jej granatowo-czarne włosy odcinały się ostro od świetlanego błękitu morza. Śmiała się. Widać było jej lśniące zęby i jej bardzo wielkie oczy. Miała pochyloną głowę i patrzyła, jak często, trochę w górę. Pod jej ciemną żrenicą widoczne było białko oka. Widziałem jej postać tak blisko, że niemal dotykalnie. Ciemną sylwetę jej włosów na tle morza.

Żyje teraz wśród roześmianych ludzi i cieszy się pięknym światem. Czy myśli jeszcze o nas, tutaj? Nie odczuwałem ani zawiści, ani goryczy. Byłem raczej wdzięczny losowi, że moje wysiłki nad jej uwolnieniem w roku ubiegłym jednakże nie były daremne.

Dlaczego Ewa posłała mi teraz ten list? Czy zamierzała poślubić Georga i potrzebny jej jest formalny rozwód? Czy też tylko chciała, bym wiedział, że jest na wolności. Może podanie o rozwód było jedyną drogą do przełamania murów NKWD. —

Strażnik zbudził mnie z mego snu na jawie. Przepuszczono nas. Trochę nieprzytomny wszedłem do celi. Inni musieli zauważyć stan mego ducha. Komarowski zapytał.

— Co się z tobą stało, Aleksandrze Siemionowiczu? Wyglądasz tak osobliwie.

— Jakto osobliwie?

— Jakoś rozpromieniony. Czy ci przyrzekli, że cię wypuszczą?

— Bynajmniej. Lecz moja żona jest wolna i napisała do mnie list z zagranicy.

— I przepuścili ten list?

— Tak jest. Moja żona chce się rozwieść. Musiałem przeto udzielić pełnomocnictwa memu bratu, adwokatowi w Wiedniu. Prawdopodobnie żona moja przesłała ten list przez austriackie poselstwo i dlatego NKWD musiało mi go pokazać i udzielić odpowiedzi.

Kaganowicz położył mi rękę na ramieniu.

— Czy bardzo jesteś nieszczęśliwy, Aleksandrze Siemionowiczu?

— Ani trochę. Nie rozumiecie tego. Byliśmy już od kilku lat rozwiedzeni. Pozostaliśmy jednak dobrymi przyjaciółmi.

Wmieszał się Makedon:

— Nie opowiadaj historii. Puściła cię w trąbę i szuka teraz innego.

Byłem nastrojony pojednawczo.

— Nie, Makedonie. Rozeszliśmy się we wzajemnym porozumieniu, dawno już temu. Nawet gdybym był wolny, nie powróciłbym do niej, ani ona do mnie. To jednak nie przeszkadza, że sobie nawzajem pomagamy, gdzie możemy. Być może nie potrafisz tego zrozumieć. Wcale też nie jest pewne, że Ewa chce teraz wyjść za mąż. Może użyła tylko tej okazji, by tą drogą powiadomić mnie, że jest wolna. Abym i ja nie tracił nadziei.

Bojko zwrócił się do mnie z prośbą:

— Aleksandrze Siemionowiczu, opowiedz nam o twej żonie. Jak natrafiliście na siebie i jak wam było tutaj.

Więźniowie opowiadali często o swych żonach. Wszyscy odczuwali potrzebę pewnego oderwania się od wiecznej troski o przyszłość, od nacisku śledztwa i od nieustannej walki o trochę więcej zupy i odrobinę tytoniu. Usiadłem i opowiadałem.

Zbliżał się 7 listopada 1937 roku. Dwudziesta rocznica rewolucji. W więzieniu szerzyły się pogłoski o zbliżającej się amnestii. Wszyscy pod śledztwem mieli być zwolnieni. Kary już skazanych miały być obniżone do połowy. Każdy, kto powracał z „Brechałowki”, mówił z ważną miną o bliskim przełomie. Mnie także trochę zaraził powszechny optymizm.

4, 5 i 6 listopada przeprowadzono w celi niesłychanie dokuczliwe rewizje. Musieliśmy się rozebrać i nago wyjść na korytarz. Pięciu strażników przeszukiwało tymczasem celę. Po kolei brali

do ręki każdą sztukę odzieży i szukali tajnych schowków. Potem zrewidowali nas. Ze skrupulatną dokładnością zaglądali do każdego zakątka ciała. Pomimo tego udało mi się ocalić igłę i ołówek. Ołówek trzymałem w ustach. Igłę zachowałem przez wszystkie rewizje od początku mego pobytu w więzieniu. Igła ta była małą świętością. Więzienie nie dbało o to, że nasza odzież rozlatywała się. Bez tej igły nie moglibyśmy niczego naprawić. Szczególnie trudna była sytuacja, odkąd zabroniono przynosić bieliznę z domu. Trzeba było nieustannie cerować skarpetki. W pół roku później, skutkiem mego nieostrożnego ruchu, igła przepadła. Właśnie naprawiałem koszulę, gdy zawołano nas na spacer. Roztargniony jak zawsze, wpiąłem igłę w klapę marynarki. Strażnik na dole, nadzorujący spacer, nie zauważył jej. Lecz towarzysz przede mną zwrócił mi szeptem na to uwagę. Przestraszyłem się i spiesznym ruchem wyjąłem igłę z marynarki. Ruch ten zwrócił uwagę strażnika. Natychmiast mnie zawołał i zażądał igły. Chociaż siedział daleko, zrozumiał znaczenie ruchu mej ręki. Początkowo wypierałem się. Lecz gdy zaprowadził mnie do dyrektora więzienia, wręczyłem mu igłę. Po powrocie do celi towarzysze moi rzucili się na mnie. Byli wściekli. Zwłaszcza Makedon nie przestawał kląć. Odpowiedziałem oburzony:

— Igła należy do mnie. Mogę z nią robić co zechcę. Zachowałem ją przez półtora roku. Nikomu innemu by się to nie udało.

Naturalnie nie miałem racji, że chępiłem się swą własnością prywatną. Warunki więzienne wymagały od każdego, by chronić rzeczy takie jak igła i ołówek jako wspólne dobro. Utratę igły uważano za ogólne nieszczęście. O wiele później nauczyliśmy się robić igły z ości rybich, znalezionych w zupie. Szlifowano je starannie, a potem przedziurawiano. Do przedziurawienia trzeba było co prawda igły metalowej. Znaleziliśmy jednak kawałek mosiężnego drutu, który spełniał tę rolę.

Nasze ubrania cierpiały straszliwie skutkiem periodycznych dezynfekcji. Odbywało się to w ten sposób: Co dwa tygodnie wypędzano nas z celi, przy czym musieliśmy brać z sobą literalnie wszystko: ubrania, obuwie, żywność. Po przyjeździe do łaźni rozbieraliśmy się. Wszystkie bez wyjątku rzeczy rzucano na jeden stos i spychano do kotła parowego. Żywność, szczególnie tłuszcze, można było pozostawiać u strażników. Po kąpieli otrzymywaliśmy z powrotem stos gorącej, parującej odzieży. W celach masowych siedziało często po dwustu ludzi. Do kąpieli szli grupami po pięćdziesięciu. Można sobie wyobrazić, jak trudno było później zidentyfikować odzież i bieliznę. O skarpetki ludzie po każdej dezynfekcji kłócili się przez szereg godzin. Tak samo o chustki do nosa. Kłótnie trwały często półtora dnia. Złościły nas

te bezwzględne dezynfekcje, lecz przepelnienie więzień nie pozostawiało administracji żadnej alternatywy. Jeśli chciała ona zapobiec epidemiom, musiała co najmniej dwa razy na miesiąc brać każdą celę do kąpieli. Za caratu więzienie mieściło co najwyżej 800 ludzi. Także urządzenia łaźni obliczone były na tę liczbę. W roku 1937 zaludnienie wzrosło do 12.000 więźniów. Łaźnia była otwarta dniem i nocą. Nie można było powodować się względem na odzież więźniów, jeśli się chciało uniknąć epidemii. Gdy pewnego razu łaźnię z powodu pilnych napraw zamknięto na kilka tygodni, każdy był do tego stopnia zawoszony, że sędziowie śledczy nie dopuszczali nas w pobliże swych biur. Dezynfekcja była dla nas zmorą. Lecz ocaliła nam życie...

Podczas rewizyj przed świętem rewolucyj strażnicy konfiskowali każdy czerwony strzęp: czerwone chustki, czerwone wstążki, niepokoił ich nawet kawałek czerwonego papieru pakunkowego. Dyskutowaliśmy na ten temat. Makedon powiedział:

— To jest przecież zupełnie zrozumiałe. Chcą przeszkodzić demonstracjom kontrrewolucyjnym w dniu 7 listopada.

— Nie rozumiem cię, Makedonie. Jak można w Związku Sowieckim robić kontrrewolucyjne demonstracje przy pomocy czerwonych szmat? Należałoby szukać chorągwi ze swastykami. Nie ma ich jednak u nas.

— Czekiści mają zupełną rację. Jeśli tu, w więzieniu, gdzie siedzą wrogowie ludu, ktoś wywiesza z okna czerwony sztandar, to to jest demonstracja kontrrewolucyjna.

— Ależ Makedonie, jeśli tu siedzi prawdziwy kontrrewolucjonista, to przecież nie będzie dla demonstracji posługiwał się kolorem rewolucyj.

— Czy ja wiem, co taki bandyta może zrobić. W każdym razie czekisci nie mogą dopuścić, by w więzieniach demonstrowano.

— Mówże rozsądnie, Makedonie. Wyobraź sobie, że komuniści są zamknięci w Niemczech hitlerowskich. SS-mani rewidują cele w przeddzień rocznicy objęcia władzy przez Hitlera. Co będą konfiskowali? Chorągwie ze swastykami? Na pewno nie. Będą szukali czerwonych chorągwi. Nie obawiają się, że komunista niemiecki będzie demonstrował chorągwią ze swastyką. Zarówno w więzieniach jak i w całym kraju będą chcieli stłumić symbole wrogiego im ruchu, a nie swego własnego. Jeśli NKWD szuka tu czerwonych chorągwi, to przynajmniej, że nie jesteśmy kontrrewolucjonistami, lecz rewolucjonistami, dla których dzień rewolucyj jest tak samo święty jak dla nich samych. Rozumiesz to teraz, Makedonie?

Inni milczeli. W głębi serca przyznawali mi słuszność. Lecz rozmowa weszła na niebezpieczny grunt.

Makedon zaczął kląć:

— Czy ja wiem, kim ty jesteś, Weissberg. Może ty rzeczywiście jesteś terrorystą i obcym szpiegiem. Nie mogę tu ręczyć za nikogo, prócz siebie samego. Nie wiem, co inni mają na sumieniu. Chyba NKWD wie, co robi.

Już nie odpowiadałem. Makedon zabierał się do rękoczynów.

Oczekiwana amnestia 7 listopada nie nadeszła. Oczekiwaliśmy lepszego jedzenia. Dano nam kapuśniak, bez odrobiny tłuszczu. Spacer w tym dniu wstrzymano. Tak uczciliśmy święto rewolucji. Nie wolno było śpiewać. Nie daliśmy się jednak od tego powstrzymać. Byli wśród nas Ukraińcy, znający cudowne pieśni ludowe. Lecz dzisiaj śpiewaliśmy wszyscy stare pieśni rewolucyjne. Wielu miało łzy w oczach. Śpiewaliśmy po cichu. Mimo to śpiew nie uszedł uwagi strażników, ale nam nie przeszkadzało.

Lena przysłała mi 500 rubli. Powinno było wystarczyć niemal na rok. Przy oszczędności, nawet na dłużej. Z początkiem listopada, po przesyłce bielizny poznałem, że moja teściowa jest w domu. Otrzymałem między innymi parę futrzanych rękawic. Futro od wewnątrz i z zewnątrz. Trochę mnie to zdziwiło. Czy Laura Michajłowna sądziła, że będę nosił rękawice w celi? Czy też obawiała się, że pošlę mnie do obozów na północy? To nie był dobry znak. W styczniu sprawa miała się wyjaśnić. Wewnątrz rękawic ukryta była wiadomość.

Muszę tu powołać się na pewien epizod. Chciałem powiadomić Laurę Michajłownę u kogo ma interweniować. Po aresztowaniu Ewy omawialiśmy razem nieodzowne kroki. Laura Michajłowna mówiła z wielu ludźmi, między innymi z burżuazyjnym dziennikarzem, korespondentem wiedeńskiego dziennika „Neue Freie Presse”, inżynierem Nikolausem Bassechesem. Był to człowiek dobrze poinformowany i udzielił matce Ewy szeregu rad. Nie posłuchaliśmy go. Zdawało mi się teraz, że rozum nakazuje pójść wskazaną przez niego drogą.

Myślałem długo, jak mam powiadomić Laurę Michajłownę. Potem zdecydowałem się wyhaftować wyraz BASSECHES na koszuli, w miejscu przeznaczonym na monogram. Wypisany był literami łacińskimi, których strażnicy nie znali, mogli więc myśleć, że to moje własne nazwisko. W tydzień później otrzymałem wypraną koszulę z powrotem. Wyraz BASSECHES był wycięty. Nie mogłem wówczas stwierdzić, kto to zrobił. Więzienie, czy też moja teściowa. W dziesięć lat później dowiedziałem się. Laura

Michajłowna otrzymała wyraz BASSECHES i źle go zrozumiała. Oczywiście od dawna już zapomniała o rozmowach z dziennikarzem i rozumiała teraz ów symbol inaczej. Sądziła, że kontakt z korespondentem zagranicznym spowodował moje aresztowanie.

Większość mych towarzyszy skończyła śledztwo. W drugiej połowie listopada poszli etapem.

Najtrudniej było mi się rozstać z Bojką. Zacząłem przyswajać mądryemu chłopu matematykę i fizykę. Każdego przedpołudnia spędzałem z nim dwie godziny. Część ściany pod oknem pomalowana była na czarno i znajdowała się w stosunku do okna pod kątem 45 stopni. Mury więzienne miały niemal metr grubości! Rezultatem była idealna tablica do pisania. Kredę sam sporządziłem. Zeskrobałem trochę tynku ze ściany, rozkruszyłem go, roztopiłem w wodzie, uformowałem z tej papki podłużną czterograniastą laseczkę i wysuszyłem ją. Nigdy w swym życiu nie miałem lepszej kredy. Być może, nie była dostatecznie twarda, by ją wprowadzić do obiegu w handlu. Bojko był uczniem, którego uwaga, inteligencja i wdzięczność radowały me serce. Odpłacał się za me trudy długimi referatami o rolnictwie sowieckim.

Również pożegnania z Kaganowiczem nie zapomnę. Przed południem otworzyła się kłapa, strażnik wywołał Kaganowicza:

— Zbierajcie się z rzeczami.

Wiedzieliśmy zatem, że nie idzie na przesłuchanie, idzie do obozu. Wszyscy ci ludzie nie stawali nigdy przed sądem. Skazywała ich komisja administracyjna, tak zwane „OSO” (Specjalna Komisja przy Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych) w Moskwie. „OSO” składało się z przedstawiciela prokuratury generalnej, zastępcy ludowego komisarza spraw wewnętrznych i stałego sekretarza. Do biura „OSO” na Łubiance w Moskwie napływały z całego kraju wnioski sędziów śledczych. Mowy nie było by „OSO” naradzało się nad tymi sprawami. Było to niemożliwe już ze względów technicznych. Codziennie trzeba było pobierać tysiące decyzji. Czynność komisji ograniczała się na ogół do czynności sekretarza, który stawiał pod wyrokami pieczętkę. Uprawnienia „OSO” były ograniczone. Nie mogło ono nikogo skazać na śmierć. Do jesieni 1937 roku mogło wymierzać kary tylko do pięciu lat obozu koncentracyjnego. Po podniesieniu najwyższego sądowego wymiaru kary do 25 lat, pozwolono również „OSO” na wyższy wymiar kary. Ubocznie dowiedzieliśmy się później, że nie miało żadnego znaczenia, na ile lat oskarżony był administracyjnie skazany. Po odcierpieniu kary nie odzyskiwał wolności automatycznie, tylko na specjalny rozkaz NKWD z Moskwy. Rozkaz ten wydawany był jednak w najrzadszych wypadkach. Zazwyczaj zwywano więźnia na dzień przed oczekiwa-

nym zwolnieniem i doręczano mu dokument z „OSO”, skazujący go na dalszych pięć lub dziesięć lat.

W wypadkach szczególnych „OSO” traktowało sprawę merytorycznie, nie tylko formalnie. Lecz to zdarzało się bardzo rzadko. Gdy interweniował jakiś czynnik wpływowy. Albo gdy chodziło o cudzoziemców. Taką sprawą była sprawa mej byłej żony. Wyszynski sam ją odesłał do „OSO”, by tam postawić wniosek o wydalenie ze Związku Sowieckiego.

Zatem i Kaganowicz musiał iść etapem. Nasz starosta. Wstał z przekleństwem na ustach i zaczął się starannie pakować.

— Niech ich diabli wezmą — powtarzał. — A ja, dureń, wyobrażałem sobie, że mnie tu zostawią. Ale będą mnie jeszcze potrzebowali. Możecie być tego pewni. Wrócę jeszcze. Chodzi tylko o to, by zachować zdrowie.

Spojrzałem ze spokojem na jego potężne bary i pięści. Ubrał się ciepło, zawiązał swój tłumoczek. Potem objął Komarowskiego. W oczach miał łzy. Mnie uściśnął obie ręce:

— Aleksandrze Siemionowiczu, jeśli będziesz jeszcze tutaj, w naszym kraju, gdy powrócę, popijemy sobie. Nie tak łatwo mi kark ukreścić.

W drzwiach obrócił się jeszcze raz. Śmiał się i płakał zarazem:

— Niech ich wszystkich diabli wezmą. Będą mnie przecież jeszcze potrzebowali. Was także. Nie dajcie się.

Drzwi się za nim zamknęły.

Chciano wybrać starostą Komarowskiego. Odmówił i zaproponował Makedona. Tłumaczył mi, że Makedon stanie się znośniejszy, jeśli się zaspokoi jego ambicję. Ale chłopci protestowali i chcieli mnie. Kwestia pozostała otwarta. Jednakże w następnych dniach tyłu odeszło etapem, że starosta stał się zbyt cenny.

Instytucja starosty była właściwie nielegalna. Zakładała ona organizację więźniów, a takiej NKWD nie mogło nigdy uznać. Konstytucja, prawodawstwo i praktyka Związku Sowieckiego ustalały dokładnie liczbę i rodzaj dozwolonych organizacji: partia komunistyczna, związki zawodowe, sowiety, instytucje gospodarcze, organizacje kulturalne, armia. Tego monopolu sprawujących władzę organizacji strzeżono zazdrośnie. Powstał on zaraz po zdobyciu władzy. W powstaniu petrogradzkim bolszewicy pod przewodnictwem Lenina i Trockiego zdobyli władzę państwową. Nosicielem władzy był Wszechrosyjski Zjazd Rad Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich. Wybrał on pierwszy rząd sowiecki. Wtedy jednak Lenin nie wpadł jeszcze na pomysł, by zabronić innych partii. Pierwszy rząd sowiecki był koalicją bolszewików i lewych socjalrewolucjonistów. Bolszewicy czekali na wynik wyborów do Konstytuującego Zgromadzenia Narodowego. Lenin był prze-

konany, że wybory te dadzą większość rewolucyjnemu skrzydłu rosyjskiego ruchu robotniczego. Do wyborów dopuszczone zostały wszystkie partie. Nie przyniosły one większości bolszewikom i sprzymierzonym z nimi lewym socjalrewolucjonistom. Wobec tego bolszewicy rozwiązali konstytuante i proklamowali suwerenną władzę rad robotniczych, chłopskich i żołnierskich. W drodze rewolucyjnej rozdzielili ziemię, przejęli fabryki, banki, środki transportu. Zawarli z Niemcami pokój w Brześciu Litewskim. Nawoływali robotników wszystkich krajów do rewolucji socjalnej. Nie dbali o wolę większości. Byli jednak głęboko przeświadczeni, że działają w interesie tej większości, nawet jeśli większość tego nie rozumie. Prawo rewolucji, na którym się opierali, przeciwstawiali prawu demokracji. Proklamowali dyktaturę proletariatu przeciwko władzy parlamentu.

Po pokoju w Brześciu Litewskim, lewi socjalrewolucjoniści wystąpili z rządu sowieckiego i zeszli w podziemie. Protestowali przeciw temu pokojowi i zabili w Kijowie niemieckiego generał-gubernatora, generała feldmarszałka von Eichhorna, w Moskwie — posła niemieckiego, hrabiego Mirbacha. Od tej pory partie burżuazyjne i reformistyczne partie robotnicze likwidowane były jedna po drugiej. Proces ten jednak trwał, o ile pamiętam, do roku 1923. Ostatnią zdelegalizowaną partią — jak mi się zdaje — byli syjoniści.

Jednak mimo zakazu istnienia wrogich partii, za czasów Lenina było dozwolone tworzenie grup w łonie partii rządzącej. Dyskusja w partii była swobodna. Pomimo ogromnego autorytetu Lenina, w rozstrzygającym głosowaniu mógł on z trudem tylko uzyskać większość za ratyfikacją pokoju w Brześciu Litewskim. W czasie dyskusji Bucharin podał swoją legitymację partyjną. Inni określali zawarcie pokoju jako zdradę robotników niemieckich, jako wyrzeczenie się zasad rewolucyjnego internacjonalizmu. W głosowaniu tym chodziło o los młodej republiki sowieckiej. Nie miała ona jeszcze armii, by stawiać opór najeźdźcy niemieckiemu. Odmowa podpisania pokoju równała się narażeniu na niebezpieczeństwo zdławienia rewolucji przez armie Kajzera. Lenin o tym wiedział. Pomimo to gardził myślą o posłużeniu się terrorem czeki dla zastraszenia opozycji. Włączanie tajnej policji do dyskusyj w partii było w owym czasie zupełnym niepodobieństwem. Czeka była jeszcze wówczas posłusznym organem partii, a nie na odwrót.

Dyskusje partyjne w erze stalinowskiej wyglądały inaczej. Po zlikwidowaniu opozycji osiągnięto stan rzeczy, w którym wszystkie uchwały czołowych organów partyjnych pobierane były jednoznacznie. Członkowie Komitetu Centralnego, a nawet członkowie

Politbiura, dowiadywali się przed rozpoczęciem dyskusji o pogładzie wodza. A potem jeden po drugim wstawiał i powtarzał to samo, jak katarynka.

To co się obecnie dzieje w Rosji jest tylko częściowo wynikiem pierwszych lat rewolucji. Stan ten spowodowały kolejno: walka w partii, kolektywizacja, wielka czystka. Opozycja domagała się prawa swobodnego formowania grup, prawa do frakcyj. Większość piętnowała ten postulat jako kontrrewolucyjny. Opozycjoniści zmuszeni byli do konspiracji, jeśli chcieli uniknąć interwencji GPU. Lecz zakaz frakcyj nie obowiązywał Stalina i jego grupy; posiadając większość w Komitecie Centralnym, mogli omawiać swe wystąpienia na zamkniętych obradach przed oficjalnymi posiedzeniami. Mieli większość, mieli władzę. Ugrupowania mniejszości zapędzono w podziemie. Po zniszczeniu opozycji — jak to Stalin tryumfalnie obwieścił — partia była monolitem. Zapewniona była absolutna jedność. Później z winy Stalina jedenaście milionów chłopów zmarło z głodu. Ale cały kraj dziękował mu za szczęśliwe życie, które stworzył.

Zabroniono tworzenia jakichkolwiek grup. Posunęło się to tak daleko, że na przykład zbieranie podpisów pod podaniem do partii lub rządu uważane było za akt kontrrewolucyjny. Każdemu obywatelowi sowieckiemu wolno było napisać do rządu list osobisty, lecz petycje zbiorowe, nie organizowane przez partię, były surowo zakazane. Co prawda codziennie czytano w gazetach dziękczynne adresy kołchoźników jakiejś odległej republiki do „ojca narodów”, do „naszego słońeczka”, do „umiłowanego wodza”, towarzysza Stalina. Kołchoźnicy dziękowali Stalinowi za „szczęśliwe życie”. Adresy te podpisywały tysiące kołchoźników. Lecz inicjatywa zbierania podpisów wychodziła w takich wypadkach od partii. Inicjatywa jednostek lub prywatnych grup kończyła się interwencją NKWD. Nie chodziło już wtedy Stalinowi o stłumienie w zarodku możliwości powstawania niekontrolowanych organizacji. Po prostu nie chciał dopuścić, by rząd znalazł się pod naciskiem masowych zażaleń. Inaczej, w czasie wielkiego głodu miliony chłopów prosiłyby zbiorowo o chleb. W czasie wielkiej czystki miliony kobiet wystąpiłyby o zwolnienie ich mężów. W obu wypadkach ucierpiałby prestiż władzy państwowej.

W tych warunkach gepiści nie mogli uznać żadnej organizacji więźniów, jeżeli nie chcieli popaść w konflikt z własnymi prawami. Logika ich była prosta. Organizacja kontrrewolucjonistów jest organizacją kontrrewolucyjną. Ta zaś była nie do pomyślenia w ich własnych murach. W małych celach można się było z biedą obejść bez takiej organizacji. Lecz w celach zbiorowych, które często mieściły ponad dwustu ludzi, normalne życie więźniów

było bez starosty i jego pomocników po prostu niemożliwe. Organizacja więźniów była potrzebna dyrektorowi więzienia. Już samo wydzielanie jedzenia czy chodzenie do ustępu było bez niej niemożliwe. Bez tej organizacji musiano by uwielokrotnić aparat strażników, zaś część więźniów otrzymywałaby posiłki w nocy. GPU znalazło się w rozterce. Poradziło sobie w sposób następujący: Starostę wybierała cała cela potajemnie. Dyrektor więzienia lub komendant bloku dowiadywał się o tym przez swych szpicłów w celi. Potem przychodził i mianował wybranego starszym celi, nakazując mu dbać o porządek, przeliczać rano więźniów, składać raport, organizować podział jedzenia i tak dalej.

Odeszli chłopci, odszedł anarchista bez nogi, potem odszedł także Komarowski. Odszedł smutny. Nie miał najmniejszej nadziei, że powróci. Wiedział, że dla takich jak on ludzi nie ma nigdy powrotu. Nie był też na tyle silny, by przetrzymać w obozie surową zimę syberyjską. Dopóki był on w celi, usiłowałem trzymać się. Gdy zamknęły się za nim drzwi, straciłem panowanie nad sobą.

Zostałem sam z Makedonem i Gewondim. Makedon dręczył moje nerwy agresywnością. Armeńczyk odgrywał rolę katalizatora. W połowie grudnia zachorował jednak i zabrali go na kilka tygodni do szpitala. Życie z samym Makedonem stało się piekłem. Wszelka dyskusja prowadziła do rękoczynów. Starąłem się milczeć. To mu także nie odpowiadało. Wywiązywał się potem nastroj grobowy, który przygnębiał nas obu. Wreszcie znalazłem wyjście: opowiadałem mu historyjki. Makedon był prymitywem, toteż chętnie słuchał bajek czy nowel. Najbardziej lubił historię. Nieraz budził mnie w nocy i domagał się powtórzenia dziejów Karola V, w którego państwie słońce nigdy nie zachodziło.

Innym sposobem spędzania czasu była gra w domino. Każdy z nas ofiarowywał kawałek chleba (czasem — ja sam, gdyż Makedon odmawiał, aczkolwiek grywał chętnie. Wiedział, że nie pożaluję swego chleba). Formowałem prostokątne kawałki, wygładzałem je odłamkiem szyby, robiłem papkę z kredy, w kawałkach chleba wydlubywałem zapalką dziurki, wypełniałem je płynną białą papką i suszyłem. Coraz bardziej doskonalilem technikę. Po pewnym czasie doszłem do perfekcji. Graлиśmy zawsze tak długo, póki nas nie przyłapał strażnik. Nie robił nam nic złego, tylko zabierał domino. Myślę, że darowywał je swoim dzieciom.

Charakter Makedona przejawiał się także w czasie gry. Grałiśmy bez stawki, mimo to zawsze oszukiwał. Gdy dobierał ka-

mienie, oglądał je po kryjomu, zanim wybrał jeden z nich. Często podczas gry patrzyłem roztargniony w okno. Korzystał z tego, by po prostu odsunąć od siebie niepotrzebne mu kamienie. Pewnego razu złapałem go na tym i zażądałem wytłumaczenia. Wściekły, zaczął klnąć:

— Ty psie-przybłędo, kto jeszcze będzie z tobą grał w domino? Mam całe twoje domino w dupie.

Rzucił się na domino, zrzucił kamienie na podłogę i podeptał je. Żal mi było nowych kamieni. Właśnie tego dnia je zrobiłem i udały się szczególnie dobrze. Odepchnąłem go i chciałem domino ocalić. W tej samej chwili otworzyła się kłapa:

— Co się tu dzieje?

Makedon odpowiedział strażnikowi:

— Weissberg zrobił domino. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. W więzieniu musi być porządek.

— Nie opowiadaj mi historyjek. Przyglądam się wam już od kwadransa. Grałeś tak samo jak Weissberg. Dawaj domino.

Strażnik zabrał kamienie. Powiedziałem mu jeszcze:

— Mogę wam dorobić zniszczone kamienie.

Strażnicy na ogół sympatyzowali z nami, chociaż rzadko to okazywali, bo to było niebezpieczne. Ale nie było między nimi ani jednego, któremu dręczenie nas sprawiałoby przyjemność. W owym czasie w każdej niemal rodzinie był ktoś aresztowany. Prości ludzie, robotnicy i chłopci, spośród których rekrutowali się strażnicy, nie wierzyli w naszą winę. Nie pamiętam ani jednego wypadku świadomego sadyzmu.

Położenie prawne oskarżonych w stosunku do personelu więziennego różniło się zasadniczo od położenia w więzieniach niemieckiego Gestapo. Więźniowie nie tracili praw ludzkich. Nacisk fizyczny zarezerwowany był dla sędziów śledczych, a ci stosowali go tylko w tej mierze, w jakiej był potrzebny dla wymuszenia zeznań. Co prawda gepiści mieli za zadanie wymuszanie zeznań fikcyjnych, a Gestapo miało zadanie łatwiejsze. Wykrywało ono faktycznie istniejące organizacje nielegalne.

Strażnicy mieli zakaz rozmawiania z nami poza najbardziej nieuniknioną koniecznością. Jeden z nich nie przestrzegał tego zakazu. Blondyn, o różowym, łagodnym obliczu. Wykorzystywał każdą wolną chwilę, by słuchać mych opowiadań. Przyłapany, ryzykowałby natychmiastowym aresztowaniem. W okresie osłabionego napływu więźniów dowiedziałem się od niego bardzo wielu nowin. Znajomość nasza zaczęła się w sposób następujący:

Pewien więzień wypisał mi alfabet więzienny na małym kawałeczku papieru. Leżąc w nocy, pukaniem nadawałem i odbierałem wiadomości z sąsiedniej celi. Mury z cegieł były bardzo

dobrym przewodnikiem dźwięku. Pukaliśmy nie tylko do celi sąsiedniej, ale nieraz także do celi pod nami. Makedon stale mnie do tego namawiał. Sam nie chciał ryzykować i zasłaniał się niezajomością techniki pukania. Kiedyś, w czasie rozmowy z sąsiednią celą doszło do zatargu z Makedonem. Wściekły, chciał się na mnie rzucić. Kodeks honorowy więźniów zabraniał wzywania pomocy strażnika. Makedon był ode mnie o wiele silniejszy. Dawałem sobie radę, odpowiadając na jego przekleństwa grzmącym głosem. To ściągnęło strażnika.

— Co się tu dzieje?

Milczałem. Makedon rzucił się jednak na moje łóżko i wyciągnął spod materaca kawałek tektury z alfabetem więziennym.

— Weissberg puka przez całą noc. Nie mogę spać.

Za pukanie przewidziany był karcer. Dopiero przed trzema dniami powróciłem z karceru, gdzie spędziłem straszny tydzień. Na samą myśl, że będę musiał tam powrócić, zrobiło mi się słabo. Lecz strażnik był życzliwy dla więźniów. Zwrócił się do Makedona:

— Czy ci nie wstyd? Powinniście przecież nawzajem sobie pomagać. Daj tu tę kartkę.

Zabrał tekturę i powiedział do mnie po cichu:

— Nic nie zamelduję.

Później, gdy zśliśmy do ustępu, pod jakimś pozorem wywołał mnie na korytarz i powiedział:

— Jak z kimś takim siedzisz w celi, musisz uważać. Popatrz, jak wyglądasz. Nie możesz sobie na to pozwolić, by jeszcze raz pójść do karceru.

Inni strażnicy zachowywali się obojętnie, lecz poprawnie. Mieli prawo szykanować nas ale tylko środkami dozwolonymi przez sędziego śledczego. Regulamin więzienny był bardzo ścisły. Tylko sędzia śledczy był uprawniony do wykraczania poza ustawowe granice. Jeśli strażnik chciał nam wyrządzić jakąś krzywdę, mieliśmy prawo się bronić. Tym różniły się zasadniczo więzienia GPU od więzień Gestapo. W marcu 1943 roku siedziałem w osławionym centralnym więzieniu warszawskim, na Pawiaku. Pamiętam jeszcze, jaka śmiertelna trwoga ogarniała wszystkich więźniów, gdy przechodził SS-man. Już na samym początku strażnicy zrzucali nas kopniakiem po stromych schodach do piwnicy. Nie obchodziło ich, czy wylądujemy z połamanymi czy całymi zębami. Gdy byli w dobrym humorze, kazali nam nago czołgać się po brudnej podłodze i bili nas przy tym batami do krwi. Nie mogliśmy się bronić. Nie wolno nam było odezwać się do strażnika ani jednym słowem.

W Chołodnej Gorze fizyczne maltretowanie spowodowałyby

natychmiastową samoobronę więźnia. Pewnego razu — siedziałem w celi zbiorowej — wywołał mnie nowy strażnik. Wyglądał na brutala, nie wiem, czego ode mnie chciał. Przyparł mnie do ściany i wyglądało, że chce mnie uderzyć. Byłem stanowczo zdecydowany oddać mu. Widocznie zauważył to po moim wyrazie twarzy i odstąpił ode mnie. Gdyby doszło do bitki, dyrektor więzienia — zakładając, że dałoby się bezstronnie ustalić fakty — stanąłby po mej stronie. Tylko sędziom śledczym wolno było bić więźniów.

Pamiętam, że pewnego razu doszło do wyraźnego buntu więźniów i że dyrektor pomimo to stanął po ich stronie. Byliśmy w zbiorowej celi, 260 ludzi. Cella znajdowała się na parterze, wewnątrz więzienia. Wychodziło się z niej niemal wprost na podwórze, na którym oskarżeni odbywali spacer. Był morderczo mroźny zimowy dzień, w styczniu 1939 roku. Nowy strażnik ubzdurał sobie, że nauczy nas wojskowego ładu i porządku. Nie pozwolił na rozpoczęcie spaceru, dopóki wszyscy nie ustawią się w ordynku. Gdy to nastąpiło, trzymał nas jeszcze na miejscu i zażądał wyjęcia rąk z kieszeni. Wielu nie posiadało rękawic i marzło przeraźliwie. Wreszcie ogarnęła nas wściekłość. Starosta wydał rozkaz: Z powrotem do celi. Wszyscy zrezygnowali ze spaceru i podrażłowali do celi. Zdumiony strażnik pozostał sam na podwórzu. Złożył natychmiast meldunek. Przyszedł dyrektor i zbadał sprawę. Strażnik został przeniesiony. Nigdy go już nie widzieliśmy. Co prawda, wszystko to odbyło się po 1 grudnia 1938 roku, a więc po wielkim przełomie.

W połowie stycznia Makedon poszedł na przesłuchanie. Gewondian jeszcze nie wrócił ze szpitala. Byłem sam w celi. Przed dziewięciu miesiącami samotność w więzieniu była męczarnią. Teraz oddychałem pełną piersią. Mogłem leżeć i znowu rozmyślać. Przez pół roku tylko mówiłem a nie myślałem. Przemyślałem sobie swoją sytuację na nowo i z zadowoleniem stwierdziłem, że ją oceniłem trafnie. Czy teraz nadejdzie przełom? Aresztowania zmalały. Przynajmniej do naszej celi od trzech tygodni nie przyszedł nikt nowy. Proces Piatakowa był ostatnim procesem pokazowym. Tuchaczewskiego i czołowych oficerów sztabu generalnego skazano jako szpiegów w tajnym postępowaniu i rozstrzelano. Wszyscy czekali potem na proces Bucharina. Bucharin został aresztowany jeszcze w styczniu 1937 roku. Radek wymienił go na sali sądowej.

Bucharin był ostatnią wielką postacią ze starej gwardii bol-

szewików. Był on członkiem leninowskiego Politbiura. Później, po upadku Zinowiewa, został przewodniczącym Międzynarodówki Komunistycznej. W walce przeciw Trockiemu był Bucharin sprzymierzeńcem Stalina. Był to ostatni wielki teoretyk komunistycznego ruchu robotniczego. Człowieka takiego jak Bucharin chyba nie można było zlikwidować bez procesu, po prostu w drodze administracyjnej. Dlaczego jednak nie było procesu? Oczekiwano go od roku. Czy Bucharin odmawiał złożenia fikcyjnych zeznań? Czy po prostu nie chciał współdziałać? Przecież rozporządzali sposobami, by tych ludzi zmusić do odgrywania narzuconych im ról. Jakie to były sposoby, tego jeszcze wtedy nie wiedziałem. Jeśli jednak nie sprostali im taki Murałow, ten olbrzym, jakże mógł im się oprzeć Bucharin? Bucharin był człowiekiem wątłym, o delikatnej głowie uczonego. Mąk cielesnych na pewno nie mógłby długo wytrzymać. Dlaczego zwlekali z procesem?

Aresztowano Jagodę, długoletniego naczelnika GPU. Jakże nienawidzieliśmy wszyscy tego człowieka! Twórca czeki, Feliks Edmundowicz Dzierżyński, był twardy i okrutny. Ale nikt nie mógł mu odmówić ideowości. Już jego szlachetne rysy twarzy świadczyły za nim. Jego następcą, Mienżyński, wyglądał jak naukowiec. Pod jego panowaniem nie doszło jeszcze do wielkich wybryków. W okresie Jagody nastąpiło rozejście się mas ludowych z GPU. Nikt już nie przyznawał GPU dobrej woli. W czasie wojny domowej wielu odważnych rewolucjonistów wstąpiło do czeki. Lud roboczy upatrywał w niej miecz rewolucji. Od czasu Jagody każdy przyzwoity człowiek unikał zetknięcia się z GPU. Fotografia Jagody pojawiała się w gazetach rzadko. Jego zmięte oblicze nie wyglądało zbyt reprezentacyjnie. Był to biurokratyczny padalec i zimny drań. Przypominał Niemca Himmlera. Cały kraj cieszył się, gdy po procesie Zinowiewa musiał ustąpić i gdy później został aresztowany. Wielu widziało w tym sygnał, że Stalin zrozumiał fikcyjny charakter procesu i że pociągnął Jagodę do odpowiedzialności. Witaliśmy z całego serca nominację Jeżowa. Jakże mieliśmy się rozczarować. Nie było to już zimne okrucieństwo wobec wymaginowanych wrogów państwa, od Jeżowa zaczął się rozpętany obłęd reżymu, który systematycznie podcinał własne korzenie w narodzie.

Ale dlaczego aresztowano Jagodę? Czy i on ma wystąpić w procesie pokazowym? To byłoby interesujące. On przynajmniej musiał wiedzieć dokładnie, jak się przygotowuje oskarżonych, by powtarzali w jawnych procesach pokazowych obłudne oskarżenia przeciwko sobie samym. Czy znajomość tych metod nic mu nie pomoże? Czy technika gepistów okaże się skuteczna także w stosunku do ich własnego mistrza?

Bardzo było trudno rozeznąć się w tym wszystkim. Proces Bucharina, na który czekaliśmy, byłby konsekwentnym zakończeniem. Stara gwardia rewolucji byłaby w ten sposób wytopiona aż do przedostatniego człowieka. Ostatni był sam, na Kremlu. Ale Jagoda? Co ten człowiek miał wspólnego ze starymi bolszewikami? Czy samo jego pojawienie się na tej samej ławie oskarżonych nie było hańbą dla pamięci męczenników rewolucji?

Może nie dojdzie już do procesu Bucharina. Może Stalin dostrzegł nareszcie, jakie rany zadała czystka krajowi. Może przełom nastąpił już teraz.

Nic już nie rozumiałem i byłem zmęczony dociekaniem. Wstałem i spokojnie porządkowałem swe rzeczy. Moją uwagę zwróciły futrzane rękawice, które mi Laura Michajłowna przysłała w październiku. Po co futrzane rękawice? Przecież nie byłem zesłany do obozu. Laura Michajłowna pomyliła się. Położyłem się znowu i bawiłem się rękawicami. Coś zaszeleściło. Zerwałem się zelektryzowany. Wziąłem odłamek szkła i rozciąłem rękawice. Znalazłem wewnątrz bibułkę papierosową. Rozwinąłem ją i przeczytałem:

„Ewa jest wolna, w Austrii. Także Wiki (był to brat Ewy) powrócił przed miesiącem do Wiednia. Kochany Alex, oczekujemy tam także pana i to bardzo rychło. Zanim pan jednak przyjedzie, musi pan bardzo uważać. Proszę po drodze zatrzymać się w Pradze i dać nam stamtąd znać. Skutkiem pańskiego aresztowania wie teraz cały świat, że jest pan komunistą. Także i ci, którzy o tym wiedzieć nie powinni, a mianowicie policja”.

Nie mogłem już leżeć spokojnie. Zatem wszyscy wyjechali i czekają tam na mnie. Czy to tylko zwrot retoryczny? Czy też Laura Michajłowna ma podstawę do pisania w ten sposób? Czy interweniowała w mojej sprawie u prokuratora, jak ja swego czasu w sprawie jej córki? Czy przyrzeczono jej moje zwolnienie?

Chodziłem niespokojnie tam i z powrotem. Nie miałem jeszcze w sobie poczucia, że zbliża się wolność. W podświadomości byłem przekonany, że będę musiał przebyć do samego końca drogę wielkiej czystki. Kiedyś nadejdzie dzień wolności, ale jeszcze nie teraz.

Po trzech dniach powrócił Makedon z przesłuchania. Był błądy i zmartwiony. Milczał. Wiedziałem od razu: wykończyli go. Przyznał się. Przeczył jednak, że w ogóle miało miejsce jakiegokolwiek poważne przesłuchanie. Był dumny i nie chciał się przede mną upokorzyć. Dawniej kłął, gdy mu opowiadałem o moim przejściowym załamaniu się latem. On, Makedon, nigdy się nie przyzna. Da się raczej pokrajać na kawałki. Teraz czułem: Make-

don się załamał. Przeczył temu. Dopiero znacznie później dowiedziałem się od pewnego więźnia, który należał do jego grupy, że miałem słuszność.

Gewondi powrócił ze szpitala. Był w dobrym humorze i opowiadał nam anegdotki i baśnie. Łagodził zawsze napięcie, panujące pomiędzy mną a Makedonem. W kilka dni później przyszedł nowy z „Brechałowki”. Ukraińiec. Opowiadał wiele o aresztowaniach wśród mniejszości narodowych. W mieście zamknięto wszystkie kluby Polaków, Bułgarów, Niemców, Greków, Łotyży, Armeńczyków i tak dalej. Wyliczył niemal piętnaście narodowości podlegających prześladowaniom. Wszystkich mężczyzn z tych grup zaaresztowano. Aresztowano każdego noszącego niemieckie lub armeńskie nazwisko. Wśród nich wielu Rosjan o niemieckich nazwiskach, którzy być może byli już szóstym pokoleniem o niemieckich przodkach; teraz byli zupełnymi Rosjanami, nie rozumiejącymi ani słowa po niemiecku.

Zapytałem go:

— Co w takim razie robią z republiką Niemców nadwołżańskich? Albo z republiką związkową Armenii? Przecież nie mogą tam wyaresztować całego narodu.

— Naturalnie nie. W republice nadwołżańskiej aresztują przeciętnie więcej ludzi niż w Rosji, ale naturalnie nie cały naród. Jak się zdaje, chcą tylko zniszczyć mniejszości w rosyjskich i ukraińskich miastach.

— Czy wielu z nich spotkałeś w „Brechałowce”?

— „Brechałowka” jest ich pełna.

— Nie rozumiem tego. Od miesiąca nie przyszedł do nas nikt nowy.

— Tych ludzi trzyma się aż do ukończenia śledztwa w więzieniu wewnętrznym. Potem przysyła się ich tutaj, albo do czwartego korpusu albo do zbiorowych cel drugiego korpusu.

Chołodnaja Gora składała się z większej liczby izolowanych budynków. Nasz blok stanowił „korpus nr 2”.

— Co zarzuca się tym ludziom?

— Zawsze to samo: szpiegostwo i agitację za oderwaniem ich ojczystego kraju od Związku Republik Sowieckich i za zjednoczeniem z kapitalistycznym krajem macierzystym.

— To przecież nonsens. Jak mogą Niemcy nadwołżańscy przyłączyć się do Berlina?

— Ja też tego nie rozumiem. Nie spotkałem Niemców nadwołżańskich. Natomiast widziałem wielu kolonistów niemieckich z obwodu Dniepropetrowskiego. Opowiadali rzeczy zgoła niezwykłe. GPU odczekało ukończenia żniw. Potem co niedziela aresztowali około czwartej części wszystkich mężczyzn. Po mie-

siącu kolonia była niemal zlikwidowana. Kobiety wysłano na Syberię na „wolne osiedlenie”. Dzieci zabrano podobno do olbrzymiej ochronki GPU na Kaukazie północnym. Wychowuje się je tam na Rosjan. Otrzymują rosyjskie nazwiska, aby rodzice nigdy nie mogli ich odnaleźć. Dzieci zapominają o swym pochodzeniu.

Zdrętwiałem. Nie mogłem w to uwierzyć. Stalin był w pierwszym rządzie sowieckim ludowym komisarzem dla spraw narodowościowych. Napisał wielką książkę o problemie narodowościowym. Rewolucja rosyjska wypisała na swych sztandarach wolność małych narodów i autonomię kulturalną mniejszości. Stalin sam urzeczywistnił w czasie rewolucji i wojny domowej tę leninowską politykę narodowościową. Każdy naród, żyjący na zwartym obszarze, otrzymał własną republikę autonomiczną. Odpryski, mieszkające w rozproszeniu na obszarach wielkich narodów, otrzymały gazety, kluby i teatry w swych językach macierzystych. Odwieczny spór narodów w dawnej Rosji dobiegł końca. Nikt już nie czuł się uciskany. Powstał bratni związek ludzi wszystkich języków. Urzeczywistnienie socjalnych zapowiedzi rewolucji było sprawą odległej przyszłości. Zależało ono od rozwoju sił produkcyjnych kraju. Jednak problem narodowy został rozwiązany ostatecznie. A teraz, w dwadzieścia lat po rewolucji, miałby Stalin na nowo go otworzyć? Było to niepojęte.

W rok później znalazłem się w celi zbiorowej, w której siedziało 260 ludzi z 22 różnych narodów. Mogłem się wtedy przekonać, że Ukrainiec nie kłamał. Grupy mniejszościowe w miastach głównych narodów Związku uległy całkowitej likwidacji. Wyniszczeniu podlegały jednak często i narody karłowate, mające własne obszary osiedlenia. Fantazja czekistów produkowała najosobliwsze kwiatki. Powracający z obozów opowiadali często niewiarygodne historie. Gdzieś w Rosji północnej, w pobliżu Uralu, żył sobie mały narodek, spokrewniony etnicznie z Finami. Wypadła mi z pamięci jego nazwa. Jego język należał do grupy ugro-fińskiej. Chłopi ci jednak o tym nie wiedzieli, zresztą wiedzieli o tym tylko zawodowi filolodzy. Od jednego z nich dowiedzieli się o tym gepiści. Zaaresztowali Bogu ducha winnych chłopów i zmusili ich do przyznania się, że zamierzali oderwać swe wioski od Związku Sowieckiego, by je przyłączyć do Finlandii. Gepistom nie przeszkadzał fakt, że obszar ten dzieliło od Finlandii 1.000 kilometrów rosyjskiej ziemi. Wsie zostały zlikwidowane. Chłopi — posłani do obozu. W celi zbiorowej spotkałem Greków, którzy mieli zamiar przyłączyć zamieszkaną przez nich obszar Taganrogu do Grecji, oddzielonej od nich morzem. Spotkałem bułgarskich ogrodników, którzy chcieli wcielić część po-

łudniowej Ukrainy do Bułgarii. Mniejszości na Dalekim Wschodzie pracowały nad przyłączeniem się do Japonii, Chin lub Mandżurii. Mniejszości na Kaukazie — do Persji lub Turcji. W Azji centralnej małe narody szukały związania się z Afganistanem. GPU nie było wybredne. Potrzebne mu były ruchy separatystyczne, więc je konstruowało, nie dbając o położenie geograficzne i o historię tych odprysków. Wynajdywało irredentę wśród prymitywnych mniejszości, które nigdy nie zdawały sobie sprawy ze swego związku etnicznego z innymi narodami.

Przeciwko pewnym grupom w kraju GPU stosowało represje, nie przyznając się do nich. Nie znajdowały one odbicia w prawodawstwie krajowym ani nawet w rozporządzeniach administracyjnych. Lecz walka przeciwko małym narodom, która zaczęła się w roku 1937 i doprowadziła do wytepienia mniejszości w miastach rosyjskich, była zupełnie jawna. Do celi przyszli później oficerowie, którzy mi opowiadali, że otrzymali z komisariatu wojny okólnik, nakazujący zameldowanie wszystkich oficerów narodowości polskiej, niemieckiej, łotewskiej czy innej w swych jednostkach. Odnośni oficerowie zostali oficjalnym rozporządzeniem zwolnieni z armii i w dwa dni później aresztowani. Reżym przyznawał się zatem do ucisku mniejszości.

Nie mogłem się uspokoić i kontynuowałem dyskusję z Ukraińcem.

— Jednego tylko nie rozumiem: w przyjętej w roku ubiegłym konstytucji stalinowskiej zagwarantowane jest prawo każdego narodu do oderwania się od Związku Republik Sowieckich. Jak można w oficjalnym oskarżeniu zarzucać ludziom, że chcieli uczynić użytek ze swego konstytucyjnego uprawnienia?

Ukraińiec wzruszył ramionami:

— A to wszystko, co z nami wyrabiają? Czy to jest konstytucyjne? Jesteśmy niewinni, a przecież nas zamykają.

— Nie rozumiesz mnie, towarzyszu. Zamykają nas, chociaż jesteśmy niewinni. Ale oskarżają nas o prawdziwe zbrodnie i zmuszają nas do przyznania się do nich. Nie wpadnie im na myśl, by nas oskarżać, że walczyliśmy o socjalistyczną rewolucję. Jednakże — jak mówisz — oskarżają mniejszości, że chciały skorzystać z swych konstytucyjnych uprawnień.

— No tak towarzyszu, konstytucja przecież tego nie bierze na serio. Konstytucja mówi też o wolności słowa, prasy, zgromadzeń. Wierzysz w to?

Ukraińiec był człowiekiem skromnym, ale mądrym. Nasza rozmowa wchodziła na grunt niebezpieczny. Pomimo to odpowiedziałem:

— Towarzyszu, to nie jest zupełnie tak. Oczywiście nie ma

wolności słowa. Gdyby ktoś dzisiaj poszedł na rynek w Charkowie i wygłosił tam przemówienie, byłby natychmiast zamknięty. Nie oskarżaliby go jednak, że uczynił użytek z zagwarantowanej konstytucją wolności słowa. Zmuszaliby go do przyznania się, że jest agentem Gestapo. Szpiegostwo zaś jest zabronione także w konstytucji. Mniejszościom zarzucają jednak, że chciały się oderwać od Związku. A na to konstytucja pozwala.

Wmieszał się Makedon:

— Nie prowadźcie tutaj kontrrewolucyjnych rozmów, wy dwaj. Cała republika ma prawo się oderwać. To stoi w konstytucji. Ale nikt nie ma prawa za tym agitować. To jest kontrrewolucja.

— No tak, ale w takim razie jak się to ma odbywać? Skąd rząd tej republiki ma wiedzieć, czy naród chce się oderwać? Ktoś musi przecież wystąpić z takim projektem i za nim przemawiać. A to, jak powiadasz, już jest agitacja.

— *Paszol k'jobanoj materi*. Nie masz prawa krytykować tu naszej konstytucji.

Dałem spokój.

Zaczął się luty. Nikt nowy nie przychodził, nikogo z nas nie wołano na przesłuchania, byliśmy całkowicie odcięci. Przygnębiała nas monotonia owych dni. Wieczorami ja opowiadałem, a potem Ukrainiec śpiewał pieśni ludowe. Śpiewał bardzo cicho i bardzo pięknie. Makedon był muzykalny. Godziny te były jedynymi, w których dawał nam spokój. Jeśli Włosi stworzyli wielkie malarstwo, a Niemcy — muzykę symfoniczną, to Ukraińcy — pieśń ludową. Coraz to nowe pieśni powstawały w siołach. Melodie były melancholijne, mimo to przepiękne. Teksty nie banalne. Język nagiął się do melodii. Pozostały w mej pamięci poszczególne pieśni i ich teksty, aczkolwiek nigdy ich od tego czasu nie słyszałem. Wszyscy byliśmy wdzięczni Ukraińcowi. Także i strażnicy mu nie przeszkadzali. Myślę, że przysłuchiwali się zza drzwi. Musieli przecież też być znudzeni swym monotonnym zawodem.

W połowie marca cisza się skończyła. Zaczęła się nowa fala masowych aresztowań. Pewnego wieczoru otworzyły się drzwi i przyszło do nas 14 ludzi jednocześnie. Była to cała cela z więzienia wewnętrznego. Przeniesiono ją tutaj, by zrobić miejsce dla nowego przyływu. Nowi przynieśli dwie ważne wiadomości: Wojska Hitlera wmaszerowały do Austrii, zaczął się proces Bucharina.

Na czele nowoprzybyłych stał ich starosta, młodzieniec 28-

letni. Nazywali go po imieniu: Misza. Był to syjonista, prawdziwy, nie fikcyjny syjonista. Nie wyglądał jak Żyd, raczej jak rosyjski student z dawnej szkoły. Jako gimnazjalista należał już po rewolucji do syjonistycznej grupy skautowej. Po rozwiązaniu i delegalizacji organizacji syjonistycznych, zachował sympatie dla żydowskiego ruchu narodowego. Teraz oskarżali go o to, że jest przywódcą kontrrewolucyjnej organizacji syjonistycznej i szpiegiem Intelligence Service. Wszyscy aresztowani syjoniści byli w oczach NKWD angielskimi szpiegami. Albowiem Anglia była protektorką żydowskiej siedziby narodowej w Palestynie. Nie tylko NKWD zwalczało syjonistów jako zakazaną, kontrrewolucyjną partię w Rosji. Także Komintern zajmował w owym czasie stanowisko przeciwne syjonizmowi jako ruchowi imperialistycznemu na żoździe Anglii.

Najbardziej interesujący spośród nowych był Władimir Iwanowicz Kusznarenko. Dzieje jego życia były równie niezwykle, jak dzieje jego śledztwa.

Jako osiemnastolatek Kusznarenko przemycił podczas rewolucji 1905 roku socjalrewolucyjne ulotki do koszar i przyłapano go na tym. Został skazany na dożywotnie zesłanie na Syberię. Po przybyciu na miejsce zesłania dawał sobie początkowo radę jako nauczyciel i fotograf. Był namiętnym myśliwym i rybakiem. Nad wielkimi rzekami Syberii napotykał tu i tam koczownicze plemiona jakuckie. Przyłączył się do jednego z nich i wędrował z tubylcami przez tajgę. Dotarli daleko na północ, do okolic nietkniętych przedtem stopą Europejczyka. Kusznarenko zakochał się w krajobrazie północy i w pięknej dziewczynie mongolskiej. Pobrali się. Kusznarenko został uroczyście przyjęty do plemienia. Małżeństwo udało się. Jakutka dała mu czterech synów.

W roku 1613 na tron rosyjski wstąpił Michał Feodorowicz Romanow, założyciel panującej dynastii. Rządząca rodzina z dumą wywodziła się od pierwszego Romanowa, choć w rzeczywistości pochodziła z niemieckiego domu Holstein-Gottorpów. Dla uczczenia 300 rocznicy Romanowych car wydał powszechną amnestię. Zesłańcom pozwolono wracać. Także i Kusznarenko. Ale nie potrafił się pozostać z tajgą. Jak wielu innych, uległ czarowi tego krajobrazu. Pozostał.

Wybuchła wojna. Kraj Jakutów nie był objęty mobilizacją. Kusznarenko zapomniał o świecie. Przemierzał jak dawniej szerokie stopy tajgi i puszcze kraju Jakutów.

W lutym 1917 roku przyszła rewolucja. Był to zbyt silny magnes. Na dzień ten czekały pokolenia rosyjskich bojowników wolności.

Kusznarenko zabrał żonę i czworo dzieci. Z ciężkim sercem

rozstawiał się z Mongołami, których polubił. Lecz czekały na niego wielkie sprawy.

Powróciwszy do Europy, Kuszarenko wstąpił natychmiast do partii bolszewickiej. Przez czas jakiś walczył w grupie czerwonych partyzantów. Potem został dowódcą pułku Armii Czerwonej. Bił się z odwagą i rozumą na wszystkich frontach wojny domowej. Po zdruzgotaniu białych armii admirała Kołczaka został odznaczony.

Wojna domowa skończyła się. W roku 1922 Kuszarenko opuścił armię. Partia postawiła go na czele wielkiej fabryki w Charkowie. I tam zdał dobrze egzamin. Był dyrektorem, którego robotnicy kochali za dobroć i ludzkość i który mimo to wypełniał plany produkcji. Także jego działalność gospodarcza była znakomita.

Jego czterej synowie podrośli. Wszyscy czterej zostali kapitanami lotnictwa i cieszyli się sławą znakomitych oficerów i odważnych lotników.

W zyciorysie Władimira Iwanowicza Kusznarenki jako człowieka i jako rewolucjonisty nie było żadnej plamy. Jednakże późnym latem 1937 roku przyszli i zaaresztowali go na wielkiej hali jego fabryki. Przed 32 laty rozdzielał wśród żołnierzy caratu ulotki socjalrewolucyjne. Był zatem starym socjalrewolucjonistą.

Zalił się:

— Aleksandrze Siemionowiczu, wierzcie mi, nigdy nie byłem członkiem partii socjalrewolucyjnej. Byłem wtedy gimnazjalistą, miałem 18 lat. W kraju wybuchła rewolucja. Z Petersburga nadchodziły emocjonujące wiadomości. Powstały tam już rady robotnicze. Także my młodzi na prowincji chcieliśmy coś zrobić dla rewolucji. Kolega przyniósł do szkoły ulotki. W nocy poszliśmy i wrzuciliśmy przez okno do koszar stos ulotek. Warta nas spostrzegła i ostrzelała. Mój kolega uciekł. Mnie złapali. To wszystko.

Skądże mogłem wówczas wiedzieć, że to nie były dobre ulotki? U nas, na prowincji, nie mieliśmy pojęcia o tym, że właściwie należy być bolszewikiem, a nie socjalrewolucjonistą. Lecz nigdy nie byłem socjalrewolucjonistą, wierzcie mi.

Byłem wstrząśnięty:

— A gdybyście byli socjalrewolucjonistą, towarzyszu Kusznarenko, co w takim wypadku?

— W takim wypadku nie powinienem bym się teraz zalić. W takim wypadku sam wybrałbym swój los.

— Władimirze Iwanowiczu, nie rozumiem was. Dlaczego wypieracie się swej przeszłości? Czy walczyliście w roku 1905 o ucisk, czy o wolność? Za lud, czy za cara? Czy doszliście już tak

daleko, że podzielacie poglądy NKWD? Znaczy to więc, że wygodniś, który w roku 1905 siedział w domu nie mając ochoty narażać się na niebezpieczeństwa, obecnie jest w oczach NKWD dobrym człowiekiem, którego się nie rusza. Natomiast socjalrewolucjonista, który narażał życie i wolność w walce przeciw samodzielnemu, jest kontrrewolucjonistą. Zastanówcie się, towarzyszu Kuszarenko. Jeśli my sami tutaj zagubimy właściwe pojęcia, to ten obłąd nigdy się nie skończy.

Odpowiedział zrezygowany:

— Macie rację, Aleksandrze Siemionowiczu. Jestem jednak już zbyt zmęczony, by jeszcze walczyć o prawdę. Byłbym szczęśliwy, gdyby mi pozwolili powrócić na Syberię, na wolną zsyłkę. Nigdy nie powinienem był stamtąd odchodzić.

Kuszarenko był człowiekiem wysokiego wzrostu, o niezwykle ujmujących rysach twarzy. Liczył obecnie ponad 50 lat, chociaż nieco pochylony do przodu. Ruchy miał opanowane, cała jego istota promieniowała spokojem i poczuciem własnej wartości.

Był głęboko zdeprymowany. Ze swym losem mógłby się jeszcze pogodzić. Dzielił go z milionami. Dokuczała mu jego szczególna sytuacja w śledztwie:

Był oskarżony z paragrafu 54,2. — § 54,2 odnosił się do powstania zbrojnego. Naturalnie w kraju nie było żadnych powstań. Oskarżenie, jak zawsze, dotyczyło początkowo tylko rozmów, które miały jakoby doprowadzić do powstania. Niestety śledztwo w sprawie grupy Kuszarenki dostało się w ręce młodego, niedoświadczonego sędziego śledczego, który przejął tę sprawę od innego sędziego, w międzyczasie także zaaresztowanego. Ów młody sędzia śledczy musiał zapomnieć, że żył w królestwie fikcyj. Być może nigdy tego nie rozumiał. Wziął oskarżenie na serio. Dotyczyło zbrojnego powstania. Do powstania zbrojnego potrzebna jest broń. Gdzie ona jest schowana? Protoplastą tej organizacji był stary socjalrewolucjonista nazwiskiem Siemionow. Nie oparł się on torturze i wymienił kilku innych. Sędzia śledczy domagał się broni. Przyparty do muru, Siemionow zmyślił istnienie tajnego składu broni pod zarządem swego pomocnika Lebediewa. Aresztowano Lebediewa.

— Wydaj broń, ty psie kontrrewolucyjny.

Lebediew znalazł się w położeniu przymusowym. Broń, to sprawa konkretna. Broń, to nie są rozmowy. Kontrrewolucyjną rozmowę można było zmyślić. Rozmówca zostawał aresztowany, po krótkim konwejerze potwierdzał rozmowę, która nigdy nie miała miejsca i na tym sprawa dobiegała końca. Tajny skład broni musiał być wykryty i skonfiskowany. Dlatego też sędziowie śledczy wystrzegali się wymuszania zeznań, obejmujących konkretnie

corpora delicti. Ten sędzia śledczy wpadł. Jego koledzy i przełożeni nie mogli go uświadomić. Wszyscy oni żyli w królestwie fikcyj, lecz — jak ludzie w bajce Andersena o nowych szatach cesarza — musieli brać fikcje na serio. Danie koledze do poznania, że „to wszystko jest przecież oszustwem, nie doprowadzajcie sprawy zbyt daleko, gdyż zamkniecie sobie drogę odwrotu”, mogło doprowadzić do natychmiastowego aresztowania życzliwego doradcy. Dopiero w trakcie pracy poznał niczego nie przeczuwający sędzia śledczy, do czego doprowadziła jego przesadna gorliwość.

Lebiediew nie miał broni, toteż nie mógł jej wydać. Nie mógł też zmyślić, że miał broń i że ją gdzieś zakopał. Sędzia śledczy byłby zobowiązany do jej odkopania. Lebiediew początkowo przeczył, by kiedykolwiek otrzymał broń od Siemionowa. Po kilkudniowym „nacisku” w śledztwie załamał się. Wziął na siebie zakazaną broń i oświadczył, że posłał ją Smirnowowi, innemu członkowi organizacji. Aresztowano Smirnowa. Zabawa zaczęła się na nowo. Smirnow przekazał broń koledze Łysence. Nieistniejąca broń przechodziła tym sposobem z rąk do rąk. Zanim otrzymał ją Kusznarenko, przeszła już przez jedenaście osób. Przysłał mu ją niejaki Gurewicz, odpowiedzialny urzędnik trustu zaopatrującego fabrykę Kusznarenki w surowce.

Kusznarenko również uległ naciskowi śledztwa i przyznał się do winy. Przyznał, że został zwerbowany do kontrrewolucyjnej organizacji. Uparcie odmawiał jednak werbowania innych. Bili go już od kilku tygodni. Był u kresu sił. A jednak nie mógł się zdecydować na wciągnięcie swych przyjaciół w nieszczęście. Zabierali go co dzień o północy i przez dziesięć godzin wypytywali o broń. Byliśmy świadkami jego tragedii. Nie mógł on „przyjąć” broni od Gurewicza, gdyż musiałby wymienić kogoś, komu ją w dalszym ciągu przekazał. Tego właśnie chciał uniknąć. Każdego ranka wracał wyczerpany i zrozpaczony.

Młody Misza kochał starszego pana jak ojca. Dbał o jego rzeczy, cerował jego skarpetki, skręcał mu papierosy, pocieszał go z bezgraniczną tkliwością. Nic nie mogło złagodzić rozpaczyny Kusznarenki.

Odbyliśmy naradę wojenną. Zapytałem Kusznarenkę:

— Jakim człowiekiem jest Gurewicz?

— Dlaczego o to pytasz?

— Jeśli to bandyta, to istnieje droga wyjścia: Możesz mu po prostu odesłać broń z powrotem.

— Co ci do głowy przychodzi, Aleksandrze Siemionowiczu. Gurewicz jest moim bliskim przyjacielem i wspaniałym człowie-

kiem. Jeśli on mnie zwerbował, to musieli go już kompletnie wykończyć.

— No tak, ale co w takim razie zrobimy z bronią?

W nocy wpadłem na pomysł. Gdy Kuszarenko rano powrócił, zapytałem go:

— Powiedz, Wołodia, kiedy ci przysłano broń?

— W sierpniu 1936 roku. Gurewicz mówi, że wysłał z Moskwy do mojej fabryki skrzynie z fałszywą deklaracją. W skrzyniach znajdowały się karabiny maszynowe. Skrzynie miały być złożone na składzie w magazynie mojej fabryki. Według deklaracji, miały to być części zapasowe do naszych maszyn.

— Bardzo dobrze, Wołodia. Widzę drogę wyjścia. Czy masz jakiego przyjaciela, który ostatnio umarł?

— Nie.

— Zastanów się dobrze. Może to być daleki znajomy. Musisz tylko dokładnie znać jego personalia.

— Na co ci to potrzebne?

— Przecież to jasne. Możemy posłać broń nieboszczykowi.

Po chwili Kuszarenko powiedział:

— Jest Petrowski, Aleksander Iljicz. Umarł jakoś przed rokiem w Sumach. Ale on nie wchodzi w rachubę.

— Dlaczego nie?

— To był staruszek 70-letni. Uczył mnie w gimnazjum geografii. Bezpartyjny. Człowiek zupełnie apolityczny. Nie da się z niego zrobić powstańca. Nie przyjmą go.

— Nie ośmieszaj się, Kuszarenko. Sędzia śledczy ucieszy się, że będzie mógł zamknąć tę sprawę. Przyjmie, co mu w ręce popadnie.

Kuszarenko nie chciał. Myśl o zrobieniu powstańca ze starego profesora wydawała mu się absurdalna:

— Jeśli przyznam, że otrzymałem broń, zaprotokołują to i nie będę mógł się wycofać. Petrowskiego zaś odrzucą i zażądadają kogoś z moich bliskich towarzyszków.

— Kuszarenko, mam w tych sprawach więcej doświadczenia niż ty. Sędzia śledczy szuka zakończenia tej historii. Człowiek żyjący nie jest zakończeniem. Potrzeba mu nieboszczyka.

Misza przyłączył się do mego zdania. Nalegaliśmy na Kuszarenkę. Nie mógł się zdecydować. Męczył się jeszcze przez trzy dni. Każdej nocy był na przesłuchaniu. Nie mogliśmy już na to patrzeć. Wreszcie Misza zebrał się na odwagę:

— Władimirze Iwanowiczu, gdy pójdziesz znowu tej nocy, podaj z zamkniętymi oczyma Petrowskiego. Jeśli powrócisz z tym, że znowu nic nie zrobiłeś, żywa dusza tu z tobą słowa więcej nie zamieni. Mamy dość twojej historii. Raz trzeba zrobić koniec.

Kusznarenko już się nie bronił. Przyrzekł, że to zrobi.

Zabrali go o północy. Po dwóch godzinach powrócił i zbudził nas wszystkich. Był objuczony papierosami i tytoniem. Cała twarz mu promieniała:

— Aleksandrze Siemionowiczu, miałeś zupełnie słuszność. Sędzia śledczy niemal mnie uściskał, gdy mu powiedziałem, że broń przyjął Petrowski i że umarł. Po dziesięciu minutach mój protokół był skończony. Dostałem dobrą kolację i tyle tytoniu.

Uściskaliśmy Kusznarenkę. Kamień nam spadł z serca.

Wśród nowych znajdowało się wielu sympatycznych ludzi. I tak na przykład Zborowski. Poprzedzał go wielki rozgłos. Dowodził armią 40 milionów. Nie byli to jednak żołnierze, lecz pszczoły. Był bartnikiem. Już w roku 1929 został wykluczony z partii. Był wówczas przewodniczącym pewnego trustu. W jakiejś jego publikacji — nie wiem dokładnie co to było, książka czy też broszura ekonomiczna — partia odkryła odchylenie od linii generalnej. Zborowski i jego przyjaciel Kapłan zostali wykluczeni. Zborowski nawet nie wniósł odwołania. Opuścił miasto i osiedlił się w pobliżu Charkowa jako bartnik.

Także i tutaj był urzędnikiem państwowym. Z ramienia komisariatu rolnictwa dbał o rozwój bartnictwa w obwodzie charkowskim. Kochał swój zawód i był szczęśliwy, że nie musiał chodzić do miasta. Nienawidził miasta, nienawidził dyskusji partyjnych, nienawidził powszechnego kłamstwa, przesycającego cały kraj. Zborowski był przy tym człowiekiem politycznym. Często z nim mówiłem. Wiązał swe nadzieje z rewolucją niemiecką. Myślał, że uniknie ona błędów rewolucji rosyjskiej, że postawi Stalina przed sąd Międzynarodówki. Nowe mocarstwo rewolucyjne powstanie na Zachodzie. Rewolucyjna Europa obali despotyzm rosyjski, w razie potrzeby orężnie. Podzielałem podówczas jego poglądy. Dopiero w roku 1946 uświadomiłem sobie ich utopijny charakter.

Zborowski opowiadał:

— Kapłan aresztowany został jeszcze na dwa lata przede mną. Już nie żyje. Ale przed śmiercią zwerbował mnie. Już w roku 1929 przewidywałem, co musi nadejść. Nie chciałem wracać do partii. Nie chciałem być zmuszony do codziennych kłamstw. Nie chciałem już patrzeć na ludzi. Myślałem, że o mnie zapomną. Ale oni mają dobrą pamięć.

Inny lokator naszej celi miał podobne dzieje. I on został z partii wcześniej wykluczony. I on nie ubiegał się o ponowne przyjęcie i trzymał się z dala. Chociaż intelektualista z wykształ-

cenia, wziął się do pracy fizycznej. Został murarzem i wędrował z jednej budowy na drugą. Nigdzie nie pozostawał dłużej jak dwa miesiące. Nie mogli go znaleźć. Zasypał się przez przypadek.

Pewnego wieczoru po pracy, organizator partyjny wygłosił referat dla robotników budowlanych. Mówił o sytuacji międzynarodowej i o Lidze Narodów. Mówił głupstwa, od których włosy stawały na głowie. Nasz towarzysz nie mógł tego wytrzymać. Zabrał głos w dyskusji i sprostował błędy organizatora partyjnego. Ten ostatni zauważył wysokie wykształcenie murarza. Zawiadomił GPU. GPU wezwało Łagodina i zażądało jego życiorysu. Z uzyskanych od niego danych enkawudyści dowiedzieli się, że Łagodin był niegdyś komunistą i że został wykluczony z partii. Należał zatem do kategorii ludzi, których należało aresztować. W tej małej prowincjonalnej miejscowości nie mieli jednakże żadnego materiału dowodowego przeciwko niemu. Nie prowadzili jego teczek. Zwrócili się do Charkowa. W międzyczasie nie mogli go aresztować. Nikt na miejscu nie mógł go zwerbować, gdyż nikt go nie znał. Postąpili tak samo, jak swego czasu postąpili ze mną. Wzywali go przez kilka dni z rzędu i wypytywali o znajomych, już aresztowanych. Nazwiska przekazywali telefonicznie do Charkowa. Ale i w Charkowie zwerbowanie go nie było sprawą prostą. Do tego stopnia po wykluczeniu z partii unikał stykania się z ludźmi, że nikt go nie znał. Nie miał żony, nie miał dziecka, nie miał przyjaciela, nie miał stałego miejsca zamieszkania. Na koniec znalazł się werbownik.

W więzieniu wewnętrznym charkowskiego NKWD siedział człowiek, który go znał z dawniejszych czasów. Nazywał się Rudenko i był przewodniczącym jakiegoś trustu budowlanego. Murarz Łagodin był przed kilku laty zatrudniony w jakimś oddziale tego trustu. GPU mogło ubić tu dwie muchy jednym uderzeniem. Przedsiębiorców budowlanych obwiniano najczęściej o sabotaż i dywersję, robotników budowlanych — również. Przewodniczący Rudenko naturalnie nie wiedział, że Łagodin stał się murarzem i pracował w jego truście. Znał Łagodina jeszcze z czasów, gdy ten był poważanym partyjnikiem i dyrektorem. GPU powiadomiło go o losie dawnego kolegi i powiązało ich z sobą. Rudenko zwerbował Łagodina i „wydał” mu polecenie sabotażu.

Z życiorysu Łagodina NKWD dowiedziało się, że przed kilku laty pracował na budowie przemysłowej w Zagłębiu Donieckim. Po zakończeniu prac zawalił się tam pewien obiekt.

Doszło do nieszczęścia ponieważ kierownik budowy przy 10-ciu stopniach mrozu zmuszał robotników do murarki bez zastosowania nieodzownych środków technicznych. Cement nie zwią-

zał należycie cegieł. Na wiosnę, podczas gwałtownej burzy, zaważyło się całe skrzydło.

Właśnie Łagodin protestował przeciwko dalszej pracy, o ile nie będzie się betonu sztucznie podgrzewać. Kierownik budowy zlekceważył ostrzeżenia prostego robotnika. Bynajmniej nie z powodów „kontrrewolucyjnego sabotażu”. Podgrzewanie kosztowało. Nie miał już w preliminarzu żadnych wolnych kwot. Chciał doprowadzić budowę do końca bez trudności finansowych i myślał, że się bez tego obejdzie.

Wszystkie te okoliczności można było stwierdzić bezstronnie, mianowicie katastrofa doprowadziła swego czasu do śledztwa sądowego. Kierownik budowy — było to jeszcze przed okresem wielkiej czystki — został skazany za zaniedbanie obowiązkowego nadzoru. Gdzieś tam odsiadywał karę. I to go ocaliło przed oskarżeniem o kontrrewolucję.

Łagodin zażądał protokołów ówczesnego postępowania sądowego. Nic mu to wszystko nie pomogło. Po krótkim konwejerze Łagodin i Rudenko podczas konfrontacji zgodzili się na następujący protokół:

Rudenko nakazał akt sabotażu, Łagodin go wykonał.

W tym czasie ruch w celach był bardzo żywy. Terminy śledztwa ulegały skróceniu. Nieustannie przychodzili do celi nowi ludzie. Inni odchodzili etapem. Strzegłem się przed nawiązywaniem przyjaźni. Przyjaciele odchodzili, ja zostawałem. Rozstanie było trudne.

Wiadomości o aresztowaniach w kraju wzburzały mnie i Kuszarenkę. Makedon cieszył się z cudzego nieszczęścia. Inni spodziewali się, że nadmiar aresztowań rozwali kiedyś fikcję „wrogów ludu”; Stalin zrozumie, że są niewinni i zwolni ich. Nie znali Stalina.

We wszystkich celach więźniowie dociekali politycznego sensu tej obłądnej akcji. We wszystkich celach dyskutowali, lecz nie mogli się pogodzić.

Duża część więźniów podzielała teorię o potrzebnych na północy siłach roboczych. Oponowałem gwałtownie.

Łagodin dowodził:

— Nikt im nie będzie budował kanałów, jeśli nie będzie do tego zmuszony. Praca jest zbyt ciężka, a klimat zbyt surowy. Trzeba by przecież płacić ludziom podwójne wynagrodzenie, a to byłoby za drogie. My jesteśmy tańszą siłą roboczą.

— Jesteśmy najdroższą siłą roboczą, jaką zna historia — mówiłem. — Łagodin, jesteś marksistą. Wiesz, że praca przymu-

sowa w najrozmaitszych formach — niewolnictwo i pańszczyzna — niegdyś panowała w całej Europie. Zastąpiła ją wolna praca najemna. Nie dlatego, że burzyli się wyzyskiwani, lecz dlatego że praca wolna jest wydajniejsza od przymusowej. I przynosi więcej wyzyskiwaczom. Ale nie o tym chcę mówić. Chłopi pańszczyźniani nie byli profesorami uniwersytetów, jak ludzie posyłani teraz na północ. Popatrz na nasz Instytut. Trzeba było dwudziestu lat, zanim rząd sowiecki, zadając sobie nieskończenie wiele trudu i ponosząc olbrzymie wydatki, wykształcił wybitnych fizyków. Do czego może się nadać taki Szubnikow przy kopaniu kanału? Jest on w kraju najlepszym fizykiem od niskich temperatur. Rozwój przemysłu związków azotowych zależy częściowo od prac laboratorium. Aresztowali Obreimowa, naszego dawnego dyrektora. Jest to stary człowiek, który na pewno nie potrafi utrzymać w ręku łopaty, ale był dobrym badaczem fizyki kryształów. Czy masz pojęcie, ile kosztują tacy robotnicy ziemni, jak Obreimow i Szubnikow? Co się stanie z Instytutem? Nie zostanie zamknięty, co obecnie byłoby najlepsze. Będzie pracował dalej i będzie dalej pochłaniał dużo pieniędzy. Jednakże niczego nie dokáže.

Wmieszał się Makedon:

— Wam się tylko tak zawsze wydaje, że jesteście niezastąpieni. Pozamykano wszystkich dyrektorów fabryk, wszystkich naczelnych inżynierów, wszystkich kierowników oddziałów. Ich miejsca zajmują inni. A jednak produkuje się traktory i samochody i stal. Nie dam się wprowadzić w błąd. Bez was także się obejdzie.

— Makedonie, instytut naukowy to nie fabryka. Gdy na miejscu dobrego inżyniera postawi się złego, wzrastają braki, obniża się jakość. Traktor wytrzymuje trzy lata zamiast pięciu. Ale początkowo tego nie widać. Gdy w naszym Instytucie zaaresztujesz ośmiu czołowych naukowców, możesz go zamknąć. Nie masz rezerwy. Wyobraź sobie, że w jakimś szpitalu zaaresztowano wszystkich lekarzy. Pozostają sanitariusze, siostry i chorzy. Wszystko idzie po dawnemu. Od biedy pielęgnuje się chorych. Część ich wraca nawet do zdrowia. Większość chorób leczy wpływ czasu, a nie interwencja lekarza. Natomiast operacji nie potrafią przeprowadzić. Szpital bez lekarzy to nie szpital.

W maju powróciliśmy raz jeszcze do tego tematu. Przyszedł ktoś z więzienia wewnętrznego i przyniósł mi wiadomość o aresztowaniu Leipunskiego. Mój opór sprzed roku był zatem daremny. Jakże walczyłem przeciw Reznikowowi, który mnie chciał zmusić do obciążenia Leipunskiego. Od tego czasu otrzymywałem często wiadomości z Instytutu. Po raz ostatni w dniu 15 stycz-

nia 1938 roku, przez Nikołajewskiego. Raz jeszcze wezwał mnie Wajsband. Znowu w sprawie rozwodu. Wedle praw sowieckich płacono się za pierwszy rozwód 50 rubli. Wajsband zapytał mnie, czy zgadzam się na podjęcie tej kwoty z mego konta w więzieniu. Odmówiłem. Tych 50 rubli oznaczało niegłodowanie przez miesiąc lub dwa. Powiedziałem Wajsbandowi:

— Mam pieniądze w charkowskiej kasie oszczędności. Ponad 10.000 rubli. Mogę wam tutaj wystawić czek. Jednakże nie chcę ruszać mych pieniędzy w więzieniu. Byłbym wam wdzięczny, gdybyście polecili przekazać mi tutaj z kasy oszczędności jeszcze 500 rubli. Nie wiem, jak tu jeszcze długo będę musiał siedzieć.

— W takim razie o nic się nie martwcie, Weissberg. Najdalej za miesiąc będziecie rozstrzelani. Do tego czasu pieniądze wam wystarczy.

Nie ruszył jednak mych pieniędzy w więzieniu. W drodze powrotnej od Wajsbanda musiałem, przed przyjęciem do Chołodnej Gory, czekać z dwudziestu innymi więźniami. Poznałem wśród nich Nikołajewskiego. Był dopiero co aresztowany. Przez krótki czas był naszym sekretarzem partyjnym w Instytucie. Nigdy go nie lubiłem. Należał do grupy tych, którzy stale informowali GPU. Teraz jednak aresztowano już typowych stalinowców. Nikołajewski oświadczył mi:

— Leipunski został wykluczony z partii. Nie jest już dyrektorem, chociaż nie jest aresztowany. Szubnikow, Gorski, Obreimow, Rozenkiewicz, Komarow, Gusak są aresztowani. Lange — rzecz zdumiewająca — jest jeszcze na wolności, aczkolwiek jest Niemcem.

W lutym otrzymałem wiadomość o aresztowaniu Houtermansa. Martin Ruhemann został faktycznie wydalony. NKWD zmusiło Instytut do wypowiedzenia mu umowy. Aresztować go nie chcieli. Był angielskim obywatelem. Pewnego razu zaaresztowali trzech angielskich inżynierów. Rząd brytyjski odpowiedział na to zerwaniem stosunków handlowych. Takiej reakcji gepeciści nie oczekiwali. Nie mogli pojąć, by tak wielki kraj jak Anglia zaryzykował konflikt z innym wielkim krajem o trzech ludzi. Natychmiast jednak ugęśli się przed siłą. Inżynierów angielskich zwolniono, stosunki handlowe zostały wznowione.

Za Houtermansem nikt by się nie ujął. Był Niemcem, był komunistą. Opuścił Niemcy po objęciu władzy przez Hitlera i pracował w Anglii. Stamtąd w roku 1935 sprowadził go Leipunski do Instytutu. Po jego aresztowaniu trudno było cudzoziemcom oddychać powietrzem Instytutu. Houtermans zbierał się do wyjazdu. Ale zbyt długo zwlekał. Z początkiem roku 1938 otrzymał wizę wyjazdową. Pojechał z żoną i dwojgiem dzieci do Moskwy,

gdzie musiał oclić swój bagaż. Urząd celny zwlekał. Chodził tam codziennie. Formalności nie zostały jeszcze załatwione. Gdy czwartego dnia urgował, poprosił go urzędnik celny do pokoju dyrektora. Czekano tam na niego dwóch gepistów. Wylądował w więzieniu wewnętrznym charkowskiego NKWD. Żał mi było Fisela. Był to słabeusz, bardzo nerwowy i bardzo wrażliwy. Jak on przetrzyma śledztwa i więzienia? Był namiętnym palaczem. W czasie pracy zapalał jednego papierosa od drugiego. Nie mógł żyć bez kawy. Razem z Leipunskim pracował swego czasu nad ważnymi doświadczeniami, do których potrzebny był radon. Nie można go było otrzymać w Charkowie. Posyłano go co czwartek specjalnym samolotem z Leningradu. Radon rozpada się nadzwyczaj szybko, po kilku dniach pozostaje już tylko połowa. Pragnąc wykorzystać cenny gaz, Leipunski i Houtermans pracowali bez przerwy przez dwa dni i dwie noce. Houtermansa trzeba było nieustannie podtrzymywać świeżą kawą. Lena parzyła ją także i w nocy i co dwie godziny przynosiła do laboratorium. Cała nasza rodzina śledziła przebieg doświadczeń. Houtermans stale opowiadał Lenie bajki z dziedziny fizyki. W laboratorium jego stał licznik promieni kosmicznych, który tykał zawsze bardzo nieregularnie. Houtermans przekonywał Lenę, że przynosi on wiadomości z nieba. Lena mu nie wierzyła. Zresztą nie mylił się on tak bardzo.

Starałem się przemycać dla niego papierosy przez ludzi, idących do więzienia. Nie dotarły do niego, jak się przekonałem przy spotkaniu z nim w roku 1948.

W maju 1938 roku przyszedł nareszcie Leipunski. Dowiedziałem się wszystkich szczegółów. Wrócił właśnie z dłuższej wycieczki, zdaje mi się na Krym, gdy go zabrali. Opalony, świeży i młodzieńczy, cieszył całą celę swą wesołością i spokojem. Miał ze sobą wielki worek z sucharami. Mówił:

— Czekałem na nich już od dawna. Późno mnie zabrali.

Pomimo swej skromności wybił się wkrótce w celi na pierwsze miejsce. Zjednywał sobie serca tutaj, tak samo jak przedtem na wolności. Cała celi z zapartym tchem słuchała codziennie przez dwie godziny jego wykładu z dziedziny fizyki.

W maju mogłem zbilansować działalność GPU w sprawie Ukraińskiego Fizyczno-Technicznego Instytutu. Uczyniłem to, gdy rozmowa zeszała znowu na teorię siły roboczej:

— Słuchajcie. Nasz Instytut jest jednym z najznakomitszych w Europie. Chyba nie ma innego który by posiadał tyle różnych laboratoriów i był wyposażony tak dobrze jak nasz. Rząd nie szczędził pieniędzy. Czołowych naukowców wykształcono częściowo za granicą. Stale wysyłano ich na koszt państwa do

najznakomitszych fizyków świata na doksztalcenie. Na czele stało ośmiu kierowników naukowych. Jak to teraz wygląda?

	<i>kierownik</i>	
Laboratorium badania kryształów	Obreimow	— aresztowany
Pierwsze laboratorium niskich temperatur ..	Szubnikow	— aresztowany
Drugie laboratorium niskich temperatur	Ruhemann	— usunięty
Laboratorium dla rozszczepiania atomów	Leipunski	— aresztowany
Oddział rentgenowski	Gorski	— aresztowany
Oddział fizyki teoretycznej	Landau	— aresztowany
Stacja doświadczalna dla chłodzenia do niskich temperatur	Weissberg	— aresztowany
Laboratorium dla fal ultrakrótkich	Stucki	— jeszcze pracuje

Wśród aresztowanych znajdują się: profesor Obreimow, założyciel i pierwszy dyrektor Instytutu, profesor Leipunski, członek Akademii Nauk i dyrektor Instytutu, profesor Lew Dawidowicz Landau, najznakomitszy w kraju fizyk teoretyk i jeden z najbardziej utalentowanych fizyków świata. Landau już przedtem zmuszony został nagonką NKWD do opuszczenia Instytutu. Przeniósł się do Moskwy, do profesora Kapicy. Ja zbudowałem stację doświadczalną dla chłodzenia do niskich temperatur. Przed rozruchem zostałem aresztowany. Moim następcą był Komarow. Też jest aresztowany. Kto będzie pracował?

Makedon: — Znajdą się inni.

— Nie znajdują się inni. W instytutach leningradzkich dzieje się to samo co u nas. Wykształcenie inżyniera wymaga pięciu lat. Kosztowało rząd wiele trudu zanim uzyskał inżynierów nadających się na stanowiska kierownicze w nowo wybudowanych fabrykach. Dobry fizyk musi się kształcić dziesięć do piętnastu lat. Musisz Makedonie zrozumieć, że przy pracy naukowej chodzi o osiągnięcia człowe, o rekordy, o nowe idee. Można odrzucić 90% tego co się robi w naszych laboratoriach. Wiedza na tym nie ucierpi. Ale bez tych 90% szablonej roboty nie będzie również 10% twórczych osiągnięć. Z całą pewnością praca w Instytucie będzie kontynuowana, ale nowego wynalazku nikt tam nie dokona. Wynalazki, to w ogóle wielka rzadkość. Instytut nie dokonał dotąd żadnych wielkich odkryć. Był właśnie u końca swego okresu organizacyjnego. Stał na progu wielkich osiągnięć. Teraz należy to do przeszłości.

Wtórował mi Zborowski:

— A co na to powiesz, Makedonie: aresztowali Tupolewa, naszego największego konstruktora lotniczego. Aresztowali Gwacharię. Kto teraz będzie się troszczył o racjonalizację hutnictwa?

Sprawa Gwacharii zasługuje na opisanie. Znałem go osobiście bardzo pobieżnie, ale jego działalność znałem bardzo dokładnie

dzięki rozmowom z jego zastępcą, Rudolfem Andersem, człowiekiem, który mnie zwerbował.

Gwacharia był Gruzinem, siostrzeńcem Ordżonikidze, ludowego komisarza przemysłu ciężkiego. Zakłady hutnicze w Makejewce pochodziły jeszcze sprzed rewolucyjnych czasów. Już wówczas należały do najważniejszych zakładów metalurgii rosyjskiej. Druga pięciolatka przewidywała dla Makejewki inwestycję kapitałową w wysokości 800 milionów rubli (po przeliczeniu na ceny, obowiązujące w budownictwie kapitałowym, odpowiadało to sumie 200 milionów dolarów). Zakłady miały być wyposażone do poziomu drugich co do wielkości w Związku Sowieckim i w całej Europie. Ordżonikidze posłał do roboty nowego dyrektora — swego siostrzeńca Gwacharię. W roku 1934 zaczęliśmy dyskutować zagadnienie zasilania wielkich pieców powietrzem wzbogaconym w tlen. W tej sprawie pojechałem wówczas do Zagłębia Donieckiego. W Makejewce odwiedziłem Andersa. Przedstawił mi on Gwacharię.

Gwacharia był typowym menadżerem: średniego wzrostu, szeroki, o potężnej czaszce, robił raczej wrażenie południowego Francuza niż Gruzina. Gdy się z nim rozmawiało, odnosiło się wrażenie, że patrzy gdzieś w bok. Był opętany swą pracą. Pracował dniem i nocą bez chwili wypoczynku. Był stale w ruchu. Nie miał czasu na uprzejmości. Trudno mu było wyprząc. Częściowe sukcesy nie zadowalały jego żrącej ambicji. Od dawna już zapomniał, że sensem tej pracy jest oswobodzenie człowieka pracującego od niedostatku i nędzy. Nie miał żadnego stosunku do swych robotników. Był fanatykiem uprzemysłowienia w imię uprzemysłowienia. Cieszyła go możliwość gospodarowania do syta.

Jego zadaniem była: stal. Tania stal. Dobra stal. Stal była krwią życiodajną ciężkiego przemysłu. Gwacharia chciał pobić swych kolegów. Chciał ich zmusić, by produkowali równie tanio jak on. Zanim przystąpił do pracy, miliardowy deficyt hutnictwa sowieckiego pokrywany był z budżetu Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Gwacharia w liście do ludowego komisarza w roku 1935 pierwszy zrezygnował z subwencji.

Prasa całego kraju rozbrzmiewała jego sławą. Nie tylko czasopisma fachowe jak np. „Za industrializację”, ale także „Prawda” posyłała regularnie swych korespondentów do Makejewki.

Pamiętam moje tam odwiedziny. Zbliżaliśmy się do miasta od strony stepu. Z oddali widzieliśmy tylko brunatną chmurę. Na miasto opadała nieustannie sadza i mieszała się z mgłą. Słońca nigdy tam nie widziano wyraźnie. Żyło się w atmosferze pyłu i hałasu. Zakłady dzieliły miasto na część górną i dolną. Ruch pieszy umożliwiał wąski, kilometrowy most żelazny, przecinający w poprzek zakłady. Zakłady same zbudowane były na dwóch poziomach. Za dnia nie można tam było zrozumieć własnych słów. Co kilka minut przetaczały się wywrotki załadowane rudą i wyrzucały swój ładunek w przepaść, to znaczy w część zakładów, znajdującą się na dolnym poziomie. Jestem skłonny sądzić, że tą metodą oszczędzano sobie trochę pracy kruszenia skały.

Nocą było w zakładach spokojniej. Anders towarzyszył mi przy zwiedzaniu. Pokazał mi wielki piec Makejewki. Dostarczał 1.000 ton żelaza dziennie i był pierwszym tego typu w Związku Sowieckim. Przyszliśmy na sam spust. Żarzący się metal oświetlał pokryte sadzą twarze majstra wielkopiecowego i jego syna. Przyjrzałem mu się. Był postawy olbrzyma o tatarskiej okrągłej głowie na potężnych barkach. Włosy miał siwe. Syn sprawiał wrażenie takiego samego jak on Herkulesa. Wydał synowi jakiś rozkaz w języku żydowskim. Zdumiony zwróciłem się do Andersa:

— Czy to Żydzi?

— Nie wiesz tego? Oni są przecież bardzo znani: obaj otrzymali order Lenina. To najlepsi hutnicy w kraju.

Mówiliśmy o Gwacharii. Anders mi opowiadał:

„Gwacharia miał właściwie tylko jedną ideę: pieniądze. Chciał przy pomocy słusznych zarobków racjonalizować pracę. A gdy Gwacharia coś postanowi to staje się maniakiem. Nie ma ani jednego działu fabryki, zaczynając od koksowni a kończąc na księgowości, którego by nie zreorganizował. Zaczął w sposób następujący:

Brakowało lokomotyw. Stale zdarzały się zahamowania w komunikacji. Gwacharia napisał do Ordżonikidze. Miał 10 lokomotyw, chciał dostać jeszcze jedną, jedenastą. Na ogół Ordżonikidze nie odmawiał mu niczego. Gwacharia dostawał wszystko, czego chciał: pieniądze, maszyny, surowce. Ordżonikidze zwolnił go od przestrzegania prawodawstwa pracy i pozwolił mu eksperymentować. Jeśli chodzi o lokomotywy, był jednak oszczędny. Właśnie w tym czasie Kaganowicz reorganizował transport kolejowy i potrzebna mu była każda maszyna. Komitet Centralny uznał transport za najważniejszy problem drugiej pięcioletki. Ordżonikidze napisał do siostrzeńca: „Czy nie wstyd ci domagać się jeszcze jednej lokomotywy. Raczej sam powinieneś mi jedną oddać”. Gwacharia czuł się w pierwszej chwili urażony. Potem wezwał kierownika transportu wewnętrznego:

‘Ile zarabiasz?’

‘400 rubli, towarzyszu dyrektorze’.

‘Jeśli obejdiesz się bez jednej lokomotywy i wycofasz ją z ruchu, otrzymasz dodatkowo 200 rubli. Za drugą — dalsze 300 rubli. Za trzecią — dalsze 450 rubli i tak dalej’.

‘To niemożliwe, towarzyszu dyrektorze. Potrzebna nam jest jeszcze jedna maszyna, w przeciwnym razie komunikacja stanie’.

‘Idź do pracy i zamelduj się po tygodniu’.

Po tygodniu człowiek ten zarabiał ponad 2.000 rubli. Ludowy komisarz otrzymał cztery lokomotywy do dyspozycji, a zakłady zaoszczędziły 30.000 rubli”.

Zwróciłem się do Andersa:

— Nie rozumiem, jak to było możliwe.

— Zupełnie proste. Maszyny dawniej stały. Nie były należycie wyzyskiwane.

— Gdy lokomotywy stały, to nie nie kosztowały. Jak można było wobec tego zaoszczędzić 30.000 rubli?

— Stały, ale stały pod parą. Ludzie po prostu źle pracowali i nie wykorzystywali maszyn.

— Jak Gwacharia zmusił ich do wydajniejszej pracy?

— To było takie proste: kierownik transportu postąpił z maszynistami i obsługującymi dźwigi tak samo jak Gwacharia z nim. Przyrzekł im pieniądze. Uzależnił wzajemnie ich zarobki. Gdy teraz maszynista przychodził a dźwig jeszcze nie był gotowy, wściekał się, bo tracił pieniądze. Tak samo obsługujący dźwig krzyczał na ludzi na lokomotywie, gdy musiał czekać. Gwacharia przestawił całe zakłady na wynagrodzenie najcisłej odpowiadającej wykonanej pracy. Powywracał w stalowni wszystko do góry nogami. Stal może zawierać różne substancje dodatkowe. Były między nimi bardzo deficytowe, ale używając ich łatwiej było pracować. Ludzie w stalowni chcieli mieć tylko te substancje. Gwacharia dawał kierownikowi za każdą tonę stali pewną liczbę żetonów: czerwone i żółte. Za czerwone wermistrz mógł otrzymać z magazynu drogie, deficytowe materiały. Jeśli jednak oszczędził czerwone żetony i wydał więcej żetonów żółtych, zarabiał więcej. Żetony odpowiadały określonym kwotom pieniężnym. Wermistrzowi wolno było

wydać na tonę stali sumę raz na zawsze ustaloną. Starał się więc użytkować tanie żelony.

Tak jak we wszystkich wielkich zakładach Związku Sowieckiego, szwankowało u nas zaopatrzenie. I w tej dziedzinie Gwacharia przeprowadził gruntowną zmianę.

Znałem z własnej praktyki w Instytucie i na budowie trudności zaopatrzenia. Fundamentalne zło polegało na tym, że kierownicy budowy i kierownicy fabryk mieli więcej pieniędzy, niż kosztowały potrzebne im towary. Ceny państwowych środków produkcji i surowców były — jeśli je mierzyć cenami na wolnym rynku — bardzo niskie. Podaż tych produktów musiała przeto być racjonowana. W przeciwnym bowiem razie każdy zakład nabywałby od państwa na przykład drzewo i odsprzedawałby je swym robotnikom po niskich cenach. Przeważna część robotników i chłopów Związku Sowieckiego mieszkała w małych domkach. Drzewo jest pożądanym materiałem budowlanym i opałowym. Ale metr kubiczny drzewa, sprzedawanego przez państwo konsumentowi, kosztował cztery razy tyle, co metr kubiczny, idący do fabryk dla produkcji. Ta różnica cen „twardych” i „miękkich” zerała w owym czasie gospodarkę sowiecką jak rak. Każda fabryka, każdy instytut, każda budowa starała się obławić. Ściągała skąd tylko mogła materiały deficytowe i piętrzyła je w magazynach. W Instytucie naszym leżało na składzie kilka ton miedzi, ilość wystarczająca na dziesięć lat. Ale kierownik zaopatrzenia obawiał się, że mu zabraknie.

Tak samo działo się we wszystkich innych zakładach Związku Sowieckiego. Jedne miały za dużo cementu i za mało drzewa, inne — na odwrót. W obu wypadkach praca stała. Prawo Związku zabraniało fabrykom wymieniać między sobą materiały. Naturalnie prawo to obchodzono, co łagodziło trudności.

Szef zaopatrzenia w Makejewce miał ogromny magazyn. Uwieszony był w nim kapitał kilkudziesięciu milionów. Miał szczęście. Nie musiał się tak męczyć, jak inni kierownicy zaopatrzenia. Potężny autorytet Gwacharii otwierał mu w Moskwie wszystkie drzwi. Sukces w rekonstrukcji Makejewki leżał Ordżonikidze szczególnie na sercu. Nie odmawiał siostrzeńcowi niczego.

Gwacharia wzewał głównego księgowego:

— Jaką wartość przedstawia magazyn?

— 20 milionów, towarzyszu dyrektorze. I wciąż się powiększa. Mamy już teraz trudności z wypłatą za następny miesiąc. Jeśli odbiorcy nie wpłacą na czas i bank nam nic nie pożyczycy, nie będziemy mieli pierwszego na wypłatę.

— Towarzyszu księgowy, od tej chwili księgowość otrzymuje premię w wysokości 1% gotówki, posiadanej przez zakłady w banku. Specjalnym rozporządzeniem określe sposób podziału tej premii pomiędzy siebie i twych pomocników. Staraj się zatem o ściąganie na czas wszystkich zaległości i unikanie zbędnych nabytków. Z kierownikiem zaopatrzenia pomówię sam. Ale ty musisz mi zawsze meldować, gdy będzie zbyt wiele żądań.

Kierownika zaopatrzenia postawił Gwacharia między Scyllą i Charybdą: pozwolił mu unieruchomić w magazynie tylko określony kapitał. Powiedzmy 10 milionów. (Naturalnie nie pamiętam liczb, podaję je tylko dla przykładu i dla przybliżonej orientacji). Za kwoty, przekraczające limit, kierownik zaopatrzenia musiał płacić księgowości procenty. I na odwrót, księgowość płaciła, jeśli zaopatrzenie nie wyzyskiwało swego limitu. Przy takim postawieniu sprawy istniało niebezpieczeństwo, że kierownik zaopatrzenia po prostu wysprzeda cały magazyn, by otrzymać wyższy zarobek. Gwacharia umiał temu zapobiec. Zaopatrzenie musiano zawierać umowy z różnymi oddziałami zakładów. Oddziały podawały na miesiąc przed końcem kwartału zapotrzebowanie na następny kwartał. Kierownik zaopatrzenia musiał płacić dotkliwie

kary, jeśli pozostawił jakiś oddział bez zamówionych materiałów. Stał zatem przed dylematem, by z jednej strony nie kupować za dużo, gdyż wtedy potrzebował zbyt wiele pieniędzy i tracił premie na rzecz księgowości, i nie za mało, bo w tym wypadku musiał płacić zamawiającym karę za niedostarczenie zamówień.

Tym pomysłem wynagradzania za wykonane świadczenia zracjonalizował Gwacharia cały zakład. Doświadczenia jego przejął ludowy komisariat, rozpowszechniły się one w hutnictwie całego kraju. Ludzie tacy jak Gwacharia byli właściwymi organizatorami ruchu stachanowskiego. Osiągnięcia robotników typu Aleksandra Stachanowa lub Marii Demczenko nie były spontaniczne, przygotowała je partia i administracja.

Lecz Gwacharia miał na swym życiorysie ciemną plamę. W roku 1927, podczas jawnej dyskusji w partii, głosował na stanowisko trockistów. Od dawna wyparł się tego i stał się wiernym stalinowcem. Stalin miał dobrą pamięć. Nigdy nie zapomniał Gwacharii tego grzechu młodości. Jak długo żył Ordżonikidze, Gwacharia był bezpieczny. Ludowy komisarz zmarł po procesie Piatakowa. Krążyły pogłoski, że protestował gwałtownie przeciw mordowaniu starych rewolucjonistów, przeciw straszliwemu kłamstwu wielkich procesów. Był jedynym spośród członków Politbiura, który mógł swobodnie mówić ze Stalinem. Inni — tak samo jak każdy z nas — bali się gniewu tyrana, a w konsekwencji, akcji GPU. W tydzień po owym wybuchu gniewu Ordżonikidze zmarł. Powtarzano z ust do ust rozmowę telefoniczną, którą miał mieć z Jeżowem:

— Ty nędzny karle, ty pchło, ja ciebie rozdepczę...

Ale Ordżonikidze nie spełnił swojej groźby. Zmarł w chwili bardzo dogodnej dla dzierżycieli władzy. Czy chorego na serce człowieka zabiło wzburzenie, czy też dopomogło mu GPU, będzie można stwierdzić dopiero po otwarciu teczek, gdy uchylą się zasłona tajemnicy, otaczająca wielkie procesy moskiewskie.

W kilka miesięcy po zgonie Ordżonikidze aresztowano Gwacharię. W tych samych gazetach, które przedtem pisały na jego cześć hymny pochwalne, pisano teraz o „wrogu ludu” Gwacharii. Doszły nas później pogłoski, że został rozstrzelany. Myślę, że pogłoski te są uzasadnione. Gwacharia był człowiekiem o demonicznym temperamentem. Jego żądza zemsty nie znała granic. Nawet dla GPU byłoby niebezpieczne, posłać takiego człowieka do obozu.

Niedługo za Gwacharią poszli tą samą drogą dyrektorzy wszystkich wielkich zakładów hutniczych Zagłębia Donieckiego i obwodu Dniepropietrowskiego. Także ich następców aresztowano w kilka miesięcy później. Dopiero trzecia lub czwarta zmiana potrafiła się utrzymać. Kierownictwo przemysłu hutniczego dostało się w ten sposób w ręce ludzi młodych, niedoświadczonych. Nie przemawiał za nimi nawet przywilej młodości. Był to bowiem dobór ujemny. Ludzie, którzy teraz wypłynęli, mieli na swych sumieniach setki denuncjacji. Byli obcy z wszelkimi możliwymi kłamstwami. Padali na kolana wszędzie, gdzie spotykali się z siłą. Były to kaleki moralne i intelektualne. Wielka epoka uprzemysłowienia Rosji należała do przeszłości. Razem z Gwacharią, Rogaczewskim i Birmanem dobiegł końca bohaterski okres hutnictwa sowieckiego. Ich następcy byli ludźmi

małymi. Konsekwencje w produkcji nie dały na siebie długo czekać.

Nowi przynosili codziennie wiadomości o aresztowaniach w kraju. Byliśmy już ośpiali. Rządy republik zostały niemal całkowicie zlikwidowane. Zaczęło się to już przed pół rokiem. Prezydent Republiki Białoruskiej, towarzysz Czerwiakow, zastrzelił się w swym gabinecie. Gazety mówiły o samobójstwie z przyczyn rodzinnych. Lecz w tydzień po samobójstwie Czerwiakowa zaaresztowano w Mińsku cały rząd Białoruskiej Republiki Sowieckiej. Również na Ukrainie rząd był kilkakrotnie zmieniany przy pomocy GPU. Nie przytaczam tu nazwisk. Któż za granicą wie cokolwiek o przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych Ukrainy, towarzysz Luźczence, albo o sekretarzu Dniepropietrowskiego komitetu obwodowego, towarzysz Chatajewiczu? Dla nas wszystkich każde z tych nazwisk oznaczało cały świat. W czasach normalnych, przed wielką czystką, sekretarz komitetu obwodowego partii rządził obwodem. Teraz na jego miejsce wszedł kierownik obwodowy NKWD. Niemal wszyscy sekretarze obwodowi w całym kraju zostali aresztowani. Chatajewicza szanowaliśmy bardzo. Był to człowiek prawy. Nigdy nie zamykał uszu na cierpienia uciskanych. W obwodzie charkowskim zaaresztowali sekretarza Demczenkę. Ani nas to ziębiło ani grzało. Postacią interesującą był dawny sekretarz obwodu charkowskiego, Postyszew. W roku 1933, w najcięższym czasie, Stalin posłał go na Ukrainę. Postyszew, chociaż formalnie podległy Kosiorowi, stał się najpotężniejszym człowiekiem na Ukrainie. Stalin powierzył mu zadanie oczyszczenia z nacjonalistów aparatu partii ukraińskiej i aparatu rządowego. W toku tej akcji zastrzelił się wówczas w Charkowie ukraiński ludowy komisarz Skrypnik, stary bolszewik, członek KC, aczkolwiek podówczas czystki nie prowadziły jeszcze do aresztowania tych, którzy byli nimi dotknięci. Postyszew wzięł w ręce władzę na Ukrainie z młodzieńczym rozmachem. Widziano go wszędzie. I lubiano go, pomimo stosowanych przez niego surowych środków. Miał sympatyczny wygląd. Gdy w dniu 1 maja lub 7 listopada defilowaliśmy przed trybuną rządową, oczy nasze szukały zawsze rosłej, sprężystej postaci siwiejącego blondyna.

Już z początkiem roku 1938 rozeszła się wiadomość, że posłano go na Powołże. Powołże było miejscem, dokąd najczęściej przetrzucano strącone wielkości. Teraz mówiło się już o jego aresztowaniu. Postyszew był jedynym partyjnikiem, który w bardzo krótkim czasie zyskał na Ukrainie ogromną popularność

wśród bezpartyjnych robotników i chłopów. To stało się jego zgubą. Stalin usuwał każdego, kto z nim współzawodniczył w zjednywaniu sobie względów mas.

Poszli wszyscy najwybitniejsi generałowie. Spośród pięciu marszałków rozstrzelany został Tuchaczewski. Blücher i Jegorow byli aresztowani. O losie Budiennego krążyły pogłoski. Tylko Woroszyłow zasiadał jeszcze w Biurze Politycznym. Portrety Budiennego zostały zewsząd usunięte. Opowiadano, że już był aresztowany, a potem znowu zwolniony. Wróciły również i jego portrety.

Likwidacja kierowniczej kadry Armii Czerwonej wstrząsnęła nami jeszcze głębiej. Wszystko co nastąpiło później nie obchodziło nas już tak bardzo. Cały lud kochał armię w tym samym stopniu, w jakim nienawidził GPU. Pamiętam dokładnie moje własne nastroje. W lutym 1937 roku, już po trzecim wezwaniu do GPU, szedłem przygnębiony ulicą Puszkina w Charkowie. Wyłoniła się kolumna marszowa Armii Czerwonej. Żołnierze śpiewali. Łzy stanęły mi w oczach, chociaż w głębi duszy od dawna już rozstałem się z partią. Armia Czerwona pozostała jednak dla mnie symbolem wielkiej rewolucji.

Ośmiu generałów, którzy z Tuchaczewskim poszli na straconie, znał cały kraj. Wiedzano: Tuchaczewski jest wielkim technikiem wojennym, panowało przekonanie, że w następnej wojnie okaże się wielkim strategiem. On to zmechanizował armię. W jego to głowie narodziła się koncepcja wojsk spadochronowych. Był osobiście nieskazitelny i twardy. Czuło się przy tym, jak bardzo oddany był sprawie i jak dniem i nocą pracował nad modernizacją armii.

Gamarnik był naczelnikiem zarządu politycznego Armii Czerwonej i Czerwonej Floty. Był członkiem Komitetu Centralnego partii wszechrosyjskiej. W czasie pochodów w Moskwie można go było z daleka rozpoznać na trybunie: Jedyne wśród wyższych oficerów nosił długą brodę.

Na Ukrainie kochano bardzo dowódcę sił zbrojnych, generała Jakira. Jakir był młodym, chorowitym studentem żydowskim, gdy w roku 1917 przyłączył się do rewolucji. W wojnie domowej dokonywał legendarnych czynów bohaterskich. Później studiował w Akademii Wojennej z zapałem i pasją, które zdumiewały wykładowców, między innymi starych oficerów zawodowych.

Kork był swego czasu komendantem miasta Moskwy. Podlegał mu moskiewski okręg wojskowy, a tym samym i wojska ochrony Kremla. Na koniec został naczelnikiem Akademii Wojennej.

Generał Feldman był naczelnikiem zarządu kadr Armii Czer-

wonej. Generał Uborewicz dowodził białoruskim okręgiem wojskowym. Generał Putna był attaché wojskowym w Londynie, gdy go w procesie Zinowiewa obwiniono o kontrrewolucję. Pomimo to Putna bezzwłocznie powrócił. Primakow był czołowym generałem kawalerii. Generał Ejdeman był szefem Ossowiachimu, organizacji, będącej łącznikiem pomiędzy armią a ludnością.

Z końcem maja 1937 roku zastrzelił się Gamarnik. Gamarnik jako szef zarządu politycznego Armii współpracował bardzo ściśle z NKWD. Musiał dowiedzieć się o zamierzeniach przeciwko Tuchaczewskiemu i czołowym generałom. Wybrał śmierć. Ale i to nie jest całkiem jasne. Krążyły pogłoski, że w czasie aresztowania stawiał opór i wyjął rewolwer. I wtedy miano go zastrzelić. W tym samym czasie aresztowano innych generałów, ale nie wśród ich własnych żołnierzy. Z ostrożności przeniesiono ich na inne tereny i aresztowano albo tam, albo po drodze. Tak na przykład Jakir został odkomenderowany do Leningradu i aresztowany, zanim zdążył przybyć na miejsce swego przeznaczenia. Podobnie rzecz się miała z Tuchaczewskim, któremu kazano jechać do Powołża.

Generałom nie wytoczono jawnego procesu. Stanęli przed tajnym trybunałem wojennym, w skład którego wchodził między innymi Woroszyłow i Budienny. Zostali rozstrzelani wkrótce po aresztowaniu. W więzieniach wiedzieliśmy wówczas, że oskarżeni w wielkich moskiewskich procesach pokazowych byli kompletnie niewinni. Wiedzieliśmy, że zbrodnie, do których się przyznali, były takimi samymi legendami, jak nasze własne, zmyślane zbrodnie. Co do generałów wahaliśmy się. Czyż było do pomyślenia, że Stalin bezpodstawnie zniszczył sztab generalny Armii Czerwonej? Co się za tym kryło?

Oficjalne oskarżenie, jakoby Tuchaczewski i jego współpracownicy byli agentami niemieckimi i sprzedali armiom niemieckiej i japońskiej plany wojskowe, odczuwaliśmy po prostu jako obrazę Armii Czerwonej. Ludzie ci byli w naszych oczach bohaterami rewolucji i wojny domowej. Ich charakter stał ponad wszelką wątpliwością.

Tuchaczewski i generałowie — jeśli pominąć Gamarnika — nigdy nie byli politykami. Nigdy nie brali udziału w walkach wewnątrzpartyjnych. Nie mieli żadnych stosunków z opozycją. Kraj powierzył im armię, byli oficerami i poprzestawali na trosce o jej rozwój.

Dlaczego Stalin kazał ich rozstrzelać? Często potajemnie omawiałem ze Zborowskim te zagadnienia. Doszliśmy do następującego wniosku: Tuchaczewski i jego przyjaciele — tak samo jak Ordżonikidze — musieli być oburzeni wymordowaniem starej

gwardii bolszewickiej. W rękach oficerów spoczywała siła zbrojna kraju. Podlegał im garnizon moskiewski. Mogli zająć Kreml. Rozkaz można było wydać rzekomo w obronie Politbiura i Stalina, a później, z kilku zaufanymi oficerami aresztować Stalina. Czy zatem miał miejsce spisek? Nie wierzyliśmy. Było jednak możliwe, że Tuchaczewski podzielił się taką myślą z Korkiem lub z kimś innym, z kim był blisko zaprzyjaźniony. Ktoś mógł o tym donieść Stalinowi. I to wystarczyło, by pozbawić armię głowy. Być może wszystko to było prowokacją Jeżowa, który chciał pokazać Stalinowi, jakie to spiski potrafi wykrywać. Trudno się było w tym zorientować.

W każdym bądź razie pozbawienie Armii Czerwonej dowództwa wzburzyło kraj głębiej, niż zniszczenie dawnej opozycji. Nawet GPU zaczęło drżeć...

Postyszew był pierwszym członkiem (mówiąc dokładniej: pierwszym kandydatem na członka) Politbiura, którego zlikwidowano. Przyszła kolej na innych. Namiestnikiem Stalina na Ukrainie był Kosior. Był to człowiek bezbarwny, ale jednocześnie jeden z najpotężniejszych ludzi w kraju. Był sekretarzem Komitetu Centralnego Ukrainy i członkiem Biura Politycznego partii wszechzwiązkowej. W Politbiurze zasiadali zawsze czołowi ludowi komisarze, prezydent republiki Kalinin, sekretarz generalny partii Stalin i trzej czołowi sekretarze kraju: sekretarz obwodu moskiewskiego, sekretarz obwodu leningradzkiego i sekretarz Ukrainy. W rękach tych dziesięciu ludzi skoncentrowana była władza państwowa. Członkowie Politbiura nigdy nie okazywali najmniejszych skłonności opozycyjnych. Przeważnie byli to ludzie, którzy razem ze Stalinem prowadzili walkę przeciw opozycji i w walce tej zwyciężyli. Należał do nich Kosior. Myśleliśmy, że takie osobistości są zabezpieczone przed interwencją GPU. Przed ludźmi typu Kosiora Jeżow musiał stać na baczność, a nie odwrotnie.

Niemal wszyscy oskarżeni byli — z mocy postanowienia GPU — szpiegami. Wielka część była jednocześnie terrorystami. Zmyślone zamachy terrorystyczne nie kierowały się wyłącznie przeciw Stalinowi, lecz przeciw niemal wszystkim członkom Biura Politycznego. Już w procesie przeciw Zinowiewowi w dniu 22 sierpnia 1936 roku oskarżał Wyszynski trockistów, że

„podnieśli rękę na wodzów naszej partii, na towarzyszy Stalina, Woroszyłowa, Zdanowa, Kaganowicza, Ordżonikidze, Kosiora i Postyszewa”.

W tym kontekście dymisja i prawdopodobne aresztowanie Postyszewa musiały zdumiewać. Człowiek, którego opozycjoniści chcieli sprzątnąć, sam aresztowany jako opozycjonista? Jak się to właściwie dzieje? Ale przyszłość miała być jeszcze gorsza.

W charkowskim więzieniu NKWD i na Chołodnej Gorze siedziało około pięćdziesięciu studentów oskarżonych o terror. Rzekomo utworzyli organizację, mającą na celu zamordowanie sekretarza Komitetu Centralnego Ukrainy, członka Biura Politycznego partii wszechzwiązkowej, towarzysza Kosiora. Śledztwo przeciwko tej grupie przeciągało się. Była ona znana w całym więzieniu. W „Brechałowce” spotykało się wciąż tych studentów. GPU nie potrafiło odizolować ich między sobą. Było ich zbyt wielu.

Przyznali się już do wszystkiego, ze wszystkimi szczegółami. Na jakiejś konferencji partyjnej miano wyłączyć światło i w zamieszaniu zamordować Kosiora. Sędzia śledczy, w ciągu jedno-rocznego śledztwa, zadając sobie wiele trudu, uzgodnił wreszcie wszystkie protokoły. Wszystkie konfrontacje udały się. I wtedy, wiosną 1938 roku, jakiś nowy przyniósł wiadomość o aresztowaniu Kosiora jako trockisty.

W sąsiednich celach siedziało dwóch studentów z tej organizacji. Przyznali się oni, że jako kontrrewolucyjni trockiści czyhali na życie przywódcy partii, towarzysza Kosiora. Wpadliśmy w podniecenie. Bezwzględnie wypukaliśmy wiadomość o aresztowaniu Kosiora. Co teraz będzie? Można teraz było rozerwać całą pajęczynę kłamstw GPU. Jak to właściwie jest? Trockiści spiskują przeciwko czołowemu trockiście Kosiorowi? Czy w szeregach kontrrewolucjonistów panuje taki nieład, że nie wiedzą, kto do nich należy? Czy też trockista Kosior nakazał wykonanie aktu terrorystycznego przeciwko sobie samemu?

Towarzysze gratulowali obu studentom: „Na pewno wydziecie teraz na wolność. Sędzia śledczy będzie aresztowany”.

Przez kilka dni — ani słyhu ani dychu. Potem wezwano obu na przesłuchanie. Powrócili pobici do krwi. Ich towarzysze byli oburzeni: „Co z wami zrobili? Czego teraz od was chcą?”

Każdy z nich opowiadał to samo. Sędzia śledczy przyjął ich słowami:

— Ty nędzny trockisto. Jesteś także prowokatorem. Myślisz, że uda ci się wywieść nas w pole? Podaj twe prawdziwe zbrodnie, inaczej połamię ci kości.

Chłopcy stali bezradni. Już dawno temu podpisali końcowy protokół. Czego chciano od nich teraz? Sędzia śledczy swego czasu zażądał zamachu na Kosiora. Dali mu go. Co mu jeszcze mają teraz dać? Sędzia śledczy kazał im zgadywać. Nic nie powiedział. Tylko ich bił.

Po kilku dniach sprawa się wyjaśniła. Pięćdziesięciu studentów dowiedziało się przez prowokatorów, co mają zeznać. Każdy z nich potem wniósł tę samą poprawkę do protokołu: Sprawa zamachu terrorystycznego zgadza się. Także wszystkie szczegóły

zgadzają się. Zamach był jednakże skierowany nie przeciwko Kosiorowi, lecz przeciwko Kaganowiczowi. Nazwisko Kosiora wymienili, by wprowadzić GPU w błąd i dać trockiście Kosiorowi aureolę bolszewika zwalczanego przez opozycję.

Sędzia śledczy był po prostu zbyt leniwy, by wszcząć śledztwo na nowo i na nowo pisać protokoły. Wszędzie gdzie w protokołach pojawiał się „Kosior”, zastąpił go nazwiskiem „Kaganowicz”. Na marginesie musiał każdy więzień potwierdzić podpisem prawdziwość poprawki. Wszystko było tym samym w porządku. Protokoły poszły do „OSO”, studenci odeszli etapem.

Czytelnik nie powinien wyobrażać sobie, że mogliśmy w celach mówić zupełnie swobodnie. Mieliśmy wówczas znacznie więcej wolności, niż ludzie poza więzieniem. Ale i my musieliśmy uważać. Pewnych tematów nie poruszało się w ogóle, lub tylko potajemnie, wśród bliskich przyjaciół. I tak na przykład bardzo rzadko się zdarzało, by ktoś wobec innych kwestionował winę oskarżonych w procesach moskiewskich, chociaż niemal wszyscy z nas byli przekonani, iż ludzi tych posłał Stalin na śmierć zupełnie bezpodstawnie. GPU miało swych szpiclów w wielu celach. Wykrywaliśmy ich bardzo szybko. Służyli oni nie tylko jako informatorzy. Ich zadaniem było przede wszystkim pisanie zeznań nieporadnym więźniom. Konieczność produkcji masowej zmuszała gepistów do wyręczania się tym sposobem. Nie mieli czasu czekać, aż oskarżony sam zrozumie, czego się od niego wymaga. Rytuał zabraniał bezpośredniego dyktowania protokołu. Dlatego werbowali więźniów w zamian za drobne ulgi i przydzielali ich do cel. Zazwyczaj siedzieli ci bajczarze w celach więzienia wewnętrzznego. Przeważnie nie byli to źli ludzie. Fabrykując zeznania dla oskarżonych, w wielu wypadkach dbali o interesy więźniów. W zeznaniach było wiele literatury, wiele teorii i mało faktów. Nieraz podawali fakty, przeciw którym oskarżony mógł później dowieść swego alibi. W roku 1939, po wielkim przełomie, więźniowie, którzy jeszcze nie poszli do obozu, cofali swe zeznania. Jeśli mogli przy tym udowodnić obiektywne niepodobieństwo rzekomo popełnionych zbrodni, mieli większą szansę wznowienia śledztwa.

W małych celach na Chołodnej Gorze przeważnie nie było prowokatorów. Ale Makedon wciąż się ich obawiał. W tych sprawach ufał tylko mnie. Co prawda zwalczał mnie zajadle, był jednak przekonany, że jestem niezdolny do zdrady:

— Co myślisz o Miszy? Czy nie sądzisz, że to jeden z nich? Młody Misza, który tak wzruszająco dbał o Kusznarenkę, był

bardzo sympatycznym człowiekiem. Był inteligentny, żywy i ofiarny. Śpiewał bardzo pięknie i zabawiał całą celę opowiadaniem i dowcipami. Pomimo to, jeśli ktoś z naszej celi mógłby pójść na służbę GPU, to tylko Misza. Nie chcę mu tu ubliżyć. Nie mam żadnych danych obiektywnych. Jednakże zarówno Makedon jak i ja w tym długim okresie wyrobiliśmy w sobie poczucie imponderabiliów. Wynikiem naszych rozważań było: na wszelki wypadek — uważać. Makedon powiedział mi w końcu:

— Do czego ci on potrzebny? Nie rozmawiaj z nim. Jeśli chcesz koniecznie rozmawiać, rozmawiaj ze Zborowskim lub z Kuznarenką. Z takim jak Misza nigdy nie wiadomo. Powiesz parę słów i już — świństwo.

Makedon trzymał język na wodzy. Czasami jednak nie wytrzymywał. Był prawdziwym stalinowcem, a prawdziwi stalinowcy wiedzą bardzo dobrze, że cała oficjalna teoria, którą tak wysoko cenią, jest łańcuchem kłamstw. Makedon w życiu swoim wykluczył wielu towarzyszków jako opozycjonistów. W niezliczonych rezolucjach głosował za „starciem tego robactwa” z oblicza ziemi. Wiedział jednak w głębi duszy, że to wszystko jest oszustwem. Tym bardziej złościło go, że on, który zawsze stał po stronie mocniejszych, który nigdy nie przejawiał najmniejszej słabości w walce przeciwko opozycji, także musiał tu siedzieć. W czasach, gdy tylko Gewondian siedział z nami w celi, budził mnie często w nocy i pytał:

— Po tej historii cała władza w kraju będzie skoncentrowana w ręku jednego człowieka. Despotyzm będzie coraz bardziej nie do wytrzymania. Od wewnątrz nie będzie go można obalić. To śmieszne bujdy. Nie należy pod tym względem dać się wprowadzać w błąd. Czy ci na zewnątrz coś zrobią? Jak myślisz?

Mówił cichym głosem. Powiedziałem mu co o tym myślę. Gdy słyszał kroki na zewnątrz, najczęściej zrywał się przestraszony i obrzucał mnie obelgami, że go wciągają w takie rozmowy.

— Nigdy nie można wiedzieć, czy nie wmontowali w celi aparatu podsłuchowego. O takich rzeczach w ogóle nie należy myśleć.

Innym razem powiedział:

— Aleksandrze Siemionowiczu, wprawdzie nie wierzę, by kiedykolwiek wypuścili kogoś takiego jak ty. Prawdopodobnie zginiesz na północy. Gdybyś jednak miał mieć rację i wydostał się, weź sobie wtedy za zasadę: nie zajmuj się już polityką. Jesteś inżynierem. Nie wracaj wcale do Europy. Tam mają dość inżynierów. Jedź do Persji i do Turcji. Tam takich potrzeba. I uważaj, żebyś się wzbogacił. My tutaj zgnijemy.

Napływ aresztowanych w następstwie procesu Bucharina

zmniejszył się. W maju większość poszła etapem. Kilka dni spędziłem w szpitalu, gdy wróciłem, zastałem całą opustoszałą. Pozostała tylko żelazna załoga, Makedon i Armeńczyk. Łagodin, Kuszarenko, Zborowski i Misza poszli i nawet nie mogłem się z nimi pożegnać. Najbardziej brakowało mi Zborowskiego. Nocami często leżeliśmy obok siebie. Opowiadał mi o kolektywizacji. Wymienialiśmy nasze doświadczenia. Był on jedynym w celi, który miał dokładne pojęcie o życiu za granicą. Pozostał socjalistą i zastanawiał się zawsze nad tym, jakie błędy popełniła rewolucja rosyjska, jakich można było uniknąć i jakich unikną rewolucje w Europie. My wszyscy, po doświadczeniach wielkiej czystki, staliśmy podświadomie mniej więcej na następującym stanowisku: Droga rewolucji była słuszna aż do zgonu Lenina. Fakt, że rewolucja rosyjska pozostała izolowana, w kraju chłopskim, bez wielkiego przemysłu, bez silnego proletariatu miejskiego, doprowadził do owej nieszczęsnej sytuacji, z której wyjściem była osobista bonapartystowska dyktatura Stalina. Wszyscy akceptowaliśmy całkowicie leninowską teorię i zwalczaliśmy stalinowską praktykę. Zborowski był pierwszym wśród napotkanych przeze mnie komunistów, który szedł dalej. Mówił on często:

„Gdy Lenin zagarnął władzę, myślał o zgoła krótkim okresie dyktatury. Najpóźniej z ukończeniem wojny domowej miała dyktatura dobiec końca. Co z tego wynikło? Dyktatura bez końca. Totalna dyktatura, już nie klasy robotniczej, już nie partii, dyktatura jednego człowieka. Jednak załóżek tego co się teraz dzieje, że mogło do tego dojść i że w ogóle stało się to możliwe, powstał już w pierwszych dniach rewolucji. Nigdy nie powinniśmy byli rozpędzić konstytuandy”.

Zborowski pozostał rewolucjonistą, a mimo to poddawał założeńa rewolucji ostrej krytyce. Rewidował. Nie był zrezygnowany, nie wyrzekł się nadziei związanych z socjalizmem. Patrzył na niesamowite wydarzenia teraźniejszości czujnymi oczyma i z gorzką ironią. Gdy kiedyś wolność powróci do Kraju Sowieców, ludzie tacy jak Zborowski — o ile przeżyją obozy — będą przywódcami nowej Rosji.

W PIEKLE

Nadszedł lipiec. Zrobiło się gorąco.

Już zimą zaczęli zabijać okna blachą. Zawieszali blaszane ko-
sze, pozostawiające tylko u góry wąską szparę umożliwiającą
dopływ powietrza. Przez długi czas obserwowaliśmy postępy tej
pracy na oddziale nr 3, w którym siedzieli kryminaliści. Wkrótce
musiała przyjść i na nas kolej. Stało się to z końcem maja. Mu-
sieliliśmy teraz siedzieć stale przy sztucznym świetle. Poza tym
straciliśmy widok na dziedziniec.

Pomimo zabicia okien nie byliśmy jednak kompletnie odcięci.
Przy pomocy odłamka szkła wywierciliśmy w blasze otwór śred-
nicy 1-2 cm. Na noc zatykaliśmy go chlebem, by nas nie zdradziło
światło. Cele na tym samym piętrze osiągało się pukaniem.
W nocy, w zupełnej ciszy można także było słyszeć pukanie z celi
pod nami. Słyszeli je jednak również strażnicy. Znaleźliśmy wyj-
ście. Blasznany kosz przed oknem przylegał niezbyt szczelnie.
Pomiędzy nim a murem pozostawała luka kilku centymetrów.
Od góry kosz był w ogóle otwarty. Przywiązywaliśmy kartkę
do nitki i spuszczaaliśmy ją przez tę lukę na dół. Cela pod nami
sposzrzegała kartkę i dawała tą samą drogą odpowiedź. Tym
sposobem mogliśmy także przemycać tytoń.

Nowy komendant bloku złuzował naszego starego przyjacie-
la. Był to nieprzyjemny lizus i chciał uczyć więźniów dyscypliny.
Wpadł na następujący pomysł:

Odczekał pełni lata, potem, za błahe przekroczenia, wyгнаł
ze wszystkich cel dziesiątki więźniów do karceru. Przekroczenia
te popełnione były już dawno i zanotowane, ale pozostały bez
żadnej sankcji. Chodziło o takie rzeczy, jak niewstawanie na
czas, posiadanie ołówków i tym podobne. Ja też byłem wśród

skazanych. Już zimą siedziałem przez pięć dni w karcerze kiedy to w izbie fryzjerskiej ukradłem kawałek papieru na list do Komitetu Centralnego partii. Teraz dostałem tydzień karceru za to, że za dnia położyłem się na łóżku. Zimą marzłem w karcerze straszliwie. Okiennice były otwarte. Musiałem zejść na dół bez ubrania i bez skarpetek, tylko w koszuli i w kalesonach. Byłem sam w piwnicy i tylko dzięki nieustannej gimnastyce udało mi się uniknąć zapalenia płuc. O spaniu w tych warunkach nie było mowy.

Teraz, w czerwcu, miało być jeszcze gorzej. Do małej piwnicy wpakowano jednocześnie ponad trzydziestu ludzi. Mogliśmy tylko stać. Okno było zamknięte. Temperatura podniosła się do nieprawdopodobnej wysokości. Nie miałem dotychczas pojęcia, jak znakomitym piecem może być ludzkie ciało. Wytworzyła się atmosfera łaźni parowej. W karcerze nie dostawało się ani obiadu ani kolacji i tylko pół racji chleba. Ale przy tym upale ludzie w ogóle nie mogli jeść. Zastanawialiśmy się, czy po prostu nie powinniśmy rozwalić małej okiennicy. Staliśmy obok siebie nago. Pot spływał z nas bezustannie i po dwóch dniach pokrywał podłogę warstwą od 1 do 2 cm. Łaknęliśmy powietrza. Po dwóch dniach przyszedł do karceru pewien kryminalista. Nazywał się Mirgorod. Kazał się podnieść w górę i rozwalił szybę pięścią. Niestety nie wiele to pomogło.

Wszystkie protesty były daremne. Mirgorod był zabijaką i buntownikiem. Zaczął krzyczeć i walić w drzwi. My, polityczni, przyglądaliśmy się mu ze zdumieniem. Zabrano go i nałożono mu na sześć godzin kaftan bezpieczeństwa. Jednak znośniej było w kaftanie na zewnątrz, niż bez niego w karcerze. Przeprowadzili go z powrotem. Zaczął zaraz krzyczeć:

„Lekarz niech tu przyjdzie, lekarz, sukinsyny, oprawcy. Chcicie nas żywcem ugotować? Wy kurwy, ja was *pojebu w waszi gniłyje rty*”.

Nie można go było uspokoić. Jak się dowiedziałem, był to więzień, który nie wychodził z karceru. Był mały, jasnowłosy, ospowaty i miał obłądne oczy. Widocznie był chory psychicznie. Krzyczał przez trzy godziny bez przerwy. Potem przyszedł komendant. Otworzył kłapę:

— Czego chcesz, Mirgorod? — wezwał go do siebie skinieniem ręki.

Mirgorod stał daleko pod ścianą. Nie drgnął. Ale krzyczał:

— Chcę lekarza, a nie ciebie, krwiopijco.

— Lekarz nie jest dla was. Tu jest karcer, nie sanatorium. Jeśli się natychmiast nie uspokoisz, dostaniesz jeszcze trzydzieści dni karceru. I zamelduję o tym sędziemu śledczemu. Chodź tutaj.

Mirgorod przecisnął się przez kłębowisko ciał do drzwi. Przy drzwiach stał kubeł, nazywaliśmy go „paraszą” (wyrażenie to zadomowiło się we wszystkich więzieniach Związku Sowieckiego i pochodziło jeszcze z czasów caratu). Mirgorod podniósł ciężki, pełny kubeł i przez klapę chlusnął jego obrzydliwą zawartość w twarz komendantowi.

Z ust płynął mu potok przekwisk, niemożliwych do powtórzenia. Polityczni drżeli. Obawialiśmy się karnej ekspedycji NKWD i masakry. Nigdy nie przeżyliśmy niczego podobnego. Rzecz osobliwa, nic się nie stało. Zabili tylko rozbitą szybę deską.

Następnego dnia przyszło dwóch lekarzy i otworło klapę. Wdzierający się prąd świeżego powietrza spowodował kondensację nasyconej pary wodnej w celi. Gruba, biała mgła zasłoniła nasze twarze przed lekarzami. Lekarze przestraszyli się. Potem kazali otworzyć drzwi i zapytali, czy ktoś czuje się chory. W dwie godziny później otwarto okienko.

Pomimo to temperatura wzrosła po kilku godzinach do poprzedniej wysokości. Miałem szczęście. Stałem w pobliżu okna. Wąski prąd chłodnego powietrza spływał powoli po skośnie podnoszącej się do okna powierzchni muru. Podstawiałem pod ten prąd rozpalone ręce i nachylałem usta, by złapać trochę świeżego powietrza. Stojący w pobliżu zauważyli moją uprzywilejowaną pozycję. Musiałem się z nimi zmieniać. Po dwóch dniach odeszło sześciu ludzi. Mogliśmy teraz przykucnąć. Rankiem prowadzono nas do ustępu. Każdy z nas kładł się na umywalni jak długi. Koledzy otwierali wszystkie cztery kurki i przez pół minuty każdy raczył się orzeźwiającą kąpielą. Byliśmy przekonani, że metoda ta oznacza pewne zapalenie płuc. Nikt jednak nie zachorował. Widocznie prawa medycyny zawodzą w fizycznych warunkach więzienia.

Gdy po tygodniu powróciłem do celi, Armeńczyk załamał ręce. Koledzy nie mogli mnie poznać.

Z powodu karceru opuściłem dzień ławoczki: raz na miesiąc przychodził kierownik sklepu więziennego (*ławoczki*) i przyjmował zamówienia. Po przejściach w karcerze bardzo było mi potrzeba pożywnego pokarmu. Prosiłem Gewondiana, by mi odstąpił pół kilo słoniny. Chciałem mu ją oddać w następnym miesiącu. Makedon mu odradził:

— Możesz tymczasem odejść, albo Weissberg odejdzie — i nie odbierzesz nigdy swej słoniny.

— Zły z ciebie człowiek, Makedonie. Weissberg nie odejdzie. Weissberg należy już do inwentarza więziennego. A jeśli Bóg będzie łaskawy i pošlę mnie do Persji, pozostawię wam wtedy wszystko, co jeszcze posiadam. I przyślę wam ponadto pieniądze.

Teraz potrzeba Weissbergowi słoniny najbardziej z nas wszystkich.

Makedon był rzeczywiście złym człowiekiem. Ostatnim razem wyczerpał swe konto w *ławoczce*. Od lipca będzie skazany na naszą pomoc. A teraz jeszcze szczuje jednego na drugiego.

Był bezgranicznie zazdrosny. Nie mógł znieść, że ktoś miał lepsze skarpetki, albo że lepiej od niego na czymś się rozumiał. W kwietniu doszło do bójki o drobiazg. Mówiliśmy o obozach na północy. O nocy podbiegunowej. Jeden z chłopów pytał, ile miesięcy trwa tam ciemność. Inny odpowiedział: prawie pół-trzecia miesiąca. Makedon wmieszał się:

— Byłem na północy. Ciemność tam trwa 120 dni.

— Co za głupstwa mówisz, Makedonie. To zależy od szerokości geograficznej. Noc trwa na kole podbiegunowym 24 godziny, na biegunie sześć miesięcy.

Przerwał mi, abym nie mógł chłopu wyjaśnić jak należy. Zrozumiał że palnął głupstwo więc wszczął awanturę i rozpętał wściekłą bójkę.

Z końcem kwietnia Makedon poszedł na dwa tygodnie do szpitala. Wszyscy odetchnęliśmy. Nastął najpiękniejszy okres w życiu celi. Misza zorganizował kursy uniwersyteckie. Wykładałem codziennie przez dwie godziny. Potem — Zborowski. Gdy Makedon wrócił, skończyło się. Zaofiarowałem mu osobne dla niego wykłady, aby mógł dogonić kurs. Był zbyt dumny. Bał się kompromitacji.

Z początkiem lipca był już bez pieniędzy. Wszyscy prócz Gewondiego już odeszli. Odstępowałem mu codziennie część mojej żywności. To samo robił Gewondi, ale Armeńczyk nie mógł sobie odmówić przypomnienia mu, jaki był dawniej nieznośny:

— Co byś teraz zrobił Makedonie, gdybyśmy byli takimi ludźmi jak ty?

Od tej pory mieliśmy w celi spokój.

Makedon miał jedną dobrą cechę: był skrupulatnie czysty i zamiłowany w porządku. Gdy zostaliśmy w celi sami z Gewondianem, zażądał od strażnika dwóch wiader wody i szmaty. Wielokrotnie zmyliśmy cementową podłogę i wyszorowaliśmy gruntownie całą celę. Pachniało potem znowu świeżym powietrzem. Byliśmy bardzo dumni z naszej pracy, ale nie na długo.

Pozostawałem w dobrej łączności z sąsiednią celą. Korespondentem moim był pewien nauczyciel języków. Doniósł o likwidacji członków Biura Politycznego, Ejchego, Kosiora i Postyszewa. Potem powiedział:

— Powiadają, że zaczęła się faszycacja Związku Sowieckiego.

Oburzyłem się i odpukałem:

— D-u-r-a-k.

Nie chciałem dalej pukać. Później zgodziłem się, ale już nie po rosyjsku. Bałem się podsłuchu. Mój partner znał niemiecki i angielski.

Bynajmniej nie z ostrożności zaprotestowałem przeciw określe-
niu „faszycacja Związku Sowieckiego”. Pomimo mych doświad-
czeń więziennych byłem jeszcze wówczas szczerze oburzony na
próbę przeprowadzenia paraleli pomiędzy krajami faszyzmu a
Związkiem Sowieckim.

Następnego dnia po porządkach musieliśmy opuścić naszą
cełę. Byliśmy naprawdę nieszczęśliwi. Przeszliśmy do celi sąsied-
niej. Siedziało tam pięciu ludzi. Poznałem się z moim partnerem
w pukaniu. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem.

Musieliśmy urządzić się na podłodze. Immigrantom zawsze
jest trudniej jak tubylcom. Opłakiwaliśmy naszą piękną celę. Wie-
czorem usłyszeliśmy, jak się do niej drzwi otwierały i przycho-
dzili nowi. Natychmiast nawiązaliśmy z nimi łączność. Zapytali:

— Ilu was jest?

— Ośmiu. A was?

— D-w-u-d-z-i-e-s-t-u c-z-t-e-r-e-c-h...

Myślałem, że źle zrozumiałem. Do tej pory piętnastu stano-
wiło maksimum. Już przy takim zaludnieniu trudno było od-
dychać.

Powtórzyłem swe zapytanie.

— Dwudziess...

Przerwałem znowu:

— Pukajcie powoli. Nie rozumiem was.

Raz po raz powracało „dwudziestu czterech” jako odpowiedź,
raz po raz sądziłem, że się przesłyszałem. Następnego dnia w po-
łudnie przyszło do nas sześciu ludzi. Jeszcze się nie urządzili,
gdy znowu otworzyły się drzwi i przyszło jeszcze dziewięciu ludzi.
Musieliśmy wszyscy wstać, aby nowi mogli wejść do celi. Zapyta-
liśmy strażnika:

— Nie ma już u nas miejsca na podłodze. Co ci ludzie mają
ze sobą zrobić?

Powiedział:

— To nie na długo.

Czekaliśmy na stojąco przez dwie godziny. O szóstej wieczor-
em zmieniano strażników. Pukaliśmy do drzwi i nieustannie do-
magaliśmy się, by pomieszczono tych nowych. W godzinę po
zmianie otworzyły się nareszcie drzwi. Odetchnęliśmy. Stało się
jednak coś niezwykłego: nie tylko nie zabrali nadliczbowych, ale
włoczyli jeszcze dziesięciu ludzi.

Protestowaliśmy gwałtownie. Byliśmy zmęczeni wielogodzin-

nym staniem. Czekaliśmy jeszcze do czasu, przewidzianego na ułożenie się do snu. Ludzi tych nie zabrano. Wtedy zaczęliśmy walić w drzwi. Strażnik powiedział:

— Nie mogę nikogo zabrać. Może to uczynić tylko komendant. Czego ode mnie chcecie?

— Zawołajcie komendanta.

Minęła dalsza godzina. Waliliśmy w drzwi jak opętani. Wreszcie zjawił się komendant.

— Kto bił obcasami w drzwi?

Nikt nie odpowiedział.

— Weissberg, kto to zrobił?

— Nie wiem. Nie patrzałem.

Zapytał innego i otrzymał tę samą odpowiedź.

— Czego chcecie?

Odpowiedziałem:

— Nie wiem czego chcą inni. Ale *ja* chciałbym spać. A nie mogę się położyć.

Nie wolno było zabierać głosu w imieniu innych. To byłaby nielegalna organizacja.

— Kiedy ci ludzie pójdą? — zapytał Gewondian.

— Ci ludzie zostaną tutaj, dopóki ich NKWD gdzie indziej nie pomieści. Nie mam na to żadnego wpływu. O tym decyduje sędzia śledczy.

— W takim razie zawołajcie sędziego śledczego i poproście go o zarządzenia.

— Weissberg, ostrzegam was. Wiem od dawna, że podburzacie celę. Zaprzestańcie tego. To się może źle skończyć.

Drzwi się za nim zamknęły. Byliśmy bezradni. Na ośmiu metrach kwadratowych było nas 33 osoby. Trochę miejsca zabierała nam jeszcze szafka. Próbowaliśmy ścisnąć się, by zrobić miejsce do spania dla sześciu ludzi i zmieniać się co dwie godziny. Trudno było bez zegarka sprawiedliwie odmierzać czas. Wybrano mnie starostą. Myśleliśmy, że rano zrobią porządek. Ale nic się nie zmieniło.

Zaczęliśmy znowu łomotać. Zjawił się komendant:

— Ci ludzie tu zostaną. Musicie się urządzać, jak potraficie. Nie wy jedni.

Przystąpiliśmy do głodówki. Przyszedł komendant:

— Dlaczego nie przyjmujecie jedzenia?

Nikt nie odpowiadał.

— Weissberg, dlaczego cela nie przyjmuje jedzenia?

— Nie wiem, obywatelu komendancie, dlaczego inni nie chcą jeść.

— Weissberg, dlaczego ty nie przyjmujesz jedzenia?

— Nie mogę jeść przy takim upale. Tracę apetyt.

W południe powtórzyły się sceny, znane mi już z karceru. Rozebraliśmy się i pot z nas spływał. Okno było tu większe niż w piwnicy. Ale słońce przez cały dzień nielitościwie nagrzewało tu blaszany kosz, podczas gdy okno piwnicy wychodziło na północ. Wieczorem przyszedł komendant. Nie powiedział ani słowa. My także nie. Zabrał tylko Makedona do innej celi. Było to bardzo znamienne. W celi sąsiedniej po prawej stronie siedziało, jak to teraz dobrze rozumieliśmy, dwudziestu czterech ludzi. Natomiast po lewej stronie tylko trzech. Jeszcze dalej — tylko jeden. Dlaczego nas tak traktowali?

Nasi ludzie nie mogli tego pojąć. Większość z nich miała już za sobą śledztwo i przyznała się do wszystkiego, czego od nich chciano. Czekali na wyrok „OSO”, by pójść do obozów. Dlaczego dręczyli tych ludzi?

Wieczorem zabrali trzech ludzi. Próbowaliśmy się urządzać.

Trzeba było pomieścić 29 ludzi. Cella była podłużna, rozmiarów 4 na 2 metry. Na prawej ścianie jedno nad drugim dwa łóżka, które można było podnieść i przymocować do ściany. Na lewej ścianie tylko jedno łóżko. Za czasów caratu w każdej z tych cel było tylko jedno łóżko. Były to wówczas pojedynki. Łóżka były rozmiaru 2 metry na 80 centymetrów. Po opuszczeniu dolnych łóżek pozostawał pomiędzy nimi odstęp około 30 centymetrów. Na obu tych dolnych łóżkach ułożyłem osiem osób, po cztery na każdym. Tych czterech siedziało obok siebie na jednym łóżku i kładło nogi na drugim łóżku, pomiędzy ciałami sąsiadów. To samo robiła ta druga czwórka.

Pod łóżkami mogłem w ten sam sposób pomieścić tylko siedmiu ludzi, gdyż podpórki łóżek zabierały trochę miejsca. To załatwiało mi 15 ludzi. Łóżka dzieliły celę w ten sposób, że pod oknem pozostawała przestrzeń szersza o kilka centymetrów niż pod drzwiami. Pod drzwiami stała wspomniana wyżej szafka. Bliskość okna dawała trochę ochłody. Pomieściłem tam sześciu ludzi. Mogli leżeć tylko na boku, a przecież nie można leżeć przez czas dłuższy na tym samym boku, gdyż wtedy boli biodro. Trzeba podkurczyć nogi. Aby nie tracić w ten sposób zbyt wiele miejsca, trzech ludzi, mających głowy pod prawą ścianą, leżeli twarzą do okna, zaś trzech, mających głowy pod lewą ścianą — twarzą do drzwi. Obie grupy układały nogi w ten sposób, że każdy miał stopy swego partnera na piersi. Co dwie godziny obracali się jednocześnie na komendę. Pod drzwiami umieściłem w ten sam sposób czterech ludzi. Urządziłem zatem dwudziestu pięciu. Pozostawało czterech ludzi i górne łóżko.

Dopóki nas było 29-ciu i nikt nie odchodził nocą na prze-

słuchanie, problem był nie do rozwiązania. Nikt nie chciał wspinać się na górne łóżko.

Mianowicie cela miała sklepiony sufit. Okno było bardzo małe i kończyło się na metr pod sklepieniem. Skutkiem tego powstawało w górze martwe pole, w którym stało nieruchomo rozżarzone powietrze. W górze było jak w piecu piekarskim.

O północy na szczęście zabrali trzech ludzi na przesłuchanie. Poszedłem sam na górne łóżko. Było rozpalone, ale za to byłem sam. Póki leżałem nago całkiem spokojnie, można było jeszcze wytrzymać. Przy najmniejszym poruszeniu oblewał mnie pot i spływał strugami w dół.

Po dwóch dniach podłoga pokryta była grubą na centymetr warstwą potu, który cuchnął amoniakiem. Zauważyliśmy później, że nie musieliśmy już chodzić do ustępu, by oddawać mocz. Wyparowywaliśmy wszystko.

Rankiem podnosiliśmy łóżka i składaliśmy ubrania tak, by móc na nich siedzieć. Potem siadaliśmy skuleni obok siebie. Podciągnąwszy nogi, mogliśmy wszyscy — bardzo stłoczeni — znaleźć dla siebie miejsce. Szafkę wstawialiśmy do framugi drzwi. Do 10 przed południem mogliśmy jeszcze oddychać. Potem przychodziło słońce i stawało się gorąco jak w ukropie. Błaznany kosz na oknie rozpalał się. Braliśmy wiadro wody i polewaliśmy nią blachę. Dawało to trochę ochłody, ale za to więcej wilgoci. Woda parowała natychmiast, a para wodna wypełniała celę. Raz po raz polewaliśmy okno. Wtedy przyszedł komendant:

— Kto wylewa wodę przez okno? Jeśli nie przestaniecie, nie dam wam wody.

Głodówka trwała już dwa dni. Potem zawezwał mnie komendant. Usiłował być życzliwy:

— Weissberg, strajk jest demonstracją antysowiecką. Jeszcze o nim nie zameldowałem. W waszym własnym interesie. Jeśli o nim zawiadomię, każą rozstrzelać połowę z was, a przede wszystkim ciebie. Idź na górę i przerwij strajk.

— Nie mam żadnego wpływu na ludzi. Ludzie po prostu nie mogą jeść w tych warunkach. To przecież wstyd i hańba stłoczyć tak ludzi.

— Nic na to nie mogę poradzić. Zrobię chętnie, co leży w mej mocy. Pozwolę wam także na dłuższy spacer.

— To nie wystarczy. Wypuszczajcie nas cztery razy dziennie do ustępu i zostawiajcie kłapę otwartą, aby prąd powietrza chłodził celę.

— Zwariowałeś, Weissberg? Nie mogę przecież zostawiać celi otworem. Jeśli dowie się o tym NKWD, zamknie mnie samego.

— Nie możemy oddychać. Skonamy w ten sposób po kilku tygodniach. Jak długo może człowiek tak żyć? Nikt z nas nic nie zawiń!

— Tak jest, ale nic nie mogę zrobić. To nie ode mnie zależy.

— Czy wtedy gdy zamykaliście mnie do karceru, w którym niemal się udusiłem, także uzyskaliście najpierw pozwolenie NKWD?

— Nie, kary dyscyplinarne leżą w naszej kompetencji.

— W takim razie jest wyjście: zamknijcie dziesięciu spośród nas do karceru, który teraz na pewno stoi pustką. To ułatwi sytuację.

— Weissberg, ostrzegam cię po raz ostatni. Prowadzisz niebezpieczną grę.

— Obywatelu komendancie, oświadczam wam, że nie organizowałem tego strajku. Ludzie nie działają zbiorowo, lecz w tych warunkach nikt z nas nie potrafi przełknąć nawet jednego kęsa.

Przerwał rozmowę. Powiadomiłem towarzyszy o jego propozycji. Wszyscy odmówili. Strajk trwał. Minął jeszcze jeden dzień. Serca nasze słabły. Po południu przyszedł dobry strażnik i otworzył kłapę. Siedzieliśmy jak myszy pod miotłą i rozkoszowaliśmy się napływającym prądem chłodnego powietrza. Strażnik, na własne ryzyko, coraz otwierał kłapę na pół godziny. Gdy słyszał kroki na schodach, bezzwłocznie zamykał kłapę. Walczyliśmy jeszcze przez dwa dni. Jeszcze dwa razy pertraktowałem z komendantem. Zaofiarował nam podwójny spacer. Odrzuciliśmy.

Piątego dnia głódówki byliśmy wyczerpani. Większość głosowała za przerwaniem strajku. Kilku szemrało:

— Należało zgodzić się wcześniej. Teraz nie da nam już drugiego spaceru.

Siedziałem pod oknem. Na lewo ode mnie siedział młody naukowiec, bakteriolog nazwiskiem Batiuk. Obok niego liczący jakieś 23 lata bardzo sympatyczny sekretarz partyjny. Zdaje mi się, że był drugim sekretarzem w jakimś rejonie charkowskiego obwodu. A może nie był sekretarzem komitetu partyjnego, lecz Komsomołu. Siedząc tak usiłowałem zapamiętać ludzi i w tym celu powtarzałem sobie ich nazwiska w kolejności, tak jak siedzieli. Robiłem to wówczas z całą świadomością dla tej oto książki. Czulem, że kiedyś przecież wydobanę się z zasięgu tej władzy i że będę musiał powiedzieć moim towarzyszom za granicą o się tu działo. Setki razy powtarzałem sobie nazwiska tych 29-ciu ludzi. A jednak zapominałem je kompletnie. Nigdy, ani przedtem ani potem, nie podejmowałem tak świadomej próby zachowania czegoś w pamięci. A jednak pamiętam dokładnie postacie z innych

cel, podczas gdy mgła okrywa wszystko, co się działo tutaj. Tylko jedno wydarzenie zarysowuje się ostro w mroku.

Piątego dnia musieliśmy przerwać strajk. Tylko jeden, pewien Białorusin, oświadczył, że będzie dalej strajkował. Młody sekretarz rejonowy powiedział:

— Wspólna akcja nie udała się. Teraz będzie musiał każdy działać na własną odpowiedzialność.

Powiedział to z zawziętą powagą i w sposób jak gdyby uroczysty. Nie rozumiałem dokładnie, co miał na myśli.

Nieco później poszliśmy do ustępu. Zazwyczaj szedłem ostatni. Tym razem byłem pierwszy. Zaledwie zamknęły się za nami drzwi w ustępie, wpadł strażnik, otworzył drzwi i zawołał:

— Weissberg, chodźcie natychmiast.

Pobiegłem do celi. Strażnik trzęsąc się został w drzwiach. Widok był okropny: cela zalana krwią. Młody sekretarz rejonowy rozbił szybę, chwycił długi, wąski odłamek szkła i wbił go sobie pomiędzy żebra w serce. Krzyknąłem do strażnika:

— Wołajcie natychmiast lekarza!

Dyscyplina przysła. Razem z Batiukiem, który był lekarzem, zaniósłem chłopca do izby chorych. Wkrótce przybiegli komendant i pielęgniarka. Musiałem odejść. Batiukowi pozwolono zostać. Przyszedł później i opowiadał:

„Gdy enkawudyści uważają coś za ważne, potrafią się zakrzętnąć. W ciągu dziesięciu minut był na miejscu najznakomitszy charkowski chirurg. Nic jednak nie pomoże. Biedny chłopak. Mógł jeszcze mówić. Ale tylko bardzo cicho. Przywołał mnie do siebie skinieniem ręki i powiedział: 'Powiedz mej siostrze, że byłem zawsze wierny partii. Nie byłem nigdy wrogiem ludu. Wszystko nieprawda. Powiedz to mojej siostrze. Niech pozostanie wierna partii i krajowi' ”.

Sekretarz rejonowy często nam opowiadał o swej młodej siostrze. Oboje od dziecka byli sierotami. Rodziców zamordowali biali w wojnie domowej...

Nie mieliśmy już nadziei, że ujrzymy tego człowieka. Wypadek ten zaciążył na nas. Wzmógł w nas wszystkich poczucie olbrzymiej krzywdy, jaka nas spotkała. Nie było w celi chyba nikogo, kto by z całą żarliwością nie brał udziału w budownictwie socjalistycznym i nie kochał kraju i rewolucji. Dlaczego musiało to nas spotkać? Dlaczego siedzieliśmy tutaj i myśleliśmy tylko o kilku łykach świeżego powietrza, zamiast żyć pełnią życia i spełniać pożyteczną robotę?

W tydzień później przyszedł komendant. Kazał usunąć kawałki szkła. Gewondian powiedział mu:

— Długo z tym czekaliście, obywatelu komendancie. Tymczasem wszyscy mogliśmy sobie odebrać życie.

— Nic to temu bandycie nie pomoże. Poniesie ciężką karę. A potem wróci tu, do celi.

Nie wierzyliśmy ani jednemu słowu komendanta. Byliśmy przekonani, że nasz kolega od dawna leży w grobie. Batiuk, bakteriolog, opowiadał nam co prawda, że można zaszyć worek sercowy i że można jeszcze takiego człowieka ocalić. Nie wierzyliśmy jednak, by sobie NKWD zadawało tyle trudu. Pozwalali dzień w dzień ginąć w obozach tysiącom, które były równie niewinne, jak my tu wszyscy. Czemu mieliby się specjalnie trudzić o jednego człowieka.

Wbrew oczekiwaniu, nasz towarzysz po czterech tygodniach powrócił. Musiał pozwolić na to, że wszyscy po kolei wyściskali go.

Początkowo wierzyliśmy, że ten stan w celi potrwa kilka godzin, potem — że jedną noc, potem — że jeden tydzień. Nie mieli nad nami litości. Musieliśmy żyć w tym piekle dwa i pół miesiąca. Także i niebo nie miało zmiłowania. Było to od niepamiętnych czasów najgorętsze lato.

Siedział z nami stary handlarz koni. Powtarzał raz po raz:

— Człowiek jest jak chwast: nie można go wytepić. Konie zdechłyby tu po dwóch dniach.

Moim jedynym przyjacielem w tej celi był mój sąsiad Batiuk. Z innymi nie można było nawiązać kontaktu, po prostu z braku miejsca.

Batiuk był młodym uczonym. Był to niezwykle kulturalny człowiek. Zachowywał się w tym środowisku jak angielski lord. NKWD obwinało go, że hodował bakterie, by zatruwać oddziały Armii Czerwonej. Przyznał się do wszystkiego, ale traktował czekistów ironicznie i z góry.

Sędzia śledczy zapytał go:

— Przyznajecie, że postanowiliście — przy pomocy nieznanych bakterii — wywołać śmiertelne choroby zakaźne wśród oddziałów Armii Czerwonej?

— Tak jest, ze szczególnym uwzględnieniem kadr NKWD.

— Co to znaczy?

— Kонтrewolucjoniści chcieli po prostu zabezpieczyć się przed prześladowaniami NKWD. Sądzieli, że moje bakterie wywołają panikę wśród czekistów i zdziesiątkują czołową kadrę charkowskiego NKWD.

— Cóż to za nonsens? Nie możecie przecież wyhodować bakterii, które by oddziaływały specjalnie na nas?

— Tak jest, ale ta sama trudność zachodziła w stosunku do Armii Czerwonej. Spodziewaliśmy się, że postęp wiedzy rozwiąże ten problem.

Sędzia śledczy wiedział naturalnie, że Batiuk kpi sobie z niego. Cóż jednak mógł zrobić? Miał swoje zadanie: potrzebny mu był bakteriolog, pracujący nad wytruciem Armii Czerwonej. Oskarżeni w procesie Bucharina składali podobne zeznania.

Białorusin kontynuował głodówkę jeszcze przez tydzień. Nocami niespostrzeżenie dawałem mu zawsze kilka kawałków cukru dla wzmocnienia serca. Po tygodniu zabrali go i przystąpili do przymusowego odżywiania. Wtedy przerwał strajk. Był to w ogóle człowiek nieszczęśliwy. Dręczony kompleksami niższości, sprzeczał się nieustannie ze swymi sąsiadami. Jako starosta musiałem zawsze pośredniczyć. Nie był Żydem, ale zachowywał się jak Żyd, który wpadł w ręce bandy antysemitów.

W celi teraz trochę zelżało: noc w noc zabierali około dziesięciu ludzi na przesłuchanie. Mogliśmy się wyciągnąć.

Nie do zniesienia był koniec tygodnia. Nikogo nie wzywano do przesłuchania. Cela kipiała. Dostaliśmy z ławoczki bardzo twardą margarynę, która roztapiała się dopiero przy wysokiej temperaturze. Roztopiła się. Wynaleźliśmy sztuczną wentylację: jeden stawał w środku i zataczał wilgotnym ręcznikiem poziome kręgi. W ten sposób wciągał powietrze z okna. Trzeba go było co kilka minut zmieniać.

Siedzieliśmy w tej duchocie i czekaliśmy wciąż na wyjście z celi do ustępu albo na spacer. Gdy byliśmy poza celą, rozsądni strażnicy zostawiali jej drzwi otwarte. Para wtedy ustępowała, cela ochładzała się. Można było oddychać swobodniej przez godzinę dłużej, zanim temperatura nie powróciła do poprzedniej wysokości. Wśród strażników był jeden, który ściśle trzymał się przepisów. Gdy na niego przypadał dyżur myśleliśmy, że skonamy z upału i braku powietrza.

Białorusin mówił z goryczą:

— Trzymają się hasła Stalina: TIURMA TIURMOJ.

Zdanie to powiedział Stalin przed rokiem do Jeżowa. Po polsku znaczy ono: „Więzienie ma być znowu więzieniem”. Czełkiści stale przytaczali powyższe zdanie wodza:

— Nie przyszlście do sanatorium, wy bandyci. Wykonamy rozkaz towarzysza Stalina.

W latach dwudziestych więziennictwo w Związku Sowieckim było najbardziej humanitarne w świecie. Więzienie drogą wspólnej pracy, lektury, opieki, miało naprawdę wychowywać ludzi

społecznych. Więzienia podlegały wówczas przeważnie nie GPU, lecz ludowemu komisariatowi sprawiedliwości. Nakazem wielkiej rewolucji był humanitaryzm nawet dla wyrzutek społeczeństwa. Rewolucja wychodziła z założenia, że nie ma urodzonych przestępców. Przestępca jest wytworem złych stosunków społecznych. Razem z pozostałościami kapitalizmu zniknie także przestępczość. W więzieniach były wówczas sale wykładowe, teatry, biblioteki. Wielu więźniom dawano urlopy celem odwiedzenia rodziny. Wracali dobrowolnie. Dwa razy na tydzień wolno było więźniów odwiedzać.

Co stało się z tą spuścizną rewolucji za Stalina? Zastąpiło ją hasło: TIURMA TIURMOJ. W celi naszej siedział pewien stary anarchista. Siedział niegdyś w Szlisselburgu:

— Jakże protestował dawniej cały kraj przeciw hańbie carskich więzień! A przecież w porównaniu z naszą celą były to prawdziwe sanatoria. Ale teraz nikt nie protestuje. Teraz dziękuje się tylko za „szczęśliwe życie”. Tam, na zewnątrz, żądają teraz w rezolucjach, by nas „starto z oblicza ziemi”. A przecież przeciwko carowi rzeczywiście spiskowaliśmy, tutaj zaś niczego złego nie robiliśmy. Pracowaliśmy dla władzy sowieckiej jak cielecia. Może to było błędem.

Sekretarz rejonowy zbeształ starego:

— Nie mów takich rzeczy. Nie mogę tego słuchać.

Ludzie, przychodzący teraz z „Brechałowki”, opowiadali niesłychane rzeczy. Ostatnimi czasy bito mniej. Za to częściej stosowano konwejer. Aresztowany został pewien anarchista. Prawdziwy, nie fikcyjny, anarchista. To znaczy, że człowiek ten nie prowadził żadnej roboty wywrotowej. Wciąż jednak przyznawał się uporczywie do swych dawnych idei. Nazywał się Ajzenberg i był żydowskim krawcem.

Jako czeladnik przejął się ideami Piotra Kropotkina i Michała Bakunina. Bronił ich nadal z talmudyczną zawziętością.

Towarzysze opisywali go: był mały, chudy, żyłasty i miał płonące oczy. Wyglądał jak fakir. Nie było na nim ani grama tłuszczu, a mimo to był bardzo silny. Muskulary miał wyschnięte, lecz twarde i silne. Liczył 55 lat i codziennie gimnastykował się gorliwie.

Sędzia śledczy powitał go zapytaniem:

— Jesteś anarchistą?

— Jestem, obywatelu sędzio śledczy.

Sędzia śledczy zdumiał się. Bardzo rzadko zdarzało się, by

więzień bez żadnej próby stawiania oporu, już przy pierwszym przesłuchaniu, przyznawał się do winy.

— Dobrze, że się przyznajesz. Zapewni ci to łagodniejszą karę. Kto cię zwerbował?

— Książę Piotr Kropotkin, obywatelu sędzio śledczy.

— Tylko bez głupich dowcipów. Sprawa jest serio. Kto cię zwerbował? Kto wciągnął cię do organizacji?

— Jestem czystym anarchistą, obywatelu sędzio śledczy.

— To już słyszałem. Masz wydać organizację. Rozumiesz? Kontrrewolucyjną organizację.

— Obywatelu sędzio śledczy, zdaje się, że dopiero od niedawna jesteście w swym zawodzie, w przeciwnym razie wiedzielibyście, że czyści anarchiści są anarchistami indywidualnymi. Nie uznajemy żadnej organizacji. To wynika z naszego programu. Ludzie, podzielający nasze idee, tworzą tylko wspólnotę przekonania. Nikt z nas nie podlega niczyjemu rozkazowi.

— *Paszol k'jobanoj matieri* z twoją wspólnotą przekonania. Jeśli natychmiast nie wydasz organizacji, każę ci kości połamać, ty psie kontrrewolucyjny.

Ajzenberg wstał. Mówił powoli i uroczyście:

— Obraziliście mnie, obywatelu sędzio śledczy. Toteż nie będę więcej odpowiadał na wasze zapytania.

Sędzia śledczy szalał. Uderzył więźnia w twarz. Kazał mu stać z podniesionymi rękoma, twarzą do ściany. Ajzenberg usłuchał, ale nie wypowiedział ani słowa.

Sędzia śledczy zmienił taktykę:

— Ajzenberg, chcesz sabotować śledztwo? To jest antysowiecka demonstracja. Może się to źle dla ciebie skończyć.

Ani słowa.

— Ajzenberg, chcesz mnie zmusić do sprowadzenia ludzi? Tak cię urządzają, że cię rodzona matka nie pozna. Odpowiadaj.

Ajzenberg odwrócił się:

— Obywatelu sędzio śledczy, możecie mnie bić. To należy do waszego zawodu. Wy jesteście policjantem, a ja — więźniem. Przesiedziałem siedem lat w carskiej katordze. Tam mnie także bili. Jednakże nie wolno wam mnie lżyć. Jestem człowiekiem, tak jak i wy i mam duszę, tak jak i wy. Nie macie prawa obrażać mej godności.

Ajzenberg stał przez sześć godzin twarzą do ściany. Potem oświadczył:

— Zmęczyłem się, obywatelu sędzio śledczy. Pozwolicie, że usiądę.

Nie czekając na odpowiedź, usiadł na podłodze. Sędzia śledczy rzucił się na niego:

— Chcesz stawiać opór, ty sukinsynu? Opór przeciw władzy sowieckiej? Jeśli natychmiast nie wstaniesz, będziemy cię bili, aż zmięknieś.

Ajzenberg nie drgnął. Sędzia śledczy sprowadził dwóch ludzi. Ajzenberg nie bronił się. Bili go przez godzinę. Nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia. Towarzysze w „Brechałowce” opowiadali najdziwniejsze rzeczy. Twierdzili oni, że Ajzenberg potrafi całkowicie wyłączyć swą wrażliwość. Po dwóch godzinach czekiści spostrzegli, że więźniowi oczy zupełnie znieruchomiały. (Opowiadał nam o tym aresztowany później sekretarz NKWD, który podówczas był w pokoju). Zawezwali lekarza. Zbadał serce więźnia i stwierdził, że jest zupełnie zdrowy i silny. Jednakże cała postawa więźnia nie była normalna. Zdawało się, że jest rzeczywiście na wszystko niewrażliwy. Zrezygnowali z bicia i zorganizowali konwejer.

Ten wychudły krawczyk żydowski i anarchista pobił wszystkie rekordy w dziejach NKWD. Wytrzymał konwejer bez przerwy przez 31 dni i 31 nocy. Do dnia dzisiejszego nie mogę zrozumieć, jak to było fizycznie możliwe. Od czasu tej historii odnoszę się nieco mniej sceptycznie do opowiadań o wyczynach indyjskich fakirów.

„Brechałowka”, a za jej pośrednictwem całe więzienie, śledziła z zapartym tchem ten pojedynek jednego człowieka z wszechmocnym aparatem NKWD. Dwa razy na dobę przerywano konwejer na 20 minut i odsyłano Ajzenberga na dół. Po przybyciu do celi rozbierał się i kładł się nago na podłodze. Dwaj towarzysze wycierali go mokrymi ręcznikami i masowali. Do ust wkładali mu skręcone dla niego papierosy. Jadł swój posiłek, a potem spał przez dziesięć minut, póki go nie zabrali.

— Przecież przyznajesz, że byłeś kontrrewolucyjnym anarchistą. Dlaczego upierasz się właśnie jeśli idzie o organizację? Przecież zginiesz tutaj. Powiedz po prostu, kto podzielał twoje poglądy.

— Byłem i jeszcze dziś jestem anarchistą. Nigdy jednak nie byłem kontrrewolucjonistą. Przez całe życie walczyłem dla rewolucji. Jestem jednak wrogiem państwa — każdego państwa. Także waszego państwa. Państwo i jego aparat ucisku jest początkiem wszelkiego zła. Państwo knebluje nam wszystkim usta. Gdy państwo zniknie, lud będzie mógł po raz pierwszy w historii odetchnąć.

Kapitan próbował podjąć z nim dyskusję:

— Jak można obejść się bez państwa? Co zrobimy wtedy ze zbrodniarzami?

— Nie będzie zbrodniarzy, gdy nie będzie państwa.

Nie można się było z nim uporać. Nie miał racji, ale wierzył w swą sprawę. Wśród 12.000 więźniów był jedynym, który bronił idei. My, pozostali, byliśmy wszyscy ofiarami ucisku. On był bojownikiem przeciwko uciskowi. Mówił często do swych towarzyszy celi:

— Kiedyś prawda zwycięży. Nasze cierpienia nie pójdą na marne.

I zwyciężył. Wytrzymał konwejer nie przyznając się do niczego. Po 31 dniach przerwali przesłuchanie i posłali go do Moskwy, jakoby do szpitala wariatów.

Być może i on, jak wszyscy inni, wylądował w odległych obozach.

W owym czasie zaczęto coraz więcej mówić o nadchodzącym przełomie. Myśl tę utwierdzały nie tylko nieznosne stosunki w przepełnionych więzieniach, ale i wiadomości z zewnątrz. Po raz pierwszy podniosły się także i na zewnątrz głosy protestu. Żony aresztowanych kolejarzy odwiedziły ludowego komisarza Kaganowicza i prosiły o pomoc dla mężów. Petycje zalewały sekretariaty Komitetu Centralnego partii, prokuratury generalnej i Prezydium Najwyższego Sowietu. Nikt nie oskarżał NKWD o aresztowanie niewinnych. Rodziny mówiły zawsze tylko o pomyłkach. Jednakże powódź prośb równała się demonstracji. W fabrykach brakowało fachowców. Wszędzie panował bezprzykładny chaos. Zniszczona została ciągłość kierownictwa. Niemal wszyscy wyżsi oficerowie byli aresztowani. Robotnicy szli do pracy z workiem suszonego chleba, na wypadek aresztowania w fabryce. Nastrój w kraju był rozpaczliwy. Echa tego wszystkiego musiały dochodzić do władz. Nawet najwyżsi biurokraci kraju mieli taki czy inny nieoficjalny kontakt z masami ludu. Żony ludowych komisarzy miały służące, fryzjerki. Ludowi komisarze mieli szoferów. Stale aresztowano nowych ludzi także spośród najwyższych dostojników. Każdy bał się, że następnym razem przyjdzie na niego kolej. Także członkowie Politbiura nie byli pewni życia, jak tego dowodził przykład Czubara, Postyszewa, Ejchego, Kosiora. Napięcie w kraju wzrosło do tego stopnia, że — nawet w warunkach tej niesłychanej totalitarnej dyktatury NKWD — groziła eksplozja. Życie gospodarcze zamarło. Nikt nie ważył się brać na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. Każdy unikał kontaktu z kimkolwiek. Dyrektorzy i inżynierowie w fabrykach przy każdym nieco śmielszym kroku zabezpieczali się górami dokumentów przed interwencją NKWD. Wszystko tonęło w biurowych papierkach. Nowoprzybyli opowiadali, że przed drzwia-

mi więzień prowincjonalnych często gromadziły się zrozpaczone kobiety. Tak samo przed biurami prokuratorów. Byliśmy w celi dokładnie zorientowani w sytuacji kraju. Wszyscy mieliśmy uczucie: tak dłużej być nie może.

Ten nastrój kraju musiał tysiącem kanałów docierać także i do Stalina. To on chciał czystki. Nakazał ją. Jeżow był jego narzędziem. Jednakże nie mógł sam zaplanować rozmiaru aresztowań. Jeżow okazał się gorliwcem, który doprowadził kraj na krawędź przepaści. Stalin zdał sobie z tego sprawę w ostatniej minucie, tak samo jak w okresie kolektywizacji: zawrócił, gdy jedenaście milionów chłopów legło w grobach. Teraz znowu sprawy zaszyły tak daleko. Kiedy nareszcie wyda on hasło: zawrócić!

Przez dwa i pół miesiąca siedziałem w tym kotle parowym. Byłem już u kresu sił. Gdy wyprowadzano nas na spacer, siadałem na ziemi, patrzyłem w niebo i wchłaniałem pełnymi haustami świeże powietrze. Strażnik nie przeszkadzał. Byłem najstarszym rangą więźniem.

Pewnej nocy, z początkiem września, leżałem bezsennie na górnej pryczy. Wciąż jeszcze było nieznośnie gorąco. Wachlując się ręcznikiem doprowadzałem w górę nieco chłodniejsze powietrze, ale towarzysze na dole protestowali, gdyż w ten sposób gorące powietrze sphywało na nich. Uzyskałem przywilej posiadania łóżka dla siebie za tę cenę, że będzie mi najgoręcej. Przestałem się więc wachlować i odwróciłem się do ściany.

Na ścianie w wielu miejscach widniały wyskrobane napisy. Odchodzący więźniowie uwieczniali tu swoje nazwiska oraz daty swego przybycia i odejścia. Wszystkie napisy pochodziły z okresu przed rokiem 1936. Dziwiło mnie, że ci ludzie potrafili wyręć datę odejścia. Odejście odbywało się teraz w ten sposób, że strażnik czekał, aż więzień spakuje się i zabierał go ze sobą. Więzień nie miał żadnej możliwości, by na oczach strażnika odnotować datę. Nazwisko i datę przybycia mógł wyręć na ścianie, kiedy chciał. Ale datę odejścia?

Nadeszła północ. Myślałem wciąż o tym problemie. Zdecydowałem się wyskrobać swoje nazwisko na ścianie. Wyjąłem spod poduszki odłamek szkła. Napis wyszedł bardzo pięknie i wyraźnie. W tej samej chwili otworzyła się kłapa: „Na literę W?...”

Nie poruszyłem się. Nigdy nie brano mnie na przesłuchanie. Już od roku. Byłem przekonany, że aż do przełomu dadzą mi spokój.

Dwaj inni, których nazwiska zaczynały się na W, podeszli do kłapy. Strażnik odprawił ich i skinął na mnie:

— Spakujcie rzeczy.

— Co, ja na przesłuchanie?

Serce mi zamarło. Co to znaczy? Z rzeczami, oznaczało: etapem! Albo — na wolność. A może tylko do innej celi. Ale takiej zmiany oczekiwałem najmniej. Zacząłem się pakować.

Zbudzili się wszyscy. Wywołanie mnie stanowiło sensację. Musiałem zęgnąć się z każdym. Starosta często musi rozstrzygać zatargi, w których jednemu przyznaje rację, a innemu jej odmawia. Pomimo to wszyscy byli ze mną w dobrych stosunkach. Mój autorytet raczej wzrósł w ciągu tych dwóch miesięcy. Pomimo nieznośnego życia w tej celi, rozstawałem się z nią z mieszanymi uczuciami. Więzień boi się wszelkiej zmiany.

Szedłem za strażnikiem. Przez małe żelazne drzwi we frontowej części budynku wprowadził mnie do oddziału, w którym znajdowały się cele masowe. Zeszliśmy o cztery piętra w dół. Potem otworzył drzwi do celi nr 1. Była pusta. Trząśłem się z zimna. Cella miała w swej podłużnej ścianie pięć okien. Była rozmiarów 4 × 18 metrów.

Początkowo sądziłem, że będę tu musiał tylko czekać. Jednakże po godzinie przybyło dwóch innych więźniów. Wobec tego zająłem miejsce na końcu celi, w kącie. Ułożyłem się do snu i obróciłem do ściany, która roziła się od pluskiew. Zabiłem kilkadziesiąt. Było to zajęcie beznadziejne.

W ciągu nocy przybyło do celi ponad stu ludzi. Zaczął się nowy okres mego pobytu w więzieniu...

ARESZTOWANI CZEKIŚCI

Życie w celach masowych różniło się od życia w pojedynkach podobnie jak życie w metropolii różni się od życia na prowincji. Wszystkie wiadomości przychodziły do cel masowych z pierwszej ręki. Każdą zmianę w metodach śledztwa mogliśmy tam natychmiast rejestrować. Przy zaludnieniu 260 osób, jak na przykład w celi nr 2, niemal każdy sędzia śledczy miał między nami jednego ze swych więźniów. Pięć miesięcy, spędzonych w celach masowych Chołodnej Gory, pozostały w mej pamięci jako najpiękniejsze i najżywsze w trzechletnim okresie pozbawienia wolności.

W celi nr 1 pozostawałem tylko przez tydzień. Nikt z nas nie wiedział, co tu nas czekało. Wszyscy liczyliśmy na coś niezwykłego. Codziennie odchodziło z rzeczami 20 do 30 ludzi. Najwidoczniej etapem. Stale zastępował ich nowy przyptyw.

W celi nr 1 siedzieli przeważnie ludzie, którzy śledztwo mieli już za sobą. Wszyscy sądzili, że jest to cela przejściowa do etapu. I każdy liczył się z tym, że go wkrótce wyślą do obozu. Kolportowano tu bardzo wiele wiadomości o życiu w wielkich obozach. Wiadomości te były częściowo pobożnymi życzeniami więźniów. Każdy rzekomo będzie w obozach zatrudniony w swym zawodzie. Po pracy będą szkoły i teatr, biblioteki i tak dalej. Normy pracy mają być niezbyt wysokie. W razie ich wypełnienia, daruje się więźniowi za dzień pracy — dzień pozbawienia wolności. W razie przekroczenia normy o 25% skreśla się dwa dni pozbawienia wolności i tak dalej. Byli jakoby ludzie skazani na dziesięć lat i zwolnieni już po dwóch latach. Dawałem wówczas wiarę tym optymistycznym wiadomościom. Częściowo były one nawet zgodne z prawdą. Tyle tylko, że zawsze w takim wypadku

chodziło o kryminalnych, a nie politycznych. Jedno było pewne: w obozach nie było świadomego sadyzmu. Praca nie służyła do tego, by ludzi zniszczyć, jak w pewnych obozach niemieckich. Praca więźniów leżała w interesie NKWD. Jednakże warunki klimatyczne i mieszkaniowe w obozach były tego rodzaju, że ludzie słabi, o ile nie mieli specjalnych funkcji w administracji, musieli ginąć.

W celi nr 1 nie pozostawałem długo. W tydzień po moim przybyciu przeniesiono nas do celi nr 4, położonej na pierwszym piętrze. Była to najlepsza cela w więzieniu. Miała drewnianą podłogę. Jej rozmiary były takie same jak celi nr 1. Starosta zarządził więc, że zatrzymamy te same miejsca. Dla mnie było to szczęściem. Otrzymałem w ten sposób najlepsze miejsce w celi.

Zaludnienie wzrosło do 160 osób. Ludzie mogli spać tylko na boku, tak samo sprzęgnięci z sobą, jak to opisałem w poprzednim rozdziale. Leżeliśmy więc stłoczeni jak śledzie, ale mogliśmy oddychać. Nie było gorąco. Pięć otwartych okien dawało wiele powietrza. Co wieczór wyłaniał się na nowo spór o miejsca. Trwało około 15 minut, zanim nastawał spokój. Teraz dopiero zrozumiałem głuchy szum, który codziennie około dziewiątej wieczorem słyszeliśmy w pojedynkach od strony cel masowych. W ciągu tych 15 minut kłócił się każdy z wszystkimi i stąd w budynku, mieszczącym 12 cel masowych, powstawał hałas dający się porównać tylko z odgłosem wielkiego wodospadu.

Urządziłem się i rozglądałem dokoła. Od razu zauważyłem pewną osobliwość: w celi było stosunkowo niewiele Rosjan i Ukraińców, natomiast całe grupy wszystkich mniejszości żyjących w Charkowie. W celi nr 4 reprezentowane były 22 narodowości. Znajdowali się tu: Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Niemcy, Armeńcy, Gruzini, Łotysze, Litwini, Finowie, Azerbejdżanie, Chińczycy, Grecy, Turcy, Macedończycy, Bułgarzy, Koreańczycy, Węgrzy, Tatarzy, Baszkirowie, Białorusini.

Kolonia armeńska składała się z 40 osób. Trzymali się razem i byli gotowi poderżnąć gardło wszystkim innym. Byłem wychowany w duchu internacjonalizmu i nienawidzę wszelkich przesądów narodowych. Staram się być zawsze sprawiedliwy. Ale z tymi Armeńczykami sprawa nie była łatwa. Byli między nimi ludzie bardzo dobrzy. Niemal wszyscy — rozmowni i mądrzy. Lecz ogromna większość miała cechy charakteru, utrudniające współżycie. Byli jednocześnie oszustami i gwałtownikami. Dwie cechy, zazwyczaj z sobą nie idące w parze. Byli bardzo uczuleni w sensie narodowym i stale podejrzewali, że się ich chce upośledzać. Raz po raz oburzali się na starostę.

Starosta miał tu ciężkie życie. W pojedynkach każdy dostawał od strażnika miskę zupy. Szło się w kolejce do kłapy i brało się swoją porcję. Kto miał szczęście, znajdował w zupie więcej ziemniaków. Nikt nie mógł zatem skarżyć się na starostę. Tu w celi siedziało 160 ludzi. Przeciskanie się do drzwi, a potem — z miską w rękę — wracanie na swe miejsce byłoby niepodobieństwem. Za dnia ludzie siedzieli przykucnięci na podłodze w czterech długich szeregach. Po dwa rzędy zwrócone do siebie twarzami. Przynoszono dwa potężne kotły, każdy z nich po 80 litrów. Dwaj pomocnicy starosty nieśli ciężki kocioł pomiędzy szeregami i zatrzymywali się w regularnych odstępach. Ziemniaki leżały na dnie kotła. Starosta musiał zatem przed rozlewaniem zupy zawsze zamieszać ją długą chochłą. Dla człowieka osłabionego długim pobytym w więzieniu była to ciężka praca fizyczna. I otóż ze strony Armeńczyków podnosiły się zawsze protesty przeciwko stronnictwu starosty. Siedzieli zawsze razem i oświadczały kategorię, że gdy starosta przechodzi przez ich odcinek zostawia zawsze ziemniaki na dnie. Zazwyczaj awantura prowadziła do tego, że wybierano nowego starostę. Zaproponowaliśmy Armeńczykom, by siadali pomiędzy innymi. Odmówili, gdyż nie chcieli mówić stale po rosyjsku. Biedny starosta miał z nimi masę kłopotów.

W moim kącie zorganizowałem kurs matematyki i fizyki. Ludzie zrobili trochę miejsca. Czarno pomalowana ściana służyła za tablicę. Codziennie od 11 do 1 byłem tym zajęty. W celi było wielu inżynierów i innych ludzi z wykształceniem. Mój przykład podzielał. Wieczorami od 6 do 8 odbywały się zawsze wykłady naukowe. Później opowiadał ktoś powieści lub nowele.

Ludzie w Rosji są niezwykle wrażliwi na dzieła literatury pięknej. Każdy Rosjanin zaprzeda duszę, jeśli mu się w zamian opowie coś pięknego. Cela ustaliła wreszcie, że za opowiadania należy płacić. Każdy opowiadający otrzymywał dodatkową zupę za godzinę opowiadania.

Przydała mi się moja znajomość literatury europejskiej. Nalegano na mnie, bym opowiedział jakąś powieść. Początkowo nie wierzyłem, że mi się uda odtworzyć powieści, przeczytane w młodości. Potem na próbę opowiedziałem kilka nowel: Franciszka Grillparzera „Klasztor pod Sandomierzem”, Artura Schnitzlera „Grę o świecie”. Później kolej przyszła na całe powieści. Pierwszą był „Tunel” Kellermanna. Z biegiem czasu spostrzegłem, że zrekonstruowanie powieści wcale nie jest trudne. Zrozumiałem rzemiosło pisarskie. W każdej powieści istnieją trzy, cztery, pięć, a najwyżej sześć faktów, które należy zapamiętać. Odstępy pomiędzy punktami kulminacyjnymi akcji trzeba wypełnić samemu

— służą one przeważnie do tego, by spotęgować napięcie i przygotować do najbliższego dramatycznego rozwiązania. Jeśli się zatem pamięta sześć faktów jakiejś wielkiej powieści, to opowiadając ją później pisze się jakby całą powieść na nowo. Czy jest ona zgodna z oryginałem, nie gra to w warunkach życia celi żadnej roli. Stawiałem sobie wciąż pytanie, o ile moje opowiadanie odbiega od dzieła autora. W pięć lat później wpadła mi w Polsce do ręki nowela Schnitzlera. Zanim zabrałem się do czytania, opowiedziałem ją swojej przyjaciółce i poprosiłem o zastenografowanie. Później porównałem ją z oryginałem. Myślę, że Schnitzler przewróciłby się w grobie. Moja przyjaciółka uznała, że moja nowela jest wprawdzie odmienna, ale też bardzo piękna.

W wielkich celach nie czuło się nudy. Siedziało tu bardzo wielu interesujących ludzi. Wybitni artyści i uczeni, wyżsi oficerowie i bardzo doświadczeni inżynierowie, specjaliści z każdej niemal dziedziny. Nigdy nie musieliśmy tu czekać długo na doktora. W celi był zawsze jakiś bardzo dobry lekarz. Nie potrafię odtworzyć dziejów życia i dziejów śledztwa choćby tylko najwybitniejszych więźniów tej celi. Musiałbym w tym celu napisać całą encyklopedię. Życie celi wypełniało przeczucie bliskiego przełomu. Przeczucie to mieliśmy wszyscy. Sędziowie śledczy nie rzucali się już tak bezwzględnie na ludzi. Nie było już tak wielu nowych aresztowań. Nie wymagano już od ludzi, by werbowali innych. Coś musiało zająć w Moskwie. Nie wiedziano jednak dokładnie — co.

W oczach nas wszystkich odpowiedzialność za okrucieństwa wielkiej czystki ponosił ludowy komisarz spraw wewnętrznych, Jeżow. Każdy wiedział oczywiście, że Jeżow był tylko narzędziem w rękach Stalina, lecz przemilczano to ze względów taktycznych. Ludzie pisali bezustannie podania do Stalina i usiłowali otworzyć mu oczy. W ciągu roku 1938 do sekretariatu Stalina napłynęły chyba dziesiątki milionów podań. Każdy z nas pisał. Jeszcze pół roku temu trudno byłoby otrzymać papier i wrzucić podanie do skrzynki. Wszędzie wisiąco wprawdzie rozporządzenie NKWD, przyznające nam prawo kierowania skarg do prokuratury i do najwyższych organów partyjnych i sowieckich. Ale administracja więzienna sabotowała wówczas uprawnienia więźniów. Jeszcze w październiku musieliśmy przeprowadzić w masowej celi zawziętą walkę o pozwolenie pisania. Był tu więzień, który nieustannie pukał do drzwi i żądał od strażnika papieru. Strażnik zawołał wreszcie komendanta bloku.

Więzień zażądał i od niego papieru.

— Musisz poprosić o to sędziego śledczego.

— Obywatelu komendancie, nie byłem u sędziego śledczego już od trzech miesięcy.

— Przyjdzie i na ciebie kolej.

— Ale ja chcę napisać teraz. W regulaminie nie ma nic o tym, że mam czekać na sędziego śledczego. Jestem tutaj niewinnie zamknięty. Pewnego dnia pošlą mnie do obozu, a wtedy będzie za późno na pisanie. Chcę wnieść zażalenie do towarzysza Stalina i towarzysza Wyszynskiego.

— Nie mogę ci dać papieru.

Więzień wytrzasnął skądś mały, zmiętoszony i zatłuszczony świstek i napisał na nim podanie. Wręczył je strażnikowi. Po kilku minutach zjawił się komendant.

— Czy zwariowałeś? Chcesz pošłać towarzyszowi Stalinowi takie świństwo? Skąd masz ołówek?

— Miałem jeszcze mały ołoweczek. Zgubiłem go dzisiaj w czasie spaceru na podwórzu.

Komendant kazał strażnikom zrewidować więźnia. Po długich zabiegach znaleźli ołówek. Kartkę zniszczył strażnik. Lecz więzień nie ustąpił. Urwał kawałek koszuli i skaleczył się w przedramię. Potem kawałkiem drzewa napisał na szmacie krwią podanie do towarzysza Stalina. Przybiegł komendant. Wrzasnął na więźnia:

— To jest demonstracja antysowiecka. Jeśli nadam temu bieg, zostaniesz natychmiast rozstrzelany.

— Proszę was, obywatelu komendancie, o nadanie temu biegu. Jeśli mi odbieracie moje prawa, chcę być rozstrzelany.

Komendant pošłał zapisaną krwią szmatę do NKWD. Wynik był zdumiewający: w tydzień później przyszedł dyrektor więzienia i oświadczył nam:

— Cela nr 4 ma co czwartek prawo pisać podania. Kto chce pisać, musi zgłosić się rano do raportu. Pisać będziecie nie w celi, lecz w pokoju na czwartym piętrze. Tam każdy dostanie papier i atrament.

Był to pierwszy przebłysk przełomu.

Od miesiący *ławoczka* nie sprzedawała nic poza słoniną i cukrem. Więźniowie, którzy mieli mało pieniędzy, chcieli w pierwszym rzędzie kupować suchary, śledzie i inne tanie artykuły żywnościowe. Nigdy dotąd nie odważali się na wysuwanie takich życzeń. Z okazji odwiedzin komisji lekarskiej jeden z więźniów o tym wspomniał. W dwa dni później poszliśmy do *ławoczki*. Było tu wszystko, czego serce pragnęło. Ja sam, niestety, nie miałem już pieniędzy. Ostatnie 30 rubli wydałem z początkiem listopada. Planowałem błędnie. Początkowo byłem przekonany, że posiedzę tylko do końca 1938 roku. Do tego czasu owe 500

rubli, które mi przysłała Lena, wystarczyły od biedy. Teraz zacząłem głodować. Towarzysze pomagali mi trochę, zarabiałem także wykładami.

Wyżywienie więzienne było wyliczone naukowo. Jeśli ktoś przez cały dzień leżał spokojnie bez żadnego zbytecznego ruchu, mogło mu ono od biedy wystarczyć. Chudło się co prawda straszliwie (straciłem w więzieniu 22 kg), ale nie umierało się z głodu. Teraz, ponieważ nie miałem już pieniędzy na koncie, zacząłem oszczędnie gospodarować swymi siłami. Dawniej, w celach, gdzie było dość miejsca, gimnastykowałem się codziennie. Zrezygnowałem z tego. W czasie spaceru siadałem na podwórzu w kącie i zadowalałem się patrzeniem w niebo i oddychaniem świeżym powietrzem. Strażnicy zostawiali mnie w spokoju. Wszystkich obiegła wiadomość, że jestem najstarszym więźniem śledczym na Chołodnej Gorze. Nigdzie starszeństwo rangi nie znaczy tyle co w więzieniu. Nie kandydowałem nigdy na stanowisko starosty. Praca ta była dla mnie za ciężka, a ponadto nie chciałem kłócić się z Armeńczykami. Jednakże miałem wielki wpływ na naradach. Przy każdym kryzysie proponowałem wybranie starostą jakiegoś Armeńczyka. Armeńczycy spostrzegli się jednak, że była to pułapka. Nie chcieli zgłaszać kandydatów.

Ich nienawiść kierowała się przeciwko mnie. Zarzucali mi, że każdego przedpołudnia prowadziłem w moim kącie kursy, w których nie mogli uczestniczyć, gdyż brak im było podstawowego wykształcenia. Nakłoniłem zaprzyjaźnionego ekonomistę, by w tym samym czasie prowadził dla nich w innym kącie celi wykłady popularne z dziedziny ekonomiki. Jednakże Armeńczycy nie dali się zjednać. Nieustannie knuli najrozmaitsze intrygi. Gewondian, którego polubiłem, pokłócił się o mnie ze swymi rodakami i opuścił klan. Usadowił się w pobliżu mnie. Demonstracja, która u Armeńczyka znaczyła mniej więcej tyle samo, ile u nas wystąpienie z partii, zaś u człowieka wierzącego wystąpienie z kościoła.

W celi było dwóch pułkowników i wielu oficerów średnich stopni. Oczarował mnie pewien żydowski kapitan. Pochodził z Łotwy. Był tak mały, chudy i niepozorny, że nie można było zrozumieć, jak mógł być przyjęty do wojska. Był jednak inżynierem. Nazywał się Jakób Gorlin i był człowiekiem uroczym. Miał bardzo piękne ręce i poruszał się elastycznie jak kot. Był to człowiek bardzo naiwny. Ludzie tacy jak on zdarzają się wśród Żydów bardzo rzadko. Był jak dziecko zabłąkane w lesie. Nie mogę zapomnieć jego melancholijnych i smutnych oczu. Opowiadał mi często o swojej młodości:

Wychował się w małym dworku, na przedmieściu ukraińskie-

go miasta. Właścicielem był wyższy urzędnik, należący do drobnej szlachty. Ojciec Gorlina był rzemieślnikiem. Naprawiał wszystko we dworze. Za to otrzymywał od właściciela mały deputat i mieszkanie w piwnicy domu czeladnego. Ojciec zmarł wcześniej, lecz właściciel dworu i jego żona odnosili się dobrze do matki Gorlina. Pozwolono jej pozostać z obojgiem dzieci w mieszkaniu, otrzymywała też nadal deputat. Dzieci szlachcica bawiły się z żydowskimi dziećmi. Siostrzyczka Jakóba zaprzyjaźniła się z młodym chłopcem rosyjskim, tego samego mniej więcej wieku co Jakób. Sam Jakób umizgał się do 15-letniej blondynki Szury. Był tylko o rok od niej starszy. Dziewczynka była wielką kokietką. Biegali razem po wielkim parku i wspinali się na drzewa. Dziewczynka, wcześniej rozwinięta, prowokowała czarnowłosego chłopca. Wreszcie doszło pomiędzy niedorostkami do stosunku miłosego. Pomimo różnicy narodowej i towarzyskiej była to wielka i poważna miłość. Jednakże rewolucja ich rozdzieliła. Los rzucił Jakóba do Rygi. Łotwa usamodzielniała się. Jakób nie wiedział, czy Szura jeszcze żyje, czy też zginęła w wojnie domowej. Jako student wstąpił w Rydze do kółka komunistycznego; miał 25 lat, gdy uciekł do Związku Sowieckiego. Wstąpił tam do szkoły wojennej i został oficerem. Po długim szukaniu odnalazł nareszcie Szurę. Jej rodzice zostali zabici. Ona wyszła za mąż za komunistę. Ale nie była szczęśliwa w małżeństwie. Jakób zakochał się na nowo w olśniewająco pięknej kobiecie. Historia ta jednak zakończyła się smutno. Jakób był właśnie w Moskwie, gdy doszła go wiadomość, że Szura się otruła.

Na nieszczęście miejsce Jakóba w celi było w pobliżu Armeńczyków. Musiał raz po raz obok nich przechodzić. Wyśmiewali małego żydowskiego kapitana i podstawiali mu nogę. Ogromny Niemiec, nazwiskiem Wolf, zajął się nim. Nieustannie dochodziło do awantur z Armeńczykami. Dla Wolfa mieli respekt. Był silny jak niedźwiedź. Ale małemu Żydkowi utrudniali życie. Pewnego razu potknął się i upadł. Śmiali się z niego, jeden kopnął go nogą. Gorlin odwzajemnił się. I od tego się zaczęło. Armeńczycy chcieli rzucić się na niego, Wolf wmieszał się i wyrwał go z ich rąk. Doszło do bójki. Około dwudziestu Armeńczyków otoczyło Wolfa i powaliło go na ziemię. Deptali po nim i maltretowali go. Razem z dwoma Bułgarami i jednym Niemcem pospieszyłem na pomoc. Powstał niesamowity hałas. Strażnik otworzył drzwi i przyglądał się bezradnie bitwie, w którą powoli wciągnięte zostały wszystkie narodowości. Podenerwowanie, nagromadzone w czasie długiego pobytu w więzieniu, szukało sobie ujścia. Po kwadransie przyszedł dyrektor więzienia. Armeńczycy, jak na dany znak, oświadczyli zgodnie, że to ja wszystko sprowokowałem, aby posz-

czuć na siebie różne narodowości kraju, które do tej pory zawsze tak dobrze współżyły ze sobą.

Czekałem, aż się wszyscy wypowiedzą i chciałem potem przedstawić sprawę. Ale nie doszedłem do głosu. Dyrektor nie pozwolił mi mówić i zakomenderował energicznie:

— Weissberg, spakujcie rzeczy.

Opuścił izbę. Cela była oburzona. Zacząłem się pakować. Gewondian kłął jak szewc.

— Wy psy pokręcone, trzeba się rumienić ze wstydu, że się wyrosło między wami. Siedzicie w gównie dokładnie tak samo jak wszyscy inni i chcecie jeszcze innym zakneblować gardło. Zgnijecie i nikt wam nie pomoże. Tak będzie.

Jeszcze jeden Armeńczyk stanął po mej stronie i zwrócił się przeciw rodakom.

Spakowałem się i pożegnałem z przyjaciółmi. Ale strażnik nie nadchodził. Minęły trzy godziny. Potem przyszedł znowu dyrektor:

— Wszyscy opuszczają celę. Spakować rzeczy.

Gniew wszystkich zwrócił się teraz przeciwko Armeńczykom. Cela nr 4 była najzdrowszą celą w bloku. Była widna, sucha, ciepła. Jeśli porozdzielają nas po innych celach, dostaniemy najgorsze miejsca. Od początku z celi poszło etapem około 50 więźniów, ich miejsca nie zostały zajęte. Było tu więc stosunkowo luźno. Nie musieliśmy się tak okropnie tłoczyć.

Po dziesięciu minutach przyszedł strażnik. Rozdzielono nas na dwie cele. Przyjaciele starali się zostać razem. Moje piękne miejsce w kącie przepadło. Dostałem miejsce niezbyt odległe od paraszy.

Nowa cela była również celą narodowościową. Moimi sąsiadami byli dwaj młodzi Chińczycy, obaj nieco powyżej dwudziestki. Byli to ludzie przemili skromni, uczynni i niezwykle czysti. Prali bieliznę dla połowy celi. Mieli trochę mydła i miskę na zupę. Umieli ugniatać wskazującymi palcami i kciukami obu rąk koszule i prześcieradła w taki sposób, że nabierały śnieżnej bieli. Siedzieli tak przez 14 godzin na dobę i prali. Od z górą roku zlikwidowano wymianę bielizny. Nie można już było niczego posyłać do domu. Więzienie zorganizowało pralnię, ale nikt z nas nie chciał tam oddawać swoich rzeczy. Zawsze otrzymywało się z powrotem cudze. Dobre ubrania kradli. Ponadto członkowie narażał się na niebezpieczeństwo, że zostanie bez bielizny, jeśli właśnie w czasie prania wezmą go na etap. W obozie posiadanie ciepłych rzeczy i bielizny było warunkiem utrzymania się przy życiu.

Chińczycy dostawali za swą pracę trochę żywności. Samo pra-

nie było nielegalne. Dawniej pozwalano nam pracć bieliznę w łaźni. Teraz i to było zabronione.

Obaj Chińczycy pochodzili z Chin południowych. W celi było jeszcze kilku innych, pochodzących z Mandżurii. Obie grupy porozumiewały się po rosyjsku. We własnym kręgu każda grupa posługiwała się swym językiem narodowym. Lecz Kantończycy nie rozumieli Mandżurów.

Ostatnimi czasy mało kogo wzywano na przesłuchanie. Byliśny odcięci od „Brechałowki”. W celi szerzyły się pogłoski, których nie mogliśmy sprawdzić. Rzekomo zbierali już materiał przeciwko najpotężniejszemu po Stalinie człowiekowi w Politbiurze, przeciwko Lazarowi Mojsiejewiczowi Kaganowiczowi. Dyrektor charkowskich zakładów traktorowych, towarzysz Bondarenko, miał jakoby być zmuszony do złożenia przeciwko niemu zeznań. Ale w Moskwie, w Politbiurze, szereg członków uznało to za skandal i zażądało dymisji Jeżowa. Sam Jeżow szedł dalej swą drogą, jak obłąkany. Wyglądało jednak na to, że Stalin, nastraszony protestem innych członków Politbiura, chce go zlikwidować. Posłał już Berię do NKWD na kontrolę. Ile w tym było prawdy, nie mogliśmy ustalić.

Bili daleko rzadziej. Także i konwejera już nie stosowali. Używali innych środków. Zamykali człowieka w ciasnej szafie i kazali mu tam stać przez dwa dni. Nasi obaj Chińczycy chodzili często na przesłuchanie. Byli oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Japonii. Byli to przy tym prawdziwi proletariusze. Pochodzili z biednych pokoleń chłopskich i utrzymywali się w Związku Sowieckim z prania. Za żadną cenę nie chcieli przyznać się do szpiegostwa na rzecz Japonii. Pewnego ranka powrócili z przesłuchania z rozpromienionymi twarzami. Zawarli z sędzią śledczym kompromis: przyjęli szpiegostwo, ale tylko na rzecz Chin, nie na rzecz Japonii. Szpiegostwo na rzecz Chin — a, to co innego. Lecz z Japonią, wrogiem dziedzicznym, nie chcieli mieć nic do czynienia. Później wyjaśnili mi swoją postawę: Japonia i Rosja są zawziętymi wrogami. Wciąż mają ze sobą zatargi. Lecz Rosja i Chiny są ze sobą ściśle sprzymierzone. Spletli z sobą ręce, demonstrując nierozzerwalne więzy pomiędzy obu wielkimi narodami.

Był w celi jeszcze jeden interesujący Chińczyk. Był iluzjonistą i akrobatą. Wędrował od miasta do miasta. Był przedsiębiorcą prywatnym. Wszędzie rozbijał swój namiot i pokazywał czarodziejskie sztuki. Sprzęt, którym pracował, wart był ponad 100.000 rubli. Był to więc człowiek bogaty. Miałem przez niego poważny zatarg z moim sąsiadem z lewej strony. Był to oficer NKWD, nazwiskiem Ajnhorn. Czarodziej chiński siedział dość daleko. Nie mogłem się do niego dostać i chciałem zwrócić jego uwagę.

Zawołałem: „Chińczyk! Chińczyk!” Czekista złapał mnie za ramię:

— Jak się zachowujesz? Dlaczego wołasz „Chińczyk”? On ma przecież nazwisko.

— Nie ma w tym przecież nic obraźliwego. Wymawiam jego nazwisko z trudem.

— Nic obraźliwego? Czy byłoby ci przyjemnie, gdyby z innej kąta izby ktoś do ciebie zawołał: Żydzie, chodź tu?

Porównanie zastanowiło mnie. Próbowałem się jeszcze bronić:

— Wyraz Żyd nabrał odcienia pogardliwego. Jesteśmy narodem uciskanym i dlatego przeczulonym. Z Chińczykami jest inaczej.

— Są uciskani tak samo jak i my, Aleksandrze Siemionowiczu. I to nie tylko za granicą, nawet w ich własnym kraju patrzą na nich Europejczycy z pogardą.

Musiałem mu przyznać słuszność. Incydent ten dowiódł mi, jak łatwo jest się skłonnym, lekceważyć wrażliwość narodową innych. Powiedziałem Ajnhornowi:

— Może masz słuszność. Nie powinienem był tego zrobić. Ale co z was za ludzie: Mówicie o leninowskiej polityce narodowościowej, a jednocześnie zamykacie wszystkie mniejszości narodowe w całym kraju.

— Aleksandrze Siemionowiczu, czy sądzisz, że nie ma wśród nich żadnych organizacji?

— Siedzę tu już dwa lata. Ale nie spotkałem jeszcze żadnego spiskowca. I myślę, że i ty także nie spotkałeś. Przyznaj z ręką na sercu, czy, gdy byłeś jeszcze sędzią śledczym, wykryłeś kiedykolwiek prawdziwą organizację? Nie wierzę.

Ajnhorn nie dał odpowiedzi. Z ostrożności, z karności czy też ze wstydu. Nie mogłem tego ustalić.

Już w ostatnim półroczu zauważyliśmy, że aresztuje się wielu czekistów. Opowiadali o tym ludzie, przychodzący z „Brechałowki”. Ale w pojedynkach oddziału 2, w których spędziłem swe życie więzienne, żaden z nich nie siedział. Tu w celi masowej spotkałem ich po raz pierwszy.

Najciekawszym spośród nich był Braude. Spotkałem go pewnego razu przed półtora rokiem u Reznikowa. Wypytywał mnie wówczas o innego oskarżonego, którego znałem z Wiednia. W listopadzie 1938 roku sam został aresztowany. Dostał się wprost do naszej celi. Gdy wszedł, podniósł się inny oskarżony, którego Braude bił, i chciał się na niego rzucić. Rozdzieliliśmy ich. Zmieniłem później swe miejsce i przysiadłem się do Braudego.

Był drobnego wzrostu, rudy i bardzo krzepki.

Zapytałem go:

— Dlaczego biłeś tego człowieka? Czy wierzyłeś, że jest szpiegiem?

— Nie jestem przecież idiotą. A kto jest szpiegiem?

— Więc dlaczego to zrobiłeś?

Nie odpowiedział.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Nie chciałem być tu już o rok wcześniej. Nie jest znów tak u was przyjemnie.

— Czy otrzymałeś rozkaz by go bić?

— Zwariowałeś? Kto może u nas wydawać takie rozkazy? Prawo zabrania bicia więźniów.

— W takim razie nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Co by ci się stało, gdybyś tego nie robił?

— Nic. Nie przyznałby się do niczego.

— Dlaczego chciałeś, aby złożył fałszywe zeznanie?

— To nie ja chciałem, inni tego chcieli. I w ogóle daj mi spokój.

Po godzinie podjąłem rozmowę na nowo:

— Co by ci się stało, gdyby się on nie przyznał?

— Nic. Musiałbym w tym wypadku napisać raport do kierownika z wnioskiem końcowym: śledztwo nie dało wyniku. Więzień jest niewinny.

— Co by się wtedy stało?

— Zostałby uwolniony.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— A kimże on jest? Miałem dwudziestu takich jak on.

— A gdybyś stwierdził, że wszyscy są niewinni? Czy w takim wypadku coś by ci się stało?

— Masz pojęcie? Nigdy by do tego nie doszło. Pierwszego by zwolnili. Następnego przekazaliby kierownik innemu sędziemu śledczemu do uzupełniającego śledztwa. Przy trzecim wezwałby mnie kierownik do gabinetu i udzieliłby mi nagany. Przy czwartym zostałbym aresztowany za sabotaż. Ale bez bicia ludzi nie mógłbym z nich wydobyć zeznań. Od roku nie mieliśmy ani czasu ani ludzi na konwejer.

— Sam przecież mówisz, że nie wolno bić, więc jak mogłeś?

Nie dał odpowiedzi. Widziałem, że się uchyla. Nie sądziłem, by się wstydził. Nie chciał mówić tylko z ostrożności.

W ciągu najbliższych tygodni zbliżyliśmy się sobie. Nie popuszczałem.

— Czy rzeczywiście nie wolno było bić?

— Nie wolno było.

— W takim razie wyjaśnij mi jedno: pewnego określonego dnia, było to 17 albo 18 sierpnia, zaczęli bić. Wszędzie i jedno-

częście. W całym kraju. Od Archangielska do Odessy i od Władystoku do polskiej granicy. Jak mogli to zrobić bez centralnego rozkazu? Może to nieprawda? Czy ludzie, przychodzący z innych miast, kłamali?

— To prawda. Nie kłamali. Ale nie było rozkazu bicia.

— A zatem jak to było możliwe. Jak sędziowie śledczy w całym kraju mogli się porozumieć, że jednego i tego samego dnia zaczną bić?

— Daj mi spokój. Nie wpytuj mnie. Nie wolno mi mówić. Nie jestem tak swobodny jak wy. Moja sytuacja i tak jest gorsza niż wasza.

— Słuchaj, Braude, wiesz, że nie jestem prowokatorem. Wiesz o tym lepiej niż wszyscy inni. Siedzę tu jednak już od dwóch lat i nie rozumiem, co się dzieje. Chcę się zorientować. Możesz mi w tym dopomóc.

— Pomówimy o tym w nocy.

Ta noc była pełna emocji. Braude zaciął się, gdy mówił. Nie chciał nazywać rzeczy po imieniu. Czynił tylko aluzje. Sam sobie wszystko musiałem przemyśleć do końca. Ale nie popuszczałem. Przyciskałem go do muru. Oto miałem sposobność dotarcia do rąbka tajemnicy, która mi od dwóch lat nie dawała spokoju. Braude był w celi poniekąd zależny ode mnie. Nikt poza mną nie chciał z nim mówić.

— No więc, jak to było z biciem? Czy otrzymaliście rozkaz z góry?

— Nigdy nie otrzymaliśmy rozkazu na piśmie. Było całkiem inaczej.

— A jak było?

— Pomiędzy Stalinem a mną stoi tylko dwóch ludzi. Czy teraz rozumiesz?

Przeraziłem się:

— Kim ty właściwie jesteś?

— Nikim nadzwyczajnym. Porucznikiem bezpieczeństwa państwowego.

— Wobec tego w jaki sposób masz tak bliski kontakt ze Stalinem?

— Pomyśl, jak jest u ciebie. Kim byli twoi przełożeni? W linii administracyjnej.

— Dawniej Bucharin, potem Armand i Piatakow.

— W takim razie stoisz jeszcze bliżej Stalina, niż ja. Bucharin i Piatakow mieli bezpośredni kontakt z „gospodarzem”. Jeśli jednak weźmiesz ostatniego robotnika w Związku Sowieckim, to zawsze pomiędzy nim a Stalinem stoją co najwyżej trzej ludzie. Zarówno w linii partyjnej, jak i administracyjnej. Robotnik zna

zazwyczaj dyrektora swej fabryki. Ten ostatni zna przewodniczącego zarządu głównego, ten zaś ludowego komisarza. Ludowy komisarz kontaktuje się bezpośrednio ze Stalinem. W linii partyjnej nie wygląda to inaczej. Zwykły komunista kontaktuje się z rejonowym sekretarzem partyjnym. Wszyscy rejonowi sekretarze partyjni obwodu charkowskiego otrzymują wskazówki od sekretarza partyjnego komitetu obwodowego. Sekretarze obwodowi stoją w wielu wypadkach w bezpośrednim kontakcie ze Stalinem. Niektórzy zwracają się do Stalina poprzez sekretarza Komitetu Centralnego. Zawsze co najwyżej trzech ludzi stoi pomiędzy Stalinem a najprostszymi ludźmi w mieście.

Zastanowiłem się. Miał rację. To zdumiewające, jak niewiele członów pośrednich wiązało masy z ośrodkiem władzy.

— No tak, Braude, ale co to ma wspólnego z naszym problemem? Był centralny rozkaz bicia, czy go nie było?

— Czy trzeba ci wszystko wyraźnie powiedzieć? Czy nie potrafisz sam myśleć?

— Nie chcę sam myśleć.

— Jak długo jesteś w naszym kraju?

— Osiem lat. Ale z tymi rzeczami nigdy nie miałem do czynienia.

— Tym gorzej dla ciebie. Mogłeś być już o wiele wcześniej zamknięty. U nas nie mówi się o takich rzeczach. Robi się aluzje. A ten drugi sam już rozumie wszystko co trzeba. W takiej właśnie formie przekazywano u nas pewne dyrektywy.

— Wyjaśnij mi to od początku do końca. Proszę cię o to.

— Jak mówiłem, raz na tydzień widziałem naczelnika charkowskiego NKWD. Naczelnik jeździł co najmniej raz na dwa miesiące do Moskwy do Jeżowa. U ludowego komisarza spotykali się naczelnicy wszystkich obwodów i otrzymywali tam ustne dyrektywy. Poza tym mieli bezpośrednie połączenie telefoniczne z Jeżowem. Jeżow stale rozmawiał ze Stalinem. Myśl Stalina dochodziła zatem do mnie poprzez dwóch pośredników. Musiałem ją wykonywać.

— Jak to było z biciem?

— Nie mogę ci powiedzieć dokładnie, jak to było. Nie byłem przy tym, gdy Stalin mówił o tym z Jeżowem. Ale mogę sobie wyobrazić, jak to było. I ty także mógłbyś sobie to wyobrazić, nie zmuszając mnie do prowadzenia niebezpiecznych rozmów. Kim ty zresztą jesteś?

— Jestem fizykiem.

— Nie pytam o twój zawód. Chciałbym wiedzieć, do jakiej organizacji tu należysz?

— Nie należę do żadnej organizacji.

— To wiem, nie ma żadnych organizacji. Chciałbym wiedzieć, o co jesteś oskarżony.

— Rzekomo jestem bucharinowcem.

— Wyobraź sobie zatem co następuje: pewnego dnia Stalin woła Jeżowa i mówi mu: „Trzeba zbadać, czy nie ma kontaktu pomiędzy dawnymi bucharinowcami a niemieckim Gestapo”. Jeżow wzywa kierowników obwodów: „Trzeba wykryć kontakt pomiędzy niemieckim Gestapo a dawnymi bucharinowcami”. Drobną zmianą stalinowskiej dyrektywy. Znacząca ona jednak bardzo wiele. Prawdopodobnie Stalin liczył na to, że Jeżow sam od siebie zaostreży dyrektywę. Kierownicy obwodów wołają potem nas, sędziów śledczych, do raportu i mówią nam, bez pisemnego rozkazu: „Trzeba podjąć najenergiczniejsze kroki, by wykryć kontakty pomiędzy niemieckim Gestapo a ludźmi Bucharina”. Sami sobie musimy potem obmyśleć, jakie to mają być „energiczne kroki”. Bez bicia nikt z was by się nie przyznał, że jest szpiegiem Gestapo. Gdyż nie ma żadnych szpiegów. Albo też tylko jeden na dziesięć tysięcy. A przy tym na pewno nie jest on bucharinowcem. Jeden z sędziów śledczych zaczyna bić. Nie wiem, czy mu naczelnik osobiście wydał ustny rozkaz. Ja w każdym razie nie otrzymałem żadnego rozkazu. Ale inni widzą, że naczelnik nie protestuje przeciw biciu. W każdym razie nie protestuje, dopóki się człowieka nie ubije na śmierć. Pierwszy, który zaczyna bić, osiąga sukces. Potem wszyscy idą w jego ślady. Wszystko to rozgrywa się w drugiej połowie sierpnia 1937 roku. Osoby postronne sądzą naturalnie, że był pisemny rozkaz z góry. Bicie zniknie najdalej za dwa miesiące. Także i teraz nie będzie żadnego rozkazu. W przeciwnym razie trzeba byłoby przyznać, że w NKWD bito.

— No tak, ale od kogo zaczynacie aresztowania bucharinowców?

— Mamy spisy dawnych opozycjonistów. Jeśli chodzi o trockistów, sprawa była zupełnie prosta. Występowali jawnie w roku 1926/27 i byli od tego czasu u nas zanotowani. W roku 1936 zaaresztowaliśmy ich i przycisnęliśmy do muru. Wydali wtedy ludzi bliskich sobie. Ci wydali znowu innych i tak dalej. System lawinowy. Jeśli chodzi o bucharinowców, rzecz była trudniejsza. Sympatycy Bucharina od początku lepiej się maskowali. Ale było wielu takich, którzy w okresie kolektywizacji protestowali przeciwko polityce rolnej. Zwłaszcza z końcem roku 1932, gdy cały kraj znalazł się w kleszczach katastrofy głodu, ludzie ci zaczęli z sobą rozmawiać. Rozmowy te zarejestrowane są w naszych teczках. Ludzie ci uchodzą u nas za bucharinowców. Są oni głównymi werbownikami. Aresztujemy ich i mozesz sobie wyobrazić

ciąg dalszy. Kapitulują i wydają nam wszystkich, ideologicznie do nich zbliżonych. Każdy nowo aresztowany, wydaje nam znowu dalszych. Ale teraz ustanie to wkrótce.

— Czy jesteś tego pewny?

— Absolutnie pewny.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jest wiele przyczyn, by to się zmieniło. Przyczyny te istnieją już od pół roku. Ale w ostatnim czasie wystąpił objaw, którego oczekiwałem już od dawna. I to jest dla mnie oznaką nadchodzącego końca.

— Wyjaśnij mi to.

— Aresztuje się teraz nas samych. Doszło już do tego, że połowa ludności miast jest w naszych aktach obciążona. Nie można wszystkich aresztować, nie ma zaś żadnego powodu, by brać jednego a zostawiać drugiego. Dawniej byli ludzie należący do pewnych kategorii, które musiało się zlikwidować. Na przykład: narodowe grupy separatystyczne, dawni opozycjoniści, starzy bolszewicy, czerwoni partyzanci. Wszyscy są już od roku zlikwidowani. Jeśli by się teraz chciało wyaresztować wszystkich, których inni w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zwerbowali, to moglibyśmy zlikwidować miasta. Tego nie można zrobić, z tego sobie zdają sprawę na górze. Wobec tego zaczęto likwidować naszych własnych ludzi. Jesteśmy ostatnim aparatem, który odchodzi. Wiedziałem zawsze, że na nas także kiedyś przyjdzie kolej. Teraz do tego doszło. To początek końca. Przełom nadejdzie rychło.

Mówił, zacinając się. Słuchałem z zapartym tchem. Później nieraz jeszcze z nim rozmawiałem. Był to człowiek osobliwy. Nie przejawiał żadnej skruchy. To co się stało było w jego rozumieniu działaniem automatu. Żadne kółko nie mogło przeciwstawić się motorowi. Niestety zaczęło się przed piętnastu laty, gdy jeszcze był chłopcem. Mówił często: „gdyby wówczas, w roku 1924, po zgonie Lenina, zaaresztowano pewnych ludzi, to my nie byłibyśmy aresztowani. Przy tym, trzeba było wtedy odizolować tylko sześć osób. Teraz poszło osiem milionów”.

On sam był fatalistą, przekonany, że będzie rozstrzelany. Jego wypowiedzi napełniały mnie radosnym przecuciem nadchodzącego polepszenia. Widziałem nadejście wolności.

Każdą oznakę interpretowałem w tym sensie. Pewnego dnia musieliśmy wszyscy dać się sfotografować. Wzięto z nas także odciski palców. Powiedziałem: chcą nam przed zwolnieniem wystawić legitymacje. Innym razem zaprowadzili nas wszystkich do dentysty. Do tej pory zęby nam się psuły, teraz miały być leczone. Także i pod innymi względami system więzienny uległ złagodzeniu. Życie w celi było interesujące. Cierpieliśmy tylko z powodu

straszliwej ciasnoty. Nocą, gdy ktoś chciał pójść do kubła, musiał stąpać po dwudziestu głowach. Ludzie leżeli na boku, spleceni między sobą i ściśnięci tak gęsto, że nie można było przejść, nie deptając po nich. Kto chciał się przedostać, musiał ostrożnie posuwać się na czworakach, stawiając ręce lub nogi pomiędzy leżącymi. Gdy jednak w ciągu grudnia zapanował mróz i ludzie leżeli nakryci, nie można już było znaleźć między nimi wolnego miejsca. Trzeba było deptać po ciałach ludzkich i budzić śpiących, którzy reagowali gniewnie, powstawały często bójki, które budziły w końcu całą celę. Stan ten pogarszał się coraz bardziej, aż podjęliśmy następującą uchwałę: uprosiliśmy strażnika, by co dwie godziny pukał do drzwi. Starosta wydawał wtedy komendę: Wstawać. Ludzie szli do kubła i układali się potem z powrotem do snu, twarzą w przeciwną stronę. Jednym uderzeniem ubiliśmy dwie muchy. Niepodobieństwem było leżeć na jednym boku dłużej niż dwie godziny. Ale poszczególny człowiek nie mógł się odwrócić bez zakłócenia ładu. Teraz wspólnie zmienialiśmy pozycję, a jednocześnie pozwalaliśmy ludziom wstać i iść do kubła.

Zachorowałem. Zęby zaczęły mi się chwiać, a zarazem na całym podbrzuszu wystąpiły bardzo bolesne wrzody. Nie mogłem już leżeć na boku. Starosta kazał zrobić dla mnie trochę więcej miejsca. Inni się ścisnęli. Starostą był młody Grek, kapitan Armii Czerwonej, który we wzruszający sposób troszczył się o nas wszystkich. Pomówił z lekarką, ale w szpitalu nie było miejsca. Czułem się coraz gorzej. Wreszcie rozpocząłem głodówkę. I oto natychmiast znalazło się miejsce. Pomyślałem o naszej głodówce sprzed pół roku, którą trzeba było po kilku dniach przerwać bez rezultatów. Teraz demonstracja doprowadziła do sukcesu po sześciu godzinach.

W szpitalu spotkałem wielu kryminalistów, także i takich, którzy powrócili z obozów. W rozmowach z nimi poznawałem świat wielkich obozów. Nie chcę jednak przerywać tymi opowiadaniem mego sprawozdania. Opowiadałem już o Cyganach, których zaaresztowano w rejonie Militopolskim z braku dostatecznej ilości przestępców.

W szpitalu spotkałem jeszcze ludzi, należących do osobliwej grupy. Byli to ludzie bez nazwiska, „raby Boże”. Przybyli z zachodniej granicy Związku Sowieckiego. Zdaje mi się, że osiedleni byli w pobliżu Szepietówki. Była to sekta religijna chłopów, którzy nie chcieli przyjąć nazwisk. Za caratu pozostawiano ich w spokoju, tak samo w pierwszych latach rewolucji. W roku 1933 zaczęła się paszportyzacja. Władze sowieckie zażądały wreszcie i od nich, by przybrali sobie jakie zechcą nazwiska. Odmówili. W ich rozumieniu wszelkie zło zaczynało się od nazwiska. Diabeł

miał nazwisko. Bóg go nie miał. Nazywali się „rabami Bożymi” z dodatkiem imienia. Dwaj, których spotkałem w szpitalu, to „rab Boży Iwan” i „rab Boży Josip”. Byli to łagodni i dobrzy ludzie. Z ich opowiadań wywnioskowałem, że władze sowieckie musiały mieć z nimi masę kłopotów. W końcu rejonowy sowiet bez pytania wystawił im paszporty na byle jakie nazwiska, wybrane przez sowiet. Nic nie pomogło. Podarli paszporty. Ta beznadziejna walka trwała aż do początków czystki. Potem zostali aresztowani. Kilku uciekło do miasta. Ponieważ jednak także w Charkowie i Kijowie nie chcieli przyjąć żadnych nazwisk, GPU wkrótce ich odnalazło. Również i w więzieniu wzbranił się reagować na nazwiska, które im GPU przymusowo nadało. Nie ruszali się na przesłuchanie, jeśli wezwanie zaczynało się od nazwiska. Strażnicy musieli się nauczyć wołać ich „rab Boży Iwan” albo „rab Boży Josip”.

W szpitalu spotkałem wielu bezprizornych. Prawo z dnia 7 kwietnia 1935 roku zlikwidowało bezprizorność w całym Związku. Wyłapano dzieci pomieszczono w koloniach wychowawczych. Część ich jednak wyładowała w więzieniach i obozach. Nowe prawo dopuszczało karę śmierci dla dzieci powyżej dwunastu lat. Gepiści często czynili z niego użytek. Zatajali te egzekucje, ale bezprizorni o nich wiedzieli. W mojej izbie był chłopiec dziesięcioletni, który jednak wyglądał jak pięcioletnie dziecko. Był malutki jak liliput. Był specjalistą od kradzieży rowerów. Do dnia dzisiejszego nie rozumiem, jak potrafił on swymi krótkimi nóżkami uruchomić rower. Z wielkim humorem wyśpiewywał bezprzykładnie sprośne pieśni. I bronił z wielką energią przed dorosłymi swych praw w izbie. Niebezpiecznie było wdawać się z nim w kłótnię.

Nauczyłem się żyć w zgodzie z kryminalistami. Kto obstaje przy swoim prawie, jest wśród nich stracony. Przed kradzieżą i rabunkiem nie można się po prostu ustrzec. Chyba, że zawrze się z nimi spółkę przeciw politycznym. A przecież można było z nimi zawierać kompromisy. Trzeba było oddawać im dobrowolnie część artykułów żywnościowych. Wtedy kradzieże ustawały. W więzieniu ludzie ci w ogóle nie byli niebezpieczni. Nie posiadali tam żadnych przywilejów ze strony NKWD. Jeśli pominąć szpital, byli ściśle izolowani od politycznych. Ich jednych dopuszczano w więzieniu do pracy. Obsługiwali kuchnię i łaźnię.

Kryminaliści, którzy powrócili z obozów, wyglądali dobrze. Opowiadali, że w obozie jest o wiele lepiej niż w więzieniu. Jedzenie jest lepsze, można zarabiać pieniądze i dokupić sobie coś w sklepie, tu i ówdzie istnieje teatr i kino. Robotnicy kwalifikowani i inżynierowie są zatrudniani w swym zawodzie. Przed

oczyma zarysował się bardzo optymistyczny obraz naszej przyszłości w wielkich obozach. Być może o to chodziło enkawudystom, gdy niekiedy pozwalali na kontakt politycznych z kryminalnymi. Kiedy w rok później spotkałem Niemców, powracających z obozów, musiałem poddać me poglądy bardzo gruntownej rewizji.

Lekarz w szpitalu przy każdej wizycie rozmawiał ze mną przez pół godziny o mej sprawie. Jeszcze pół roku temu byłoby to niemożliwe. Czuło się, że na zewnątrz zaszła jakaś zmiana. W styczniu 1933 roku było podobnie. Zginęło jedenaście milionów chłopów, nie widać było żadnej możliwości wymuszenia demonstracjami lub powstaniem zmiany polityki, aparat był zbyt mocny. Terror szalał niepowstrzymanie. Czuło się jednak, że „tak dalej być nie może”. Widocznie i Stalin wówczas to odczuwał. I zawrócił. Wiele oznak przemawiało za tym, że teraz nastrój w kraju osiągnął tę samą temperaturę.

W szpitalu doszła mnie wiadomość o bolesnej stracie: człowiek, którego bardzo szanowałem, Władimir Josipowicz Dubrowski dostał przy pierwszym przesłuchaniu ataku serca. Przywieziono go do szpitala martwego. Dubrowski był dyrektorem Banku Komunalnego w Charkowie. Miałem z nim wiele do czynienia. Bank Komunalny kontrolował kredyty, które nam państwo otworzyło na budowę stacji doświadczalnej dla chłodzenia do niskich temperatur. Kontrola kredytów inwestycyjnych przez banki była bardzo surowa. Bank nie tylko miał przechowywać nasze pieniądze, miał on także zwracać uwagę na to, by pieniądze państwowe były zużywane celowo i by nie przekraczano preliminarzy. Gdyby bank trzymał się przepisów, po krótkim czasie stanęłyby budowy w całym Związku. Dubrowski był komunistą, który trzymał się racji praw, a nie ich litery. Znajdował zawsze jakieś wyjście.

Pewnego razu przyszedłem do niego w następującej sprawie: stacja pomp była gotowa. Od niej zależał rozruch całej stacji we właściwym czasie. Lecz brak było uszczelki do pomp. Całość kosztowała drobnotkę: kilkaset rubli. Można było uszczelki te dostać na wolnym rynku. Ale prawo zabraniało nam kupować cokolwiek na wolnym rynku. Musieliśmy czekać na przydziały z ludowego komisariatu. Gdyby sprzyjało nam szczęście i odnośnie fabryki wypełniłyby swe plany, moglibyśmy kupić uszczelki po państwowych sztywnych cenach. Na wolnym rynku płaciło się kilkakrotnie więcej. Na jesieni 1936 roku, gdy chcieliśmy uruchomić stację pomp, otrzymaliśmy przydział uszczelki dopiero na drugi kwartał 1937 roku. Pół roku zwłoki oznaczało niesłychane straty dla państwa. Ale bank nie chciał nam przyznać kilkuset rubli. Na wolnym rynku trzeba było płacić w gotówce, zaś gotówkę otrzymywałem w banku tylko na dwojaki cel: na pobory robotników i urzędników oraz na diety ludzi, odkomenderowanych do Moskwy lub gdzie indziej. Wszystko inne płacone było bezpośrednio przekazem. Jak powiedziałem, chodziło o śmiesznie małą kwotę. Miałem budżet milionowy, ale urzędnik uporczywie odmawiał mi potrzebnych 400 rubli. Zgłosiłem się do dyrektora generalnego.

Dubrowski przyjął mnie jak zawsze bardzo życzliwie, niemal po ojcu. Nie był biurokratą. Przedstawiłem mu moje trudności.

— Aleksandrze Siemionowiczu, zawsze ci mówiłem, że jeśli będziesz zajmował się u nas robotami budowlanymi, trafisz do więzienia. Wszyscy kierownicy robót idą do więzienia. Albo przekraczają ustawy, albo budowa stoi. Trudno im jest znaleźć właściwą drogę. Nieco przekraczać ustawy i dużo budować. Większość postępuje odwrotnie: łamią prawo gdzie mogą i budują bardzo niewiele.

— Co mam zrobić, towarzyszu Dubrowski? Jeśli nie otrzymam 400 rubli, pompy nie pójdą w ruch. Straty nie stoją w żadnym stosunku do kilkuset rubli.

— Gotówki nie mogę ci dać. Ale dam ci dobrą radę: czy masz dobrego zaopatrzeniowca? Czy zasłużył sobie na premię?

— Mam niejednego. Ale oto Frumkin. Jest bardzo dobry i nigdy jeszcze nie dostał premii. Zamierzałem mu ją teraz przyznać.

— Iu chciałeś mu dać?

— 600 rubli. Miesięczne pobory.

— Daj mu 900 rubli. Brakującą resztę otrzymasz ode mnie. Wprawdzie nie wolno dać gotówki na zakup wolnorynkowy, ale jeśli uszczelki na rynku nie kosztują więcej jak w cennikach fabryki państwowej, przymknę jedno oko. Rozumiesz? Wiem, że kosztują więcej. Ale nie chcę o tym wiedzieć. Przyniesiesz mi rachunek z oficjalnymi cenami. Resztę wypłaci twój zaopatrzeniowiec z nadwyżki premii. Obaj przekroczymy prawo, ale każdy tylko do połowy.

Podziękowałem mu. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

— Aleksandrze Siemionowiczu, nie ci nie pomoże. I tak pójdziesz do kryminału. Przynajmniej będziesz miał jednak świadomość, że doprowadziłeś dobrą sprawę do końca. Musisz mnie zaprosić na otwarcie stacji. Chcę zobaczyć, co wybudowałeś za nasze drogie pieniądze.

Przyrzekłem mu. Nie doszło do tego. Na krótko przed otwarciem zostałem aresztowany. Nie za przekroczenie preliminarza i nie za złą pracę przy budowie, lecz za zamiar „zastrzelenia Stalina i Woroszyłowa” w celu „odbudowania kapitalizmu”.

Także i na Dubrowskiego przyszła kolej. Był to starszy człowiek o wzorowej przeszłości. Jako człowiek czterdziestoletni w wojnie domowej dowodził grupą partyzantów. Razem z wszystkimi czerwonymi partyzantami także i on poszedł do więzienia. Mimo wszystko co zaszło uprzednio, nie był psychicznie przygotowany na to co miał przeżyć. Gdy przy pierwszym przesłuchaniu sędzia śledczy nazwał go agentem Gestapo, serce starego i niezbyt już zdrowego człowieka nie wytrzymało.

Przez dwa tygodnie pozostawałem w szpitalu. Gdy wróciłem do celi, zastałem jakąś zasadniczą zmianę. Przesłuchania ustały. Cella czekała w trwożnym napięciu na przełom.

PRZEŁOM

W dniu 12 grudnia 1938 roku zostałem wraz z jednym jeszcze towarzyszem wypuszczony poza kolejną do ustępu. Dopiero co używał go jakiś strażnik. Mój towarzysz zauważył w muszli zabrudzony kawałek gazety. Wyciągnęliśmy go i oczyściliśmy starannie. Był to strzęp pisma dla dzieci, o ile pamiętam, z 8 grudnia. Byliśmy już rozczarowani, gdy spostrzegłem kilka wierszy, które nas podnieciły do najwyższego stopnia. Był to następujący komunikat:

„Prezydium Najwyższego Sowiegu Związku Sowieckiego uwzględniło prośbę ludowego komisarza spraw wewnętrznych Mikołaja Iwanowicza Jeżowa o zwolnienie z urzędu. Mikołaj Iwanowicz Jeżow będzie nadal pełnił swe funkcje jako komisarz ludowy żegluga”.

Swistek wypadł mi z ręki. Mój przyjaciel podniósł go i schował do kieszeni. Popatrzyliśmy na siebie. To był przełom.

Postanowiliśmy nie opowiadać natychmiast w celi wszystkiego, aby strażnicy nie mogli ustalić źródła wiadomości. Opowiedzieliśmy tylko staroście i kilku wybitniejszym mieszkańcom celi. Ale w przeciągu sześciu godzin wiedzieli wszyscy. Wrzawa się uspokoiła. Ludzie zaczęli szeptać.

Porozmawiałem z Braudem:

— Czy sądzisz, że Jeżow pozostanie na urzędzie? Jako ludowy komisarz żegluga?

— Nie. Za dwa miesiące będzie po wszystkim. Jeżow rozstanie się najpierw z ludowym komisariatem, potem z Politbiurem, potem z Centralnym Komitetem i na koniec z życiem. Spełnił

swą rolę. Nie ma już dla niego miejsca. No cóż, nie będziemy go żałowali.

— Co stanie się z nami?

— Część zostanie zwolniona, aby podkreślić przełom. Reszta pójdzie do obozów.

— Wedle jakich zasad przeprowadzona będzie selekcja?

— Wedle zasad przypadku. Ludzie doszukują się zawsze skomplikowanych praw. Kto, tak jak ja, spróbował zajrzeć trochę za kulisy, ten wie dopiero, jak ślepy jest przypadek, który rządzi życiem w naszym kraju.

Braude od dawna oczekiwał wiadomości o dymisji Jezowa. Ale nie cieszył się. Był przekonany, że on sam niedługo już pożyje.

W dniach następnych sprowadzono do naszej celi wielu ludzi z celi śmierci. Cele śmierci znajdowały się na dole w piwnicy. Panował w nich reżym specjalny. Więźniowie otrzymywali tam papierosy i nieco lepsze pożywienie. Codziennie o północy przychodzili i zabierali stamtąd kilku ludzi. Pozostali więźniowie nie mogli stwierdzić, czy ludzie ci zostawali rozstrzelani czy nie. Gdy w grudniu 1938 roku większość z nich została znowu odesłana na górę, odnalazło się wielu ich towarzyszy, których uważali już za nieboszczyków. Ciekawiło mnie, jakich to ludzi skazywano na śmierć. Starosta posadził obok mnie jednego z nowoprzybyłych. Mówiłem z nim. Jego historia była wstrząsająca.

Był to stary robotnik, nie chłopskiego lecz proletariackiego pochodzenia, co jest w Związku Sowieckim bardzo rzadkie. Już jego ojciec był tokarzem-metalowcem. Od 15 lat pracował w fabryce lokomotyw. Coś się zepsuło w jakiejś maszynie. Nie mogę sobie przypomnieć, o co chodziło. Stary robotnik został aresztowany pod zarzutem popełnienia czynu dywersyjnego.

Człowiek ten należał do pokolenia, które zniknęło. Pochodził z epoki patriarchalnej i pamiętał jeszcze chłopów i mnichów, takich jakich znamy z powieści Dostojewskiego. Był niezdolny do sprzeciwiania się „panu”. Sędzia śledczy był teraz dla niego „panem”. Ten sędzia śledczy był jak się zdaje wyjątkową bestią. Wyzyskiwał brutalnie łagodność i bezbronność starego robotnika. Kazał mu podpisywać protokoły, prowadzące do wyroku śmierci. Nawet przed trybunałem ten robotnik nie odwołał niczego. Zresztą w ogóle robił tylko to, do czego go zmuszano. Przez dziesiątki lat, z krótką przerwą w czasie rewolucji, wykonywał zawsze tę samą pracę. Nie był zdolny do żadnej inicjatywy i do żadnej walki. Bardzo powoli opowiadał mi swoją historię. Zdjęła mnie wściekłość. Nawet go nie bili, wyzyskali tylko jego dziecięcą ufność wobec „władzy”. Ustąpienie Jezowa ocaliło mu życie.

Ale stary najwidoczniej nie odczuwał, że się coś zmieniło. Całkowicie poddawał się losowi i nie wierzył, by można go było zmienić walką czy wysiłkiem.

W celi siedziało także pięciu czy sześciu oficerów GPU. Ale od żadnego z nich nie mogłem się niczego dowiedzieć. Ajnhorn podporządkowywał się wciąż jeszcze prawu dyscypliny. Lisowski był człowiekiem wykształconym i rozmawiał ze mną wiele o sztuce i nauce. Był jednak bezgranicznym tchórzem i bał się własnych słów. Popełniałem w języku rosyjskim błędy, więc pewnego razu poprosiłem, by mi napisał podanie. Odmówił. Wreszcie oświadczył, że jest gotów mi je podyktować. Nie chciał, by papier pisany jego ręką znalazł się w mojej teczce. Jeszcze tu, w celi, bał się kontaktu z cudzoziemcami.

Cela żyła swym własnym, całkowicie zamkniętym życiem. Graliśmy w szachy, dyskutowaliśmy. Przed południem były wykłady naukowe, pomiędzy 6-tą i 8-mą wieczorem opowiadało się powieści i nowele. Po ułożeniu się do snu, produkował się pewien słynny śpiewak. Śpiewał bardzo cicho. Śpiewanie było zakazane. Ale śpiewał bardzo pięknie. Toteż strażnicy mu nie przerywali. Sami przysłuchiwali się zza drzwi. Były to smutne melodie. Niektórzy więźniowie wtórowali po cichu. Wielu mym towarzyszom, także i mnie, łzy napływały do oczu.

Z końcem grudnia zaczęły się na nowo przesłuchania. Oblegaliśmy powracających.

— Czy portret Jeżowa wisi jeszcze u sędziego śledczego?

— Dokładnie tak samo jak przedtem.

Ale w przesłuchaniach zmieniło się wiele. Nie bili już, albo tylko w rzadkich wypadkach. Oskarżeni nabrali odwagi i wycofywali uprzednie zeznania. Sędziowie śledczy przyjmowali to bez sprzeciwu do wiadomości i wciążali do protokołu. Zapytywali więźniów, dlaczego przedtem się przyznali. Więźniowie początkowo lękali się podać prawdziwe powody. Sądziili, że nie należy obwiniać GPU o torturowanie więźniów. Ale wreszcie powiedzieli prawdę. Nie mogli już wytrzymać konwejera, bito ich i tak dalej. Gepiści nie protokołowali szczegółów. Nadawali zeznaniom tego rodzaju zbiorową nazwę: „nacisk fizyczny”. Powoli nowina ta szerzyła się po celach. Niemal wszyscy więźniowie zażądali wtedy papieru i w listach do kierownika charkowskiego NKWD wycofali swe uprzednie zeznania, podkreślając, że zostały one wymuszone „naciskiem fizycznym”. Rozmowy pomiędzy więźniami, gdy się spotykali, zaczynały się teraz stale od pytania:

— Czy już odwołałeś?

Większość odpowiadała twierdząco. Było jednak kilku, którzy nie dowierzali pokojowi i woleli odczekać.

Z końcem grudnia doszła nas inna ważna wiadomość. Ktoś przybył z Kijowa i powiedział nam:

— W Republice Mołdawskiej odbył się ważny proces. Kierownik NKWD i czterech sędziów śledczych zostali oskarżeni o aresztowanie niewinnych. Tak dokładnie podała gazeta.

W kilka dni później dowiedzieliśmy się bliższych szczegółów. Oskarżeni czekałsi przyznali się, że wymuszali torturami fizycznymi fikcyjne zeznania z niewinnych robotników, chłopów i inteligentów. Robili to z polecenia kontrrewolucyjnej organizacji. W sali sądowej enkawudyści ci nie próbowali nawet podać przyczyn swego postępowania. Nie powoływali się na rozkaz z góry. Na zapytanie o pobudki działania oświadczyli, że chcieli drogą aresztowania niewinnych zasiać wśród mas nienawiść do władzy sowieckiej. Zostali skazani na śmierć i rozstrzelani. Tajemnicę swoją, która dla nas nie była tajemnicą, wzięli ze sobą do grobu*.

Dlaczego rozstrzelano właśnie tych czterech? Robili przecież to samo, co od szeregu lat robił każdy sędzia śledczy od Archangielska do Odessy i od Oceanu Spokojnego do polskiej granicy. Dlaczego nie opowiedzieli sędziom, co ich skłoniło do takiego postępowania? Dlaczego nie powiedzieli sędziom tego, co mnie opowiedział Braude? Nie było wprawdzie żadnego pisemnego rozkazu torturowania niewinnych, była natomiast zmowa milczenia, wiążąca szczyty NKWD z sędziami śledczymi. Łańcuch zaś nie zaczynał się od Jeżowa, lecz od Stalina.

Nie zastanawialiśmy się wówczas nad tymi zagadkami. Ostatecznie był to tylko pewien wariant zachowania się oskarżonych, znanego nam z moskiewskich procesów wielkich opozycjonistów. Dla nas proces mołdawskiego GPU był sygnałem. Ustami tego trybunału ogłaszał Stalin krajowi koniec wielkiej czystki. Przed sześciu laty, w niemal taki sam demonstracyjny sposób, zasygnalizował koniec samobójczej polityki agrarnej. Wtedy jedenaście milionów chłopów zginęło śmiercią głodową. Teraz 8 milionów niewinnych ludzi zesłano do podbiegunowych obozów, skąd nigdy nie powrócą.

Znowu rozwinęła się dyskusja na temat sensu wielkiej czystki. Większość towarzyszy podawała najprostsze wyjaśnienie: trzeba im było sił roboczych. Wielu mówiło o „wiórach lecących gdy drwa rąbią”. Wielu mówiło, że wielcy opozycjoniści w Moskwie nawarzyli piwa, a niewinny naród musi je wypić. Bardzo jednak

* W numerach „Prawdy” ze stycznia 1939 roku nie udało mi się znaleźć ani słowa o tym procesie w Tyraspolu. Może jego data nie zgadzała się dokładnie. Może doniosła o nim tylko odnośna gazeta miejscowa. Fakt został potwierdzony z wielu stron, później także przez samych sędziów śledczych.

niewielu było tak głupich, by wierzyć w winę moskiewskich oskarżonych. Udawali tylko, że w nią wierzyli. Bali się agentów NKWD w celi.

Najjaśniej i najprościej wyraził się nasz starosta, około 32-letni agronom, Rosjanin, który powiedział:

— Spędzili gromadę ludzi, bez żadnego politycznego sensu. I teraz nie wiedzą, co mają z tymi ludźmi począć.

Wielu spośród nas ponawiało raz po raz pytanie:

— Rozumiemy, że nas aresztowali. Ale dlaczego zmuszali nas do pisania idiotycznych zeznań? Jeśli byliśmy niebezpieczni, to trzeba nas było zesłać bez śledztwa, administracyjnie, na Syberię. Jeśli potrzebowali rąk do pracy, to mogli nas po prostu posłać od razu do obozów. Po co ten cały wysiłek? Ileż kosztują te setki tysięcy sędziów śledczych? Nadzorowanie i trwająca całymi miesiącami bezczynność dobrych robotników?

Ci spośród nas, którzy dokładnie zanalizowali wydarzenia, zrozumieli rychło ich fatalizm. Jeśli NKWD chciało wyeliminować 8 milionów ludzi, to nie miało żadnej innej możliwości poza tą, którą wybrało. Technika tego procesu eliminacyjnego zmuszała enkawudystów do wymuszania fikcyjnych zeznań, by uzyskać nowych kandydatów do aresztowania. Łańcuch nie mógł się urwać. Wprawdzie Stalin mógł być zrezygnować z tej wielkiej czystki. Kraj byłby szczęśliwszy i zdrowszy. Armia Czerwona zachowałaby oficerów i po wybuchu wojny pomaszerowałaby wprost na Berlin, zamiast okrężną drogą przez Stalingrad. Ale Stalin jest mistrzem okrężnych dróg. Na drodze do odbudowy rolnictwa sowieckiego leżało jedenaście milionów chłopskich trupów. Na drodze do obalenia faszyzmu leżeli pomordowani w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Napływało wielu ludzi z więzień prowincjonalnych. Opowiadali, że część więźniów odesłano w styczniu do domu. Bicie ustało. Ludzie, idący od nas na śledztwo, nie przynosili w gruncie rzeczy nic nowego. Portrety Jezowa wisiały ciągle w pokojach sędziów śledczych. Sędziowie śledczy wzywali teraz oskarżonych masowo do protokołów odciążających. Więźniowie, którzy dawniej w swych protokołach lub podczas konfrontacji obciążali innych, mogli teraz odwołać swoje zeznania. Wielu spośród naszych ludzi było zdania, że NKWD przygotowuje powszechne zwolnienie, ale fakt, że z końcem stycznia jeden z największych etapów opuścił więzienie Chołodnej Gory, przemawiał przeciwko temu przypuszczeniu.

Sam czułem, że mój sen zimowy skończy się wkrótce. Jak wielu ludzi areligijnych jestem przesądny. W więzieniu wszyscy są przesądni. Już przed 6-ciu miesiącami obliczyłem sobie drogą

losowania, że będę 15 lutego 1939 roku po raz pierwszy na nowo przesłuchiwany. Opowiadałem o tym raz po raz towarzyszom. Wyśmiewali mnie. Uważali w ogóle za niemożliwe, bym był kiedykolwiek znowu wzywany. Moje ostatnie przesłuchanie miało miejsce w październiku 1937 roku, a więc niemal przed półtora rokiem. Nazywano mnie „mumią śledczą”.

Moim sąsiadem po prawej ręce był teraz pewien młody Niemiec. Nosił komiczne nazwisko Kliks. Mimo swego niemieckiego pochodzenia nie rozumiał ani słowa po niemiecku.

W wojnie domowej stracił oboje rodziców i stał się bezprizornym. Był nienormalnie wysoki i dlatego pełnił w swojej bandzie funkcje czujki. Gdy inni kradli, on ich osłaniał. Włączył się ze swoją bandą po całym Związku. Zimą — na południowym Kaukazie, latem — w Moskwie i w Leningradzie. Lecz życie to nie potrafiło go naprawdę skorumpować. Był to do szpiku kości przyzwoity chłopiec. Głód wiedzy zapędził go wreszcie do schroniska dla bezdomnych dzieci. Został architektem. Marzył o tym, by kiedyś w życiu zobaczyć budowlę włoskiego Odrodzenia. Całymi godzinami musiałem mu o nich opowiadać. Ciekawiła go także historia. Był niezwykle wdzięcznym słuchaczem. Miałem teraz straż przyboczną. Armeńscy nie odważali się już wszczynać ze mną kłótni.

Z początkiem lutego Kliks poszedł na przesłuchanie. Gdy wrócił, opowiedział mi szeptem, że sędzia śledczy przyrzekł mu rychłe wypuszczenie. Dałem mu karteluszek do Leny i zapisałem mu w spadku wszystkie moje książki. Nie wiem, czy mój testament został wykonany.

Moim sąsiadem z lewej strony był niejaki baron Ungern, carski pułkownik. Był inżynierem wojskowym. Mówiono, że to on budował fortyfikacje Portu Artura. Ungern był niezwykle wykształconym człowiekiem ze starej szkoły. Objechał cały świat, bywał często gościem na dworze książąt indyjskich, ale mimo tego był dobrym sowieckim człowiekiem. Po ukończeniu wojny domowej posługiwano się nim w dalszym ciągu w akademii wojennej. Należał do bardzo rzadkich więźniów, pochodzących z dawnej klasy. Czystka lat 1936/39 godziła na ogół tylko w sowieckich ludzi i w partie lewicowe. Rosyjskich monarchistów oszczędzała. Dawnych arystokratów wówczas nie aresztowano. Nie spotkałem ani jednego białogwardzisty.

W dniu 15 lutego 1939 roku wszedł do celi strażnik i zawołał na całe gardło:

— Weissberg, na przesłuchanie.

Moi towarzysze zdrętwieli. Od całych miesięcy przepowiadałem tę datę. Mogę sobie ten przypadek wyjaśnić tylko w ten

sposób, że być może mój sędzia śledczy dowiedział się przez swych szpiclów o moich prorocत्वach i chciał się ubawić, spełniając tę przepowiednię. Przyszedłem do więzienia wewnętrznego. Wiele się tam zmieniło. Klasyczne cele piwniczne „Brechałowki”, a więc cele, w których więźniowie dawniej czekali na przesłuchanie, zostały zniesione. Nikt już nie czekał w przepelnionych piwnicach. Na każdym piętrze zarezerwowana była dla czekających wielka izba. Przyszło mi bezzwłocznie na myśl, że może i Houtermans siedzi na tym samym piętrze. Napisałem w ustępie na ukrytym miejscu ściany wyraz FISEL. Takie nosił u nas Houtermans przezwisko. Zapomniałem jednak, że nie jestem w Chołodnej Gorze, lecz w więzieniu wewnętrznym, z jego prawem najściślej-szej izolacji. Strażnik sprawdzał ustęp bardzo dokładnie po przejściu każdej celi. Znalazł napis kredą i natychmiast wpadł do naszej celi.

— Kto to napisał?

Milczeliśmy. Strażnik oświadczył, że przez dwa dni nie będziemy dostawali chleba, o ile nie wydamy sprawcy. Znalazł się wkrótce zdrajca. Zdrętwiałem. W celach Chołodnej Gory, w których siedziałem, taka zdrada byłaby niemożliwa.

Strażnik zaprowadził mnie do komendanta więzienia. Po drodze obmyśliłem sobie wymówkę. Komendant wrzasnął na mnie:

— Kto jest Fisel?

— Nie ma takiego.

— Nie kłam. Zamelduję o tym bezzwłocznie sędziemu śledczemu i dostaniesz 10 dni karceru w piwnicy ze szcurami. Kto to jest Fisel?

— Obywatelu komendancie, przejrzyjcie wasze spisy. Fisel to nie jest nazwisko.

— Co to jest w takim razie?

— Obywatelu komendancie, podczas długiego okresu przesłuchania stałem się człowiekiem przesądnym. Mam pięć szczęśliwych liter FISEL. Zawsze, gdy przybywam na nowe miejsce, wypisuję je. To mi pomaga. Nie może mi się wtedy stać nic złego.

Komendant wciąż mi nie dowierzał i rzeczywiście przejrzał spisy. Wreszcie udało mi się go przekonać. Zaklął:

— Wstyd i hańba. I coś takiego było niegdyś pracownikiem naukowym. Taki pomysł nie przyszedłby na myśl nawet mahometaninowi.

Przesłuchanie było bez znaczenia. Żadnego spośród mych sędziów śledczych nie było już na służbie. Większość była aresztowana. Przyjął mnie człowiek, którego nazwiska nigdy nie słyszałem. Zapytał mnie, czy może zmieniłem swoje stanowisko i chcę się przyznać. Gdy jednak odmówiłem, też był zadowolony. Prze-

siedziałem u niego cztery godziny, w ciągu których w ogóle się mną nie zajmował. Opuścił pokój i pozostawił mnie samego. Nie zdarzało się to dawniej. Zwróciłem się do niego z prośbą:

— Obywatelu sędzio śledczy, już od dwóch miesięcy nie mam na swym koncie pieniędzy i jestem po prostu głodny. W charkowskiej kasie oszczędności mam dziesięć tysięcy rubli. Czy nie moglibyście spowodować, by mi przekazano kilkaset rubli?

— Zastanowię się.

Wieczorem przyszedł do celi Kliks. W nocy po przesłuchaniu zbudził mnie:

— Aleksandrze Siemionowiczu, myślę, że zwolnią mnie dziś rano. Sędzia śledczy coś o tym napomknął. Czy masz mi co do powiedzenia?

— Życzę ci szczęścia. Pozdrów ode mnie Lenę.

— Czy poza tym nie masz żadnego życzenia?

— Niech mi Lena przyśle pieniądze.

— No tak, ale czy ona ma pieniądze? Bez twojego podpisu nie może rozporządzać twym kontem.

— Martin Ruhemann jest uprawniony do podpisywania.

— Czy on jest tam jeszcze? Ale gdy wszystko zawiedzie, a ja będę znowu zarobkował, coś ci przyślę.

Kliks dotrzymał słowa. W więzieniu w Kijowie otrzymałem 50 rubli od nieznanego nadawcy. Lena żyła prawdopodobnie w całkowitej nędzy i musiała utrzymywać dziecko.

Sędzia śledczy odesłał mnie z powrotem na Chołodną Górę. Nie umiałem sobie wyjaśnić sensu tego przesłuchania. Kilka dni spędziłem na wyczekiwaniu. Potem zawołano mnie z rzeczami. Na dole zamknięto mnie do szafy — ta forma izolowania czekających stała się w ostatnich tygodniach modna. Musiałem stać w szafie przez cztery godziny. Potem wypuszczono mnie i wyprowadzono przez inne niż zazwyczaj drzwi na małe podwórze, a stamtąd do budynku kancelaryjnego więzienia. Strażnik poprowadził mnie przez dwa pokoje biurowe do trzeciego. Tam usiadłem przy biurku. Byłem sam.

Co to miało znaczyć? Czy chcieli mnie zwolnić? Bez wszelkich formalności? Bez żadnej zapowiedzi? Zastanawiałem się.

Najwidoczniej nadszedł od dawna wyteskniony dzień. Ale nie odczuwałem żadnej radości. Dokąd mam pójść? Leipunski był aresztowany, Houtermans także. Czy Martin Ruhemann był jeszcze w kraju? Co mam z sobą począć? Czy pozwolą mi wyjechać? Chyba nie. Pracować znów w Instytucie? Po wszystkim co się stało?

Pozostawiono mnie samego przez szereg godzin. Chciałem pójść do ustępu i zapukałem. Żadnej odpowiedzi. Było coraz gorzej. Waliłem do drzwi. Żaden strażnik nie nadchodził. Natomiast odpowiedział mi z sąsiedniego pokoju głos kobiety. Była to więźniarka. Gdy wymieniłem swe nazwisko, zaczęła płakać.

— To pan jest winowajcą mego nieszczęścia.

O ile pamiętam, pani ta nazywała się Jerusalem. Przyjechała z Niemiec i znała Houtermansa. Nie widziałem jej nigdy na oczy. Jak się jednak teraz dowiedziałem, GPU przydzieliło ją do mnie. Należała rzekomo do mojej kontrrewolucyjnej organizacji i zeznała pod naciskiem śledztwa, że zwerbowałem ją i nakazałem jej szpiegostwo i sabotaż. W innej izbie sąsiedniej siedział człowiek, który również miał być moim podwładnym w akcji kontrrewolucyjnej. Jego też nie widziałem nigdy na oczy, nawet jego nazwiska nigdy nie słyszałem.

Zapytałem ich oboje, kto jeszcze miał należeć do organizacji. Wymienili profesora Obreimowa, pierwszego dyrektora mego Instytutu, Fritza Houtermansa i jeszcze dwie osoby, których nazwiska były mi obce. Omówiłem z nimi sprawę. Co zamierzali z nami uczynić? Czy będziemy teraz zwolnieni? Oboje zapatrywali się na to sceptycznie. W zeznaniach swych obciążyli mnie i siebie samych i do tej pory nie odwołali swych zeznań.

Brzuch bolał mnie coraz bardziej, więc prosiłem oboje, by zawołali strażnika. Walili w drzwi, prowadzące na korytarz, od którego dzieliły mnie ich pokoje. Nic nie pomagało. Po dalszych trzech godzinach po prostu nie wytrzymałem i użyłem pustej szuflady biurka.

Siedzieliśmy do późnej nocy. Byłem nieszczęśliwy. Jeśli nas teraz zwolnią — tramwaj już nie chodzi — droga pieszo do Instytutu zajmie mi ponad godzinę. Poza tym nie miałem na noc dachu nad głową i ani grosza przy duszy. Nie znałem nowego adresu Leny. Ruhemanna prawdopodobnie już nie ma. Żona Leipunskiego przestraszy się i nie będzie chciała dać mi schronienia. Byłem bardzo nieszczęśliwy. Ale te troski miały mi zostać oszczędzone.

We wczesnych godzinach porannych zabrali mnie. Zrewidowali mnie bardzo dokładnie, wy pytali o personalia moich rodziców i moich dziadków i zabrali mi kwit na garderobę. Ale mego kufierka nie udało się odszukać. Szukali go przez dwie godziny. Potem oświadczyli, że przysła go w ślad za mną. „Dokąd przysłacie?” zapytałem, „dokąd mnie wysyłacie?” Nie otrzymałem odpowiedzi, ale z tego szczegółu wywnioskowałem, że bynajmniej nie zamierzali mnie zwolnić. Nawet nie czułem się rozczarowany. Potem doszedłem do wniosku, że trochę bałem się wolności.

Wreszcie żołnierz ruszył ze mną w drogę. Samochód zawiózł nas na boczną linię kolejową. Wsiadłem tam do pociągu. Byłem sam w przedziale. Było ciemno. Nie mogłem więc stwierdzić kierunku jazdy przez obserwowanie nieba. Wieczorem po niemal 12-godzinnej jeździe wylądowaliśmy w jakimś większym mieście. Wprost z dworca znalazłem się w samochodzie. Moskwa odległa była o 17 godzin jazdy pociągiem pospiesznym. Wywnioskowałem tedy, że jestem w Kijowie.

Po krótkiej jeździe znalazłem się w więzieniu. Musiałem czekać szereg godzin na przyjęcie. W celi, w której mnie umieszczono, stały łóżka z białymi, czystymi prześcieradłami. Więźniowie zbudzili się, gdy wszedłem. Zapytałem ich, gdzie jestem.

— W Kijowie. W więzieniu wewnętrznym NKWD.

KIJÓW

Masowe cele Chołodnej Gory były brudnymi norami. Więźniowie leżeli stłoczeni na gołej betonowej podłodze. Kto chciał dostać się do kubła lub do drzwi, musiał deptać po ludzkich ciałach jak po dywanie. Powietrze było wilgotne od wyziewów więźniów. Tylko nieliczni mogli pozwolić sobie na pranie bielizny. Inni — o ile w ogóle mieli bieliznę — siedzieli w koszulach równie czarnych jak ich odzież.

Ale w Chołodnej Gorze żyło się życiem burzliwym. Reżym był lekki. „Brechałowka” kruszyła wszystkie mury izolacji. Nieprzerwany przepływ więźniów wiązał nas ze światem zewnętrznym i ze zmienną scenerią śledztwa. Wielkie podwójne cele obejmowały 200 do 300 więźniów. Był to cały świat, świat bardzo interesujący. Codziennie przybywali nowi, codziennie powracający z „Brechałowki” przynosili wieści, które dyskutowano. Żyło się razem z wybitnymi ludźmi. Wysłuchiwało się wykładów i wygłaszało się wykłady.

Więzienie wewnętrzne było grobem. W Charkowie tak samo, jak w Kijowie.

Cele były tu czyste — nie było zatłoczenia. Każdy więzień miał łóżko i materac, zmieniany co miesiąc. Ale reżym był nie do zniesienia.

Nie słyszało się jednego głośnego słowa. Strażnicy mówili szeptem i więźniowie musieli mówić szeptem. Strażnicy zaglądali co kilka minut przez judasza. Regulamin więzienny musiał być skrupulatnie przestrzegany. Przez 7 godzin, od 11 w nocy do 6 rano, wolno było leżeć na łóżku. Za dnia wolno było tylko siedzieć, nie opierając się. Bezczynność dokuczwała. Ani ołówka, ani szachów, ani domina, ani książki, ani wykładów.

We wszystkich wielkich miastach Związku Sowieckiego istnieją małe więzienia wewnętrzne w centralnym gmachu GPU i więzienia masowe — takie jak Chołodnaja Gora — na skraju miasta. W więzieniu wewnętrznym w Charkowie siedziało kilkuset ludzi. Na Chołodnej Gorze — ponad 12.000. Tak samo było w Kijowie. Wszystkie więzienia wewnętrzne mają ten sam reżym najściślej izolacji. W Kijowie poznałem tylko więzienie wewnętrzne.

W noc mego przybycia zmieniałem jeszcze dwa razy celę. Na koniec dostałem się do celi o 6 łózkach, z tego 3 były zajęte. Przedstawiłem się towarzyszom.

Najciekawszy z trójki był Bogucki.

Był generałem Armii Czerwonej, bohaterem wojny domowej, przywódcą powstania w Kijowie. Jego żona i dziecko dostali się wówczas w ręce białych. Bili żonę aż do kalectwa a dziecku wykłuli oczy. Wreszcie złapali samego Boguckiego. Postawili go pod ścianą i oddali pospiesznie salwę, gdyż czerwoni deptali im już po piętach. Bogucki przy tej pospiesznej egzekucji był ranny 16-tu kulami. Jakby cudem pozostał przy życiu. Natychmiast po powrocie do zdrowia objął znów dowództwo Armii Czerwonej. Z pewnego ataku wyszedł ze zdruzgotaną prawą ręką. Trzeba mu ją było amputować. Widok okaleczonej żony i oślepionego syna był nieustanną męczarnią dla tego człowieka, który nie miał już więcej dzieci. Na krótko przed aresztowaniem Boguckiego, słynny rosyjski oftalmolog zaproponował nową metodę przywracania wzroku niewidomym. Oczy żyjących lub dopiero co zmarłych mogły być w pewnych okolicznościach przeszczepiane ślepych, po czym pełniły na nowo swe funkcje. Bogucki zgłosił się, chciał ofiarować jedno oko swemu ślepemu synowi. Ale do ryzykownej operacji nie doszło. Generał został aresztowany.

Oskarżono go o terror. Z polecenia kontrrewolucyjnej organizacji trockistowskiej chciał rzekomo zabić z rewolweru swego najwyższego zwierzchnika, marszałka Woroszyłowa. Poza tym miał być szpiegiem i dywersantem. Ponadto on i sprzysiężeni oficerowie zamierzali jakoby wtargnąć na Kreml i tam zaaresztować cały rząd ZSSR. Trzonem oskarżenia był zamach na Woroszyłowa. Bogucki przeczył. Skonfrontowano go z najlepszym przyjacielem. Ten oskarżył i siebie i Boguckiego. Bogucki nie dał się zastraszyć. Zawołał pod adresem przyjaciela, kolegi z wojny domowej: — Kiedy torturowali cię biali, trzymałeś się jak bohater, teraz tylko dlatego, że cię biją, kłamiesz w żywe oczy, ty kurwo.

Przyjaciel odpowiedział:
— Przeciwno białym walczyłem, przeciwko władzy sowieckiej nie chcę walczyć.

Bogucki bronił się długo. Był ambitny i porywczy, ale liczył już 60 lat życia. Jego nerwy, osłabione przejściami rewolucji i wojny domowej, nie wytrzymały tej nowej próby, która spadała na jego barki u progu starości. Sędzia śledczy bardzo szybko odkrył słabe miejsce starego generała. Chciał zdeptać jego dumę i jego miłość własną. Poddawał go najgorszym upokorzeniom. Dekorowali go swastykami i wyszydiali potem chóralnie. Pewnego razu sędzia śledczy wziął pełną spluwaczkę i wylał ją na siwą głowę byłego bohatera. Jego towarzysz, Wójcik, opowiadał mi później szeptem, że Bogucki po powrocie z tego przesłuchania do celi zanosił się od płaczu. Nie można go było uspokoić. Całymi godzinami powtarzał: „I za to mój syn stracił oczy. I za to zostałem kaleką. I moja żona także”.

Rano, po tej nocy, Bogucki zgłosił się dobrowolnie do przesłuchania. Zażądał papieru i pióra. Wypisał na całą stronę zeznanie, w którym przyznawał się do zamachu na Woroszyłowa, ze szczegółami, wychodzącymi daleko poza żądania sędziego śledczego. Podał też pobudki. W zeznaniu obrzucił Woroszyłowa obelgami. Nazwał go tchórzem i brudnym lizusem. Naturalnie, ta część zeznania nie została przyjęta.

Także w Kijowie zarejestrowano przełom po ustąpieniu Jeżowa, jednakże nie tak wyraźny, jak w Chołodnej Gorze. Co prawda siedziałem w Kijowie tylko w więzieniu wewnętrznym i nie wiedziałem, co działo się w więzieniach masowych. Tu tylko nieliczni wycofali po przełomie swe dawniejsze zeznania. Także Bogucki nie odwołał niczego na piśmie. Okazywał jednak sędziom śledczym swą bezgraniczną pogardę. Bogucki pochodził z klasy robotniczej. To był Michał Kohlhaas*. Nie mógł nigdy wybaczyć danego mu gwałtu. Nie umiał się opanować, nie umiał milczeć. Taki temperament w państwie totalnego zakłamania musi prowadzić w sposób nieunikniony do śmiertelnych konfliktów. Jestem przekonany, że zginął marnie.

W kilka miesięcy później wiadomości o przełomie przełamały mury izolacji także i w więzieniu wewnętrznym w Kijowie. Nalegałiśmy na Boguckiego, by odwołał. Nie chciał, bo wołał na nich nie patrzeć. Był rad, że mu dają spokój.

— Każdy z tych bandytów zna moje nazwisko z dawniejszych czasów, każdy wie kim byłem. Po co mam odwoływać? Przecież

* Michael Kohlhaas — postać z noweli Henryka von Kleista, opartej na prawdziwych dziejach kupca Hansa Kohlhaasa, skazanego na śmierć i straconego w roku 1540 w Berlinie za prawowanie się z saskim junkrem von Zschwitzem o dwa zabrane mu bezprawnie konie. Kohlhaas stał się symbolem człowieka, który nie bacząc na konsekwencje dochodzi swych słusznych praw (Przypisek tłumacza).

oni naprawdę nie wierzą, że Bogucki stał się mordercą i szpiegiem.

— Towarzyszu Bogucki, co ci ludzie mają robić, działają pod przymusem. I wywierają przymus na innych.

— Niech skaczą do Dniepru, zamiast podnosić rękę na ludzi takich jak ja i moi towarzysze.

Niczego nie odwołał, sprawa jego poszła do trybunału wojskowego. Prokurator wezwał go przed rozprawą sądową, by wyświecić kilka niejasnych punktów. Był to młody prokurator, nowicjusz na swym urzędzie. Widział przed sobą jednorękiego terrorystę i nic nie mógł pojąć.

— No dobrze, ale dlaczego wasza organizacja nie zleciła zamachu zdrowemu człowiekowi? Na pewno nie mogliście dobrze strzelać lewą ręką?

Bogucki odpowiedział z zawziętością:

— Mogę wam dokładnie powiedzieć, dlaczego organizacja nie znalazła innego zamachowca: organizacja nie mogła go poszukać, gdyż nie istniała. Dlaczego zaś sędzia śledczy, którego tworem była cała ta organizacja, właśnie mnie powierzył zamach, nie mam pojęcia. Musicie go o to sami zapytać.

— Pleciecie bez sensu, co to wszystko znaczy? Dlaczego organizacja nie istnieje? Czy to wasz podpis?

Prokurator okazał mu podpisane protokoły.

— Podpisałibyście jeszcze więcej, towarzyszu prokuratorze, gdyby się z wami tak obchodzono, jak ze mną.

Prokurator przerwał rozmowę. Odesłał Boguckiego z powrotem do celi i dał mu papier, by opisał wszystko obszernie.

Bogucki jeden jedyny gniewnymi słowami chłostał krwawą komedię, której byliśmy aktorami. Poruszał też to, co wedle niepisanego prawa stanowiło dla wszystkich więźniów tabu, to jest tajemnicę wielkich procesów. Podczas spacerów podchodził do mnie często i szeptał:

— Krwawa dyktatura Stalina. Zmieniają się pomocnicy kata, których obowiązkiem jest wykonywanie egzekucyj: Jagoda, Jeżow, Beria. Ucisk zostaje ten sam.

— Masz rację, Bogucki. Ale jak wytłumaczysz, że ludzie w wielkich procesach publicznych przyznają się do niepopelnionych czynów.

— Ludzie tacy jak Murałow torturowani byli przez 8 miesięcy, zanim ulegli. Tchorze i zdrajcy, tacy jak Radek, zmyślili swe zbrodnie po pierwszym policzku, gdy im obiecano darować życie.

— Ależ Bogucki, żaden z tych ludzi nie mógł liczyć na ułatwienie, gdy podpisywał te zeznania.

— I to nieprawda. Siedziałem razem z ludowym komisarzem Lepleskim, naczelnikiem GPU Republiki Ukraińskiej. Opowiedział mi wiele.

— Czy to ten sam Lepleski, który był wiceprokuratorem generalnym w Moskwie?

— Nie, zastępca Wyszynskiego jest bratem naszego Lepleskiego, ale ten drugi też jest aresztowany.

Interweniowałem swego czasu u prokuratora Lepleskiego w Moskwie w sprawie mej żony.

Spacer się skończył, a razem z nim rozmowa. Kontynuowaliśmy ją następnego dnia. Właściwie nie wolno było rozmawiać podczas spaceru. Ale jeden ze strażników był naprawdę liberalny. Miał dobroduszną, szeroką chłopską twarz. Czasami sam ze mną rozmawiał. Zniknął z końcem sierpnia.

Bogucki powrócił do procesów.

— Lepleski opowiedział mi dużo, a Lepleski musiał wiedzieć. Wszystko, co tutaj przeszliśmy, jest drobiazgiem w porównaniu z tym, co ci męczennicy w Moskwie musieli wycierpieć, zanim skapitulowali.

— Ale w sali sądowej, na publicznej rozprawie mogli przecież ujawnić tę potworność przed całym światem. Tam by ich już nie bito. Tam siedzieli przecież zagraniczni dyplomaci i dziennikarze.

— W sali sądowej by ich nie bito, ale później w piwnicy GPU połamano by im kości. Spójrz na Krestinskiego, przecież on w procesie Bucharina odwołał na sali sądowej wszystko. Co stąd wynikło? Skandal na cały świat? Ani śladu. Wyszynski kazał przerwać przesłuchanie, by go NKWD mogło przez noc obrobić — możesz sobie wyobrazić, jak taka obróbka wyglądała. W każdym razie była skuteczna. Krestinski powrócił potem na salę sądową i oświadczył, że jego dramatyczne odwołanie było kontrrewolucyjnym manewrem, aby zdyskredytować sąd i śledztwo. Czegoż chcesz więcej?*

* W 12 lat później dowiedziałem się, jak uzasadnione było przypuszczenie Boguckiego: w czasie procesu Davida Rousseta w Paryżu spotkałem świadka, którego znałem z więzienia przed wydaniem nas Niemcom. Dr inż. Hans Metzger pracował w Związku Sowieckim jako specjalista robót drogowych; w roku 1936 został aresztowany, skazany na osiem lat i deportowany na Wyspy Sołowieckie. Razem z innymi więźniami niemieckimi został po pakcie z Ribbentropem wydany w ręce Gestapo i siedział ze mną w więzieniu w Lublinie.

W Paryżu opowiedział mi co następuje:

„Opuszcziliśmy Sołówki 15 listopada 1939 roku. Statkiem do Kemu, a póź-

W tydzień później jechaliśmy obaj do dentysty w szpitalu więziennym. Strażnik zamknął nas w małym pomieszczeniu, gdzie czekaliśmy ponad godzinę. Tam powiedział mi Bogucki:

— Czy wiesz, co opowiadał Lepleski? 16 oskarżonym w pierwszym procesie, Zinowiewowi, Kamieniewowi i towarzyszom, Stalin obiecał życie, jeśli wezmą winę na siebie. Aby uwierzyli tej obietnicy, na tydzień przed procesem zmienione zostało prawo przeciwko terrorystom!

(Po zastrzeleniu Kirowa wydano specjalne prawo przeciwko terrorystom. Bezapelacyjna kara śmierci. Bez prawa łaski. Przed procesem Zinowiewa zostało z powrotem wprowadzone prawo łaski. Rozporządzenie ukazało się w „Prawdzie”, sędziowie śledczy pokazali je 16 oskarżonym, by uwierzyli w możliwość ocalenia życia).

— Dobrze, mogę przyjąć, że pierwszych 16-tu mogło mieć złudzenia. Ale druga grupa, Piatakow, Murałow i towarzysze, na którą kolej przysłała w 6 miesięcy później, wiedziała przecież, że pierwszych 16-tu zostało rozstrzelanych. Jakże mogli dawać wiarę obietnicom?

— Siedziałem w jednej celi z 8-iu oficerami i 16-tu gepistami. Byłem starostą. Jeden z czekistów pochodził w Moskwy. Opowiedział mi jak to było. Kamieniew i Zinowiew zostali skazani na śmierć 24 sierpnia 1936 roku. Następnego dnia pojawił się w „Prawdzie” komunikat o egzekucji. Ale w rzeczywistości pozostawiono ich jeszcze przez 5 dni przy życiu. Oskarżeni w drugim procesie, poza Piatakowem i Radkiem, byli już w tym czasie przeważnie aresztowani. Pokazano im doniesienia prasowe o rozstrzelaniu szesnastu. Potem skontaktowano ich z rzekomo rozstrzelanymi, którzy żyli sobie w najlepsze i czuli się dobrze. „Rozstrzelani” opowiedzieli tym, którzy dopiero mieli stanąć przed sądem, że musieli wyrzec się swych nazwisk zamiast których otrzymali numery. Zostali potem rzekomo umieszczeni w izo-

niej w przedziale kolejowym do Orła jechałem razem z Bezonowem. (Bezonow i Rakowski byli jedynymi oskarżonymi w procesie Bucharina, którzy zostali skazani nie na śmierć, a tylko na długoletnie więzienie. — A. W. C.) Oprócz nas dwóch, w tym samym przedziale jechało jeszcze trzynastu chłopów — Niemców nadwołżańskich i dwóch chińskich studentów. Zapytałem Bezonowa: 'Dlaczego nie odwołaliście na sali sądowej tych okropnych zeznań?' Powiedział:

„Nie chciałem podzielić losu Krestinskiego. Krestinski odwołał. Zabrali go natychmiast po zamknięciu rozprawy i torturowali go przez trzy godziny. Wywichnęli mu lewy staw barkowy. Cierpiał potwornie, ale zewnętrznie nie się nie widziało. Na rozprawie następnego ranka przyznał się do winy”.

Dr Metzger jest człowiekiem bardzo sumiennym i całkowicie apolitycznym, który nie zdaje sobie nawet sprawy z doniosłości tej rewelacji i na pewno niczego nie zniekształcił.

latorze i pod karą śmierci nie wolno im było zdradzić nikomu swych nazwisk. Przyniesiono im jakoby wielką bibliotekę. Mieli pracować naukowo. Stalin chciał absolutnego podporządkowania całego kraju swojej woli. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko kapitulację.

W pięć dni później 16-tu zostało potajemnie rozstrzelanych. Umierali przeklinając Stalina. Ale następna grupa już się o tym nie dowiedziała. Kiedy potem aresztowano Piatakowa i Radka, czekał przekonali ich bez trudu, że wyroki śmierci nie były pomyślane na serio i nie zostały wykonane.

Wszystko to niezupełnie mnie przekonywało. Rozstrzelani byli bohaterami roboty konspiracyjnej, rewolucji październikowej, wojny domowej. Brali przedtem na siebie śmierć i zesłanie. Stalin posłał na śmierć całą starą gwardię Lenina. Musieli się wśród niej znajdować ludzie, którzy woleli pewną śmierć niż pohańbienie. Powiedziałem to Boguckiemu. Odpowiedział z goryczą:

— Alex, ty nie masz żony i dzieci. Ci męczennicy wzięliby na siebie dziesięć razy śmierć, ale nie ponowne tortury. Po sali sądowej przychodziła piwnica GPU. Każdy wiedział co go czeka, jeśli odwoła na sali sądowej. Aleksandrze Siemionowiczu, ty nie masz żony i dzieci. Żony i dzieci tych ludzi czekały w izbach tortur GPU. Wielu spośród oskarżonych było gotowych na ewentualne wzięcie na siebie wszystkich mąk, ale żaden nie mógł patrzeć na torturowanie swej żony. Zawarłbym przymierze nie tylko z Hitlerem, ale nawet z diabłem, gdyby czyjaś łapa legła na mej żonie.

— Ale jak mógł Stalin ryzykować, że wszyscy oskarżeni ujawnią na sali sądowej fałszerstwo?

— Każdy mógł mówić tylko we własnym imieniu, nie w imieniu innych. Krestinski mógł kwestionować swój osobisty udział w spisku, ale nie winę Bucharina lub Jagody, skoro oni sami przyznali się do winy. Wszyscy ci oskarżeni byli w okresie śledztwa całkowicie izolowani od siebie. Widzieli się tylko wtedy, gdy chciało tego GPU. Do tego dochodzi jeszcze jedno. W wielkich procesach było może 70-ciu oskarżonych. Kandydatów natomiast było kilkuset. Opornych zamęczono przedtem na śmierć. Ponadto pewien czekista opowiedział mi coś, czemu trudno mi dać wiarę, co jednak — jeśli jest prawdą — tłumaczy wiele.

Przysunął się do mnie jeszcze bliżej.

— Przeprowadzali jakoby próbne procesy. Salę wypełniali agenci GPU. Częściowo przebrani za zagranicznych dziennikarzy. W procesach tych sprawdzali, czy mogą zaufać oskarżonym gdy

nastąpi prawdziwy proces. Próba trwała krótko. Po otwarciu sesji zapytywano oskarżonych, czy przyznają się do winy. Kto zmieniał front, tego torturowano a potem rozstrzeliwano. Ale ja osobiście nie wierzę w tę historię. To im było zupełnie niepotrzebne. Kto wpadnie w ich ręce — i bez takich środków mięknie jak glina w rękę garncarza.

— Czy mówiłeś z Lepleskim o tych próbnych procesach?

— Tak jest, nie potwierdził i nie zaprzeczył.

— Powiedz mi, czy sądzisz, że Tuchaczewski był też niewinny? Zrozum mnie dobrze. Nie wierzę, by Tuchaczewski, Putna, Gamarnik, Jakir i inni byli niemieckimi i japońskimi szpiegami, jak piszą gazety. Ale czyż Tuchaczewski razem z generałami nie mogli podjąć próby powstania, gdy patrzyli na to, co się w kraju dzieje?

— Nie pleć głupstw, Aleksandrze Siemionowiczu. Kiedy miał to zrobić. Został aresztowany w czerwcu 1937 roku, ale już sześć miesięcy przedtem był nieboszczykiem. Całkowicie izolowany, obstawiony przez GPU. Każdy unikał z nim kontaktu. Czy można w takiej sytuacji przygotowywać powstanie?

— Nie rozumiem tego. Był przecież do maja zastępcą ludowego komisarza i faktycznym naczelnym dowódcą armii.

— Nie znasz Stalina. Bawi się swymi ofiarami jak kot myszą, tak długo aż je będzie mógł bezpiecznie zadusić. Już na rok przedtem w procesie Zinowiewa wymieniono Putnę jako kontrrewolucyjnego trockistę. W 5 miesięcy później w procesie Piatakowa Radek wymienia już nazwisko Tuchaczewskiego. Czy sądzisz, że odważyłby się na to, gdyby mu tego nie nakazał Jeżow? Od tej chwili Tuchaczewski był zlikwidowany i wszyscy to wiedzieliśmy. Jeszcze przez pół roku dowodził armią, ale każdy oficer bał się pozostać z nim w pokoju sam na sam.

— Dlaczego zastrzelił się Gamarnik?

— Bo Gamarnik był człowiekiem a nie kurwą, jak Woroszyłow i Budienny. Żądano od niego, by razem z nimi dwoma sprawował sąd nad Tuchaczewskim. Jeżow pokazał mu pisemne dowody zdrady marszałka. Gamarnik był szefem zarządu politycznego armii. Przez długie lata pozostawał w ścisłym kontakcie z GPU. Znał Jeżowa, wiedział, że dokumenty są sfałszowane. Poszedł do Stalina. W rozmowie z „gospodarzem” uświadomił sobie, że fałszerzem nie był Jeżow, lecz sam Stalin. Poszedł wobec tego do domu i wpakował sobie kulę w łeb.

— Ale, jeśli nic nie było, dlaczego kazał Stalin zlikwidować sztab generalny armii?

— Stalin lękał się swego własnego cienia. Tuchaczewski był

bardzo popularny. Wprawdzie nie przygotowywał żadnego pow-
nia, ale mógł to zrobić. To Stalinowi wystarczyło*.

W kwietniu rozmawialiśmy pewnego razu o losie Jezowa.
Jego portrety zostały wreszcie usunięte. Bogucki powiedział:

— Teraz dzieli nasz los.

— Jesteś tego pewien?

— Aleksandrze Siemionowiczu, może ty nie znasz tak dobrze
naszych obyczajów partyjnych. Jeśli członek Politbiura tuż przed
zjazdem partyjnym musi złożyć swe funkcje państwowe, to wia-

* W więzieniu nie miałem żadnej możliwości sprawdzenia wypowiedzi Bo-
guckiego. Nikt inny nie mówił wówczas o tych rzeczach. Interesowanie się
nimi było niebezpieczne. Jednakże w toku drugiej wojny światowej rozpow-
szechniła się wśród aresztowanych oficerów pogłoska, że zgładzenie Tucha-
czewskiego było wynikiem prowokacji Hitlera. Opowiadał mi o tym w roku
1948 polski pisarz Herling-Grudziński, który w czasie wojny spotkał się
w więzieniu leningradzkim z rosyjskimi generałami. Nieco później natkną-
łem się na publikacje w tej sprawie Benesa, Churchilla, Krywickiego i Wa-
lera Hagena, będącego na służbie niemieckiego wywiadu.

Po zanalizowaniu istniejącego materiału dochodzi się do następującego
wniosku: dokumenty kompromitujące Tuchaczewskiego zostały niewątpliwie
sfabrykowane przez niemieckich gestapowców Heydricha i Behrensa w pi-
wnicy domu Gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse w Berlinie. Ale gestapowcy
byli w tej sprawie tylko marionetkami w ręku Stalina.

Zlikwidowanie bohaterów Armii Czerwonej było dla Stalina bardziej
niebezpieczne niż zlikwidowanie zdyskredytowanych szeregiem upokorzeń i mo-
ralnie złamanych przywódców dawnej opozycji. Zmuszenie ich do fałszywych
zesań byłoby też trudniejsze. Uciekł się zatem do wyrafinowanej intrygi.

Przez agenta GPU w Berlinie, który rzekomo zdezerterował do Gestapo,
Stalin podrzucił gestapowcom niemieckim diabelski plan: Mogli oni przy
pomocy sfalszowanych dokumentów doprowadzić Rosjan do sparaliżowania
własnej armii. Heydrich za zgodą Hitlera zorganizował fałszerstwo. Sprepara-
wano korespondencję pomiędzy Tuchaczewskim a generałami niemieckiej
Reichswehry. Posłużyły do tego celu niegdyś oficjalnie dobre stosunki po-
między obiema armiami. Wynikiem fałszerstwa był plik dokumentów, dowo-
dzących zdrady głównej Tuchaczewskiego. Próbuje się te dokumenty podrzu-
cić Rosjanom poprzez Czechosłowację, ale wreszcie sprzedaje się je po prostu
gepiście w berlińskim poselstwie sowieckim. Jeszcze na kilka miesięcy wcześ-
niej GPU znalazło drogę poinformowania Benesa o rzekomych tajnych ro-
kowaniach generałów niemieckich z Tuchaczewskim. Benesz nie poznał się
na grze i sądził, że winien ostrzec Stalina przed Tuchaczewskim. Ów list
Benesa stanowił zapewne dla Stalina tylko dodatkowy dowód w później-
szym procesie przeciwko marszałkowi. Także i Churchill nie dostrzegł pro-
wokatorskiego charakteru całej akcji.

Heydrich był po rozstrzelaniu sowieckich generałów przekonany, że dzięki
jego intrydze udało się zniszczyć sztab generalny Armii Czerwonej. Tylko
generał SS Behrens poznał się na intrydze. „Byliśmy w tej sprawie narzę-
dziami Stalina”, mówił do Heydricha.

Gdyby Stalin nie był sam zakulisowym sprawcą, zarządziłby bezstronne
śledztwo. A wtedy Tuchaczewski i inni generałowie z łatwością udowodniliby
sfalszowany charakter dokumentów.

domo, że jego godzina wybiła. Nie będzie już obecny na 18-tym zjeździe partyjnym. Siedzi w izolatorze.

Oprócz Boguckiego siedzieli jeszcze w celi naczelnik ukraińskiej administracji celnej i bezpartyjny urzędnik kolejowy. Był to stary zrzęda. Uskarżał się wciąż na swój los. Faktycznie miał pecha. Przed ośmiu laty uciekł ze Związku Sowieckiego. O ile dobrze pamiętam, w sposób następujący: Eskortował rosyjskie pociągi towarowe, przeładowywane na granicy. Obsada rosyjska przy tej okazji wychodziła trochę na terytorium polskie. Kowalski wyzyskał tę okoliczność, by prysnąć i ukryć się w jakiejś pogranicznej miejscowości polskiej. Miał brata, adwokata w Zdołbunowie, miejscowości odległej o godzinę od granicy. Kowalski opowiadał nam jakąś niezbyt jasną historię. Rzekomo spotkał się w Polsce z jakimś polskim politykiem i został następnego dnia aresztowany jako szpieg sowiecki. Sąd polski skazał go na 8 lat więzienia. Po odcierpieniu kary oficerowie polskiej defensywy przegonili go nocą przez rosyjską granicę. Zameldował się na pierwszym posterunku. Zawieziono go do Kijowa do więzienia wewnętrznego. Oskarżono go o to, że przekroczył granicę sowiecką jako szpieg polskiej defensywy.

Z całą pewnością nie był on polskim szpiegiem. Nie mogłem ustalić, czy swego czasu rzeczywiście przeszedł do Polski jako uciekinier czy też jako agent rosyjski. Był bardzo mrukliwy, a jego wypowiedzi kłóciły się z sobą. Gdy go wypytywano, stawał się grubiański. W celi był złym kolegą i psuł ogólny nastrój.

Trzecim był Wasilij Petrowicz Wójcik. Był on dyrektorem administracji celnej na Ukrainie. W oczach NKWD był bucharinowcem i polskim szpiegiem. Wójcik był smukłym i roslym mężczyzną, o bardzo ujmujących rysach twarzy. Nawet w więzieniu robił wrażenie eleganta.

Z tymi trzema ludźmi spędziłem ponad dwa miesiące w niemal całkowitej izolacji. Dwa razy wzywano mnie na przesłuchanie. Sędzia śledczy postępował tak, jak gdyby nie było żadnego przełomu. Zapytał mnie, do czego zamierzam się przyznać.

— Do niczego.

— To się wam nie uda. Musicie do czegoś się przyznać.

Nawet nie starałem się by mu odpowiadać serio. Uważałem teraz jego postawę za anachronizm.

Po raz drugi wezwali mnie do tak zwanego protokołu odciążającego. Gusak, młody inżynier z mego zakładu doświadczalnego, zeznał przed rokiem, jakoby go zwerbował.

Sędzia śledczy zapytał mnie:

— Czy potwierdzacie zeznania Gusaka?

— Nie.

- Co chcecie w nich sprostować?
- Dwie rzeczy: po pierwsze, nie jestem kontrrewolucjonistą, a po drugie, nie zwerbowałem Gusaka.
- Jakie jest wasze zdanie o Gusaku?
- Osobiście nigdy nie miałem dla niego sympatii, ale nie mogę z tego powodu uważać, że jest kontrrewolucjonistą. Mówiąc prawdę, zawsze przypuszczałem, że jest waszym mężem zaufania.
- Mieliście zatem z Gusakiem złe stosunki?
- Raczej tak.
- W takim razie zaprotokołujcie to.

Podpisałem. Sędzia śledczy był zadowolony z mego zeznania. Odgadłem jego zamierzenia. Chcieli zwolnić Gusaka i musieli go przedtem oczyścić tym protokołem odciążającym z jego fikcyjnych grzechów. Złe stosunki ze mną wzmacniały jego pozycję.

Siedziałem potem przez szereg tygodni, w ciągu których nic się nie działo. Miałem nieodparte wrażenie, że krytyczny dla mnie okres przeminął. Będę zwolniony albo deportowany. Dlaczego tak długo zwlekali? Wychudłem na szkielet. Głodowałem straszliwie. O 6 rano otrzymywaliśmy porcję chleba. Nakłuwaliśmy go zapawkami, dzieląc go na pięć części, tak by mi wystarczyło do wieczora. Ale już o 11 przed południem było po wszystkim. Nie łatwo jest znosić głód, gdy się ma chleb pod poduszką.

Wieczorem byłem zawsze słaby z głodu. Popadałem w konflikt ze strażnikiem, ilekroć próbowałem oprzeć się trochę o ścianę. Po prostu nie mogłem jednak wysiedzieć prosto do 11 wieczorem. Strażnik był uprzejmy, ale nieubłagany. Co kilka minut otwierał kłapę i bez słowa wskazywał na mnie.

Inną przyczyną konfliktów był regulamin snu. W Charkowie spałem przez dwa lata w ubraniu. Zimą nawet w płaszczu — i nikt się o to nie troszczył. W Kijowie panowała higiena. Trzeba się było rozbierać. Ale nie wolno było trzymać rąk pod kocem. Strażnicy musieli widzieć ręce, by uniemożliwić próby samobójstwa. W innej celi pewien więzień w ciągu kilku nocy skreślił sobie pod kocem linę, na której się potem powiesił. Marży mi okropnie ramiona i dlatego nie mogłem zasnąć. Próbowałem przekonać strażnika. Na próżno. Wreszcie nakrywałem się całą, także i głowę i nie dbałem o jego napomnienia.

Był to doświadczony strażnik. Nie krzyczał, natomiast otwierał kłapę co pięć minut. Budziło to innych. Zmusili mnie oni do kapitulacji.

Przez trzy noce w ogóle nie spałem. Potem znalazłem wyjście. Wyciąłem w kocu otwory, przez które wystawiałem ręce. Strażnik widział ręce, ale moje ramiona były przykryte. Pogodziliśmy się na tej podstawie.

Nuda była śmiertelna. Siedemnaście godzin na dobę bez zajęcia. Pobyt w Chołodnej Gorze rozpieścił mnie. Z trudem znośiłem monotonię życia w Kijowie.

Z końcem maja przyszedł człowiek, z którym się zaprzyjaźniłem. Nazywał się Iwan Dymitricz Jaroszenko. Był mniej niż średniego wzrostu i bardzo pewny siebie. Jego granatowe ubranie było niepokalane i zdradzało krój wojskowy. Siadał na swoim łóżku przy oknie i zachowywał się w sposób zdyscyplinowany i spokojny. Czasem stał wyprostowany, jakby kij połknął. Liczył na to, że mimo drobnego wzrostu zjedna sobie swą postawą większy autorytet.

Jaroszenko był ostatnio przewodniczącym jakiegoś trustu w Kijowie. Miał za sobą awanturnicze życie. Ojciec jego był robotnikiem portowym w Władywostoku. Gdy w roku 1917 wybuchła rewolucja, dwudziestoletni Jaroszenko był marynarzem na rosyjskim okręcie wojennym. Zaciągnął się do Czerwonej Gwardii, a później przeszedł do partyzantów. Tam, na Dalekim Wschodzie, walczył za władzę sowiecką Łaso — wódz partyzantów; bohaterские czyny Łaso rozstawiły jego imię po najdalsze zakątki wielkiego kraju. Daleki Wschód był bastionem kontrrewolucyjnych białych generałów, którzy tu mieli poparcie w japońskiej interwencji. Walka przeciw generałom i Japończykom trwała całymi latami w konspiracji. Jaroszenko udał się do Łaso i objął u partyzantów doniosłą funkcję. Organizował akty dywersyjne na tyłach nieprzyjacielskiego frontu. Łaso został później wzięty przez Japończyków do niewoli i zamordowany w bestialski sposób. (Jeśli dobrze pamiętam, spalony w lokomotywie). Jaroszenko kontynuował walkę. Opowiadał nam często o swych ówczesnych przeżyciach.

— Pewnego razu otrzymałem zadanie wysadzenia w powietrze ważnego tunelu kolejowego. Posłałem na miejsce zwiadowców. Przynieśli złe wiadomości. Tunel był mocno strzeżony. Atak musiałby kosztować wielkie ofiary i — być może — pozostać bez wyniku. Skoncentrowałem już 150 ludzi w małych grupach w pobliskim górskim lesie. Kazałem im wracać i postanowiłem sam sprawę załatwić. Nasi technicy wmontowali ładunki dynamitu razem z zapłonami w dwie skrzynki. Pojechałem na stację kolejową, przebrany za chłopca z transportem sera. Chciałem się dostać na pociąg, przejeżdżający przez tunel. Wówczas jednak nie wolno było przewozić cywilów. Namówiłem rosyjskiego konduktora pociągu towarowego. Miałem jakoby przejechać tylko dwie stacje. Zgodził się za ćwierć kilograma tytoniu. Umieściłem się z moimi skrzynkami w ostatnim wagonie. W środku tunelu podpaliłem zapłony i wyrzuciłem obie skrzynki z wagonu. Natychmiast po

opuszczeniu tunelu zeskoczyłem z pociągu. W minutę później nastąpił straszliwy wybuch, który zburzył część tunelu.

Historia ta miała swój epilog. Wiele lat później byłem przewodniczącym gorodsowietu w Chabarowsku. Przeszedł do mnie jakiś kolejarz na skargę. Zabrano mu mieszkanie. Poznałem natychmiast mojego konduktora z tunelu. On mnie naturalnie nie poznał. Gdy chciał odejść, zatrzymałem go.

— Towarzyszu, dam ci natychmiast inne mieszkanie, Będzie ono lepsze niż dawne, ale przedtem musisz mi powiedzieć, gdzie się już spotkaliśmy.

Człowiek stał bezradnie.

— Nigdy cię nie widziałem, towarzyszu przewodniczący.

Przyjrzał mi się i naraz mnie rozpoznał. Niemal rzucił się na mnie, Powstrzymał go respekt dla mego stanowiska. Zaklął.

— A więc to ty jesteś tym sukinsynem, który ściągnął na mnie nieszczęście?

Opowiedział, że zaraz po eksplozji Japończycy aresztowali go i torturowali. Potem trzymali go jeszcze przez trzy miesiące w więzieniu.

Dałem mu mieszkanie. Zasłużył sobie na nie zupełnie. Trzymiesięczne śledztwo u Japończyków nie było drobnostką.

W czasie wojny domowej Jaroszenko często przechodził granicę mandżurską, by organizować transporty zboża dla Armii Czerwonej. Zaprzągnął chunchuzów — bandy rozbójników chińskich — w służbę rewolucji rosyjskiej. To, co opowiadał o owych dniach w Chinach, przekraczało wszelkie możliwe wyobrażenia mej fantazji. Jeśli tylko część z tego jest prawdą, to musiały to być czasy szalone.

Jaroszenko zrobił potem zwykłą karierę komunisty, zasłużonego dla sprawy rewolucji. Z końcem roku 1937 został aresztowany. W oczach GPU był japońskim szpiegiem. Ponadto, razem ze swymi starymi towarzyszami z partyzanckiego okresu, przygotowywał zbrojne powstanie. Jaroszenko przetrzymał śledztwo, nie przyznawszy się do niczego. Zapytałem Boguckiego:

— Dlaczego właściwie aresztują dawnych partyzantów?

— Czekał się uważają, że partyzanci są dla nich niebezpieczni. Partyzanci wciąż jeszcze trzymają się razem i mówią o dawnych czasach. Już to zwraca uwagę. A dalej: Ludzie, którzy już raz poszli do lasu za sprawę wolności, mogą wpaść na pomysł, by uczynić to raz jeszcze. Czekał się nie mogą do tego dopuścić.

Jaroszenko wniósł do celi nowego ducha. Był ambitny, zdyscyplinowany, energiczny. Zmuszał nas do codziennej gimnastyki. Nie chciałem, Byłem słaby z głodu. I wtedy powiedział:

— Aleksandrze Siemionowiczu, dam ci jeść.

Nadszedł dzień *ławoczki*. Jaroszenko miał pieniądze i zakupywał całą dozwoloną rację. Potem dzielił ją ze mną skrupulatnie. Początkowo odmawiałem i przyjmowałem tylko chleb. Czuł się naprawdę dotknięty i był zły. Wreszcie zaakceptowałem. Od tego czasu mnie żywił.

Jaroszenko miał wiele cech ujemnych. Był jednak wzorowo solidarnym kolegą. Był niezmiernie dumny i wrażliwy. Nie znosił pouczeń w cudzej obecności. Gdy raz go skorygowałem, zrobił mi scenę, obrzucając mnie ohydnyimi obelgami. Chciałem mu odpłacić pięknym za nadobne, w czym krępowała mnie moja materialna zależność od niego. Zmieniłem przeto łóżko, tak że nie byliśmy już sąsiadami i nie ruszałem już żywności, którą dla mnie wydzielał.

Jaroszenko zauważył to natychmiast i także przestał jeść. Ta wzajemna głódówka trwała przez kilka dni. Wreszcie nawiązaliśmy rozmowę.

— Dlaczego dokuczasz mi, Aleksandrze Siemionowiczu. Dlaczego mnie obrazasz? Nie zrobiłem ci przecież nic złego.

— Zginiesz marnie, jeśli nie będziesz jadł. Nie mogę na to patrzeć.

Pogodziliśmy się i mogliśmy znowu jeść.

Dni nie miały końca. Każdy znał już historię śledztwa wszystkich innych. Nowych przybyszów nie było. Brakowało nam materiału dla dyskusji politycznych. Poza tym nie chcieliśmy myśleć o śledztwie i o polityce. Jaroszenko zaproponował, by każdy opowiedział najbardziej osobiste historie ze swego życia i z życia swoich przyjaciół. Bez polityki! Zgodziliśmy się.

HISTORIE APOLITYCZNE

Wójcik opowiada swe przeżycia

Sprawa Grabowskiej

Przyjeżdżała do nas często żona polskiego ministra, Grabowska. Rzekomo odwiedzała krewnych w Rosji. Ale GPU otrzymało informację, że wywozi dla emigrantów rosyjskich pozostawione w kraju kosztowności*. Gdy pewnego razu byłem w Szepietówce celem przeprowadzenia inspekcji naszego punktu granicznego, przyjechała właśnie pociągiem i chciała jechać dalej do Polski.

* Muszę tu podkreślić, że absolutnie nie zamierzam twierdzić, że to podejrzenie GPU było uzasadnione.

Pograniczny naczelnik GPU polecił straży celnej poddać panią Grabowską rewizji osobistej. Dowiedziałem się o tym i zabroniłem wykonania polecenia, o ile GPU nie wyda go na piśmie. Czekista był oburzony.

— Nie potrzebuję wam wydawać poleceń. Daję wam informacje. Wy sami macie uniemożliwić przemyt. Wy jesteście od tego, nie my.

Zapytałem go:

— Czy GPU może zagwarantować, że pani Grabowska ma przy sobie brylanty? Jeśli ją zrewidujemy i nie znajdziemy niczego, wybuchnie skandal dyplomatyczny. Nie chcę być za to pociągany do odpowiedzialności. Ostatecznie to jest żona ministra. Możecie ją przecież sami zrewidować. Dlaczego mają to uczynić nasi ludzie.

Kierownikowi GPU nie pozostało nic innego, jak wydać naszemu celnikom rozkaz pisemny. Madame Grabowską zaproszono do osobnego pokoju, gdzie towarzyszka, pełniąca te funkcje w straży celnej, bardzo dokładnie zrewidowała ją ginekologicznie. Nic nie znaleziono. Gepiści byli zdumieni. Ale sprawa była prosta. Tym samym pociągami jechało trzech polskich dyplomatów do Warszawy. Jeśli pani Grabowska rzeczywiście chciała wywieźć kosztowności, to wystarczyło, by dała je na przechowanie swym przyjacielom, których chronił paszport dyplomatyczny.

Sprawa miała swój epilog. W kilka miesięcy później Radek bawił w Warszawie jako gość rządu polskiego. W czasie pewnego bankietu przedstawiono mu tak panią Grabowską: „Oto jedna z najdostojniejszych dam polskich, z którą pańscy ziomkowie obeszlę się tak nie po rycersku”.

Radek zmieszał się, gdy usłyszał tę historię i natychmiast zwrócił się telefonicznie do komisariatu spraw zagranicznych w Moskwie. Kierownik straży celnej na granicy, którego do całej tej sprawy zmusiło GPU, został zawieszony w urzędowaniu. Ja sam otrzymałem surową naganę, mimo, że protestowałem. Ale GPU nic się nie stało.

Raz jeszcze Wójcik popadł w konflikt z GPU. Tym razem nie z jakimś małym urzędnikiem, lecz z najwyższym dostojnikiem tego aparatu na terenie Ukrainy, z ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Republiki Ukraińskiej, towarzyszem Balickim. Wójcika powiadomili jego ludzie na granicy, że jacyś krewni Balickiego trudnią się przemytem francuskich towarów luksusowych (mydła, perfum itd.) do Związku Sowieckiego. Rewidowani powoływali się na ludowego komisarza i sądzili, że to magiczne nazwisko odstraszy celników. Wójcik nie dał się jednak zastraszyć i wszystko ujawnił. Był zdecydowany napisać w tej sprawie raport do Komitetu Centralnego w Moskwie. Wtedy wezwał go do siebie ludowy komisarz. Balicki dał mu niewinne

wyjaśnienie tej sprawy i kazał zaniechać śledztwa. Wójcik nie ustępował i kłócił się z ludowym komisarzem. Ten uderzył pięścią w stół:

— Sam zbadałem sprawę, towarzyszu Wójcik. Jeśli mówię, że tak było, to tak było. Ostrzegam cię przed udawaniem się z tym do Moskwy. Komu dadzą wiarę? Tu stoję ja — uderzył pięścią w pierś pełną orderów — komisarz bezpieczeństwa państwowego, ludowy komisarz spraw wewnętrznych, członek Politbiura partii ukraińskiej, a tam ty, nieznany, mały towarzysz partyjny. Komu partia da wiarę?

Wójcik dał się przekonać i zaniechał dochodzeń.

Byłem rozczarowany. Balicki zawsze mi się podobał. Miał szczerą twarz i serdeczny sposób mówienia. Czyżby niekontrolowana władza korumpowała także i przywoitych ludzi?

Wójcik żałował swej odwagi cywilnej. Był przekonany, że te starcia z GPU przypieczętowały jego późniejszy los. Uspokoiłem go.

— Towarzyszu Wójcik. Starcie z Balickim bardziej wam pomogło, niż zaszkodziło. Balicki został później aresztowany jako opozycjonista i rozstrzelany. Bylibyście aresztowani także bez tych zawodowych konfliktów z GPU. Tak samo jak i my.

Bogucki przyłączył się do mego zdania. Ale nie łatwo było pocieszyć Wójcika.

Wójcik opowiadał jeszcze wiele o swych osobistych przeżyciach. W toku tych rozmów natknęliśmy się na dwie wspólne znajome. Simę Doroganową i Aleksandrę Ilieniczną Andrejewą („Szurę”). Z Simą Doroganową łączyły mnie na jesieni 1934 roku bliskie stosunki. Pewnego dnia znikła nagle i przez szereg lat nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego. Dopiero tu, w więzieniu, rozmowa z Wójcikiem rzuciła trochę światła na sprawę. Pozostali nalegali na mnie, bym opowiedział o tym przeżyciu.

Sima Doroganowa

Pewnego dnia, późnym latem roku 1934 przyprowadziła ją ze sobą Andrejewa. Obie były asami „Dynamo”. „Dynamo” to najznakomitszy klub sportowy w kraju. Znajdował się pod protektorem GPU. Szura była mistrzynią Ukrainy w biegu na 500 metrów, w skoku wzwyż o tyczce i w jeszcze kilku innych dziedzinach lekkoatletyki. Biła rekordy niemal bez treningu. Budowa jej ciała była, jak twierdzili fachowcy, cudem harmonii. Sima Doroganowa była jej przyjaciółką.

Gdy Sima przyszła do nas po raz pierwszy, Marcel i ja zdu-

mieliśmy się jej urodą. Byliśmy sami. Było to już po moim rozejściu się z Ewą, zaś Lena, żona Marcela, wyjechała do Moskwy.

Sima miała włosy ciemno blond, rozdzielone szerokim jasnym pasmem. Wyglądała jak dziewczyna z filmu albo z ogłoszeń reklamowych jakiegoś kremu do twarzy. Promiennie niebieskie oczy, śnieżne zęby, delikatna różowa cera — krótko mówiąc, łączyły się w niej wszystkie kryteria piękności z Hollywood. Szczególnym jednak jej wdziękiem był sposób poruszania się. Trochę nieśmiały, trochę dziecinny, a przecież nieodparty. Liczyła wtedy 20 lat, musiało się jednak wierzyć, że ta zwycięska młodość nigdy nie przemienie. Jej ruchy przypominały nieporadność i urok młodych zwierzątek, które dotykają wszystkiego co je otacza ciesząc się funkcjonowaniem swoich kończyn. Miała wyraz twarzy dziecka, które po raz pierwszy widzi cuda tego świata i patrzy na nie ze zdumieniem.

Była zamknięta w sobie. Gdy szła do kuchni po szklanekę wody i Marcel szedł za nią, by jej dopomóc, wychodziła bezzwłocznie. Nie chciała być sama z obcym mężczyzną. Nie mam żadnego powodu by sądzić, że ta nieśmiałość była udana. Następnego wieczora odprowadzałem ją pieszo do domu. Szliśmy długo ulicą, prowadzącą do fabryki traktorów. Mieszkała na skraju miasta. Rozmowa nie zbliżyła nas do siebie. Nie przyjęła mego ramienia. Przed kamienicą czynszową, w której Sima rzekomo mieszkała, powiedziała do mnie:

— Odprowadzę cię jeszcze kilka kroków do tramwaju.

Tramwaj nadszedł. Chciałem jej podać rękę na pożegnanie. Stała trochę wyżej na chodniku, ja — na jezdni. Zgoła nieoczekiwanie ujęła moją głowę w swoje ręce i pocałowała mnie w czoło. „Bądź zdrow, Alex”.

Do tej pory mam w uszach dźwięk jej głosu. Jej poufałość odbijała osobliwie od uprzedniej postawy, pełnej rezerwy, a jednak czułem, że pochodziła z czystego serca. Ucałowała mnie, jak młodszego brata.

Od tej pory przychodziła co wieczór. Czasem pozostawała mym gościem przez całą noc. Cieszyła mnie jej bliskość, lecz nie łączył nas żaden stosunek miłosny. Zapytałem Simę, czy miała już stosunek z mężczyzną. Zaprzeczyła. Czułem się o wiele starszy od niej, aczkolwiek dzieliło nas tylko dziesięć lat. Nie chciałem jej uwodzić — prawdopodobnie nasz związek mógłby trwać tylko krótko. Lecz brak mi jej było, gdy wieczorem przychodziłem z roboty i jej nie zastawałem.

Należała do pokolenia, które od mojego dzieliła przepaść. Przepaścią tą była rewolucja październikowa. Sima wyrosła po rewolucji w kraju zwycięskich Sowietów. Była komunistką jak ja, ale jej ideologia tak różniła się od naszej, jak ideologia wierzących katolików naszych czasów od ideologii pierwszych chrześcijan. Partia komunistyczna rządziła państwem. Sima była dobrą obywatelką i dlatego bez namysłu została komsomołką. Chodziła na zebrania Komsomołu tak jak katolicy chodzą do kościoła.

Rewolucja światowa, przeobrażenie ustroju społecznego, wszystko to, co tak emocjonowało towarzyszy mej młodości, było dla niej obcym pojęciem. Przyjmowała hierarchię społeczeństwa sowieckiego jako jeden z warunków swego życia. Wiedziała, jakich ludzi i jakie czyny należy czcić a jakimi gardzić, jeśli się chciało być przyzwoitym członkiem tego społeczeństwa. Nie znała żadnych konfliktów. Gazeta i organizator partyjny mówili każdorazowo, co należy robić i co należy myśleć. Wskazania zmieniały się. Nic nie szkodzi. Trzeba zawsze akceptować to, co w danej chwili jest nakazem.

Przed wielką czystką ten błogi sposób myślenia był wspólną cechą młodzieży sowieckiej. Pod ciosami czystki rozpadł się jednak i ten fundament nowego państwa. Trudno było zachować spokój, gdy kłamstwo i przemoc wkraczały w najbardziej intymną dziedzinę życia. Gdy ojca, brata, męża gnano jako szpiega za koło podbiegunowe i gdy wiedziało się że są niewinni.

Ideologiczna obcość, dzieląca nas, starych intelektualistów, od tej młodzieży, określała także mój stosunek do Simy. Cieszyła mnie jej żywotność i jej uroda. Ale nigdy nie zbliżyłem się do niej naprawdę.

Tak upłynęło kilka tygodni. 6 listopada 1934 roku, w przededniu święta rewolucji, zwolniłem się i poszedłem z Simą do centrum miasta. Miałem trochę zagranicznych pieniędzy i chciałem dziewczynie kupić coś w Torgsinie. Za 6 dolarów kupiłem biały sweter wełniany. Poszliśmy do domu. Sima przymierzyła go. Wyglądała czarująco i cieszyła się jak dziecko. Uściskała mnie z radości i wdzięczności.

— Simoczka, komsomołka nie powinna tak się cieszyć fatalszkami. To nie przystoi.

— Dlaczego nie. Także i komsomołka chce ładnie wyglądać.

Poszliśmy trochę się przespacerować. Padał śnieg. Sima była bez czapki. Śnieg pokrył zupełnie jej włosy. Promieniła. Przeszliśmy obok niemieckiego cmentarza i oglądaliśmy z góry całe miasto aż do fabryki traktorów. Sima przytuliła się do mnie. Ogarnęła mnie czułość. Pocałowałem ją.

— Simoczka, przyjdiesz dziś na noc?

— Nie, Alex, mam uroczystość w Instytucie. Ale przyjdę jutro i zostanę z tobą przez dwa dni, jeśli mnie chcesz mieć.

Uścisnąłem ją i ucałowałem jej zimne policzki. Cieszyłem się na dwa dni świąt w jej towarzystwie. W ostatnich tygodniach nie miałem ani jednej wolnej niedzieli. Teraz postanowiłem odrywać się od pracy i robić z Simą wycieczki. Odwiozłem ją samochodem do domu. Wsiadła jak zawsze niedaleko swego domu. Miała przyjść następnego ranka. Ale nigdy już więcej jej nie ujrzałem.

Tuż po świętach zostałem odkomenderowany do Moskwy. Musiałem złożyć przed końcem roku wszystkie zamówienia na budowę i montaż stacji doświadczalnej. Dopiero po 1 stycznia 1935 roku powróciłem. Zapytałem Marcela o Simę. Nie pokazała się.

Zapytałem Szurę. Nic o niej nie wiedziała. Od dwóch miesięcy Sima nie przychodziła do instytutu dla niedorozwiniętych dzieci, w którym pracowała jako instruktorka. Znikła bez śladu. Pojechałem do kamienicy, w której mieszkała. Nie znałem numeru mieszkania. Pytałem wszystkich. Nigdy tam nie mieszkała.

Mój szofer Grisza odnalazł wreszcie jej prawdziwe mieszkanie. Mały domek jednorodzinny na skraju miasta. Oddalony o pięć minut od miejsca, gdzie zawsze rozstawaliśmy się. Żona robotnika otworzyła nam drzwi. Sima Doroganowa? — Tak jest, mieszkała tu przed trzema miesiącami. Pewnego dnia spotkała znajomego i następnego dnia wyszła za niego za mąż. Potem spakowała swe rzeczy i wyjechała. Kiedy to było? 7 listopada.

W rozmowie z Marcelem powracałem do tego raz po raz. Jej zachowanie się było zgoła niepojęte. Nigdy nie ograniczałem jej swobody. Dlaczego nie pożegnała się ze mną?

Wójcik dał mi nieoczekiwane wytłumaczenie.

— Aleksandrze Siemionowiczu, Sima wprowadziła cię w błąd. Była zamężna. I to już od trzech lat.

— Nie do wiary.

— Znałem dobrze Simę, a także całą jej rodzinę. Ojciec był starym czekistą jeszcze z czasów wojny domowej. Zresztą bardzo przyzwoity człowiek. W walce z białymi bardzo się odznaczył. Później został oficerem wojsk pogranicznych GPU.

Wojska GPU były częścią armii, której komenda czysto formalnie podlegała Ludowemu Komisariatowi Spraw Wewnętrznych. Wojska te nie miały żadnego bezpośredniego kontaktu z UGB, a więc tą częścią GPU, która aresztowała ludzi i prowadziła śledztwo. Wójcik dodał jeszcze:

— Mąż Simy był także gepistą-pogranicznikiem. Opuściła go bardzo szybko po ślubie. Nie chciała z nim żyć i dlatego przyjechała do Charkowa. Trochę się go bała.

— Ale dlaczego odgrywała całą komedię? Wyglądała tak uczciwie. Dlaczego zatajała miejsce swego zamieszkania, dlaczego pewnego dnia odeszła bez pożegnania? To wszystko jest zagadką.

Wmieszał się Bogucki:

— Być może podstawiono ją tobie, aby cię szpiegować.

— Uważam to za zupełnie wykluczone. Tak nie wygląda agentka.

— Naiwny jesteś, Aleksandrze Siemionowiczu. Czekiści wiedzą, jak się brać do ludzi.

— Bogucki, ty wszędzie widzisz szpiegów, zupełnie jak sędzia śledczy. Sima na pewno nie miała w stosunku do mnie żadnych złych zamiarów.

Przyszedł mi z pomocą Wójcik.

— Nie, Bogucki, w tym wypadku nie masz racji. Znam Simę od dziecka. Była zawsze trochę dziwna. Jeśli zatajała swe mieszkanie, to z obawy przed mężem. Nie lubiła go. Uciekła od niego. Najpierw z powrotem do ojca, potem do Charkowa. Ciebie Aleksandrze Siemionowiczu prawdopodobnie lubiła. Na pewno chciała, abyś się z nią ożenił. Kiedy całymi tygodniami spałeś razem z nią w jednym pokoju i nic między wami nie zaszło, było jej na pewno smutno i myślała, że ci się nie podoba. Bo nasza młodzież — mówiąc prawdę — nie myśli w tak staroświecki sposób. Do tego trzeba prawdopodobnie być wychowanym w Niemczech. Czy jest tam więcej takich? Gdy potem przyjechał jej mąż, a ona nie mogła się już spodziewać, że ją weźmiesz, zrezygnowała. Być może bała się też swego męża.

Mnie wyjaśnienie to nie zadowoliło. Coś wciąż pozostawało zagadkowe.

Bogucki zapytał:

— Kto przyprowadził do ciebie Simę?

— Szura Andrejewa, dawna przyjaciółka.

— Czy powiedziała ci, że Sima jest mężatką?

— Nie.

— Wobec tego Szura jest też agentką. W przeciwnym razie powiedziałaaby ci, że Sima ma męża czekistę.

Wszyscy oprócz Wójcika przyłączyli się do zdania Boguckiego. Oponowałem gwałtownie.

— Wszyscy jesteście na pół zwariowani. Zaraziło was GPU. Wszędzie widzicie szpiegów. Co można było u mnie szpiegować? Przecież naprawdę nie byłem kontrrewolucjonistą. Szura była u nas w domu jakby członkiem rodziny. Była żoną mego przyjaciela, austriackiego inżyniera. Poza tym miała temperament półdzikuski, niezdolnej do żadnej konspiracji.

— Dlaczego w takim razie przemilczała małżeństwo Simy? Jako jej przyjaciółka musiała o nim wiedzieć.

— Może o nim nic nie wiedziała, a może były tylko koleżankami w „Dynamo” i niczym więcej. Może Sima prosiła ją o dyskrecję, czy ja wiem. Ale agentką Szura nie była.

Musiałem opowiedzieć o Szurze.

S z u r a

Aleksandra Ilieniczna Andrejewa była żoną mego przyjaciela Adasia Taussiga. Spotkałem Taussiga w pewnym mieszczańskim towarzystwie w Wiedniu w grudniu 1930 roku, tuż przed jego przeniesieniem się do Związku Sowieckiego. Należał do zło-

tej młodzieży wiedeńskiej. To środowisko, dzielące swe zainteresowania pomiędzy sport i kobiety, było mi zawsze obce. Przyjaciele mej młodości nie mieli nic wspólnego z tymi ludźmi. Adaś jako syn bogatego przymysłowca pochodził z tego kręgu. Ale tkwiło w nim coś więcej. Podchodził do swego zawodu poważnie. Był dobrym inżynierem. Chodziły mu też po głowie problemy społeczne. Gdy mi go przedstawiono, zwrócił się do mnie:

— Słyszę, panie inżynierze, że pan jedzie do Związku Sowieckiego. To musi być przecież bardzo ciekawe. Chciałbym bardzo zobaczyć co tam się dzieje. Czy nie mógłby mi pan w tym pomóc?

Odpowiedziałem chłodno i poradziłem zwrócić się do sowieckiego towarzystwa podróży „Inturist”.

Wiosną 1932 roku załatwiłem jakieś sprawy w Moskwie, w Najwyższej Radzie Gospodarczej (późniejszym Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego). Na korytarzu spotkałem Taussiga. Nie wierzyłem własnym oczom.

— Co pan tu robi, panie inżynierze?

— Przyjechałem, by się trochę rozejrzeć.

— No tak, ale co pan tu robi w ludowym komisariacie?

— Chcę złożyć wizytę Bittgerowi.

— Skąd go pan zna? Skąd pan w ogóle zna naszych ludzi?

— Z Berlina. Prowadziłem z nimi rokowania z ramienia mojej firmy.

Bittger był dawniej kierownikiem przedstawicielstwa handlowego w Berlinie. Obecnie był kierownikiem oddziału zagranicznego w Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego. Jak większość czołowych urzędników, także i on został z początkiem 1937 roku zlikwidowany.

Tego samego dnia — czekałem w przedpokoju Bucharina — spotkałem Londona, przewodniczącego Donbaswodtrustu. Opowiedział mi o swych kłopotach. Trust wybudował długi rurociąg, mający zaopatrywać część Zagłębia Donieckiego w wodę do picia. Rurociąg był gotowy na wiosnę. Woda była wspaniała. W sześć miesięcy później była nie do użycia. Cuchnęła fenolem. Gminy zamknęły krany i zrezygnowały z pobierania wody. London sprowadził fachowców. Nie umieli wytłumaczyć sprawy.

Poradziłem Londonowi, by zwrócił się przez Bittgera do Taussiga. Taussig pracował w wielkiej firmie Bamag i był specjalistą od oczyszczania wody.

U Bittgera odbyła się konferencja z Taussigiem. London przedłożył plany. Taussig studiował je przez jakiś czas, a potem zapytał:

— Czy nad rzeką nie ma jakichś fabryk chemicznych? Mniej więcej 35 do 40 kilometrów powyżej miejsca, gdzie czerpiecie wodę?

— Owszem, skąd pan to wie?

— Sprawa jest prosta, ścieki zawierają fenol.

— No tak, ale dlaczego woda jest latem dobra?

— To łatwo wytłumaczyć. Rzeka posiada zdolność samooczyszczania. Związki fenolowe ulegają latem rozkładowi w rzece, zanim zdążą dotrzeć do miejsca pobierania wody. Jednak szybkość reakcji tego rozkładu zależy od temperatury i wzrasta wielokrotnie wraz ze wzrostem temperatury. Zimą jest ona bardzo nieznaczna. 30 kilometrów nurtu rzeczny pomiędzy miejscem, gdzie ścieki fabryczne uchodzą do rzeki, a miejscem, gdzie woda do picia wchodzi do przewodów wodociągowych, wystarcza latem. Natomiast zimą rozkład zachodzi tak powoli, że fenol dociera do przewodów wodociągowych.

— Co można zrobić, panie inżynierze?

— Właściwie fabryki byłyby obowiązane oczyszczać swe ścieki.

— Tego się u nas nie da przeprowadzić. To potrwa lata.

— W takim razie, panie London, musi pan sam wybudować urządzenia oczyszczające — oświadczył Taussig. — Ostatnimi czasy używa się do takich celów filtrów węglowych. Mogę sprawę wyjaśnić pańskim inżynierom.

O 2-giej w nocy zatelefonował do mnie London. Zapytał czy jestem zaprzyjaźniony z Taussigiem. Czy mógłbym go nakłonić do pozostania tutaj, by wybudował urządzenie oczyszczające.

— Ależ towarzyszu, ten człowiek ma swój zawód, jest na urlopie i musi wracać.

— Pomówcie z nim, towarzyszu Weissberg. To ważne dla kraju.

— To Taussiga nie bardzo wzruszy, ale pomówcie z nim sami.

— Czy mam do niego teraz zatelefonować?

— Czyście zwariowali, jest w pół do trzeciej w nocy. Nie możecie go przecież wrywać ze snu. Nie rozumiem was. Byliście tyle lat w Stanach Zjednoczonych i mówicie takie rzeczy. Czy zapomnieliście, jacy są ci cudzoziemcy?

London wpadł rankiem do pokoju Taussiga, wsadził go do swego samochodu i zawiózł do Charkowa. Charków był siedzibą trustu. Taussig miał jeszcze w czasie swego urlopu obliczyć nieodzowne instalacje. London dał mu pokój we własnym mieszkaniu.

Taussig nie mógł już się wypłatać. Obliczenia były gotowe. London zaklinał go, by opracował projekt techniczny. Taussig napisał do Wiednia, prosząc o przedłużenie mu urlopu. Po ukończeniu projektu przysłała kolej na rysunki robocze, a potem na kontrolę budowy instalacji. Taussig rozstał się ze swoją firmą, pozostał w Rosji i zajął się budowaniem socjalizmu. Nie przerwał pracy, aż robotnicy Zagłębia Donieckiego mieli dobrą wodę do picia. Po ukończeniu robót został odznaczony. Prasa chwaliła jego pracę.

Szura studiowała chemię i była kreślarką w truście. Chodziła ze sobą. Szura była piękna, silna, żywotna. Miała nieposkromiony temperament. Ewa i ja cieszyliśmy się zawsze, ilekroć spotykaliśmy tę piękną parę na motocyklu. Szura była Rosjanką z Penzy. Stamtąd — jak mówiono — pochodzili prawdziwi rosyjscy ludzie.

Miała włosy jasno blond, jasną cerę, niebiesko-zielone oczy. Cechowały ją mongolskie kości policzkowe i szerokie gładkie czoło.

Po ukończeniu prac przy wodociągu Adaś Taussig chciał dostać się do mnie do stacji doświadczałnej. Poradziłem mu, by na rok pojechał za granicę i tam przestudiował problemy chłodzenia do niskich temperatur. Tymczasem stacja będzie gotowa. Będzie mógł potem objąć biuro konstrukcyjne. Taussig pojechał. Szura została i czekała na powrót mężczyzny, którego kochała aż do zapomnienia. Z górą przez rok Taussig przebywał za granicą. W tym czasie zmienił się klimat w Związku Sowieckim. Kirow został zastrzelony. Obudziła się wielka podejrzliwość. Dawidowicz został dyrektorem naszego Instytutu. Nie życzył sobie żadnych nowych cudzoziemców. Zmusił mnie do zrezygnowania z Adasia Taussiga.

Szura była zrozpaczona. Była komsomołką. Aczkolwiek „apolityczna”, była całkowicie zrośnięta z krajem sowieków. Tęskniła za ukochanym z bolesną dzikością, do jakiej zdolne są Rosjanki jej typu. Ale państwo było silniejsze.

Mogła bez trudu otrzymać paszport austriacki. Adaś nadesłał jej dokumenty potrzebne do zawarcia formalnego ślubu w konsulacie austriackim. Gdyby to zrobiła, stałaby się natychmiast obywatelką austriacką. Ale musiałaby wtedy opuścić w najkrótszym czasie kraj, bez prawa powrotu.

Adaś nakłaniał ją do tego kroku. Wzbraniała się. Nie chciała opuścić swego kraju. Zmiana obywatelstwa wydawała się jej przejściem na stronę nieprzyjacielską.

Wybrała inną drogę. Podjęła starania o sowiecki paszport zagraniczny. Chciała pojechać do Adasia na rok do Wiednia i potem powziąć decyzję. Znano ją w kraju jako gwiazdę sportową. Poprzez „Dynamo” była zaprzyjaźniona z większością czołowych gepistów. Chcieli jej dopomóc. Otrzymała wszelkie potrzebne polecenia. Trwało piętnaście miesięcy, zanim jej podanie o paszport przeszło przez wszystkie instancje. W sierpniu 1936 roku miała otrzymać paszport i mogłaby wyjechać za granicę. Wtedy nadszedł proces Zinowiewa, a razem z nim nadzwyczajne rozporządzenie rządowe. Wszystkie podróże za granicę, nie leżące w bezpośrednim interesie państwowym, zostały zabronione.

Szura miała teraz 27 lat. Rozporządzenie NKWD w sprawie paszportów zadecydowało o jej dalszym życiu. Pisywała codziennie do Adasia. Nie mogła zapomnieć o tym mężczyźnie i nie chciała opuścić swego kraju. Konflikt ją zżerał. Piękna, silna dziewczyna w ciągu następnych sześciu miesięcy wędła w oczach. Bywała często u mnie. Chciałem jej dopomóc.

— Szuroczka, musisz wybrać, albo Adaś albo Związek Sowiecki. Albo pójdziesz do konsulatu i zostaniesz cudzoziemką, albo musisz przerwać wszelką korespondencję i zapomnieć o Adasiu. Musisz wtedy zdecydować się na innego męża. Wkrótce będziesz miała 27 lat.

W lutym 1937 roku przychodziła często do mnie. Zbliżyliśmy

się do siebie. Nic jej jednak nie mówiłem o dręczących mnie nocnych przesłuchaniach w GPU. Widocznie coś wyczuwała. Pewnego dnia bowiem zapytała mnie nieoczekiwanie:

— Powiedz, Alex, aresztowano cię?

— Jak sobie to wyobrażasz, Szura? Stamtąd się już nie wychodzi.

— Niektórzy wychodzą, na krótki czas — zauważyła wieloznacznie.

Wiedziałem, że spotyka się w klubie z wybitnymi czekistami. Ale nie interesowała się ich pracą. Być może czekistom tym wymknęła się jakaś aluzja na mój temat.

— Szura na pewno była na ich służbie — powiedział Bogucki. Byłem oburzony.

— Czegóż by chcieli przez nią dowiedzieć się o mnie? Nie byłem kontrrewolucjonistą, nie knułem spisków. Aby się dowiedzieć o moim politycznym nastawieniu, należało wybrać innego agenta, kogoś z kim prowadziłem dyskusje. Ale nie Szurę.

Szura, podobnie jak Sima, należała do komsomołek typu istniejącego tylko w Związku Sowieckim, a nie za granicą. Budowanie socjalizmu nie było już celem rewolucyjnym, lecz sprawą patriotyzmu. Szura wierzyła ślepo we wszystkie doktryny, które kraj oficjalnie nakazywał. Nie miała jednak żadnego stosunku do ożywiającej nas idei rewolucyjnej. A przecież była gotowa złożyć na ołtarzu kraju tak wielką ofiarę, jak wyrzeczenie się ukochanego.

Bogucki powiedział:

— Szura musiała być na służbie GPU, w przeciwnym razie wyjechałaby.

Rozłożyłem się.

— Rozum potraciliście. Wszędzie widzicie szpiegów. Szura była niezdolna do żadnej roboty konspiracyjnej. Była zupełnie nieopanowana i nieposkromiona. Opowiem wam, co pewnego razu zbroiła.

Pewnego razu przyszła do mnie o 12 w nocy. Marcel i Lena poszli już spać. Była to ich noc poślubna. Byłem jeszcze w Instytucie i pracowałem w bibliotece. Marcel nie chciał otworzyć. Szura nie dała się odprawić i przez pół godziny dobijała się do drzwi. Potem zatelefonowała. Marcel zawiązał się. Wobec tego wezwała milicję. W mieszkaniu są rzekomo włamywacze, udający głos Marcela. Przyszła milicja. Skandal był bezprzykładny. Gdy wróciłem o 1.30 w nocy, zastałem dom pełen kłócących się sąsiadów. Szura oświadczyła mi z najniewinniejszą w świecie miną, że nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś odważył się wzbronić jej dostępu do mego mieszkania. Przy tym nie łączyły nas żadne

bliższe stosunki osobiste. Była wierną żoną mego przyjaciela, ale czuła się w mym mieszkaniu jak u siebie w domu. Byłem o ten skandal wściekły. Szura nie mogła zrozumieć mego wzburzenia. Dyskusja z nią nie miała sensu.

W ciągu tych czterech pustych miesięcy każdy z nas poznał tak dobrze rodziny pozostałych, jak gdyby sam z nimi żył. Opo-wiadaliśmy sobie nawzajem przez cały dzień, by przezwyciężyć monotonię. Wybieraliśmy historie zgoła osobiste, apolityczne, ale nie mieliśmy w tym szczęścia. Nie ma w Związku Sowieckim oderwanego życia osobistego. Tak czy inaczej w każdej historii pojawiała się państwo.

Z początkiem czerwca zaszło wydarzenie, które naraz przerwało ciszę. Przyszedł do nas człowiek, którego najmniej oczeki- waliśmy tutaj w gmachu policji politycznej. Prawdziwy szpieg.

SZPIEG

Nazywał się Grigori Grigorijewicz Wursta. Przyszedł do celi w nocy. Ubrany był jak młody kołchoźnik. Następnego ranka zapytaliśmy go, skąd przybywa.

— Z zagranicy.

— Od kiedy jesteś w Związku Sowieckim?

— Od dwóch dni.

Zerwaliśmy się na równe nogi. Ktoś teraz z zagranicy? A to sensacja. Zapomnieliśmy, że istniało coś takiego jak zagranica. Bogucki zwrócił się do niego:

— Dwa dni tu jesteś i już w więzieniu? Nie rozumiem tego. Jak się tu dostałeś?

— Chciałem wstąpić na służbę rosyjską i w tym celu przekroczyłem nielegalnie granicę. Szukałem posterunku GPU, by się zameldować, ale zanim go znalazłem, zostałem aresztowany. Nie chcieli mi wierzyć.

— Skąd przychodzisz?

— Teraz z Polski.

— Czy jesteś Polakiem?

— Nie, jestem Rosjaninem, pochodzę z Rusi Zakarpackiej. Jestem obywatelem czechosłowackim.

Jego język był mieszaniną czeskiego, polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Miał 27 lat. Początkowo robił wrażenie człowieka zmieszanego. Potem się uspokoił.

Opowiedział o swoim życiu. Uczęszczał w Pradze do szkoły lotniczej. Tam go zwerbowało Gestapo do roboty szpiegowskiej przeciw Czechosłowacji. Później był czynny w wywiadzie niemieckim w Polsce. Był jednak jakoby zawsze patriotą rosyjskim, a teraz, skoro Niemcy uprawiają politykę antyrosyjską, postano-

wił zerwać z Niemcami. Dlatego też przekroczył granicę, by zaofiarować Rosjanom swe usługi.

Zdrętwieliśmy. W naszej celi ktoś, kto zdobył się na to, by wstąpić na służbę niemieckiego Gestapo. Natychmiast wyrósł pomiędzy nim a nami mur. Siedział sam na swoim łóżku i nie mówiliśmy do niego.

W nocy, gdy spał, przyszedł do mnie Bogucki.

— Wierzysz mi, Aleksandrze Siemionowiczu?

— Nie wiem, co mam myśleć.

— Coś się tu nie zgadza. To po prostu szpieg, złapany przy przekraczaniu granicy.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Proszę cię. Gdyby rzeczywiście chciał przejść na naszą stronę, mógł przecież nawiązać kontakt z naszym wywiadem w Pradze lub w Warszawie, zamiast przekraczać granicę po nocy.

Po dwóch dniach wszystko się wyjaśniło. Wursta powrócił z przesłuchania. Tam przyznał się do wszystkiego. Opowiedział nam:

— Przybyłem z kolegą. Mieliśmy krótkie zlecenie pograniczne, mieliśmy coś wy badać i po dwóch dniach wrócić. Skorzystaliśmy z polskiego punktu granicznego w Baranowiczach. Polacy nam dopomogli. Po przekroczeniu granicy przechodziliśmy obaj obok kołchozu, gdzie nas zauważono. Chociaż obaj ubrani byliśmy jak kołchoźnicy, zwróciliśmy na siebie uwagę. Ludzie powiadomili GPU. Próbowaliśmy uciec z drogi, gdy w dali pojawił się samochód. Czekiści strzelali i zranili mego kolegę. Został ujęty, a ja się poddałem. Mój kolega mnie zdradził.

Rozmawiałem z Wurstą przez kilka godzin. Nie rozumiał ani słowa po niemiecku. Wkrótce uświadomiłem sobie, że nie miał nic wspólnego z Gestapo, natomiast był po prostu agentem polskim. Nie chciał się jednak do tego przyznać. Widocznie miał rozkaz, by nie zdradzić swych mocodawców.

Nie wiedzieliśmy, jak się mamy do niego ustosunkować. Jeśli wierzyć GPU, siedziało w Kijowie 12.000 szpiegów. Wszyscy ci ludzie przyznali się do szpiegostwa, ale nikt z nas w to nie wierzył i nikt z tych, co się przyznali, nie obawiał się, że koledzy wezmą na serio jego nonsensowne zeznania.

Nikt też nie zadawał sobie trudu, by przekonywać innych, że jest niewinny. Wszyscy to z góry wiedzieli. W naszym więzieniu byli tylko dobrzy ludzie sowieccy. Tacy nie wstępują na służbę wroga. Fantazja GPU dostarczała nam jedynie materiału dla lepszych lub gorszych dowcipów.

Ale tu siedział rzeczywisty szpieg. Agent wroga klasowego,

człowiek, który zagrażał naszemu państwu, naszej wspólnej sprawie. Był towarzyszem celi, czy należało go bojkotować?

Bogucki wypowiedział się za tym. Ale tego w małej celi po prostu nie dało się przeprowadzić. Był jedynym, wzywany na przesłuchania. Byliśmy niezmiernie ciekawi. Przybył zza granicy i znał sytuację polityczną. Siedzieliśmy już trzy miesiące bez żadnych wiadomości z gazet. Bojkot spełził na niczym.

Wieczorem trzeciego dnia poszedł na przesłuchanie. Odbiliśmy naradę wojenną. Przyjęto moją tezę. To Polak i polski agent. Nieco to osłabiało niechęć do niego. Gestapowiec, to było najgorsze. Postanowiliśmy nawiązać poprawne chociaż chłodne stosunki.

Wursta był w stosunku do nas uprzedzający. Jako kolega w celi zachowywał się bardzo dobrze. Był czysty, zdyscyplinowany i pomocny. Następane dni upłynęły na omawianiu sytuacji światowej.

Sudety przepadły, później także i Praga. Polska czuła się zagrożona. Ale Anglia udzieliła Polsce gwarancji. Napaść na korytarz gdański oznaczać będzie wojnę. Zachód zaczyna się zbroić.

Utrata Austrii i Czechosłowacji była dla mnie ciężkim ciosem. Nie widziałem już wolnego miejsca w Europie środkowej na wypadek wyjścia z więzienia. Myśli moje kierowały się w stronę Finlandii i Szwecji, jako przyszłego azylu.

Pewne wydarzenie, które nastąpiło w dwa tygodnie później, pomogło nieco zmniejszyć mur pomiędzy Wurstą a nami. Poszedł o północy na przesłuchanie i wrócił w godzinach porannych. Plecy jego wykazywały ślady ciężkiego maltretowania. Byliśmy zdumieni, gdyż Wursta przyznał się już do wszystkiego.

— Ci wasi ludzie zwariowali. Tak czy owak powiedziałem im wszystko. Nie miałem już nic do ukrywania. Ale dziś zażądali ode mnie czegoś obłądnego. W Kijowie mieszka sekretarz partyjny, który pewnego razu był w delegacji dyplomatycznej w Pradze, w tym samym czasie, gdy i ja tam byłem. Nigdy go jednak nie widziałem. I dziś w nocy żąda ode mnie sędzia śledczy, bym powiedział, że ten człowiek jest jednym z naszych agentów w Kijowie i że zostałem do niego posłany z zagranicy. Wzbrańałem się. Ściągnęli wtedy ze mnie marynarkę i koszulę i zaczęli mnie we dwójkę okładać kijami.

— Czy coś powiedziałeś?

— Nie, mogę naturalnie wszystko powiedzieć, ostatecznie co mnie obchodzi wasz sekretarz partyjny? Jeśli wasze GPU zwariowało, to nie moja sprawa. Ale po prostu żal mi tego człowieka. Co on ma do tego? Nigdy go nie widziałem, dlaczego mam mu podstawiać nogę?

Wursta był bardzo wytrzymały na bicie. Wytrzymał jeszcze jedną noc, nie obciążwszy sekretarza. Następnego dnia zaprowadzono go do kierownika oddziału. Ten zabronił dalszego bicia. Pomimo przełomu zdarzały się zatem jeszcze nawroty do starych metod. Nowa linia postępowania tylko z trudem brała górę.

Powoli w celi powracał spokój. Wursta stał się członkiem naszego kolektywu, aczkolwiek członkiem drugiej klasy. Powróciliśmy do naszych apolitycznych opowieści.

Pewnego wieczora opowiadałem o mojej pracy, o zakładzie doświadczalnym chłodzenia do niskich temperatur, który zbudowałem. Bogucki pojechał do lekarza. Lekarz znajdował się w głównym więzieniu. Mówiłem już od dwóch godzin, gdy powrócił. Przysłuchiwał się przez chwilę, a potem mi przerwał.

— Mówmy o czym innym — powiedział podrażniony.

W nocy Wursta poszedł na przesłuchanie. Bogucki zapytał innych, o czym opowiadałem. Potem rzucił się na mnie.

— Zwariowałaś, Aleksandrze Siemionowiczu? Jak możesz opowiadać takie rzeczy przy szpiegu?

— Cóż takiego powiedziałem?

— Na podstawie twego opowiadania każdy nieprzyjacielski lotnik może znaleźć stację.

— Może ją też znaleźć, jeśli zajrzy do charkowskiej książki telefonicznej.

— Ale wtedy nie będzie wiedział, do czego ona służy.

— Nie mówiłem o konkretnych pracach. Niezależnie od tego, Wursta nigdy nie będzie mógł przekazać swoich wiadomości.

— Tego nie wiesz, tych agentów wymienia się masowo za naszych ludzi.

Generał nie mógł się uspokoić. Także i inni zwrócili się przeciwko mnie. Przestałem odpowiadać.

W kilka dni po tym incydencie wezwał mnie sędzia śledczy. Ktoś mu musiał donieść o całej sprawie. Być może strażnik. Sprzeczailiśmy się wcale głośno. Strażnicy w Kijowie nosili buty filcowe i często podsłuchiwali więźniów pod drzwiami, gdyż ci nie słyszeli ich kroków.

Był to ten sam sędzia śledczy, co przed dwoma miesiącami. Wówczas nie zrobił na mnie żadnego specjalnego wrażenia. Siedział chłodny, obcy, niedostępny. Teraz przyjął mnie błady z wściekłości. Kazał mi stanąć pod drzwiami i wrzeszczał na mnie:

— Ty skurwysynu, ty nędzniku. Brudnemu szpiegowi zdradzasz tajemnice państwowe. Byłeś jakoby partyjnikiem, a wydajesz rzeczy, które ci państwo powierzyło? Czy straciłeś już wszelkie poczucie obowiązku i honoru? Czy już w tobie nic nie

zostało, że sprzedajesz kraj nieprzyjacielowi? Będiesz za to odpowiadał, to ci nie ujdzie płazem.

Gdy tak krzyczał, uświadomiłem sobie, jak nieskończenie bezsensowna była ta scena. Jak się sam demaskował, apelując do mego poczucia honoru jako komunisty i jako sowieckiego człowieka. Miałem czas do namysłu, gdyż uspokoił się nie tak szybko. Potem doszedłem do głosu:

— Obywatelu sędzio śledczy, jestem oskarżony o szpiegostwo, czy osobiście uważacie mnie za szpiega?

— Oszczędź mi twoich prowokacji, ty bandyto. Czytrzymałbym cię w więzieniu, gdybym nie był przekonany, że jesteś szpiegiem i do tego jednym z najniebezpieczniejszych szpiegów, jakich tu mamy? U nas niewinni nie siedzą.

— Obywatelu sędzio śledczy, w takim razie nie rozumiem waszego wzburzenia. Co się bowiem stało? Dwóch szpiegów wymieniało po prostu między sobą informacje. Waszym zdaniem jestem szpiegiem tak samo jak Wursta, czemuż więc nie apelujecie do *jego* poczucia honoru?...

Chciałem mówić dalej. Nie udało mi się. Sędzia śledczy zerwał się. Szukał słów. Zrozumiał od razu, że zarzutami, jakie mi stawiał jako partyjnikowi, zdemaskował całą tę krwawą komedię. Wściekły chwycił nagle marmurową suszkę i z rozmachem rzucił mi ją w głowę. Tylko mnie zadrasnęła. Sędzia śledczy przebiegł obok mnie, wypadł z pokoju i zawołał żołnierza.

— Zabierz tę żmiję.

Odprowadzono mnie. Bogucki ucieszył się szalenie tą historią.

— Ale im dałeś, Aleksandrze Siemionowiczu. Zatkąło go. Ci oszuści postępują zawsze tak, jak gdyby nas uważali za winnych. Aż tu naraz ktoś przychodzi i przypiera ich do ściany. Należy ci się nagroda, Aleksandrze Siemionowiczu.

Staruszek nie mógł się uspokoić. Ja także cieszyłem się, gdy już pierwsze podniecenie opadło.

KONTRREWOLUCJA WYZNANIOWA

Z początkiem lipca wszedł do celi chłop 68-letni. Przychodził z Tyraspola, stolicy Republiki Mołdawskiej. Paweł Andrejewicz Gonczarow był prawzorem niespożytej siły i zdrowia. Miał nieomal dwa metry wysokości, był mocny, rozrośnięty. Był to piękny człowiek. Miał długą białą brodę patriarchy, różową twarz bez zmarszczek i roześmiane oczy, które świadczyły, że do tej pory cieszył się życiem i że nie zamierzał z tego zrezygnować nawet i w więzieniu. Był bardzo dobroduszny i łatwowierny.

Gonczarow był pierwszym przedstawicielem osobliwej grupy kontrrewolucjonistów religijnych. Paweł Andrejewicz był głową tyraspolskiej gminy starowierów.

Religia była zawsze dozwolona w Związku Sowieckim, ale rząd i partia używały różnych środków agitacyjnych i administracyjnych, aby ograniczyć jej wpływ. Wierni musieli sami utrzymywać kościoły. Jeśli napłynęło za mało pieniędzy i z tego powodu zalegały bieżące remonty, gorodsowiet albo sielsowiet uznawał odnośny budynek kościelny za grożący zawaleniem i obejmował go sam w posiadanie. Katedra w Charkowie stała się w ten sposób stacją radiową. W Moskwie przed rewolucją było 1.600 cerkwi. W roku 1936 pozostało ich kilkanaście. Więcej nie było też potrzeba, gdyż krąg wiernych zmniejszał się stale zarówno w mieście jak i na wsi.

Małe sekty religijne nie miały gdzie odprawiać nabożeństw. Władze miejscowe zabraniały nabożeństw w mieszkaniach prywatnych i niechętnie rejestrowały małe stowarzyszenia religijne. Te szykany administracyjne zapędziły sekty religijne *de facto* pod ziemię. Paweł Andrejewicz opowiadał:

„Dawniej zawsze znajdowaliśmy potajemny lokal, w którym

mogliśmy się modlić. Gdy był za drogi dla nas samych, łączyliśmy się z innymi, przede wszystkim z Żydami. Czasami używaliśmy domu modlitwy dla trzech wyznań”.

Wymienił jako udziałowców domu modlitwy jeszcze trzecią wspólnotę religijną, ale już nie pamiętam, czy to byli katolicy, protestanci czy też inni.

„Żydzi są chytry. Zawsze znajdują coś nowego, gdy im poprzedni lokal przepada. Modlą się dwa razy dziennie. My — tylko raz na tydzień. Ale musieliśmy płacić tyle samo co oni. Oni bowiem wynaleźli lokal i tylko pod tym warunkiem zgodzili się nas dopuścić”.

Dziwiła mnie trochę ta osobliwa spółka. Czy kult innej religii nie profanował domu modlitwy w oczach innych partnerów? Paweł Andrejewicz rozproszył moje skrupuły:

„Od roku 1930 nie dało się inaczej. Nie mieliśmy dość pieniędzy na własny lokal. Coraz też trudniej było znaleźć pomieszczenie. Żydzi są wszędzie. Byliśmy zadowoleni, że pozwalali nam się modlić razem z sobą”.

— Dlaczego cię zamknęli, Pawle Andrejewiczu?

— To było tak: chcieliśmy za dużo. Gdy uchwalona została nowa konstytucja, przyszedł do mnie mój sąsiad Anisij Teodorowicz i powiedział: „Pawle Andrejewiczu, teraz wolno każdemu swobodnie się modlić. Tak stoi w konstytucji. Teraz musimy pójść do gorodsowietu, zarejestrować się i zażądać od sowietu domu modlitwy”. I to było nasze nieszczęście.

Trzej starsi gminy poszli i zażądali lokalu. Oświadczone im, że do rejestracji potrzeba 50 podpisów. Zebrali podpisy wśród współwyznawców. Przyjęto listę i przyrzeczono im odpowiedź za dwa tygodnie. Ale już po kilku dniach aresztowano owych pięćdziesięciu. Kontrrewolucyjna organizacja! Przywódca: Paweł Andrejewicz Gonczarow.

— Nieładnie władza postąpiła — żalił się Paweł Andrejewicz. — Dlaczego przyrzekli nam w konstytucji wolność wyznania. Stoi w niej wyraźnie, że każdemu wolno się modlić. Nikt mu nie ma prawa przeszkadzać. Także my, starowierzy, jesteśmy ludźmi, nie tylko prawosławni.

W celi znajdowali się niemal wyłącznie ateści. Mimo to wzruszyła nas skarga starego chłopca. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego NKWD nie pozwalało, aby ci niewinni ludzie żyli po swojemu.

Później dowiedzieliśmy się wiele od staruszka. Paweł Andrejewicz był ogrodnikiem. Mówił, że jego jabłka były najlepsze w całej Mołdawii. Miał mały kawałek gruntu nad Dnieprem, na samej granicy. Był zamożny. Grunt leżał na skraju miasta.

Toteż miał dla swych produktów dobry rynek zbytu. Nie znam się nic na ogrodnictwie, zakładałem więc do tej pory, że jabłka rosną same. Nie trzeba w to wkładać żadnej pracy. Dopiero Paweł Andrejewicz uświadomił mi, jak ciężką jest praca ogrodnika, który musi pielęgnować tyle drzew owocowych, jak on i jego żona. Słuchałem go chętnie, gdy mówił o uszlachetnianiu owocu. Rozmawiało się z nim przyjemnie. Po raz pierwszy w życiu widziałem człowieka doskonale szczęśliwego.

Jego żona miała 76 lat, była równie jak on zdrowa i pracowała z nim w ogrodzie. Ze swych oszczędności kupili sobie kosztowne ubrania pogrzebowe, piękne trumny i nagrobek. W obu trumnach leżały przygotowane jakieś przedmioty kultu. Wiele na ten temat opowiadał. Myślę jednak, że już wówczas nie rozumiałem o co chodzi. W każdym bądź razie zapomniałem wszystko. Jak się zdaje, było to coś, co miało obu starszkom zapewnić szczególne łaski na tamtym świecie. Teraz, w więzieniu Paweł Andrejewicz obawiał się tylko tego, że mu to ukradną i że w ten sposób przypadnie mu nagroda za jego pracowite życie.

Sekta starowierów miała biskupa w Kijowie, który też został aresztowany. Żądali od Pawła Andrejewicza zeznań przeciwko niemu.

— Mówią rzeczy, których nie rozumiem. Nie chodzi o modły. Przyznaliśmy się wszyscy, że modliliśmy się potajemnie. Ale teraz mówią, że nasz biskup był rumuńskim szpiegiem i że zawsze przeprowadzałem się czołnem przez rzekę do Rumunii z wiadomościami od niego. Przy tym nie mam wcale czołna. To było zakazane.

Poszliśmy do fryzjera. Musiał dać sobie obciąć brodę. Taki był przepis. Zaprotestowałem.

— W Tyraspolu zostawili mi brodę, a przecież tam też jest NKWD.

Nic mu nie pomogło. Obcięli mi brodę. Zostawili tylko wąsy. Ale nic nie mogło umniejszyć urody Pawła Andrejewicza. Wyglądał dobrze nawet bez brody.

Sam prowadziłem wtedy komiczną walkę z fryzjerem. Miał on nakaz strzyc nam głowy co dwa tygodnie. Odrastanie włosów trwało kilka miesięcy. Byłem wówczas pewny, że wkrótce wypuszczą mnie i deportują z kraju. Nie chciałem zjawić się w Sztokholmie lub Londynie z gładko wygoloną głową. Kilka razy powiodło mi się nie dopuścić do strzyżenia. Po prostu oświadczyłem, że cierpię na „grypę głowy” i tym podobne brednie. Fryzjer dawał się przekonać. Ale tuż przed mym odtransportowaniem do Moskwy, wyrosły mi już bujne włosy i wtedy mnie ogolono.

Pewnego dnia przysłała stara chłopka z Tyraspoła, która przyniosła mężowi chleb i kiełbasę. Enkawudyści przepuścili wałówkę. W miarę możności zachowywali się w stosunku do staruszka po ludzku. Nie bili go, trzymali go tylko długo na przesłuchaniu, ale nie dłużej, niż przez jedną noc. Samym im było przykro terroryzować chłopskiego patriarchę.

Paweł Andrejewicz posiadał tajemnicę. Pewnej nocy zbudził mnie i przysiadł na moim łóżku.

— Aleksandrze Siemionowiczu, ty mnie nie zdradzisz. Ciąży na mnie stary grzech i nie wiem, co mam zrobić. Przed dwudziestu laty przyszedł do mnie nasz dawny biskup. Uciekał przed bolszewikami. Prosił mnie, abym go przetrzymał przez granicę. Zrobiłem to. Potem napisał do mnie raz jeszcze z Rumunii i podziękował mi. Teraz jest biskupem w Rumunii. Czy mam tę historię opowiedzieć NKWD?

— Muszę się zastanowić, Pawle Andrejewiczu. Omówimy sprawę jutro rano z Boguckim. Teraz idź spać i nic się nie martw. To, co było przed dwudziestu laty, nie jest ważne. To drobnostka.

— Ale czy Bogucki nie będzie kłął? On taki surowy.

— Jest surowy, ale to dobry człowiek.

Oczy Pawła Andrejewicza rozjaśniły się, wróciła mu jego pogoda.

Bogucki zdecydował następnego ranka, że winien zameldować całą sprawę.

Sędzia śledczy zaprotokołował ją, ale się tym nie zadowolił. Skonstruował teraz zwartą legendę:

Na czele kontrrewolucyjnej organizacji stał dawny biskup, znajdujący się teraz w Rumunii. Jego namiestnikiem w Związku Sowieckim był obecny biskup Kijowa. Mieszkający nad granicą Paweł Andrejewicz Gonczarow był pośrednikiem między nimi oboma.

Nie wiem już, jaki był wynik sprawy. Opuściłem Kijów przed zamknięciem śledztwa Pawła Andrejewicza.

Z końcem lipca zostałem znowu wezwany na przesłuchanie. Nastrój się zmienił. Nie padło ani jedno złe słowo. Nowym sędzią śledczym był 23-letni wymoczek. Wcale nie próbował górować nade mną. Pozwalał mi dyktować sobie protokoły. Musiałem wszystko opowiedzieć raz jeszcze. Przed każdym podpisem sędzia śledczy biegł do naczelnika oddziału. Pewnego wieczoru wezwał mnie naczelnik. O ile dobrze pamiętam nazywał się Kasin. Smukły, wysokiego wzrostu oficer. Głowa jego przypominała figurę z brązu. Przypominał mi pewnego aktora, który występował w operze „Aida” jako Radamez.

— Chcemy z wami mówić szczerze, Aleksandrze Siemionowi-

czu. Nie chcemy was terroryzować. Złóżcie zeznania dobrowolnie, powiedzcie jednak wszystko, co macie na sumieniu przeciw władzy sowieckiej. Obciąża was swymi zeznaniami bardzo wielu świadków.

To był nowy ton. Mówiłem z nim całą godzinę. Nie przerywał mi. Pokazał mi protokoły Houtermansa, który przyznał się w nich do najcięższych zbrodni, ale mnie nie obciążał.

Zapytałem:

— Czy Houtermans dotychczas nie cofnął swych zeznań?

— Nie.

— Obywatelu sędzio śledczy, nie chcę się mieszać do sprawy Houtermansa, nie obchodzi mnie ona. Ale mogę wam udowodnić, że wszystko to są urojenia. Znam jego życie za granicą i tutaj, nigdy nie dałby się nakłonić do takich rzeczy.

— Czemu w takim razie nie odwołuje? Dlaczego podpisał?

— Houtermans jest człowiekiem słabym i nerwowym. To utalentowany fizyk, ale żaden bojownik. Prawdopodobnie jest zbyt zmęczony, by raz jeszcze podjąć walkę.

Kasin wstał:

— Nie chcemy wam wyrządzić żadnej krzywdy. Aleksandrze Siemionowiczu, piszcie, co uważacie za właściwe.

Po powrocie do celi zbudziłem towarzyszy. Wszyscy mi gratulowali. Tak rozmawia czekista tylko z więźniem, którego uwolnienie jest sprawą zadecydowaną.

Młody sędzia śledczy ściągnął ze mnie jeszcze kilka protokołów, potem przyszedł na jego miejsce inny, tak samo jak i on młody. Poznałem jeszcze kilku tego typu. Uderzyło mnie, że wszyscy intelektualści znikli z NKWD. Nie widać już też było ani jednego Żyda. Na początku wielkiej czystki wśród sędziów śledczych było wielu Żydów, ale cały dawny aparat uległ zmianie i stale go uzupełniali komsomołcy z fabryk i szkół, szkoleni w swym rzemiośle w ciągu kilku miesięcy. Nie trzeba też było do tego wiele umieć.

Na tydzień przerwano przesłuchiwanie mnie, potem nastąpił nawrót do dawnych metod.

Pewnego przedpołudnia wezwano mnie do kapitana. Kasin siedział przy biurku, a w kącie pokoju siedział jakiś starsuszek. Twarz więźnia była szara i zapadnięta. Oczy — wygasłe. Popatrzył przez chwilę na mnie, poruszył bezdzwięcznie ustami i potem spuścił wzrok. Siedział pochylony i zacierał ręce. Były to ręce kościste, owłosione o bardzo długich, sękatych palcach. Gdzieś już widziałem te ręce — przeszło mi przez głowę. Kapitan zwrócił się do niego.

— Powtórzcie wobec Weissberga wasze zeznanie.

Więzień zaczął szeptem mówić. W chwili, gdy otworzył usta, rozpoznałem go. Był to Obreimow, niegdyś dyrektor, profesor, członek-korespondent Akademii Nauk. Kiedyś był to człowiek o własnej woli i własnej osobowości. Co się z nim stało? Figura woskowa, obdarzona mową. Mamrotał coś pod nosem bardzo cicho i bezdźwięcznie. Nie rozumiałem ani słowa, w ogóle nie słuchałem, tak dalece wstrząśnięty byłem jego widokiem. Te bezzębne usta, te ruchy konającego. Byłem z nim zaprzyjaźniony, gdy był jeszcze człowiekiem. Był moim pierwszym dyrektorem. Co wieczora omawiałem z nim bieżące zagadnienia pracy, a także problemy polityczne. Obreimow był człowiekiem ze starej szkoły, bardzo oryginalna, aczkolwiek trochę postrzelona głowa. Wszystkie jego poglądy były zawsze wieloznaczne. Był próżny i ambitny. Przeceniał zawsze swój wpływ. Brak mu było odwagi, tak fizycznej jak i intelektualnej. Był jednak człowiekiem o niewątpliwie wybitnej inteligencji i wszechstronnym wykształceniu. A teraz siedział przede mną jego cień.

Cień poruszał się i mówił, ale trzymał głowę spuszczoną i unikał patrzenia mi w oczy. Poprosiłem kapitana o ponowne odczytanie mi zeznania. Nie mogłem bowiem zrozumieć Obreimowa. Kasin zastosował się do mej prośby.

Zeznanie Obreimowa stanowiło taki groch z kapustą, że po prostu nie mogłem go zachować w pamięci.

Poznałem Obreimowa w Berlinie z końcem 1930 albo z początkiem 1931 roku, a więc tuż przed podróżą do Związku Sowieckiego. Zetknął nas z sobą Houtermans. Spotkaliśmy się w poczekalni dworca Anhalckiego. Obreimow, ówczesny dyrektor, zaprosił mnie, bym przyjechał do jego Instytutu w Charkowie jako fizyk-technik. Takie były fakty. Co z tego zrobił Obreimow?

On sam miał być członkiem tajnej policji niemieckiej, ja także i Houtermans także. Mieliśmy się wówczas spotkać w celu naradzenia się, jak mógłbym w sposób najmniej zwracający uwagę przyjechać do Związku Sowieckiego, aby tam wzmocnić antysowiecką robotę. I tym podobne bzdury. Byłem oburzony, że Obreimow jeszcze i teraz — w szereg miesięcy po przełomie — zeznawał takie bzdury do protokołu. Niezrozumiałe też było, dlaczego je Kasin przyjmował. Widocznie zatem przełom był tylko połowiczny. Stalin prawdopodobnie chciał tylko powstrzymać dalsze aresztowania, grożące wciągnięciem kraju w odmet katastrofy. Natomiast większość już aresztowanych miała spokojnie pomaszerować do obozów. Próbowałem obudzić Obreimowa z jego letargu i usztynić mu kręgosłup. Na próżno. Potem zwróciłem się do Kasina:

— Obywatelu kapitanie, inkryminowane rozmowy na dworcu

Anhalckim odbywały się w języku niemieckim. Pamiętam je dokładnie. Chciałbym je powtórzyć Obreimowowi po niemiecku.

Kasin nie rozumiał wprawdzie ani słowa po niemiecku, mimo to pozwolił. Otóż próbowałem wpleść w to co mówiłem tu i ówdzie zdanie: „Obreimow, odwołajcie swe idiotyczne zeznania. Można to teraz zrobić. Już nie biją”.

Rzecz była beznadziejna. Obreimow powtarzał swe oskarżenia jak gdyby były nagrane na taśmę. Moje argumenty ignorował.

Kasin zamknął przesłuchanie i zaprotokołował moje kontrzeznania. Spierałem się z nim o każde słowo. Nie pozwalałem na najmniejsze fałszerstwo. Chodziło mi o to, by swoją postawą rozruszać Obreimowa. Naraz Kasin spostrzegł to. Wstał, podszedł do mnie i kilkakrotnie uderzył mnie z całej siły pięścią w twarz, tak że zalałem się krwią. Wzbraniałem się podpisać protokół, jeśli nie będzie sformułowany po mej myśli. Bił dalej. Zdjęła mnie bezsilna wściekłość. Prawie krzyczałem.

— Nie podpiszę ani jednego zdania, ani jednego słowa, ani jednego przecinka niezgodnego z prawdą. Obreimow może mówić co chce, ale moje zeznania ja sam składam. Jeśli mnie tu będziecie terroryzowali, to w ogóle niczego nie podpiszę, dopóki nie przyjdzie prokurator.

Kasin stanął przede mną.

— Pozwalasz sobie podnosić głos w moim gabinecie? Ty fałszyście, ty chcesz tu, w naszych murach, szcuć do powstania? Do powstania przeciw władzy sowieckiej? Policzymy się teraz z tobą!

Zadzwonił i powiedział do żołnierza:

— Zaprowadź go na dół do piwnicy.

Żołnierz zaprowadził mnie do suteryny i zamknął mnie tam w swego rodzaju kabinie telefonicznej. Po pół godzinie zaprowadził mnie znowu do Kasina. Obreimow tymczasem odszedł. Kapitan mówił do mnie tonem najbardziej uprzejmym, jak gdyby nic się nie stało.

— Aleksandrze Siemionowiczu, co za komedie tu odgrywacie. Czy jesteście człowiekiem dorosłym?

— Nie podpiszę żadnego ufryzowanego protokołu.

— Nikt was do tego nie zmusza, piszcie co chcecie.

Podarł dawny protokół i sporządził nowy, niemal dosłownie wedle mych zeznań.

Powróciłem do celi kompletnie zdezorientowany. Opowiedziałem wszystko towarzyszom.

— Dam się powiesić, jeśli oni są jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Bogucki odpowiedział:

— Nie chodziło o ciebie, chodziło o starego dyrektora. Kasin nie chce, abyś demoralizował jego więźniów. Stąd cała komedia. Z ciebie już zrezygnował.

W kilka dni później mój młody sędzia śledczy podjął ze mną przesłuchania. Zapytał mnie:

— Czy jest coś, do czego chcielibyście się przyznać? Jakiś czyn wrogi wobec Sowietów?

— Nie.

— Jesteście oskarżony o terror.

— Jestem niewinny.

— Szpiegostwo.

— Niewinny.

— Dywersję.

— Niewinny.

— Antysowiecką agitację.

— Obywatelu sędzio śledczy, każdą krytykę da się interpretować jako antysowiecką agitację. W takim razie jesteśmy wszyscy winni.

— Czy kiedykolwiek krytykowaliście rząd publicznie?

— Tak jest, wypowiedziałem się na zebraniu Instytutu przeciwko projektowi ustawy o spędzaniu płodu. Kiedy potem ustawa została uchwalona, nie chciałem cofnąć moich wypowiedzi, aczkolwiek żądał tego ode mnie sekretarz partyjny Garber.

— Do tego się zatem przyznajecie?

— Do tego się przyznaję.

Był zadowolony.

Usiłowałem polemizować w protokołach z oskarżeniami NKWD i dowodzić, jak były bezsensowne i pełne sprzeczności. Do tego nie dopuścił.

— Obywatelu sędzio śledczy, w toku śledztwa, które obecnie trwa już ponad 30 miesięcy, co najmniej dziesięć razy pisałem do prokuratora. Nie otrzymałem odpowiedzi. I nie wiem, czy moim podaniom nadano dalszy bieg.

— Napiszcie raz jeszcze, ja się tym zajmę.

— Dajcie mi papier.

— Nie tutaj, na dole w celi.

Po południu zaprowadzono mnie do kabiny telefonicznej. Dostałem papier i napisałem do prokuratora. Spróbowałem w zwięzłych słowach przedstawić całą potworność mego długoletniego pobytu w więzieniu. W tydzień później przyjął mnie wojskowy prokurator okręgu kijowskiego. Moje argumenty widocznie wywarły na nim wrażenie. Przyrzekł zbadać sprawę.

— Obywatelu prokuratorze, od trzech lat toczy się śledztwo, od trzech lat siedzę w więzieniu, osłabłem z głodu. Zarządźcie,

by mi przysłano pieniądze z mego konta oszczędnościowego w Charkowie.

— Mieście jeszcze trochę cierpliwości. Już to niedługo potrwa.

W kilka dni później otworzyła się kłapa. Strażnik podał mi czystą koszulę i coś zgoła niezwykłego — krawat.

— Włóżcie to natychmiast.

Moi koledzy otoczyli mnie. Jeden mówił przez drugiego. Byli przekonani, że będę bezzwłocznie zwolniony. Jaroszenko mnie prosił:

— Alex, jeśli wyjdiesz na wolność i pozwolą ci tu pozostać, idź do mej żony. O ile możności natychmiast. Dziś albo jutro.

— Zrobię to natychmiast. Ale czy jej to nie zaszkodzi?

Stary kolejarz prosił mnie, abym po wydostaniu się za granicę dał znać jego bratu w Polsce, adwokatowi w Zdołbunowie. Szpieg Wursta miał wujka w Chicago, dobrze sytuowanego kupca czy też przemysłowca, nazwiskiem Bałaban. Prosił mnie, bym go powiadomił o jego losie. Przyrzekłem wszystko.

Po 10-iu minutach przyszedł strażnik i zaprowadził mnie do fryzjera i do fotografa. Ten ostatni zjął mnie w trzech pozycjach. Potem kazano mi powrócić do celi.

Strażnik wrócił i odebrał mi piękną koszulę i krawat. Nawet nie byłem rozczarowany. Zastanawiałem się, do czego im była potrzebna tak elegancka fotografia. Doszedłem do wniosku, że ktoś z zagranicy interweniował w mej sprawie i chcieli mu dać dowód, że żyję i dobrze wyglądam. W czasie pobytu w więzieniu straciłem 22 kilogramy. Ale wciąż jeszcze byłem zdrowy.

Przez dwa tygodnie nic się nie działo. Potem otworzyła się kłapa i strażnik mnie zawołał.

— Macie tu książkę, ale tylko wam wolno ją czytać, nie wolno pożyczać innym.

Była to sensacja. Po niemal 30-tu miesiącach po raz pierwszy książka. Była to wielka powieść Tołstoja „Wojna i pokój”.

Tuż przed aresztowaniem czytałem tę książkę na nowo. Wziąłem za dobry znak, że dostałem teraz tę samą książkę do ręki.

Nie dbaliśmy naturalnie o zakaz strażnika. Jeden miał czytać książkę na głos. Zadanie to powierzono Jaroszenke. Był tym uszczęśliwiony.

Po kilku dniach przeczytaliśmy i chcieliśmy ją wymienić. Drugą książką było ukraińskie wydanie Goethego „Fausta”, część pierwsza i druga. Ostrzegłem Jaroszenkę:

— Tego nie będziesz czytał, to za trudne.

Więcej nie było trzeba. Jaroszenko wziął ciężki tom i czytał

go sam od początku do końca. Męczył się strasznie. Usiłowałem mu wytłumaczyć dane z mitologii, których nie mógł rozumieć. Obraziło go to i musiałem zaniechać.

— Bardzo piękna książka — oświadczył w końcu.

Byliśmy zadowoleni, żeśmy ją wreszcie mogli wymienić. W przeciągu czterech tygodni udało się nam przeczytać 10 książek. Potem jednak powróciły te same, wybór był mały, a katalog nie było.

Z końcem sierpnia przyszedł nowy. Urzędnik z Czernichowa. Siedział tam przez półtora roku. Przyniósł wiadomości z gazet.

— Zawarliśmy pakt z Niemcami. Sam Ribbentrop był w Moskwie. Wesoło, ani słowa. Przyjął go Stalin i czołowi mężowie stanu. Czy brał też udział w tym Kaganowicz? Czy hitlerowiec przepił do Żyda?

Każdy z nas uważał ten pakt za czystą formalność, tak jak nią było w roku 1933 przedłużenie niemiecko-rosyjskiego paktu przyjaźni. Nikt nie przeczuwał, że otwierał on drugą wojnę światową.

W tydzień później zauważyłem jednak, że na zewnątrz przygotowuje się coś niezwykłego. Moim zdaniem — wojna. Opisałem ten nastrój na początku mej książki. Łańcuch imponderabiliów wywołał mój niepokój. Ogarnęło mnie w owych dniach wrześnieńskich uczucie, jakie zawsze ogarnia ludzi w przededniu wielkich katastrof. Byłem całkowicie izolowany od świata zewnętrznego. Dopiero w 8 tygodni później — pół Europy stało już wtedy w ogniu wojny, wojska niemieckie dotarły do Sanu i Bugu — otrzymałem potwierdzenie mych przeczuć.

Niepokój mnie nie opuszczał. Nie mogłem już czytać, nie było nowych książek. Bogucki opowiadał. Mówił o tym, że nikt teraz w kraju nie może nikomu wierzyć, że każdy obawiał się rozmawiać nawet z przyjacielem. Zasiadał dawniej w gronie czołowych dygnitarzy Ukrainy. Opisywał panikę, jaką w kołach rządu ukraińskiego wywołał szaf NKWD. Jeden premier po drugim szedł do więzienia; poszli niemal wszyscy ludowi komisarze. Ich następcy szli z nimi w krótkich odstępach czasu. Przeważnie ci, co byli pierwsi aresztowani, werbowali swych spadkobierców. Czołowi partyjnicy stawali się denuncjantami, z obawy, że będą zadenuncjowani. Ale wszystko to nic im nie pomogło. Wszyscy łądowali w więzieniu wewnętrznym. Jeden wcześniej, drugi później. Bogucki opowiedział historię Marczaka*, premiera rządu

* Ostatnim premierem ukraińskim, o którego aresztowaniu jeszcze wiedziałem, był Lubzenko. Jego następcy nie znałem nawet z nazwiska. Nie słyszałem nigdy o żadnym Marczaku, nie wiem, czy był premierem czy też wicepremierem i czy piszę jego nazwisko poprawnie.

ukraińskiego i Lepleskiego, ludowego komisarza spraw wewnętrznych.

— Spędzali wieczór razem i trochę sobie popili. Lepleski skierował rozmowę na aresztowanie Tuchaczewskiego i najwybitniejszych generałów.

„Właściwie to rzecz niesłychana, by cały sztab generalny przeszedł na stronę nieprzyjaciela. Jak można było trzymać takich zdrajców na czołowych stanowiskach. Teraz Niemcy i Japończycy mają wszystkie plany Armii Czerwonej i trzeba wszystko zmieniać. Ile musi kosztować takie przebudowanie wszystkich fortyfikacji”.

Marczak odpowiedział:

„Może nie było tak źle, może tylko tak się mówi”.

Obaj, jak już powiedziałem, byli trochę podchmieleni, a w takim stanie nawet człowiek sowiecki mówi więcej, niż trzeba. Gdy Marczak odespał się, zdjęła go zgroza. Co on zrobił! Na pewno Lepleski go sprowokował. Co prawda Lepleski mówił rzeczy równie złe, a może jeszcze gorsze. Ale jemu wolno. Na pewno zabezpieczył sobie plecy i dostał z Moskwy rozkaz prowokowania.

Marczak nie widział wyjścia, zatelefonował do Moskwy i powtórzył Jeżowowi wypowiedzi Lepleskiego. Lepleski został aresztowany. Po dwóch tygodniach — także i Marczak. Lepleski go zwербował. Obaj przyznali się, że razem spiskowali w celu obalenia władzy sowieckiej. Ponadto szpiegowali na rzecz Polski i Niemiec, organizowali akty terrorystyczne przeciw Stalinowi i innym i dezorganizowali życie gospodarcze, opracowując fałszywe plany.

W pierwszych dniach września zostałem wezwany do protokołu zamknięcia. Sędzia śledczy odczytał mi tak zwaną dwóchstokę — § 204 kodeksu karnego. Miałem uzyskać możliwość przeczytania wszystkich moich aktów wraz z dokumentami dowodowymi. Miałem mieć możliwość skorygowania w protokole końcowym wszystkiego, co było fałszywe. Dał mi około 800 stron. Większość napisana ręcznie. Zacząłem czytać i od razu chciałem poprawiać. Napotykałem jednak raz po raz na zawzięty opór. Wreszcie skoncentrowałem się na najgrubszych fałszerstwach. W przeciwnym bowiem razie musiałbym potraktować akty jak lektor redagujący książkę. Nieomal w każdym zdaniu przemycone było lekkie przekręcenie faktów. Nawet niewinne rzeczy były tak sformułowane, że wszystko wydawało się podejrzane. Nie mogłem gubić się w drobiazgach. Po 8-iu godzinach przebrnąłem zaledwie przez piątą część.

— Aleksandrze Siemionowiczu, wykorzystujecie naszą pobłażliwość, by sabotować śledztwo.

— Nie mogę skorygować w ciągu jednej nocy kłamstw z trzech lat, zwłaszcza, jeśli robicie mi trudności przy każdym słowie.

Brak było protokołu odnoszącego się do Flenninga, niemieckiego nauczyciela, który twierdził, że już w Szepietówce, w dieście minut po przekroczeniu granicy sowieckiej, chciałem go zwerbować do służby w Gestapo. Przewidywałem to. Narobiłem krzyku. Nic nie pomagało.

— Aleksandrze Siemionowiczu, jeśli chcecie sabotować, to nigdy nie podpiszecie dwóchсотki. W takim wypadku pozostaniecie u nas na zawsze.

Dwie noce przesiedziałem nad aktami. Potem zrezygnowałem i podpisałem protokół zamknięcia. Następnego dnia, przed południem 11 września 1939 roku zabrano mnie i Jaroszenkę. Rozdzielono nas. Czekaliśmy przez trzy godziny w sąsiednich szafach. Potem samochód zawiózł mnie na kolej. Jaroszenki już nigdy więcej nie widziałem.

Wagon więzienny miał specjalne przedziały. Okno zewnętrzne było zabite, ale okno na korytarz było nie zakryte. Mogłem przez nie obserwować słońce. Widziałem, że droga prowadzi na północ. Jechaliśmy widocznie do Moskwy.

MOSKWA: W GŁÓWNEJ SIEDZIBIE NKWD

Podróż trwała aż do następnego popołudnia. Dopiero pod wieczór wyprowadzono mnie z wagonu. Samochód zawiózł nas do centralnego więzienia moskiewskiego na Butyrkach. Butyrki, to forteca z czasów Piotra Wielkiego. Jest to najlepiej urządzone więzienie w Związku Sowieckim. Wchłonęła nas wielka sala przyjęć. Robiła wrażenie poczekalni na wielkiej stacji kolejowej, była jednak o wiele elegantsza. Po obu stronach dziesiątki cementowych kabin telefonicznych. W jednej z nich musiałem czekać przez kilka godzin. Pukałem, by mnie wypuszczono do ustępu. Strażnik nakazał mi mówić tylko szeptem.

Okolo północy strażnik otworzył drzwi sąsiedniej kabiny. Ściągał tam personalia z więźnia. Przyłożyłem ucho do ściany.

— Nazwisko, obywatelu?

— Fritz Houtermans.

Jakby we mnie piorun strzelił. Gdy z kolei strażnik przyszedł do mnie, niemal wykrzykiwałem swe odpowiedzi, by zwrócić uwagę Fisela. Strażnik przywołał mnie do porządku, ale nie dałem za wygraną.

Gdy strażnik odszedł, zacząłem pukać w ścianę. Fisel nie reagował. Waliłem tak mocno, że strażnik znowu się zbliżył. Fisel niczego nie zauważył. W dwa miesiące później przewieziono nas obu z Butyrek na Łubiankę. W samochodzie Fisel siedział w szafie obok mnie. Wszystkie próby nawiązania łączności nie doprowadziły do niczego. Na Łubiance siedzieliśmy przez sześć godzin w sąsiednich celach, w których dano nam nowe ubrania. Śledziłem słuchem jego ruchy i usiłowałem coraz natarczywszym pukaniem zwrócić jego uwagę. Wszystko na próżno.

Fisel nie studiował dostatecznie długo na uniwersytecie w

Chołodnej Gorze. Siedział przeważnie w więzieniach wewnętrznych, w całkowitej izolacji, jak mi to później opowiedział, w Niemczech.

Po północy zaprowadzono mnie do mojej celi. Byłem sam.

Znam niemal wszystkie wielkie hotele moskiewskie. Z wyjątkiem nowowynbudowanego hotelu „Moskwa” na Ochotnim Riadie, żaden pokój w innym hotelu moskiewskim nie mógł konkurować co do czystości i elegancji z moją pojedynką w Butyrkach. Powierzchnia niespełna 9 m², podłoga lśniła się. Wyłożona była linoleum, wypastowanym i wyfroterowanym. Szerokie okno, nie zabite blachą, o matowych szybach z siatką drucianą. Okno można było trochę uchylić, do granic, na jakie pozwalała krata zewnętrzna. Łóżko, stolik, krzesło. Czysta pościel. Po kąpeli otrzymywało się nawet czystą bieliznę, zmienianą co 14 dni. Wolno mi było zabrać do celi spośród rzeczy osobistych tylko to, co bezwzględnie konieczne. Kołdra i poduszka, które towarzyszyły mi przez dziesiątki cel, musiały pozostać w garde-robie.

Komendant bloku przekazał mi celę.

— Obywatelu, obejmujecie celę w porządku. Będziecie tu w przyszłości odpowiedzialni za czystość i ład. Musicie co rano napastować i wyfroterować podłogę, aż będzie błyszcząca. Łóżko za dnia ma być tak zasłane, jak je teraz widzicie. Macie jakieś życzenie?

— Czy wolno mi za dnia leżeć?

— Tak jest, ale nie wolno spać.

— Czy będę w celi sam?

— Aż do odwołania. Wszelką zmianę zarządza sędzia śledczy.

— W takim razie chciałbym napisać podanie z prośbą o książki.

— Do tego nie potrzeba podania. Każdy więzień ma prawo korzystania z biblioteki więziennej. Raz na tydzień przyjdzie do was bibliotekarz. Powiecie mu, czego chcecie.

Opuścił celę. Rozejrzałem się raz jeszcze. Na ścianie obok kaloryfera wisiał regulamin więzienny.

Dozwolone były książki i gry (szachy i domino). Wolno było raz na tydzień pisać podania. Drętwiałem, gdy myślałem o stosunkach na Chołodnej Gorze. Czy się to wszystko zmieniło od czasu przełomu, czy też Butyrki były wzorowym więzieniem o specjalnym reżymie, które pokazywano zagranicznym delegatom? Wszystko razem — nie do pojęcia.

Odzież moja była w stanie bezprzykładnym. Na Chołodnej Gorze pewien zaprzyjaźniony oficer, Polak, stale naprawiał mi ubranie i skarpetki. Poświęcało się jedną skarpetkę na nici, skrę-

cało się później razem kilka nitek nasmarowanych mydłem i otrzymano się bardzo mocną nić do szycia i cerowania. Igły sporządzano z ości rybich. Pewien Azerbejdżanin z mojej celi posiadał nawet mocną igłę metalową do naprawiania butów. W Kijowie niczego nie było. Wszystkie moje rzeczy tam pogniły. Spodnie były już zupełnie nie do naprawienia. Na tyłku przeświecały jak sito, nie było już na czym siedzieć. Wstydziłem się po prostu przed żołnierzami, gdy wychodziłem na spacer i wkładałem płaszcz, mimo, że było bardzo gorąco.

W ostatnich tygodniach wykończyły się moje buty. Od dawna już stanowiły one przedmiot gwałtownych zatargów z administracją. Były watowane i miały błyskawiczny zamek. Kupiłem je latem 1935 roku całkiem tanio u Baty, w Pradze. Wytrzymały cudem przez cztery lata. Metalowy zamek był cierniem w oku strażników. Mieli rozkaz niepozwalania na żadne metalowe przedmioty w celi. W Kijowie chcieli wyciąć zamek. Zaprotestowałem. Sprawa oparła się o dyrektora więzienia. Wezwał mnie do siebie:

— Mamy surowe instrukcje. Nie wolno nam pozwolić na nic metalowego w celi.

— Ale nie macie prawa rujnować mej własności.

— W takim razie musicie oddać buty do przechowalni.

— Proszę.

— Ale jak będziecie chodzili na spacer?

— Będę zostawał w celi.

— To jest niedozwolone.

— Obywatelu dyrektorze, to przecież wszystko nie ma sensu, instrukcja po prostu nie liczyła się z błyskawicznymi zamkami. Chciała zakazać posiadania w celi noży i tym podobnych niebezpiecznych rzeczy.

— Muszę się trzymać instrukcyj. Wszelki metal jest zakazany.

— Kubek jest też z metalu, miski i kubki także.

— Te rzeczy nie należą do więźnia. Instrukcja dotyczy tylko rzeczy więźniów. Nic tu nie mogę zrobić.

— To moje jedyne buty. W razie wycięcia zamka, będą nie do użycia. Nie będę mógł już ich potem używać w obozie.

Wreszcie znalazł wyjście. Buty stały w korytarzu przed drzwiami celi. Wdziewałem je, gdy wychodziłem na spacer. W celi siedziałem boso.

Teraz jednak było gorzej. Podeszwy się rozleciały. Nie będę już mógł więcej chodzić na spacer.

Pomyślałem sobie: najwyższy czas, by mnie wypuścili. Moje rezerwy nie wystarczały na dłuższy pobyt więzienny. Już te trzydzieści miesięcy to więcej, niż przewidywałem.

W tym czasie właściwie już nie wątpiłem, że mnie wypuszczą na wolność. Gdyby mnie chcieli skazać, nie miałyby sensu wlec mnie z Kijowa do Moskwy. Czy po zwolnieniu pozwolą mi opuścić kraj? Nieprawdopodobne. Ale jak mogli temu zapobiec? Byłem obywatelem obcym, miałem paszport austriacki. Co prawda Austrii już nie było. Czy tym samym stałem się automatycznie obywatelem niemieckim? Dokuczała mi myśl o obywatelstwie totalitarno-faszystowskiego kraju. Nie wiedziałem także, czy Niemcy uznają za swych obywateli także Żydów, byłych obywateli austriackich. Trudno wszystko to przewidzieć.

W żadnym wypadku nie zwracałbym się z jakąś prośbą do poselstwa niemieckiego. Być może Rosjanie nie wypuszczą mnie dopóki nie przyjmę obywatelstwa sowieckiego, a tym samym zrezygnuję z wyjazdu za granicę. To będzie przykre. Jeśli odrzucę obywatelstwo sowieckie, potwierdzą w ich oczach zarzut, że jestem elementem antysowieckim. A przecież tęskniłem za zagranicą tak bardzo. Jakaż wolność mogłaby jeszcze tu istnieć po spustoszeniu, dokonanym przez czystkę. Nikt nie będzie ze mną mówił, każdy będzie się bał. Będę obracał się wśród ludzi jak zadzumiony. Znałem swój temperament, wiedziałem, że nie wytrzymam i zacznę mówić. Potem wyląduję znowu w więzieniu. Pozostanie w kraju oznaczałoby tylko przebywanie do końca życia na urlopie z więzienia. A tak bardzo tęskniłem za prawdziwą, bezgraniczną wolnością, za krajami o doskonałej demokracji politycznej. Czy mnie wypuszczą? Po tym wszystkim, na co patrzyłem? Nie ważyłem się o tym marzyć.

Strażnik przyszedł i zaprowadził mnie do łaźni. Leżała na tym samym korytarzu za zakrętem. Wielkie pomieszczenie, wiele tuszów i kranów dla mnie samego. Mogłem tu zostać całą godzinę. Było wspaniale. Kierowałem na siebie strumienie gorącej wody, mydliłem się i tarłem skórę jak praczka bieliznę. Potem otrzymałem świeżą bieliznę więzienną. Po powrocie do celi położyłem się na łóżku, przykryłem się płaszczem i marzyłem. Zdjęła mnie nieoczekiwana błogość. Widziałem się już w dobrym ubraniu, siedzącego w Kawiarni Narodowej, przy rogu Twerskiej, pijącego dobrą prawdziwą kawę i zjadającego ciastka. Przejdę się po Krasnoj Płoszczadi, odwiedzę mauzoleum Lenina, oczy moje wchłoną w siebie zarysy kościoła Wasilia Błazennego, tego cudu średniowiecznej wschodniej architektury. W Leningradzie przejdę się nadbrzeżem Newy. Przed moimi oczami rysował się Pałac Zimowy, Ermitaż, złota wieża twierdzy Pietropawłowskiej, admiralicja i kościół tatarski, całe piękno tego cesarskiego miasta. Kiedyś wyjadę przecież za granicę i będę wolny, całkiem wolny. Nikomu nie podporządkowany, żadnej partii, żadnemu

państwu, żadnej tajnej policji. Nie walczyć więcej, nie kłamać więcej, mówić co się myśli i myśleć co się chce.

Strażnik wyrwał mnie z mych marzeń. Przyniósł jedzenie. Miskę kapuśniaku. Porcja była o połowę mniejsza jak w Charkowie, ale był w niej tłuszcz i ślady mięsa. Smakowała wspaniale, jednakże dopiero potem było się naprawdę głodnym. Dwa razy dziennie otrzymywało się na Butyrkach miskę zupy. Do tego 500 gramów chleba, a więc o 100 gramów mniej jak na Chołodnej Gorze. Za to chleb był tu pożywniejszy, nie tak wilgotny.

Na Butyrkach wszystko było dobrze zorganizowane. Rzeczywiście — wzorowe więzienie. W Charkowie papier był surowo zabroniony. Nie było więc nawet papieru klozetowego. Więźniowie używali w celach toaletowych wody i własnych rąk. Na Butyrkach przed pójściem do ustępu otrzymywałem od żołnierza kawałek papieru toaletowego. Musiałem oddawać mu go po użyciu, a on niszczył go własnoręcznie. Reguła ta nie pozwalała więźniom oszczędzać papieru klozetowy na inne cele. Na pisanie podań dostawało się raz na tydzień kartkę papieru. Komendant bloku albo dyrektor więzienia przychodzili w regularnych odstępach czasu na inspekcję. Można było wypowiadać życzenia. Byli bardzo poprawni, ale niedostępni. Przy pierwszej inspekcji dyrektor wskazał na matowe miejsce podłogi:

— Musicie lepiej wyfroterować, obywatelu.

— Zrobię to.

Włożyłem w tę czynność całą moją ambicję. Strażnik dał mi wosk do podłogi, szrotkę do froterowania i dwie miękkie ściereki. Bardzo szybko cała podłoga lśniła się jak lustro. Byłem z mej celi bardzo dumny. Czuję się w niej tak dobrze, że — gdy mój pobyt w niej miał dobiec końca — przyłapałem się na potajemnym życzeniu, by raczej tu pozostać i zrezygnować z wolności. Więźniowie boją się wszelkiej zmiany, nawet na lepsze.

Jednakże nie czystość i nie sprawiedliwe traktowanie, lecz biblioteka więzienna napawała mnie tu taką szczęśliwością. W kilka dni po mym przybyciu przyszedł bibliotekarz i podał mi małą karteczkę.

— Wypiszcie pięć książek, które sobie życzycie.

— Dajcie mi katalog, przecież nie wiem, jakie macie książki.

— Mamy wszystko.

— Czy macie także literaturę obcą?

— Tak jest, ale możecie dostać tylko przekłady. Książki z zagranicy wolno wam czytać w oryginale tylko za specjalnym zezwoleniem sędziego śledczego.

Zamówiłem pięć książek. Otrzymałem je następnego dnia. Ani jednej nie brakowało. Następnego tygodnia powtórzyłem za-

bawę. Rozzuchwaliłem się. Zamawiałem najbardziej wyszukane książki. Takie, jakich moim zdaniem, nie mogła mieć żadna biblioteka rosyjska. Szwedzkich mistyków i niemieckich historyków. Książki o prehistorii despotyzmów w Azji Mniejszej i o odszyfrowywaniu hieroglifów i pisma klinowego. Książki o teorii pochodzenia człowieka i o najnowszym rozwoju biologii. Otrzymałem wszystko. Później pewien więzień wyjaśnił mi to kompletne zaopatrzenie biblioteki więziennej. Na Butyrkach siedzieli także i przed rewolucją więźniowie polityczni, z którymi sympatyzowały towarzystwa wydawnicze. Wydawnictwa liberalne przestrzegały zwyczaju posyłania bezpłatnych egzemplarzy każdej nowej publikacji do wielkich więzień w Moskwie i w Petersburgu. Odżyłem co się zowie. Czytałem po dziesięć godzin dziennie, aż mnie oczy bolały. Uzupełniłem wiele z tego, co zaniedbałem w ciągu minionych 20 lat. Czytałem bardzo wiele od mego ósmego do siedemnastego roku życia, potem przyszedł socjalistyczny ruch młodzieży, potem praca polityczna i zawodowa. W okresie ruchu młodzieży więcej dyskutowaliśmy książki, niż je naprawdę czytaliśmy. Teraz los darował mi trzy-cztery miesiące na wypełnienie luk w moim wykształceniu. Nigdy przedtem ani potem nie czytałem tak uważnie. Nie czytałem żadnych książek, „które należy czytać”. Nie czytałem, by zbierać materiał do dyskusji, po prostu cieszyłem się myślami, obrazami i postaciami wielkich pisarzy rosyjskich. Zatapiałem się w prehistorię naszej kultury. Śledziłem walkę człowieka z siłami przyrody i entuzjazmowałem się jego zwycięstwami. Historia wielkich odkryć, które studiowałem, podnosiła mą odwagę i wzmacniała moją wiarę w przyszłość. Byłem optymistą, gdyż mierzyłem rozwój skalą stuleci. Lecz jednocześnie bałem się następnego dnia.

Ową wczesną jesienią 1939 roku panował osobliwy nastrój. Lękałem się wszelkiej zmiany. Bałem się następnego przesłuchania. Wiedziałem, że muszę przejść jeszcze przez ten ostatni mroczny korytarz, jeśli chcę osiągnąć wolność. Wiedziałem, że nie może mi się stać nic złego. Przebrnąłem przez wszystkie niebezpieczeństwa, moja wytrzymałość zwyciężyła. A jednak cieszyło mnie każde odroczenie ostatecznej decyzji. Byłem rad, że mnie nie wzywali. Nie potrzebowałem ludzi — miałem książki. Co środe bibliotekarz przynosił mi nowe skarby. Dzieła wielotomowe liczyły się tylko za jedną książkę. Zamawiałem takie książki, aby mieć dość do czytania. Dręczył mnie głód, wychudłem jak szkielet, ale wciąż jeszcze byłem zdrowy.

Nie wychodziłem już na spacer. Byłem zbyt zmęczony i nie miałem butów. Posługiwałem się tą wymówką, by odmawiać spaceru. Na Butyrkach było zbyt wiele cel i zbyt mało podwórzy.

Aby każdy mógł korzystać ze spaceru trzeba było wyprowadzać na spacer także i w nocy. Niemal co drugi turnus wypadał w porze snu. Nie miałem najmniejszej ochoty, by mnie budzono o 2-iej w nocy i wymówiłem się strażnikom raz na zawsze. Nic nie pomagało, budzili mnie raz po raz. Wreszcie zameldowali moją odmowę komendantowi. Przyszedł.

— Jesteśmy tu odpowiedzialni za zdrowie więźniów. Musicie chodzić na spacer.

— Przyjrzyjcie się moim butom. Już za zimno, by chodzić boso.

Poszedł i powrócił po godzinie ze słomianymi chodakami, jakie w Rosji noszą chłopci. Od tego czasu musiałem chodzić na spacer.

Trzeba było bez przerwy kręcić się w koło w równomiernym, powolnym tempie. Moja droga była wytyczona na ziemi białą farbą. Głowy nie wolno było podnosić. Naruszając przepisy, co jakiś czas spoglądałem w górę. Było to małe okrągłe podwórze. Z jednej strony półokrągły mur forteczny ze strzelnicami. Twierdza pochodziła z czasów Piotra Wielkiego. Tu stracony został Pugaczow, wielki buntownik chłopski. Był to gmach stary, ale utrzymany w skrupulatnej czystości. Uzupełniano go przybudówkami i często modernizowano.

Po miesiącu nie mogłem już wytrzymać głodu. Napisałem podanie do ludowego komisarza, wskazałem, że wkrótce miną trzy lata, odkąd niewinnie siedzę w śledztwie i prosiłem o pozwolenie, by mi przesłano pieniądze z mego konta bankowego na korzystanie z *ławoczki*. Nie otrzymałem odpowiedzi.

Byłem coraz słabszy. Nawet i czytanie było już zbyt wielkim wysiłkiem. Całymi dniami leżałem na łożku i snułem marzenia.

Na ów czas przypada odkrycie, które mnie bardzo uszczęśliwiło. Tajemnica zaginionych rysunków nigdy nie dawała mi spokoju. Gdzie zostały? Wciąż o tym myślałem.

Pewnego wieczoru — leżałem od całych godzin bez ruchu — zerwałem się podniecony. Scena, którą od trzech lat przykrywał głęboki pył zapomnienia, pojawiła się wyraźnie w mej świadomości ze wszystkimi szczegółami. Rysunki nadeszły do Wiednia z kilkutygodniowym opóźnieniem. Urlop mój dobiegał końca, gdy sowieckie przedstawicielstwo handlowe zawiadomiło mnie, że przyszedł dla mnie pakiet z Moskwy. Poszedłem do jego biura — Wallnerstrasse 9. Sekretarka podała mi w przedpokoju pakiet i zażądała potwierdzenia odbioru. Podpisałem i poszedłem. Wszystko to wiedziałem przez cały czas. Zapomniałem tylko

o rozstrzygającym szczególe. Na schodach przemyślałem sobie całą sprawę i *wróciłem*.

— Towarzyszko, rysunki przysły za późno. Już ich tu nie potrzebuję. Odeślijcie je z powrotem do Moskwy.

Zabrała rysunki i oddała mi pokwitowanie.

Nie mogłem się uspokoić. Przez trzy lata dręczyła mnie ta sprawa. Zapukałem i zażądałem papieru. Musiałem odczekać kilka dni, potem napisałem wszystko nieznanemu mi jeszcze sędziemu śledczemu i prosiłem o przesłuchanie. Nie otrzymałem odpowiedzi.

Z końcem października otworzyły się drzwi. Wszedł młody człowiek. Był sekretarzem partyjnym w jakimś rejonie moskiewskim. Utrzymawał uparczywie, że został aresztowany, albowiem za wiele cytował Lenina. Powiedziane w tej formie było to naturalnie nonsensem. Początkowo nie chciał mówić na ten temat. Po dwóch tygodniach zwierzył mi się.

— Aleksandrze Siemionowiczu, ty nie znasz sprawy tak dokładnie. Pracowałeś w przemyśle i mało miałeś do czynienia z ideologią. Ponadto aresztowano cię o półtora roku wcześniej niż mnie. Wtedy nikt jeszcze nie był tak dokładny. Wierz mi, nie można przytaczać dawnych wyjątków z Lenina, jeśli nie chce się narazić na aresztowanie. Siedziałem z pewnym towarzyszem z Tuły, którego aresztowano, gdyż przechowywał całe tomy „Prawdy” z okresu przed rokiem 1923 i pokazywał przyjaciółom niektóre artykuły. Zarzucają mi teraz szpiegostwo. Ale wszystko to oszustwo. Czytałem za dużo Lenina i nie trzymałem języka za zębami. To był mój błąd.

O co chodziło? Podczas gdy siedziałem w więzieniu, pisano na nowo historię Związku Sowieckiego. Stalin osobiście objął kierownictwo tej pracy. Było to gigantyczne fałszerstwo, przeprowadzone do ostatniego szczegółu. Wedle ostatnich procesów, Trocki był już w roku 1923 obcym szpiegiem. Kamieniew i Zinowiew już w roku 1917 sabotowali rewolucję. Wszyscy ci opozycjoniści, zlikwidowani w wielkich procesach, już w swych młodych latach zakradli się rzekomo jako agenci wroga w szeregi partii, aby ją zdradzać. Takie było pojmowanie historii w roku 1938.

Prawdziwa historia rewolucji pozostawiła jednak ślady w archiwach kraju. Wszystko to należało wytrzebić. „Prawda”, organ centralny partii, nie wiedziała jeszcze w roku 1918, że Stalinowi w roku 1938 potrzebna będzie inna historia rewolucji. Stalin sam także jeszcze wówczas tego nie wiedział. Gdyby to nawet przeczuwał, nie mógłby nic zrobić, gdyż był wówczas tylko skromnym ludowym komisarzem, a nie wszechmocnym

dyktatorem kraju. Fałszerstwa w prasie lub w literaturze nie leżały wówczas jeszcze w jego mocy. Musiał je nadrobić w roku 1937.

W czasie rewolucji i wojny domowej kraj rozbrzmiewał sławą ówczesnego naczelnego dowódcy Armii Czerwonej, Lwa Dawidowicza Trockiego. Straceni jako szpiedzy w wielkich procesach, Piatakow, Murałow, Bucharin, Zinowiew, byli najbliższymi przyjaciółmi Lenina i nienagannymi rewolucjonistami. Prasa i literatura powtarzały nieustannie ich nazwiska. Wszystko to należało usunąć ze świadomości narodu.

Stalin musiał zdelegalizować nie tylko Lenina i „Prawdę”, ale także i siebie samego, swą własną przeszłość. W dniu 6 listopada 1918 roku napisał w „Prawdzie”, że zwycięstwo powstania w Piotrogradzie jest przede wszystkim zasługą przewodniczącego rewolucyjno-wojennego komitetu, towarzysza Trockiego. W 6 lat później napisał, że Trocki nie odegrał żadnej szczególnej roli. Po dalszych 13 latach kazał ogłosić krajowi ustami Wyszynskiego i trybunału wojskowego, że Trocki był z dawien dawna agentem faszystowskim w szeregach partii. Wspomnienia w literaturze i w wypowiedziach prasowych okresu rewolucji i wojny domowej były mu teraz bardzo nie mile.

Samo przez się jest zrozumiałe, że Stalin nie mógł oficjalnie skonfiskować Lenina. Jego reżym opierał się na ciągłości rewolucji. Udaje, że urzeczywistnia idee października. Podczas walk w łonie partii Trocki określił dyktaturę Stalina jako reżym Termidora. Pod płaszczykiem dawnej ideologii, struktura państwa uległa gruntownej zmianie. Wzorem Dziewiątego Termidora cicha kontrrewolucja doprowadziła do władzy nową warstwę uprzywilejowaną — biurokrację. Przed tym zarzutem Trockiego bronił się reżym stalinowski rękami i nogami. Stalin chciał pozostać prawdziwym spadkobiercą wielkiej rewolucji październikowej. Nie mógł tedy skonfiskować Lenina. Kazał go jednak sfalszować. Nie można było oddać na przemiał starych roczników „Prawdy” i dawnych mów Stalina, nauczono jednak członków partii, by się nie powoływali na nie. Nauka ta musiała dokonywać się niespostrzeżenie. Nigdy nie przyznawano głośno w czym rzecz. Od góry do dołu pracowano tylko aluzjami. Na górze wydano hasło: Trocki był od roku 1923 agentem faszystowskim! — Cała maszyna, produkująca opinię publiczną, trzymała się tej dyrektywy i fałszowała w tym duchu historię kraju. Każdy bez pytania wiedział, co ma czynić. Działo się to podobnie jak w aparacie GPU. Każdy czekista wiedział, że więźniowie są niewinni i że oskarżenia są oszustwem. Tak samo każdy historyk, dziennikarz, archiwista, agitator partyjny wiedział, że jest małym

kółkiem w trybach potwornego fałszerstwa. Ale ani czekiści ani fałszerze historii nie demaskowali jeden przed drugim prawdziwego charakteru swej pracy. Zmowa milczenia łączyła najdalszego wykonawcę czystki tak samo jak i najdalszego wyrobnika fałszowania historii z samym centrum ucisku i kłamstwa — ze Stalinem.

Łatwiej jest jednak wychować metodą aluzyj aparat przymusu niż całą partię. Raz po raz jakiś młodzieniec z naiwności albo z umiłowania prawdy zrywał spisek milczenia. Jego wychowanie przejmowało wtedy GPU.

Mój sekretarz partyjny Wasilij Kuzniecowa miał 26 lat. Był on jednym z tych naiwnych, którzy nieostrożnie zabłąkali się w historię partii. W przebiegu półtoraletniego śledztwa, które mu zarzucało szpiegostwo i terror, zrozumiał swą rzeczywistą zbrodnię. Cytował Lenina za często i nie we właściwym miejscu.

Mówił mało, za co byłem mu wdzięczny. Nie brałem już teraz żadnego udziału w cudzych przeżyciach. Przez całe lata badałem sumiennie każdego nowego więźnia. Wreszcie wytworzyłem sobie obraz tego potwornego łańcucha wydarzeń. Wydawało mi się, że już wiem, o co chodziło Stalinowi, gdy rozpoczynał czystkę i że wiem, jak ta lawina uniezależniła się od swego twórcy. Indywidualne wypadki już mnie teraz nie interesowały, nie przynosiły mi niczego nowego. Najchętniej siedziałbym sam w celi, miałem książki. Ale Kuzniecowa był towarzyszem bez wymagań. Rozmawialiśmy z sobą tylko wieczorami.

Wiedział on o sytuacji światowej jeszcze mniej niż ja. Nie słyszał nawet o pakcie z Ribbentropem. Moje przypuszczenie, że wybuchła wojna, porzuciłem od dawna. Nic już na nią nie wskazywało.

I oto w tydzień później przyszedł do celi ktoś trzeci. Był to Baszkir z Ufy. Wielki, kościsty, nieco pochylony. Mówił złym, chropowatym rosyjskim. Był swego czasu ludowym komisarzem kontroli robotniczej i chłopskiej w republice baszkirskiej. Przed rewolucją pasał owce. W drodze z Ufy do Moskwy wpadła mu przypadkowo w ręce gazeta. Być może, transportowano go z ludźmi, powracającymi z obozów do Moskwy. Ci czytali gazety. Opowiedział nam, że wybuchła wojna, Związek Sowiecki i Niemcy podzieliły się Polską, Niemcy znajdują się w wojnie z Francją i Anglią i tym podobne strzępy wiadomości. Nie wierzyliśmy ani słowu, tak nieprawdopodobne wydawały się jego wypowiedzi o wspólnej akcji Związku Sowieckiego i Niemiec hitlerowskich. On sam czynił wrażenie człowieka niezupełnie normalnego.

Ale już po trzech dniach jego wypowiedzi znalazły potwierdzenie. Otworzyły się drzwi, do środka wszedł nowy więzień.

Widać było, że dopiero co go aresztowano, był jeszcze opalony. Osobliwość w owym czasie. Był dyplomatą sowieckim w Czunkingu. Został z polecenia Mołotowa odwołany telegraficznie i aresztowany w chwili lądowania samolotu na ziemi sowieckiej. Na początku mej książki opisałem, jaką sensację u nas wywołało jego przybycie. Równie sensacyjnie podziały na niego nasze opowiadania. Przebywał całymi latami za granicą, słyszał oczywiście o wielkich procesach i miał o nich swe własne zdanie. Słyszał także o niezliczonych aresztowaniach wśród swych przyjaciół, towarzyszy i krewnych. Ale to wszystko — z oddalenia, rzeczywistego obrazu tej akcji nigdy sobie nie wyrobił. Przyjmował, że ludzie z wielkich procesów byli niewinni. Ale że aresztowano miliony zupełnie niewinnych ludzi, przekraczało granice jego wyobraźni. W chwili, gdy wchodził do naszej celi, był zupełnie nieprzygotowany psychologicznie. Pierwsze przesłuchanie odarło go brutalnie ze złudzeń.

Dyplomata przyniósł nam dokładne wiadomości o rozwoju politycznym, który doprowadził do wojny i o sytuacji na frontach. Byłem szczęśliwy. Faszyzm niemiecki ciążył na Europie jak głąz. Teraz głąz ten będzie obalony. Wolność powróci do Europy środkowej. Zobaczę znowu mój kraj. Byłem zdecydowany udać się po mym oswobodzeniu i ewentualnej deportacji przez Szwecję do Anglii. Zakładałem, że moi socjalistyczni przyjaciele napłynęli do armii mocarstw zachodnich, do walki przeciwko Hitlerowi. Chciałem wypocząć przez pół roku i potem do nich dołączyć.

Nigdy nie wierzyłem w możliwość obalenia panowania faszyzmu w Niemczech bez wojny. W każdym razie nie za naszego pokolenia. Fakt jednak, że na obszarze, w którym się wychowałem, a więc w niemieckiej przestrzeni etnograficznej Europy środkowej, panuje despotyczna dyktatura, zawsze mnie przygnębiał. Podświadomie czekałem zawsze na wojnę, ale nie śmiałem spodziewać się, że Hitler lekkomyślnie rozpocznie wojnę z mocarstwami zachodnimi. Dyktatorzy są na ogół tchórzami. Wdają się w wojny tylko wtedy, gdy nie pociągają one za sobą ryzyka: zabór Austrii, Sudetów, Pragi. Być może — pomimo gwarancji angielskich — Hitler nie wierzył w wojnę światową, gdy napadał na Polskę. Wbrew oczekiwaniu Francja i Anglia odpowiedziały wypowiedzeniem wojny, ale wojny nie prowadziły, samoloty francuskie nie zaatakowały Niemiec w ciągu owych 18 dni, gdy Luftwaffe niemiecka miażdżyła opór armii polskiej. Obawiałem się, że Zachód pogodzi się jeszcze z Hitlerem.

Postawę Stalina widziałem wyraźnie. Niech się inni w Europie niszczą wzajemnie, on zaczeka, aż w oparciu o swe nietknięte armie będzie mógł podyktować reszcie Europy warunki pokoju.

Z punktu widzenia leninowskiej teorii nic nie można było zarzuć taktyce wyzyskiwania przeciwności w obozie kapitalizmu. Natomiast zdumiewało mnie później stanowisko *ideologiczne* prasy sowieckiej w tej walce. Rozumiałbym neutralność z wyraźną sympatią dla sprawy Zachodu. Było jednak odwrotnie. Partia w Moskwie wydała prasie polecenie opowiadania się po stronie Niemców. Anglię i Francję piętnowano, wzorem Goebbelsa, jako plutokracje, prowadzące wojnę imperialistyczną przeciw Niemcom. Już to było odchyleniem od leninowskiego schematu. Nie mogłem wtedy przewidzieć rozwoju wydarzeń wojennych. Obawiałem się, że wkrótce wojna zakończy się kompromisem Hitlera z mocarstwami zachodnimi.

W rozmowach z Baszkirem uzyskiwałem wgląd w zamkniętą dotychczas dla mnie stronę życia sowieckiego. Opowiadał mi, jak wyglądała dacza (willa) którą otrzymał od rządu. Był to rząd małej republiki — Baszkirskiej Republiki Sowieckiej. Ale i w niej panował rozwinięty system uprzywilejowywania, mówiąc dokładniej, korumpowania czołowych urzędników. Wysocy partyjnicy w Moskwie, których poznałem w roku 1931, żyli przykładnie, skromnie. Ale w rok później zaczęło się już uprzywilejowywanie pewnych warstw. Dawniej istniała górna granica poborów dla wszystkich członków partii. W roku 1931 miałem otrzymać na swej posiadce 400 rubli. Ponieważ jednak byłem partyjnym, otrzymałem tylko 280. Prawo to wydane zostało swego czasu pod presją Lenina. Chciał on przeszkodzić zakradaniu się karierowiczów do partii. Należenie do partii miało nie przynosić żadnych korzyści materialnych. Członkowie rządu mieli być opłacani nie lepiej jak wykwalifikowani robotnicy.

Zniszczenie rolnictwa w toku kolektywizacji przyniosło w latach 1930 do 1933 wielki głód. Jednocześnie rozwinęła się na wsi sytuacja, zagrażająca bezpieczeństwu systemu. Bez wysoce zdyscyplinowanego aparatu przemocy Stalin nie mógłby przezwyciężyć tego kryzysu. Doszłoby wówczas do powstań głodnych chłopów, powstań, które objęłyby także i miasta. Aparat GPU musiał wtedy funkcjonować. Dla reżymu była to kwestia życia i śmierci. Trzeba było uprzywilejować czekistów, by nie głodowali tak samo jak reszta ludności, w przeciwnym bowiem razie mogliby się przyłączyć do mas ludowych i obalić dyktaturę. W walce o utrzymanie władzy Stalin był zmuszony przekupić tę część biurokracji nadzwyczajnymi świadczeniami materialnymi.

Ale Stalin stosował ten środek także na innych terenach: Potrzebował inżynierów i techników, aby wypełnić plany uprzemysłowienia. Także i ta warstwa została zatem uprzywilejowana, chociaż nie w tej samej mierze co czekiści.

Na froncie ideologicznym pisarze i dziennikarze korzystali z przywilejów swego stanowiska. Mieli oni opiewać dyktaturę. Była to praca morderczo nudna, upodlająca, ale dobrze płatna. Tutaj osobista próżność, a nie konieczność utrzymania się przy władzy, skłaniała Stalina do wielkiej szczodroblewości.

Najlepsze kąski otrzymywali jednak czołowi administratorzy, ludzie kierujący aparatem partyjnym i państwowym. Od nich zależało bezpieczeństwo dyktatora, spisek wśród nich mógłby doprowadzić do zwycięskiej rewolucji pałacowej. Otrzymali przywileje, wychodzące daleko poza wszystko, czego można było oczekiwać. Ich sytuacja materialna przewyższała mieszczańskich mężów stanu nawet najbogatszych krajów. A przy tym kraj był tak biedny.

Obserwowałem ten proces uprzywilejowywania w jego początkach. Gdy przybyłem do kraju, panowała niemal równość. Tylko najwyższe szczyty, a więc członkowie Politbiura i naczelni komisarze GPU, byli lepiej sytuowani pod względem materialnym. Dopiero walka z chłopami zmusiła dyktatora do skorumpowania aparatu. Mogłem śledzić ten proces krok po kroku; zniesiono pobory maksymalne dla partyjnych, gepiści i czołowi administratorzy mogli w czasie głodu zaspakajać swoje potrzeby w uprzywilejowanych sklepach, co praktycznie sprawiło, że ich dochody, przy niezmienionych poborach nominalnych wzrosły dziesięciokrotnie. Otrzymywali samochody służbowe, bezpłatne miejsca w sanatoriach na Kaukazie, jadalni w osobnych restauracjach, po śmiesznych cenach i tak dalej. Ale były to wówczas jeszcze drobiazgi w porównaniu z tym, co się w późniejszych latach działo na szczycie.

Bogucki opowiadał mi o życiu, jakie prowadził Kosior. Powiedziałem:

— Rozumie się samo przez się, że czołowy mąż stanu jest tak sytuowany, by miał materialną swobodę ruchów. Nie widzę nic złego w tym, że taki Kosior zarabia 6.000 rubli, podczas gdy ja dostaję tylko 1.000.

Bogucki przerwał mi:

— Powiedz 60.000, wymienisz tylko część sum, które państwo na niego wydaje.

Oburzyłem się wówczas i niezupełnie mu wierzyłem. Bogucki był zagorzałym purytaninem. W latach dwudziestych, w dziesięć lat po rewolucji, wpadł na pomysł, by poodbierać ludziom meble, które otrzymali w czasie rewolucji po skonfiskowaniu mieszkań burżuazji i obszarników. Meble te przydzielili swego czasu sielsowiety i gorodsowiety zasłużonym partyjnym, robotnikom i krasnoarmiejcom i urzędnikom. Pod względem formalnym rzeczy

te pozostawały nadal własnością państwa. Ale nikt się o to nie troszczył, od dawna już zapomniano o całej sprawie, posiadacze traktowali je jako swoją własność. Bogucki wpadł wtedy na pomysł, aby zrealizować te wartości, a z wpływów stworzyć wielki fundusz pomocy dla dzieci. Przeprowadził nieodzwonne uchwały partyjne i rządowe. Zażądano od posiadaczy, aby bądź zwrócili meble, bądź też zapłacili za nie. Wszyscy stawili zawzięty opór, zwłaszcza wyżsi urzędnicy państwowi. Bogucki nie dał za wygraną. Kontynuował sprawę z zawziętością, która mu wszędzie przysparzała wrogów. Ale w owym czasie nie było to jeszcze niebezpieczne.

Mogło mi się wydawać, że taki nieprzekupny purytanin ostrzej chłoszcze sybarytyzm na szczycie aparatu państwowego niż on może na to zasługiwać. W rozmowach z Baszkirem uświadomiłem sobie, ku swemu przerażeniu, że Bogucki nie przesadzał. I tak istniał „fundusz dla kulturalnego podniesienia robotników”. Jak mi opowiadał Baszkir, z funduszu tego pokrywano koszt utrzymania willi dla czołowych ludzi reżymu. W zależności od rangi uprzywilejowanego, willa była wyposażona bogaciej i piękniej, miała więcej służby na koszt państwa i tak dalej. Baszkir opowiadał mi o tym bez słowa krytyki, oburzał się, że przeciwko temu protestowałem. Uważał, że rzecz była zupełnie w porządku, fundusze te w tym właśnie celu stworzono. Upatrywał w lepszej sytuacji małej warstwy przodującej — pomimo olbrzymiej nędzy w kraju — cel socjalistyczny. Przestałem się z nim kłócić. Cała jego ideologia była mi bardzo obca. Wywierał na mnie trochę niesamowite wrażenie.

Długie głodowanie osłabiło mnie bardzo. Popadłem w rozpacz. Do tej pory jakby cudem zachowałem zdrowie, a teraz na progu wolności opuszczały mnie siły. Zacząłem kaszleć. Pisałem wielokrotnie do ludowego komisarza. Bez odpowiedzi. Nie miałem jeszcze sędziego śledczego, do którego mógłbym się zwrócić. Sięgnąłem tedy do środka ostatecznego. Napisałem do dyrektora więzienia list mniej więcej następującej treści:

„Proszę was o spowodowanie, by wezwano mnie na przesłuchanie. Mój pobyt w więzieniu śledczym trwa już niemal trzy lata. Nie mam w kraju żadnych krewnych, którzy by mi mogli nadsyłać dopuszczalne 50 rubli miesięcznie. Prosiłem zatem wielokrotnie o pozwolenie na pobranie moich pieniędzy z charkowskiej kasy oszczędności. Na wszystkie moje podania nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Jeśli także i ten list pozostanie bez odpowiedzi, będę zmuszony po upływie trzech dni przystąpić do głodówki”.

Tego samego wieczora przyszedł dyrektor.

— Nadałem waszemu listowi dalszy bieg. Mam nadzieję, że zostaniecie wezwani na przesłuchanie, ale to nie zależy ode mnie. Odradzam wam rozpoczynanie głodówki. Byłaby ona zrozumiana jako antysowiecka demonstracja.

— Nie mam już po prostu sił, by dłużej czekać. Jedzenie tutejsze jest wystarczające tylko dla tego, kto ma jeszcze rezerwy wewnętrzne. Przyjrzyjcie się mi, obywatelu dyrektorze. Jeśli ktoś siedzi całymi latami, a nie ma pieniędzy, by sobie coś kupić w *ławocze*, musi zginąć marnie.

— Otrzymacie odpowiedź, ale nie możecie niczego wymusić takimi środkami jak głodówka.

— Nie żądam przecież żadnych przywilejów. Jestem w położeniu cięższym niż inni, bo nie mam w kraju nikogo. Czy tylko dlatego mam zginąć z głodu?

Dyrektor wyszedł. O 2.30 w nocy zbudzono mnie do przesłuchania. Strażnik prowadził mnie przez różne podwórza, korytarze, klatki schodowe do bardzo elegancko wyposażonego olbrzymiego foyer. Pod ścianami stały skórzane fotele klubowe. Podłogę pokrywał ciężki dywan. Z foyer prowadziły obite skórą drzwi do biur. Przypominało to hall wielkiej spółki akcyjnej lub banku na Zachodzie. W środku, pod jedną ze ścian, znajdowała się jak gdyby hotelowa recepcja. Stał tam młody czekista i obsługiwał aparaty telefoniczne. Przed sobą miał tablicę rozdzielczą z różnymi przełącznikami. Gdy nad drzwiami rozblyskiwały to tu to tam lampy, wysyłał wtedy żołnierza. Kazano mi zająć miejsce w skórzanym fotelu i zaczekać chwilę. Potem wprowadzono mnie do jednego z gabinetów. Był jaskrawo oświetlony i urządzony nad wyraz elegancko. Przy biurku pod lewą ścianą siedział jeden z najwyższych oficerów NKWD. Na kołnierzu miał trzy romby. Obok niego stał wysoki, jasnowłosy młody kapitan, który poprosił mnie uprzejmie, bym zajął miejsce w fotelu klubowym, stojącym w pewnej odległości pod przeciwległą ścianą. Obaj widocznie przeglądali moje akty, po czym komisarz zapytał:

— Pisaliście do ludowego komisarza. Otrzymałem polecenie pomówienia z wami. Czego sobie życzycie?

— Mam dwie prośby. Proszę o zamknięcie mego śledztwa i proszę o pozwolenie pobrania pieniędzy z mego konta oszczędnościowego w Charkowie.

— Z górą 20 osób złożyło przeciwko wam zeznania.

— Obywatelu komisarzu, wiecie, że wszystkie te oskarżenia są zmyślane. Każdy rozsądny człowiek, przeczytawszy bez uprzedzenia te zeznania, uzna, że nie mogą być prawdziwe.

— Może tak i jest, ale to komplikuje naszą sytuację w waszej sprawie. Musimy przesłuchać wszystkich tych ludzi i spraw-

dzić, czy obecnie cofają oskarżenia przeciwko wam. Ludzie ci siedzą w odległych obozach, wszystkie te przesłuchania wymagają czasu. Musicie być cierpliwi.

— Obywatelu komisarzu, chętnie będę cierpliwy, ale jestem głodny. Proszę was o pozwolenie na sprowadzenie pieniędzy z mego konta oszczędnościowego w Charkowie.

— To jest dość skomplikowane. Czy nie macie jakiego krewnego w Moskwie, który by wam mógł przysłać pieniądze? Daliśmy mu znać.

Przed udzieleniem odpowiedzi zastanowiłem się przez chwilę. Postawił mnie w ciężkiej sytuacji. Mógłbym wymienić mego dalekiego kuzyna, nic by mu się z tego powodu nie stało. Ale przestraszyłby się śmiertelnie i być może, odmówiłby wszelkiego kontaktu ze mną na dowód swojej lojalności.

— Obywatelu komisarzu, nie mam żadnego krewnego, ale mam dalekich znajomych, którzy chętnie by mi pomogli. Będą się jednak bali mieć coś wspólnego z „wrogiem ludu”.

— Wytłumaczmy tym ludziom, że nie mają się czego bać. Podajcie nam nazwiska i adresy.

Wahałem się jeszcze. Wpadło mi wtedy na myśl nazwisko pewnego znajomego, który był czołowym mężem stanu. Pomyślałem sobie: jeśli nie jest on jeszcze aresztowany, nic się mu już nie stanie. Wymieniłem jego nazwisko.

Komisarz przyrzekł go zawiadomić.

W kilka dni później zabrali mnie z rzeczami. Samochód zawiózł mnie do centrum miasta, do więzienia wewnętrznego NKWD. Znowu zauważyłem, że obok mnie jechał Houtermans.

Po przybyciu na Łubiankę przejęła mnie strażniczka, która zaprowadziła mnie do łaźni. Moje rzeczy zostały zrewidowane, po czym znalazłem się w małej izdebce bez okna, zawierającej właściwie tylko łóżko. Nie można się było obrócić. O północy zabrano mnie stamtąd na przesłuchanie, które prowadziło dwóch młodych oficerów. Starszy rangą przyjrzał mi się.

— Jak wy wyglądacie, obywatelu. Czy to nie wstyd tak się pokazywać między ludźmi. — Wskazał na moje podarte spodnie. Odwróciłem się i obaj zaczęli się śmiać. Zobaczyli, że tytu spodni nie ma zupełnie.

— Każemy wam dać inne ubranie. Za co siedzicie?

— Nie wiem.

— Za co was aresztowano?

Tego mi już było za wiele. W owym czasie wyzbyłem się już wszelkiego lęku i odpowiedziałem sarkastycznie:

— Mówicie do mnie w taki sposób, jak gdybym ja was aresztował, a nie wy mnie. Sami powinniście wiedzieć, za co mnie aresztowaliście.

— Nie my was aresztowaliśmy, ale ludzie w Charkowie. Ci, co was aresztowali, są już wszyscy za kratami.

— Jeśli zatem jesteście zdania, że jestem niewinny, dlaczego jeszcze tu siedzę? Dlaczego nie zwalnacie mnie od razu?

— Tego nie da się zrobić tak szybko. Przygotowujemy teraz cały akt dla ludowego komisarza. On sam poweźmie w waszej sprawie decyzję. Musicie mieć cierpliwość.

— Obywatelu sędzio śledczy, chętnie będę cierpliwy, ale jestem po prostu głodny. Dopomóżcie mi odzyskać moje pieniądze.

— Zobaczę, co się da zrobić.

Zaczął przesłuchanie. Musiałem znowu opowiadać wszystko od początku. W toku przesłuchania studiował akty. Naraz przerwał sam sobie słowami:

— Nie do wiary, ilu oni fizyków wyaresztowali w Charkowie. Teraz ci ludzie siedzą u nas beczynnie, zamiast pracować.

Opowiedział mi, że także i Obreimow u nich siedzi. Prosił o książki naukowe i o dostateczną ilość papieru i atramentu. Rozwinął nową teorię z dziedziny swej specjalności w fizyce. Ma ona teraz być opublikowana. Pokazał mi tę rozprawę. Nie pamiętam już, o co chodziło.

Po dwóch godzinach odesłał mnie. Dostałem się do celi, w której siedział mężczyzna mniej więcej 30-letni. Był to urzędnik ludowego komisariatu handlu zagranicznego. Byłem tak zajęty sobą, że wcale nie zapytałem o jego sprawę. Powiedział mi, że w jednej z sąsiednich cel siedzi marszałek Jegorow.

Następnego wieczora zaprowadzono mnie znowu do przesłuchania. Sędzia śledczy napisał obszerny protokół zamknięcia. Nie był on, jak zazwyczaj, utrzymany w formie pytań i odpowiedzi, natomiast stanowił ogólny opis mego śledztwa. Gdy doszło do oskarżenia o szpiegostwo, chciałem go uświadomić, jak absurdalne było to oskarżenie i jak niewinnie przedstawiała się sprawa rysunków. Nie dopuścił mnie do słowa.

— Czy uważacie nas za idiotów? Czy sądzicie, że wierzymy, iż jesteście szpiegiem? Co z was byłby za szpieg? Przystudiowaliśmy wystarczająco wasz charakter. Zupełnie nie nadajecie się na szpiega.

Powtórzyłem me zapytanie:

— Dlaczego w takim razie nie zwalnacie mnie?

— Nie nalegajcie, to przyjdzie. Musi się temu nadać jakąś formę.

— Obywatelu sędzio śledczy, sam mam teraz wrażenie, że

przygotowujecie moje zwolnienie. Czy będę mógł jeszcze przez jakiś czas pozostać w kraju, czy też będziecie mnie od razu deportowali, tak jak moją żonę?

Nie chciał dać odpowiedzi, wreszcie powiedział:

— Nie kłopotcie się o to, o tym wszystkim zadecyduje ludowy komisarz. Ostatecznie nie jesteście sami na świecie, jest tu wielu wam podobnych.

— Czy dostanę swoje pieniądze?

— Zobaczę, co się da zrobić. Może nie dostaniecie swoich pieniędzy, ale za to przejście do celi, gdzie dają dobrze jeść.

Nigdy dotychczas nie słyszałem, by istniały cele uprzywilejowane. Nie dowierzałem mu. Podpisałem protokół zamknięcia i powróciłem do celi. Ogarnęła mnie tu wściekłość. Zapukałem w kłapę i zażądałem od strażnika kawałka papieru. Napisałem do dyrektora więzienia:

„Nie wytrzymuję już głodu. Jeżeli do dwóch dni nie otrzymam pieniędzy na ławoczkę, odmówię przyjmowania pożywienia”.

Dyrektor kazał mnie przyprowadzić:

— Głodówka uważana jest u nas za antysowiecką demonstrację. Takimi metodami nie możecie niczego wymusić. Ostrzegam was przed tym.

— Obywatelu dyrektorze, nie mam wyboru. Wyczerpałem wszystkie inne środki.

Mój kolega w celi był przerażony.

— Jak możecie pisać takie rzeczy do NKWD? Zastosują przeciw wam surowe represje.

— Minęły te czasy, kiedy bałem się ich.

Gdy w dwa dni później strażnik przyniósł mi zupę — odmówiłem. Nie tknęłem nawet wody. W półtora dnia potem zawezwał mnie sędzia śledczy.

— Zwariowaliście, Aleksandrze Siemionowiczu? Tu w naszej siedzibie demonstrujecie przeciwko władzy sowieckiej? Czy chcecie w ostatniej chwili popsuć swoją sprawę?

— Obywatelu kapitanie, nie mam wyboru. Nie mogę już po prostu znieść głodu, a mam prawo do takiego samego traktowania, jak więźniowie rosyjscy. Chcę otrzymywać 50 rubli miesięcznie na ławoczkę. Żądanie takie nie jest antysowiecką demonstracją.

— Domagam się od was, abyście natychmiast przerwali głodówkę.

— Nie zrobię tego.

— Aleksandrze Siemionowiczu, zamierzałem właśnie coś zrobić w waszej sprawie, gdy nadszedł meldunek o waszej głodówce.

Zrozumcie, że NKWD nie może ulec nielegalnej presji. Nie możemy dla was nic zrobić, dopóki nie przerwiecie głodówki.

— Zebrałem miesiącami, nie uciekając się do głodówki. Nic dla mnie nie zrobiliście. Już wam nie wierzę.

— Jeśli przerwiecie głodówkę, otrzymacie wszystko co potrzeba.

— Czy dostanę swoje pieniądze?

— Nie dostaniecie, za to dostaniecie dość jedzenia. Musicie jednak przedtem zaniechać głodówki.

— Nie mogę wam wierzyć, po wszystkim co przeżyłem, obywatelu sędzio śledczy.

— Aleksandrze Siemionowiczu, idźcie teraz do dyrektora więzienia i oświadczone, że przerywacie głodówkę. Wszystko wtedy dla was zrobimy.

Odmówiłem. Rozzłościł się.

— Jesteście głupcem, który chce głową przebić ścianę. Radzę wam dobrze, a wy jesteście uparci jak kozioł.

— Czy przyrzekacie mi osobiście, obywatelu sędzio śledczy, że w tej czy innej formie spełnicie moją prośbę, jeśli zaniecham głodówki?

— Tak jest.

— W takim razie zrobię to.

— Idźcie do dyrektora więzienia i złożcie mu potrzebne wyjaśnienia.

Nie doszło jednak do tego. Zaprowadzono mnie z powrotem do celi, która była pusta. Mojego kolegę zabrano, aby nie mógł być świadkiem mego zwycięstwa. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i wszedł kierownik sklepiu więziennego. Wręczył mi kartkę i ołówek, miałem wypisać, co chcę otrzymać.

— Towarzyszu, nie mam pieniędzy na swym koncie.

— Nic nie szkodzi, wypiszcie, co chcecie mieć.

— Nie wiem, co macie tu w sklepie, nie wiem, jakie są ceny i za ile wolno mi zamówić.

— Wypiszcie co najniezbędniejsze, zobaczymy, co da się zrobić.

Opuścił celę. Czegoś takiego jeszcze nie było. Każda cela miała raz na miesiąc dzień *ławoczki*. Kto w tym czasie był przypadkowo na przesłuchaniu, nie otrzymywał nic przez cały miesiąc. Nie liczyłem na to, że będę mógł natychmiast zrobić zamówienie, nawet gdybym otrzymał pieniądze. A teraz on sam przyszedł i przyjął moje zamówienie. Świat do góry nogami — pomyślałem sobie.

Nie był to jednak koniec mego zdumienia. Wypisałem wszystko, co mi na myśl przyszło, nie mając nadziei, że to rze-

czywiście otrzymam. Myślałem, że niektóre tylko z tych życzeń zaspokoją. Po kwadransie przyszedł ławoczny i bez słowa zabrał karteczkę. W pół godziny później przyniósł wszystko. W tym — nawet czekoladki. Osłupiałem.

— Kiedy będę mógł znowu zrobić zamówienie?

— Gdy to wszystko zjecie.

Ale nie na tym koniec. Wieczorem przyszedł strażnik i przyniósł mi normalny obiad, zupę, pieczeń i ziemniaki.

— Czy to będę często dostawał?

— Codziennie.

Najadłem się tak bardzo, że postanowiłem oszczędzać zapasy, przyniesione przez ławocznika. Przez trzy dni dostawałem wikt sanatoryjny. Niemal czułem, jak siły mi wracają. Trzeciego dnia, było to 18 grudnia 1939 roku, zawołano mnie z rzeczami. Zaprowadzono mnie do pokoju średniej wielkości, bez okien. Stół, parkiet. Kazano mi tam czekać. Nastąpiła potem bardzo dokładna rewizja, a wreszcie urzędnik przyniósł kupę ubrania. Miałem sobie wybrać to co chciałem. Wybrałem parę butów, spodnie i bardzo ładny płaszcz zimowy. Na podszewce odkryłem firmę krawca ze Sztokholmu. Pomyślałem sobie: Odwołali jakiegoś dyplomata sowieckiego ze Szwecji i rozstrzelali. Teraz dają mi jego ubranie i być może pojedą do Sztokholmu. Przyszły mi na myśl słowa Szekspira:

„Niech ryczy zwierz, co dostał strzał,

Serce bez trosk niech się śmieje!

Czuwamy na to, by drugi spał —

*Takie to świata koleje!...”**

Dostałem też dobrą czapkę futrzaną. Potem strażnik wyszedł, zabierając ze sobą pozostałe rzeczy. Otworzył sąsiednie drzwi. Nadśłuchiwałem. W sąsiedniej izbie był Houtermans, on też otrzymywał ubranie.

Próbowałem dopukać się do niego. Na próżno.

Wieczorem samochód zawiózł nas z powrotem na Butyrki. Znowu pomieszczeni zostaliśmy w sąsiednich kabinach telefonicznych. Całe godziny pukania bez rezultatu. Było już po północy, gdy mnie zabrał strażnik. Zaprowadził mnie do innego oddziału więzienia. Wszędzie niebieskie lampy, widocznie zarządzone zaciemnienie. Czekałem jeszcze przez dwie godziny w kabinie telefonicznej. Około drugiej w nocy zabrał mnie strażnik. Otworzył drzwi do wielkiej sali. Do ścian przymocowanych było może dwadzieścia hamaków z płótna żaglowego. Na nich materace. Pano-

* W przekładzie Jana Kasprowicza.

wał półmrok. Kilku więźniów wstało i zapytało mnie po niemiecku, jak się nazywam i skąd pochodzę.

W toku rozmowy spostrzegłem, że w celi są sami Niemcy. Była to w ogóle dziwna cela, pośrodku wielki długi stół, na którym leżały szachy, domino i książki, bardzo wiele wolnego miejsca, około 20 stołków oraz wiele chleba i innych artykułów żywnościowych po wszystkich kątach. Zapytałem:

- Co to wszystko znaczy gdzie jestem?
- Wracamy do domu, odsyłają nas do Niemiec.
- Czy wszyscy jesteście Niemcami?
- Tak jest, a ty kim jesteś?
- Jestem obywatelem austriackim.
- Nie ma teraz takich, Austria już nie istnieje. Jesteś Niemcem.

— Ależ ja jestem Żydem, czy i mnie poślą do Niemiec? Myślę, że jeśli mamy być deportowani, każdy będzie mógł udać się dokąd zechce?

— Zdaje ci się tak tylko, będziesz musiał pojechać do Berlina, tak źle nie będzie. Bądź zadowolony, że się stąd wydostajesz.

— Jakie tu jest jedzenie?

— Jak w sanatorium. Rano zajeżdża stolik z kakao i jajkami.

— Proszę was, mówcie ze mną serio.

— Zupełnie serio, dostajemy tu jeść, jak nigdy jeszcze na wolności. Chcesz trochę szynki?

Zdrętwiałem. Wciąż jeszcze sądziłem, że mnie nabierają. Znaleźli jednak dobitny sposób przekonania mnie. Zaproponowali mi jaja na twardo, szynkę i tym podobne.

Wreszcie niejaki towarzysz Albrecht, komunista bawarski, który w tej osobliwej celi był swojego rodzaju starostą, powiedział:

— Idź teraz spać towarzyszu, jutro rano dowiesz się wszystkiego. Weź sobie jakiegokolwiek wolne łóżko.

Było to łóżko do spuszczenia, metalowa rama z podkładem sprężynowym i dobrym materacem. Pierwsze dobre łóżko, jakie otrzymałem od czasu mego aresztowania, długo jednak nie mogłem zasnąć.

EKSTRADYCJA

Cela więźniów, przeznaczonych na ekstradycję przedstawiała na Butyrkach jedno z najbardziej osobliwych widowisk jakie sobie można wyobrazić. Żołnierze znają pojęcie ziemi niczyjej pomiędzy frontami. Wyobraźmy sobie dom, leżący pomiędzy nieprzyjacielskimi liniami. Przyjmijmy, że pomimo obustronnego ognia mieszkańcy nie opuścili domu — i wtedy otrzymamy pojęcie atmosfery w tej celi.

W styczniu 1945 roku przeżyłem na jednym z przedmieść Warszawy wejście rosyjskiej Armii Czerwonej. Wojska niemieckie opuściły tę miejscowość, Włochy, już w południe 16 stycznia. Czołgi rosyjskie obsadziły ją dopiero w 30 godzin później. Krążyły pogłoski, że Warszawa jest już wolna. Ale przez tych 30 godzin nie było we Włochach żadnej władzy państwowej. Potęga Niemców była złamana. Ludzie oddychali z ulgą po 6-letnim ucisku. Nowa władza państwowa jeszcze się nie ustaliła. Nawet po obsadzeniu przez czołgi rosyjskie panował jeszcze przez kilka dni stan *ex lex*. Czuję się bezgranicznie błogo. Spełnił się ideał anarchizmu. Nie było się niczym poddanym. W kilka dni później powstało nowe państwo. Bądź co bądź trzeba było pięciu lat zanim udało mu się zdławić wolność obywateli tak gruntownie, jak to przedtem uczyniły totalitarne dyktatury Gestapo i GPU.

Owego 16 stycznia 1945 roku znajdowaliśmy się we Włochach pomiędzy dwoma aparatami państwowymi. Byliśmy jednak wolni od nacisku jednego i drugiego. Przynajmniej przez ten jeden dzień.

Więźniowie w celi deportacyjnej na Butyrkach znajdowali się natomiast pod naciskiem obu tych aparatów. Bali się jeszcze GPU

i już bali się Gestapo. Jakieś zbyt swobodne słowo mogło jeszcze pociągnąć za sobą prześladowanie ze strony aparatu stalinowskiego. Zbyt wierna wobec Sowietów postawa — w kilka tygodni później ze strony aparatu Gestapo. Trzeba było zachowywać ostrożność, w celi mogli jeszcze siedzieć szpicle GPU. Ale także i przyszli szpicle Gestapo, zdecydowani już teraz wkraść się w łaski Niemców za cenę zdrady swoich towarzyszy. W tych warunkach nieostrożnie było w ogóle usta otwierać.

Nie dbałem o te względy. Mówiłem swobodnie, co myślałem. Ostatnie tygodnie zimmunizowały mnie na wszelkie względy ostrożności. Odczuwałem potrzebę swobodnego mówienia przynajmniej przez kilka dni.

Gdy zbudziłem się następnego ranka, nie chciałem wierzyć własnym oczom. W pół godziny po myciu zajechał stolik na kółkach. Był to rodzaj wózka, jakiego używano w eleganckich domach berlińskich do podawania podwieczorku. Miał dwa poziomy i był przeładowany dobrymi rzeczami. Każdy z nas otrzymał biały chleb, dwa jajka, masło i szynkę. Do tego kakao. Zapytałem Albrechta:

— Dlaczego oni to robią?

— Chcą nas odkarmić.

— Od jak dawna jesteście już tutaj?

— Niektórzy już od czterech tygodni. Dotychczas odeszły do Niemiec dwa transporty. Ludzie nie mają ochoty odjeżdżać zbyt wcześnie, tak tu dobrze dają jeść.

Pomyślałem sobie w głębi duszy, że zgodziłbym się natychmiast wyjechać, gdyby mnie posyłali nie do Niemiec lecz do Szwecji. Nie wierzyłem wówczas w deportację do Niemiec, nie byłem w Europie przez szereg lat i nie miałem żadnego pojęcia o tym, jak skomplikowane stały się podróże po dojściu Hitlera do władzy. Z dawniejszych czasów wiedziałem, że można cudzoziemców deportować. Deportowani mieli jednak zawsze prawo wybrania sobie granicy, do której chcieli być odstawieni. Można było deportować z pewnego określonego kraju, ale nigdy — do innego określonego kraju. W dyskusji z moimi towarzyszami broniłem energicznie tego prawniczego punktu widzenia. Towarzysze mi nie wierzyli i mieli rację.

W ciągu kilku dni dowiedziałem się dalszych szczegółów o mechanizmie deportacji. Całe to piętro więzienia zawierało tylko cele deportacyjne, tak samo piętro pod nami. Siedziało tu około 200 mężczyzn. Pod nami była cela, w której siedziało około 30 kobiet. Istniał pewien luźny kontakt drogą pukania i notatek w klozecie. Pomimo to znowu nie udało mi się nawiązać łączności z Houtermansem.

W celi kobiecej siedziało kilka znajomych. Zenze Mühsam i Carola Neher. Siedziała tam także Greta Buber, żona dawnego przywódcy partii niemieckiej, Heinza Neumanna. Zenze Mühsam była Bawarką, żoną niemieckiego poety-anarchisty, Ericha Mühsama. Ceniłem go bardzo. Po objęciu władzy przez Hitlera, naziści schwytali Ericha Mühsama i uwięzili go. Pewnego dnia znaleziono go w celi powieszono na ramie okiennej. Czy popełnił samobójstwo, by oszczędzić sobie dalszych tortur, czy też bestie faszystowskie zamordowały subtelnego, wysoce kulturalnego liryka, którego sam widok działał na nich prowokacyjnie — nie można się było nigdy dowiedzieć. Jego żona wyemigrowała do Moskwy. W sferach emigrantów niemieckich była znana z tego, że mówiła to, co myśli. Stało się to powodem jej aresztowania w roku 1936.

Carolę Neher poznałem w roku 1933 w Moskwie. Dawniej w Berlinie podziwiałem ją tylko jako aktorkę teatru „am Schiffbauerdamm”. Była to piękna kobieta i wielka aktorka. Trzymała się jednak z dala od ruchu socjalistycznego i obracała się w Niemczech przeważnie w sferach burżuazji. Tym bardziej byłem zdumiony, gdy spotkałem ją w roku 1933 w Moskwie. Rok 1932 był ostatnim rokiem demokracji weimarskiej. Wrażliwsze koła społeczeństwa niemieckiego czuły, że tak dalej być nie może. Nie wiadano, kto będzie spadkobiercą kryzysu, faszyzm czy rewolucja socjalistyczna. W tym czasie wpływ komunistów wzrósł potężnie w sferach inteligencji niemieckiej. Także Carola Neher, typowa wykwiłtna i rozpieszczona aktorka, uległa atrakcyjnej sile idei socjalistycznych. Uczęszczała do robotniczej szkoły marksizmu, aby się w niej doksztacić. Poznała tam jednego z wykładców, towarzysza Beckera. Pochodził z Rosji. Wyszła za niego za mąż i pojechała z nim do Moskwy.

Nie oczekiwała w Moskwie bogactw, lecz nędza, jaką zastała, przekraczała jej wyobrażenie. Mąż jej nie należał do tych, którzy by umieli w społeczeństwie sowieckim zdobyć sobie miejsce pod słońcem. Nie miał dość mocnych łokci. Młoda para była bez mieszkania. Carola zaszła w ciążę. Gdy po położeniu powróciła ze szpitala, nie znalazła w domu nawet łóżka. Nędza materialna doprowadziła do oziębienia w stosunkach między małżonkami. Gdy w roku 1934 poznałem Carolę Neher w Moskwie, było już po jej rozejściu się z mężem. Zajął się nią Michał Kolcow. Kolcow był wybitnym dziennikarzem, redaktorem „Prawdy”. Był to wówczas człowiek potężny. Stalin cenił go bardzo, aparat partyjny i aparat GPU zaopatrywały go w ciekawe informacje ze wszystkich części kraju, stanowiące materiał dla jego artykułów. Pisał o wszystkich słabych stronach rozwoju sowieckiego. Gdy partia

chciała w sposób nie ostentacyjny, to znaczy bez oficjalnego stempla partyjnego lub rządowego, zwrócić na coś uwagę ogółu, kazała o tym pisać Kolcowowi. Ośmielał się on mówić rzeczy, które innych doprowadzić by musiały do natychmiastowego wykluczenia z partii. Gdy Aleksy Tołstoj na publicznej konferencji rosyjskiego Związku Literatów przyznał się do winy, iż w swej pracy literackiej przekroczył dyrektywy partyjne, hołdując formalizmowi a nie socjalistycznemu realizmowi, Kolcow wystąpił przeciw wielkiemu pisarzowi. W artykule schłostał bardzo sarkastycznie jego pozbawione godności wystąpienie. Bardzo dowcipnie udowodnił mu, że nie ma pojęcia, co oznaczają wszystkie te literackie hasła, jak „formalizm”, „socjalistyczny realizm” i tym podobne! On, Kolcow, też tego nie wiedział.

Michał Kolcow był Europejczykiem. Podróżował wiele; był też w Berlinie. Cenił lewicowych literatów i artystów berlińskich. Gdy posłyszał, że aktorka Carola Neher jest w biedzie, postanowił przyjść jej z pomocą. Carola nie umiała po rosyjsku. Scena w Moskwie była więc dla niej zamknięta. Nakłonił ją do publikowania w pewnym piśmie literackim, którego był redaktorem, artykułów o wybitnych aktorach niemieckich. Carola podjęła próbę i udało się. Kilka portretów aktorskich spod jej pióra opublikowano, Kolcow wypłacił honoraria ponad przeciętną miarę. Wystarał się Caroli Neher o bezpłatny pokój w hotelu „Savoy” w Moskwie. Powoli powracała do siebie po dawniejszych ciężkich dniach. Potem zaczęła pracę w filmie, który Erich Wangenheim kręcił na temat „sprawy Dymitrowa”.

Wiosną 1936 roku została nagle zaaresztowana. Stało się to jeszcze na miesiąc przed aresztowaniem mej żony. Był to grom z jasnego nieba. Carola Neher nigdy nie zajmowała się polityką, niezupełnie też dokładnie orientowała się w tym, co się u nas działo. Gdyby ją zapytano, kto właściwie uprawiał opozycję w partii, byłaby zakłopotana. Nie mogliśmy pojąć, czego od niej chciano.

W celi dowiedziałem się bliższych szczegółów o jej losie. Została skazana na dziesięć lat, dostała się do izolatora, głodowała straszliwie, chorowała na tyfus i tym podobne. Wciąż jednak była uroczą kobietą. Los jej obchodził mnie do żywego. Pamiętałem rozmowę, którą prowadziliśmy w Moskwie na kilka miesięcy przed jej aresztowaniem. Carola opowiadała mi o zgonie swego pierwszego męża, poety niemieckiego Klabunda. Klabund był gruźlikiem, ostatnie lata życia spędził w szwajcarskiej miejscowości uzdrowskiej. Nie chciał, by jego żona, zdobywająca właśnie scenę niemiecką, łamała sobie karierę. Przed śmiercią

wezwał ją do siebie. Odebrał od niej przyrzeczenie, że nie włoży żałoby i że niezwłocznie wróci na scenę. „Myśl o tym, że jesteś na scenie promiennie młoda, piękna i utalentowana, uszczęśliwia mnie. Nie wolno ci przerywać ani na jeden dzień, gdy mnie już nie będzie na tym świecie”.

Jak niesprawiedliwe, jak okrutne jest to państwo. Ta kobieta posiadała wszystko, co jej życie dać mogło. Porzuciła to, by pójść za ideą, która dla niej samej była jeszcze niejasna, która jednak wydawała się jej snem o nowym, sprawiedliwym społeczeństwie. I to wszystko skończyło się w rosyjskim kryminale.

Przed deportacją wzywano większość przed specjalną *Trojkę*. Towarzysze nazywali tę komisję, złożoną z trzech wyższych oficerów NKWD, „Trzema Królami Monarchami”. Wezwanego wypytywano o jego życiorys. W niektórych wypadkach Trzej Królowie Monarchowie proponowali deportowanemu, by udał się do Niemiec jako agent NKWD. Niektórzy godzili się, aby się szybciej wydostać. Także Carola spotkała się z taką propozycją. Oburzona odmówiła. Nie chciała jechać do Niemiec hitlerowskich. Żądała odesłania do Kopenhagi, do jej przyjaciela Berta Brechta. Z powodu zajętego przez nią stanowiska, deportację Caroli Neher odroczone. Niemal wszyscy inni opuścili Związek Sowiecki. Carola pozostała. O jej dalszym losie nigdy się niczego nie dowiedziałem. Za granicę się nie wydostała, prawdopodobnie zginęła w Rosji. Jej przyjaciele nic również nie wiedzą o losie jej dziecka. Becker, jej mąż, został także aresztowany. Michał Kolcow, jej protektor, w roku 1938 znalazł się w więzieniu NKWD. Nie ma nikogo, kogo można by zapytać o los Caroli Neher.

W mojej celi siedzieli bardzo różni ludzie. Przeważali robotnicy. W większości komuniści niemieccy. Byli między nimi ludzie, którzy zajmowali w partii bardzo wybitne stanowiska. Pamiętam właściwie tylko jednego intelektualistę w naszej celi, nazywał się Petermann i pracował w aparacie Kominternu. Był mądry, wygadany i zupełnie bez charakteru. Już tu, w celi, przygotowywał swe przejście do obozu faszyzmu niemieckiego. Między nami dwoma dochodziło często do starć. Nie broniłem tego, co się działo w Rosji i nikt chyba bardziej ode mnie nie nienawidził stalinowskiego reżymu, ale broniłem wciąż socjalistycznych fundamentów tego kraju. Wszakże tu zostały po raz pierwszy w dziejach uspołecznione, a przynajmniej upaństwowione środki produkcji. Byłem podówczas jeszcze marksistą, trzymającym się starego schematu. Istotą rzeczy była dla mnie baza ekonomiczna ustroju społecznego. Cała polityczna nadbudowa będzie musiała, wcześniej lub później, dostosować się do tej ekonomicznej pod-

stawy. Socjalistyczna gospodarka nie wytrzyma na stałe despotycznej dyktatury jednego człowieka. Wcześniej lub później otrząśnie się z tej dyktatury i jak feniks z popiołów powstanie wolne społeczeństwo socjalistyczne.

Nie miałem racji. Pomimo ciężkich przeżyć w więzieniu rosyjskim, trzeba mi było jeszcze pięciu lat, by zrozumieć swój błąd. Ale Petermann zwalczał mnie z innego punktu widzenia. Wewnętrznie pogodził się z Hitlerem. Myślał o karierze w systemie nazistowskim. Mówił o tym:

— Gdy będę już po tamtej stronie, przyjrzę się wszystkiemu gruntownie. Nawet Bucharin mówił o zorganizowanym kapitalizmie. Być może, „narodowy socjalizm” jest pewną formą zorganizowanego kapitalizmu, która toruje drogę socjalizmowi. Trzeba patrzeć na rzeczy bez uprzedzenia. Dyskusję tę należy odroczyć na rok.

— Tam, w Niemczech, nie będziesz już chyba miał ochoty ze mną dyskutować — zauważyłem z goryczą.

— To zależy od okoliczności; nie da się przewidzieć, jak się rozwine problem żydowski w Niemczech. Słuszne jest, że jednostka nie ma prawa przeciwstawiać się idei państwowej.

Zamilkłem. Kontynuowanie rozmowy było niebezpieczne. Tutaj nie, ale w Niemczech mogłem za to odpokutować. Wtedy jeszcze o to nie dbałem. Nie mogłem wówczas uwierzyć, by dawni towarzysze nawzajem się denuncjowali. Spór z Petermannem zaostrzał się. Wreszcie wmieszał się Albrecht.

— Człowieku, nie hałasuj tutaj, nigdy nie można wiedzieć, kto podsłuchuje.

Nie wiedziałem, czy chciał mnie ostrzec przed obecnym GPU, czy też przed przyszłym Gestapo. W każdym razie przerwałem.

Rozmowy tego rodzaju zawsze się tak kończyły. Prowadzili je różni towarzysze, w pewnym określonym punkcie zaczynano się bać. Kto z lęku przed Gestapo chciał występować w szacie antysowieckiej, mógł dostać się pod ostrzał GPU. Ostatecznie do tej pory deportowany został zaledwie co dziesiąty. Rosjanie mogli przemyśleć sobie całą sprawę i zatrzymać ludzi na miejscu, a przynajmniej jednostki, występujące ostro przeciw Sowietom. Większość robotników w celi była mądrzejsza ode mnie. W tej skomplikowanej sytuacji wybierali jedynie możliwą drogę — milczeli.

Większość z nich była i pozostała uczciwymi socjalistami. Stali się wrogami GPU, despotyzmu stalinowskiego, ale nie socjalizmu. Powrócili do obozu socjalistycznej demokracji. Dyktatura proletariatu doprowadziła do despotyzmu jednego człowieka; do bizantyńskiego kultu dyktatora, przynoszącego hańbę każdemu

wolnemu człowiekowi; do zniszczenia starej gwardii rewolucji, do ohydnych sponiewierania najlepszych ludzi wielkiego października, do wyzysku ogromnej większości przez znikomą mniejszość, do fizycznego zniszczenia i niewolnictwa ośmiu milionów niewinnych ludzi. Ci niegdyś komunistyczni robotnicy niemieccy nie chcieli mieć nic wspólnego z dyktaturą proletariatu. Nie wyrzekli się jednak mimo to ideałów Liebknechta i Róży Luksemburg. Chcieli wolności oraz socjalizmu.

Czekałem na przesłuchanie mnie przez Trzech Królów Monarchów, ale na próżno. Widocznie komisja ta miała za zadanie werbunek agentów do Niemiec. Pomysł sam w sobie obłąkany — werbować do wywiadu ludzi, w których sercach nagromadziła się nienawiść tych trzech ostatnich lat. Ale czekał się działał wedle starych wzorów. Z historii carskiej Ochrony nauczyli się, że tajna policja często wypuszczała rewolucjonistów z więzienia i używała ich potem jako szpiclów. Czemuż nie miałyby się to udać i GPU.

Ich mózgi były zbyt prymitywne, by dostrzec różnicę. Carska Ochrona aresztowała nie zwolenników caratu, lecz zwolenników rewolucji, walczących przeciw caratowi. Także i bojownicy wolności są ludźmi z krwi i kości. Mogło się zdarzyć, że ten i ów nie wytrzymał tortur i zdradzał swych towarzyszy. Tajna policja wypuszczała go wtedy na wolność, pod warunkiem, że będzie dla niej pracował. Jeśli nie dotrzymywał tego warunku, policja zawiadamiała o jego zdradzie dawnych towarzyszy, wśród których przebywał. Mając do wyboru hańbę albo zbrodnię, słaby wybierał zbrodnię. Tym sposobem Malinowski, bolszewicki poseł do Dumy, został agentem Ochrony.

Ale tu aresztowali ludzi, będących żarliwymi zwolennikami systemu społecznego, który czekał się mieli ochraniać. Długoletni pobyt w więzieniu wznicił w tych ludziach wściekłą nienawiść do gwałtów — i to tym bardziej, że czekał się gnębili ich w imię tej samej idei, za którą ci niemieccy robotnicy walczyli. Jakże można było przypuszczać, że człowiek, któremu się coś takiego przydarzyło, wstąpi na służbę tego samego GPU.

Pewien robotnik ze Stuttgartu, nazwiskiem Müller, któremu zrobiono taką propozycję, powiedział mi:

— Zgodziłem się, ale nie zamierzam mieć z tymi ludźmi nic do czynienia. Nie chcę także mieć nic wspólnego z Hitlerem. Mam dość polityki. Chcę mieć nareszcie spokój. Wracam do swej pracy.

— Kim jesteś?

— Monterem.

— Jak się tu dostałeś?

— Pracowałem w partii, w R.G.O.* i w Związku Bojowników Czerwonego Frontu. Narodowisocjaliści znali mnie dobrze. W maju 1933 roku odszukali mnie, dostałem się do kacetu. Po trzech tygodniach udało mi się uciec. Potem przyszły cztery lata na emigracji. To mi było za głupie, chciałem znowu pracować w swoim fachu. Towarzysze przyrzekli mi wizę do Związku Sowieckiego, ale potem się rozmyślili i nie dostałem wizy. Byłem wtedy w Szwajcarii. Razem z kimś innym postanowiłem przekroczyć granicę sowiecką bez wizy. Pojechaliśmy do Finlandii i przeszliśmy granicę pod Sistoreckiem. Na przedmieściu Leningradu zameldowaliśmy się w GPU. Zamknięto nas i właściwie zupełnie nie widzieliśmy kraju. Minęły już od tego czasu trzy lata.

Müller był człowiekiem mądrym, zamkniętym w sobie i sympatycznym. Nawet nie wymyślał na GPU. Z pewnym niepokojem szukał tylko nowej orientacji. Socjalizm pozostawał dla niego poza dyskusją. Tak czy inaczej musi nadejść. Ale teraz historia stała się zbyt skomplikowana, by móc w niej jeszcze brać czynny udział. Trzeba było uzyskać na kilka lat spokój, aby zorientować się, dokąd prowadzi dalsza droga.

W kilka dni po moim przybyciu do celi deportacyjnej znalazł się w niej drugi Żyd, komunista niemiecki Hans David. Był on wysoki i smukły i wyglądał bardzo reprezentacyjnie. W czasie wojny 1914 r. był niemieckim oficerem, doszedł do stopnia kapitana i otrzymał jedno z najwyższych niemieckich odznaczeń. Petermann chciał go uspokoić co do jego dalszego losu.

— Byłych żołnierzy wojny światowej nie prześladowuje się u nas. Nie musisz trząść portkami. Nic ci się nie stanie. Chroni cię Żelazny Krzyż.

Narodowisocjaliści nie zastosowali się do zapewnień Petermanna. Hans David został deportowany w dwa miesiące po mnie i zwolniony z więzienia Gestapo w Lublinie w maju 1940 roku. Żyłem wówczas u rodziny w Krakowie. Gdy dowiedziałem się o jego przybyciu do Lublina, posłałem mu pieniądze i list. Nie miał nikogo w Polsce. Później dowiedziałem się, że odegrał wielką i przyzwoitą rolę w Judenracie lubelskim. Gdy w roku 1942 zaczęła się masowa likwidacja Żydów, poszedł razem z całym Judenratem do obozu koncentracyjnego w Majdanku i został tam zagazowany. Należał do tych Żydów niemieckich, którzy mimo wszystko co przeżyli w Niemczech hitlerowskich wierzyli w niemiecką praworządność. Nie potrafili sobie wyobrazić rozmiarów masowego mordu. Byłem w Krakowie już od dawna na nielegalnych papierach, żyłem pod fałszywym nazwiskiem aryjskim i wal-

* Revolutionäre Gewerkschafts-Opposition.

czyłem nadal. Hans David wierzył widocznie, że stanowisko w Judenracie go ochroni. Nie on jeden gorzko zapłacił za to zaufanie do Niemców.

W dzień Bożego Narodzenia opróżniono sąsiednią celę. Następnego dnia wszyscy na naszym piętrze zachorowali na straszliwą czerwonkę. Widocznie było coś złego w naszym pożywieniu. Sprawa była niewinna i trwała tylko jeden dzień, ale niewiarygodne jest, jaki aparat lekarski zmobilizowało NKWD, by nam pomóc. Zajmowało się nami trzech lekarzy i dwie pielęgniarki. Byliśmy prawie dumni, czując jaką wagę przykładu do nas państwo.

Niepokoił mnie mój los. Nie chciałem być deportowany do Niemiec. Wiedziałem, że trudno mi będzie opuścić raz jeszcze Niemcy i tęskniłem za jakimś krajem demokratycznym. Niemcy byłyby dla mnie nowym więzieniem. Byłem zdecydowany zaprotestować wobec Trzech Króli przeciwko mej deportacji do Niemiec. Chciałem zażądać odstawienia do granicy fińskiej albo jakiejś innej granicy bałtyckiej, lub też pozwolenia na opuszczenie kraju statkiem w kierunku Szwecji. Ale nie doszło do tego. Nie stanąłem przed *Trojką*. Widocznie szukali tam tylko kandydatów zdatnych do ich wywiadu. Sądząc z całego mojego życiorysu, uważali mnie za bezużytecznego. Poza tym byłem Żydem.

Dnia 31 grudnia 1939 roku obudzono nas o 6-ej rano. Z rzeczami do łaźni. Łaźnia znajdowała się w piwnicy. Były to fantastyczne pomieszczenia. Marmurowe katakumby, całe oparte na kolumnach, z mnóstwem natrysków z gorącą wodą. Pławiliśmy się w niej. Nawzajem nacieraaliśmy sobie skórę aż do bólu. Nasze rzeczy pięknie ułożone poszły do dezynfekcji w gorącej parze. Z górą dwie godziny rozkoszowaliśmy się kąpielą, potem krętymi drogami poprowadzono nas do innego sektora gmachu. Tam przyszedł do nas fryzjer. Z fantastyczną zręcznością w ciągu trzech godzin ogolił 36 ludzi. Nigdy już później nie widziałem czegoś podobnego. Potem, wspólnie z inną celą, również przeznaczoną do deportacji, zaprowadzono nas do szatni. Mogliśmy sobie wybrać ze stosu ubrań czego dusza zapragnie. Miałem już ubranie, więc nie wziąłem niczego. Byli tacy, co się obarczyli olbrzymimi pakami. Pewien Węgier, nazwiskiem Farkas (obywatel austriacki) robił ludziom wymówki.

— Co zamierzacie począć z tymi brudnymi szmatami w Niemczech? Nikt wam tam nie da za to nawet dziesięciu fenigów.

Ubrani i ogoleni, musieliśmy czekać przez kilka godzin w poczekalni. Farkas opowiadał o swych doświadczeniach obozowych. W drugiej celi znajdowali się niemal wyłącznie ludzie, którzy przyszli z syberyjskich obozów. Tuż po pakcie z Ribbentropem

NKWD wydało rozkaz, by zgromadzić wszystkich niemieckich i byłych austriackich obywateli i przysłać ich do Moskwy na Butyrki. Z więzień przybyli na Butyrki ludzie, skazani na śmierć, którym wyrok zamieniono na 25 lat zamknięcia w obozie. Były też wypadki, że sprowadzono ludzi, którzy już czekali na wykonanie wyroku śmierci. NKWD nie dbało o to, jaką pozycję więźniowie zajmowali dawniej w kierowniczych organach partii niemieckiej. Nie dbali też o to, czy wśród deportowanych byli Żydzi. Zdarzało się, że deportowano ludzi, którzy nigdy nie byli obywatelami niemieckimi. Pewien komunista węgierski, Żyd nazwiskiem Bloch, po upadku komuny w roku 1919 uciekł z Budapesztu do Niemiec. Tutaj żył na fałszywych papierach niemieckich i pracował dalej w partii. Później na tych samych nielegalnych papierach wyemigrował do Rosji. I jego zaaresztowali, a teraz, mimo jego protestu, miał być wydany niemieckiemu Gestapo. Farkas opowiadał wiele o obozach. Przesiedział z górą trzy lata i poznał cztery obozy. Jego opowiadania otworzyły mi oczy. Dotychczas myślałem, że tylko pobyt w więzieniu jest tak ciężki, że w obozach jest o wiele lepiej. W więzieniach — myślałem — umyślnie traktuje się ludzi tak źle, aby ich zmusić do zeznań i by zakończyć śledztwo. Farkas opowiadał mi o obozach przerażające rzeczy. Nie było świadomego sadyzmu, lecz ludzie padali jak muchy w morderczym klimacie, na pastwę którego zostali rzućeni zupełnie bezbronni.

„Kto dostaje jakiegokolwiek funkcje administracyjne, może się jeszcze ocalić. Ludzie wychodzący na roboty pod gołym niebem, giną wcześniej czy później, zwłaszcza jeśli nie mają odpowiedniej odzieży i obuwia. Żywa dusza się o to nie troszczy, czy masz coś ciepłego do włożenia. To co ci dają, gówno warte. Tego co się zniszczy lub co ci ukradną, nie potrafisz nigdy zastąpić, a kryminaliści kradną wszystkie dobre rzeczy. Nie można się nawet bronić. Kto protestuje przeciw rabunkowi, ryzykuje cios nożem w plecy. Opowiem ci historię, ile warte są okulary, gdy ich nie można otrzymać.

„Swego czasu dostałem się do obozu nad Wołogdą. Miałem dwie pary okularów. Głośno było o tym. Pewnego dnia zawołano mnie do kancelarii. Pracowała tam zgrabna, miła kobieta z Leningradu. Była krótkowzroczna i przed tygodniem skradziono jej okulary. Bez okularów nie mogła wykonywać swojej pracy. Stracić pracę i iść do roboty pod gołym niebem, to była dla tej słabej kobiety śmierć. Zapytała mnie, czy mógłbym jej sprzedać jedną parę okularów. Wypróbowała je, okulary nie były tak silne, jakby to było jej potrzebne, ale mimo to były dobre. Powiedziałem jej:

— Chętnie wam okulary pożyczę, ale ich nie sprzedam.

— Sprzedajcie mi je jednak towarzyszu, dostałam dziesięć lat, zginę bez okularów.

— Nie mogę wam ich sprzedać, towarzyszo, moje mogą się każdej chwili potłuc lub może je ktoś ukrąść, muszę mieć okulary zapasowe.

„Ofiarowywała mi najrozmaitsze rzeczy. Odmawiałem. Potem przyjrzała mi się i powiedziała:

— Towarzyszu, przecież na pewno będziecie potrzebowali w obozie kobiety. Jestem tu jedną z najmłodszych. Czy jednak nie zostawicie mi tych okularów?

„Musisz wiedzieć, Aleksandrze Siemionowiczu, że ta kobieta absolutnie nie była dziwką, ale nie widziała innego sposobu ocalenia życia. Wszystkie kobiety mają kochanków, inaczej nie mogłyby przetrzymać. Szukają silnych mężczyzn. Fizycznie silnych. Można ich znaleźć przeważnie tylko wśród zawodowych przestępców, którzy mają zawsze trochę chleba, by pożywić kobietę, kradną ciepłe rzeczy, by uchronić kochankę przed zimnem, od nich zależy cały aparat administracyjny, mogą więc swoim kobietom zapewnić najłżejszą pracę. Walka o byt w obozach toczy się na noże”.

Towarzysze w celach deportacyjnych opowiadali wiele o życiu w obozach. Nie jest moim zadaniem powtarzać to tutaj. Pisali o tym inni i to z własnego doświadczenia. Musiałem gruntownie zrewidować mój pogląd na życie w obozach, przede wszystkim zrozumiałem rozmiar robót przymusowych. Zrozumiałem, że wielka część produkcji przemysłowej i budownictwa Związku Sowieckiego została przeniesiona do obozów.

Późnym popołudniem przyszedł strażnik i wywoływał nas alfabetycznie czwórkami. Czwórki powracały, by zabrać swe rzeczy i opowiadały:

„Przedłożono nam kartkę z postanowieniem „OSO” o naszej deportacji. Musieliśmy podpisać. Dzisiaj wieczorem — do Niemiec”.

Przeraziłem się. Więc jednak do Niemiec. Na dzień serca nigdy nie wierzyłem w to, że nas oddadzą w ręce Gestapo. Zastanawiałem się, czy mógłbym to jeszcze odwrócić. Zostałem wezwany jako jeden z ostatnich.

Wszedłem do kwadratowego pomieszczenia. Pod trzema ścianami trzy biurka. Skierowano mnie w lewo. Młody oficer NKWD podniósł się i wręczył mi arkusz papieru.

— Podpiszcie to, obywatelu.

Czytałem:

„Komisja Specjalna przy Ludowym Komisarzu Spraw Wew-

nętrznym ('OSO') zapoznana się ze sprawą oskarżonego Aleksandra Siemionowicza Weissberga. Postanowienie: Wstrzymać postępowanie i deportować obywatela Aleksandra Siemionowicza Weissberga jako uciążliwego cudzoziemca z obszaru Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Akta sprawy należy wcielić do archiwum 8 Oddziału NKWD w Moskwie.

(Podpisy)"

Przeczytałem i długo się zastanawiałem.

— Dokąd mnie zawieziecie, obywatelu starszy poruczniku?

— Jedźcie teraz do Berlina.

— Nie chcę jechać do Berlina. Nie mam nic wspólnego z niemieckim faszyzmem. Proszę o pozwolenie udania się do Szwecji.

— Jedźcie teraz do Berlina. Tam możecie napisać podanie.

— Dużo to pomoże.

Wziąłem raz jeszcze arkusz do ręki.

— Uciążliwy cudzoziemiec. Wtedy, gdy pomagałem budować w kraju przemysł związków azotowych, nie byłem uciążliwy, obywatelu poruczniku.

Wzruszył tylko ramionami.

— Dajcie mi możliwość napisania podania do rządu, przed deportacją do Niemiec.

— Nie mam do tego prawa.

Straciłem panowanie nad sobą. Używałem wyrazów, nigdy w tym budynku nie słyszanych.

— Towarzyszu, jesteś komunistą. Wiesz, że jestem Żydem i komunistą. Dlaczego chcecie mnie wydać w ręce Gestapo? Jeśli nie chcecie mnie mieć tu w kraju, to pozwólcie mi przecież odejść spokojnie, dokąd zechcę. Co to wam szkodzi? Nie wstydzisz się, towarzyszu? —

— Nie denerwujcie się, obywatelu. Ja dostaję polecenia. Nie mam żadnego wpływu na te decyzje. Mogę przyjąć wasz list do ludowego komisarza, ale to nie odroczy waszej deportacji. Podpisujecie postanowienie „OSO”?

— A jeśli nie podpiszę, co się stanie?

— Będę zmuszony sprowadzić dwóch świadków i kazać im potwierdzić, że postanowienie „OSO” zostało wam odczytane.

— Mój podpis oznacza zatem tylko, że potwierdzam przeczytanie tego postanowienia?

— Nic innego.

— Dajcie.

Wziąłem arkusz i podpisałem. Był to ostatni podpis pod protokołem NKWD.

Wszyscy byli gotowi i pakowali się. Zawinałem swoje rzeczy

w jedno wielkie prześcieradło. Zrobiła się z tego potężna paczka. Zawiązałem pętlę, tak bym ją mógł nieść na plecach. Zaprowadzono nas do wielkiej hali wejściowej. Tam kazano nam czekać.

Tuż przed północą nadeszły autobusy. Zabrały nas na kolej. Zostaliśmy pomieszczeni w przedziałach, w których każdy otrzymał miejsce leżące. Okna na zewnątrz były zabite, okno na korytarz było niezastłonięte. Zamknięto drzwi przedziału, potem usłyszeliśmy czyjeś dzwieczne głosy. Przyszła grupa kobiet. Była to część naszych towarzyszek z Butyrek. Głosy kobiece wprawiły wszystkich w nastrój podniecenia. Od szeregu lat nie widzieliśmy kobiet. Teraz przyszły towarzyszki, które mówiły naszym językiem macierzystym i przeżyły to samo co i my.

W noc sylwestrową roku 1939/40 pociąg ruszył w drogę. Wiózł siedemdziesięciu pokonanych ludzi do domu. Opuszczali ojczyznę, którą sami sobie wybrali i powracali do kraju rodzinnego, który stał im się obcy. Znajdowali się pomiędzy dwoma frontami. Stali się bezdomni w obu krajach.

Jechaliśmy przez spustoszoną Polskę w kierunku Brześcia Litewskiego. Na moście na Bugu oczekiwał nas aparat drugiego w Europie systemu totalitarnego, niemieckie Gestapo.

LUKA W PAMIĘCI

Prowadziłem czytelnika po manowcach Wielkiej Czystki, nie dając mu do tej pory interpretacji tego co się działo. Z wielu przeżyć jednostkowych składałem mozaikę tego procesu, czułem jednak nieustannie niecierpliwość czytelnika. Winienem teraz odpowiedzieć na jego zapytania. Oto one:

Najbrutalniejszy terror da się zrozumieć, jeśli godzi we wrogów reżymu. Dlaczego jednak Stalin niszczy swych zwolenników?

Dlaczego zakłóca proces rekonwalescencji kraju? Dlaczego przy pomocy tajnej policji paraliżuje gospodarczą i kulturalną pracę narodu, nad którym panuje?

Każdy z nas stawiał swym towarzyszom te same zapytania przez całe lata. Odpowiedź znaleźliśmy dopiero bardzo późno. Rozmowy z aresztowanymi czekistami, z prowokatorem Rozańskim i z generałem Boguckim były dla mnie słupami milowymi na drodze do poznania.

W styczniu 1924 roku zmarł Władimir Iljicz Lenin. Jego choroba od długiego czasu trzymała go z dala od spraw rządzenia. Już z początkiem 1923 roku Stalin zaczął przygotowywać walkę o dziedzictwo.

Był on wówczas generalnym sekretarzem partii. Stanowisko to bynajmniej nie predestynowało go na dyktatora kraju. Za to pozwalało mu po cichutku przetkać aparat partyjny swymi wtyczkami. Nie miał on programu, który by go zasadniczo różnił od innych przywódców partii. Nie chodziło mu o zwycięstwo swojej idei, chodziło o władzę.

Stalin jest człowiekiem o przeciętnej inteligencji i mniej niż

przeciętnym wykształceniu. Jego mowa jest drętwa, jego styl bezbarwny i nudny.

Człowiek ten posiada jednak cechy, które pozwoliły mu zbudować w dziesięć lat po upadku caratu despotyzm, przyćmiewający panowanie Dżyngis Chana.

Ma żelazną wolę i bezgraniczną energię. Umie milczeć i zaw sze we wszystkim idzie aż do końca.

Życie odkryło przed nim wielką tajemnicę: tajemnicę aparatu. Wychowany w szkole marksizmu, nie pozwolił nigdy dogmatyce marksizmu nałożyć sobie więzów. Posługiwał się nim jak narzędziem i odrzucał go, ilekroć mu przeszkadzał.

Stalin chciał władzy. Władzy bez ograniczeń. Chciał mieć możność uruchamiania za jednym pociśnięciem guzika milionowych mas ludu rosyjskiego, uciśnionych narodów Azji i rewolucyjnych robotników Europy. Chciał zrzucić z siebie dokuczliwy obowiązek podporządkowywania swych zamierzeń i myśli cudzej kontroli, obowiązek dyskusowania z ludźmi takimi jak Bucharin lub Trocki, ludźmi znacznie górującymi nad nim intelektualnie. Chciał być swobodny. I nie widział do tego żadnej innej drogi, jak zniewolenie milionów swego ludu.

Obecnie w Związku Sowieckim jest 160 milionów niewolników i jeden człowiek wolny.

Można by pomyśleć, że każdy z tych 160 milionów ludzi odstąpił mu część swego wolności. On sam uzyskał przez to gigantyczny wymiar wolności. Uważa się teraz za dostatecznie silnego, by móc gwałcić prawa rozwoju. Nie obowiązują go hamulce etyki, pochodzenia, umowy społecznej.

Trocki oskarża Stalina, że zapomniał o celu komunizmu. Przejął misję wrogich klas społecznych, najpierw kułaków, potem biurokracji.

Nic bardziej dalekiego od prawdy. Stalin zlikwidował w barbarzyński sposób kułaków. Gdy doszedł do władzy, nie było jeszcze uprzywilejowanej biurokracji. On stworzył biurokrację, nie ona jego. Jako środek do swych celów.

Stalin pozostał wierny swoim celom. Chce komunizmu. Warunkiem tego jest całkowite upaństwowienie środków produkcji. Na tej bazie powstanie nowe społeczeństwo, w którym nie będzie wyzysku człowieka przez człowieka. Taki jest jego dogmatyzm.

Jego celem jest socjalizacja środków produkcji na całej kuli ziemskiej. Aby ten cel osiągnąć nie widzi żadnej innej drogi, jak tylko własną nieograniczoną władzę. Instrumentem tej władzy jest „aparat”.

Już partia leninowska różniła się zasadniczo od europejskich

partii robotniczych dawnej epoki. Partia, w sensie leninowskim, była konspiracyjną wspólnotą zawodowych rewolucjonistów, dobrowolnie podporządkowujących się wojskowej dyscyplinie. Cementem tej organizacji była nie tylko wiara jej zwolenników w ogólnoswiatową misję historyczną, którą spełniają, była nim raczej panująca w niej jednolita ideologia. Komuniści w okresie Lenina byli głęboko przekonani, że odkryli tajemnicę historii. Marksizm jest rzekomo instrumentem naukowym, który wystarczy stosować, by na każdym stopniu uczynić właściwy krok następny. Teoria rewolucyjnego marksizmu przepełniała ich świadomością, że są wykonawcami konieczności dziejowej. Poczucie to dawało im głębokie zadowolenie i równowagę duchową. Ich zadanie nie było już zadaniem twórców, lecz komentatorów. Poprawna polityka była tylko kwestią zastosowania naukowych fundamentów marksizmu do konkretnej sytuacji.

Kto zna prawdę, jest uprawniony do żądania od swych zwolenników bezgranicznego posłuszeństwa. Na tym opierało się rozszczenie Lenina do dyscypliny wojskowej i jednolitej ideologii w partii rewolucyjnej.

Lecz prawda w sensie leninowskim nie była mesjanistycznym wyznaniem wiary. Podlegała weryfikacji w drodze doświadczenia. Nauki wyciągnięte z doświadczenia podlegały w leninowskiej partii dyskusji. Dopiero wynik tej dyskusji stawał się wytyczną dla następnego etapu.

W okresie po zgonie Lenina teoria partyjna popadała w coraz to bardziej rosnące sprzeczności z historycznym doświadczeniem.

Stalin zastąpił dyskutującą partię aparatem. Nie zrezygnował z jednolitej ideologii, która odróżniała już leninowską partię od demokratycznych partii robotniczych Zachodu. Lecz za Stalina ideologia ta nie była wynikiem swobodnej, naukowej dyskusji. Ideologię dekretował on sam. Cementem spajającym obecnie zwolenników ruchu nie był już wyłącznie jednolity pogląd. Przyłączyły się do niego dwa nowe elementy: strach i pieniądze.

Te dwa elementy odróżniają aparat od partii.

W roku 1931 opowiadano w sferach partyjnych w Moskwie niecenzuralną anegdotę: Jagoda, naczelnik GPU, pyta Stalina: „Co wolicie, towarzyszu Stalinie, czy jeśli ludzie są po waszej stronie z przekonania, czy też ze strachu?” „Ze strachu”. „Dlaczego?” „Przekonanie może się zmieniać, towarzyszu Jagoda, strach pozostaje”.

Prawdopodobnie nigdy nie było takiej rozmowy. Stalin nie ma najmniejszego poczucia humoru. Jednakże ta anegdota dobrze oddaje podstawową regułę epoki stalinowskiej.

Ludzie w aparacie stalinowskim — czy to chodziło o aparat

tajnej policji, czy partii, czy też administracji — byli związani jednolitą ideologią, interesem materialnym i wielkim strachem. Ideologia nie miała już żadnej samodzielnej funkcji. Zdanie poszczególnego komunisty w sprawie zleconego mu zadania było obojętne. O niczym już nie decydował. Otrzymywał szczegółowe rozkazy z góry. Ideologia służyła jednak za kapelusze Gesslera. Jedno nieostrożne słowo, odbiegające od oficjalnej ideologii, mogło zdradzić tajne myśli i prowadziło do zniszczenia tego, kto je w swym mózgu hodował. Ludzie aparatu wiedzieli, że jak długo prawomyślnie służą wodzowi, są najzupełniej bezpieczni. Należeli do uprzywilejowanej warstwy w kraju. Pod względem materialnym byli coraz to lepiej opłacani.

Komunista leninowski obawiał się wykluczenia z partii, tak jak człowiek wierzący obawia się klątwy, ale nie więcej. Za czasów Lenina wykluczenie z partii nie pociągało za sobą następstw natury materialnej. Nie szło się za kratę. Nie traciło się posady. W aparacie stalinowskim herezja prowadziła do zniszczenia heretyka.

Stalin był przekonany, że przy pomocy dostatecznie silnego aparatu uda mu się zgwałcić historię świata.

W ciągu pięcioletniej walki z opozycją stworzył ten niesamowity instrument władzy. W roku 1928 doszedł do mety. Opozycja leżała zdruzgotana, miał wolne ręce.

Bezgraniczna swoboda działania popchnęła go do dwóch błędów na miarę historyczną:

Jego polityka agrarna zniszczyła podwaliny rolnictwa sowieckiego. 11 milionów chłopów zmarło z głodu.

Jego polityka w Kominternie doprowadziła do zwycięstwa faszyzmu w Niemczech, a tym samym pośrednio do drugiej wojny światowej.

W obu wypadkach zawrócił, w obu wypadkach za późno. W obu wypadkach jego reżym zawdzięczał swe ocalenie żelaznemu aparatowi.

W styczniu 1933 roku na posiedzeniu Komitetu Centralnego dał sygnał odwrotu w polityce agrarnej. Zerwał z systemem morderczych rekwizycji. Praca zaczęła się chłopom znowu opłacać. Rolnictwo odżyło, lato 1933 roku przyniosło najlepsze od dziesięciu lat żniwa.

W sierpniu 1935 roku potępił w uchwałach 7-ego kongresu Kominternu zbrodniczą politykę, którą sam narzucił komunistom niemieckim. Nowa polityka frontu ludowego wzmocniła wpływ komunistów w Europie zachodniej.

Odniosł zwycięstwo, rany się goiły.

Mógłby zatem złagodzić despotyczną presję. Przez chwilę za-

wahał się. Czy masy ludowe rzeczywiście zapomniały o tym, co się stało, czy też milczały tylko ze strachu? Postanowił je wypróbować.

Po zwycięstwie na froncie rolnym, następuje szereg demokratycznych pociągnięć. Pojawia się zapowiedź nowej konstytucji, znika *numerus clausus* na uniwersytetach, powiedzenie Stalina „Syn nie odpowiada za ojca” usuwa dyskryminację potomstwa dawnych klas społecznych. Komisja Kontroli Sowieckiej zabrania tajnych kartotek, które do tej pory szły za ludźmi przy każdej zmianie miejsca pracy. Stalin mówi teraz o szczęśliwym życiu, nakazuje troskę o człowieka, najcenniejszy kapitał gospodarki, i tak dalej.

Uważnie śledzi przy pomocy swych organów wywiadowczych reakcję mas ludowych na te posunięcia. Ale masy trzymają język za zębami, zabierają głos wyłącznie informatorzy.

Wreszcie ucieka się do prowokacji:

Wiosną 1936 roku poddaje pod dyskusję projekt ustawy, zabraniającej bez wyjątku spędzenia płodu, co dotychczas było dozwolone.

We wszystkich fabrykach, biurach i kołchozach Związku Sowieckiego partia zorganizowała dyskusję. Masy ludowe zwykły były milczeć. Z ostrożności czekały na hasła partii, by im zawtórować. Tym razem jednak swoboda dyskusji pomyślana była na serio. Stalin sam ją nakazał. Komunistom nie wolno było wydawać żadnych dyrektyw, nawet partyjnicy nie powinni byli wyrażać jednolitego poglądu. Jedni wypowiadali się za ustawą, inni — przeciw.

Wśród mas ludowych zerwała się burza, jakiej Rosja nie znała od dziesięciu lat. Zwłaszcza kobiety występowały jednogłośnie przeciw nowej ustawie i potępiały ją jednogłośnie.

„Nie mamy mieszkań, nie ma miejsc w żłobkach dla dzieci, życie nasze jest zbyt ciężkie, by mieć jeszcze więcej dzieci, nie chcemy tylko zachodzić w ciążę, rodzić i karmić, chcemy nareszcie zacząć żyć jak ludzie”.

Pomimo tego jednogólnego plebiscytu, rząd nadał nowej ustawie moc obowiązującą w całej jej rozciągłości. Przyrostem naturalnym chciał Stalin zastąpić ofiary kolektywizacji.

Lecz dostał nauczkę. Oto nie było dla niego odwrotu w stronę wolności. Masy ludowe nie były jeszcze na tyle oświecone, by spełniać jego skryte życzenia. Gdy podawano im jeden palec, chciały całej ręki.

Być może wybaczyłyby wówczas Stalinowi jego błędy po swobodnym, jawnym przedyskutowaniu przeszłości. Nie splamił jeszcze wtedy swoich rąk krwią starej gwardii rewolucji. W żadnym

jednak razie nie zniosłyby panującego zakłamania, gdyby przywrócono swobodę dyskusji w partii i w kraju. 11 milionów ofiar kolektywizacji utkwiłyby w świadomości ludu tak samo, jak ofiary faszyzmu niemieckiego.

Ale Stalin chciał fałszerstwa. Chciał przy pomocy swego aparatu narzucić podtrzymanie fikcji historycznej. Okres jego panowania miał przejść do historii kraju jako łańcuch wielkich zwycięstw, jako niczym nieprzerwany pochód naprzód i w górę. Wielki głód, klęski robotników niemieckich i chińskich miały zapaść się w niebyt. Naród miał zatracić pamięć.

Postawił swoją tajną policję przed gigantycznym zadaniem: wyeliminowania nosicieli świadomości narodowej.

Powiedział sobie: „W tym kraju *muszą* mnie nienawidzić setki tysięcy ludzi. Ludzie, którzy swego czasu razem ze mną zwalczali despotyzm caratu, nie mogą aprobować mego despotyzmu; *muszą* zginąć”.

On sam wydał Jeżowowi dyrektywy Wielkiej Czystki. On sam określił grupy, które należy zniszczyć:

1. Wszyscy dawni opozycjoniści, bucharinowcy, trockiści, zinowiewowcy.

Już w roku 1934, po przezwyciężeniu głodu, postanowił poświęcić przywódców opozycji. Likwidację wszystkich innych zdecydował na podstawie doświadczeń roku 1936.

2. Wszyscy starzy bolszewicy.
3. Wszyscy czerwoni partyzanci.
4. Wszyscy dawni mienszewicy, socjalrewolucjoniści, anarchości, bundowcy i inni zwolennicy przedrewolucyjnych partii lewicowych.

Ludzie ci walczyli o wolność, reżymowi despotycznemu są niepotrzebni.

5. Ludzie znający zagranicę i czasy przedwojenne, mający krewnych i przyjaciół za granicą i z nimi korespondujący. Filateliści i esperantyści.
6. Reemigranci i ludzie, którzy kiedykolwiek byli odkomenderowani za granicę.
7. Cudzoziemscy komuniści.
8. Członkowie wywiadu wojskowego za granicą i zagraniczni agenci GPU.

Ludzie ci znają fakty i nie wierzą fałszerstwom. Czytali prasę liberalną i dzieła Trockiego, są niebezpieczni.

9. Członkowie mniejszości narodowych.
10. Sekty religijne.

Ludzie ci są ściśle powiązani. Ich środowiska są niedostępne dla agentów GPU. Uchylają się spod naszej kontroli.

11. Wszyscy kiedykolwiek wykluczeni z partii.
12. Wszyscy, których władza sowiecka kiedykolwiek skrzywdziła.

13. Członkowie rodzin wybitnych opozycjonistów.
Ludzie ci noszą w swym sercu nienawiść, są niebezpieczni.

14. Wszyscy ci, którzy niezależnie od łaski Stalina uzyskali wpływ na masy ludowe (Tuchaczewski, Jakir i dowódcy Armii Czerwonej).

Mogliby stać się trzonem powstania ludowego, a co najmniej buntu w armii.

15. Członkowie najwyższych organów partyjnych, których przerażają okrucieństwa procesów moskiewskich i Wielkiej Czystki i którzy usiłują powstrzymać dyktatora (niektórzy członkowie Politbiura: Kosior, Postyszew, Ejche).

Wielkie procesy odgrywają tu rolę kapelusza Gesslera. Kto powątpiewa w prawdziwość zeznań, jest „wrogiem ludu”.

16. Czekiści, którzy organizowali procesy moskiewskie i Wielką Czystkę.

Wiedzą zbyt wiele. Ponadto jest wskazane trzymać ich w pogotowiu jako kozły ofiarne za bezprawia czystki.

Stalin myślał sobie:

Pamięć narodu wygaśnie. Po tej czystce żadne dziecko w szkole nie będzie już wiedziało, że Trocki był wielkim rewolucjonistą i że miliony chłopów zmarły w czasie wielkiego głodu. Na mojej przeszłości nie będzie żadnych czarnych plam, przejdę do historii jako organizator zwycięstwa.

NKWD wypełniło zadanie powierzone przez dyktatora. Otworzyły się teczki i wypadły z nich dziesiątki tysięcy nakazów aresztowania. Ale to nie wystarczało Stalinowi i Jeżowowi.

GPU przekonało się, że człowiek, załamujący się pod torturą, wymienia bliskich mu ideologicznie ludzi. Zamyka się ich i powtarza się procedurę. Każdy aresztowany podaje kilku nowych. W ten sposób można wykryć całą siatkę wrogów ludu. To była przewodnia myśl Stalina.

Była to myśl chora. Związek ideologiczny rozcieńczał się w miarę schodzenia w dół. W określonym momencie rodziła się świadoma samoobrona więźniów. Pod torturą wymieniali oni już nie swoich ideologicznych współwyznawców, lecz świadomych stalinowców. Liczba aresztowań rosła ponad wszelką miarę. Ale miliony uwięzionych bynajmniej nie były w stosunku do dyktatora bardziej wrogie, jak ludzie pozostali na wolności. Koncepcja „werbunku” zawiodła. Po raz drugi w ciągu dziesięciu lat kraj znalazł się na skraju przepaści.

Moja interpretacja ostatecznych przyczyn Wielkiej Czystki napotyka na sprzeciw ze strony ortodoksyjnych marksistów. Ich argumentacja jest prosta:

„Wielka Czystka była ruchem masowym. Wciągnęła ona w swoje tryby miliony ludzi i zmieniła bieg historii rewolucji. Ruchy masowe mają podłoże społeczne. Objąsnianie ich na podstawie motywów psychologicznych jednego człowieka, jego ambicji, jego mściwości, jego manii prześladowczej, jego pragnienia nieśmiertelności, jest sprzeczne z materialistycznym pojmowaniem historii”.

Nie jest tu moim zadaniem potwierdzać czy kwestionować słuszność marksowskiego pojmowania historii. Jednakże nawet jego najwierniejsi zwolennicy będą dziś skłonni do ograniczenia zasięgu jego mocy obowiązującej. Może ono — co wynika nie tylko z jego metody, ale także z natury przedmiotu, którym się zajmuje — wykazywać jedynie statystyczne prawidłowości, prawa wielkich liczb. Jego moc obowiązująca z natury rzeczy musi ograniczać się do systemów, do których można stosować statystyczne podejście, a więc do systemów z bardzo wielu stopniami swobody. Lecz właśnie społeczeństwo rosyjskie w erze stalinowskiej nie jest takim systemem. Miliony rosyjskiego ludu w wielkiej mierze utraciły możność poruszania się niezależnie od woli dyktatora.

Nie przeceniając mocy dowodowej analogii, zamierzam objaśnić tok mego rozumowania przykładem z dziedziny nauk przyrodniczych. Kinetyczna teoria gazów nie potrafi objaśnić ruchów każdej indywidualnej cząsteczki w przestrzeni gazowej, objaśnia jednak bardzo dobrze zjawiska, zależące od wartości średnich, w tym wypadku od średniej energii cząsteczek gazu. Jednakże dostarcza nam ona pożytecznych informacji tylko pod tym warunkiem, że nie traktujemy w sposób szczególny żadnej indywidualnej cząsteczki gazu prostego oraz że żadna cząsteczka nie decyduje o ruchu innych cząsteczek. Właśnie ta przesłanka nie zachodzi w stalinowskim systemie społecznym. Statystyka fizyczna zawodzi, gdy wymaga się od niej, by opisała ruchy pojedynczej cząsteczki. Tak samo zawodzi socjologia, jeśli chodzi o systemy, w których jeden człowiek przywłaszcza sobie wolność całego społeczeństwa.

Wygląda na to, że fizyka nowoczesna od czasu wielkiego odkrycia Wernera Heisenberga widzi w przeważnej ilości praw natury coraz bardziej informację natury wyłącznie statystycznej.

Jeśli jednak fizyka teoretyczna, ta królowa nauk przyrodniczych, mogąca spoglądać na swą chlubną historię pięciuset lat, poprzestaje na tym, że żąda od swych odkrywców jedynie potwierdzenia praw statystyki — o ile skromniejsze winno być materialis-

tyczne pojmowanie historii, którego teorie bardzo tylko skąpo potwierdziło stulecie po zgonie Marksa.

Społeczeństwo sowieckie pod panowaniem Stalina przedstawia system zatrzymany w rozwoju. Elementy tego systemu utraciły swobodę ruchów niemal całkowicie. Ruch całości systemu określa wola dyktatora, co prawda przy olbrzymich oporach siły bezwładny. Wszelkie pojmowanie historii i wszelka polityka, nie licząca się z tymi podstawowymi faktami, spełźnie zapewne na niczym.

Lecz tylko część moich krytyków podnosi te teoretyczne zastrzeżenia. Inni uważają interpretowanie zjawisk takich jak Wielka Czystka psychologicznymi pobudkami despoty za zupełnie dopuszczalne. Nie zadowala ich jednak szczególny rodzaj mojej interpretacji.

Przyznaję, że w teorii mojej mieści się element hipotezy. Jakże by mogło być inaczej? O swych prawdziwych pobudkach Stalin milczy nawet wobec swego najbliższego otoczenia. Jednakże moment rozpoczęcia czystki, skład grup, które pierwsze uległy aresztowaniom oraz rodzaj zeznań, które wymuszano na ofiarach, dają wiele punktów oparcia dla starannej analizy.

By dojść do prawdy, trzeba najpierw oczywiście wyeliminować błędne interpretacje.

Konieczność dostarczenia sił roboczych dla wielkiej rozbudowy rejonu podbiegunowego nie może uzasadnić uwięzienia czołowych kadr aparatu sowieckiego. Od niego jednakże zaczęła się Wielka Czystka. Nie aresztuje się najwybitniejszych uczonych i inżynierów kraju, nie usuwa się dowódców armii, nie dziesiątkuje się składu rządów wszystkich republik związkowych tylko po to, aby uzyskać robotników do prac ziemnych na Syberii. Byłaby to zbyt kosztowna metoda dostarczania robotników. Pobudka ta odgrywa rolę wtórną. Dopiero, gdy setki tysięcy były już aresztowane, zaplanowano wielkie roboty celem ich zatrudnienia. Plany przerosły cel i wymagały nowych milionów ludzi. Nastąpiły dalsze aresztowania.

Również zawodzi próba interpretowania Wielkiej Czystki jako zabezpieczenia rewolucji w krytycznym okresie przed jej wrogami. Już moment, w którym czystka się rozpoczęła, przemawia przeciw tej interpretacji. Aresztowania nie zaczęły się w roku 1932 ani w 1933, gdy kolektywizacja i wielki głód do głębi wstrząsały krajem i gdy przewrót wydawał się wielu jedynym wyjściem, lecz w roku 1936, gdy Stalin od dawna już zwyciężył na wsi. Nikt już wtedy nie myślał o możliwości jego obalenia. Nigdy nie była rewolucja w ogólności, a panowanie stalinowskie w szczególności, bezpieczniejsze jak podówczas.

Analiza aresztowanych grup dowodzi zupełnie wyraźnie jednego. Nie chodziło o wrogów rewolucji socjalistycznej. Nie chodziło też tylko o dawną opozycję partyjną. Chodziło o wszystkich, którzy nie mogli zapomnieć czasów wolności. Jedno bowiem należy stwierdzić: Nawet okres przedrewolucyjnego samodziśrżawia, tak samo jak era leninowska, wydawały się rosyjskim bojownikom o wolność mirażem wolności w porównaniu z despotyzmem Stalina.

Chodziło o zwolenników wolności — tego dowodzi skład więźniów w pierwszym okresie czystki. Nie było między nimi klasycznych wrogów rewolucji rosyjskiej, monarchistów i białogwardystów. Oszczędzono tych zwolenników innego despotyzmu. Nie spotkałem w więzieniach Wielkiej Czystki ani jednego monarchisty. Także jeśli chodzi o małe narodowości nie likwidowano grup reakcyjnych, ortodoksyjnych, lecz grupy postępowe, demokratyczne, jak na przykład dasznaków armeńskich.

Można by zauważyć, że w roku 1937 nie było już w Związku Sowieckim żadnych monarchistów. Nie było jednak także żadnych dasznaków. Aresztowani Armeńcy byli to analfabeci, czyściciele butów, którzy do tej pory nie znali nawet nazwy dasznaków. Lecz zmuszono ich do przyznania się, że byli dasznakami. I to właśnie decyduje. Albowiem właśnie te wymuszone przez GPU zeznania zdradzają skryte intencje dyktatora. Więźniów rosyjskich zmuszano, by deklarowali się jako socjalrewolucjoniści, anarchiści, mienszewicy i zwolennicy innych partii wolnościowych. Rezygnowano z piętnowania ich jako zwolenników carskiego samodziśrżawia.

Wielka Czystka była walką przeciw nielicznym prawdziwym i wielu potencjalnym przyjaciołom wolności, których bał się Stalin i jego GPU. Oto ostateczny wniosek z doświadczeń trzech lat więzienia i z analizy niezliczonych historii śledztwa.



Stalin doszedł do samego końca drogi Wielkiej Czystki. Żaden niedowiarek nie zakłóca już jego spokoju. Historia naszej planety nie zna drugiego przykładu tak totalnej władzy. Jednakże nie potrafił pozbawić narodów Rosji pamięci. Głęboko pod ciężką powłoką żarzy się tęsknota za wolnością.

SPIS RZECZY

<i>Nieposkromiony umysł</i> — przedmowa Gustawa Herling-Grudzińskiego	9
---	---



Wstęp: <i>Wielka czystka</i>	21
------------------------------------	----

Część pierwsza

STRAŻ NAD MYŚLAMI

<i>W matni</i>	39
<i>Więzienie wewnętrzne charkowskiego NKWD</i>	120
<i>Konfrontacje</i>	181
<i>O każdą piędź ziemi</i>	200
<i>Prowokator</i>	229
<i>Wielki konwejer</i>	276
<i>Przyznanie się</i>	309
<i>Twierdza Chołodnaja Gora</i>	319

Część druga

WROGOWIE LUDU

<i>Sabat czarownic</i>	363
<i>Wrogowie ludu</i>	378

<i>W piekle</i>	434
<i>Aresztowani czekaści</i>	452
<i>Przełom</i>	471
<i>Kijów</i>	481
<i>Historie apolityczne</i>	494
<i>Szpieg</i>	506
<i>Kontrrewolucja wyznaniowa</i>	511
<i>Moskwa: w głównej siedzibie NKWD</i>	523
<i>Ekstradycja</i>	544
<i>Luka w pamięci</i>	557

WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE *Moc i chwala*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkami (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane uidirodiennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
44. Borys PASTERNAK ... *Doktor Żiwago (Wydanie trzecie)*
47. Tibor DERY *Nilci*
51. Gustaw HERLING
GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*

52. Halszka GUILLEY-
CHMIELOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Okno*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ho-
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW *Jest' li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Stawka*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
89. Witold JEDLICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczes-
nej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-
GRUDZIŃSKI *Drugie przyjsie oraz inne opowiadania i
szkice.*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na ob-
czyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*

104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
117. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my)
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
125. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty)
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).
129. Borys LEWYCKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*

139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 11)*
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-
WETZ *Refleksje pewnego życia (Seria „Dokumen-
ty”, Zeszyt 19)*
143. Bonifacy MIAZEK *Ziemia otwarta (Poezje)*
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 12)*
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość (Seria „Dokumen-
ty”, Zeszyt 20)*
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry*
149. Galina SIERIEBRIA-
KOWA *Huragan (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
150. Swietlana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do przyjaciela (Seria
„Archiwum Rewolucji”)*

BIBLIOTEKA
Z 3172
PODÓWNA

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 2 SEPTEMBRE 1982
PAR L'IMPRIMERIE
DE LA MANUTENTION
A MAYENNE

139. Aleksander HERTZ *Przegląd literatury*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11)
141. Günter SCHEPER *W nowożytności*
142. Aliza ZAWADZKA-
WETA *Kultura i sztuka* (Seria „Dokumenta-
ry”, Zeszyt 19)
143. Stanisław MIAŁEK *Ziemia słowiańska* (Poznań)
144. Juliusz MIEBOSZEWSKI *Polityczne Nowiny*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12)
146. Aleksander HERTZ *Sztuka i literatura*
147. Witold SUKIECICKI *Legenda i rzeczywistość* (Seria „Dokumenta-
ry”, Zeszyt 20)
148. Tomasz STAJNISKI *Wieloletni zarys*
149. Galina SIEMENIA-
KOVA *Historia* (Seria „Archiwum Historii i
Sztuki”) (Zeszyt 1)
150. Stanisław ALBUKOWICZ *Przegląd literatury* (Seria
„Dokumenta-
ry”, Zeszyt 21)

ALBIS
LE 5 SEPTEMBRE 1982
PAR L'IMPRIMERIE
DE LA MAINTENTION
A MAYENNE

p. 11. Stanisławski
15 IV. 83

Odkwaszone

24-09-2008

